

AUTOR BESTSELLERU „WOJNA SZCZURÓW”

DAVID L. ROBBINS



KONIEC WOJNY GRA O BERLIN

SENSACJA / FANTASTYKA

WYDAWNICTWO
MAGNUM



Ostatnie miesiące wojny. Do Berlina zbliża się Armia Czerwona, wojska amerykańskie i brytyjskie. Rozpoczyna się śmiertelny wyścig o zdobycie stolicy Rzeszy. (...) Bohaterami powieści są zwykli żołnierze oraz cywile, którzy znaleźli się w samym środku zawieruchy wojennej, a także dowódcy i politycy rozstrzygający o losach powojennego świata.

Wspaniale udokumentowana powieść historyczna... Robbins kontynuuje temat rozpoczęty w „Wojnie szcurów”.

„Publishers Weekly”

Autor ożywia historycznych gigantów i nadaje ludzki wymiar ich walce o przyszłość zwykłych ludzi.

„Book Description”

David L. Robbins, z zawodu prawnik, jest znanym amerykańskim autorem bestsellerowych powieści: War of the Rats (Wojna szcurów) i Souls to Keep. Mieszka w Richmond w stanie Wirginia.

Wojna szcurów, na podstawie której powstał film Wróg u bram, ukazała się nakładem wydawnictwa Magnum w 2000 roku.



ISBN 83-85852-63-8



9 788385 852636

Tylko umarli widzieli koniec wojny.

Platon

DAVID L. ROBBINS

**KONIEC
WOJNY
GRA O BERLIN**

PRZEKŁAD

Magdalena Słysz

WARSZAWA

THE END OF WAR
A Novel of the Race for Berlin

Przekład
Magdalena Słysz

Projekt okładki
Krzysztof Findziński

Redakcja i korekta
Barbara Graczyk

Copyright © 2000 by David L. Robbins
Ali rights reserved

Copyright © 2001 for the Polish edition by Wydawnictwo MAGNUM Ltd.

Copyright © 2001 for the Polish translation by Wydawnictwo MAGNUM Ltd.

Wszystkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana, zapisywana czy przekazywana w sposób mechaniczny, elektroniczny, fotograficzny lub w jakiegokolwiek innej formie bez uprzedniej zgody właściciela praw.

Wydawnictwo MAGNUM sp. z o.o.
02-536 Warszawa, ul. Narbutta 25 a
tel./fax 848-55-05, tel. 646-00-85
e-mail: magnum@it.com.pl
www.wydawnictwo-magnum.com.pl

Wydawnictwo prowadzi sprzedaż wysyłkową swoich książek

Skład i łamanie - *Ewa Pyzik* Studio komputerowe
Wydawnictwa MAGNUM sp. z o.o.

Druk i oprawa - Drukarnia Wydawnictw Naukowych S.A.
Łódź, ul. Żwirki 2

ISBN 83-85852-63-8

**Ta książka jest dedykowana
Jimowi Baconowi, Jimowi i Rey Banksom, Mike 'owi Bensonowi,
Chrisowi DeWilde'owi, Tomowi Dykersowi,
Alanowi i Wendy Gayle'om, Asie Gravesowi,
rodzinom Kennedych i Greenów,
Danowi Kohlerowi, Jamesowi Lawsowi,
Markowi Lazenby'emu, Johnowi Lowe'owi,
Danielowi i Sarah McMurtriem, Gene 'owi Pendletonowi,
Bo Poats, Melissie i Rogerowi Price 'om,
Jimowi i Sarah Redingtonom,
Betsy Woolfolk i Johnowi Youngowi.**

Za lojalność

PRZEDMOWA

Zdobycie Berlina przez armię radziecką wiosną 1945 roku przesądziło o dalszym biegu XX wieku. Historycy są zgodni co do tego, że wkroczenie Armii Czerwonej do stolicy Rzeszy po tym, jak Amerykanie postanowili zatrzymać wojska państw zachodnich nad Łabą, było decydujące dla pozycji i prestiżu Związku Radzieckiego, jak również dla losów komunizmu. Jeśli coś budzi kontrowersje, to jedynie ocena poszczególnych wydarzeń. Nie ma jednak wątpliwości, że zdobycie Berlina umożliwiło ZSRR podjęcie rywalizacji z Zachodem. Do dziś czujemy wstrząsy wywołane radzieckimi pociskami, które zdruzgotały mury Reichstagu. Wciąż słyszymy stukot butów radzieckich żołnierzy, maszerujących pod poczerniałą od dymu Bramą Brandenburską.

Jak każdy powieściopisarz, chciałbym, żeby czytelnik czerpał przyjemność z lektury tej książki. Jednocześnie pragnę, by państwo uwierzyli w to, że Koniec wojny nie jest wyłącznie wytworem mojej wyobraźni, lecz opiera się na udokumentowanych faktach. U jej podstaw legły rozmowy z uczestnikami bitew przede mnie opisanych, a także liczne publikacje historyczne, dokumenty, biografie i analizy (zob. Bibliografia).

Nie chciałem w tej powieści dokonywać jakichkolwiek podsumowań, pozostawiając to bardziej kompetentnym ode mnie historykom i, oczywiście, czytelnikowi. Opowieść zbudowałem wokół kilku doskonale znanych postaci oraz wydarzeń historycznych. Każdy z moich bohaterów ma sprecyzowane poglądy, sami więc będą państwo mogli wyrobić sobie zdanie w kwestii od dawna dyskutowanej: czy Anglicy i Amerykanie powinni byli zatrzymać się nad Łabą i pozwolić Stalinowi zdobyć Berlin.

Koniec wojny skonstruowany jest według zasad greckiej tragedii: bogowie na Olimpie rozprawiają o ludzkich losach, a ich zamierzenia urzeczywistniają się na ziemi. W mojej powieści bogami są Winston Churchill, Józef Stalin i Franklin D. Roosevelt. Do grona pomniejszych bóstw zaliczają się generał

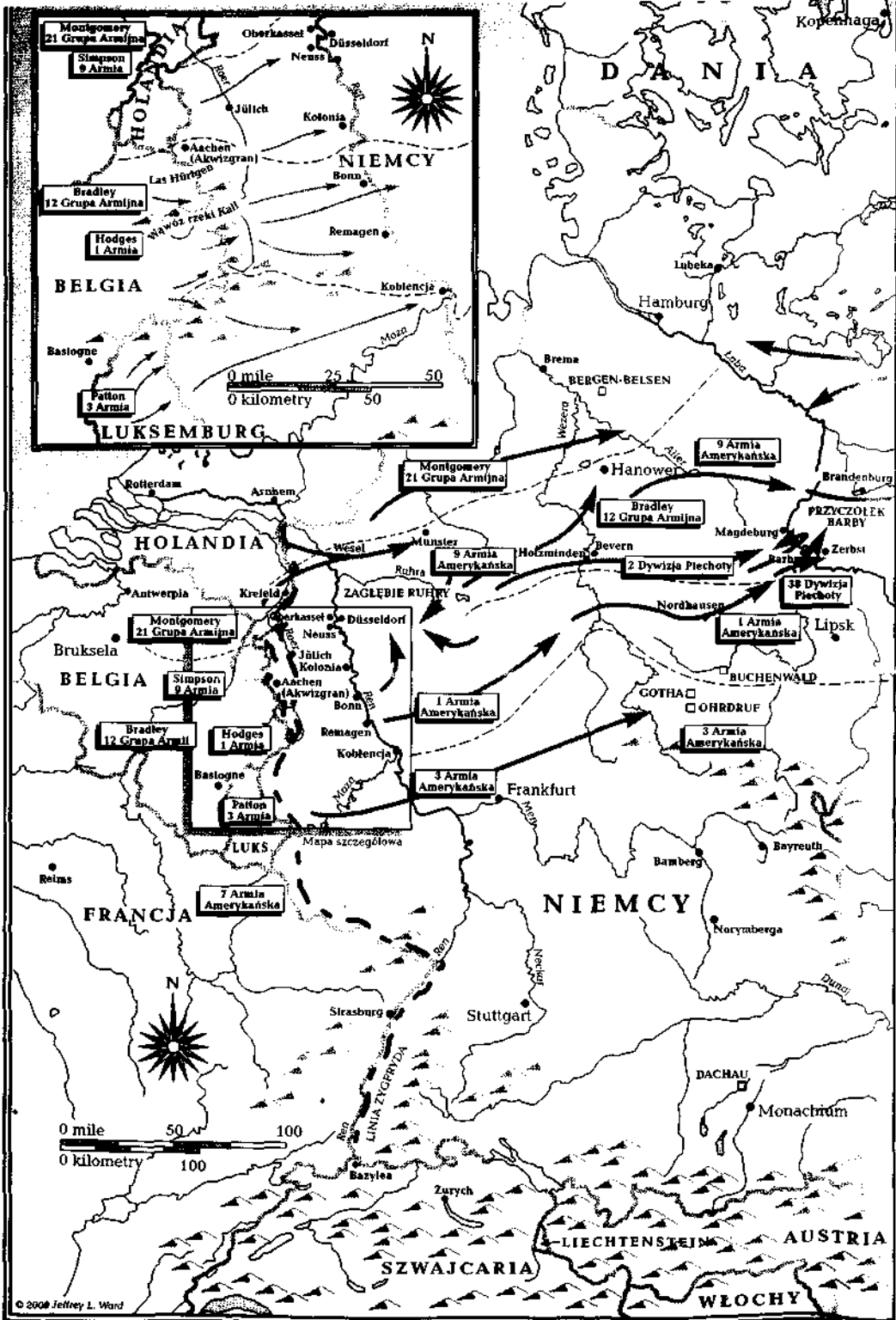
Dwight Eisenhower i marszałek polny Bernard Montgomery. Śmiertelników natomiast reprezentują trzy postacie fikcyjne: radziecki żołnierz, niemiecka wiolonczelistka i amerykański fotoreporter.

Byłoby rzeczą bardzo kuszącą śledzić dalsze losy postaci autentycznych, 10 zarówno ich życie, jak i czasy, w których przyszło im żyć, są rzeczywiście fascynujące i dobrze udokumentowane. Ale Koniec wojny ogranicza się do wydarzeń mających cechy prawdopodobieństwa i niewykraczających poza ramy historyczne, jakie wyznacza wyścig do Berlina i walka o zdobycie miasta i ostatnich miesiącach drugiej wojny światowej.

Pozwoliłem sobie na pewną swobodę literacką w odtwarzaniu rozmów, korespondencji, działań i intencji postaci historycznych. Mam jednak nadzieję, że podobnie jak w przypadku bohaterów przeze mnie wymyślonych, fikcja osi znamiona autentyzmu.

Gdybym trzymał się wyłącznie faktów, nie byłbym powieściopisarzem, ale bez nich sam nie wymyśliłbym tak tragicznej historii.

DAVID L. ROBBINS
Richmond, Wirginia



**Jeśli chodzi o geografę,
instrukcje można ograniczyć do jednego zdania:
stolicą Rzeszy jest Berlin.**

ADOLF HITLER

z dyskusji w lipcu 1942 roku
o tym, w jakim duchu
należy wychowywać podbite narody
Europy Wschodniej

S t y c z e ń

Kto w ferworze walki z nacierającym wrogiem zastanawia się nad tym, że wokół świszczą pociski i padają ludzie? Zamknąć oczy i rzucić się na spotkanie śmierci o lodowatej twarzy, nie myśląc, czy uda się jej ująć, i czynić to tak blisko upragnionego celu - zwycięstwa, tego soczystego owocu, którym karmi się ambicja... Czy to takie trudne?

CARL VON CLAUSEWITZ

O wojnie

Rozdział pierwszy

31 grudnia 1944, godzina 23.50

Farma Bandych Big Laurel,

Tennessee

Nad głową, między trzeszczącymi od wiatru krokwiemi zimnej suszarni tytoniu, Charley Bandy widzi dusze umarłych.

Łodygi, po pięć na każdym drążku, w kilku kolejnych rzędach, wiszą liśćmi w dół, jakby za karę. W tym przedśmionku nieba znajduje się dziesięć tysięcy liści. Powietrze cuchnie smołą. Woń jest aż gęsta, jak wtedy, gdy Bandy czuł zapach krwi.

Brązowe, wyschłe, wszystkie takie same, stłoczone ze sobą - to nie dusze żołnierzy, myśli Bandy. Nie. Dusze poległych na polach bitewnych otoczone są blaskiem i przebywają w znacznie wyższych rejonach. Jest takie miejsce dla bohaterów wojennych - tam właśnie są. Zasłużyli sobie odwagą i rodzajem śmierci na większą przestrzeń, inną pozycję w życiu wiecznym. Bandy pogrąża się na chwilę w melancholii, jest tego świadom. Powraca jednak do rzeczywistości. Potrząsa kwaterką, aby odpędzić wizje. Ale liście tytoniu wciąż wydzielają lepka woń i ten zapach przypomina mu dym z dział i poranne mgły w Europie.

Przenosi spojrzenie na brudne klepisko. Leży tam kilka pustych koszy, które czekają na kolejny wilgotny dzień. Wtedy będzie można kłaść w nie tytoń, bo tylko przy dużej wilgotności liście są odpowiednio elastyczne. Ta zima była jednak sucha i liście tytoniu, choć wiszą na drążkach jak należy, przy byle dotknięciu rozsypują się niczym starożytny pergamin. Przed Bożym Narodzeniem brakowało pieniędzy na prezenty. Rodzina się niepokoi, wyczekując na lepszą pogodę, która wreszcie pozwoli ułożyć liście w wachlarze, zapakować do skrzyni, następnie umieścić w wielkich wyplatanych koszach, by w końcu zawieźć je ciężarówką na aukcję do Marshall. Trzeba zarobić pieniądze, kupić ubrania dla dzieci, naprawić sprzęt, załatwić nasiona na następny rok.

Na razie tylko jedna trzecia liści została zerwana i przebrana. Te najniższe, zwane glistami, i te najmarniejsze, od góry, układa się w stos przed suszarnią, potem użyje się ich jako ściółkę i nawóz. Szerokie środkowe liście, te „do palenia”, sprzedaje się do dalszej produkcji. Najlepsze z nich służą do owijania cygar. Dobre zbiory tytoniu „do palenia” przynoszą trochę forsy.

W domu mama i tata Charleya, jego żona, siostra i szwagier oraz z tuzin wujów, ciotek i kuzynów czekają na 1945 rok, który ma się rozpocząć za dziesięć minut. Każde z nich mieszka niedaleko - pies mógłby bez wysiłku przebiec dystans między ich domami w Big Laurel. Little Laurel, Shelton Laurel czy też przy wiejskiej drodze, która nie prowadzi do żadnego miasta. Są hodowcami tytoniu, tu w Appalalach. Doliny między spadzistymi stokami są wąskie i do uprawy nadają się tylko podłużne pasy ziemi rozciągające się wzdłuż dróg. Nic nie udaje się lepiej na takich skrawkach terenu niż tytoń. Rodziny Bandy, Ketchumów, Wallinów są związane ze sobą poprzez małżeństwa i dzieci, jak kanwa i osnowa koszy tytoniowych, białych, dużych i mocnych. Ludzie ci tworzą stuletnie klany, które łączy wspólna ziemia, nikotyna, identyczne scyzoryki, a także sobotnie wieczory spędzane w sali tanecznej o kamiennej posadzce.

Zgiełk bawiącej się rodziny... Wszystkich pokoleń... Dzieci, jeszcze nieulożone w łóżkach, piszczą, dorośli stukają się kieliszkami i wznoszą toasty za to, co zamierzają zrobić w przyszłym roku, młodszy chichoczą, najstarsi pokaszają... Odgłosy niosą się jak po wodzie, dźwięczne i wyraźnie słyszalne dla Charlesa Bandy'ego w tę surową, choć bezmroźną górską noc. Góry nie wiedzą, że jest sylwester. Wojna też tego nie wie.

Bandy przysuwa dłoń do lampy naftowej, którą zabrał do suszarni. Nad otworem klosza rozciera ręce w ciepłe i myśli o żołnierzach marznących teraz w okopach we Francji, w Belgii, Holandii, Luksemburgu i Niemczech. W ustach okolonych zarostem chłopcy trzymają pall malle i lucky striki. Na pewno palą też tytoń z Tennessee.

Drzwi suszarni się otwierają. Liście na krokwiach szeleszczą. Suszarnia przypomina przez moment grootę pełną bezsensownych nietoperzy. Ale owo dziwne wrażenie mija po chwili, bo to o n a, a żadne pomieszczenie, do którego ona wchodzi, nie może być jaskinią. Zamyka drzwi za sobą. Także zabrała latarkę.

- Charley.

- Hej.

- Co tu robisz? Wszyscy są w domu. Już pora.

Jej wymowa jest miękka, nie tak ostra, jak u mieszkańców Appalachów. Żona pochodzi z niziny, z Hendersonville w Karolinie Północnej. Jej rodacy także uprawiają tytoń. Suszą go, wykorzystując przewody kominowe, dzień i noc

podtrzymując w nich ogień. Mają tam rozległe połacie ziemi, nie takie nierówne pólka, na których ciężko pracują krewniacy Bandy'ego. Poznał ją w Vanderbilt. On był na ostatnim roku studiów, a ona na pierwszym. Ukończył dziennikarstwo, a Victoria kierunek pedagogiczny. Pobrali się i przez pięć lat mieszkali w Nashville. Uczyła trzecie klasy, a on robił zdjęcia każdemu, kto za to zapłacił. Potem, jedenaście lat temu, przywiózł ją tu, w góry, i od razu zjednała sobie wszystkich: dzieciaki, rodziców, dalszych krewnych, farmerów. Mogłaby zostać burmistrzem, gdyby mieli burmistrza. Władze wśród tych wzgórz reprezentował tylko naczelnik poczty i szeryf.

- Dobrze się czujesz? - pyta.

- Nic mi nie jest, Via.

- No to chodź do domu. Wszyscy czekają. Mama prosiła, żebym cię przyprowadziła.

- Zaraz przyjdę.

- Charley, nie chcę świętować Nowego Roku w suszarni. Spędziłam tu wystarczająco dużo czasu bez ciebie. - Victoria mówi o czasie wojny, straconych latach ostatniej dekady, dla niej - latach ciągłego lęku. Pewnie chce, żeby znowu było mu z tego powodu przykro. Ona jednak podchodzi bliżej i mówi pełnym słodczy głośem coś zupełnie innego.

- Tak ciężko pracujesz od powrotu. Dach domu taty. Ogrodzenie Alvina. Traktor Jane i Edgara. A co z naszym domem?

Victoria stawia lampę na brudnym klepisku. Otacza go w pasie ramionami.

- Co ze mną?

Bandy wsuwa ręce w jej brązowe włosy, tuż przy swoich ustach. Victoria ma tylko sto pięćdziesiąt trzy centymetry wzrostu, on - ponad sto osiemdziesiąt. Pachnie jak nauczycielka... samą czystością... wzór dla dzieci... tak samo przez szesnaście lat małżeństwa. Wciąż jest rezolutna, wesoła jak niegdyś w college'u, z błyskiem w oku i łobuzerskim uśmiejchem. Są do siebie podobni. Oboje mają mysi kolor włosów, pociągłe twarze i brązowe oczy. Może to właśnie tak ich do siebie przyciągnęło szesnaście lat temu? Może wiedzieli, że są z tego samego materiału, zabarwionego tytoniem. Bandy wdycha jej zapach. Przez chwilę nie czuje woni liści wiszących nad głową ani wojny wkraczającej w nowy rok.

- Victorio?

- Tak, przystojniaku?

- Kocham cię.

Ściska go. Jest szczęśliwa i dlatego Bandy decyduje się powiedzieć jej to. Musi zgasić jej szczęście. Tylko tak będzie uczciwie.

- Wracam tam.

Ona nie wypuszcza go z objęć, nawet nie drgnęła. Wciąż opiera głowę na jego piersi, delikatnie przytyka ucho do jego serca. To go smuci. Wiedziała, co będzie. Nie zdołał jej zwieść. Ani przez jedną chwilę w ciągu tych dwóch tygodni, gdy był w domu, nie wierzyła, że go zatrzyma.

- Czy nie dość cię wyeksploatowali?

„Oni” - to pismo „Life”, dla którego Bandy pracuje od ośmiu lat, od 1936 roku, kiedy je założono. Jest etatowym fotoreporterem. Jego nazwisko stało się znane na całym świecie z powodu niezwykłych czarno-białych zdjęć, które wykonał na wojnie wśród walczących żołnierzy, zarówno swoich, jak i wrogów. Wywołane filmy przesyła zazwyczaj przez kurierów wojskowych, prosto z pół bitewnych do cenzorów w Londynie, skąd drogą telegraficzną docierają do Nowego Jorku i trafiają na błyszczące strony „Life'u”. Już w kilka dni po wykonaniu zdjęć zmęczone, ale pełne nadziei oczy czytelników w Ameryce wpatrują się w te strony jak w kryształową kulę, bo dzięki nim mogą zobaczyć swoich synów i ojców, także wrogów, zmagających się daleko za oceanem. Sami przebijają się przez mgłę, przez gejzery rytej wybuchami ziemi, narażają życie. Dzięki aparatowi fotograficznemu Bandy'ego Ameryka zdumiewa się i szlocha.

Bandy nie odpowiada na zaczepne pytanie żony. Nie rozluźniła uścisku, w którym go trzyma. Nie oderwała głowy od jego piersi, jakby chciała się upewnić, czy on na pewno ma serce, skoro znowu ją opuszcza.

Victoria zaczyna mówić w jego wełniany sweter. W jej głosie nie ma smutku. Nie przemawia do jego uczuć, nie błaga. Próbuje go przekonać.

- Trzydziesty szósty rok - wojna domowa w Hiszpanii. Trzydziesty siódmy - wojna chińsko-japońska. Czterdziesty - bitwa o Anglię. Czterdziesty pierwszy - Manila, Tobruk. Czterdziesty drugi - Libia i Egipt. Guadalcanal.

Odsuwa głowę od jego piersi. Pociąga nosem. Nie udaje jej się zachować spokoju, gdy tak wylicza smutne okresy jego nieobecności. Chwyta jego spojrzenie, ma wilgotne oczy, ale jej powieki pozostają nieruchome. Żółte światło lampy rzuca małe słoneczne kręgi na jej policzki, na których widać smużki łez.

- Czterdziesty trzeci - Sycylia, Messyna, Salerno, Neapol. Czterdziesty czwarty - D-Day, na miłość boską, byłeś w pierwszym rzucie. Normandia. Holandia. Belgia.

Bandy uśmiecha się do niej słabo.

- Śledziłaś moją karierę.

To jej nie śmiesz, odpowiada, cichym głosem:

- Modliłam się o twoje życie, Charley.

Ktoś woła z domu, jakieś trzysta metrów dalej:

- Dobra, wszyscy! Jeszcze minuta! Jedna minuta!

Ktoś inny ucisza wołającego, a jakieś dziecko krzyczy:

- Jeszcze nie!

Słyszając to, Victoria puszcza go i robi krok do tyłu.

- Chcę mieć dzieci. Twoje dzieci. Nie stoję się młodsza. Jeśli zginiesz, co zrobię? Pomyślałeś o tym?

- Zawsze myślę.

- I co? Nie skłania cię to do pozostania w domu.

Tym razem jednak, gdy wrócił z wojny, naprawdę chciał tu pozostać. Dwa tygodnie temu Niemcy ponosili klęski. Francja została wyzwolona. Włochy przeszły do przeciwnego obozu. Rosjanie zbierali się w Polsce na linii Wisły, szykując się do ostatecznego marszu na Berlin. Siły Wehrmachtu poddawały się dziesiątkom tysięcy żołnierzy Eisenhowera i Montgomeryego. Wojna miała się zakończyć przed Bożym Narodzeniem, a najpóźniej w styczniu. Wszystko wskazywało na to, że Hitler w obliczu zbliżającego się końca będzie dążył do zawarcia pokoju. Tak przynajmniej sądził Bandy. Porozumiał się więc z „Life-em”, pożegnał z żołnierzami i oficerami, którym akurat towarzyszył. Instykt fotoreportera wojennego, pozwalający wyczuć, gdzie się coś wydarzy, to był jego największy atut, ważniejszy niż umiejętność posługiwania się aparatem, bo nawet kiepskie ujęcie z akcji jest lepsze niż wspaniałe zdjęcie czegokolwiek. Wsiadł do samolotu lecącego na zachód. Wracał do domu trzy dni. Ale tego samego ranka, kiedy tu przybył, 16 grudnia, gdy odkładał chlebak i ścisnął żonę, Niemcy rozpoczęli zmasowane zimowe kontrnatarcie z udziałem dwustu pięćdziesięciu tysięcy ludzi, tysięcy czołgów i dział. Ta ofensywa wydawała się sprzeczna z logiką. To był ostatni rzut kośćmi w grze z amerykańskimi i angielskimi siłami na terenie Belgii i Luksemburga - atak zza gęstych lasów w Ardenach, jak dotąd największa bitwa na froncie zachodnim. Hitler usiłował wbić klin w szeregi wojsk alianckich, odzyskać port w Antwerpii i przejąć inicjatywę. Przez kilka dni odnosił zwycięstwa. Przedarł się na zachód aż do Mozy na granicy francuskiej, tworząc przedpole frontu, tak zwane wybrzuszenie, które dało nazwę bitwie. Eisenhower odpowiedział na atak niemiecki, stawiając w stan gotowości sześćset tysięcy ludzi. Dowódca amerykańskiej dywizji powietrznodesantowej, otoczonej w miasteczku Bastogne, na żądanie, by się poddał, odpowiedział Niemcom: „Czubki”. Bitwa o wybrzuszenie rozstrzygnie się za kilka tygodni, Hitler już się wycofał. Wojna jednak będzie jeszcze trwała nie wiadomo jak długo. Wygląda na to, że nie zakończy się, dopóki ktoś - albo czerwoni, albo alianci - nie przeprowadzi ofensywy i nie zajmie Berlina. Hitler pokrzyżował Bandy'mu plany.

Bandy mówi do żony, tkwiącej bez ruchu w jego objęciach:

- Wróć.

Victoria odbiera to jak cios. Unosi nawet ręce, jakby chciała osłonić się przed jego słowami. Zagryza wargę i odwraca się.

- W drewnianej skrzynce, Charley?

Tata Bandy'ego woła w domu:

- Dobra! Nadchodzi tysiąc dziewięćset czterdziesty piąty rok, najlepszy cholerny rok ze wszystkich! Mam rację?

Rozlegają się potakujące okrzyki - to będzie najlepszy cholerny rok ze wszystkich.

Rodzina odlicza od końca: dziesięć, dziewięć, osiem, siedem... Ci najgłośniejsi krzyczą sekundy za wcześnie.

Bandy stoi w odległości metra od żony. Jedna z jej łez pada na klepisko. Stoją osobno, oddzieleni oceanem.

1 stycznia 1945, północ

Dacza w Kuncewie

Okolice Moskwy

Biją wszystkie dzwony.

Marszałek słyszy je nawet tu, daleko poza Moskwą, dwadzieścia kilometrów od niej. Zbliża twarz do zimnej ramy okiennej. Odsunął grubą zasłonę, by popatrzeć w bezksiężycową ciemną noc. Na horyzoncie nie widać świateł Moskwy, w której ze względów bezpieczeństwa obowiązuje zaciemnienie. Zaciemnione są też wszystkie inne budynki w pobliżu. Na zewnątrz rządy absolutne sprawuje noc. Widać tylko lampy wartowników, którzy wędrują wokół daczy po skrzypiącym śniegu. Odległy dźwięk dzwonów wydaje się dziwny - radość i nadzieja nie pasują do takich ciemności. Ale to typowo rosyjskie, myśli. Piękno i tragedia, jedno nie może istnieć bez drugiego.

Przy tej samej ścianie, gdzie stoi marszałek, jeden z jego generałów także odsuwa kotarę przy innym oknie. Odwraca się do pozostałych, zebranych w wielkiej sali bankietowej - to członkowie Politbiura, wojskowi i ich żony, wszyscy wypomadowani i odświętni, elegancy od stóp do głów. Generał woła do nich:

- Posłuchajcie dzwonów!

Marszałek stoi nieporuszony, plecami do tamtych, gdy wznoszą noworoczne toasty, całują najpierw towarzyszy w oba policzki, a potem żony w usta, obejmują się, wymieniają uściski dłoni. Odwraca się tylko do generała stojącego obok i patrzącego w tę samą atramentową Rosję.

- Zaciągnijcie zasłonę, towarzyszu generale - mówi.

Generał waha się przez moment, zdziwiony. Puszczą kotarę, która powraca na miejsce.

- Tak jest, towarzyszu Stalin - mówię, pochylając czoło. - Przepraszam, towarzyszu.

Cofa się w stronę kolegów i towarzyszących im kobiet. Stalin nadal spogląda przez szybę, zapatrzony w nicość.

Patrzy na zachód, w kierunku Polski. Ma tam dwóch swoich marszałków, Żukowa i Koniewa. Dwie żelazne pięści czekają nad Wisłą z milionem ludzi, dziesięcioma tysiącami dział i dwudziestoma tysiącami czołgów. Przed końcem miesiąca pogrozi tymi pięściami i przegoni Niemców z Polski, a potem zrobi z nich miazgę na ich własnej ziemi. Nie opuści pięści i nie strząśnie krwi - wytrze ją dopiero o koszulę Hitlera w Berlinie.

Tam jest legowisko bestii. To trofeum, którego domaga się świat. Ten, kto zdobędzie Berlin, wygra wojnę.

Anglicy i Amerykanie pragną tej nagrody. Odparli ostatnią zimową ofensywę Hitlera. Poza tym Hitler nasilił bombardowania Londynu. Z tych wszystkich powodów będą nacierać bardziej zdecydowanie, posuwać się szybciej w głąb Niemiec. Nabiorą przekonania, że Berlin może być ich.

Ale Berlin należy już do Rosji. Ze względu na jej potęgę. Ze względu na jej ofiarę.

Stalin nie ufa żadnemu ze swych generałów. Zdobycie Berlina jest zbyt ważne, by powierzyć kontrolę nad tą operacją komuś innemu. Stalin osobiście koordynuje działania na wszystkich trzech frontach, które uczestniczą w natarciu na stolicę Niemiec - Pierwszym i Drugim Białoruskim oraz Pierwszym Ukraińskim.

Nie ufa też temu angielskiemu buldogowi Churchillowi ani kalece Rooseveltovi. Churchill może wygłaszać te swoje przydługie toasty, a Roosevelt przypochlebiać się do woli. Zrobiliby wszystko, by odebrać mu Berlin.

Dlatego też wszystkie chwytaki są dozwolone, by zdążyć tam przed nimi.

Jeszcze przez chwilę przytrzymuje zasłonę, łamiąc narzucone przez siebie samego przepisy, i stoi tak oddalony o parę kroków od rozbawionego towarzystwa. Kiedy słyszy, że zabawa cichnie, puszcza kotarę i odwraca się. Stuka obcasami i staje na baczność przy oknie. Spojrzenia wszystkich skupiają się na nim. Milkną nawet ci najbardziej rozgadani. Stalin stoi jak skała, a właściwie jak z grubsza ociosany głaz. Wie, że jest przysadzisty i szpetny. Twarz ma poznaczoną śladami po ospie, niskie czoło, zezowate orzechowe oczy i tylko sto sześćdziesiąt dwa centymetry wzrostu. Czy któraś z kobiet albo któryś z tych wpatrzonych w niego aparatczyków, stojących tu przed nim, wie, że ma on zrośnięty drugi i trzeci palec u lewej nogi? Jest groteskowym gnomem wyciosanym z marnego kamienia. Nie, myśli, oni nie widzą już Iosifa Wissarionowicza Dżugaszwili, drobnego gruzińskiego bandyty. Widzą Stalina.

I słusznie, myśli. Tak ma być.

Marszałek obrzuca spojrzeniem całe towarzystwo - jakieś czterdzieści osób zaproszonych tu, do jego dacy, by świętować Nowy Rok. Stoją wyprostowani jak struny, ze strachu czy też z szacunku - to go nie interesuje. Kim są te kukły w garniturach i sukienkach? Wszyscy, nawet kobiety, zostali stworzeni przez niego. Jeśli mają jakąś władzę, to ją sprawują w jego imieniu. Dystynkcje na ramionach, sztywne koszule, buty i torebki, ciało i kości... Wszystko przepadłoby, skwiercząc w ogniu na jedno skinienie jego ręki i za parę godzin mogłoby tu stać i gapić się czterdziestu innych. Kim są ci, którzy wchodzi w Nowy Rok, rok zwycięstwa Czerwonej Gwiazdy? Co takiego zrobili, że pozostali przy życiu i stoją przed Stalinem? Nic. Nie ma już nikogo, kto nie uważałby Stalina za najwyższego boga ani też nikogo, kto zasługiwałby na jego boską litość. Żaden z tych ludzi, wpatrzonych teraz w Stalina i wznoszących pełne kieliszki w towarzystwie wyelegantowanych kobiet przy dźwiękach bijących w oddali dzwonów, nie odważyłby się wbić mu noża w plecy, bo wie, że musiałby drogo za to zapłacić. Są żądni władzy. Takim Stalin nie ufa. Ale tymi, którzy władzy nie pragną, Stalin gardzi.

Władza należy wyłącznie do Stalina. Z urzędu. Żaden z tych biesiadników nie chodził pół wieku temu do szkoły z małym Iosifem, dziesięcioletnim uczniem seminarium duchownego. Czy któryś z nich uciekał i ukrywał się z rewolucjonistą Kobą? Albo drżał z zimna na zsyłce wraz z nieustraszonym młodym Stalinem? - Stalinem, który nigdy nie opuścił Rosji, podczas gdy inni w Paryżu czekali, aż w Sankt Petersburgu wybuchnie rewolucja? Kto znał go wówczas, gdy jako „polityczny” uciekał pięć razy z więzienia? Kto siedział po prawicy samego Lenina albo walczył z Białymi pod Carycyнем tak bohatercko, że jego imieniem nazwano miasto? Czy jest ktoś wśród żyjących, którego nazwisko byłoby bardziej związane z rewolucją niż jego?

Ci obwieszeni medalami głupcy znają go jedynie jako Człowieka ze Stali. Znali i Lenina, Władimira Ulianowa, ale czy był to ten młody gniewny, który wziął *nom de guerre* od rzeki Lena na Syberii, gdzie go zesłano? Na pewno też pamiętają tego drania Trockiego, ale czy z czasów, kiedy był jeszcze Leonem Bronsteinem, Żydem o włosach jak druty, który przyjął nazwisko jednego ze swych strażników więziennych? Trocki zginął za granicą. Ciągłe lękał się o swoje życie. A ten krzykacz, Lew Rozenfeld, który kazał nazywać siebie Kamieniem? Gdzie on jest teraz, ten „człowiek z kamienia”? Pod granitową płytą, dokąd kilka lat temu posłał go Stalin po aresztowaniu i publicznym procesie, gdy w końcu, oczywiście, przyznał się do winy. Razem z Kamieniem Stalin uśmiercił jeszcze kilku farbowanych lisów - Bucharina, Zinowiewa, Rykowa, Tomskiego i innych, którzy chcieli pozbawić Rosję przywództwa Stalina.

Ci ludzie znali Lenina i Stalina z dawnych czasów. Byli współinicjatorami rewolucji bolszewickiej. Sami zdobyli władzę. Ale opowiadali o Stalinie brednie wyssane z palca. Śmieli twierdzić, że to oni, a nie Stalin, interpretują słowa Lenina w sposób właściwy, że najjaśniej oświetlają drogę, po której kroczy Rosja. Historia dowiodła, że się mylili. Wystarczy tylko się rozejrzeć. Przepadli, każdy z nich, wraz z rodzinami i wszystkimi, z którymi kiedykolwiek się zetknęli. Stal okazała się trwalsza niż rzeka, strażnik więzienny, kamień. Historia to trakt, po którym maszeruje Stalin, podczas gdy tamci są już jedynie pyłem. Ilu ich było? Tuziny, setki, tysiące... Stalin nie prowadzi rejestrów jak jakiś handlarz z Arbatu odnotowujący towary, które przeszły przez jego ręce. Nikt nie może tego od niego wymagać.

Zauważa, że dzwony w Moskwie umilkły.

Nie wie, jak długo tak stoi, wyprostowany, patrząc ponad głowami zgromadzonych i rozmyślając z nienawiścią o duchach, które pojawiły się w sali. Minutę, może sekundę. Kiedy przestały bić dzwony? Ma wrażenie, że nawet czas jest mu posłuszny. Przestaje wyteżać wzrok, otwiera szeroko oczy. Bierze oddech i gładzi dwoma palcami wąsy.

Młody ambasador ZSRR w Stanach Zjednoczonych, Andriej Gromyko, unosi kieliszek.

- Towarzyszu marszałku - mówi - byłby to dla nas zaszczyt, gdybyście pierwsi wzniesli noworoczny toast.

Stalin zgadza się i myśli, że musi poobserwować tego początkującego polityka, który wyrывa się przed pozostałych. Odchodzi od okna.

- Dajcie mi kieliszek.

Kiedy trzyma go już w ręce, wznosi toast. Stalin jest abstynentem. Ale na rozpoczęcie roku zwycięstwa wypije wódkę. Trzyma dłoń poniżej linii podbródka większości obecnych w sali. Kieliszki pozostałych też idą w górę i przez ułamek sekundy Stalin doznaje uczucia swoistej klaustrofobii. Jego wzrok znajduje się znacznie poniżej wzniesionego nad jego głową szkła, a on odnosi wrażenie, jakby znalazł się pod płaszczyzną rozświetlonego słońcem jeziora.

Robi krok do tyłu. Od razu czuje ulgę. Zaczyna przemawiać.

- Za kilka dni potężne siły Armii Czerwonej, zgrupowane nad Wisłą, wy mierzą pierwszy cios w serce niemieckiej bestii. W czterdziestym piątym roku położymy kres bezsensownej i straszliwej wojnie, pokonując faszyzm. W latach walki z hitlerowcami straciliśmy ponad dwadzieścia pięć milionów żołnierzy i cywilów. To ponad dziesięciu Rosjan z każdego metra, które dzielą Moskwę od Berlina.

Obserwuje posepniejące twarze. Kilka kieliszków drży w dłoniach. Pozwala, by ta chwila trwała; słycać tylko szuranie butów. Właśnie zaprosił do sali duchy milionów ofiar wojny. Zastępy zabitych Rosjan przyłączają się do zjaw, które widzi tylko on, spychają je w bezimienny tłum. Teraz Stalin czuje się o wiele lepiej.

- Nie ma takiego radzieckiego obywatela, którego nie dotknęłaby ta wojna. Wszyscy mężczyźni i kobiety służący w wojsku, wszyscy robotnicy w fabrykach i wszyscy chłopci mają rachunki do wyrównania. Nasi żołnierze będą walczyć, mszcząc swoje krzywdy. Będą walczyć w odwecie za to, co widzieli i co stracili. Okrucieństwa Niemców pozostawiły blizny w każdej wsi i w każdym mieście, przez które przeszli. Nie bójcie się, zwyciężymy. Nie bójcie się Hitlera. Macie moje słowo na to, że w nowym roku podetrzemy sobie tyłki w Berlinie.

Mężczyźni uśmiechają się na tę wulgarną zapowiedź Stalina. Kobiety chociaż, zasłaniając usta dłońmi w rękawiczkach.

Kieliszki przechylają się powoli, jeden za drugim. Stalin widzi wzniesione łokcie, potem obserwuje poruszające się grdyki i słyszy pełne satysfakcji chuchnięcia. Kiedy wszyscy zebrani wypili, sam pełnym kieliszkiem wznosi w myśli własny toast.

Zdobędę Berlin. Bez względu na koszty. I tak już zapłaciliśmy wysoką cenę.

Wychyla kieliszek. Zebrani klaszczą.

- Budionny! - krzyczy Stalin. - Masz swój cholerny akordeon?

Marszałek Armii Czerwonej zważowo podnosi rękę.

- Mam, towarzyszu Stalin, jakżeby inaczej. Wiecie, że nie mogę przyjść bez niego na żadne przyjęcie. Zawsze posyłają mnie po niego do domu.

- No to zagrajcie. Zatańczmy do jakiejś niemieckiej muzyki!

Stary żołnierz spieszy w kąt sali i wracając, wciąga na ramiona szelki wysłużonego akordeonu. Stuka butem cztery razy o podłogę, wyznaczając rytm, i zaczyna grać jakąś pruską melodię. Goście odstawiają kieliszki, mężczyźni zapraszają kobiety do tańca. Chwilę później sala wiruje, drży od wesołych podskoków. Budionny, były oficer kawalerii, potrafi rozkręcić zabawę. Stalin odsuwa się na bok.

Z akordeonu płyną dźwięki walca, piosenek ludowych, ballad. Stalin bierze ze stołu angielską fajkę firmy Dunhill. Z kapciucha wysypuje porcję tytoniu Herzegovina Flor i zapala. Zaczyna krążyć po pokoju, spowity błękitnym dymem, i obserwując tańczących, delektuje się fajką i swoją samotnością. Ograniczył kontakty z ludźmi prawie do zera. Przeżył śmierć dwóch żon - pierwszej, ukochanej Kato, zmarłej w wyniku choroby jeszcze w czasach młodości ich obojga, a potem zdradzieckiej Nadzieży, która popełniła samobójstwo w trzydziestym drugim roku po kłótni z nim na temat

polityki. Jakow, syn z pierwszego małżeństwa, dowódca pododdziału artylerii, który poddał się Niemcom, to tchórz, tylko tchórze się poddają. Wasilij - płaczący jak baba. Córka Swietłana, o ostrym języku, ma to po matce, obca osoba. Stalin, woźdź, przywódca narodu, nie może sobie pozwolić na okazywanie zwykłych ludzkich uczuć. Musi mieć stalowe nerwy i serce z kamienia. Jak mógłby przejmować się jedną, dwiema czy nawet dwudziestoma osobami, skoro musi zapewnić przyszłość setkom milionów? Nie może mieć osobistych pragnień, gdy całemu narodowi mówi codziennie: Stalin o was myśli.

Czy można być bardziej samotnym? - zastanawia się.

Stalin obserwuje tańczących, którzy wirują, coraz bardziej upojeni tańcem. Marszałek Budionny cieszy się dzisiejszej nocy sporą popularnością.

- Siemion! - woła do muzycznego wojaka. - Daj ręką odpocząć przez chwilę. Chcę zobaczyć w akcji twoje nogi.

Budionny przestaje grać. Nad brwiami zebrał mu się pot od godzinnego przebierania palcami po klawiszach i przyciskach. Tańczący zastygają w bezruchu jak manekiny.

Stalin podchodzi do gramofonu. Wszyscy inni stoją nieporuszenie. Wybiera płytę i nastawia igłę. Tańczący opuszczają ręce, nie są już lałkami z porcelany, lecz nieco zakłopotanymi istotami ludzkimi. Z tuby rozlega się trzeszcząca piosenka; bałajka wraz z klarnetem, bębenkami i zawodzącymi skrzypcami wygrywają skoczną ludową melodię.

Stalin podchodzi do Budionnego. Wyciąga ręce, by pomóc staruszkowi zdjąć akordeon.

- Zatańcz dla mnie, Siemionie. Hopaka. Widziałem, jak tańczysz, jesteś świetny.

- Towarzyszu - marszałek unosi dłonie w obronnym geście - nie robiłem tego od lat.

Stalin odstawia akordeon na podłogę.

- Po latach będziesz opowiadał, jak tańczyłeś dzisiejszej nocy. Tańcz, Siemionie. Za zwycięstwo.

Stalin się cofa. Zaczyna klaskać w takt muzyki. Pozostali przyłączają się do niego i tworzą krąg wokół Siemiona Budionnego, siedemdziesięcioletniego marszałka Armii Czerwonej. Ubrany na szaro żołnierz uderza się po udach, krzyżuje przed sobą ramiona i stukając obcasami, rozpoczyna stary kozacki taniec.

Tańczy z wigorem. Początkowo trochę się chwieje, ale wnet odzyskuje równowagę i radzi sobie doskonale jak na swój wiek. Reszta krzyczy „Urra!” i klaszcze rytmicznie. Stalin obserwuje twarz Budionnego. Marszałek tańczy z uśmiechem na twarzy. Ale Stalin wie, że dużo go to kosztuje.

1 stycznia 1945, godzina 1.15
Przyczółek magnuszewski
Zachodni brzeg Wisły
Polska

Żołnierz za Ilja stacza się do dołu.

Ilja, z brzuchem i łokciami w zamarzającym błocie, przyciska brodę do piersi, podczas gdy mały szeregowiec, którego wziął ze sobą, próbuje wygramolić się na górę, robiąc hałas nie mniejszy niż wtedy, gdy spadał.

Kiedy znów w ciemnościach leżą obok siebie na brzuchach, Ilja wzdycha.

- Misza - szepcze - poruszasz się jak ślepe krówsko.

- To nie moja wina.

Ilja wzdycha ponownie. Znowu zaczyna się czołgać. Misza rusza za nim, mamrocząc:

- Zepchnąłeś mnie tam.

- Nieprawda. Ziemia się pod tobą usunęła.

- Ale ty mnie popchnąłeś. Jesteś dwa razy większy ode mnie. Czasami o tym zapominasz. Nie zostawiłeś mi wystarczająco dużo miejsca od brzegu leja.

- No to pozbadź się mnie. Będzie mniej hałasu. Misza jest urażony.

- Pewnie. Ruszajcie, Iljo Szochinie.

Ilja krzywi usta w uśmiechu. Jest dumny ze swej postury, bo dzięki niej wyróżnia się spośród pozostałych. Dwa metry wzrostu, sto dziewięć kilogramów wagi, potężna pierś, szerokie, kwadratowe ramiona - białe i grube jak pień brzozy. Jego uda są wielkie jak łuski armatniego pocisku. Wie, że ma wesołą twarz z niebieskimi oczami, które spoglądają znad łagodnych ust o uniesionych kącikach. Żeby wyglądać groźniej, goli głowę na łyso.

- Chyba jesteśmy na miejscu.

Ilja zatrzymuje się, by sprawdzić, gdzie są. Dookoła pełno drzew pozbawionych liści. Pod każdym stoi czołg T-34. Z miejsca, gdzie leżą obaj z Miszą, widzi w mroku setki ich sylwetek. Maszyny stoją w ciszy, ich wieżyczki przypominają salutujących żołnierzy; wszystkie skierowane są na zachód, w stronę niemieckich linii. Za tymi czołgami znajdują się tysiące innych, a dalej szeregi dział, dziesiątki tysięcy ustawionych kolejno, według kalibru. Gdzie okiem sięgnąć, ludzie i maszyny - dwie i pół armii - stłoczeni na przyczółku szerokości dwudziestu dwóch kilometrów, który Żukow zdobył w sierpniu na zachodnim brzegu Wisły. Za nimi, na wschodnim brzegu rzeki, stoją następne dwie armie. Na południe od sił Żukowa znajduje się drugi, większy przyczółek, gdzie zebrano kolejną grupę wojsk, równie potężną,

ale pod dowództwem Koniewa.

Za kilka dni czy tygodni, myśli Ilja, nadejdzie rozkaz. Ta wielka ściśnięta nad rzeką machina ruszy przez Polskę na zachód, ścierając w proch wszystko, co napotka na drodze do Berlina. Nic nas nie zatrzyma.

Kiedy rozpoczną się walki, wszystko odzyskam, zostanę zauważony.

I oczyszczę swoje imię.

Wśród drzew Ilja dostrzega światło latarki przyćmione grubym płótnem namiotu. Jest to dziwny, żółtawy blask, jakby w lesie zastawionym uśpionymi stalowymi stworami wyrósł świetlisty grzyb. Oficerowie, myśli Ilja. Tylko oni zapalają o tej porze latarki. Siedzą po nocy przy butelce czy kartach, albo piszą listy do domu. Ilja to wie. Zwyczajni piechurzy teraz nie piją. Odpoczywają, jeśli uda im się ułożyć wygodnie pod brezentem czy w okopie. Za dnia, kiedy świeci zimowe słońce, proste Iwany mają wiele dział do zamaskowania, dróg do ubicia, tony żywności, amunicji i paliwa do przeniesienia, latryny do opróżnienia, śmieci do zasypania. Trzeba wznosić umocnienia i kopać okopy na wypadek, gdyby wróg zdecydował się zaatakować w ciemnościach jako pierwszy. Tory kolejowe w Polsce mają niewłaściwy rozstaw, należy je przystosować do radzieckich pociągów towarowych. Trzeba naprawiać albo usuwać sprzęt zniszczony przez niemiecki ostrzał artyleryjski, organizować wyjazdy do obozu śmierci w Majdanku, wyzwolonego w lipcu przez Armię Czerwoną, gdzie komisarze polityczni kolejny raz mają okazję udowodnić, że Niemcy są potworami. Ale ci ludzie w ciepłym namiocie leżą sobie brzuchami do góry. Ilja zaczyna się czołgać w ich kierunku. Oficerowie. Zna to, bo jeszcze cztery miesiące temu był jednym z nich.

Potężny Ilja skrada się między ledwie widocznymi czołgami. Słyszy za sobą jedynie oddech chudziutkiego Miszy. Odwraca się i widzi obłoczki pary wydobywające się z jego skrzywionych ust. Żeby jego towarzysz nie został zauważony przez wartę wystawioną w pobliżu namiotu dowództwa, jakieś sto metrów dalej, Ilja zatrzymuje się przy gaśnicach czołgu.

Siada. Plecy dotykają pomalowanej drewnianej ścianki.

Ilja tłumi śmiech. To jeden z setek fałszywych czołgów zbudowanych w ramach planu Maskirowka realizowanego przez Żukowa dla zmylenia niemieckich zwiadowców, artylerii i bombowców, które kierują ogień i zrzucają bomby nie tam, gdzie trzeba. Czołg za jego plecami jest zrobiony z płótna, drutu i rury imitującej lufę. Bardzo przekonujące. Ilja zastanawia się, ile takich makiet minęli z Misza tej nocy. Wydaje mu się, że wszystkie czołgi, które widzi dookoła, to Maskirowka. Sprytne. Podobają mu się ci oficerowie w namiocie przed nim.

Misza przysuwa się do niego. Przeciąga szczupłą ręką po brzegu drewnianej beczki, która udaje koło.

- Dobra robota - mruczy zdyszany. - Najlepsza, jaką widziałem.

Ilja kiwa głową. Czeką, aż oddech towarzysza wróci do normy. Po dwóch minutach Misza jest gotowy do dalszej drogi. Ilja przetacza się na brzuch. Ale Misza się ociąga.

- Misza. Teraz. Róbmy to, co ustaliliśmy.

Szeregowiec kręci głowę.

- Nie, Iljuszka. Raczej nie. Idź beze mnie. Nie nadaję się do takich rzeczy.

Ilja podnosi się i siada z powrotem obok towarzysza.

- Zaszedłeś ze mną już tak daleko. Możesz dojść do końca.

- To będzie błąd. Złapią nas.

- Może tak, może nie. Musimy iść, żeby się przekonać.

- Dlaczego chcesz, żebym szedł z tobą, Ilja? Ledwo się znamy. Co o mnie wiesz? Jestem ostatnim człowiekiem w kompanii, którego bym wziął na twoim miejscu.

- Dlatego właśnie cię wybrałem.

Ilja patrzy mu w oczy. Nie mówi mu całej prawdy: chciał, by inni zobaczyli, że skoro Ilja Szochin potrafi nakłonić cherlawego, wystraszonego Miszę do czegoś takiego, to musi być dobrym dowódcą.

Nadal patrzy Miszy w oczy. Ten mięczak wykona zadanie do końca.

- Michale Stiepanowiczu. Pozwólcie, że zapytam. Podoba wam się w batalionie karnym Ósmej Gwardyjskiej?

Misza nie odpowiada. Nie musi.

- Od kiedy w nim tkwicie? Od lipca? Podoba się wam, że ustawią was w pierwszym szeregu przy każdym ataku? Że jesteście zwykłym celem, dzięki któremu ludzie za wami będą mogli rozeznaczyć siły wroga i ustalić, skąd strzela? Hm? Pochlebia wam to, że jesteście szeregowcem piechoty wśród tchórzów, bandytów, awanturników i wariatów, a nie kapitanem wywiadu przynoszącym kawę generałowi Czujkowowi? Chlubicie się swoją hańbą, jak kiedyś chlubiście się medalami i wygodną pryczą? Co piszą z domu? Rodzina jest dumna z waszych osiągnięć?

Misza sztywnieje na wzmiankę o rodzinie.

- Nie uciekłem - mówi.

Ilja przykłada palec do ust.

Misza ścisza głos.

- Nie uciekłem. Ewakuowałem kwaterę, zanim otoczyli nas Niemcy.

Wszędzie miałem mapy. Nie mogłem pozwolić, żeby wpadły w ręce wroga.

Ilja mówi łagodniejszym tonem:

- Komisarz twierdzi, że krzyczałeś, Misza.

- Zabrałem mapy i się ewakuowałem. To wszystko, co zrobiłem.
- Uciekłeś na tyły, porzucając broń.
- Zapomniałem jej. Komisarz nie ma racji. Zapomniałem karabinu. Wszędzie byli już Niemcy.

- Ale generał Czujkow, jeśli się nie mylę, powiedział ci, kiedy najbardziej możesz potrzebować broni?

Panuje mrok, ale Ilja widzi, że oczy Miszy się zaszkliły.

- Ilja - mówi tamten - proszę.

- Tak. - Ilja robi pauzę i powtarza ostatnie słowo przez zęby: - Proszę.

Nie ma żadnego „proszę”, myśli. W tym życiu nie można o nic prosić, nie ma takiego przywileju. Czy Misza wierzy w sprawiedliwość? Wierzy, że człowiek dostaje to, na co zasłuży, albo że może zatrzymać to, co osiągnął? Nie. Ilja drugi raz nie popełni tego błędu. Wszystko można stracić - czy jest to sprawiedliwe, czy nie, nawet jeśli nie ma w tym żadnego sensu. Można mówić „proszę”, ale i tak nikt nie będzie słuchał.

Misza ociera oczy. Patrzy zdecydowanie w twarz Ilji. Teraz on chce zadać pytanie. Został przygotowany do tego, żeby zdobywać informacje, nie walczyć.

- Byłeś majorem?

- Tak, Misza. Majorem.

- Od kiedy służysz w Ósmej Gwardyjskiej?

- Od Stalingradu. Kiedy byliśmy jeszcze Sześćdziesiątką Dwójką.

Misza unosi brwi. Każdy, kto walczył pod Stalingradem, otoczony jest aurą heroizmu w oczach tych, którzy nie widzieli tej bitwy - największej w historii ludzkości. Pod tym niedużym miastem nad Wołgą zimą czterdziestego drugiego zatrzymano marsz Niemców w głąb Rosji. Zginęło lub dostało się do niewoli milion dwieście tysięcy Niemców, Włochów, Rumunów i Węgrów. Straty Armii Czerwonej były równie wielkie.

Ale od czasu Stalingradu Niemcy nie postąpili ani kroku dalej na wschód. Nie przekroczyli Wołgi. Szczęście się od nich odwróciło. Ludzie Czujkowa walczyli tak dzielnie, że nazwano ich obrońcami Stalingradu i w nagrodę przemianowano na Armię Gwardyjską. Gdy tylko tu, nad Wisłą, wydany zostanie rozkaz, ruszy ofensywa w kierunku Odry, ku granicy niemieckiej. Naziści będą musieli wycofać się na własny teren i walczyć wokół własnych wsi i miast.

Misza przełyka ślinę, zanim zada następne pytanie.

- Jak...?

- Nie pytaj - ucina Ilja. - To było okropne i wydarzyło się dwa lata temu. Nie mówmy o tym. Opowiem ci kiedy indziej. - Kładzie wielką dłoń na udzie Miszy. - Porozmawiamy o tym w Berlinie, dobra?

- Co takiego zrobisz?
- Misza, nie pytaj.
- To mój warunek, Ilja. Jeśli chcesz udowodnić, że możesz kogoś takiego jak ja, po zaledwie tygodniowym pobycie w batalionie karnym, zaciągnąć taki kawał drogi w środku nocy, żeby ukraść sztandar innej dywizji, musisz odpowiedzieć na to jedno jedyne pytanie. Powiesz, to z tobą pójdę.

Misza! Sprytny mały czort.

- Co takiego zrobisz?
- Nic.
- Iljo Borysowiczu. Nikt nie zostaje zdegradowany ze stopnia majora do szeregowca za nic.
- Za nic - to prawda. Chyba mam niewłaściwego wuja.

Misza zachęca go do mówienia, splatając palce, jakby chciał powiedzieć: Słucham cię.

Ilja wydyma policzki, a potem zaczyna mówić.

- Mój wuj Paweł był generałem w sztabie Stawki w Moskwie. W październiku, kiedy w Warszawie dogasało powstanie, był za tym, żeby pomóc Polakom. Powiedział to na naradzie w obecności Stalina.

Ilja patrzy w ciemność polskiej nocy, gdzie pięćdziesiąt kilometrów na północ, na brzegu Wisły, leży w ruinach Warszawa. Niemcy brutalnie zdławili bohaterski zryw powstańczy Polaków, podczas gdy Armia Czerwona, największa siła zbrojna na tej planecie, stała po przeciwnej stronie rzeki, pozwalając, by naziści zrównali z ziemią jedno z najstarszych miast Europy, wyrznęli jego mieszkańców i zniszczyli ostatnie gniazda oporu. Polska, sojusznik ZSRR, prosiła o pomoc, która znajdowała się tak blisko - w odległości zaledwie dziesięciu kilometrów. Stalin jednak siedział z założonymi rękami, a Niemcy tymczasem robili swoje, mordując Polaków, którzy mieli nadzieję wyzwolić swój kraj.

Wuj Ilji skrytykował to otwarcie. Wcześniej napisał o tym w liście do Ilji, którego odpowiedź zawierająca błaganie, by Paweł milczał, albo nie doszła na czas, albo została zlekceważona.

Kilka tygodni po naradzie Paweł został usunięty ze stanowiska. Zmuszono go do wystąpienia z wojska, a potem wsadzono do więzienia na Łubiance. Jego żonę wyrzucono z mieszkania. Ich troje dzieci, kuzynów Ilji, zabrano ze szkoły, odizolowano, a potem wraz z opiekunami przeniesiono poza Moskwę. Starszy brat Pawła, Borys - ojciec Ilji - zginął wcześniej, z głodu, podczas trzyletniego oblężenia Leningradu. Matka i siostra Ilji, obie pielęgniarki, jakoś się uratowały - nie dosięgły ich długie ręce ojca ojczyzny. Natomiast bratanek Pawła, major Ilja Borysowicz Szochin z 8 Armii Gwardyjskiej, trzydziestoletni dowódca słynnego 2 Batalionu Strzelców, trzykrotnie ranny, zabijający Niemców każdą bronią, jaką mu dano, a nawet bez broni,

bo gołymi rękami, dostał wytropiony przez pachołków rozgniewanego Stalina. W zeszłym tygodniu zdegradowano go, pozbawiono odznaczeń i przeniesiono do piekła. Do Kompanii A batalionu karnego 8 Gwardyjskiej.

I teraz, w kolejną zimną i ponurą noc oczekiwania na rozkaz do ataku, Ilja zamierza ukraść sztandar 1 Gwardyjskiej Armii Pancernej, towarzyszy broni 8 Armii Gwardyjskiej, postępujących tuż za nią. Jutro rano czarno-pomarańczowa flaga 1 Pancernej będzie powiewała nad namiotem generała Czujkowa. Jest to akt zuchwałości - wręcz bezczelności - i zemsty. Dwa dni temu 1 Pancerna ukradła generałowi gazika i pomalowała karoserię na czarno-pomarańczowo. Należy im się rewanż za ten kawał. Kiedy rozniesie się wieść, że dokonał tego ktoś z batalionu karnego Ósemki, 1 Pancerna będzie skompromitowana. Ilja i Misza być może wcale nie zostaną ukarani, a jeśli nawet - to dostaną małe kary. Koledzy natomiast za ich plecami będą unosić brwi w wyrazie uznania. Misza po raz pierwszy wykaże się odwagą. Ilja zaś udowodni, że jest urodzonym dowódcą, jak wielokrotnie to się już zdarzało w sytuacji śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Opowiadanie swojej historii zajmuje Ilji pięć minut. Kiedy kończy, jest zdziwiony, że był aż tak otwarty wobec człowieka, o którym nic nie wie, poza tym, że to tchórz. No i oficer. Czuje jednak ulgę, gdy patrzy w inteligentne oczy Miszy. Nie ma nikogo innego, z kim mógłby porozmawiać. Oficerowie kompanii i batalionu są służbistami, sami próbują wymazać różne grzeszki ze swoich akt. A reszta to męty.

Misza wciąż kiwa głową, choć Ilja już zamilkł.

- Przestań - mówi Ilja.
- Przepraszam. Stary nawyk.
- Idziemy?
- Przykro mi, Ilja. Spotkała cię niesprawiedliwość.
- Jest wojna, Misza.
- Może masz rację. - Misza odrywa plecy od drewnianego czołgu. - Dobra, towarzyszu majorze. Idę z wami.

Ilja jego śladem przypada do ziemi. Zimno przenika przez płaszcz i dociera do piersi.

- Jeszcze tylko dwadzieścia metrów, potem zatrzymamy się i rozejrzemy. Nie rób hałasu, Misza. Posuwaj się razem ze mną, i tylko tam, gdzie ja.

Ilja czołga się w takim tempie, by mały towarzysz mógł za nim nadążyć. Pod wpływem rozmowy z Misza powraca myślą do Stalingradu. Od września czterdziestego drugiego do lutego czterdziestego trzeciego musiał się poruszać wśród gruzów tak jak teraz, powoli, cierpliwie, ukradkiem. Inaczej się nie dało, bo w przeciwnym razie namierzał człowieka snajper.

Zdawało mu się, że ten ośmiometrowy odcinek nigdy się nie skończy, zwłaszcza gdy musiał czekać na Miszę, ale Ilja wie, że wszystko to trwało niespełna dziesięć minut. Kiedy obaj zatrzymują się, by odpocząć za stosem pniaków, Misza oddycha głęboko, ale w sposób miarowy. Mały spisuje się całkiem dobrze.

W namiocie wciąż świeci się latarka. Ilja słyszy teraz głosy, które niosą się w górę, pomiędzy nagie gałęzie drzew - oficerowie grają w karty. Na pewno jest i wódka.

Pojedynczy wartownik zatacza szerokie koło wokół oficerskiej kwatery. Nie ma latarki. Nie więcej niż dziesięć metrów przed wejściem do namiotu wbito w ziemię ociosany pień drzewa służący jako maszt. Na jego szczycie sztandar 1 Pancерnej zwisa bezwładny tej bezwietrznej nocy. Podczas gdy wartownik robi dwie rundy wokół namiotu, Ilja liczy pod nosem. Żołnierz chodzi bez pośpiechu. Jedno okrążenie zajmuje mu około minuty.

- Misza.

- Jaki mamy plan?

- Gdy wartownik dojdzie do tamtego rogu namiotu, zniknie na jakieś trzydzieści sekund, zanim wyłoni się po drugiej stronie. Kiedy powiem „teraz”, pobiegiesz i zdejmiesz sztandar.

- Ja?

- Cicho.

- Chcesz, żebym ja...? Co to za plan? Myślałem, że sam chcesz to zrobić.

- Nie. Sprowadziłem cię tu, żebyś ty to zrobił.

Misza kryje twarz w dłoniach. Ilja łapie go z tyłu za płaszcz.

- Przygotuj się.

- Ilja, proszę...

- Nie chcę więcej tego słyszeć. Gotów?

- A jeśli nie pójdę?

- Pożałujesz! Ale jeśli pójdziesz, zawsze już będę po twojej stronie. Wybieraj.

- Dlaczego ja?

- Bo mnie łatwiej rozpoznać. Jeśli zobaczą, że uciekam ze sztandarem, bez trudu wyłowią mnie z tłumu. Ciebie nikt nie zapamięta.

Misza potrząsa głową.

- Poza tym - szepcze Ilja - chcę, żeby tobie przypadła chwała.

- Chcesz, żebym oberwał, dobra. Nie do wiary, że to robię... To kiedy?

- Podnieś się na kolana. Cicho. Czekaj... czekaj... teraz! Idź!

Misza zrywa się z zadziwiającą zręcznością. Nisko pochylony biegnie w kierunku masztu. Chwyta linę i usiłuje ściągnąć sztandar. Ale lina jest

zawiązana wokół słupka i zgrabiące palce Miszy nie mogą rozwiązać supła. Ilja liczy do dziesięciu, potem do piętnastu.

Misza ogląda się za siebie na stos pniaków, światło latarki z namiotu pada na jego przerażoną twarz. Ilja unosi się na kolana i zataczając palcem szybkie kółka w powietrzu, daje mu znak: pospiesz się!

Zza namiotu po drugiej stronie wyłania się wartownik. Jeszcze nie widzi Miszy, który dłubie przy węźle, ale za pięć sekund go zobaczy.

W tej samej chwili Miszy udaje się rozwiązać supeł. Szybkimi ruchami opuszcza sztandar w momencie, gdy wartownik okrąży róg.

Ten zdejmuje karabin z ramienia i podchodzi.

- Co tu robisz? - Jego pytanie nie jest ani głośne, ani agresywne. Nie chce przeszkadzać oficerom w ich suto zakrapianej grze. Sam poradzi sobie z tym nieuzbrojonym intruzem.

Misza zamiera w bezruchu, ale tylko na moment. Zaczyna zwijać flagę.

- Nie wiesz, że sztandar należy zdejmować na noc? - pyta stanowczym tonem. - To brak szacunku zostawiać go po zachodzie słońca.

Chytre, myśli Ilja. Bardzo chytre.

Wartownik z powrotem zarzuca broń na ramię - zagrożenie najwyraźniej minęło. Misza dalej zwija sztandar.

- W porządku - stwierdza wartownik - zostaw to, rano wciągnę go na maszt.

Misza kręci głową.

- Nie, muszę zabrać go ze sobą. To było pogwałcenie przepisów. Pokażę przełożonym.

Wartownik wyciąga rękę po flagę. Misza się cofa. Tamten chce zobaczyć dokumenty Miszy.

- Z jakiego jesteś oddziału? Jakiś głos woła z namiotu:

- Co się tam dzieje?!

- Chodzi o sztandar, towarzyszu - odpowiada wartownik, szarpiąc się z Miszą.

Misza krzyczy w stronę namiotu:

- Wszystko w porządku, towarzysze! Możecie wracać do swoich spraw! Ale nie jest w porządku. Ilja słyszy szuranie odsuwanych krzeseł. Światło latarki się przemieszcza, cienie na płótnie namiotu drgają.

Bezszelestnie staje za awanturującym się wartownikiem. Jednym ciosem pięści wymierzonym w kark powala go tak, że ten pada u stóp Miszy.

Ilja chwytając kolegę i ciągnie go za sobą wraz ze sztandarem, umykając między ciemne drzewa i makiety czołgów.

1 stycznia 1945, godzina 2.00
Schron przy Pariser Strasse Wilmersdorf,
Berlin

Lottie jest wyczerpana. Bola ją palce, gra na wiolonczeli od dwóch godzin bez przerwy.

Kończy finałowy pasaż i opuszcza dłonie. Dość - myśli - wystarczy na dziś wieczór.

Trzydzieści pięć osób zgromadzonych w schronie przeciwlotniczym... Odczekują chwilę, zanim zaczną klaskać. Tak ich nauczono. W Berlinie ludzie kochają muzykę klasyczną jak nigdzie indziej, może z wyjątkiem Wiednia. Kiedy Lottie daje znak, że skończyła, klaszczą, uderzając koniuszkami palców o wnętrze dłoni, żeby nie robić hałasu w zimnym brudnym pomieszczeniu. Wciąż są poruszeni grą Lottie, to się czuje, zwłaszcza ostatnim utworem, rzewną partią solową z *Don Juana* Richarda Straussa. Najstosowniejszy jest delikatny aplauz. Pełne uznania twarze mienia się w blasku świec, gra światła i cieni nadaje im ostre kontury.

- Odkładam ją - mówi Lottie do matki, Frei, która siedzi obok niej. Starszy pan wstaje bez słowa, żeby pomóc włożyć wiolonczelę do futerału. Potem siada ponownie. Lottie powraca na miejsce przy matce.

Nikt się nie poruszył. Spojrzenia utkwione są w dal. Freya zamyka oczy.

Tego wieczora jest między nimi ktoś obcy.

Lottie wzdycha. Grała całe popołudnie ze swoim kwartetem smyczkowym w jednym z niewielu niezniszczonych jeszcze domów przy Kurfürstendamm. Dlaczego ten człowiek musiał tu przyjść właśnie dziś?

W każdym schronie, Lottie to wie, dzieją się rzeczy uważane za zły lub szczęśliwy omen. Są starzy bywalcy, którzy mają swe ulubione miejsca i zbiegają po schodach na pierwszy ryk syren. Są i szczególnie lęki: niektórzy panicznie boją się ognia i mają ze sobą wiaderka z piaskiem; inni obsesyjnie myślą o tym, że budynek nad nimi może się zawalić, trzymają więc przy sobie łopaty i kilofy.

A w schronie pod kościołem św. Ludwika przy Pariser Strasse, podobnie jak w całym Berlinie, panuje prawie że namacalna nieufność wobec wszystkich nieznanymi, a zwłaszcza wobec nieznanymi mężczyzn w wieku poborowym. W powietrzu wisi pytanie: dlaczego ten człowiek jest w Berlinie, a nie na froncie? Musi być gestapowcem, nazistą, informatorem, może dezertorem... Kimkolwiek jest, wzbudza niepokój i przynosi pecha całej reszcie okupującej schron.

Kiedy więc, co zdarza się nieczęsto, pojawia się wśród nich ktoś nieznanymi, za którego nikt nie może poręczyć, wszyscy milkną. Zamiera najzwyczajsza

rozmowa: o ziemniakach, ubraniach, operze. Każde słowo wypowiedziane w obecności obcej twarzy zamienia się w żmiję, która może ukąsić mówiącego, godziny oczekiwania na odwołanie alarmu wypełnia *berliner Blick* - szybkie, ukradkowe spojrzenia rzucające przez ramię, by sprawdzić, czy ktoś nie podsłuchuje. Staje się to jeszcze jednym źródłem tortur. Teraz, gdy wiadomo już, że armia radziecka nadciąga na Berlin, z nakazu Goebbelsa śmiercią każe się za wszystko, co trąci defetyzmem. Oficjalnie nazywa się to *Zweifel am Sieg*, czyli powątpiewanie w zwycięstwo. Krążą straszliwe opowieści o losach berlińczyków rzucających niewinne uwagi ot tak, bez złych intencji, zapominających się na chwilę. Ten człowiek, który żartował, że czerwoni nie zaatakują Berlina, bo po co mieliby tu wkraczać, skoro wszystkie grube ryby do tego czasu zdążą się ulotnić, został zastrzelony na ulicy przez SS. A ta kobieta, która zbierała chleb i ser dla swojej rodziny? Ukarano ją, bo swym postępkami sugerowała, że w Berlinie pod rządami Goebbelsa brakuje żywności. Kazano jej się rozebrać i włożyć na siebie plakat ze słowami: „Nie wierzę w Hitlera”. Starsi ludzie, którzy rozpaczają z powodu śmierci synów, albo kobiety narzekające na brak butów, w najlepszym przypadku zmuszani są do szorowania podłóg na posterunkach policji. W najgorszym - zostają straceni. W zeszłym roku berliński Trybunał Ludowy wydał pięćdziesiąt jeden wyroków śmierci na tych, którzy słuchali zagranicznych radiostacji i zostali zadenuncjowani przez krewnych albo sąsiadów. Dzieci są zachęcane, by donosiły na rodziców. Nauczyciel, zwykle nazista, może zapytać: „Co twoja rodzina jadła w niedzielę na obiad?” Jeśli w odpowiedzi usłyszy, że pieczeń, kiszoną kapustę i kompot z jabłek zamiast nakazanego przez rząd ekonomicznego *Eintopf*, matka może mieć kłopoty.

Tej nocy, kiedy o jedenastej trzydzieści zawyły syreny ostrzegające przed nalotem, tysiące zabaw sylwestrowych zostało nagle przerwanych. Lottie była właśnie z matką na jednej z nich, przy Regensburger Strasse, w pobliżu swego mieszkania. Najpierw pobiegła do domu po wiononczelę. Z Freją spotkała się w kościele. Lottie czuła się zawiedziona - bawiła się dobrze, na przyjęciu była prawdziwa kawa, nie ten parszywy *ersatz*, cykorii. Nalot nie był jednak niespodzianką. Anglicy, którzy w swoich bombowcach *mosquito* nawiedzają nocami Berlin, wykazują specyficzne poczucie humoru. Ich ataki mają za zadanie tyleż zabijać, co nękać wroga: bomby na urodziny Hitlera i w niemieckie święta, naloty po znaczących zwycięstwach aliantów i tym podobne. Upodobali sobie obiekty cywilne. Jest to rewanz, Hitler usiłował bowiem zamienić Londyn w pogorzelsko. Natomiast poranne naloty amerykańskich B-17 są punktualne i precyzyjne. Samoloty pojawiają się na niebie o dziewiątej, a ich celem są dzielnice przemysłowe, często Spandau i północne rejony miasta. Przesłanie od Amerykanów głosi: Zaprzestańcie wojny.

Tej nocy schron pod kościołem zapełnił się w ciągu paru minut. Zgodnie z przepisami, berlińczykom, bez względu na dzielnicę, nie wolno przebywać na ulicach miasta aż do odwołania alarmu. Każdy zatrzymany poza schronem, jeśli nie jest zagranicznym dyplomatą, może być rozstrzelany jako szabrownik albo szpieg. Naloty są nieodłącznym elementem życia Berlina od ponad czterech lat, od września czterdziestego roku, kiedy na Reinickendorf, Panków i Lichtenberg spadły pierwsze angielskie bomby. Od tego czasu Eisenhower i „Bombardier” Harris wspólnymi siłami zniszczyli czterdzieści procent zabudowań miasta, zburzyli ponad pół miliona mieszkań i pozbawili dachu nad głową miliony berlińczyków, zabijając pięćdziesiąt tysięcy. Ale w takie noce jak dzisiejsza, po latach bombardowań i ciągłego obcowania ze śmiercią, ludzie zamieszkujący okolice Pariser Strasse mniej boją się bomb niż otwarcia ust, gdy obok na ławce siedzi nieznajomy.

Kiedy w ich schronie pojawia się ktoś obcy, a zwykły komentarz, wyraz niezadowolenia czy choćby nic nieznaczące spekulacje na temat wojny mogą okazać się zgubne, Lottie gra na wiolonczeli. Kiedy ona gra, nikt się nie zapomni, nie będzie narzekał i nie zniknie nazajutrz. Jej muzyka zmusza do milczenia.

Lottie jest niezadowolona z obecności nowej osoby. Mierzy wzrokiem mężczyznę ściśniętego między dwiema otyłymi kobietami, które na niego nie patrzą. On także się nie odzywa - całą noc. Łysiejący, o ciemnych włosach i jasnej cerze, długiej szyi. Zapadnięte policzki pokryte są jednodniowym czarnym zarostem. Ma lekko wytrzeszczone oczy, choć może jest to wyraz zdziwienia. Dostrzega przecież, że traktuje się go tutaj jak pariasa. Może mieć od trzydziestu pięciu do pięćdziesięciu lat. Teraz w Berlinie głód wszystkim przydaje lat. Jego szary garnitur jest trochę wyświecony na kolanach i łokciach, brązowy krawat zawiązany wysoko, węzeł nieco wygnieciony, podobnie jak kołnierzyk białej koszuli. Zdaniem Lottie, mężczyzna nosi te rzeczy już od jakiegoś czasu. W całej jego postaci jest groza i dzikość, jakby wiedział coś ważnego i strasznego, czego pozostali w schronie nie wiedzą.

Oczywiście wie jedną rzecz, o której pozostali nie mają pojęcia: kim jest.

Lottie widzi, jak matka otwiera oczy i wymienia z nim spojrzenie. Uśmiecha się do niego. Mężczyzna mruga powiekami.

Freya odchrząkuje. Lottie zamiera.

- Podobała się panu gra mojej córki? - pyta mężczyznę.

Lottie zwilża językiem usta. Pozostali w schronie patrzą na Freyę. Przecież nie rozmawia się z nieznajomymi! Lottie bierze matkę za rękę.

- *Mutti*, przestań wymuszać komplementy dla mnie. - Posyła mężczyźnie szybki sztuczny uśmiech.

Freya poklepuje ją po dłoni.

- Pięknie gra. Prawda?

Mężczyzna ma pokrytą bruzdami twarz. Wydaje się, że patrzy ponad Freyą Lottie, jakby utkwił wzrok w zimnej, gliniastej ścianie. Lottie chciałaby odwrócić od niego spojrzenie, nie patrzeć w tamtą stronę, jak reszta ludzi w schronie, ale nie może, tak jak nie można oderwać wzroku od zjawy.

Zaciska rękę na dłoni matki. Szepcze: - *Mutti...*

Mężczyzna ledwie otwiera usta. Nie wykonuje żadnego ruchu, kiedy mówi.
- Tak.

Freya kiwa głową. Skłoniła nieznanego, by się odezwał, i teraz uśmiecha się do niego. Lottie spogląda na jedno i drugie, widzi, że matce o coś chodziło, pochyla głowę. Jej jasne włosy opadają na oczy. Patrzy w dół, na dłoń Frei w swojej ręce. Dłoń nie jest stara, zachowała gładkość. Ten mężczyzna może pragnąć jej matki, ale Lottie nie podoba się ta myśl. Freya była w jej wieku, miała dwadzieścia siedem lat, gdy ją urodziła, swoje jedyne dziecko, uzdolnioną muzycznie córkę. Ojciec, Frederick, zginął w ostatnich dniach pierwszej wojny światowej. Freya mówi, że Lottie została poczęta ich ostatniej wspólnej nocy. Otrzymała na imię Charlotta, od Charlottenburga, zamożnej dzielnicy Berlina, gdzie wychowywali się i poznali jako dzieci, bawiąc się w lesistych zaroślach Tiergarten. Freya mieszka tam nadal.

Mutti nie flirtuje, myśli Lottie. Nie robi słodkich oczu do tego cienia mężczyzny w naszym schronie. Stara się być miła, jak zawsze. Często bywa zbyt miła; łatwo ją zwieść, jest właściwie naiwna. Lottie nie potrafi wyobrazić jej sobie z innym mężczyzną niż z ojcem, przystojnym, ujmującym człowiekiem ze starych fotografii, na zawsze młodym i dzielnym. Jako nastolatka, w obraźni posyłała matkę na wakacje z Frederickiem w różne piękne miejsca. Ojciec stał się jej wyimaginowanym kolegą, opiekunem i doradcą. Był *Papą*, mądrym i silnym, i nie odstępował jej ani na chwilę. *Mutti* przyjaźniła się przez te lata z różnymi mężczyznami, ale Lottie zawsze dawała jej do zrozumienia, że czuwa, a za jej pośrednictwem czuwa także *Papa*, i że oboje nie godzą się na nic wykraczającego poza niewinne koleżeństwo. Do czego *Mutti* potrzebni byliby mężczyźni? Miała przecież córkę, wspaniałą, ładną i dobrze wychowaną, czyż nie? W wieku pięciu lat dała na wioloncze swój pierwszy koncert. gdy miała dziewięć lat, potrafiła sama nastroić rodzinne pianino. Czyż *Mutti* nie była dumna z córki? Bo *Papa* był. Na pewno.

Kłótnie zaczęły się, gdy Lottie zaczęła dorastać i Freya nie musiała już zostawać z nią na noc. Wychodziła z domu na tańce i spotkania towarzyskie. Lottie zostawała, by ćwiczyć. W inne wieczory wpadali z wizytą przyjaciele Frei, palili cygara i zalatywało od nich alkoholem. *Mutti* nigdy nie sprowadzała mężczyzn do domu, ale Lottie nie musiała sprawdzać naocznie tego, czego

była pewna. Przecież oboje z Papą czuwali. Często rozmawiali ze sobą. Wkrótce Lottie stała się w okolicy popularna. Poznano się na jej zdolnościach muzycznych. Przyjęto ją do narodowej orkiestry młodzieżowej. Grała jako pierwsza wiolonczelistka i coraz częściej wyjeżdżała z domu na występy i koncerty. Kiedy była w podróży, w Szwajcarii, Austrii, na Węgrzech czy we Włoszech, martwiła się o *Mutti*. Ktoś może sprowadzić ją na manowce pod nieobecność córki. Im bardziej zaprzątnięta była pracą, im więcej dręczyło ją zmartwień i podejrzeń, tym wyraźniej słyszała głos Papy.

W wieku piętnastu lat zapisała się do BdM, czyli Bund deutscher Madei, organizacji dla dziewcząt będącej odpowiednikiem Hitlerjugend. Ze względu na talent muzyczny pozwolono jej zostać w Berlinie i kontynuować studia, podczas gdy inne aryjskie dziewczęta rozproszyły się po kraju, podejmując pracę jako niańki, pracownice rolne, wychowawczynie i urzędniczki. Przez dwa lata Lottie zajmowała się robótkami ręcznymi, śpiewała piosenki ludowe i chodziła na wiece polityczne. Nosila powiewne białe tuniki i machała chorągiewkami, gdy Brunatne Koszule i żołnierze Wehrmachtu defilowali po Unter den Linden. Ubrana w mundur BdM, czarną spódnicę, białą bluzkę i chustę ściągniętą tulejką, podczas publicznych występów grała na wiolonczeli utwory patriotyczne i pieśni żołnierskie. *Mutti* nigdy nie komentowała jej wstąpienia do BdM, ale też ani razu nie wybrała się z nią na żadną uroczystość tej organizacji. Lottie to nie przeszkadzało, korzystała z wolności i swobody, jaką dawała jej ta działalność. Przewornie nie robiła żadnych uwag na temat narodowego socjalizmu i wojny, czy też stopniowego wykluczania Żydów i niearyjczyków nie tylko z BdM, ale także z berlińskiego życia. Była muzykiem, a muzyka wznosiła się ponad politykę Hitlera i demolowane witryny drobnych sklepikarzy czy straszne pogłoski. Wiedziała jedynie, że Papa służył niegdyś w wojsku. Lubiła przebywać w towarzystwie chłopców w mundurach. Kojarzyli jej się z ojcem.

Kiedy skończyła osiemnaście lat, wstąpiła na Uniwersytet Humboldta w Berlinie i rozpoczęła studia muzyczne. Wtedy też zbuntowała się przeciwko matce, oświadczając, że chce się wyprowadzić i zamieszkać oddzielnie. Freya się zgodziła. Choć mieszkały teraz niedaleko siebie - zaledwie osiem przystanków kolejki miejskiej - rzadko się spotykały. Nie widywały się całymi tygodniami, czasem przez miesiąc czy dwa. *Mutti* zawsze zjawiała się na koncertach w uniwersyteckiej sali koncertowej, przychodziła wcześniej i posyłała córce kwiaty za kulisy. Lottie czasami oddawała je innym studentom. Wiedziała, że matka siedzi w ciemnościach na widowni, grała jednak - z pasją i tak jak ją nauczono - dla Papy.

Podczas studiów zakochała się w dwa lata starszym chłopaku. Studiował ekonomię i był skrytym wielbicielem pism Marksa i Engelsa, dawnych

absolwentów Uniwersytetu Humboldta. Mówił o współczuciu dla mas i podziale dóbr między wszystkie warstwy społeczne. Wierzył, że Hitler do tego właśnie zmierza, twierdził, że wkrótce Niemcy, zgodnie z jego zapowiedziami, będą potrzebować *Lebensraum*, przestrzeni życiowej dla swoich obywateli, i że Rzesza powinna rozprzestrzeniać się na wschód, ku Bałkanom i Rosji. Państwo niemieckie naprawi wypaczenia, jakich dopuścili się bolszewicy, powołując się przy tym na Marksa i Engelsa. On i Lottie zaczęli ze sobą żyć na miesiąc przed ukończeniem przez niego studiów. Po opuszczeniu uniwersytetu wstąpił do Wehrmachtu. Napisał do Lottie trzy listy. Odpowiedziała na nie, ale on przestał pisać. Lottie mówiła sobie, że zginął na polu walki, w Hiszpanii albo później w Polsce. Nie próbowała ustalić, co się z nim stało. Włożyła jego listy do Biblii. Był jedynym mężczyzną, z którym spała. Czasami jeszcze o nim myśli, wyobrażając go sobie z ojcem w niebie. Wierzy, że jest wobec niego lojalna.

Ledwie zdażyła ukończyć studia, gdy wybuchła wojna. Z początku w Berlinie świętowano z tej okazji. Dzięki budowie autostrad i rozwojowi przemysłu zbrojeniowego Hitler zlikwidował bezrobocie. Niemcy odnosili sukcesy na wszystkich frontach, i to przy niewielkich stratach. Tak było w Polsce, Danii, Norwegii, Holandii, Belgii, we Francji, Jugosławii, w Afryce Północnej i w Grecji. Cały Berlin żył koncertami. Organizowano je wszędzie: w luksusowym hotelu Adlon w pobliżu Kancelarii Rzeszy, u Hörchnera, ulubionej restauracji grubego Hermanna Göringa, w parkach i na prywatnych przyjęciach wydawanych przez śmietankę towarzyską Berlina czy ważniejszych nazistowskich funkcjonariuszy. Lottie zarabiała wtedy, udzielając lekcji paru studentom. Niebawem zaproponowano jej miejsce w znanym miejscowym kwartecie smyczkowym, kiedy na atak serca umarł wiolonczelista, starszy już człowiek. W zespole grali członkowie Berlińskiej Orkiestry Filharmonicznej. Wskutek ich interwencji zawarto z nią tylko umowę, a nie stały kontrakt, ponieważ była jedyną kobietą wśród filharmoników. Pozwolono jej grać w kwartecie do czasu, aż znajdą odpowiedniego wiolonczelistę - mężczyznę. Ale w miarę trwania wojny i usuwania Żydów z tej orkiestry, pozycja Lottie stawała się coraz mocniejsza. Podczas koncertów, na życzenie nowego dyrygenta, Wilhelma Furtwänglera, wkładała smoking i upinała włosy pod czarną siatką.

Nikt nie zgłaszał dotąd sprzeciwu, nawet surowy koncertmistrz Gerhard Tschner, bo Lottie jest nieprzeciętną wiolonczelistką. Ma doskonały słuch, jeszcze wyostrzony w dzieciństwie, gdy stroiła fortepian matki. Ma szerokie dłonie, silne ramiona i nadnaturalnie długie palce. Jest wysoką dziewczyną, może więc grać na dużym instrumencie, swoim *Josephie i Antonio Galiano*, wykonanym w Neapolu w 1750 roku. Ciężki *Galiano* łąka mrocznymi tonami. Inna wiolonczelistka mogłaby wprawdzie rozjaśnić nieco jego posępny dźwięk, ale nie

potrafiłaby wydobyć z niego tej radości życia, jaką wydobywają palce Lottie. Jej *vibrato* jest szerokie i przyprawia o zawrót głowy, idealnie oddaje romantyczne partie solowe Schumanna, Haydna i Schuberta. Dwaj skrzypkowie i altista podziwiają jej technikę, Lottie widzi to po ich twarzach, kiedy odpoczywają, a ona daje z siebie wszystko. Filharmonicy, wszyscy starsi od niej, niektórzy bardzo starzy, kiwają z uznaniem głowami. Nigdy nie będzie miała okazji zagrać solo z towarzyszeniem zespołu filharmonii, ale przecież należy do jednej z najlepszych orkiestr na świecie, i to wystarczy.

Hotel Adlon jest teraz szkieletem budynku. Restauracja u Hörchnera leży w ruinach. Porośnięty drzewami Tiergarten, gdzie w dzieciństwie bawili się jej rodzice i gdzie zaledwie dwa lata temu z estrady płynęły dźwięki Mozarta i Brahmsa, stał się wypaloną raną na ciele Berlina. Żeby pomóc berlińczykom w zachowaniu wiary i jako tako unormować życie w tym walącym się, niebezpiecznym mieście, Hitler postanowił, że sezon dla orkiestry będzie trwał nadal. Mają koncertować trzy czy cztery razy w tygodniu, zawsze późnym popołudniem, by uniknąć groźby porannych bombardowań Amerykanów czy nocnych nalotów RAF-u. Samoloty aliantów sprawiły, że orkiestra błąka się po Berlinie, od Beethovensaal, przez Admiralspalast, Titania-Palast, zmieniając miejsca prób i występów, a w tym czasie naprawiane są szkody w budynkach, które padły ofiarą ostatnich bombardowań.

Lottie nadal udziela lekcji kilku studentom, choć jej dom przy Regensburger Strasse został dwukrotnie trafiony i wypadły w nim wszystkie szyby. Kazała je ponownie wstawić. Jej czteropokojowe mieszkanie nie ucierpiało, mimo że inni mieszkańcy budynku mają dziury w ścianach. Kilka osób nawet zginęło. Lottie z matką mają jednak szczęście. Nie straciły dachu nad głową - wielki dom z surowego kamienia przy Savignyplatz, gdzie mieszka *Mutti*, stoi nietknięty - żadna z nich nie musiała też jak do tej pory przyjąć do siebie jakiegoś bezdomnego berlińczyka.

Lottie unosi głowę, budząc się z zamyślenia. Matka wciąż patrzy na wyędniałego nieznajomego, który siedzi naprzeciwko. Mężczyzna opuszcza wzrok, uciekając spojrzeniem swych ciemnych oczu przed jej wzrokiem. Jest zmieszany tym zainteresowaniem, jak również wysiłkami pozostałych ludzi w schronie, by nie zwracać na niego uwagi. Lottie chwyta jednak jego umykający wzrok i przez moment wydaje jej się, że rozumie zainteresowanie matki tym człowiekiem. Mężczyzna znowu spogląda w dół. Oboje żałują, że nie są w tej chwili gdzie indziej.

Na zewnątrz rozlega się syrena odwołująca alarm. Nikt w schronie się nie rusza, nawet dzieci, dopóki nieznajomy nie wstaje. Idzie sztywno. W brudnym pomieszczeniu jest zimno, ławki są twarde. Mężczyzna nie rozgląda się i nic

nie mówi. Ciężkimi krokami pokonuje schody. Grube drewniane drzwi są otwarte, więc wychodzi na alejkę kościelną.

Kiedy w górze trzaskają zamykane drzwi, ktoś wzdycha. Inni się śmieją, kiwają ze znużeniem głowami. Trzy godziny pełnego napięcia wyczekiwania dobiegły końca. Na zewnątrz świat, wyniszczony i zły, na chwilę oddycha z ulgą. Zebrani wstają, by powlec się na górę ku końcówce nocy i żalosnym początkom nowego roku w Berlinie. Tej nocy alarm trwał długo. Starszy pan proponuje Lottie pomoc w niesieniu wiolonczeli. Ona odmawia i sama taszczy instrument po schodach. Freya idzie za nią i obie wychodzą na ulicę.

W powietrzu wirują płatki śniegu. Lottie rozgląda się dookoła, Freya robi to samo. Wilmersdorf nie został zbombardowany. Syreny milkną. W obrębie miasta nie słychać już żadnego dźwięku. To był chyba fałszywy alarm. Angielskie bombowce mogły przelatywać nad Berlinem, kierując się ku innemu celowi, a potem tą samą drogą wracać w stronę Kanału. Albo też nadleciały, by zbombardować Berlin, i czekały, aż się przejaśni. Berlińczycy muszą jednak tkwić pod ziemią, dopóki bombowce nie opuszczą nieba nad miastem.

Ludzie ze schronu rozplątują się w ciemnościach. Głosy utyskujących cichną wśród płatków śniegu; inne schrony i piwnice także pustoszeją. W zrujnowanym mieście panuje całkowite zaciemnienie. Lottie nie potrzebuje dużo światła, by wiedzieć, że połowa budynków przy Pariser Strasse nie ma dachów. Podziurawiona lejami ulica przypomina piaskownicę monstualnego dziecka, które lubi kopać dołki łopatką i burzyć małe zamki. Freya pochyla się, by podnieść cegłę leżącą u jej stóp. Z przyzwyczajenia odłamuje kawałek zaprawy murarskiej i odkłada cegłę na ziemię, na później, do odbudowy Berlina. Słychać turkot świadczący o tym, że jednak w mieście toczy się życie: to kolejka z zaklejonymi oknami przejeżdża nadziemnym wiaduktem. Minęła wprawdzie druga w nocy, ale z powodu alarmu wznowiono ruch pociągów, które będą kursować jeszcze godzinę. Lottie do swego mieszkania może dotrzeć na piechotę. Freya pojedzie do Charlottenburga kolejką.

Lottie myśli o okropnościach, które widywała czasem po nalotach: trupy, dym i ogień. Dziękuje komuś za tę spokojną noc - Bogu, Papie, swemu żołnierzowi, tego nie wie - dziękuje, że tym razem nie ma pożarów i obyło się bez rzezi. Dziękuje, że jej wiolonczeli nic się nie stało. Freya czyści następną cegłę i kładzie ją obok poprzedniej.

- *Mutti*, po co to robisz? To głupie.

Lottie nie lubi tego ostrego tonu w swoim głosie, ale jest młoda, porywcza i mówi, co czuje.

Freya wzrusza ramionami. Wydaje się, jakby upatrzyła sobie płatek śniegu i obserwowała jego lot.

- A co innego można zrobić?

Lottie prycha, ten odgłos przypomina dźwięk rogu. W pobliżu, wśród padającego śniegu, nie ma nikogo. Jest późno i zimno, a na wielu stołach wciąż stoją kieliszki - jeszcze jeden głębszy z okazji sylwestra i kolejnej nocy, którą udało się przeżyć. Lottie chciałaby już wrócić do domu, ale coś ją niepokoi i nie pozwala pożegnać się z matką.

- Dlaczego się do niego odezwałaś?

Freya przenosi spojrzenie na córkę.

- Bo nikt inny by tego nie zrobił.

- I nikt nie powinien. Nie wiesz, kim on jest. Mógł być z gestapo.

- Lottie, *Liebchen* - śmieje się Freya. - Jak można mieć tak wspaniały słuch i tak kiepski wzrok? Czasami myślę, że jesteś jak ta wiolonczela. Potrafisz wydobywać cudowne dźwięki, ale chyba jesteś z drewna.

Lottie nie rozumie, czym tak rozdrażniła matkę. Zamierzała ją złąć za brak zdrowego rozsądku, za naruszenie zasad bezpieczeństwa. Wyślą ją do Ravensbrück, jeśli będzie rozmawiać z nieznajomymi. I narazi na to także własną córkę.

Lottie przytula do siebie futerał z wiolonczelą.

- Nie besztaj mnie tak, *Mutti*. Jestem już dorosła.

Freya unosi rękę, opierają na plecach Lottie i przeczesuje jej złote włosy.

- Tak. Wiem, *Liebchen*.

Śnieg kładzie się delikatnym opatrunkiem na berlińskie rany.

- Więc twoim zdaniem kim on był? - pyta Lottie.

Matka wsuwa ręce do kieszeni płaszcza. Sprawia wrażenie, jakby chciała zignorować pytanie i odejść. Lottie ujmuje rączkę futerału wiolonczeli.

Freya wbija obcas w śnieg. Lottie się zatrzymuje. Czyżby *Mutti* zamierzała jednak odpowiedzieć? Ale Lottie nie interesuje to na tyle, by miała tracić czas na zastanawianie się, kim był czy też nie był tamten mężczyzna. Chce wreszcie wrócić z wiolonczelą do domu i położyć się spać.

Na jej rzęsach osiadają wielkie śniegowe płatki. Matka wciąż namyśla się, czy odpowiedzieć.

To wahanie matki jest wręcz śmieszne, Lottie nie będzie czekać.

- *Mutti*, dobranoc. - Podnosi wiolonczelę. - Szczęśliwego Nowego Roku.

Ale Freya pierwsza odwraca się i odchodzi bez słowa.

Rozdział drugi

6 stycznia 1945, godzina 2.30
Biały Dom
Waszyngton, Dystrykt Kolumbia

Prezydentowi drżą ręce.

Próbując nad nimi zapanować, zająć je czymś, zmienia pozycję nóg. Podtrzymuje prawą nogę pod kolanem i układa ją obok lewej. Wygląda zagniecenia spodni na udach. Stara się, by jego nogi wyglądały schludnie, dba o nie, bo funkcjonują oddzielnie. Są bardziej dodatkiem do jego ciała niż jego częścią. W popielniczce obok kanapy pali się papieros. Bierze go do ręki i zaciąga się. Wydmuchując dym z płuc, unosi podbródek jak wtedy, gdy jest filmowany. Obserwuje żarzący się, czerwony koniuszek i popielejący tytoń - który poruszony spada. Zaciąga się jeszcze raz.

Prezydent słyszy oklaski. Skąd dochodzą? Jest w swoim gabinecie, sam, nie na platformie wagonu prezydenckiego, nie na spotkaniu wyborczym gdzieś aa prowincji. To już należy do przeszłości. Za dwa tygodnie rozpocznie czwartą kadencję. Gdzie więc te tłumy?

Są w jego wyobraźni. Czuje tętnienie w skroniach, to nie oklaski. Opuszcza rękę z papierosem. Wypuszczając dym z ust, podnosi szklankę i dopij; scotcha. Bez lodu. Jak zwykle. Ktoś właśnie wyszedł z gabinetu. Maloney. Nie, on ma dopiero przyjść. To był O'Mahoney, senator z Wyoming. Stary przyjaciel, sprzymierzeniec. Miło się z nim gadało. Teraz przyjdzie Frank Maloney. Z Connecticut.

Gasi papierosa, po czym kładzie dłonie na udach. Patrzy na swe duże ręce. Są grube i wciąż silne, chociaż ma już sześćdziesiąt dwa lata, za kilka tygodni skończy sześćdziesiąt trzy. Dlaczego drżą? Gniotą przy tym lekko materiał który dopiero co rozprostował.

Prezydent siedzi nieporuszony na kanapie, starając się zachować równowagę. Utkwił spojrzenie metr przed sobą, jakby w próżni. Owalny Gabinet jest zamazany,

jedne kolory przechodzą w drugie - to miłe i uspokajające wrażenie. Zostanie tu jeszcze przez parę minut, jak kot w koszyku z wełną, i odpocznie.

Słyszy, że otwierają się drzwi. Z papierosowego dymu wyłania się sylwetka potężnie zbudowanego mężczyzny. Wesołym głosem gość mówi:

- Dzień dobry, panie prezydencie.

Nie otrzymawszy odpowiedzi, siada w fotelu z wysokim oparciem i częstuje się papierosem z paczki, która leży na stole. Zapala i w pokoju robi się aż gęsto od dymu. Prezydent obserwuje snujące się kłęby.

Frank Maloney, to on. Z Connecticut. Chyba coś mówi - ależ tego dymu...

Cisza. Prezydent pochyla głowę, sztywny kołnierzyk koszuli wrzyna mu się w policzek. Chciałby się skulić, ale posadzony na kanapie, ze swoimi beużytecznymi nogami, tkwi jak lampa na stole; musi więc siedzieć wyprostowany.

Chce porozmawiać z człowiekiem w fotelu obok - zaraz, kto to jest? Ktoś z Connecticut. Prezydent trzyma ręce na udach w zmiętych nogawkach. Bezwład w nogach (jak mogą nie być mu posłuszne!) ogarnia także drżące ręce, posuwa się w górę, by ovladnąć resztą jego ciała.

Mężczyzna unosi się z fotela.

- Panie prezydencie?

Pochyla się, jego głowa, ramiona i pierś zlewają się w jedno. Mgła. Oklaski aż huczą.

Mężczyzna odwraca się i biegnie do drzwi, krzycząc:

- Jest tam kto? Pani Tully, on ma sine usta! Niech ktoś tu przyjdzie!

Gabinet jest pusty. Roosevelt przygryza dolną wargę, by poczuć ból. Z trudem podnosi ręce do twarzy. Zakrywa palcami oczy, czuje ucisk opuszków na zasłoniętych powiekami gałkach ocznych, przyciska ciepłe dłonie do ust, które pewnie sinieją. Jakby pod wpływem tych czynności zamyka się jakiś obwód i drżenie ustępuje. Otwiera oczy pod rozsuniętymi palcami. Kolory w pokoju wróciły na swoje miejsca.

Oklaski umilkły. Czuje tępy ból na dnie oczodołów. W pokoju panuje cisza. Próbuje zacisnąć pięści, by sprawdzić, czy ręce są mu posłuszne. Po chwili odzyskuje w nich władzę, znowu są silnymi narzędziami, jak w czasach młodości.

Bierze kilka głębokich oddechów. Wygląda spodnie. Jego nogi muszą wyglądać jak zdrowe. Pokazuje się publicznie tylko w dwóch pozycjach: stojąc za mównicą, z nogami w szynach, albo siedząc w kabriolecie. Naród nie może zobaczyć ani śladu ułomności, a już na pewno nie wtedy, kiedy świat oczekuje od Ameryki demonstracji siły. Wyglądziwszy materiał, podnosi rękami prawą nogę i kładzie ją znowu na lewą. Przykłada zapaloną zapałkę do kolejnego papierosa i zaciąga się głęboko. W miarę jak wciąga dym w płuca, jego umysł się rozjaśnia. Prezydent unosi podbródek, czekając na powrót Maloneya. Przyśle

go tu z powrotem Grace Tully, jedna z sekretarek w Białym Domu. Powie mu, że nie ma powodu do niepokoju, wszystko jest w porządku, zaraz będzie dobrze. Prezydent jest po prostu zmęczony, za dużo pracuje i tak dalej. Gość może wracać.

Minutę później pulchny senator, zakłopotany, rzeczywiście zagląda przez uchylone drzwi. Czego się spodziewał? Że zobaczy prezydenta martwego? W stanie zapaści?

- Wejź, Frank, na miłość boską, wchodźże! Zamknij drzwi. Nalej sobie scotcha, wiesz, gdzie jest. Mnie też dolej przy okazji.

Maloney zbliża się i pyta prezydenta o samopoczucie. Roosevelt da mu odpowiedź, którą senator zapamięta lepiej niż to, co zobaczył tu przed chwilą. Jak się czuję? Tak dobrze, jak wszyscy inni, myśli Roosevelt, i nogi, i reszta, do cholery. Nigdy nie czułem się równie świetnie, Frank! No bo pomyśl, ta przeklęta wojna, wybory, rozpoczęcie nowej kadencji, i Churchill, którego muszę holować! Eleanor wyjechała, powinienem jej towarzyszyć, ale tkwię tutaj, bo mam kupę roboty. Cha, cha!

Poświęca Maloneyowi całe pół godziny. Opowiada historyjki, śmieje się, słucha jego propozycji i wyraża zgodę w swój charakterystyczny sposób: kiwa głową i wydaje życzliwe pomruki. Potem, po wyjściu Maloneya, zawsze może zmienić decyzję, jeśli sprawa powróci formalnie, poprzez komitet. Nie lubi się spierać i ranić cudzych uczuć. Woli sprawiać przyjemność swoim rozmówcom, lubi ich sobie zjednywać, pragnie być lubiany przez wszystkich - zarówno przez pojedyncze osoby, jak i tłumy. Nie potrafi nikogo zwolnić z pracy, nigdy tego nie umiał. Powierza takie przykre sprawy innym. Eleanor powiedziała kiedyś Churchillowi, że jeśli prezydent mówi „tak, tak”, to nie znaczy wcale, że się zgadza, tylko że słucha.

Maloney wychodzi. Prezydenta cieszy świadomość, że spełnił oczekiwania swego gościa, uspokoił go. Do pokoju wślizguje się Grace Tully, minawszy się w drzwiach z otyłym senatorem.

- Panie prezydencie, pan to potrafi czarować ludzi.

- Zawsze byłem w tym dobry - odpowiada, unosząc brodę. Między zębami trzyma papierosa. Porusza szczęką i wtedy papieros drga w rytm słów.

Pani Tully wręcza mu nieduży plik papierów.

- Wstrzymałam przekazanie pańskiej decyzji do czwartej.

- Dobrze - mówi prezydent. - Przyłącz się do mnie.

Kobieta się śmieje.

- Innym razem. - Podaje mu czerwoną teczkę ze ściśle tajnymi dokumentami.

- Kolejny list miłosny - uśmiecha się i zamierza odejść.

- Grace. Chciałbym spotkać się na drinku z Harrym, Rosenmanem i Anną. Odwracając się, sekretarka daje znak ręką - zajmie się tym.

Popołudniowy drink to jego stały rytuał. Pochodzi z czasów, gdy Roosevelt sprawował urząd gubernatora w Albany; celebryta ten obyczaj już przez trzy kadencje prezydenckie - niebawem będzie już czwarta - w swoim ulubionym pokoju, w gabinecie na drugim piętrze Białego Domu. Pełno tam obrazów marynistycznych, modeli statków, stert papierów, starych, przytulnych mebli. W ciągu tej godziny nie rozmawia się o polityce, chyba że są to plotki, anegdoty czy wspomnienia. Roosevelt może się wtedy odprężyć i oddać się miłemu zajęciu sprawiania przyjemności innym. Eksperymentuje, komponując nowe koktajle, łączy ze sobą w różnych proporcjach dzin, wermut, rum i soki owocowe. Goście dobierani są starannie. Muszą należeć do sfery Roosevelta i doceniać jego opowieści, nawet te oklepane, które ciągle powtarza, by zabawić słuchaczy, za każdym razem trochę je zmieniając. Eleanor nieczęsto bierze udział w tych spotkaniach; nie czuje się dobrze wśród pijących, ma uraz z dzieciństwa, bo jej ojciec był alkoholikiem. Harry Hopkins, główny doradca Roosevelta, lubi się pośmiać i dobry z niego gawędziarz, choć jest słabego zdrowia i ma chorobliwie szczupłą sylwetkę. Sam Rosenman, tytułowany sędzią, ponieważ niegdyś zasiadał w Sądzie Najwyższym Stanu Nowy Jork, jest wieloletnim urzędnikiem w gabinecie prezydenta i autorem jego przemówień. Ma mocną głowę i zna wszystkie plotki krążące po Dystrykcie Kolumbia. I wreszcie jego uroczą córkę, Anna, jego pierworodną, która w lutym czterdziestego czwartego przeprowadziła się do Białego Domu, do dawnych pokoiów Harry'ego w apartamentach Lincolna, i mieszka teraz krok od ojca. Anna pełni właściwie obowiązki gospodyni Białego Domu. Eleanor jest zbyt zajęta swoją działalnością. Czasem po koktajlu, gdy goście już się rozejdą, Roosevelt siedzi godzinami z Anną: zajmuje się swą kolekcją znaczków, gra w karty, czyta, wiedząc, że ma w pobliżu uwielbiającą go córkę. Czasem z nią spiskuje.

Przebiega palcami po czerwonej teście, rozwiązuje sznurek. Kolejna depesza od Winstona. Wyjmuje z kieszeni koszuli okulary do czytania.

Churchill chciałby znowu spotkać się z nim prywatnie, tym razem na Malcie, brytyjskim terytorium na Morzu Śródziemnym. To po drodze do Jałty na Krymie, miejsca niedalekiej konferencji z Wujem Joe. Roosevelt czyta:

Jeśli chciałbyś spędzić na Malcie nie więcej niż jeden dzień, na pewno można zorganizować to tak, aby nasi szefowie sztabów przybyli tam, powiedzmy, kilka dni wcześniej i odbyli wstępne rozmowy. My potem moglibyśmy kontynuować...

Roosevelt nie chce widzieć się z Churchillem, dopóki nie spotka się ze Stalinem w Jałcie. Wuj Joe jest podejrzliwy, może pomyśleć, że w miarę zbliżania się końca wojny Roosevelt odsłania swoje prawdziwe intencje: woli Brytyjczyków od Rosjan. A tak nie jest. Właśnie to próbował dać Stalinowi do zrozumienia od początku wojny: po wojnie na arenie politycznej pozostaną Amerykanie i Rosjanie. Brytyjczycy zaś dostaną dobre miejsca na widowni.

- Grace! - woła. - Sprowadź tu Harry'ego.

Słyszy jej odpowiedź.

Dodaje: - I wezwij chłopaka z marines.

Chwilę później do Owального Gabinetu wchodzi wysoki kapral w mundurze galowym, pchając wózek inwalidzki prezydenta. Prezydent unosi się, oparty na jego ramieniu. Nogi, pozbawione wsparcia pięciokilowych metalowych szyn, palą go nawet przy tak niewielkim wysiłku, jakiego wymaga podniesienie się z kanapy i przemieszczenie na wózek. Jeśli już muszą być tak cholernie bezużyteczne, myśli, to przynajmniej mogłyby nie sprawiać bólu. Szyny także przysparzają mu cierpień. Czy nie można zrobić takich, które nie wrzynałyby się w ciało? Ale nie, poniżeniu i rozgoryczeniu zawsze towarzyszy ból. Nie da się o nim zapomnieć, człowiek nigdy się do niego nie przyzwyczaja. To dobrze, przyznaje. Bo nie chce się przyzwyczaić.

Przenoszony przez żołnierza z kanapy na wózek, Roosevelt czuje ciężar swego ciała. Chyba jeszcze stracił na wadze. Waży siedemdziesiąt trzy kilo. Jego lekarzowi „od serca” nie podoba się, kiedy prezydent schodzi poniżej osiemdziesięciu dwóch. Ale on sam jest zadowolony ze swej szczupłej sylwetki, chwali się przed Anną płaskim brzuszkiem. Cały ciężar jego ciała stanowią ramiona i brzuch; mięśnie nóg i bioder zanikły wiele lat temu.

Kiedy już żołnierz posadził prezydenta na wózku i podwiózł go do biurka, kieruje się do wyjścia, nie odezawszy się ani słowem. Roosevelt mówi „dziękuję”, a ten staje na baczność i salutuje. Roosevelt porusza papierosem w ustach i ruchem ręki odprawia żołnierza.

Parę minut później pojawia się Harry Hopkins. Wchodzi cicho do pokoju, jest tak szczupłej budowy, że prawie nie słychać jego kroków. To najbliższy doradca prezydenta, w latach trzydziestych pracował w WPA*, był także sekretarzem do spraw handlu. Pewnego wieczora wiosną czterdziestego roku Harry zjawił się na kolacji w Białym Domu i został tu na trzy i pół roku. Zamieszkał z młodszą córką w części prywatnej budynku, a wyprowadził się w grudniu czterdziestego trzeciego na życzenie swojej nowej żony. Harry, *alter ego* prezydenta, jest jego przedstawicielem i najbardziej zaufanym współpracownikiem. Wie, kiedy rozmawiać z prezydentem, kiedy opowiedzieć mu dowcip, a kiedy zamilknąć. Teraz, gdy między nim a prezydentem stanęła żona, stosunki z szefem zmieniły się, bo musiały się zmienić. Jednak nikt lepiej niż Hopkins nie wyczuwa nastrojów Roosevelta i nikt, nawet Eleanor, nie jest dla niego takim autorytetem.

Od kilku lat Harry choruje, często przebywa w szpitalu. Ma kłopoty z przyswajaniem tłuszczów i białka. Roosevelt patrzy, jak Harry sadowi się w fotelu.

* Work Projects Administration - agencja federalna (1935-1943) zajmująca się administrowaniem robót publicznych w celu zmniejszenia bezrobocia [przyp. tłum.].

Mężczyzna przypomina worek kości. Spójrzcie na niego. Zupełnie przestał dbać o wygląd. Obszerny garnitur, palce pożółkłe od nikotyny, bo pali jednego papierosa za drugim. Mój Boże, ma okropnie zapadnięte i podkrążone oczy! W trzydziestym dziewiątym roku powiedziano mu, że ma tylko cztery tygodnie życia. Roosevelt osobiście zajął się tą sprawą, przyleciał z zespołem lekarzy specjalistów, którzy zalecili eksperymentalnie transfuzję plazmy. Ten zabieg przedłużył Harry'emu życie. A jednak...

- Harry, wyglądasz fatalnie.

- Dziękuję, panie prezydencie - stary przyjaciel krzywi usta w uśmiechu. - Prawie o tym zapomniałem.

Roosevelt rzuca mu czerwoną teczkę.

- Znowu Winston.

Harry kieruje wzrok na depeszę.

- Wciąż na temat Malty.

- Ciągłe powtarza, że chciałby się ze mną zobaczyć przed spotkaniem Wielkiej Trójki.

Hopkins zaciska usta w wyrazie dezaprobaty dla postawy Churchilla.

- Pamięta pan, co powiedział w zeszłym tygodniu? Że nie widzi możliwości przeprowadzenia naszych zamiarów co do podziału świata w pięć czy sześć dni, bo nawet Wszechmogącemu zajęło to tydzień.

Roosevelt potakuje. Dobrze zna upór Churchilla.

Harry kręci głową.

- A co to za pierdoły napisał panu na Nowy Rok?

Roosevelt unosi palec, dając znak, że sam chce to powiedzieć:

- „Nie wahajmy się dłużej! Z Malty do Jałty! Niech nikt nam nie przeszkodzi!”

- Boże drogi! - Harry zaczyna się śmiać. - Co za typ.

Roosevelt śmieje się razem z nim.

- Słuchaj, Harry, jestem temu przeciwny. Zjem obiad na Malcie, wypiję parę drinków, ale nie chcę żadnych nasiadówek. Szefowie sztabów mogą się spotkać, niech to ma charakter militarny, nie polityczny. Nie my obaj, ja i Winston, nie oficjalnie. Wujowi Joe to by się nie spodobało.

- Napiszę odpowiedź.

- Dobra.

Hopkins wyjmując z kieszeni marynarki paczkę papierosów. Wytrząsa jednego i wyciąga go ustami. Zapałki ma już w ręce.

- On się na to nie zgodzi, Harry.

Roosevelt ma ochotę odsunąć się od biurka, wstać i przejść się po pokoju. Pragnienie swobody, ruchu - nigdy mu to nie minie. Zamiast tego zdecydowanym gestem kładzie ręce na blacie.

- Nie żyjemy w siedemnastym wieku. Epoka kolonializmu już się skończyła. I dla Anglii, i dla Europy. Mieliśmy dwie wojny światowe w dwóch kolejnych pokoleniach. Wszystko się zmieniło. Cały świat się zmienił.

- Winston to imperialista w starym stylu - zauważa Hopkins. - Nawet kiedyś to powiedział. Jak to było? „Nie po to zostałem premierem u króla, żeby pozwolić na upadek brytyjskiego imperium”.

Roosevelt ponownie uderza dłońmi o blat.

- Harry; wymień choć jedną dobrą rzecz, jaką Brytyjczycy przez czterysta lat zrobili dla swych poddanych w koloniach.

- No tak, cholernie mało.

- To się musi zmienić, Harry. Braliśmy udział w pierwszej wojnie światowej, żeby umocnić demokrację na świecie, a umocniliśmy imperializm. Wygląda na to, że po tej wojnie też tak będzie. A przecież nie o to chodzi Narodom Zjednoczonym. Jeśli Anglia chce, żebyśmy pomogli jej pozostać światową potęgą, musi skończyć z tym nachalnym imperializmem. Musi zacząć się z nami liczyć, Harry. Anglicy nie są do czegoś takiego przyzwyczajeni. Nie będą mieli jednak innego wyjścia, gdy zakończymy za nich tę wojnę.

Hopkins robi notatki. Wciąż patrząc na kartkę, unosi wolną rękę i wystawia kciuk do góry. Tak trzymać. Roosevelt mówi w przestrzeń:

- Nie zrozum mnie źle, uwielbiam Winstona. Jest jednym z największych ludzi tego stulecia, co do tego nie ma wątpliwości. Ale chce utrzymać dotychczasowy układ sił. Powiedziałbym mu coś: to właśnie z powodu owego układu mamy obecną wojnę. Jego polityka opiera się na tych samych napięciach i przymierzach, które uniemożliwiły utrzymanie pokoju po pierwszej wojnie światowej. W efekcie Ameryka dała się wciągnąć w dwa konflikty, które w zasadzie jej nie dotyczyły. To przestarzała polityka. Co w takiej sytuacji można zrobić?

Harry wkłada papierosa do ust. Wciąż pisząc, mówi z papierosem przyklejonym do warg:

- Anglia cała jest niedzisiejsza, panie prezydencie. Co w takiej sytuacji można zrobić?

Roosevelt kiwa głową.

- Narody Zjednoczone, Ameryka, Wielka Brytania. Chiny i Rosja. Musimy wciągnąć w to Rosję, bo inaczej się nie da.

Hopkins kończy pisanie i podnosi głowę. Wygląda jak zagłodzone, zaniebane psisko.

- Pański pupil, Stalin, to kawał drania.

- Och, Joe jest w porządku, Harry. Po prostu wykorzystuje okazję.

- To dyktator.

- I na dziesięciu Niemców ośmiu zabił podczas tej wojny Stalin. Kiedy to się skończy, będzie miał, do cholery, większe prawo niż my zasiąść u szczytu stołu konferencyjnego. A już z pewnością większe niż Anglia czy Francja.

- To szczwany lis, panie prezydencie.

- Wie, czego chce, to wszystko. Jest politykiem z krwi i kości. Po Stalingradzie wyobraża sobie, że może skopać Szwabom dupę bez naszej pomocy. Należy więc dać mu do zrozumienia, że go lubimy, lubimy Rosjan i chcemy z nimi współpracować. Od razu zmiękną. Ale musimy z nimi trzymać także po wojnie, Harry. Nie obchodzi mnie, czy Winston będzie rwał włosy z głowy w drodze do Moskwy i z powrotem. Musimy utrzymać przy życiu Narody Zjednoczone i do tego potrzebni nam są Rosjanie. To moja wizja, Harry. Moje przesłanie. Trwały pokój światowy po dwóch wojnach. Żadnej polityki mocarstwowej. Żadnej dominacji.

Roosevelt kiwa głową, gdy mówi te słowa. Jest zmęczony, chce, żeby Harry już sobie poszedł. Hopkins to wyczuwa i wstaje.

- Za pół godziny będę miał dla pana ten telegram.

- Świetnie. Spotkamy się na drinku?

- Grace właśnie mi go wpisała do planu dnia.

Hopkins wychodzi. W Owalnym Gabinetecie ożywają teraz wizje i dążenia poprzednich prezydentów, którzy podejmowali tu najważniejsze decyzje. Stalin... Drań. Dyktator. Roosevelt to wie. Ambasador Harriman i inni nie pozwalają mu o tym zapomnieć. Ale ci wszyscy, którzy go przed nim ostrzegają, nie doceniają siły Ameryki. Pokażemy radzieckim przywódcom, że z potężną Ameryką, jako partnerem i jednocześnie przeciwwagą polityczną, ich kraj może stać się zamożny i nowoczesny. Nie będzie konieczne tak brutalne traktowanie społeczeństwa. Rosję można poskromić. Rozumiał to już mentor Roosevelta, Wilson, który pełnił urząd prezydenta w czasie rewolucji rosyjskiej. Podobnie jak Roosevelt, podziwiał wolę rosyjskiego narodu, jego zdolność do poświęceń, cierpienia i moc odradzania się. Ci ludzie potrafią poruszyć wyobraźnię.

Roosevelt naprawdę żałuje, że Stalin to tyran. Ale komunizm jest w gruncie rzeczy egalitarną formą rządów, czyż nie? Komuniści chcą podziału dóbr, dopuszczenia do władzy wszystkich klas, od najniższych do najwyższych, i wreszcie stworzenia społeczeństwa bezklasowego. To wcale się nie różni tak bardzo od mojego Nowego Ładu, myśli Roosevelt. Historia na pewno dostrzeże podobieństwa, nawet jeśli współcześni ich nie zauważają. Gdyby nie te represyjne metody, można by uznać Stalina za jeszcze jednego postępowego liberała albo socjalistę. W Ameryce pełno jest socjalistów. Tak samo Churchill - mógłby być republikaninem, zwolennikiem zachowania *status quo*, bo ma w tym swój interes.

I co z tego, że Wuj Joe chce rozszerzyć granice swoich wpływów w Europie Wschodniej? Rosja ma prawo bronić swych granic. Ileż to razy agresorzy wkraczali na jej terytorium przez Polskę? To przykre, ale być może Europa Wschodnia będzie musiała stać się po wojnie mięsem, które reszta z nas rzuci temu niedźwiedziowi, Rosji. Niewysoka cena, myśli Roosevelt, za ustanowienie pokoju na świecie. Narody Zjednoczone będą musiały jedynie powstrzymać rosyjski ekspansjonizm, tak jak trzeba będzie temperować imperializm brytyjski.

Po wojnie zmieni się w Europie Zachodniej układ sił Niemcy i Francja są wycieńczone. Anglia goni ostatkiem sił. Gdyby Rosja zajęła ich miejsce, to wcale nie byłoby źle. Jeśli udałoby się nawiązać z nią współpracę, Ameryka mogłaby zrobić znacznie więcej dla Europy i świata niż niegdyś tamte wielkie potęgi.

Z tej wojny musi wynikać coś wielkiego. Nowy raj, nowy świat.

Ale Churchill wciąż drażni Stalina. W marcu czterdziestego drugiego, zaledwie trzy miesiące po przystąpieniu Stanów Zjednoczonych do wojny, Roosevelt zmuszony był napisać do Winstona:

Wiem, że nie będziesz miał mi za złe, jeśli powiem ci bez ogródek, że lepiej sobie radzę ze Stalinem niż twoje Foreign Office czy mój Departament Stanu. Stalin nienawidzi wszystkich twoich oficjeli. Mnie natomiast lubi i mam nadzieję, że to się nie zmieni.

Roosevelt spotkał się po raz pierwszy ze Stalinem w listopadzie czterdziestego trzeciego roku w Teheranie. Dla Stalina było to i tak zbyt daleko od Moskwy. Odbił wówczas jedyną podróż samolotem, i jak zapewniał Roosevelta, ostatnią. Prezydent zignorował nalegania Churchilla, by zatrzymał się razem z nim w ambasadzie brytyjskiej. Przyjął zaproszenie Wuja Joe i zamieszkał na terenie ambasady radzieckiej.

Podczas spotkania w Teheranie Roosevelt robił wszystko, co mógł, by nawiązać ciepłe stosunki ze Stalinem. Krępy marszałek w musztardowym prostym mundurze z potężnymi naramiennikami był początkowo sztywny i nieprzystępny, nie ujawniał ludzkiego oblicza, choć Roosevelt roztaczał cały swój urok osobisty. Prezydent widział się z nim trzykrotnie, odrzucając jednocześnie zaproszenia Churchilla na choćby jeden prywatny lunch. Rozmowy plenarne były rzeczowe, ale w gruncie rzeczy zatwierdzano to, co Roosevelt i Stalin ustalili pod nieobecność Churchilla. Oficjalne kolacje przebiegały w atmosferze napięcia, bo Stalin i Churchill wymieniali pełne ironii pochlebstwa. Stalin nie zapominał, że dwadzieścia cztery lata wcześniej Churchill wystąpił w Parlamencie przeciwko rewolucji rosyjskiej, popierając interwencję oddziałów brytyjskich i finansowe wsparcie cara w walce z siłami Lenina. Roosevelta bawiła jawna wrogość tych dwóch, miał bowiem nadzieję, że wzmocni ona względnie życzliwe nastawienie Stalina wobec Ameryki.

Roosevelt od dawna planował następny ruch. W czasie jednego z oficjalnych spotkań nachylił się do Stalina i wskazał brytyjskiego premiera, który był przeziębiony. Scenicznym szeptem, by wszyscy słyszeli, powiedział: „Winston jest chory, bo wstał dziś lewą nogą”. Kiedy jego uwaga została przetłumaczona, zauważył lekki uśmieszek na ustach Stalina. Ciągnął więc dalej i drażnił się z Churchilllem, podnosząc temat jego typowo brytyjskich cech charakteru i podobieństwa do Johna Bulla. Churchill był coraz bardziej poirytowany i zagniewany czerwieniał na twarzy, aż wreszcie Stalin wybuchnął śmiechem. Pierwszy raz w ciągu tych trzech dni Roosevelt poczuł, że między nim a Stalinem nawiązała się pewna więź. Wtedy właśnie nazwał marszałka „Wujem Joe”. Przeliczył się jednak. Stalin natychmiast stracił dobry humor. Chciał odejść od stołu. Dopiero gdy Roosevelt wyjaśnił, że miał to być komplement, porównanie z pieszczotliwym określeniem Ameryki „Wuj Sam”, udało mu się ułagodzić marszałka.

Podczas kolejnej narady dotyczącej powojennych losów Niemiec, w dniu sześćdziesiątych dziesiątych urodzin Churchilla, Stalin zażartował, że na zakończenie wojny należałoby wybrać pięćdziesiąt tysięcy niemieckich oficerów i ich rozstrzelać. Churchill uznał to za dowcip w złym guście. Próbuąc ich pogodzić, Roosevelt stwierdził, także żartem, że liczba podana przez Stalina jest zbyt duża i powinno się pójść na kompromis. Można zastrzelić tylko czterdzieści dziewięć tysięcy. Churchill opuścił pokój zde gustowany, ale Stalin, łagodząc incydent, sprowadził premiera z powrotem. Wtedy najstarszy syn Roosevelta, Elliott, kapitan Korpusu Lotniczego Wojsk Lądowych, zaczął błaznować i wykrzyknął: „Do diabła, dlaczego nie zastrzelić stu tysięcy!” Stalin wstał i uściśnął młodego człowieka.

W Teheranie zapadły ważne decyzje. Wuj Joe był zadowolony. Churchill został przegłosowany. Roosevelt uznał więc konferencję za wielki sukces.

Teraz, kiedy zbliżał się koniec wojny, prezydent nie widział powodu, by zmieniać obraną linię. „Nie wahajmy się. Niech nikt nam nie przeszkodzi”.

Harry Hopkins wraca ze zredagowaną depeszą do Churchilla. Prezydent czyta ją uważnie. Zmienia datę przybycia na Maltę z pierwszego stycznia na drugi. Tego samego dnia ma wydać przyjęcie w Jafcie, nie będzie więc czasu na oficjalne spotkanie z Winstonem. Może zje z nim obiad.

- Prześlij to także Wujowi Joe - mówi do Harry'ego. - W ten sposób program spotkań zostanie ustalony i zamkniemy sprawę.

Harry odwraca się, by wyjść. Przez marynarkę widać, jak sterczą mu łopatki.

Roosevelt bierze papierosa. Myśli o Winstonie i jego cygarach, wielkich, okazałych. Kiedy je pali, ma kłopoty z domknięciem ust. Mówi, trzymając je w zębach, przez co jego ochryply monotony głos nabiera ostrości. Roosevelt lubi Winstona Churchilla, podziwia jego wiktoriańską retorykę. Przykro mu,

że musi tak deprecjonować postać jednego z najbardziej niezwykłych ludzi w historii, przywódcę wielkiego i odważnego narodu.

Prezydent kładzie dłoń na nogach, rozprostowuje potężne palce na bezwładnych udach. Patrzy na chude ręce przyjaciela, które kołyszają się, gdy idzie, i na jego ziemisty kark. Harry. Umiera już od kilku lat.

Roosevelt zastanawia się nad dziwnym stanem, który ogarnął go godzinę temu w obecności Maloneya. Wyczerpanie. Utrata jasności myślenia. Niedobrze, cholera.

Przełyka ślinę, czując nieprzyjemną gorycz w ustach - to strach. Żeby pozbyć się tego smaku, zapala papierosa. Zaciąga się i gasi go.

Harry i ja, Winston i Joe. Ameryka. Anglia. Planeta pełna ludzi i narodów. Pokój będzie kosztował. Ale nadejdzie. Zaprowadzimy go razem.

Opada plecami na oparcie fotela i zamyka powieki. Jest coś takiego w Białym Domu - ten budynek nie znika, kiedy zamknie się oczy. Roosevelt ma wrażenie, że w Owalnym Gabinetcie historia szepcze mu do ucha: Otwórz oczy, Franklin.

Posłusznie je otwiera. Słyszy dawnych, nieżyjących już prezydentów.

Przemawiają dziesiątkami głosów.

Niech ci nie będzie przykro. Za nic. Cokolwiek robisz jako prezydent. - Wiemy, co mówimy, synu.

Historii nie tworzą ludzie, którym jest przykro.

11 stycznia 1945, godzina 13.30

Kwatera Główna Naczelnego Dowództwa

Alianckich Ekspedycyjnych Sił Zbrojnych, Reims

Francja

Jeśli nałoży się na siebie twarze wszystkich mieszkańców Kansas, mężczyzn, kobiet i dzieci, otrzyma się twarz generała Dwighta D. Eisenhowera.

Bandy zrobił setki jego zdjęć dla „Life'u”. Na każdym uchwycił podbródek farmera, oczy starego mieszkańca równin, miękkie policzki i cerę mleczarki, rysy dziewczyny i włosy bobasa. Jakimś cudem, gdy Bandy zwalnia migawkę, Ike nigdy nie mruży oczu, nigdy nie ma otwartych ust ani przekrzywionej czapki. Zachowuje spokój, gdy jest zagniewany, stateczny krok, gdy się spieszy, stanowczość, gdy jest miły i uprzejmy. To ucieleśnienie przeciętnego Amerykanina z Abilene.

Bandy stoi przy drzwiach i czeka. Jest w dużym pomieszczeniu, które kiedyś pełniło funkcję sali bankietowej w tym byłym technikum dla chłopców.

Kryształowy żyrandol wiszący u sufitu musi ważyć tonę. Każdy fragment ścian i stołu pokrywają mapy wojskowe. Poznaczone są czarnymi, czerwonymi, niebieskimi i zielonymi strzałkami, które tworzą zwariowany wzór symbolizujący ruchy żołnierzy i sprzętu.

Pracujące w sztabie kobiety obsługują centralę telefoniczną - przekładają wtyczki z gniazdka do gniazdka. Młodzi mężczyźni w surowych oliwkowobrazowych mundurach chodzą w lewo i w prawo, roznosząc papiery, Bandy ma wrażenie, że tylko zamieniają je miejscami. Jakiś jasnowłosy chłopak pochyla się nad mapami, coś rysuje, potem wyciera gumką, odmierzając ołówkiem ludzkie życie i śmierć. Żaden dźwięk w tym wielkim pomieszczeniu i w innych pokojach dalej wzdłuż korytarza nie wybija się ponad inne, wszystkie mają to samo natężenie. W Kwaterze Głównej Naczelnego Dowództwa Alianckich Ekspedycyjnych Sił Zbrojnych szumi jak w ulu. Bandy obserwuje Eisenhowera w środku tego rojowiska, generał pali camele - jednego za drugim. Wskazuje coś, poklepuje młodych ludzi po plecach, rozmawia przez telefon, staje nad mapami i zastanawia się, cały czas wydmuchując kłęby dymu.

Bandy wyjechał z domu trzy dni po Nowym Roku. „Life” wysłał po niego z Memphis samochód, który zabrał go do bazy lotniczej. Stamtąd Bandy poleciał do Norfolk, gdzie wszedł na pokład okrętu dostawczego marynarki płynącego do Londynu. Potem był już tylko krótki lot do Paryża i jazda samochodem do Reims. Cała podróż trwała sześć dni. W drodze nie pisał listów do Victorii, nie rozstali się przyjaźnie. Poradzi sobie, myśli Bandy. Zawsze tak było. Teraz też sobie poradzi.

Ona po prostu nie rozumie, i na tym polega problem. Bandy postukuje nogą o wytarty orientalny dywan. Sześć metrów dalej Ike robi to samo, zniecierpliwiony jakimś raportem, którego wysłuchuje przez telefon. Na ramieniu Bandy'ego wisi torba z aparatami. Mieści się w niej nowa trzydziestopięciomilimetrowa leica i stary wysłużony speed graphic. Są cenne, ale nie tylko ze względu na wartość materialną. Dla Bandy'ego to coś więcej niż narzędzia pracy - nadają sens całemu jego życiu. Bez nich byłby jedynie farmerem uprawiającym tytoń, zwykłym człowiekiem, takim samym jak inni. Z nimi natomiast ma okazję stawać tak blisko ognia historii, że czuje jego żar. To, co widzi Bandy, oglądają potem całe Stany. Ale on może zobaczyć to jako pierwszy.

Eisenhower jeszcze go nie zauważył. Wszystko przesłaniają kłęby dymu, które snują się wokół niego. Rozmówcy generała wchodzi w tę chmurę, i z niej wychodzą. Eisenhower ocenia znaczenie tego, o czym go informują, a potem trochę, jak pogoda w Kansas, przesuwa się dalej, do innych ludzi czy spraw, związanych z wojną. Bandy zastanawia się, czy generał, paląc te swoje camele, nie zaciąga się czasem domieszką starego dobrego tytoniu z Tennessee.

Eisenhower gasi papierosa w popielniczce stojącej na olbrzymim stole pomiędzy mapami. Wsuwa dłoń do kieszeni koszuli w poszukiwaniu rozpoczętej paczki. Paczka jest pusta. Niezadowolony zgniata ją w kulkę. Bandy sięga po nową paczkę i rzuca tak, żeby upadła na mapy i zatrzymała się tuż przed Ikiem. Generał unosi głowę. Spogląda, lekko nachylony, któż to ośmiela się rzucić cokolwiek naczelnemu dowódcy sił alianckich.

- Charley?

- Generale.

Eisenhower otwiera paczkę, patrząc na Bandy'ego.

- Słyszałem, że pojechałeś do domu.

- Ale wróciłem, sir.

- Uważam to za swoje niedopatrzenie, synu. Przepraszam. Twoja żona jakoś to zniosła?

- Całkiem dobrze, sir.

- Przekaż jej moje przeprosiny. Podejdz tu.

Bandy podchodzi do stołu naprzeciwko Ike'a, który zapala papierosa, a potem przesuwa dłonią po włosach, cienkich i jasnych jak jedwab.

Eisenhower od dawna doceniał znaczenie dobrych stosunków z prasą. Wie, że Ameryka nie może prowadzić przedłużającej się, kosztownej wojny bez poparcia społeczeństwa, a poparcie to można uzyskać tylko dzięki prasie. Ike zawsze traktował ludzi uzbrojonych w aparaty fotograficzne czy notatniki jako ważnych członków drużyny aliantów. Obiecał im, że będzie wobec nich uczciwy i szczerzy, i zdaniem Bandy'ego, przeważnie dotrzymuje słowa. Zna wielu dziennikarzy z nazwiska. Jeszcze w Waszyngtonie, przed objęciem dowództwa alianckich sił zbrojnych, zwrócił uwagę na zdjęcia Bandy'ego z pola walki, zamieszczone w „Life”. Tam, gdzie inni się kryją, Charles Bandy stoi niczym nie osłonięty. Kiedy inni przywierają do ziemi, Charles Bandy czołga się, by zrobić z bliska zdjęcia atakujących żołnierzy. Eisenhower ceni odwagę. Nagroda Bandy'ego za fachowość oraz wkład w wysiłek wojenny, umożliwiając mu dostęp do siebie, co dla wielu fotoreporterów i dziennikarzy jest nieosiągalne. Generał i Bandy po raz pierwszy spotkali się trzy tygodnie przed D-Day. Bandy uznał go za człowieka, który mówi w prosty sposób, zna swoją robotę i jest lojalny wobec współpracowników. Człowieka, który potrafi docenić dobrego hodowcę tytoniu.

- Popatrz, Charley.

Generał macha nad mapą ręką z camelem. Żarzący się koniuszek przypomina meteor przelatujący nad pograżoną w wojnie Europą. Bandy nie potrafi pojąć znaczenia tych wszystkich strzałek i napisów, ale ta spadająca gwiazda to według niego dobry omen.

Podchodzi oficer sztabu z jakimś dokumentem. Eisenhower go odprawia. Bandy ma się poczuć kimś ważnym, wyróżnionym, i oczywiście tak się czuje, pochlebia mu to.

- To jest nasze - wyjaśnia Ike. - W bitwie o wybrzuszenie odzyskaliśmy większość tego, co zajął Hitler. - Papieros krąży między Luksemburgiem i Niderlandami, tworząc kółko dymu. - Całą drogę, od Szwajcarii po Holandię, posuwamy się ku granicy niemieckiej. - Ike zatacza ręką szeroki łuk, bo mapa jest olbrzymia. Generał wskazuje obszar, którego nie może osiągnąć. - Na wschodzie czerwoni zbierają się na linii Wisły. Spodziewamy się, że ruszą w każdej chwili. To by nam zresztą pozwoliło trochę odetchnąć.

Patrzy na Bandy'ego. Twarz Ike'a przesłoniętą obłokiem wydmuchiwanego dymu wykrzywia grymas. Rzeźbione rysy przybierają ponury wyraz, jakby widział tornado zbliżające się do Abilene.

- Mam pod sobą prawie cztery miliony żołnierzy: amerykańskich, brytyjskich, kanadyjskich i francuskich. Hitler może wysłać przeciwko mnie milion ludzi, zmęczonych, przemarzniętych i pobitych. Mam dziesięciokrotną przewagę w czołgach, trzykrotną w samolotach i artylerii. Nie możemy przegrać z Niemcami.

Bandy przygląda mu się chwilę.

- Generale. Za pozwoleniem, nie wydaje mi się, żeby to pana szczególnie cieszyło.

- Powinno cieszyć, Charley. Ale nie w tej chwili.

- Wolno mi zapytać dlaczego?

- Bo mogę przegrać z Brytyjczykami.

- Monty...

Eisenhower pozwala, by Bandy wypowiedział to nazwisko. Generał kiwa głową.

Marszałek polny Bernard Law Montgomery. Bohater spod El Alamein, najpopularniejszy dowódca wśród Brytyjczyków od czasu Wellingtona i najmniej lubiany przez Amerykanów oficer angielski.

W środowisku amerykańskich reporterów wojennych wrogość między Montgomerym, a Eisenhowerem - którą dzielają także Patton i Bradley, generałowie Ike'a - jest sprawą znaną, choć się o niej nie pisze. Amerykańscy wyżsi oficerowie nie uważają Monty'ego za „Wielkiego Kapitana”, jak go ochrzciła prasa brytyjska. Zbyt dobrze pamiętają niedawne walki: na Sycylii, pod Falais, a zwłaszcza klęskę Market-Garden, operacji powietrzno-lądowej, która miała na celu oczyszczenie drogi przez Holandię do Niemiec. Pomysł Monty'ego, którego nie udało mu się zrealizować, przeobraził się w kosztowną i wstydliwą porażkę. Monty miał zająć belgijski port, Antwerpię. Zdobył miasto, ale drogi do portu u ujścia Skaldy pozostawił w rękach Niemców.

Z tego powodu siły alianckie mają teraz problemy z zaopatrzeniem. Marszałek Montgomery uchodzi wśród Amerykanów za zbyt powolnego i ostrożnego, jeśli chodzi o prowadzenie bitew. Jest natomiast mistrzem strategii długofalowej - każdy etap walki przebiega zgodnie z planem i precyzyjnie jak w zegarku. Patton, stary wojak wyrrywający do przodu, kiedy tylko jest to możliwe, nazwał Monty'ego „stetryczalym pierdzielem”, który zawsze chce więcej, a osiąga mniej niż wszyscy inni alianccy generałowie. Amerykański styl walki to szukać możliwości i wykorzystywać je. Monty natomiast jest mało elastyczny i nie umie improwizować. Ale to właśnie on jest pupilem premiera Churchilla i rzeczywiście ma sporą listę zasług jeszcze z czasów, zanim Amerykanie przystąpili do wojny. Przekonywał Churchilla, że to on, Montgomery, powinien zostać jedynym dowódcą wszystkich sił lądowych w Europie Zachodniej. Funkcję tę pełnił z powodzeniem podczas kampanii normandzkiej. Ale kiedy Amerykanie zaangażowali się w wojnę, dostarczając lwią część sprzętu i ludzi, w Waszyngtonie i w Paryżu uznano, że ich oddziałami nie może dowodzić Anglik. Monty zmuszony był we wrześniu przekazać zwierzchnictwo nad siłami lądowymi Eisenhowerowi i objąć dowództwo grupy armii, jak generał Bradley. Ike, naczelny dowódca aliantów w Europie, osobiście dowodził piechotą i nie zamierzał oddać jej Monty'emu. Ani Churchillowi. Nie ma mowy.

To, co różni Monty'ego i Ike'a - oprócz osobowości - to przede wszystkim poglądy na temat dalszej strategii wojennej. Monty chce przeć wszystkimi siłami w kierunku Berlina przez północne Niemcy. Jego potężna 21 Grupa Armii stoi na północ od Akwizgranu. W jej skład wchodzi amerykańska 1 i 9 Armia, które przydzielono Monty'emu, kiedy w grudniu zostały zatrzymane na północ od niemieckiego wybrzuszenia frontu. Churchill, Montgomery i brytyjscy szefowie sztabów zdołali przekonać Eisenhowera, generała Marshalla i Roosevelta, by przyznali priorytet północnej marszrucie. Chcieli jak najszybciej zakończyć wojnę i zależało im, by dokonali tego Brytyjczycy, zdobywając Berlin pod wodzą Montgomery'ego. Argumentowali, że „pełnokrwiste” - jak mówił Monty - uderzenie przez północny odcinek Wału Zachodniego, ufortyfikowaną linię Zygfrйда, bezpośrednio na Berlin, to najlepszy sposób, by odnieść zdecydowane zwycięstwo. Można by obejść Zagłębie Ruhry i zamknąć je w okrężeniu, połączywszy się z siłami, które posuwają się od południa. Po drodze 21 Grupa Armii miała wyzwolić Holandię i położyć kres niemieckim bombardowaniom Londynu rakietami V-1 i V-2, które tu mają wyrzutnie. W zeszłym roku Monty dwukrotnie spotkał się z Eisenhowerem. Podczas jednego z tych spotkań, na pokładzie samolotu Ike'a, rozpoczął taką tyradę na temat Berlina, że Ike położył mu dłoń na udzie i powiedział: „Spokojnie, Monty. Nie możesz tak do mnie mówić. Jestem twoim dowódcą”. Montgomery na jakiś czas przestał zamięczać Eisenhowera, ale nie poddał się w sprawie Berlina.

30 listopada napisał list do Ike'a. Nie przebierając w słowach, ponownie nalegał, by amerykańskie siły zmieniły kierunek natarcia podczas ofensywy w Europie Zachodniej. W grudniu Churchill osobiście rozmawiał z Eisenhowerem, opowiadając się za północną marszrutą i powierzeniem Montgomery'emu dowództwa nad tą operacją.

Ale i tym razem Ike nie zamierzał się na to zgodzić.

Eisenhower musi wziąć na siebie rolę mediatora pomiędzy dwoma charyzmatycznymi, zarozumiałymi i wymagającymi generałami: Montym na północy i Pattonem na południu. Obaj walczą o uznanie ich misji za priorytetowe, wynoszą zalety swoich koncepcji i twierdzą, że mogą wtargnąć do Niemiec i skończyć z Hitlerem. Na Eisenhowerze spoczywa jednak równie ważne zadanie, jak prowadzenie działań wojennych: musi dbać o utrzymanie przymierza angloamerykańskiego. Stara się łagodzić konflikty. Ma tę słabość, co większość Amerykanów - pragnie być lubiany, chce, żeby wszyscy byli zadowoleni. Dlatego właśnie daje swoim generałom dużo swobody, nawet przy wyznaczaniu celów działań wojennych. Monty obrał Berlin. Patton czasami sprawia wrażenie, jakby upatrzył sobie Moskwę.

Bandy miał okazję poznać obu generałów. Wie, że to silne osobowości, które niełatwo się podporządkowują. Ale obaj uwielbiają, gdy mówi się o ich zwycięstwach. Dlatego, podobnie jak Eisenhower, chętnie rozmawiają z Charlesem Bandym, czołowym fotoreporterem „Life'u”.

Plan Monty'ego przewiduje przełamanie Wału Zachodniego, olbrzymich betonowych fortyfikacji złożonych z zapór przeciwczołgowych oraz bunkrów, które ciągną się wzdłuż granicy niemieckiej z Francją, Belgią, Luksemburgiem i częściowo Holandią. 21 Grupa Armii Monty'ego miałyby przekroczyć Ren i nacierać w kierunku Łaby, a potem Berlina. Eisenhower przyznaje, że uderzenie od północy byłoby dla Hitlera zabójcze. Ale jednocześnie ma świadomość tego, że gdyby nastąpiło zbyt wcześnie albo bez wsparcia od południa siłami Bradleya, rozciągnięte prawe skrzydło wojsk Montgomery'ego narażone byłoby na kontrataki od strony Zagłębia Ruhry. Silne uderzenie mogłoby zagrozić liniom zaopatrzenia Monty'ego czy nawet rozbić armie znajdujące się na czele, a na takie ryzyko Ike na tym etapie wojny nie może sobie pozwolić. Obecnie, kiedy nie udało się opanować portu antwerpskiego, cały sprzęt dla wojska napływa przez plaże Normandii. Każdy dodatkowy kilometr za Renem oznacza równocześnie dodatkowy kilometr, który musi przebyć zaopatrzenie.

Ike jest więc zwolennikiem utworzenia szerokiego frontu i ma w tej kwestii poparcie Marshalla i Roosevelta. Jako naczelny dowódca uważa, że w końcowym etapie wojny należy związać siły niemieckie na jak najdłuższym odcinku, zbliżając się do Renu z wielu kierunków, od granicy szwajcarskiej po Arnheim w Holandii. Wychodzi z założenia, że każdy niemiecki żołnierz, którego

unieszkodliwią po zachodniej stronie rzeki, nie będzie już sprawiał kłopotów po stronie wschodniej. Angażowanie wroga w walki na tak szerokim froncie przyniesie w końcu w którymś miejscu efekty. Wtedy Ike wykorzysta okazję i skieruje tam główne natarcie. Może będzie to Monty od północy, może Bradley po środku, a może Patton od południa. Jeśli na którejś z tych tras prowadzących w głąb Niemiec zdobycie Berlina okaże się możliwe i konieczne, i jeśli wcześniej nie zdobędą go czerwoni, Eisenhower uderzy na miasto.

Wojna jest już wygrana. Pozostaje tylko pytanie, komu historia przypisze zasługę ostatecznego jej zakończenia. Bandy nie ma pretensji do Eisenhowera, że chciałby, aby dokonali tego Amerykanie, tak jak rozumie Monty'ego, który robi wszystko, by byli to Anglicy, czy Joe Stalina, który także popędza Armię Czerwoną.

Oczywiście, Bandy wolałby, żeby siły amerykańskie dotarły tam pierwsze. Już sobie wyobraża wjazd jeepem do stolicy wroga. Zdjęcia flagi amerykańskiej powiewającej nad Reichstagiem, które zrobi. Widzi kolejną oprawioną w ramki okładkę „Life'u” na ścianie swojego atelier w Tennessee.

- Monty - powtarza, jakby smakował to słowo. Daje ono uczucie chłodu jak cukierek miętowy. - Co zrobił tym razem?

Eisenhower krzywi twarz w uśmiechu. Bandy wie, że to tylko maska. Ike jest mocno poirytowany.

- Nie czytasz gazet, Charley?
- Byłem w drodze, generale.
- Kiedy przyjechałeś?
- Do Londynu, wczoraj. Tutaj, dziś rano.
- Co robiłeś cały czas, synu?
- Spałem, sir.

Eisenhower wyjmuje kolejnego camela. Nie zmienia wyrazu twarzy, nawet gdy się zaciąga. Ho, ho, myśli Bandy. Musi być naprawdę wkurzony.

- Wybrzuszenie - wypowiada tę nazwę, wydmuchując jednocześnie dym. Bandy ma wrażenie, że właśnie to słowo jest źródłem dymu w ustach Eisenhowera.

Dwa palce prawej ręki Ike wbija w mapę w miejscu, gdzie rozciągają się lasy Schnee Eiffel, w pobliżu granicy niemiecko-luksemburskiej.

- Niemcy zaatakowali tu w kierunku zachodnim. Rozbili grupę armii Bradleya, tak że Armia Pierwsza i Dziewiąta zostały odcięte na północy. Przekazałem je Monty'emu. Tymczasowo. Patton wściekł się na mnie, ale taki jest George. Zrobiłem to, bo inaczej Monty nie rzuciłby swoich rezerw. George i Brad zorientowali się, że niemieckie skrzydło jest odsłonięte i atak Trzeciej Armii George'a na północ, w kierunku Houffalize i St-Vith, mógłby wyzwolić Bastogne i przeciąć siły niemieckie na pół.

Eisenhower dwoma palcami niczym nożyczkami tnąc powietrze nad mapą. Bandy nie patrzy w dół, przygląda się twarzy generała. Żałuje, że nie może zrobić mu teraz zdjęcia. Jest to jedna z tych nielicznych chwil, kiedy Ike pokazuje swoje prawdziwe oblicze.

- Monty uważał, że George nie zdoła przeprowadzić ofensywy od południa, nie wierzył, że skrzydło niemieckie jest tak słabe. Twierdził też, że Pierwsza Armia Hodgesa potrzebowałaby tygodni, żeby przygotować kontrofensywę od północy.

Wyciągnięta dłoń Ike'a, w której trzyma camela, podnosi się do ust, jakby generał wolał mówić o Montgomerym pod osłoną dymu.

- Monty powiedział Hodgesowi, żeby zaprzestał walk i się wycofał. Dwudziestego dziewiątego Hodges rozpoczął jednak kontrofensywę od północy. Bradley i George ruszyli od południa, robiąc piekło w drodze do Bastogne, i cały czas Brad krzyczy mi przez telefon, domagając się, żeby Monty przystąpił do pełnego i natychmiastowego kontrnatarcia z północy. I co na to Monty?

Bandy nic nie mówi. Eisenhower nie spodziewa się odpowiedzi, nie podnosi wzroku znad mapy, wściekły na samo wspomnienie.

- Nic. Nie robi nic, tylko proponuje czekać do trzeciego stycznia, ponad tydzień po pierwszym ataku Hodgesa na północy. A powiem ci, że plan był bez zarzutu. Jasny, prosty plan działania, krok po kroku.

Zaciąga się głęboko.

- Monty... - Nazwisko marszałka brzmi teraz, jakby wysyczał je smok. Ike kipi gniewem.

- Charley, powiedz ci coś nieoficjalnie?

- Generale, ja niczego nie piszę. Tylko robię zdjęcia.

- Dobra. Chodź za mną.

Eisenhower prowadzi Bandy'ego od stołu z mapami przez labirynt pokoi zastawionych biurkami. Przy każdym ktoś pracuje. Wszyscy ci ludzie podnoszą głowy, gdy obok nich przechodzi naczelny dowódca w swojej kamizelce i krótkiej bluzie. Ike spogląda na każde biurko, które mija, dopóki nie znajdzie tego, czego szuka. Porannego wydania „Times'a”. Bierze je z blatu pani oficer. Kobieta usiłuje się uśmiechnąć. Ike odpowiada skrzywieniem ust.

- Dziękuję - mówi.

Zwiniętą w rulon gazetą uderza Bandy'ego w brzuch, zadając mu cios, jakim była dla niego samego zamieszczona w niej wiadomość.

Bandy siada na krześle naprzeciwko ładnej pani oficer pracującej za biurkiem. Rozwija gazetę i spogląda na pierwszą stronę. Ike splata ramiona i czeka. Stoi nad Bandym, w samym środku gąszczy biurek i ludzi - młodszych oficerów, maszynistek, urzędniczek i kurierów. Gwar w pomieszczeniu cichnie, wszyscy chodzą na palcach albo pochylają głowy nad swoją pracą.

Artykuł na pierwszej stronie „Times'a” wysławia Montgomeryego jako zbawcę, który uratował bitwę o wyrzucenie.

Bandy czyta. Generał Bradley wystąpił wczoraj na konferencji prasowej i oświadczył, że dwie armie amerykańskie - 1 i 9 - zostały przydzielone Montgomery'emu na ściśle określony czas i że te właśnie siły odegrały kluczową rolę w walkach o Ardeny. Brytyjska prasa w odpowiedzi zaatakowała Bradleya i innych generałów amerykańskich, twierdząc, że Amerykanie deprecjonują zasługi Montgomery'ego. We wszystkich artykułach głoszą chwałę Monty'ego. Monty znowu przybywa na ratunek. Monty powinien zostać mianowany dowódcą wszystkich sił alianckich w Europie. Monty działał śmiało i błyskotliwie w bitwie o wyrzucenie. Monty...

Eisenhower poklepuje Bandy'ego po ramieniu.

- Chodź ze mną. Nie w obecności podwładnych.

Naczelnym dowódcą wraca do sali z mapami. Pochylając się w chmurze dymu, staje nad Europą, gdzie codziennie przemieszczą miliony ludzi.

- Charley.

- Tak, generale?

- To skurwysyn.

- Tak, sir.

- Zwołał konferencję prasową. Trzy dni temu w Brukseli. Brad słuchał jej przez radio i prawie dostał histerii. Zadzwoił więc do mnie i ja tego też zacząłem słuchać. Wiesz, co mówił Monty?

- Nie, sir.

- Powiem ci. Mówił, że to on wygrał tę cholerną bitwę. Że nią dowodził. Że, cytuję skurwiela, była to najciekawsza i najbardziej skomplikowana bitwa, jaką kiedykolwiek dowodził. O n dowodził. Powiedział, że sytuacja mogła stać się groźna. Ale przedsięwziął środki, by powstrzymać Niemców, cały czas wszystko kontrolował. Charley.

- Tak, generale.

- Wiesz, na czym polega ironia losu?

- Nie, sir.

Eisenhower śmieje się ironicznym, z niedowierzaniem.

- Dwa dni temu Niemcy zaczęli się wycofywać. Zwijają się, straciwszy jakieś sto tysięcy ludzi. Straty amerykańskie wyniosą siedemdziesiąt, osiemdziesiąt tysięcy. A wiesz, ilu ludzi stracili Brytyjczycy? Jakies dwa tysiące. Dwa tysiące. Monty!

Eisenhower musi się zaciągnąć; kończy papierosa, który pali się jak lont bomby. Rzucił peta na podłogę i rozgniat butem.

- Monty - wciąga powietrze w płuca - powiedział, cytuję, że rzucił do walki wszystkie dostępne siły brytyjskiej grupy armii. Że brytyjscy żołnierze walczyli u boku Amerykanów, którzy otrzymali, musi to przyznać, ciężki cios.

Bandy obserwuje, jak Eisenhower drapie się po policzku.

- Ciężki cios. Osiemdziesiąt tysięcy amerykańskich chłopców! A Monty traci dwa tysiące. Bo wysłała do walki dwie armie Brada. A potem zwołuje konferencję prasową i mówi całemu światu, że ocalił Amerykanów. Nie zająknie się na wet o Courneyu Hodgesie ani o sto pierwszej Dywizji Powietrznodesantowej otoczonej w Bastogne. Nie wspomina o Bradzie ani George'u, którzy zapowiadają, że zrezygnują ze stanowisk, jeśli mianuję Monty'ego naczelnym dowódcą wojsk lądowych. Nie mówi słowa o tym, że na jednego brytyjskiego żołnierza, walczącego o wyrzucenie, my wystawiliśmy czterdziestu.

Ike zasysa policzki od wewnątrz, jakby zamierzał splunąć.

- Zbawca!

Bierze gazetę z rąk Bandy'ego. Zwija ją w rulon i wali nim w wielką mapę, jakby chciał strząsnąć czarne wężyki słów z każdej szpalty, rozproszyć je po Europie Zachodniej, by jak krople deszczu spadły na głowy amerykańskich żołnierzy, których symbolizują niebieskie strzałki; niech amerykański żołnierz zniszczy te zdania, jak niszczy Niemców, niech sprawi, by prawda zwyciężyła. Bandy oczami wyobraźni widzi następne zdjęcie dla potomnych, które nie zostanie zrobione.

Eisenhower z powrotem rozkłada gazetę. Wygładza strony i upuszcza je na stół. Gniew mija.

- Marszałek polny Montgomery i ja - mówi z teatralnym spokojem - porozmawiamy o tym później.

Ponownie się uśmiecha. Znowu widzi przed sobą Bandy'ego, nie Monty'ego.

- Przepraszam, Charley, przyszedłeś do mnie w jakiejś sprawie czy towarzysko?

- Chciałbym prosić o przysługę, generale.

- Wal.

- Cóż, sir, jeśli się nie mylę, wojna ma się ku końcowi.

- Chciałbym, żebyś się nie mylił.

- No więc, miałem nadzieję, że mi pan zdradzi, gdzie nastąpią dalsze działania...

- Działania?

- Muszę coś zrobić, generale. Zdjęcia z oficerskiej kantyny nie przynoszą wielkich pieniędzy.

- Nie dość się napatrzyłeś działań wojennych, synu?

- Rozmawiał pan z moją żoną?

. Eisenhower się śmieje. Bandy wie, jak grać prostodusznego bohatera.

- Generale, proszę - w następnych miesiącach zjawia się tu tabuny pismaków. Facetów, którzy nigdy nawet nie powąchalili prochu. Wydaje mi się, że zasłużyłem na fory. Dlatego do pana przyszedłem. Chodzi o ostatni akord.

Chciałbym tam być: Nie pętać się gdzieś daleko, patrząc na zdjęcia innych, i obgryzać palce ze złości. To nie dla mnie.

- Rozumiem - Eisenhower krzywi się z namysłem. - Ostatni akord, powiadasz.

- Tak, sir. Nakieruje mnie pan? Gdzie powinienem pojechać, żeby zrobić najlepsze zdjęcia? Do której armii?

- Chcesz, żebym typował.

- Kto robi to lepiej od pana, generale?

Bandy czeka, podczas gdy Eisenhower rozważa jego prośbę. Gdy tak obaj milczą, generał kieruje wzrok na płachtę mapy. Znowu chwilę się zastanawia. Wędruje ręką po mapie, jakby starał się wyczuć kontury miejsc, żołnierzy tam zebranych, ich możliwości, osobowości. Wroga także.

- Działania wojenne, synu?

- Tak, sir.

Przebiera palcami tuż nad mapą, na południe od sił Montgomery'ego, a na północ od wojsk Pattona. Przygląda się środkowej linii frontu, w rejonie Zagłębia Ruhry skupiającego siedemdziesiąt pięć procent potencjału niemieckiego przemysłu i siedemdziesiąt procent zasobów węgla.

Unosi wzrok i patrzy Bandy'emu w oczy. Patrzy zyczliwie, po ojcowsku, jakby chciał, żeby w tej ostatniej chwili młody człowiek, żonaty farmer uprawiający tytoń, który częściej zaglądał śmierci w oczy niż niejeden żołnierz, zastanowił się jeszcze, czy powinien wracać w sam środek działań wojennych. W spojrzeniu generała czai się pytanie: synu, czy nie jesteś jednym z tych nieszczęśników, którzy naprawdę żyją tylko wtedy, gdy ocierają się o śmierć? Bandy uśmiecha się wyrozumiale.

Palec Eisenhowera łąduje na mapie niczym rzucona włócznia. Bandy nachyla się, by przeczytać nazwę.

Ike wskazuje punkt w północnym rejonie linii Zygryda.

Pod jego palcem znajduje się śmiertelnie niebezpieczny las Hürtgen.

-Tutaj, Charley.

14stycznia 1945, godzina 7.00

Przyczółek magnuszewski

Zachodni brzeg Wisły

Polska

Nie było rozkazu do ataku. Ale sprytny żołnierz piechoty wyczuwa, co się dzieje w jego armii, tak jak wilk wietrzy, co się dzieje w lesie. Ilja czuje zapach jedzenia. Kiedy kucharze przenoszą kuchnię, oznacza to tylko jedno: armia rusza do przodu.

Ofensywa rozpocznie się tego rana.

Brząk furgonów ze sprzętem kuchennym przedziera się przez gęstą mgłę. Noc była gwiaździsta, ale o północy zrobiło się mgliście. Ilja nie wyobraża sobie, by można było wydać rozkaz do ataku, gdy widoczność sięga zaledwie czterech, pięciu metrów. Z powodu tej mgły nie będzie osłony lotnictwa. Tymczasem w powietrzu unosi się zapach jajek na twardo i podsmażanych ziemniaków.

Ilja siada, owijając się płaszczem. Dreszcz wstrząsa jego potężnymi ramionami. Są obolałe, przemarznięte od chłodu i wilgoci, ciągnących w nocy od rzeki. Koc także jest wilgotny. Przeciąga ręką po ogolonej głowie, zsuwając wełnianą czapkę, którą przeciera oczy. Śpiący obok Misza rozkopuje posłanie i zwija się w kłębek jak zmęczony szczeniak. Ilja przykrywa go dwoma kocami i wstaje. Misza mamrocze coś, ale się nie budzi.

Z głośników rozbrzmiewa rosyjska muzyka ludowa, która niesie się przez pas ziemi niczyjej w stronę linii niemieckich i zagłusza odgłosy przygotowań. To kolejny znak, że godzina ataku się zbliża. Tej nocy saperzy podczołgali się do przodu, rozminowując pole przed rosyjskimi okopami. Zapuścili się jeszcze dalej, oczyszczając także teren przed pozycjami niemieckimi. Pomogła im mgła, ale poranny atak będzie znacznie trudniejszy bez wsparcia lotnictwa Armii Czerwonej, które najpierw bombami i pociskami zsiekłoby pole walki. Cóż, myśli Ilja, artyleria nie musi widzieć, gdzie strzela. Wszystkie cele są i tak znane. A piechota będzie strzelać przed siebie. Proste.

Dwa dni temu 1 Front Ukraiński Koniewa ruszył z przyczółka sandomierskiego nad Wisłą o sto kilometrów stąd na południe. Zamierzają uderzyć na północny zachód, podczas gdy siły, w których służy Ilja - 1 Front Białoruski - będą nacierać prosto w kierunku zachodnim. Wszyscy razem staną na granicy niemieckiej, nad Odrą, osiemdziesiąt kilometrów od Berlina.

Ilja dochodzi do furgonu-kuchni Kompanii A. Mimo że o to nie prosi, otrzymuje podwójną porcję. Misza dostanie tyle samo, kiedy wstanie i przyjdzie na śniadanie. Kucharze, jak wszyscy w kompanii, wiedzą, kto ukradł sztandar Gwardyjskiej Armii Pancerniej. Szurając nogami, żołnierze przesuwają się w kolejce, odbierają parujące menażki i przykucnąwszy zaczynają jeść. Każdy z nich ma na płaszczu czarno-pomarańczową naszywkę 1 Pancerniej. To zasługa Miszy. Kiedy zauważono flagę powiewającą na maszcie przed kwaterą 8 Armii Gwardyjskiej Czujkowa, odkryto także przypiętą do niej kartkę informującą, kto jest sprawcą kradzieży - batalion karny, Kompania A. Jeszcze kilka dni później ludzie z kompanii chełpili się tym wyczynem, a wielu z nich po raz pierwszy od bardzo dawna chodziło z dumnie podniesioną głową, choć nie wiedzieli, kto zrobił ten kawał. Dowódca i komisarz Kompanii A zwołali zebranie, domagając się ujawnienia winowajcy. Wtedy wystąpił Misza. Żołnierze

wstrzymali oddech. Spodziewali się, że ten mały tchórz wyda nieznanego bohatera. Misza zaś powiedział, że ujawni sprawcę, jeśli 1 Gwardyjska Armia Pancerna da całej kompanii sto pięćdziesiąt naszywek jako trofeum. Zwycięstwo musi być nagrodzone - oznajmił. Komisarz obiecał mu to trofeum, a wtedy Misza wałnął się w pierś: Ja to zrobiłem.

Spędził trzy dni w karcerze. Kiedy stamtąd wyszedł, Ilja uściskał go, a potem osobiście przyszył przyjacielowi odznakę 1 Pancerniej. W następnym tygodniu Misza rozpowiedział wszystkim „w tajemnicy”, że inicjatorem wyprawy był Ilja, ale radził, żeby nikomu o tym nie mówili, bo Ilja jest tak brutalny, na jakiego wygląda. Misza wiedział, że wieść o tym dotrze do dowódców kompanii i wyższych oficerów batalionu, ale przykrych konsekwencji z tego powodu nie będzie.

Za Ilją, we mgle, rozlega się niewyraźny głos małego żołnierza:

- To dzisiaj
- Na pewno.

Misza odbiera swoją podwójną porcję, połowę zsuwa do menażki Ilji i siada.

- Wiesz, kto tam jest, Iljuszka?
- Niemcy.

- Dziewiąta Armia. Jedna z najlepszych w całym Wehrmachcie. Teraz dowodzi nią generał von Luttwitz. To ostatni z wielkich generałów dowodzących Dziewiątką. Model i von Bock dosłużyli się w niej stopnia feldmarszałka Luttwitz jest dobry i potrafi walczyć.

Ilja kręci głową, wyciera jajko, które dostał od Miszy.

- Skąd to wiesz?

- Zadaję pytania. To wszystko. Wywiad. Poza tym spędziłem trzy dni w karcerze, na terenie dowództwa. Kiedy nie mogę pytać, słucham.

Ilja odstawia menażkę. Usiłuje przeniknąć wzrokiem mgłę, patrzy ponad Misza na innych, którzy gromadzą się na ostatni posiłek przed natarciem. To hałaśliwa gromada, nie zważa na swoje zachowanie. Duma z kradzieży sztandaru, od której minęły dwa tygodnie, przygasła już na skutek ciężkiej pracy, zimna i wyczekiwania. Ci żołnierze oswoili się już z myślą, że będą w pierwszym szeregu atakujących, gdzie zawsze walczy kompania karna. I jeśli nie zginą dziś, stanie się to jutro. Większość z nich to chłopcy ze wsi, prostaczkowie, którzy o jeden raz za dużo złamali jakiś zakaz albo odszczeknęli przełożonemu. Jest wśród nich kilku oficerów, czarnych owiec jak Misza i Ilja. Ci jednak trzymają się razem. W kompanii nie ma co szukać atmosfery braterstwa, twarze szybko się wymieniają. Żołnierze giną, trafiają do niewoli, lądują w karcerze. Albo dostają kulę w tył głowy za poważniejsze wykroczenia. Komisarz batalionowy, z typową dla komunistów gorliwością, usiłuje ich integrować.

Ale ci zdegradowani ludzie to sponiewierane dusze, które próbują jakoś przeżyć swoje ostatnie, być może, dni na tym ziemskim padole.

Misza mówi, że 9 Armia to jedna z najwaleczniejszych. Lepiej dla nich, żeby tak było, myśli Ilja, bo dopiero dziś staną do walki z prawdziwymi Rosjanami. Żołnierze i oficerowie Armii Czerwonej, idący w głównym rzucie, będą walczyć zaciekle. Są dobrze wyszkoleni i mają najlepsze uzbrojenie, jakie kiedykolwiek udało się zgromadzić. Na tym etapie wojny czerwoni są już zaprawieni w boju. Ilja nie martwi się więc o przygotowanie bojowe swojej kompanii karnej. Pójdą do walki wszyscy, jak Ilja i Misza, po to, by zginąć i oczyścić swoje imię albo wrócić do macierzystych jednostek. Niemiecka Dziewiątka wie, jak potrafi walczyć armia radziecka. Od Stalingradu przez dwa lata uciekali przed nią w zachodniej Rosji i na Ukrainie. Okrucieństwa, które towarzyszyły niemieckiemu odwrotowi, wryły się w pamięć wszystkim rosyjskim żołnierzom frontowym: palone wioski, gwałcone kobiety, bezsensowne rzezie. Niemcy muszą wiedzieć, że staną dziś naprzeciwko wroga gotowego na wszystko.

Natomiast ci w dalszych szeregach, zbieranina idąca za frontowymi oddziałami Armii Czerwonej - takich ludzi 9 Armia jeszcze nie widziała. To są dopiero bestie!

W ciągu ostatnich dwudziestu miesięcy posuwające się do przodu wojsko wyzwoliło z niemieckich obozów jenieckich setki tysięcy radzieckich żołnierzy. Torturowano ich tam, głodzono i poniżano. Stali się niewolnikami na własnej ziemi. Drogi ucieczki zasłane były trupami. Ci, którym udało się przeżyć, teraz z fanatyczną nienawiścią będą szukać zemsty.

Towarzysz Stalin rozkazał, by wszyscy ocaleni radzieccy jeńcy, nadający się do służby, zostali odkarmieni, ubrani w mundury, uzbrojeni i ponownie wcieleni do wojska. Wódz nie ufa im w pełni: byli przecież w rękach wroga. Ich miejsce jest w dalszych szeregach, za siłami głównego ataku. Gdy regularni żołnierze Armii Czerwonej przełamają linię frontu nieprzyjaciela, będą szli bezpośrednio za nimi w oddziałach, które stale się uzupełniają.

Ilja widział robotę tej „zbieraniny”: niemieckich żołnierzy powiązanych drutami twarzą w twarz, z odbezpieczonym granatem wetkniętym między piersi. Stosy spalonych ciał, tłących się zaledwie w godzinę po tym, jak się poddali i złożyli broń. Zniekształcone zwłoki mężczyzn pozostawionych nago na mrozie, z obciętymi genitaliami. Ogień z karabinów maszynowych siekący otwarte przestrzenie, podziurawione i zakrwawione białe flagi, których nie uszanowano. Ilja widział wiele.

Niektórzy mówią: Gdyby Stalin wiedział, powstrzymałby to. Stalin wie. Tego Ilja jest pewien.

Zastanawia się, do czego ci ludzie jeszcze mogą się posunąć, tam, na ziemi niemieckiej, gdy przekroczą Odrę. Oficerowie nie powstrzymują ich przed gwałtami. Przeciwnie, komunistyczna propaganda wciąż ich podjudza. Zabijać, zabijać, zabijać! Odwet przybierze jeszcze okrutniejsze formy.

O siódmej trzydzieści na przyczółku magnuszewskim wszędzie już panuje ruch. Ilja i Misza wracają do okopu. Po drodze mijają czołgi, furgony z pociskami artyleryjskimi i kolumny ciężarówek. Mgła sprawia, że poruszanie się w całym tym galimatiasie jest dość ryzykowne - słychać przytłumione odgłosy wpadających na siebie pojazdów.

Znalazłszy się w okopie, Misza sprawdza wszystko systematycznie. Liczy amunicję, nasadza bagnet na karabin, zawiązuje buty. Jego małe białe dłonie drżą.

- Misza.

Ten nie patrzy pochłonięty swoją krzątaniną. Ilja kładzie wielką dłoń na ramieniu przyjaciela. Misza przerywa zajęcie.

- Co?

- Trzymaj się mnie. Cały dzień. Całą noc. Jutro. Bądź trzy kroki za mną.

- Nie jestem tchórzem, Ilja.

- Dobra - Ilja uśmiecha się szeroko. - No to cztery kroki.

Ich śmiech zagłusza muzyka ludowa, wybuchająca nagle z całą mocą. Słychać bębenki i skrzypce, na których jakby grały leśne duchy.

Ilja spogląda na zegarek. Ósma dziesięć.

Przyjaciele patrzą sobie w oczy, ich twarze poważnieją. Obaj kiwają głowami, umowa stoi.

O ósmej dwadzieścia pięć mgłą przenika metaliczny łoskot, odgłos ładowania pocisków wszelkiego kalibru - od największych, dwustuosiemdziesięciomilimetrowych, po pociski do moździerzy, ustawione na wózkach jeden przy drugim. Ilja i Misza wtykają w uszy niedopałki papierosów.

Mgła zaczyna przesuwac się na zachód, w kierunku doliny Wisły. Wydaje się, jakby polska ziemia zaczerpnęła wielki haust powietrza i wstrzymała oddech, czekając na coś. Słońce nie może się przebić przez gęste, nisko wiszące chmury. Ilja i Misza wystawiają głowy z okopu. Trącają się łokciami. Dwa miliony ludzi różnych narodowości, mówiących różnymi językami, usiłuje podobnie jak oni przebić wzrokiem mgłą po obu stronach frontu.

Nad ziemią przetaczają się grzmoty pierwszych salw. Nie słychać echa, wilgotne powietrze staje się gęste od ryku dział i czołgów. Huk narasta, i choć trudno to pojąć, setki, a może nawet dziesiątki tysięcy detonacji łączą się w jedną olbrzymią eksplozję, która pulsuje, ale ani na moment nie cichnie. Na tyłach także rozlega się ryk. Ilja odwraca się i widzi las pełen ziejących ogniem smoków, mgła się rozprasza i znów gęstnieje, by ponownie plunąć żarem

z niezliczonych paszcz śmierci. Pociski przelatują nad głowami żołnierzy, prawie ocierając się o ich hełmy. Misza przyciska swój obiema rękami i pada na ziemię. Ilja patrzy teraz na zachód. Tam we mgle dzieją się straszne rzeczy, widzi zagładę i odkupienie.

Dym ognia zaporowego łączy się z mgłą i wkrótce widoczność spada niemal do zera. Od pyłu siarkowego łzawią oczy. Ilja był już pod niejednym ostrzałem. Pod Stalingradem w sierpniu czterdziestego drugiego Niemcy przez dwa dni bombardowali miasto z ziemi i z powietrza. Budynki zamieniały się w góry gruzu i powykręcanych metalowych konstrukcji. Płomienie ogarniały wszystko. Ilja, jak każdy piechur, wie co znaczy artyleryjski atak. Jednak ani on, ani żaden inny radziecki żołnierz nie znalazł się nigdy pod takim deszczem pocisków, pod jakim byli teraz Niemcy.

Jeśli człowiek nie zostanie od razu zabity czy poszatkowany przez szrapnel albo jakiś odłamek, to popada w stan oszołomienia. Niczego wokół nie widzi, obraz jest zamazany. Zdarza się, że z powodu skoków ciśnienia, wywoływanych przez wybuchy, z uszu i nosa zaczyna płynąć krew. Wszędzie giną ludzie z kompanii. Oficerowie w bombardowanych bunkrach leżą zbici w gromady i nie są w stanie wydawać rozkazów. W szeregach żołnierzy powstaje zamieszanie. Jeśli ich wzrok i słuch jeszcze jakoś funkcjonują, wkrótce zobaczą i usłyszą hordy nacierających wrogów, którzy strzelają i krzyczą. Wtedy muszą zebrać wszystkie siły, poderwać się i walczyć o życie.

Wybuchy pocisków ryją ziemię. Czekać na przerwę w bombardowaniu i sygnał do ataku, Ilja odtwarza w myśli wszystko, co wie o strategii generała Żukowa. Zmasowany ostrzał obejmuje teren siedmiu kilometrów za liniami wroga. Nietknięte pozostaną tylko pasy ziemi szerokości stu pięćdziesięciu metrów, które uderzy piechota i wspierające ją czołgi, nacierając na pierwsze linie niemieckiej obrony. Piechurzy przedrą się przez umocnienia wroga. Za nimi, przez wyłomy w fortyfikacjach, ruszą oddziały pancerne, które rozprzestrzenia się na tyłach Niemców, dezorganizując ich komunikację i wsparcie oraz rozbijając rezerwy. Jeśli Rosjanie będą nacierać dostatecznie szybko, zablokują drogi, którymi wysunięte formacje wroga mogłyby się wycofać. Przy odrobinie szczęścia i odpowiedniej sile ataku być może uda im się zepchnąć Niemców na stanowiska obrony, przygotowane wcześniej na wypadek odwrotu, i zapobiec organizacji nowych punktów oporu. Wojska pancerne ruszą dalej. Piechota będzie starała się dotrzymać im kroku, pozostawiając w tyle dalsze szeregi, by umocniły zdobyte pozycje i stłumiły ewentualny opór.

Pierwszy rzut wojsk to tylko część radzieckiej piechoty, wysunięte bataliony podzielone na grupy szturmowe. Ich zadaniem jest opanowanie pierwszych linii niemieckiej obrony i przeprowadzenie rozpoznania. Wówczas saperzy przystępują do rozbrajania min. Niemieckie punkty oporu, które przetrwają

początkowy ostrzał, są ponownie bombardowane przez artylerię. Jednocześnie toczą się bezpośrednie walki.

Batalion karny 8 Armii Gwardyjskiej znajdzie się na szpicie.

O ósmej pięćdziesiąt pięć dział milkną. Ostrzał trwał dwadzieścia pięć minut - krócej, niż Ilja się spodziewał. To z powodu mgły, myśli. Po co marnować pociski, skoro i tak nie widać celu? Pora wysłać do walki ludzi z bronią ręczną. Niech teraz z bliska rażą ogniem.

Ilja napina mięśnie nóg. Dolina rzeki przed nim wydaje się zablokowana. Za duży tłok, by mógł wyskoczyć z okopu i rzucić się w tamtą stronę. Z ziemi unosi się gęsta mgła i dym, echa kanonady dział przetaczają się za nim jak grzmoty letniej burzy. Mgła raz po raz rozbłyska purpurą. Poleje się dużo krwi.

Ilja czuje ciarki na całym ciele. Żołądek także daje o sobie znać. Zawsze tak jest przed atakiem.

Spogląda przed siebie, nie patrzy na Miszę. Będzie go ochraniał, ale nie pójdzie za nim do grobu.

Życie, myśli Ilja. Dziękuję ci, jesteś piękne. Uwielbiam cię. Chcę wziąć cię w ramiona, a odebrać innym.

Gdzieś zostaje wydany rozkaz. Do ataku.

Ilja uśmiecha się szyderczo, odsłaniając zęby. Odwraca się do Miszy. Mały żołnierz patrzy na niego przestraszony, ale już za chwilę udziela mu się jego nastrój. Otwiera usta i zaciska powieki. Razem z Ilja krzyczy: - Urra!

Dziesięć tysięcy żołnierzy wokół nich rykiem dodaje sobie odwagi. Ilja jednym susem wyskakuje z okopu, Misza zdaje się lewitować u jego boku. Obaj rzucają się w mgłę. Ilja trzyma w rękach pepeszę. Szybka broń, dziewięćset pocisków na minutę. Jest objuczony jak muł, ma przy sobie dodatkową amunicję, granaty, saperkę, noże, lornetkę, ale nie czuje ciężaru. Z tyłu na pasku ma przywieszony moisin-nagant, taki sam, jakim wymachuje Misza, strzelając na oślep. Ilja także posyła serię, ale tylko po to, by poczuć w rękach karabin, by biec za kulami, które torują mu drogę.

Ilja i Misza kierują się z resztą batalionu w jeden z korytarzy oczyszczonych przez artylerię. Ziemia po ich lewej stronie została zorana pociskami, wszędzie unosi się dym jak z piekła. Za sobą słyszą warkot czołgów, które pościgają ich do biegu. Przed nimi rozlegają się strzały z broni ręcznej - żołnierze idący na czele właśnie namierzili wroga.

Ilja schodzi z wydeptanej drogi, Misza podąża jego śladem. Za nimi maszerują inni, ze dwa tuziny ludzi. Oskrzydlają niemieckie okopy. W lejach, które omijają po drodze, widać tylko czarną wodę i ziemię, ale na ich obrzeżach i na zwalach ziemi leżą setki porozrywanych ciał. Niektórzy z wrogich żołnierzy czołgają się i jęczą, żaden jednak nie sięga po broń. Odgłosy walki

się nasilają. Prowadząc utworzoną naprędce grupę, Ilja kieruje się na prawo. Zerka na ramiona kilku ze swoich towarzyszy, mają czarno-pomarańczowe naszywki 1 Gwardyjskiej Armii Pancernej, które zdobył dla nich Misza.

Pocisk trafia jednego z żołnierzy za Ilją. Przewraca się ciężko na plecy, obcasami ryje ziemię. Kilku ludzi biegnie ku rannemu. Ilja posuwa się dalej, nie zważając, czy pozostali idą za nim, czy nie. Misza nie odstępuje go na krok.

- Rozsuńmy się, Miszeńka. Łatwiej coś zobaczymy w tej mgłę, jeśli będzie my szli w pewnej odległości od siebie.

Ilja ostrożnie rusza. Widzi na odległość nie większą niż dziesięć metrów. Pięćdziesiąt metrów dalej toczy się walka. Sięga do pasa i wyjmuje z pochwy nóż. Wkłada go między zęby.

Zaczyna biec zygzakiem. Trzyma pepeszę gotową do strzału i uważnie się rozgląda. Widzi poruszającą się sylwetkę. Zaciska ręce na karabinie, biegnie w kierunku wroga, strzelając do niego z biodra. Mgła zasnuwa miejsce, w którym przed chwilą widział Niemca. Wtedy pojawia się następny, a za nim kolejny - jest ich trzech. Ilja biegnie naprzód, broń w jego rękach robi się gorąca. Dwaj Niemcy padają, okręcając się wokół własnej osi, trzeci przykuca. Ilja nie słyszy wokół siebie nic poza własnym oddechem, nogi niosą go na brzeg okopu, staje nad nim w chwili, gdy wyłania się stamtąd ramię Niemca z „tłuczkiem do ziemniaków”. Granat uderza w pierś Ilji i odbiwszy się od niej, z powrotem wpada do okopu. Ilja patrzy w twarz oszołomionego wroga. Robi dwa wielkie kroki do tyłu. Ryk Niemca urywa się w chwili wybuchu granatu.

Ilja wskakuje do okopu. U jego stóp leżą trzy poszarpane ciała. Nie traci czasu i rusza dalej. W wyobraźni widzi siebie idącego okopem wroga, poprzez dym, z ostrzem między zębami. Już nie czuje mrowienia na plecach.

18 stycznia 1945, godzina 14.00

Izba Gmin

Londyn

Churchill stuka łaską o podłogę. To pomaga mu się skupić. Nie lubi, gdy coś idzie nie po jego myśli. Anthony Eden, minister spraw zagranicznych, który siedzi po drugiej stronie dużego, okazałego holu, obserwuje wszystko ze spokojem. Przystojny, myśli Churchill. To szczęściarz. Wysoki, szczupły, bujne wąsy. Młody. Ja też kiedyś byłem młody... A co do reszty... nie... reszty nie miałem nigdy...

- Jak to mówią Amerykanie, Anthony? - pyta, zmieniając pozycję na krześle i stawiając obie stopy na ziemi. - No, w takich sytuacjach.

Eden podnosi głowę.

- Nie bardzo rozumiem.

- Zjeść coś. Że trzeba coś zjeść. Mam to na końcu języka.

- Tak, tak. Słyszałem to powiedzenie. Ale co zjeść?

- Nie mogę sobie przypomnieć, Anthony. Dlatego cię pytam. - Aha... -

Eden idzie za przykładem Churchilla i prostuje się na krześle. Obaj patrzą na wysoki, ciemny sufit przedsiionka Izby Gmin. Churchill znowu zaczyna stukać łaską o linoleum pomiędzy swymi czarnymi lakierkami. Eden przebiera palcami.

Minister odzywa się pierwszy.

- Czy to nie była żaba, Winstonie? Tak mi się wydaje.

Churchill chwilę się zastanawia.

- „Zjeść żabę”. Tak. Chyba masz rację. To jest to. Nie kojarzy się przyjemnie. Dziękuję.

Przestaje postukiwać łaską. Kładzie obie dłonie na gałce i pochyla się, by wesprzeć na nich także podbródek. Wygląda, jakby jego głowa była zatknięta na pice. Jest głodny i zdenerwowany, miałby ochotę na cygaro. W wielkim holu słysząc głosy posłów i członków rządu, którzy siedzą za drzwiami w ławach parlamentu i debatują.

Nie podnosząc głowy, pyta Edena:

- Dlaczego właśnie żabę?

- Słucham?

- Żabę. Dlaczego zjedzenie żaby jest takim upokorzeniem? Ze względu na jej oślizgłą skórę?

- Nie mam pojęcia, Winstonie.

Eden wzrusza ramionami. Trzyma głowę prosto, splecione dłonie spoczywają na brzuchu.

- Ci Amerykanie! - Churchill nieznacznie kręci głową, wbijając podbródek w grzbiet dłoni wspartej na łasce.

- Tak, ci Amerykanie.

Czuje, że się poci. To nie nerwy, myśli. Gorączka, początek przeziębienia. Kieliszek zimnego szampana, gorąca kąpiel i do łóżka. To pomoże. Nie mogę się rozchorować. Muszę ciągnąć to dalej.

- To nie takie dobre, jak nasze „przełknąć gorzką pigułkę”, nie uważasz? Eden się krzywi. Churchill go zamęczy.

Premier ciągnie dalej:

- „Gorzka pigułka” lepiej oddaje znaczenie, prawda? „Zjeść żabę” to nie to samo, Anthony. Nasza „gorzka pigułka” - to proste i jasne. I coś takiego właśnie mnie czeka.

- Tak, Winstonie.

- Faj - prychnął z irytacją Churchill, jeszcze bardziej pochylając się i opuszczając ramiona. Jego ciało wygląda teraz jak pozbawione głowy.

- Amerykanie. I ta ich żaba. Nonsens.

W Izbie Gmin rozlega się stukot młotka. Churchill siada prosto. Poprawia grubą skórzaną aktówkę, którą trzyma na kolanach. Nie potrzebuje tych papierów. Wszystko ma w głowie, w sercu, w sobie. A za chwilę da temu wyraz w sposób, który najlepiej przysłuży się Anglii.

Churchill widzi w wyobraźni wspaniałą Izbę Gmin. Parlament, Olimp historii. Kolejne narody świata przez wieki czekały na decyzje tego dostojnego ciała, jak dzieci na decyzję ojca. Brytania. Imperium.

Gorzka pigułka.

- Jesteśmy skończeni, Anthony.

- Tak sądzę. Niech to szlag.

- Wykrwawiliśmy się w tej wojnie. Zadłużyliśmy się po uszy u Amerykanów. A wiesz, na czym polega ironia losu?

- Na tym, że to my wygraliśmy tę wojnę.

- Tak! — Churchill uderza laską o podłogę. - To Anglia pierwsza przeciwstawiła się Niemcom. Walczyliśmy dwa lata. Dwa lata, sami w Europie, sami w Afryce. Ale! Bitwa o Anglię, Anthony. Bitwa o Anglię.

- „Nasza godzina chwały” - Eden cytuje słowa Churchilla.

Premier kiwa głową, podczas gdy wyobraźnia podsuwa usłudze minione sceny: cienkie smugi dymu na niebie, zestrzelone samoloty i rozerwane ciała, zniszczone domy i modlący się ludzie. Bohaterska karta w historii Anglii.

Unosi pięść. Kiedy mówi o walce swoich rodaków, promienieje dumą.

- Daliśmy Hunom popalić, co?

Eden się uśmiecha.

- I to jak cholera, panie premierze.

- Zatrzymaliśmy ich, do diaska.

To ostatnie zdanie Churchilla, które miało zabrzmieć dumnie, dotyka jakiejś wrażliwej struny i nastrój obu mężczyzn się zmienia. Zabrzmiała w nim prawda. Wiedzą o tym obaj - i wie cała Anglia.

Rzeczywiście zatrzymaliśmy Niemców, żeby Amerykanie i Rosjanie zdążyli się uzbroić. I żeby obie te potęgi mogły wkroczyć do akcji i ocalić Anglię.

Churchill zżyma się na samo wspomnienie o tym. Ameryka i Rosja. Franklin i Wuj Joe.

Ocalić Anglię.

Wielka Brytania stoi na straconej pozycji, myśli. Tak. Ale poświęciliśmy się w imię wolności. I zamiast podać nam rękę w nagrodę za odwagę i poświęcenie, Franklin Roosevelt chce, żebyśmy wraz z Ameryką wleźli bolszewikom do łóżka.

Nie. Wielka Brytania może pocałować Stalina w dwa policzki, ale nie w cztery... litery.

- Anthony.

- Tak, Winstonie.

- Zniosę każde poniżenie. Uniosę każde brzemie.

- Jak my wszyscy.

- Ale nie mogę stać z boku i patrzeć, jak Anglię usuwa się w cień. Byliśmy tacy potężni...

Ach, wzdycha Churchill. Może zbyt potężni. I zbyt długo.

Roosevelt nie zamierza spotkać się z nim na Malcie przed konferencją jałtańską. Boi się obrazić Wujka Joe, chociaż jest tak wiele spraw do omówienia w związku ze zbliżającym się końcem wojny. Na odczepnego zgodził się w zeszłym tygodniu, by Stettinus, jego sekretarz stanu, wziął udział w jednodniowej wspólnej sesji na Malcie. Jeden marny dzień. Churchill nie ma innego wyjścia, jak zgodzić się na to połowiczne rozwiązanie. Kwestie polityczne będą musiały poczekać do Jałty, a tymczasem odbędzie się narada wojskowa z udziałem członków Połączonego Komitetu Szefów Sztabów.

- Stalina jeszcze rozumiem. To kanalia. Ale jest na swój sposób nawet w porządku. Co natomiast mamy zrobić z Rooseveltem?

Eden wzrusza ramionami:

- Jakoś to przetrwamy. Anglia zawsze potrafiła przetrwać. Głowa do góry! Jesteś historykiem. Kto może wiedzieć to lepiej od ciebie?

Churchill zastanawia się nad wytrzymałością Anglii. Wojny, zarazy, najazdy, zdrady. Ale takich upokorzeń, jak podczas tej wojny wcześniej nie zaznała. Nigdy.

- Żaden kochanek - mówi - nie poświęcił tyle uwagi kaprysom swojej przyjaciółki, ile ja fanaberiom prezydenta Roosevelta.

- Czujesz się porzucony, premierze?

Churchill ignoruje kpiarski ton Edena.

- Dlaczego Roosevelt jest tak źle nastawiony do brytyjskiego imperium? - pyta. - Przecież to nasza tradycja. Zakładaliśmy kolonie na świecie zamiast podpisywać paktów handlowe w Europie. Cenimy sobie niepodległość naszej małej wyspy. Ile stoczyliśmy wojen, żeby jej bronić? Skąd on ma pewność, że jego wizja światowego porządku jest lepsza od naszej?

- Weź pod uwagę, że Stany Zjednoczone same były kiedyś kolonią brytyjską.

- No właśnie! A powiedz mi, Anthony, co będzie, jeśli po tym całym interwencjonizmie w Europie i szczytnych planach współpracy między Europą a Rosją, Jankesi znowu się usuną? Co będzie, jeśli po wojnie ożyją ich separatystyczne skłonności i zostaniemy pozostawieni sami sobie, tym razem

z wypalonym kontynentem i wiecznie głodnym rosyjskim niedźwiedziem śliniącym się na widok mięska? A co, jeśli wysiłki Ameryki, by ucywilizować Rosjan, spełzną na niczym? Wuj Sam da nogę z Europy jak po pierwszej wojnie światowej. A kto tu zostanie? Ty, ja i Wuj Joe.

- Nie martw się. Narody Zjednoczone dopilnują, żeby wszystko poszło jak po maśle.

Churchill chrząka.

- Tak. Jeżeli nie można wymóc na Rosjanach, żeby postępowali z Polakami w sposób bardziej przyzwoity niż wtedy, gdy miałem okazję to widzieć, to jak traktować poważnie pomysły Roosevelta?

Churchill czuje się zbyt zmęczony, by ciągnąć dalej w tym tonie. Podobnie jak Adam, który nadawał imiona rajskim stworzeniom, próbuje określić liczne afronty, jakich doznała Anglia i on sam, znaczące i drobne, państwowe i prywatne. Jest ich jednak zbyt wiele, by nadać im etykiety. Koniec z tym, nakazuje sobie. Ameryka jest przecież najlepszym przyjacielem Anglii. I to prawda - razem z Rosją ocaliła nas. Teraz jedynie stara się wzmocnić swoją pozycję. Anglia już nie raz widziała taką niewinną zdradę.

Ostatnie stworzenie, zielony płaz, domaga się uwagi Churchilla i chce otrzymać imię. Churchill uśmiecha się, rozbawiony własnym konceptem, i mówi w myśli: Nazywam cię zabą, ty mały draniu.

- A co zrobimy z Montgomerym? - pyta Edena.

Marszałek polny jest jedyną nadzieją Anglii na to, żeby mogła przypisać sobie ostateczną chwałę w tej wojnie. Jego 21 Grupa Armii zajmuje najlepszą pozycję ze wszystkich sił alianckich. Najlepszą, by zdobyć Berlin. Możemy jeszcze zobaczyć angielską flagę powiewającą na Bramie Brandenburskiej, jeśli Monty dobrze to rozegra. I to Zachód musi dotrzeć do Berlina pierwszy, jeśli mamy po zakończeniu wojny prowadzić negocjacje ze Stalinem. Armia Czerwona weźmie pod but wszystkie kraje Europy Wschodniej, a przy nienasyconym apetycie Stalina na nowe terytoria i jego krótkiej pamięci co do podpisanych porozumień, pozostaną tam, dopóki nie będziemy mieli czegoś, na czym Stalinowi zależy.

Eden kręci głową.

- Chyba się nie doczekamy, żeby Eisenhower mianował Monty'ego dowódcą sił lądowych.

- Dowódcą sił lądowych! Cha! Eisenhower chciał go usunąć, na miłość boską! A przecież wysłaliśmy do Europy jedną trzecią walczących tam ludzi. Nie dość, że Stalin beszta Roosevelta z mojego powodu, jak chłopiec, który szczypie koleżankę za to, że nie dała się pocałować. Nie dość, że nad imperium brytyjskim zachodzi słońce! To jeszcze nasz własny marszałek polny daje się wyłać Eisenhowerowi!

- Człowiek może się unieść honorem.

- Hmm. Powinien przez jeden dzień побыć na moim miejscu, to by dostał lekcję.

- Nie potrafi ukryć pogardy dla amerykańskich generałów.

Kolejne uderzenie laską o podłogę. Stosunki między amerykańskimi i angielskimi siłami zbrojnymi nigdy nie były tak złe, jak teraz, i to z powodu głupiej dumy.

- Delikatnie mówiąc, co, Anthony?

Eden jest rozbawiony.

- No cóż.

Churchill zastanawia się nad tym problemem. Montgomery uważa, że Amerykanie są źle zorganizowani. Nie akceptuje ich systemu dowodzenia. Jego zdaniem armia amerykańska zanadto polega na młodszych oficerach, oczekując, że będą podejmować decyzje w trakcie walki, a wobec braku rozkazów - nawet przejmować inicjatywę. To typowe dla Amerykanów: byle do przodu, do przodu, do przodu! Natomiast my, Brytyjczycy, jesteśmy bardziej powściągliwi, ostrożni. Doświadczenie wojskowe każe nam polegać na wcześniej opracowanych planach bitwy, oszczędzać środki i dążyć do przewagi liczebnej. Niektórych może to denerwować, ale dzięki temu Anglia zbudowała swoje imperium. Wprawdzie dostaliśmy ciężki podział podczas amerykańskiej wojny kolonialnej, gdy maszerowaliśmy kolumnami w rytm piszczałek i bębnow przez las, ubrani w czerwone mundury, podczas gdy słabiej uzbrojeni Jankesi chodzili w jelenich skórkach i kryli się za drzewami. Ale już tacy jesteśmy, nie zmienimy się. Choć łączy nas z Amerykanami wspólny język i pochodzenie, pozostaniemy odmiennymi narodami. Być może teraz widać to najwyraźniej.

Dzięki Bogu, szef sztabu Monty'ego zobaczył telegram, który Eisenhower miał właśnie wysłać do Waszyngtonu. Pisał w nim, że albo on, albo Monty. Któryś z nich musi odejść. Montgomery był zaszokowany, wysłał do Ike'a pojednawczy list. Zjadł żabę.

Eden unosi otwartą dłoń.

- Ugiął kolano przed Eisenhowerem. Czy to nie wystarczy? Dlaczego ty jeszcze musisz coś robić?

- Bo nie możemy zdać się na przypadek, Anthony. Chodzi o los całego świata. To przecież Amerykanie, jak sami mówią, rozdają karty.

Choć Monty położył uszy po sobie, nie umilkły polemiki w prasie brytyjskiej. Wystąpienie Bradleya na konferencji prasowej jeszcze dołało oliwy do ognia. Nasiliły się apele o awans dla Monty'ego. Trzeba naprawdę coś zrobić, żeby zażegnać ten konflikt. Co gorsza, pozostały tylko trzy tygodnie do

spotkania Wielkiej Trójki na Krymie. Tymczasem czerwoni kilka dni temu przystąpili do ofensywy na terenie Polski, zmierzając w stronę Berlina.

Jednak najbardziej groteskowe w tym smutnym incydencie jest to, że maczali w nim palce także Niemcy. Ich specjaliści od propagandy przygotowali przejawioną wersję wypowiedzi Montgomery'ego i nadali ją przez głośniki w kierunku linii amerykańskich. Wielu Jankesów właśnie w ten sposób dowiedziało się o wystąpieniu Monty'ego na konferencji prasowej. Tego nagrania wysłuchał Bradley i dostał szału.

Już czas. Churchill opiera się na lasce i wstaje. Eden rusza za nim.

Wchodzą razem do Izby Gmin. Premier zajmuje swoje stałe miejsce, Eden wsuwa się między ławki jeden rząd za nim. Posłowie zebrani w wielkiej sali witają Churchilla oklaskami. Nie uspokoją się, wie o tym. W angielskim parlamencie nie będzie pełnej szacunku ciszy, z jaką słuchano go w Kongresie amerykańskim. Tu w Anglii posłowie zaczną krzyczeć „Uwaga!”, „Sprzeciw!” albo nawet „Siadaj!”, jeśli ich poniesie. Churchill czeka na chwilę przerwy w tym zgiełku, zbliża się do środka sali i kładzie skórzaną aktówkę na starej, wysłużonej mównicy. Unosi głowę i spogląda na rozgadane twarze w kolejnych rzędach ławek.

Cóż, myśli, jeśli premier musi już przełknąć gorzką pigułkę, może to zrobić równie dobrze przy akompaniamencie starego, dobrego westminsterskiego tupania. Bierze głęboki oddech. Ręce zwisają mu po obu stronach wydatnego brzucha. Podnosi głowę, ale z kołnierzyka wyłania się tylko część podbródka. Wie, że wygląda na opuchniętego i wycieńczonego. A czego się po nim spodziewają? Ma przecież siedemdziesiąt lat.

Napełniwszy płuca powietrzem, jest gotów. Czuje w nozdrzach zapach historii. Nieważne, czego od niego oczekują, on i tak, jak zwykle, da im więcej.

Jego słowa są pełne przekonania, mówi z emfazą. Żeby było jasne: zwycięstwo w walce o Ardeny zawdzięczamy głównie Amerykanom. Liczba żołnierzy amerykańskich biorących udział w bitwie i rozmiary ich strat przewyższają znacznie wkład sił angielskich. Amerykanie ponieśli straty „dorównujące ofiarom obu stron w bitwie pod Gettysburgiem”.

Churchill odnosi się potem do opinii prasy brytyjskiej na temat mianowania Montgomery'ego dowódcą sił lądowych oraz krytycznych głosów pod adresem Eisenhowera i innych amerykańskich generałów.

Amerykanie są szczerymi bojownikami o wolność, po raz drugi w tym stuleciu stają na obcej ziemi, by walczyć z tyranią. Brytyjczycy muszą to docenić, przecież razem z nimi składają daninę krwi i łez. Anglia ma wobec Stanów Zjednoczonych wielki dług wdzięczności. Wyprzec się tego nie pozwala nam honor i pokora.

Następne słowa Churchill kieruje do żołnierzy jankeskich na froncie, do samego prezydenta i jego dowódców, wymierzając przy tym policzek Montgomery'emu i jego zwolennikom. Radzi bowiem Brytyjczykom, by „nie dali się zwieść krzykliwym mąciicielom”.

Przerywa na chwilę. Na sali panuje powaga. Wszyscy osłupieli. Churchill osiągnął swój cel, trafił tych, których chciał trafić: Monty'ego, angielską prasę, szemrającą opozycję. Ameryka na pewno to usłyszy. Anglia ją przeprosza.

Niech tak będzie, to było konieczne. Ale zachowaliśmy godność, a to także niezbędne.

Koniec z tą gorzką pigułką. Teraz pora na deser.

- Bezwarunkowa kapitulacja! - krzyczy. - Niektórzy twierdzą, że to zbyt surowa kara dla Niemiec. Niektórzy twierdzą, że żądanie bezwarunkowej kapitulacji skłania wrogów do jeszcze bardziej zawziętej walki, by uniknąć piętna całkowitej klęski. Ale Niemcy mają świadomość tego, że podczas obecnego konfliktu dopuścili się nieludzkich okrucieństw i podłości. Wiedzą, że będą musieli za to zapłacić i że będzie to bardzo, bardzo wysoka cena. Nasi wrogowie nie muszą się obawiać, że Wielka Brytania po zwycięstwie odwzajemni im się okrucieństwami. Mogę ich zapewnić, że jesteśmy w pełni świadomi granic moralnych, w których się poruszamy. Nie chcemy unicestwić żadnego narodu, nie jesteśmy rzeźnikami. Ale nie pójdziemy z wami na ugodę. Nie należą się wam żadne prawa. Musicie poddać się bezwarunkowo.

Zdejmuje okulary. Kładzie je obok aktówki. Wyczuwa nastrój, który udało mu się wytworzyć w parlamencie. Lubią go starsi i młodszy, ci z dołów i lordowie, Irlandczycy, Szkoci i Walijczycy, połączeni wspólnym losem pod wspólną flagą. Wszyscy ulegają jego głosowi i spojrzeniu. Siedzą wyprostowani, z uniesionymi głowami.

- Wielka Brytania! - woła i kiwa głową, tocząc wzrokiem po sali. Nagle uderza się w pierś.

- Pozostaniemy wierni naszym zasadom.

Znowu przykładą pięść do serca. Wypowiada ostatnie słowa swego przesłania.

- I naszej naturze.

Wielka Brytania będzie zachowywała się z godnością. Nawet wobec pokonanych tyranów. I wobec sprzymierzeńców, kiedy się z nimi nie zgadzamy. W przeciwnym razie nie byłaby Wielką Brytanią, o którą warto walczyć.

Churchill bierze okulary i aktówkę. Odwraca się i wychodzi przy wtórze oklasków i okrzyków „Brawo!”

Ożywienie, z jakim wygłaszał mowę, gaśnie, gdy Churchill opuszcza salę obrad. Nie wychodzi za nim żaden z ministrów; pozostali tam, by podsycić entuzjazm. Jest więc sam, wyczerpany, spocony, z pustką w głowie. Chciałby już

tylko coś zjeść, splukać wydarzenia dnia kieliszkiem lub dwoma czegoś mocniejszego i z cygarem w ustach wejść do wanny.

Żałuje, że nie może wyjechać na weekend do swego domu w Chartwell w hrabstwie Kent. Przejść się z gromadką gęsi, coś namalować, położyć kilka cegieł. Ale odkąd zaczęła się wojna, nie miał czasu na żadną ze swoich ulubionych rzeczy.

Chciałby spać. Przespałby całe lata. Nie ma ochoty jechać na Malte ani do Jałty i targować się z Rooseveltem i Stalinem o losy milionów ludzi.

Chciałby, żeby Anglia była po wojnie nie tylko bezpieczna, ale i silna.

Opiera się ręką o ścianę.

Winston Churchill pragnie, by historia potoczyła się zgodnie z tym, co on uważa za słuszne.

22 stycznia 1945, godzina 11.50

Kurfürstendamm

Berlin

Młoda dziewczyna siedząca za Lottie w ciemnej sali kinowej Mozartsaal szepcze do swej towarzyszki:

- Wolę się zabić.

Jej przyjaciółka, także w wieku około czternastu lat, ucisza ją. Ale tamta ciągnie dalej:

- Zrobię to. Nie pozwolę, żeby tknął mnie któryś z tych strasznych Rosjan. Połknę truciznę.

Druga dziewczynka syczy zirytowana. Koleżanka musiała szturchnąć ją łokciem:

- Przestań.

Lottie odwraca się do nich.

- Przestańcie obie, bo zawołam kierownika. Dziewczynki kulą się w fotelach.

- Tak, proszę pani.

Lottie przenosi spojrzenie na rozpoczynającą się kronikę. Jedna z dziewcząt chichocze i mówi szeptem:

- O, ta im się spodoba.

Lottie opiera dłonie na poręczach fotela, chce wstać i ponownie zwrócić im uwagę, ale one nie mówią już ani słowa. Opuszcza więc ręce i splata je przed sobą. Tego przedpołudnia do kina przyszło zaledwie kilkadziesiąt osób, by obejrzeć filmową wersję *Carmen*. Lottie po prostu zmieni miejsce, jeśli dziewczynki zaczną znowu gadać.

W sali rozbrzmiewa głośna muzyka wojskowa, która towarzyszy pojawieniu się na ekranie wizerunku niemieckiego orła trzymającego w szponach swastykę. Tytuł kroniki głosi: „Czerwone diabły nacierają przez Polskę!”

Co sobotę pojawia się nowe wydanie, które emitowane jest przed filmem cały następny tydzień. Lottie ogląda kroniki od początku wojny i obserwuje, jak się zmieniają: od patriotycznych, pogodnych obrazków przedstawiających żołnierzy, którzy wkraczają do Paryża i innych miast europejskich, po ponure sceny bitew, z zabitymi i rannymi wrogami. Ostatnio kroniki stały się bardziej sugestywne i brutalne. Goebbels, minister propagandy i informacji, chce, by berlińczycy wiedzieli, co ich czeka, jeśli miasto zdobędą Rosjanie.

Obraz na ekranie ukazuje nędzne wioski na stepie, prymitywne chaty z trawy, przykucniętych chłopów. Komentator informuje, że jest to szczytowy wytwór cywilizacji rosyjskiej, bo sami Rosjanie to podgatunek człowieka, „bolszewickie bestie pochodzenia azjatyckiego”. Następny czarno-biały film przedstawia oddział niemieckich żołnierzy atakujących bezładną rosyjską kolumnę. Z łuf karabinów i dział unosi się dym, pociski wybuchają, wznosząc słupy ziemi, ludzie padają. Kamera pokazuje w zbliżeniu wykrzywione twarze rannych niemieckich żołnierzy, podczas gdy komentator wysławia odwagę, z jaką powstrzymują najazd Rosjan, którzy są już w połowie terytorium Polski i prą dalej na zachód. Lottie myśli o swoim żołnierzu, widzi jego twarz na ekranie i wyobraża go sobie w agonii. Zamyka powieki na wystarczająco długą chwilę, by usunąć ten obraz sprzed oczu. Kamera filmuje teraz zabitych wrogów o twarzach zbrzydzanych krwią, otwartych oczach zapatrzonych ponuro w nieskończoność. Ciała są filmowane w taki sposób, jakby nigdy nie było w nich duszy. Spiker przy akompaniamencie muzyki mówi, że za odrażającymi hordami Rosjan postępują „żydowskie komanda śmierci”, za nimi zaś szaleje „terror, widmo głodu i całkowita anarchia”. Film ukazuje na końcu stos tłących się zwłok. Konkluzja jest oczywista: należy bronić Berlina do ostatniej kropli krwi, walczyć muszą wszyscy, także kobiety i dzieci, i to wszelką bronią, łopatami, nożami stołowymi czy widelcami. Bo jeśli miasto dostanie się w ręce Rosjan, spotka berlińczyków straszliwy los, a wszystko, co niemieckie, zostanie unicestwione raz na zawsze.

Lottie oglądała już kroniki przedstawiające drastyczne sceny, ale nigdy nie były aż tak drastyczne. Dziewczynki siedzące za nią zniknęły; słyszała, jak jedna zaczęła szlochać, a potem obie pospiesznie wyszły.

Kronikę kończy głośny muzyczny akcent. Ponownie pojawia się wizerunek orła ze swastyką. Potem na moment zapadają ciemności, bo operator zakłada taśmę z *Carmen*. Lottie łapie się na tym, że siedząc tak w ciemnej i zimnej sali kinowej, zaciska ręce. Opanowuje się i kładzie je na kolanach, zginając palce. Chwilę później projektor w kabinie za jej plecami zaczyna terkotać, srebrny

ekran migocze. W błyskach mętnego światła Lottie spogląda na kolana. Ma wrażenie, że widzi nie swoje dłonie, lecz obce, szare, drgające szpony. Wyglądają, jakby należały do kogoś innego, kogoś, kto umarł chwytając coś, czego nie udało mu się przytrzymać. Lottie nerwowo porusza ramionami, żeby pozbyć się tego przejmującego wrażenia. To moje ręce, myśli, żywe i silne. Potrafią grać na wiolonczeli, nic im nie jest, niczego nie muszą się czepiać.

Przypomina sobie rozgadane dziewczynki, które, przestraszone, pięć minut temu opuściły kino z płaczem. Jedna z nich zaklinała się, że zażyje truciznę. Muszę się jakoś zabezpieczyć, myśli Lottie. Wszystko jedno jak. Muszę.

Na przykład taki Furtwangler, dyrygent Filharmonii Berlińskiej. Dziś po południu poprowadzi swój ostatni koncert podczas tej wojny. Potem przenosi się na pewien czas do Szwajcarii, na życzenie Alberta Speera, ministra uzbrojenia i amunicji, głównego architekta Rzeszy. Speer jest teraz najpotężniejszym patronem filharmonii. Wilhelm Furtwangler to dyrygent światowej ławy. Był w Niemczech przez cały trudny okres i na swój sposób przeciwstawiał się reżimowi, starając się ochraniać swoich muzyków przed prześladowaniami i nie godząc się, by jego orkiestra służyła celom politycznym. Mimo wysiłków nie zdołał jednak utrzymać nazistów z dala od zespołu. Od 1935 roku obserwował, jak wydłuża się lista utworów zakazanych, poczynając od Mahlera, Milhauda, Strawińskiego czy Weilla, po Ravela, Debussy'ego, Choina, Bizeta i Czajkowskiego. Najwyżej cenionym przez nazistów kompozytorem stał się Wagner. Wilhelm Furtwangler pozostał pod ochroną, bo jest, kim jest. Tym lepiej dla niego, myśli Lottie. Przynajmniej do ostatniej chwili zwlekał z ucieczką. Reszta z nas musi tu zostać i stawić czoło Rosjanom. Lottie także chciałaby mieć możliwość ucieczki do Szwajcarii.

W czasie filmu trzyma ręce na kolanach, by odpoczęły przed koncertem chce zagrać dziś jak najlepiej, może to być ostatnia okazja, by popisać się przed maestro. Ma nadzieję, że kiedy Furtwangler wróci do kraju, pozwoli kobietom grać w zespole, bo uzna ją, Lottie, za niezastąpioną. A może – co jest bardziej prawdopodobne - wszyscy filharmonicy zginą w jednej chwili razem z nią, iście po wagnerowsku. W wyobraźni Lottie raz przeważa jedna z tych wizji, raz druga, jakby jej los ważył się na szalach przeznaczenia. Ogląda film, usiłując się skupić, mimo dręczącego ją niepokoju.

Po zakończeniu *Carmen* Lottie wychodzi z Mozartsaal. Choć kino zostało kilka razy zbombardowane, właściciele wciąż je odbudowują. To cud, że im na to pozwalają, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę edykt Goebbelsa o wojnie totalnej wydany dwa lata temu, po zwycięstwie Rosjan pod Stalingradem. Niepozorny minister propagandy i informacji o szpotawych stopach robi wszystko,

by zaszczerpić Niemcom strach przed Rosjanami, ale pozbawia ich przy tym resztek woli i dyscypliny. W czterdziestym trzecim zamknął wszystkie ekskluzywne restauracje. Kabarety i teatry musiały zakończyć działalność w sierpniu zeszłego roku, choć i tak wiele z nich zostało wcześniej zbombardowanych. Kadeko, Scala, Wintergarden. Lottie przypuszcza, że gdyby nie wpływy Alberta Speera, Filharmonia Berlińska i Opera Berlińska również padłyby ofiarą działalności Goebbelsa. Zlikwidowano też wszystkie funkcjonujące jeszcze bary i kluby, może poza dwoma, w których spędzają czas żołnierze, przejeżdżający przez Berlin. Tańce są zakazane. Sławne berlińskie prostytutki przewieziono na front wschodni, żeby tam zabawiały żołnierzy. Po raz kolejny zmniejszono racje żywnościowe. Jeden z krążących po Berlinie dowcipów mówi, że jeśli się nie zginie od bomb, to i tak nie pozwoli żyć Goebbels. Lottie cieszy się, że z powodu jakiegoś przeoczenia czy koneksji z kimś wpływowym Mozartsaal wciąż działa. Jest to przejaw jeszcze jednej drobnej dywersji, jakich pełno w mieście.

Dzień jest pogodny. Lottie wychodzi z ciemności na ulicę i mruży oczy. Chwilowy błogostan, jaki udało jej się osiągnąć przed srebrnym ekranem, niknie w ostrym słońcu oświetlającym gruzy. Spogląda wokół siebie. Chciałaby wrócić do kina na następny seans.

Dochodzi południe. Koncert rozpocznie się dopiero o czwartej. Lottie idzie na wschód Kurfürstendamm w kierunku stacji kolejki przy ogrodzie zoologicznym.

Po obu stronach ulicy widzi zniszczenia. Brytyjskie bomby... Z kościoła cesarza Wilhelma, jednej z największych świątyń w Europie, ostała się tylko kamienna wieża, która wznosi się ponad gigantyczną stertą gruzu. Wszystkie budynki w okolicy są niewiarygodnie okaleczone; jak mogą tak stać bez jednej całej ściany? Czy to duma nie pozwala im się zawalić? Lottie zastanawia się, czy ich przykład może jej samej przydać się na coś w przyszłości. Idąc, zagląda do salonów i sypialni na trzecim czy czwartym piętrze domów, które przecięte na pół, odsłoniły swe wnętrza, jak domki dla lalek. Widzi fotele, brokatowe kanapy, toaletki, łóżka chwiejące się na zarwanych podłogach, obrazy wciąż wiszące na gwoździach; wszystko cudem trwające pomiędzy nie istniejącymi ścianami. Co najdziwniejsze, w tych pokojach są ludzie, wchodzą tam i wychodzą. Wzdłuż ulicy na murach można przeczytać napisy kredą: „Droga pani Bittner, gdzie pani jest? Wszędzie pani szukamy”, „Wszyscy z tej piwnicy przeżyli”, „Mój aniołku, gdzie jesteś? Bardzo się martwię. Twój Fritz”. Pod wieloma z nich widnieją odpowiedzi - głównie adresy, ale i inne informacje.

Berlin ma swoje arterie, jak wielka żywa istota. Aleje, a nawet boczne ulice, są na tyle szerokie, że wchłonęły zavalone budynki i leje po bombach. Tu,

w zachodniej części miasta, której bombardowania też nie oszczędziły, wciąż trwa ruch autobusów i innych pojazdów. Większość samochodów ma na zde-rzakach chorągiewki ze swastyką; nazistowscy funkcjonariusze nadal wspo-magają funkcjonowanie organizmu miasta.

Przechodząc wśród zwałonych domów, Lottie zatrzymuje się, by popatrzeć na cudzoziemskich robotników, którzy nurkują w wielkich zwałach gruzu. Czyszczą cegły w taki sposób, w jaki robi to *Mutti*, i układają je z boku. Łopa-tami od śniegu i taczkami usuwają z chodników odłupane kamienie i kawałki zaprawy. Poruszają się jak automaty, unosząc i opuszczając kilofy, by dokopać się do pękniętych wodociągów. Wznoszą tumany pyłu, gdy pracują tak ciężko. Nadzorują ich starsi mężczyźni z bronią w rękach, którzy najwyraźniej nie czu-ją się dobrze w tej roli. Mają na sobie cywilne ubrania z czarnymi opaskami na rękawach. To członkowie Volkssturmu.

Przymusowi robotnicy mają chyba najgorzej, myśli Lottie. W Berlinie jest ich prawie milion. Zostali sprowadzeni z okupowanych krajów, by zastąpić młodych Niemców wysyłanych na front. Ci z Europy Zachodniej, Duńczycy, Francuzi, Belgowie, są traktowani lepiej niż reszta. Dostają przynajmniej nie-mieckie kartki żywnościowe i mogą kryć się w schronach podczas nalotów. W zupełnie innej sytuacji są robotnicy ze Wschodu, Polacy i inni Słowianie. Mu-szą nosić upokarzające oznaczenia na plecach, Polacy - żółto-fioletowe na-szywki z literą P, Ukraińcy - biało-niebieskie z napisem „Ost”. Są niedoży-wieni, a podczas nalotów kulą się w swoich lichych barakach. Najgorszy los spotyka jednak rosyjskich jeńców wojennych. Dostają najtrudniejsze, najpo-dlejsze i najbardziej niebezpieczne prace. Wszelkie kontakty pomiędzy nimi a obywatelami niemieckimi są zabronione. Po śmierci są wrzucani do zbio-rowych, nie oznaczonych grobów. Naziści dokładają wszelkich starań, żeby każdy wzięty do niewoli czerwony głodował i zapracowywał się na śmierć na ulicach i rumowiskach Berlina, na oczach wszystkich. Według nich podnosi to morale wśród Niemców.

Lottie dochodzi do stacji i wsiada do wagonu. Kolejka nadziemna wiezie ją do Wilmersdoffu pośród księżycowego krajobrazu. Lottie patrzy przez okno: wynędzniali robotnicy, którzy wloką się po ulicach, eskortowani przez starców albo chłopców; ranni żołnierze z rękami na temblaku, opierający się na laskach lub pozbawieni nóg, z ogolonymi głowami, pustymi oczodołami; uchodźcy, którzy uciekają przed zbliżającymi się Rosjanami; chłopci i miastowi na cięża-rówkach, dorośli z dziećmi w ramionach, opowiadający przerażające historie wszystkim, którzy tylko chcą słuchać i w zamian dadzą im coś do jedzenia; eleanckie niegdyś kobiety okutane teraz w zniszczone płaszcze, w łapciach ze słomy. Wśród takich scen za oknami kolejki Lottie jedzie do domu, żeby

włożyć smoking, zabrać wiolonczelę i udać się na koncert, a potem grać zasłuchanej publiczności Mozarta i Brahmsa. Umyka w dal, dostrzegając odprowadzające ją błagalne, czasem przestraszone czy nawet tęskne spojrzenia żołnierzy i zwykłych obywateli. Nadchodzą Rosjanie, mówią ich oczy. A Lottie opowiada wśród turkotu kolejki: gram na wiolonczeli. Muszę znaleźć - znajduję - coś, co mnie obroni, zapewni bezpieczeństwo.

Wróciwszy do mieszkania, zmienia ubranie i upina włosy pod siatką. Ponieważ jest jedyną kobietą w zespole filharmonii, i na dodatek gra w nim tylko czasowo, musi ubierać się w domu, podczas gdy jej koledzy przygotowują się do koncertu w garderobie. Maluje się jedynie na występy. Makijaż uchodzi za przejaw demoralizacji i braku patriotyzmu. Dziś jednak może sobie na to pozwolić. Gdy przechodnie na ulicy zobaczą ją z wielkim futerałem, będą się uśmiechać: domyśla się, że jest wiolonczelistką i że użyła szminki oraz różu na szczególną okazję. Przystaje przed lustrem, patrzy z zadowoleniem na swoje odbicie w smokingu. Wygląda jak apetyczny berliński hermafrodyta z czasów swobody obyczajowej i przedwojennych kabaretów, które stały się słynne na całym świecie. Sama nigdy by sobie na nic zdrożnego nie pozwoliła, ale uśmiecha się do swojego odbicia w lustrze, dumna ze swej urody i z tego, że wystąpi dziś na koncercie w filharmonii.

Mordując się z wiolonczelą w dwóch pociągach, o drugiej trzydzieści dociera do Admiralspalast w pobliżu stacji kolejowej Friedrichstrasse. Zajmuje na scenie swoje krzesło. Czwartą wiolonczelą. Opiera instrument o ramię i skinieniem głowy odpowiada na powitania pozostałych członków orkiestry. Zaczyna rozgrzewać palce i prawą rękę, naciąga struny rozstrojone zmianami temperatury podczas podróży. Wszyscy na scenie, sto pięćdziesiąt osób, odprawiają ten sam rytuał ze swoimi instrumentami. Ta kakofonia dźwięków jest dla każdego muzyka chwilą narodzin koncertu. Lottie ogarnia poczucie wspólnoty z orkiestrą. Cała beznadzieja berlińskiej rzeczywistości, okrutny spazm świata na zewnątrz, znika za sprawą wszystkich tych rozbieganych palców i dmących ust, które wydobywają te wspaniałe, soczyste dźwięki.

Na scenę wkracza doktor Gerhard von Westermann, dyrektor orkiestry. Muzycy kończą przygotowania. Von Westermann podchodzi do pulpitu dyrygenta. Członkowie zespołu są zaskoczeni. Lottie nigdy nie słyszała, by ten człowiek kiedykolwiek coś mówił, doskonale wykonuje swoją pracę, ale zawsze pozostaje w cieniu.

Korpulentny von Westermann wita ich wszystkich i życzy udanego występu na zakończenie sezonu artystycznego Furtwänglera. Potem chrząka z zakłopotaniem i przełyka ślinę.

- Jest pewna sprawa - mówi.

Milczy długą chwilę, aż jeden z trębaczy pyta:

- Tak, Gerhard?

- Eee... niewykluczone, że cały zespół filharmonii zostanie wcielony do Volkssturmu.

Ta niespodziewana wiadomość wytrąca z równowagi członków orkiestry. Rogi uderzają o pulpity, opuszczane tuby stukają o podłogę, wielu mężczyzn pod wpływem oburzenia wstaje, wiolonczeliści chwytają za górną część swoje instrumenty jak kurczaki za szyje.

- Nie! To niesłychane! Niemożliwe! Obiecano nam! Nas to nie dotyczy!

- Panowie, panowie, proszę. Panowie!

Muzycy nie zamierzają wrócić na miejsca ani ściszyć głosów. Von Westermann bezradny odchodzi od pulpitu dyrygenckiego, zamierzając opuścić scenę. Wtedy mężczyźni cichną jak po wzniesieniu batuty. Dyrektor wraca.

- To jeszcze nic pewnego. Ale musicie się z tym liczyć. Herr Goebbels zapowiedział, że nikt, absolutnie nikt, nie zostanie zwolniony ze służby, Rosjanie są coraz bliżej. Nie przewiduje się żadnych wyjątków. Armia Czerwona może w każdej chwili wkroczyć do Berlina.

Ktoś pyta głośno:

- A co z Amerykanami, Anglikami?

- Wiem tyle samo o ich zamiarach, co i wy, czyli nic. W obecnej sytuacji najwyraźniej wszyscy, którzy mogą coś wiedzieć na ten temat, interesują się głównie Rosjanami.

Tympanista o kobiecym głosie, wysokim i śpiewnym, kontrastującym z dźwiękiem, jaki wydaje jego instrument, zadaje pytanie, które nasuwa się każdemu:

- Co więc zamierza pan zrobić?

- Zrobić? Ja? A co mogę zrobić?

Mężczyźni znowu zaczynają mówić podniesionymi głosami.

- Cokolwiek! Porozmawiać z Goebbelsem! Przecież jesteśmy, na miłość boską, filharmonikami! Goebbels zawsze nas wspierał, niech pan z nim pomówi! Niech pan się zwróci do Speera!

Lottie siedzi w samym środku tego pandemonium, zastanawiając się nad swoją sytuacją. Jako kobieta z pewnością nie zostanie wcielona do Volkssturmu jak pozostali nieszczęśliwi filharmonicy. Jak Goebbels może zrobić coś takiego? Orkiestra dostarcza jedynej rozrywki ludziom w mieście, jest ostatnim źródłem dumy narodowej dla umęczonych berlińczyków, zarówno dla ważnych figur, jak i zwykłych ludzi, nazistów i przerażonych żołnierzy, pograżonych w żałobie matek. Poniedziałkowe koncerty filharmonii są transmitowane przez radio na cały Berlin, słuchają ich także oddziały na froncie. Gra zapewnia Lottie

utrzymanie. Wynagrodzenie, które dostaje, to tylko pieniądze, ale także żywność, gorące posiłki. Przynależność do zespołu określa przy tym jej pozycję. Jeśli orkiestra zostanie rozwiązana, jeśli ci wszyscy mężczyźni w smokingach zamiast instrumentów wezmą do ręki broń i pomaszerują na spotkanie Rosjan, świat Lottie także legnie w gruzach.

Jedyna nadzieja w tym, że jako pierwsi dotrą do Berlina Amerykanie i Brytyjczycy.

Muzycy nadal dyskutują z von Westermannem o konieczności podjęcia jakichś starań, ale nadzieja na rozwiązanie tego problemu słabnie. Słychać to w ich łamiących się głosach. W akustycznej sali Admiralspalast prośby i błagania brzmią polifonicznie, ale są przypadkowe i pozbawione harmonii, jak dźwięki strojonych wcześniej instrumentów.

Luty

Niech każdy zabije jednego Huna.

WINSTON CHURCHILL

Żołnierze Armii Czerwonej!
Zabijajcie Niemców!
Zabijajcie wszystkich Niemców!
Zabijajcie! Zabijajcie! Zabijajcie!

z ulotki autorstwa Ilji Erenburga,
podpisanej przez Stalina i zrzucanej z
samolotów nad oddziałami
Armii Czerwonej

Rozdział trzeci

2 lutego 1945, godzina 10.15

Krażownik Marynarki Wojennej USA „Quincy”, Grand Harbor

Valetta, Malta

Prezydent ściska dłoń córki.

- Spójrz na Winstona - mówi. - Pali tak wielkie cygaro, że widać je aż stąd. Wygląda, jakby trzymał w ustach psią nogę.

Anna się śmieje.

- Rzeczywiście, masz rację!

Trzysta metrów dalej, na pokładzie brytyjskiego krążownika HMS *Orion*, angielski premier w towarzystwie dwóch ubranych na biało marynarzy toruje sobie drogę przez długi szereg majtków zebranych przy relingu lewej burty okrętu. Z cygarem w ustach jest widoczny z daleka. To jedyna ciemna sylwetka na tle brytyjskich marynarzy stojących na baczność. Macha ręką w kierunku przepływającego obok *Quincy'ego*, do prezydenta i Anny, którzy siedzą na mostku.

Roosevelt, ubrany w starą niebieską pelerynę, odpowiada takim samym gestem, zsuwa przy tym kaptur i uchyla kapelusza, witając premiera. Churchill sprawia wrażenie, jakby podskakiwał z podniecenia. Ten facet uwielbia pompę, myśli Roosevelt. Anna nadal się śmieje, jej niebieskie oczy lśnią, gdy przenosi spojrzenie z podekscytowanego Churchilla na ojca. Piękna kobieta, myśli Roosevelt, naprawdę piękna. W jej głosie także słychać podniecenie:

- Czy to nie zabawne? Wspaniałe!

Quincy kieruje się do portu w Valetcie, sunąc przy burcie *Oriona*. Kiedy okręty równają się dziobami, w górze z hukiem przelatuje formacja pięciu spifire'ów, tworząc na niebie literę V. Lecą na tyle nisko, że Roosevelt widzi w kokpitach salutujących pilotów. Zanim wśród pobliskich wzgórz Malty zamilknie, niesiony echem, ryk silników samolotowych, orkiestry dęte na obu okrętach wojennych intonują Gwiazdzisty sztandar. Wszyscy marynarze

znajdujący się w zasięgu wzroku, a są ich setki na pokładzie *Quincy'ego* i *Oriona*, stają na baczność i salutują fladze amerykańskiej.

Roosevelt trzyma kapelusz na kolanach i odchyła głowę do tyłu, wystawiając twarz do słońca. Przedpołudnie jest pogodne i robi się coraz cieplej. Anna ściska dłoń ojca, a potem ją puszcza.

- Och, tato, jest Sarah. Pomacham jej. Zaraz wracam - mówi. Podchodzi do relingu, żeby z daleka przywitać się z córką Churchilla. Prezydent patrzy za nią, jak się oddala. Dwaj marynarze ustępują jej z drogi. Stają na baczność. Anna dorównuje im wzrostem. Roosevelt jest pewien, że wszyscy ci wyprężeni żołnierze mieliby ochotę zerknąć na jej nogi.

Prezydent dobrze się czuje na okręcie - jak zawsze. W młodości żeglował na jeziorach wokół Hyde Parku w Nowym Jorku. Przez siedem lat był zastępcą sekretarza Marynarki Wojennej. Tego dnia ma wrażenie, że jest silniejszy niż niedawno temu w zimnym Waszyngtonie. Pełny relaks psychiczny podczas podróży przez Atlantykę i teraz śródziemnomorskie słońce dobrze mu zrobiły.

W Białym Domu jest więźniem własnego zdrowia. Tę troskę o zdrowie dostrzega wszędzie: i w wiadomościach (republikanie nie pozwalają nikomu zapomnieć o jego kalectwie), i w życiu codziennym. Wyczuwa ją na każdym roku. Jego lekarz „od serca”, kardiolog Bruenn, po południu mierzy mu ciśnienie i wydziela pigułki. Naczelnny lekarz, admirał McIntire, zachodzi do jego sypialni i obserwuje go, kiedy jeszcze w piżamie je śniadanie, a potem przegląda poranną partię dokumentów. Jeden Bóg wie, jakie to informacje medyczne zbiera. Zabraniają mu pracować więcej niż cztery godziny dziennie, wliczając w to godzinę na spotkania i rozmowy. Musi robić przerwy na drzemki. Poddawać się masażom. Wciąż brać leki. Lekarze czają się w zakamarkach Białego Domu jak myszy, mnożą się jak one, gdy tylko zaobserwują prezydenta pogorszenie samopoczucia, ból brzucha, gorączkę czy katar, ale podczas tej podróży łagodne kołysanie okrętu wspomagało sen. Sypiał do późnego rana, do dziesiątej albo jedenastej. W południe jadł lunch z Anną i kilkoma przyjaciółmi. Potem przechadzał się po pokładzie, sortował znaczki lub czytał dokumenty państwowe. Siódmego dnia na morzu, 30 stycznia, obchodził swoje sześćdziesiąte trzecie urodziny. Anna urządziła mu przyjęcie z pięcioma tortami. Trzy tej samej wielkości symbolizowały minione trzy kadencje na stanowisku prezydenta, czwarty, największy, oznaczał obecną kadencję, a ostatni, mały, z lukrowym znakiem zapytania pośrodku - ewentualnie piątą. W obecności zebranych wokół ludzi Roosevelt śmiał się i żartował, a wieczorem wygrał w pokera wszystko, co było w puli. W nocy jednak zaniepokoił go ten znak zapytania. Dlaczego właściwie umieszczono go na torcie? Lekarze tak niewiele mu mówią.

Rozmawiają tylko między sobą. Mógłby zażądać więcej informacji, ale nie robi tego. Oni mają swoją pracę. On ma swoją. Na pokład wraca Anna i siada w fotelu obok.

- Nie siedź znowu z Winstonem do późna, tato. Będę cię pilnować.

Prezydent kiwa głową. Co za niezwykła kobieta, jaką wyrazistą linię ma jej profil. Eleanor dała mu pięcioro urodziwych dzieci, córkę i czterech synów. Bardzo wczesnie jednak - całe wieki temu - przestała być dla niego żoną. A może to on przestał o nią zabiegać...

Jakby czytając w jego myślach, Anna pyta:

- Powiedz, tato, czy mama nie mogła pojechać z nami?

Roosevelt próbuje wyobrazić sobie Eleanor zamiast Anny. Żona jak zwykle chciała mu towarzyszyć. Nigdy jednak nie miała dla niego współczucia z powodu zdrowia. Wierzy w siłę woli jako metodę leczenia. Przy jej konstrukcji psychofizycznej to takie proste. Jest zbyt surowa, zbyt racjonalna, zawsze krytyczna wobec Winstona, jego drinków, zwyczajów pracy do późna, poglądów na temat roli kobiet, które powinny pozostawać w cieniu mężczyzn. Czując na sobie pytające spojrzenie Anny, Roosevelt kręci przecząco głową. Z powrotem nasuwa kaptur i zapina pelerynę, chroniąc się przed chłodem i przed własnymi myślami. Eleanor wywołałaby swoją obecnością ciągle zamieszanie. On tego nie potrzebuje, nie chce.

- Tato... - tylko tyle. Anna zaciska usta i kręci głową.

Roosevelt patrzy córce w oczy. Myśli przy tym, że twarz ludzka jest niczym księgą. Tak wiele można z niej wyczytać.

Eleanor nie złożyła mu życzeń urodzinowych. Przysłała natomiast sążnisty telegram, w którym opisywała zamęt w Kongresie, wywołany nominacją na stanowisko sekretarza do spraw handlu. Intencje Eleanor były jasne - dawała mu do zrozumienia, że nie aprobuje jego wyboru.

Roosevelt bierze głęboki oddech. Odwraca spojrzenie od Anny i mówi w przestrzeń:

- Twoja matka i ja... Ale z nas para!

Anna poklepuje go po ręce, jakby chciała powiedzieć: Tak, rzeczywiście.

Postanawia porzucić ten melancholijny ton. Anna lepiej niż ktokolwiek inny zdaje sobie sprawę z tego, jak niewiele daje mu małżeństwo i że wsparcia szuka gdzie indziej. Nie musi jej tego mówić, ona to wie.

- Nie poradziłbym sobie bez niej, wiesz przecież. Jest niezastąpiona. Eleanor to moje oczy i uszy. Do diabła, to także moje nogi!

Anna pochyla się lekko i przymyka powieki na znak, że rozumie. Opiera głowę na jego ramieniu, wygładzając stary gruby kaptur swą silną ręką poznaczoną żyłkami. On czuje jej ciężar na piersi. Anna... Szum morza, wibracja silników, krzątanie ludzi - wszystko to usuwa się w dal pod wpływem bliskości

ukochanej córki, tu, na tym okręcie wojennym, w obcym porcie. Ile wyraża to jedno dotknięcie...

Pozostaje z Anną na pokładzie, podczas gdy ceremonia osiąga punkt kulminacyjny i wkrótce dobiega końca. Ojciec i córka wciąż siedzą przytuleni. *Quincy* przy nadbrzeżu daje pierwszeństwo *Orionowi*. Churchill i jego marynarze niktą im z oczu. Stopniowo cichną dźwięki brytyjskiej orkiestry dętej. Spitfire'y dokonują zwrotu i wracają do bazy. Roosevelt czuje, że córka chciałaby poprzez dotyk wyrazić, że jej życie jest związane z jego życiem, przekazać mu swoją siłę i miłość. Ale on wie, że to daremne. Zagryza wargę. Jest późno na tyle rzeczy. Za późno.

Ale może nie na wszystko.

Jego posłannictwo.

Czy ma jeszcze dość czasu i sił? A może przed nim już tylko ów niepokojący znak zapytania z urodzinowego tortu?

- Cóż - mówi. To sygnał, że trzeba się podnieść i zabrać do pracy. Anna jednak nie pozwala mu się ruszyć. Prezydent poddaje się. Pozostaje w objęciach córki, z jej głową na ramieniu, jakby podtrzymywał anioła. Siedzą tak dłuższą chwilę, dopóki okręt nie przybije do nadbrzeża, dopóki nie zjawi się Winston Churchill sapiący po pokonaniu kilku schodków. Zanim postawił stopę na pokładzie, już woła:

- Panie prezydencie! Mój wspaniały przyjacielu! Cha, cha! Zrobił pan to w wielkim stylu! Naprawdę wielkim! Anno! Mój Boże, Franklin, zawsze podróżujesz w towarzystwie najpiękniejszych kobiet. Zobacz, kto tu jest, Anno. Sarah!

Za Churchillem pospiesznie podąża jego córka. Anna wstaje, by stawić czoło temu najazdowi męczących Brytyjczyków. Ale Roosevelt przytrzymuje jej dłoń w uścisku, jakby chciał przedłużyć jeszcze te cudowne, wspólnie spędzone chwile. Nie chce pozwolić jej się wymknąć, nie jest gotów na rozstanie, gdybyż tylko było więcej czasu - na wszystko. Ojciec i córka patrzą sobie w oczy, Roosevelt w tym przeciągłym spojrzeniu w jakiś przedziwny sposób zawarł wszystko, co kryje się w jego sercu, wszystko, co dobre i złe, głęboko ukryte i niepokojące. To nagłe porozumienie jest czymś więcej, niż się spodziewał. Teraz już może - musi - pozwolić jej powitać gości. Winston rzuca się do przodu. Roosevelt jeszcze przez sekundę egoistycznie ściska palce córki. Niech Winston poczeka.

Potem, jakby wypuszczał gołębicę, rozwiera dłoń i córka ulatuje, jasna i silna. Już jej nie ma.

W miejscu, które zajmowała przed chwilą, wyrasta przed nim Churchill, gruby, w granatowej marynarce ze złotymi guzikami i kremowymi galonami.

Ten człowiek uwielbia się przebierać, zwłaszcza w mundury. Na głowie ma czapkę admirałską. . Roosevelt wyciąga do niego rękę.

- Winstonie, jak zawsze jesteś...

- Głodny, panie prezydencie. - Churchill opada na fotel zajmowany poprzednio przez Annę. - Głodny. Kiedy będzie lunch?

Roosevelt nie może się oprzeć i ulega nastrojowi gościa.

- Jak zwykle czeka na ciebie, Winstonie. Skoro już jesteś, zabierajmy się do żarcia.

- Do żarcia - Churchill smakuje to słowo, uderzając laską o pokład. - Naprawdę kocham amerykańskie słownictwo. Żarcie. Fantastyczne!

Obaj przywódcy śmieją się przez chwilę. Ich spojrzenia spotykają się, wesołość gaśnie. Patrzą na siebie w identyczny sposób: ukradkowo, taksująco. Roosevelt zastanawia się, czy-sam też wygląda tak kiepsko jak Churchill. Premier sprawia wrażenie wycieńczonego, jego twarz i ramiona przypominają obwisły worek. Policzki, zazwyczaj rumiane, dziś są blade, a wysokie czoło ma kolor kredy. W czasie tej wojny Churchill pokonał setki tysięcy mil -jeździł na front, kilka razy do Moskwy i Waszyngtonu, brał udział w niezliczonych naradach z Eisenhowerem i Montgomerym w ich kwaterach. Jest wszędzie, podróżuje po Londynie i innych zbombardowanych miastach, wznosząc palce ułożone w literę V - *Victory*, zwycięstwo. Jest poza tym najstarszy z trójki alianckich przywódców, ma już siedemdziesiątkę. Nic dziwnego, że odczuwa zmęczenie. W tej chwili jednak Winston Churchill mówi o lunchu jak o ceremonii koronacyjnej, a o przybyciu amerykańskiego prezydenta na Malte - jak o wydarzeniu niezwykle pomyślnym i doniosłym. To naprawdę odważny facet, myśli Roosevelt. Mój Boże...

W czasie lunchu obie rodziny i główni współpracownicy prowadzą towarzyską rozmowę. Nie pada ani jedno słowo na temat gafy Montgomery'ego ani o wspaniałym, pojedynczym wystąpieniu Churchilla w Izbie Gmin. Roosevelt uważa, że lepiej nie poruszać drażliwych kwestii. Rozkoszuje się tym dziewięćdziesięciminutowym posiłkiem, pełną uroku pogawędką, która wyzwala u biesiadników wszystko to, co w nich najlepsze, cały ich błyskotliwy dowcip. Prezydent też chciałby uchodzić za odważnego człowieka, tak jak jego przyjaciel Winston. Chce być podziwiany.

Churchill pije szampana, jakby gasił ogień w żołądku. Je, gada, jest niczym lokomotywa pochłaniająca paliwo i rwąca do przodu. Roosevelt patrzy na niego z uznaniem, ale pozostaje powściągliwy i nie poddaje się zniewalającemu urokowi premiera.

- Wystarczy - mówi Anna, wstając i klaszcząc w dłonie. - Idziemy do siebie. Ojciec i Winston muszą odpocząć. Przed nami wielkie dni, proszę państwa, wielkie dni. Powinniśmy oszczędzać siły, prawda?

Churchill także się podnosi, a za nim z tuzin współpracowników. Pochyla się w stronę Roosevelta i przesłaniając usta ręką, mówi:

- To o szóstej? Przyjdę do twojej kabiny. Pogadamy godzinę przed obiadem.

Roosevelt na potwierdzenie kiwa zapalonym papierosem. Churchill odwraca się i unosi ręce w geście poddania, podporządkowując się Annie.

- Nie będę sprawiał kłopotów, proszę pani.

Po rozejściu się gości Anna sama odwozi ojca do kabiny.

- Teraz drzemka - mówi po drodze. - Och, ja chyba też się położę. Ten Winston to prawdziwy huragan.

Punktualnie o szóstej premier puka do drzwi kabiny Roosevelta.

- Wejdz, Winstonie.

Churchill wchodzi do kabiny zupełnie innym krokiem niż wcześniej, kiedy wkraczał na pokład okrętu. Jest teraz osobą prywatną, nie hałaśliwym, charyzmatycznym mężem stanu. Porusza się cicho, prawie z gracją. Roosevelt widzi w jego oczach inteligencję. Słowa premiera tym razem pozbawione są wszelkich efektownych ozdobników. Mówi jasno i prosto.

- Ponieważ mamy tylko godzinę, zanim twoja uroczą córka zacznie mi ciosać kołki na głowie, więc pozwolisz, Franklinie, że od razu przejdę do rzeczy. Chodzi o spotkanie szefów sztabów.

Roosevelt zapala papierosa, opiera go o popielniczkę i splata ręce przed sobą.

- Proszę mówić, panie premierze.

W oszczędnych słowach Churchill relacjonuje rezultaty narady wojskowej, która odbywała się w ostatnich dniach na Malcie. Brali w niej udział oficerowie sztabów generała Marshalla ze strony amerykańskiej i marszałka polnego Brooke'a ze strony brytyjskiej.

Amerykańskie i brytyjskie wojska mają zwiększyć wysiłki i uderzyć z dwóch kierunków na Ren, by osaczyć znaczną liczbę niemieckich żołnierzy po zachodniej stronie rzeki. Główne natarcie na wschód, w głąb Niemiec, poprowadzi Montgomery ze swoją 21 Grupą Armii, przekraczając Ren w jego dolnym biegu i okrążając od północy rejon przemysłowy Ruhry. Churchill określa tę trasę jako „najkrótszą drogę do Berlina”. Wojska amerykańskie na południu również przeprawią się przez Ren i skierują w stronę Frankfurtu, by odciągnąć możliwie najwięcej oddziałów niemieckich od trasy przemarszu Monty'ego. Jeśli Monty zostałby zatrzymany na północy, atak na Berlin ruszy linią południową. Marshall i Brooke zgodzili się, że grupa armii Montgomery'ego musi zostać wzmocniona - ma absolutne pierwszeństwo, jeśli chodzi o uzupełnienia, sprzęt, zaopatrzenie i wsparcie z powietrza. Marszałek polny będzie dowodził milionem żołnierzy, w tym także amerykańskich z 9 Armii.

Mówiąc to wszystko, Churchill ożywia się i sprawia wrażenie zadowolonego. Przynajmniej przez jakiś czas może cieszyć się nadzieją, że to brytyjscy żołnierze wezmą udział w rozstrzygających działaniach. Rozpoczął się wyścig o zdobycie Berlina, a prowadzi w nim Monty.

Słuchając dalszych wyjaśnień Churchilla, Roosevelt kiwa głową: tak, tak. W duchu dziwi się, że premier uzyskał aż takie prerogatywy dla Montgomery'ego, zwłaszcza po tych wszystkich perturbacjach związanych z niefortunną konferencją prasową marszałka. Ale skoro generał Marshall uważa, że wszystko jest w porządku, Ike musi się z tym zgodzić. Przemówienie Churchilla w parlamencie najwyraźniej wywarło odpowiedni skutek.

Berlin i Montgomery. Oto co się dzieje, gdy Winston spotyka się z kadrą oficerską bez udziału amerykańskiego prezydenta i Stalina. Dostaje wszystko, czego chce.

Ale przecież wojskowi wiedzą, co robią. Chcą zdobyć Berlin, co do tego nie ma wątpliwości.

Joe się zesra, a będzie tam pierwszy - to także pewne.

Zobaczmy.

Churchill konkluduje:

- Sprawa Berlina jest otwarta, Franklin. Nie w sensie wojskowym, ale politycznym. Jeśli się nie mylę, jak dotąd ty, ja i Stalin nie rozmawialiśmy o tym. Możemy więc zdobyć miasto. Mamy szansę. Musimy to zrobić. Nie wolno nam siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż Rosjanie zajmą każdy skrawek ziemi między Moskwą a Brukselą.

- Nie, chyba nie.

- Nie. Zdecydowanie nie.

- No to ścigajmy się.

- Świetnie. Uważam, że powinniśmy spotkać się z Rosjanami tak daleko na wschodzie, jak tylko się da.

- Tak, tak.

- Musimy zająć Berlin. Stalin liczy się tylko z siłą. Nie obchodzą go żadne porozumienia ani kwestie moralne. Zapewniam cię, że nie ma innego sposobu, by wyprzeć go z Europy Wschodniej. Tylko siła.

- Tak.

Premier przerywa na chwilę, gotów mówić dalej. Zawsze sprawia wrażenie, jakby mógł mówić i mówić. Tym razem jednak daje sobie spokój, na razie skończył. Podobnie jak Anna, Hopkins i inni bliscy współpracownicy Roosevelta, dostrzega, kiedy prezydent ma dość.

Churchill wyjmując cygaro z kieszeni na piersi, ma ono średnicę i barwę lufy karabinu.

- Franklin, powiedz mi uczciwie - zaczyna. - Jak się czujesz?
- Szczerze?
- Jak zawsze.
- Każdy następny dzień może być ostatni. Wszyscy wokół mnie się niepokoją. Nie trzymałbym ich przy sobie, gdyby się nie martwili. Sam przeważnie nie mam na to czasu.

Churchill gryzie w ustach cygaro. Obok jego fotela stoi zapalona świeczka, specjalnie z myślą o nim ustawiona tam przez Roosevelta. Prezydent obserwuje, jak przyjaciel i przywódca światowego mocarstwa opala nad płomieniem końcówkę cygara. Kiedy zaczyna się ono żarzyć, wdycha aromat tytoniu. Oblizuje usta i zatrzymuje dym w płucach. Roosevelt przygląda się temu człowiekowi, studiuje wizerunek złożony z samych sprzeczności. Angielski humor, styl i charakter. Konserwatyzm i błyskotliwość.

Premier mówi przestonięty dymem:

- Mamy wiele do zrobienia, Franklin.
- Tak, rzeczywiście.
- Bez nas się nie obejdzie.

Dym wydmuchnięty przez Churchilla snuje się nad jego głową w nieruchomym powietrzu luksusowej kabiny. Siedzący w tym obłoku premier, ze swym dużym brzuchem i krótkimi nogami kojarzy się Rooseveltowi z Buddą albo jakimś wróżbitą, który przepowiada nieszczęście. Mówi o umieraniu. Roosevelt odpowiada zaś w stylu Eleanor: siła woli to potęga.

- Rzeczywiście, bez nas sobie nie poradzą, Winstonie. Nigdzie się nie wybieram w najbliższym czasie.

Churchill, wbrew oczekiwaniom Roosevelta, nie odpowiada w konwencjonalny sposób, nie zapewnia go pospiesznie, że na pewno wszystko będzie dobrze. Nadal siedzi w kłębach dymu, wydmuchując kolejny obłoczek. Roosevelt - chciałby, żeby coś powiedział. Cholera, człowieku, odezwij się! Premier kiwa głową, jakby to słyszał. Milczy jednak, trzymając w ręku żarzące się i dymiące cygaro. To jego jedyna odpowiedź. Wtedy Roosevelt uświadamia sobie to, co przeczuwał podczas dzisiejszego urokliwego przedpołudnia u boku córki. I w noc po urodzinowym przyjęciu na Atlantyku, kiedy leżał w łóżku, mając przed oczami znak zapytania wiszący nad jego głową jak miecz Damoklesa. I to, czego domyślał się na podstawie min lekarzy, co podczas ich narad było równie oczywiste, jak zaduch w pokoju chorego. Tego wieczora Churchill się z nim żegna.

Roosevelt patrzy na siedzącego naprzeciwko szczęśliwca, który będzie świadkiem i sprawcą końca, a co ważniejsze - nowego początku.

- Franklin.
- Tak, Winstonie?

Churchill obraca w ustach cygaro. Zaciągnąwszy się dymem, wyjmuje je. Jest tak grube, że trzymające je palce tworzą literę V - *Victory*. Wysuwa dolną wargę i unosi głowę. Przypomina zadumanego buldoga.

- Winstonie?

Premier zrywa się na równe nogi. Tego też mu Roosevelt zazdrości.

- Jestem głodny jak wilk.

2 lutego 1945, godzina 10.10

Regensburger Strasse Wilmersdorf,
Berlin

Tykanie ustaje.

- Och, na miłość boską - Lottie głośno mówi do siebie - zostawcie nas w spokoju.

Opuściwszy ramiona, przechodzi przez pokój i rzuca się na fotel obok radia. Jest to duży odbiornik z brązowego drewna na wysoki połysk, o czarnych plastikowych pokrętkach i głośniku ze złotawej siatki. *Drahtfunk*, ciągłe, jednostajne tykanie na wyznaczonej częstotliwości, informuje berlińczyków, że nad obszarem Niemiec nie ma żadnych nieprzyjacielskich bombowców.

Lottie podciąga nogi na fotel, obejmuje ramionami kolana i chowa między nie głowę.

Kołąd tym razem lecą Amerykanie? Od ostatniego nalotu na Berlin minęło kilka tygodni. Lottie przypomina sobie to wszystko, co od tego czasu widziała, co widział każdy Niemiec.

To straszne, myśli. Zbyt straszne. Zaczyna nucić z ustami wciśniętymi między kolana.

Po kilku sekundach z radia wydobywa się wysoki ciągły dźwięk, który zapowiada zbliżający się nalot.

Lottie opuszcza bezradnie czoło na kolana.

Zostawcie nas w spokoju.

Odzywa się spikerka. Mówi spokojnym, profesjonalnym głosem. Obrona powietrzna donosi, że tego rana w przestrzeń powietrzną kraju wtargnęła duża formacja nieprzyjacielskich bombowców, która kieruje się na wschód. Cel nie jest jeszcze znany. Proszę pozostać przy odbiornikach.

- Och! - Lottie wstaje z fotela. Obrzuca spojrzeniem mieszkanie, swoje cztery ściany - niedługo dawały jej poczucie tożsamości. Tu była sobą, określoną indywidualnością, nie uchodzącą czy innym nieszczęśnikiem. W tych po kojach mogła pozostać młodą kobietą. Nawet jeśli udało się ocalić życie, to w

ogarniętym wojną mieście, gdzie na ulicach panuje szaleństwo, trudniej jest pozostać przy zdrowych zmysłach.

Jej wzrok wędrujący po pokoju wyostrza się, przeskakuje z przedmiotu na przedmiot jak ptak wystraszony wysokim piskiem w eterze. Lottie wyciąga ręce przed siebie, jakby chciała powstrzymać uderzenie. Traci równowagę i z powrotem opada na fotel.

Jej jedyny towarzysz, radio, piszczy boleśnie, podczas gdy urzędnicy gdzieś tam prowadzą obserwacje i ustalają kurs amerykańskich bombowców. Lottie zaczyna oddychać szybciej. Ściany, dotąd jej strażniczki, zdają się na nią napięć. Otaczają fotel przy radiu, suną z obrazami w ramach, wspomnieniami, jej przebrzmiałym łkaniem w samotności, którego były świadkami i które wchłonęły. Wiolonczela w futerale wygląda jak Charlie Chaplin - szeroka na dole, zwięzająca się ku górze, zdaje się wychodzić z kąta rozkołysanym krokiem.

Lottie wstaje. Ściany i wiolonczela próbują ją zatrzymać, ale wracają na miejsce pod wpływem jej spojrzenia. Przeczesuje ręką włosy.

- Dość - mówi. - Dość tego.

Idzie do małej kuchni i otwiera kredens. Wyjmuje paczuszkę zawiniętą w papier.

To już resztki.

Odwiazuje sznurek i wysypuje do filtra ostatnie drobiny prawdziwej kawy.

Filtr też jest ostatni.

Z wiaderka stojącego na blacie czerpie dwie filiżanki wody. Tego rana, jak co dzień, razem z sąsiadami nabrała jej z pękniętego wodociągu za domem i przydzwigała na górę.

Do kosza na śmieci wrzuca puste opakowanie po kawie. Dostała ją kilka miesięcy temu, przed prywatnym występem kwartetu smyczkowego w pewnym wielkim domu w Poczdamie. Gospodarz, nazistowski pułkownik, wręczając Lottie tę paczuszkę, uszczypnął ją w policzek. Widziała go wcześniej w otoczeniu rodziny, smukłych córek i grubej żony, przyjaciół oraz oficerów w czarnych koszulach. Nie zastanawiała się, jaki udział w tej wojnie miała ręka dotykająca jej policzka. Wie, że ludzie w tych czasach nie mają wielkiego wyboru. Spokojnie zniosła impertynencje, przyjęła kawę i zagrała.

Kiedy czajniczek jest już przygotowany, Lottie zapala kuchenkę spirytusową. Ogień obejmuje dno naczynia. Po całej kuchni rozchodzi się zapach - płoną ostatnie perfumy Lottie.

Trzymając filiżankę w dłoni, siada przy czajniku. Nie będzie śmietanki i cukru. Tak naprawdę Lottie nie ma specjalnej ochoty na kawę. Pragnie tylko odrobiny normalności - i za minutę uda jej się ją przywołać. Gorący napój. Po co oszczędzać kawę czy perfumy, zastanawia się. Oszczędzić je na kiedy - na

jutro? Następnego dnia - jeśli go dożyje - znowu zapyta: po co oszczędzać? Na jutro?

Kawa wrze. Lottie nalewa do filiżanki parujący napar, a potem bierze ją w dłonie. Wdycha zapach kawy, aromat luksusu - właściwy czas i miejsce!

Radio wciąż skrzeczy piskliwym dźwiękiem. Wyłącza odbiornik.

Wystarczy.

Rozstawiając szeroko stopy, staje nad płonąca lampką spirytusową. Nie gasi jej, pozwala płomieniom żyć jeszcze chwilę, chce, żeby ogrzały chłodne powietrze, daje im wolność. Na nogach i dłoniach czuje przyjemne ciepło.

Na zewnątrz w mieście rozlegają się syreny. Lottie pije łyk kawy. Chce tylko poczuć jej smak. Na chwilę zatrzymuje ją w ustach, jest cudowna.

Za drzwiami w korytarzu dudnią szybkie kroki ludzi zbiegających po schodach. Lottie nasłuchuje, wciąż siedzi w fotelu, popijając kawę. Jedna z sąsiadek przystaje pod jej drzwiami i stuka. Woła: - Jest pani tam? Halo?

Lottie nie odpowiada. Jeszcze jedno pukanie i cisza. Sąsiadka przyłącza się do innych, pędzących z hałasem do piwnicy. Lottie słyszy stukot walizek ciągniętych po stopniach, płacz niemowląt podawanych z rąk do rąk, popędzanych dzieci - szybciej, szybciej, *schnell!*

Kolejne pukanie w drzwi. Lottie pije następny łyk, kawa szybko stygnie. Kuchenka spirytusowa dogasa z sykiem. Perfumy się kończą.

- Lottie!

Rozpoznaje głos zza drzwi. To gospodyni, stara pani Preutzmann z parteru.

- Lottie! Musisz zejść, *Liebling!* Widziałam, jak wchodziłaś, wiem, że tam jesteś! Chodź!

Lottie przytyka ceramiczną filiżankę do policzka, by przejąć od niej resztki ciepła.

- Piję kawę - mówi w stronę drzwi.

- Lottie, do piwnicy! - woła gospodyni. Dziewczyna przyciska filiżankę do serca.

- Lottie! W radiu mówią, że to *Luftgefahr* piętnaście. Piętnaście! To najwyższy stopień zagrożenia. A więc celem jest Berlin.

- *Liebling.*

Lottie stawia filiżankę na kolanach. Kuchenka spirytusowa syczy.

- Zostawcie mnie w spokoju - mówi podniesionym głosem, który musi być słyszalny w korytarzu.

- Idziesz? Lottie?

- Piję kawę.

- Och! Co takiego? Nie wygłupiaj się! Chodź do piwnicy!

Lottie wstaje zbyt szybko. Rozlewa trochę kawy na nogi.

- Piję kawę! - woła.

Z powrotem zagłębia się w fotelu. Radio cicho popiskuje. Pani Preutzmann odchodzi od drzwi. Lottie słyszy, jak kobieta woła poniżej, na schodach:

- Hans! Hans! Wracaj, weź ze sobą klucze! Tak, tu na górę!

W mieście rozlega się ryk syren ostrzegających przed nalotem. Pani Preutzmann woła do swego niemłodego męża, żeby przyniósł klucze, bo chce wyciągnąć Lottie z mieszkania. Radio chętnie przyłączyłoby się do tych wysiłków, ale Lottie zdążyła je wyłączyć. Ściany też mają ochotę ruszyć powoli do przodu, lecz spojrzaniem osadza je na miejscu. Wiolonczela mówi: Rób, jak uważasz, Lottie.

- Och, no to chodźmy do tej choleralnej piwnicy.

Ciągnie do wyjścia wielki futerał z instrumentem właśnie w chwili, gdy pan Preutzmann, podzwaniając kluczami jak zdenerwowany święty Mikołaj, otwiera drzwi i wchodzi do mieszkania. Jego żona, pełna determinacji, stoi w pustym korytarzu, z rękami wspartymi na biodrach.

Lottie posyła starszej pani niepewny uśmiech. Jej męża wita skinieniem głowy.

- Dziękuję państwu. Bardzo mocno spałam.

- Pomogę pani z tym - mówi pan Preutzmann, ale Lottie sama znosi wiolonczelę do piwnicy.

Państwo Preutzmann i Lottie jako ostatni schodzą do schronu. Gospodyni zatrzaskuje za mężem drewniane drzwi i niezgrabnie człapie po dębowych stopniach. Pan Preutzmann to krzepki mężczyzna o wydatnym brzuchu. Ma potężne dłonie i ramiona, wyrobione od wieloletniej pracy dozorczy w tym i w sąsiednim budynku. Niebawem przyjdą i po niego, myśli Lottie. Wciela go do Volkssturmu, a drobna, wystraszona pani Preutzmann zostanie sama, zdana na łaskę Rosjan.

W piwnicy jest trzynaście osób. Wszystkie, z wyjątkiem gospodarza, to kobiety. Ta wiecznie głodna wojna. Najpierw pożera mężczyzn. Potem, na deser, kobiety. Dzieci na końcu - niczym cukierki.

U sufitu wisi goła, przekrzywiona żarówka. Strop piwnicy jest jednocześnie podłogą mieszkania na parterze. Widać ciężkie drewniane belki i surowy spód klepki podłogowej. Pan Preutzmann przyniósł na dół wiadra z wodą i pięćdziesięciogalonową przepołowioną metalową beczkę, która służy jako ustęp. Pod ścianami stoją worki z piaskiem. Gospodarz podparł belki stropowe stalowymi sztabami zebranych z gruzowisk całego miasta. Pod ławką, na której siedzi z żoną, leżą kilof i łopata. Wszystkie kobiety mają na szyi wilgotne ręczniki. W razie pożaru czy wybuchu gazu naciągną je na twarz. Kilka z nich trzyma się za ręce. Pan Preutzmann splata ramiona przed sobą, na swej szerokiej piersi.

Te środki ostrożności, myśli Lottie, licho warte. To amulety, a nie zabezpieczenia.

- Nie słuchałam radia - mówi sąsiadka z pierwszego piętra. - To na pewno piętnastka?

- Ja słuchałam - rzuca pani Preutzmann. - Piętnastka. Czyli Berlin.

Siedzą tak razem, czekając w napięciu, ze wzrokiem wbitym w podłogę, jakby pośrodku z sykiem wirowała bomba. Futerał z wiolonczelą leży u stóp Lottie. Jest wielkości niedużej osoby i wygląda jak ktoś, kto zemdłał. Zebrani tu ludzie to dobrzy Prusacy. Spełniają swój obowiązek, który wyznaczył im Hitler. Siedzą grzecznie pod bombami aliantów.

Lottie jest przekonana, że wszyscy zgromadzeni w tej piwnicy myślą tylko o jednym. Żeby uciec. Ale dokąd? Tam na zewnątrz, wśród spadających bomb, to przecież loteria. Równie dobrze można biec naprzeciw śmierci, co przed nią uciekać. Kto to wie? Najlepiej więc siedzieć spokojnie. Budynek został już dwa razy trafiony i wciąż stoi. Piorun zazwyczaj nie uderza trzy razy w to samo miejsce, czyż nie? Trzeba zaryzykować.

Wyobrażają sobie śmierć, która może ich spotkać w tym marnym schronie. Widzieli już różne jej ofiary w Berlinie. Szybki koniec na skutek uderzenia pocisku, który przebija dach budynku i wpada aż do piwnicy. Śmierć od bomby z opóźnionym zapłonem, która eksploduje godzinę po tym, jak wszyscy już uznali ją za niewypał. Śmierć od bomby fosforowej parzącej białą substancją, która przeżera tkankę do kości. Jedna jej kropla wypala w ciele ludzkim głęboką dziurę, a cały budynek zmienia w pochodnię. Śmierć przez zmiażdżenie lub uduszenie, kiedy nad piwnicą zawali się dom. Zatrucie gazem, gdy bomba nie wybuchnie, tylko zacznie wydzielać niewidzialną toksyczną substancję. (Jej ofiary wyglądają najsmutniej, bo niewinnie, jakby były zabalsamowane. Na twarzach maluje się zdziwienie, że nie żyją). Albo śmierć na skutek wstrząsu, kiedy ciśnienie fali uderzeniowej rozrywa każdą komórkę organizmu człowieka, jego uszy, płuca...

Trzyście osób siedzi obok siebie w piwnicy i oddycha. I nagle, jak uderzenie młotka zwiastujące wyrok sądu, w Berlinie rozlega się pierwszy wybuch.

Odgłosy walki powietrznej nasilają się. Z betonowych stanowisk artyleryjskich, rozsianych po całym mieście, niesie się terkot broni przeciwlotniczej. W oddali, w szybkich seriach eksplodują bomby: bum, bum, bum, bum! Pojawia się groźniejszy dźwięk: Lottie słyszy narastające buczenie amerykańskich bombowców B-17. Musi ich być mnóstwo nad miastem. To duży nalot.

Strop piwnicy drży. Głowy zebranych obsypuje pył. Żarówka zaczyna mrugać. Kobiety gwałtownie wciągają powietrze. Mígotanie światła ustaje. Szczelniej

owijają twarze ręcznikami. Pan Preutzmann, wciąż siedzący ze skrzyżowanymi ramionami, splota.

- *Schweine* - mruczy.

Ściana za plecami Lottie drży, jakby ją poszturchiwała. Dziewczyna schyla się po futerał z wiolonczelą. Podnosi instrument i obejmuje go mocno.

Ziemią wstrząsają gwałtowne eksplozje, które zbliżają się ze wszystkich stron. Można by pomyśleć, że mieszkańcy domu znajdują się pod wodą i że ściga ich jakiś potwór morski, płynie niewidzialny w ciemnych wodach, jest coraz bliżej, przeszukuje ocean w poszukiwaniu ofiary.

Bum! Bum! Bum! Ostatni wybuch rozlega się przerażająco blisko. Lottie gwałtownie unosi głowę, stukając rączką futerału. Przy każdym drzeniu, które przebiega ziemię, z sufitu sypie się gruz. Wszyscy w piwnicy mają zamknięte oczy. Pan Preutzmann chwyta żonę za rękę.

Następuje chwila ciszy. Lottie wyobraża sobie, że leci w chmurach razem z pilotami bombowców. Pierwsza fala samolotów minęła cel. Zrzuciły ładunek i zawracają do domu. Niektóre zostały trafione z dział przeciwlotniczych. Nadlatuje druga fala.

Bombardierzy biorą na cel pożary, które przed chwilą rozszalały się w Wilmersdorf, pod nimi.

To łatwe.

Lottie oplata wiolonczelę rękami i nogami. I tak nie zdoła ochronić swego galiano. Jest zbyt słaba, jej ciało nie sprostą temu zadaniu.

Kolejna eksplozja gdzieś głęboko pod ziemią. Potwór się zbliża.

I następna. Bum!

I jeszcze jedna.

Światło żarówki błyska kilkakrotnie i gaśnie.

Pan Preutzmann przeklina.

Lottie zwilża językiem usta. Pozostał na nich jeszcze smak kawy.

To był ostatni raz - myśli.

Zamyka oczy. Przyciska twarz do futerału wiolonczeli. Jest chłodny, ko-

Ostatni raz...

Buuuum!

Lottie ma wrażenie, że pękają jej bębni w uszach. Pod wpływem bólu instynktownie otwiera usta.

Świat obraca się do góry nogami. Piwnica drży, zrzucając wszystkich na podłogę. Powietrze staje się gęste od pyłu i dymu, z sufitu lecą odpryski drewna i tynku. Kilka worków z piaskiem pęka, wysypuje się ich zawartość.

Lottie leży ogłuszona pośród płataniny rąk, nóg i pakunków. Wciąż trzyma w ramionach wiolonczelę, uratowała ją. Na wargach ma pył, smak kawy zniknął.

Ludzie obok niej niezdarnie próbują wstać. W tym zamieszaniu Lottie zauważa, że znowu jest światło. Czyżby żarówka...?

Wyswobodziwszy głowę spod czyjegós kolana, Lottie spogląda w górę. Nie, nie ma już żarówki. Jest natomiast dziura w suficie. Widać przez nią stojący w płomieniach budynek.

Serce Lottie ściska jakaś obręcz. Jej mieszkanie, jej dom - w ogniu.

Nie może wstać z podłogi, czuje, że ktoś leży jej na plecach. Czeką jeszcze chwilę, żeby ta osoba pozbierała się i wstała. Ale nic takiego się nie dzieje, więc Lottie zaczyna się szamotać.

- Nie, nie!

Słuch Lottie jest wciąż przytępiony, głos wydaje się dochodzić z bardzo daleka. To pan Preutzmann, cały pokryty białym pyłem jak piekarz. Wsuwa ręce pod pachy leżącej kobiety, potem podnosi Lottie i schyla się znowu po wiolonczelę. Kobieta, która przygniotła Lottie, spoczywa teraz na podłodze, twarzą do góry. Tylko że tej twarzy nie ma. Obok leży belka stropowa, zakrwawiona winowajczyni. Ludzie z piwnicy nie znali dobrze tej kobiety, dopiero w zeszłym tygodniu została tu zakwaterowana. Lottie nie słyszy wszystkich sylab, gdy ktoś wymawia nazwisko zabitej - *Frau Jakaśtam*.

Lottie miałyby ochotę płakać na widok śmierci. Ale nie może, bo czuje ulgę, że to przydarzyło się komuś innemu. Nie ma wyrzutów sumienia. Na twarzach innych, nawet tych, którzy znali kobietę, także widzi przerażenie i ulgę.

Strop trzeszczy. Lottie chciałaby zobaczyć, jak groźny jest pożar na górze. Może nie dotarł jeszcze na wyższe piętra, może jej mieszkanie ocalało. Podchodzi z panem Preutzmannem do dziury w suficie i patrzy w górę. Pali się cały parter. W pokojach powstają przeciągi, przez okna z wybitymi szybami wysuwają się języki ognia. Tu i tam, jakby nanoszone pędzlem malarza, wykwitają płomienie. Płonie boazeria, dywany i białe firanki sycą się ogniem. Mieszkanie państwa Preutzmannów jest jak wulkan. Ogień za chwilę ogarnie wszystko. A tymczasem Lottie i pozostali przyglądają się temu. Do piwnicy wpadają iskry. Lottie patrzy na to z niedowierzaniem. Jej mieszkanie. Jej sanktuarium.

Pan Preutzmann odciągają na bok. Dziura w suficie jest jak otwór pieca.

Mieszkancki budynku skupiają się wokół pana Preutzmanna, jedyne go mężczyzny pośród nich. Wszystkie mają taki sam wyraz twarzy. Są bezdomne. Przerażone. Wojna załomotała i do ich drzwi. Ciało zabitej kobiety pozbawionej twarzy przypomina im, że jest tu także śmierć - nieodłączna towarzyszą wojny.

Pan Preutzmann patrzy na nie z zakłopotaniem. Jego dom, tam na górze, płonie, zaraz się zawali. Albo najpierw zużyje im cały tlen. Drewniane schody

do piwnicy już się palą. A nawet gdyby jeszcze nie ogarnęły ich płomienie, kto po nich zdoła przejść na górę?

- Panie Preutzmann - mówi Lottie - musimy się stąd koniecznie wydostać. Natychmiast.

Gospodarz nadal nic nie mówi. Obsypany pyłem wygląda jak duch. Przeciera rękami twarz. Wilgotne od potu palce ścierają pył, tworząc paski na skórze.

- Panie Preutzmann? - ponagla go inna kobieta. - Co teraz zrobimy? On nadal nie odpowiada i kobiety ogarnia panika. Zaczynają napierać na potężnego gospodarza. Mężczyzna się cofa, aż wreszcie staje pod ścianą.

- Niech pan coś zrobi! - krzyczą. - Umrzemy tutaj. Nie rozumie pan? Proszę coś zrobić!

Lottie nie wypuszcza z rąk wiolonczeli. Ciągnie ją ze sobą w kierunku pana Preutzmanna. Musi wydostać się stąd razem z nią.

Wraz z sąsiadkami tłoczy się wokół gospodarza. Ogarnia ją niechęć do nich, nie podoba jej się myśl, że umrą tu wszystkie, a ona razem z nimi i ludzie będą potem mówili: „Okropne! Trzyście osób zginęło w tym budynku”. A chciałyby, żeby wołali: „Och! Tu zginęła Lottie wiolonczelistka!” Boi się, że utonie w liczbie zabitych, że zostanie zredukowana do jednej trzynastej.

Pani Preutzmann przekrzykuje napierające kobiety.

- Hans!

Lottie wraca do rzeczywistości, podobnie jak pan Preutzmann, który narazie przytomnieje. Jego żona trzyma kilof.

- Tam obok! - krzyczy do męża, do wszystkich. - Sąsiedni budynek! Ma taką samą piwnicę jak ta. Za tą ścianą!

Przez pana Preutzmanna jakby przebiegł prąd. Mężczyzna staje pewnie. Kobiety rozstępują się, by go przepuścić.

- Przekopujemy się tam! - woła do żony, ruszając przed siebie. - Tamtędy się wydostaniemy! - mówi tak, jakby to był jego pomysł. Gospodyni kiwa głową: „tak, tak!” i popędza go ruchem ręki.

Kilka kobiet podąża za nim ku przeciwniejszej ścianie, poklepują go po plecach, zachęcają do działania. Usuwają z drogi zwłoki zabitej, a potem odchodzą na bok, podczas gdy mężczyzna bierze zamach kilofem. Na podłogę padają kawałki cegieł. Panu Preutzmannowi udaje się naruszyć mur zaledwie o parę centymetrów.

Na górze upada coś ciężkiego, może żyrandol. Przez otoczony płomieniami otwór w stropie dochodzi przenikliwe wycie.

Gospodarz spluwa w dłonie. Zamachnął się. Kilof wbija się w ścianę. Kiedy mężczyzna wyciąga go, pod nogi leci mu kilka cegieł.

Po minucie intensywnej pracy gospodarz przebija się do sąsiedniej komórki przez mur grubości pięści. Ściana między piwnicami budynków jest

trzykrotnie grubsza. Kilof wypada panu Preutzmannowi z ręki. Mężczyzna nie ma już sił.

Lottie spogląda przez ramię. Pięć pierwszych drewnianych stopni stoi już w ogniu. Wygląda to tak, jakby płomień zstępowały po schodach, aby ich dopaść. Lottie podaje futerał z wiolonczelą stojącej obok kobiecie. Sama szybko podchodzi do ściany i bierze kilof. Gospodarz kręci głową: nie, dajcie mi tylko chwilę. Lottie jednak bierze od niego narzędzie. Jest przecież wiolonczelistką, ma dobrze umięśnione ramiona, długie, silne ręce. Potrafi więcej niż pozostała trzynastka.

Kilof jest cięższy, niż przypuszczała. Ale przy pierwszym uderzeniu okazuje się, że Lottie jest silniejsza i zręczniejsza, niż sądziła. Z muru wypadają cegły. Lottie atakuje ścianę dziesięć, piętnaście razy. Mruczy przy tym pod nosem. Pan Preutzmann i inni przyglądają się. Ktoś się uśmiecha. Lottie ma wrażenie, jakby była na scenie. Odgłos walenia kilofem wśród rozchodzącego się ciepła i dymu dodaje jej energii. Jest tu najmłodsza, najładniejsza, najzdolniejsza. Tamci przeżyją, bo są z nią. Lottie ich uratuje, tak będą potem mówić.

Wkrótce jednak siły ją zawodzą. Bołą ramiona i plecy. Zatrzymuje się na chwilę, żeby odpocząć. W chwili bezruchu ból, jaki czuje w rękach, przenika także ramiona i ogarnia ją całą. Kilof wysuwa się z jej zdrtwiałych palców. Trzonek jest śliski i czerwony. Pod Lottie uginają się kolana. Pani Preutzmann podchodzi i podtrzymuje ją. Odciski na obu dłoniach Lottie krwawią. Jest zawiedziona, nie sądziła, że okaże się taka delikatna. Kilof to nie wiolonczela. Ratowanie nie jest takie łatwe.

Z tyłu zapadają się schody, całkowicie spalone u szczytu. Wszyscy drżą i kulą się instynktownie. Ogień, jak śmierć, depcze im po piętach.

Zdesperowane kobiety rzucają się ku ścianie jak złapane w pułapkę szczury. Próbuje naruszyć mur łopatą i kilofem, poczerniałymi kawałkami gruzu z walącego się budynku, które wpadają przez dziurę w suficie za ich plecami. Drapieżną rękami i paznokciami. Na podłodze pod dziurą w suficie płonie kupka gruzu. Lottie czuje w płucach gryzący dym. Któraś z kobiet zrywa z szyi wilgotny ręcznik i wyciera jej ręce.

Pan Preutzmann trzyma wiolonczelę, podczas gdy kobiety próbują przebić się przez ścianę. Po paru minutach powstaje w niej wyłom wielkości beczki na deszczówkę. Jedna z kobiet przeciska się przez nią i ląduje na ziemi w sąsiedniej piwnicy. Wstaje, niemal się śmiejąc. Wyciąga ręce do następnej w kolejce. Pozostałych jedenaście, pomagając sobie nawzajem, wydostaje się na wolność. Lottie jest ostatnia.

Przechodzi przez mur, odwija ręcznik z rąk i odwraca się, by odebrać swój instrument. Ale pana Preutzmanna nie ma. Lottie woła go.

Mężczyzna pojawia się za moment. Przepycha przez otwór nie wiolonczelę, lecz ciało zabitej kobiety. Pani Preutzmann odpycha Lottie na bok i krzyczy: - Hans! Co robisz! Przechodź! Zostaw ją! Hans!

- Weź ją! - żąda gospodarz. - Weź. Nie możemy jej tu zostawić!

Kilka kobiet wbiegło już na schody, żeby wydostać się na ulicę. Trzy z nich zatrzymały się i stojąc za panią Preutzmann, wyciągają ręce w stronę wyłomu. Z wysiłkiem ciągną bezwładne ciało, które obija się o wystające cegły. Zwłoki toczą się po ziemi w kierunku schodów, za ostatnią z kobiet. Wszystkie już wbiegły, poza Lottie, gospodynią i jej mężem. Nikt nie wie, kiedy budynek nad nimi się zawali. Lottie przypuszcza, że cały już płonie. Piwnica była pusta, kiedy się tu dostali, a to niedobry znak. Muszą stąd uciekać, wszyscy, i to jak najprędzej.

Pani Preutzmann krzyczy znowu:

- Hans! Chodź tu!

Lottie wtyka głowę do dziury.

- Moja wiolonczela! Proszę! Panie Preutzmann!

Gospodarz obraca się na pięcie i bierze ciężki futerał z wiolonczelą. Wsuwa go do otworu w ścianie. Ale dół instrumentu jest zbyt szeroki. Zaklinowuje się i nie można go przepchnąć.

Lottie gwałtownie wciąga powietrze.

Gospodyni woła do męża:

- Zostaw to cholerstwo! Hans!

Lottie zagląda do dziury. Piwnica za gospodarzem stopniowo zajmuje się ogniem. Płonące deski stropu pękają i wykrzywają się, wiszą jak wywalone języki. Na zwalonych schodach panuje piekło. Mężczyzna odstawia wiolonczelę na bok. Chwyta kilof i krzyczy:

- Cofnąć się!

Ze ściany odrywają się kawałki cegieł i padają na podłogę. Dziurę wystarczy powiększyć tylko o kilka centymetrów.

Po sześciu, siedmiu uderzeniach gospodarz opuszcza narzędzie. Lottie rzuca się do przodu, a on przepycha wiolonczelę przez otwór. Dziewczyna zostawia na futerałe krwawe ślady, czuje, jakby w jej ciele płonął ogień.

Patrzy w głąb dziury. Pan Preutzmann stoi wyprostowany. Ma czerwoną twarz. Jest zadowolony, wywiązał się ze swych obowiązków jako gospodarz domu i jako mężczyzna. Wydyma policzki, jakby chciał zgasić jakąś świecę.

Jego żona wtyka głowę do wyłomu obok Lottie.

- Hans!

Lottie czuje, że przez ściany i podłogę przebiegają wstrząsy. Ogarnia ją przerażenie. Otwiera usta, by zawołać pana Preutzmanna, ale usta zatyka jej lelka, niewidoczna ręka, która jednocześnie odrzuca ją wraz z gospodynią

do tyłu. Ich stopy odrywają się od drżącej podłogi. Gwałtowny podmuch porwa je w głąb pomieszczenia. W tumanach pyłu Lottie przywiera całym ciałem do wionolczeli.

Siada, mrugając oczami. Pod powiekami czuje suchość. Będzie miała guza z tyłu głowy. Tuż obok leży wionolczela. Pani Preutzmann, odrzucona w drugi kąt pomieszczenia, jęczy pośród gruzu. Dziurę w ścianie wypełniają kawałki drewna i poskręcane stalowe pręty, które sterczą jak złamane kości.

Lottie jest ogłuszona. Piecze ją każda część ciała. Na nogach i rękach ma zadrapania. Chwiejnie wstaje na nogi. Bierze wionolczelę. Ziemia wydaje jej się bardzo odległa. Ma wrażenie, jakby stała na jakimś wysokim kopcu, na szczycie piramidy wydarzeń, które rozegrały się w ciągu ostatnich strasznych sekund - jest tak wysoko, że kręci jej się w głowie. Nie próbuje się jednak z tego otrząsnąć. Nie chce oprzytomnieć, nie chce myśleć jasno. To zbyt trudne.

Ma absolutną pustkę w głowie.

Instykt podpowiada jej tylko jedno.

Uciekać.

Waha się przed zrobieniem kroku, boi się, że spadnie z wierzchołka. Potem mogłaby już nie wstać. Niepewnie zbliża się do pani Preutzmann.

Trzeba uciekać.

Gospodyni leży na brzuchu. Pochylona nad nią Lottie nie bardzo wie, jak ją ocucić. Wtedy dopada ją jedna myśl. Unosi się obok niej, poza nią. Ona odpychają od siebie, nie chce ulec panice. Nie może jej jednak odegnąć. Zamyka oczy.

To już koniec.

Koniec.

5 lutego 1945, godzina 13.30

Las Hürtgen w pobliżu granicy belgijskiej

Niemcy

- Sir? - pyta kierowca.

Bandy spogląda na kaprala siedzącego za kierownicą jeepa. Już piętnaście minut tłucze się z nim po wyboistej drodze z Akwizgranu, a facet odzywa się dopiero pierwszy raz. Bandy'emu to się podoba. Tak zachowują się ludzie ze wsi. Nie zawsze trzeba gadać o byle czym.

- Nie musisz mówić do mnie „sir”.

Chudy, piegowaty chłopak nie odrywa wzroku od porytej koleinami, rozmięklej drogi. Szczupłe dłonie podskakują na kierownicy. Jest tak wysoki, że gdy siedzi w jeepie, kolana sięgają mu prawie do piersi.

- Mówią, że jest pan kapitanem.
- I tak, i nie. Wszyscy fotoreporterzy wojenni otrzymują ten stopień. Ale to nic nie znaczy. Chyba że dostaniemy się do niewoli. Wtedy każdy z nas staje się oficerem.

Bandy widzi z ukosa, że chłopak się uśmiecha.

- To głupie.

- Głupie, ale tak to działa - przytakuje Bandy.

Jeep ślizga się w błocie, gwałtownie skręca w lewo. Żołnierz, może dziesiętnastolatek, zмага się z kierownicą i prostuje koła. Bandy miałby ochotę Doprowadzić, ale milczy, bo chłopak traktuje swoje zadanie poważnie, stara się, jak może.

- To pan jest tym Charlesem Bandy?

Bandy się krzywi. Nie czuje się lepszy od innych fotoreporterów. Jeśli widzi coś ciekawego, fotografuje to. Film wysyłany jest przez cenzora do wywołania, a potem do kraju. Jak każdy z kolegów, Bandy liczy, że jego zdjęcia zostaną opublikowane. Wszyscy fotoreporterzy w Europie i na Pacyfiku mają takie same szanse. On ma jednak pewną przewagę w tym współzawodnictwie. Nazwisko. I tytuł: specjalny korespondent „Life'u”. Jest znany.

- Tak, chyba tak. A ty jesteś...?

Chłopak się waha. Obrzuca swego pasażera ukradkowym spojrzeniem.

- To ma być wywiad?

- Ja robię tylko zdjęcia, synu. Nie przeprowadzam z tobą wywiadu.

Żołnierz kiwa głową.

- Jestem Stewie.

Czeka, aż trafi na gładszy odcinek drogi. Odrywa wtedy rękę od kierownicy wyciąga ją do Bandy'ego:

- Stewie Stewart. Miło mi.

- Mnie także, Stewie. Skąd pochodzisz?

- Z Kalifornii. Spod Stockton.

- Bydło?

- Konie. Pociągowe.

- Grasz w kosza? Wyglądasz, jakbyś grał.

- Taaa. To widać, nie? Grałem w szkole średniej. A ty?

- Ja nie.

Śnieg na wzniesieniu prawie już stopniał i ziemia rozmiękła. Droga ostro skręca na skraju wąwozu. Ściągną nadgarstków Stewie'go napinają się jak sznurki. Rozmowa zamiera. W gęstym lesie, który przesuwa się poniżej, Bandy widzi z otwartego jeepa przewrócony na bok czołg i kilka ciężarówek. Widocznie nie udało im się pokonać zakrętu. Przezornie bierze więc na kolana

torbę ze sprzętem fotograficznym, na wypadek gdyby Stewie nie poradził sobie na wirażu i gdyby obaj musieli skakać z samochodu.

Bandy nic nie mówi. Mógłby kontynuować rozmowę, mówić o tym, co wie na temat koni i koszykówki, choć wie niewiele. Dla tego wysokiego, chudego Stewie'ego Stewarta, który zawieruszył się tu z dala od domu, jest osobistością. Chłopak miałby o czym pisać w listach do bliskich. To chyba miły dzieciak. Żołnierz, owszem, ale nigdy nie był w ogniu walki. A Bandy nie ma ochoty słuchać o Stockton.

Wokół rozciąga się przerażający las Hürtgen, scena najkrwawszych walk w całej tej wojnie. To dobrze, że Stewie nie narzuca się i milknie, bo Bandy w swej wyobraźni odtwarza stoczoną tu bitwę. Widzi biegnących i padających żołnierzy, słyszy wybuchy, wycelowuje obiektyw aparatu i utrwała na zdjęciach niedawną przeszłość. Od września do grudnia zeszłego roku 1 Armia Hodgesa próbowała przebić się przez las Hürtgen i dotrzeć do rzeki Roer, która płynie po jego wschodniej stronie. Ani w Tennessee, ani w Górach Smoczyc w Karolinie Północnej nie ma takich lasów. Jodły są tu gęste, o nisko rosnących gałęziach. Nie da się pod nimi przejść w pozycji wyprostowanej. Nawet w taki pogodny dzień słońce nie może się przebić przez korony drzew. Ciemno tu i wilgotno. Nie ma też zarośli, które dawałyby ludziom osłonę. To las jakże strasznej baśni. A przez jego środek, niczym szaniec czarnego rycerza, biegnie nieprzebyta linia Zygfyda. Ze wszystkich miejsc, jakie Bandy kiedykolwiek widział, to jest najgorsze dla żołnierza, który musi je sforsować, podczas gdy wróg tylko czeka, żeby go zabić.

Dlaczego dowódcy wybrali właśnie to miejsce, by zaatakować Niemców?

Roer. To ostatnia naturalna bariera przed Renem. 1 Armia miała za zadanie opanować zapory na Roer, by nie dopuścić do ich wysadzenia i zalania doliny Ruhry. Potem łatwo byłoby już przeprowić się przez rzekę. Gdyby natomiast Niemcom udało się utrzymać tamę, wówczas mogliby zalać dolinę i marsz alianców zostałby powstrzymany do czasu, aż wody opadną. Wróg zyskałby w ten sposób czas potrzebny na przygotowanie się do ostatecznej rozprawy, a alianci straciliby więcej ludzi.

Gdyby 1 Armia we wrześniu zaatakowała zapory od południa, Hürtgen można by ominąć. Sam las, bez tam, nie ma znaczenia strategicznego. To zapory były ważne. Dowódcy chcieli jednak oczyścić Hürtgen z wrogów, nim ruszą w kierunku Roer, bo las znalazłby się na tyłach marszruty Montgomery'ego zmierzającego od północy w kierunku Berlina. Postanowili więc tu wkroczyć.

I Hürtgen pochłonął ludzi. 1 Armia podkrađła się tu i wyszła rozbita, potrzebiona. Dziewięćdziesiąt dni walk przyniosło olbrzymie straty, zginęło prawie dwadzieścia pięć tysięcy ludzi. Zdziesiątkowane zostały całe dywizje. Amerykanie ponieśli bolesną i kosztowną klęskę.

Teraz, dwa miesiące później, Niemcy wycofali się z Hürtgen, ale wciąż mają zapory. Obecny plan 1 Armii przewiduje ponowny przemarsz lasem, a także korytarzem południowo-wschodnim. Przełamią linię Zygryda i zaatakują tamy. A kiedy już je opanują, 9 Armia oraz brytyjskie i kanadyjskie siły Montgomery'ego będą mogły przekroczyć Roer i ruszyć w kierunku Renu, osłaniając sobie nawzajem flanki. Za Renem, na drodze do Łaby i do Berlina, leżą już tylko usiane wsiami równiny. Wtedy będzie można przyspieszyć wyścig do stolicy Niemiec.

Stewie usiłuje wjechać jeepem na wzgórze. Omija niebezpieczną krawędź wąwozu. Nieco niżej las naszpikowany jest przewróconymi pojazdami. Czołgi, działa przeciwpancerne, ciężarówki. Niektóre nadal leżą na drodze. Kilka z nich ma dziury w pancerzach, inne - osmalone ślady po wybuchach. W dole wąwozu sterczą kikuty drzew pozbawionych wierzchołków albo rozłupanych na pół, jakby uderzył w nie piorun. Ostrzał artyleryjski sprawił, że pnie i gałęzie przemieniły się w latające ostrza. Śmigające w powietrzu kawałki drzew zdolne były posiekać człowieka na kawałki.

Jak można było toczyć tu walkę? Drzewa ograniczają widoczność, wokół ciemność, teren nierówny, a naprzeciwko czai się wróg, który miał dziesięć lat na to, żeby skutecznie się okopać.

Stewie objeżdża wzgórze. W dolinie, która rozciąga się poniżej, Bandy dostrzega pierwsze umocnienia linii Zygryda. Prosi, żeby Stewie się zatrzymał. Sięga ręką do torby po swoją leicę, żeby zrobić parę zdjęć „smoczyc zębów”.

Niemcy wycofali się z tego odcinka fortyfikacji. Ale nawet opuszczone, wyglądają groźnie. Z betonowego fundamentu o szerokości prawie trzydziestu metrów sterczą „smocze zęby”. Są to stożki zbrojonego betonu - te pierwsze z przodu mają wysokość około trzech metrów, kolejne stopniowo dochodzą aż do sześciu. Są ustawione w taki sposób, aby nadjeżdżające czołgi nadziały się na nie albo wywróciły. Oglądając wyrwy po pociskach, Bandy ocenia, że sam fundament ma głębokość sześciu metrów. Między „smoczymi zębami” rozciągnięto cienkie stalowe druty. Amerykanie ustawili tu znaki, które ostrzegają przed minami przeciwczołgowymi i przeciwpiechotnymi. Dwa masywne betonowe bunkry, ustawione jak podpórki do książek, umożliwiały Niemcom ostrzał. Oba pomalowane na ciemno, są prawie niewidoczne na tle lasu. Wszędzie pełno gniazd broni maszynowej, okopów strzeleckich, stanowisk artyleryjskich. Siedemdziesiąt pięć metrów dalej, w głębi lasu, Bandy natyka się na następną linię „smoczyc zębów”, bunkrów i fortyfikacji, które wyglądają na równie trudne do pokonania.

Unosi leicę, mierzy światło i robi kilka ujęć. Słyszy ciche pstrykanie migawki i uświadamia sobie kontrast między jej dyskretnym, metalicznym odgłosem a szaloną kakofonią dźwięków, która musiała rozbrzmiewać tu niedawno.

Wyobraźnia podsuwa obrazy dział, padających drzew, biegnących przerażonych ludzi. Las Hürtgen cały jest przesiąknięty wojną.

Bandy z podziwem myśli o ogromie pracy, jaką włożono w budowę tego kompleksu umocnień. Linia Zygryda ciągnie się setki kilometrów wzdłuż granicy niemieckiej z Belgią i Francją. Nieodparcie nasuwa się skojarzenie z egipskimi piramidami i tym niewyobrażalnym wysiłkiem, jaki włożono w ich budowę. Bandy postanawia dołączyć do zdjęć podpis nawiązujący do Egiptu. Zastanawia się, ilu ludzi straciło życie przy budowie tych tutaj cholerstw, i tam, w Egipcie.

Stewie wysiada z jeepa i podchodząc do Bandy'ego, gwizdże z podziwem.

- Duże to.

Bandy zza aparatu tylko kiwa głową. Nie ma ochoty na rozmowę. Gwizd Stewie'ego uważa za niestosowny. To nie popisy przed dziewczynami. To pole bitwy. Wymaga szacunku. Bandy wie, jaki los spotyka żołnierzy w takich miejscach - fotografował to nieraz.

- Dokąd dotarli?

Bandy robi dwa ostatnie zdjęcia. Opuszcza leicę, która zawisa na pasku. Wskazuje las Hürtgen.

- Teraz zbierają siły.

Stewie wkłada ręce do kieszeni.

- Chyba będą tak zbierać siły do samego Berlina.

Nie, myśli Bandy. To nieprawda. Niemcy zawrócą i będą walczyć. Jesteśmy już na ich ziemi. Oprą się o Ren i zaczną szczyżyć kły. Naziści, niemieccy żołnierze, a nawet zwykli ludzie zdają sobie sprawę z tego, co zrobili podczas tej wojny. Wiedzą o losie Żydów, traktowaniu jeńców, o tych wszystkich okropnościach, których dopuścili się w całej Europie i w Rosji. Będą walczyć do końca, bo nie mają nic do stracenia. Przed nimi jeszcze wiele bitew, wiele grobów i bezimiennych krzyży. Ale Bandy nie mówi tego wszystkiego zuchowatemu chłopakowi, bo to nie Stewie stanie naprzeciwko Niemców, kiedy ci zatrzymają się w drodze powrotnej do Berlina, tak jak nie będzie musiał stanąć twarzą w twarz z czerwonymi na wschodzie. To miły dzieciak. Dobry kierowca. Prawdopodobnie nie najgorszy koszykarz. Ale to Bandy pojedzie tam ze swoim aparatem i to on tam będzie.

- Jedźmy.

Po półgodzinnym przedzieraniu się w milczeniu jeepem przez błoto zatrzymują się obok posterunku przy drodze.

- Musicie tu wysiąść z samochodu, panowie - mówi wartownik. To spadochroniarz z 82 Dywizji Powietrznodesantowej.

Bandy się uśmiecha. Tam, gdzie jest Osiemdziesiątka Dwójka, zawsze coś się dzieje. Włochy. Normandia. Holandia. Wybrzuszenie.

Żołnierz dodaje:

- Tutaj droga się kończy. Jeszcze nie oczyściliśmy terenu z min.

Bandy pokazuje mu swoją przepustkę prasową. Wartownik zerka na plakat i oddaje ją.

- Stacjonujemy jakąś milę dalej, w Vossenach. Trzymajcie się z dala od drogi, po lewej stronie. Ta część jest oczyszczona.

- Dobra. Dzięki.

Po prawej stronie za żołnierzem widać wydeptaną ścieżkę, która prowadzi między drzewa.

- Co tam jest? - pyta Bandy. Spadochroniarz kręci głową.

- Rzeka Kall, sir. Ale wstęp wzbroniony.

Bandy natychmiast się ożywia. Leica wisząca u jego szyi, zdaje się ciągnąć go w tamtym kierunku jak różdżka.

- Dlaczego?

- Rozkaz mojego porucznika.

- A od kogo on dostał rozkaz?

- Nie wiem, sir.

- Sierzancie, wiecie, kim jestem?

- Tak, mister Bandy. Jest pan fotoreporterem „Life'u”.

- Widzieliście moją legitymację prasową. Mam dostęp do rejonów objętych zakazem wstępu.

- Tak, sir.

- Rozumiecie, że jestem kapitanem.

Żołnierz kręci głową i chce coś powiedzieć, ale się powstrzymuje. Wie, że to bluff, ale nic nie może na to poradzić.

- Tak, sir.

Bandy wysiada z jeepa i zabiera swoje rzeczy. Klepie Stewie'ego w ramię.

- Dzięki, żołnierzu - mówi. - Wysiadam tutaj.

Zanim Bandy oddali się od samochodu, spadochroniarz odciąga go na bok. - Sir.

Bandy łagodnieje.

- Słuchaj, synu. Nie narobię ci kłopotów. Będę mówił wszystkim, że cię podszedłem.

- Nie o to chodzi, sir. Chcę o coś poprosić.

- Dobra.

- Proszę zachowywać się z powagą. Tam na dole.

Twarz żołnierza, młoda i stanowcza, staje się poważna, oczy mają błagalny wyraz. Bandy'ego ściska w żołądku. W tej dolinie stało się coś złego, ktoś zginął.

- Obiecuję, sierżancie.

Spadochroniarz kiwa głową, wierzy mu. Bandy odchodzi. Stewie wrzuca bieg i szybko zatacza półkole. Wyłącza silnik i wyskakuje z fotela. Podbiega niezgrabnie do Bandy'ego.

- Mogę się przyłączyć?

- Nie, Stewie.

Chłopak zastanawia się chwilę. Odzywa się grzecznym tonem:

- Mister Bandy. Powiedział pan, że nie jest oficerem ani nikim takim. Nikt może mi pan zabronić pójść z panem.

- Ale mogę powiedzieć tamtemu facetowi, żeby cię zatrzymał. Chyba nie miałby z tym problemów.

- Z panem by mnie przepuścił. Chciałbym pójść. Choćby kawałek drogi. Bandy patrzy gdzieś w górę.

- Tak jak powiedziałeś, nie jestem oficerem.

Ścieżka prowadzi w dół między drzewami do kolejnego wąwozu. Topniejące czapy śniegu na gałęziach i na ziemi w tym ciemnym lesie przywodzą na myśl utratę niewinności. Bandy wyprzedza młodego kierowcę. Nie odwraca się, by spojrzeć za siebie, ale domyśla się, że chłopak idzie pod drzewami pochylony wpół. Znow pchają się przed oczy obrazy walk, jakie się tu rozegrały. Po obu stronach ścieżki widać pozostałości po bitwie: mosiężne łuski, resztki opakowań po opatrunkach, pnie drzew odarte z kory przez pociski, Stewie idzie bezszelestnie. Zostaje trochę w tyle. Przystaje, żeby się rozejrzeć. Być może, myśli Bandy, widzi duchy.

Ale już za chwilę ukazują się nie duchy, lecz prawdziwe ciała. Wokół ścieżki leżą zwłoki. Dziesiątki zabitych ludzi. Spoczywają tam, gdzie padły, w lodowych okowach śmierci. Zamarznięte zimą, nie zostały tknięte przez żywych całymi miesiącami. Żołnierze wyglądają, jakby dopiero co zginęli - mróz powstrzymał krwawienie i proces gnicia. Mają wręcz miękką skórę. Topniejący śnieg zmył krew z ziemi, ale na mundurach, na rękach i wokół ran pozostały ciemne plamy.

Bandy przystaje wstrząśnięty.

Jak to możliwe? Zabici pozostawieni w ten sposób? Tyle zwłok nie zebranych? Zdumiony pociera głowę.

Las pozbawiony jest zapachu. Żywicę na sosnach ściął mróz. W dolinie panuje cisza, nie słychać ptaków, wiatru, żadnego głosu. Ale wszędzie widać ręce, nogi, oczy i broń. Trzy miesiące temu było tu aż nadto hałasu i woni

krwawych walk. Teraz to wszystko zamarzło, jakby Natura na swój sposób zatrzymała wojnę w kadrze.

Zbliża się Stewie. Na twarzy chłopca, o całą głowę powyżej linii wzroku Bandy'ego, maluje się przerażenie. Tego właśnie najbardziej boi się żołnierz, każdy człowiek w mundurze, niezależnie od formacji: że zginie i jego ciało zostanie porzucone. Że nikt się nie dowie o jego ofierze, bo wchłonie go ziemia. Odda życie i zostanie zapomniany.

Stewie zgięty wpół wymiotuje. Bandy idzie dalej.

Mógłby coś do chłopca powiedzieć, ale woli tego nie robić. Nie ponosi odpowiedzialności za Stewie'ego, który teraz zawraca i ucieka. Odpowiada przed Ameryką; jego aparat zaś - przed Historią. A tu obecne są obie.

Bandy pozostaje sam pośród zabitych żołnierzy. Obok siebie spoczywają Amerykanie i Niemcy. Z pozycji, w jakich leżą, i zastygłych gestów potrafi odtworzyć ich ostatnie chwile. Są jak hieroglify mówiące o straszliwych walkach, akie rozegrały się w Hürtgen. Żołnierze, ściskając broń w rękach, wbijają bagnety w ciała wrogów, gdy tymczasem ktoś z tyłu zadaje im śmiertelny cios, ktoś, kto sam zostaje powalony przez atakującego czy broniącego się człowieka. Nieco dalej od ścieżki, tam, gdzie trafił pocisk, dogorywają palące się czołgi ciężarówki. Na kilku z nich wiszą płonące ciała ludzi, którzy próbowali uciec z eksplodujących pojazdów. Zawsze, gdy Bandy oglądał jakąś fortecę czy historyczne pole walki, wyimaginowany zgiełk bitewny aż huczał mu w uszach. Teraz, tutaj, wśród porzrzucanych na ziemi ciał zabitych, nie słyszy nic.

Kłęka na ścieżce. Wyjmuje z torby speed graphica i pakuje leicę. Speed graphic to duży aparat, pękaty. Trudniej robi się nim zdjęcia, ale za to otrzymuje się negatyw formatu dziesięć na dwanaście i pół centymetra o doskonałej ostrości. Bandy znalazł się w dolinie śmierci. Będzie zachowywał się z powagą, tak jak obiecał. Wysuwa skórzaną część aparatu i słyszy, że zaskoczyła, ten metaliczny odgłos rozlegający się wśród zwłok, choć tak cichy, jest pełen życia. Bandy zarzuca torbę na ramię i idzie w dół wąwozu niemal na palcach.

Przed zrobieniem każdego zdjęcia musi wysunąć z tyłu aparatu cienką kasetkę z dwuklatkowym filmem, przełożyć ją albo wymienić na nową. Ma wtedy zajęte ręce. Serce wciąż bije mu szybko. Bandy nie czuje się nieczułym draniem, nie odnosi wrażenia, że swą krzątaniem zakłóca spokój umarłych. Po prostu pracuje. Migawka to jego pancerz, lusterko - tarcza. Ciche pstrykanie aparatu umożliwia utrzymanie emocji na wodzy. Dopóki Bandy spogląda przez obiektyw, widzi tę scenę oczami przyszłego czytelnika „Life'u”, który zobaczy ją na zdjęciach w magazynie, z dystansu. Jest wstrząśnięty, ale równocześnie jakby oddalony. Gdyby było inaczej, ani on, ani żaden fotoreporter nie mógłby wykonywać swojej pracy.

A to ważna praca. Zdjęcia z pól walki muszą znaleźć się na stolikach do kawy i tacach śniadaniowych w całej Ameryce. Mama, tata i Sissy muszą uczestniczyć w wojnie. I choć Bandy nie może sprawić, by poczuli jej woń, usłyszeli jej odgłosy, to jednak może uzmysłowić jej koszty, uczynić je realnymi, wręcz namacalnymi, by przerażyły każdego. By w przyszłości narody pochopnie nie wywoływały zbrojnych konfliktów. Historia powtarza się, gdy nie jest rejestrowana.

Bandy stara się nie fotografować twarzy zabitych Amerykanów. Usuwa poza kadr plakietki z nazwiskami i symbole jednostek wojskowych. Żadna matka w kraju nie może na zdjęciu Charlesa Bandy'ego rozpoznać swego poległego syna. Jednak w przypadku ciał Niemców nie musi być już tak ostrożny.

Żołnierze mają na mundurach „Krwawy Kubeł”, czerwony emblemat 28 Dywizji Piechoty. Prawdopodobnie przedzierali się przez ten wąwóz w kierunku Kall późną jesienią, tuż przed pierwszym śniegiem. Walczyli ciężko. Ale dlaczego potem nie zebrano tych ciał i nie pogrzebano? Czyżby dowództwo nie wiedziało, co się tu wydarzyło?

Bandy wyobraża sobie wąwóz już po bitwie, zasypany śniegiem. Urwista droga prowadząca z zachodu staje się z pewnością nie do przebycia po pierwszej zadymce. Być może, wycofując się z tej części Hürtgen, Niemcy sądzili, że szybko tu powrócą. Ale tak się nie stało. Setki zabitych żołnierzy obu armii pozostawiono na pastwę zimy i zapomniano o nich. Podczas odwilży w ostatnich tygodniach ciała odzyskały realny kształt. Niedawno wrócili tu Amerykanie i natknęli się na porzuconych.

Bandy zacina usta, wzdrygając się. Jak to wytłumaczyć? Wojna, myśli. Po prostu wojna, koszmar stał się czymś zwyczajnym. I nikt nie poniesie za to odpowiedzialności. Wąwóz rzeki Kall, teraz tak przerażający, zostanie uprzątnięty na polecenie jakichś urzędników i przysypany niczym śniegiem kilkoma kłamstwami opublikowanymi w prasie.

Osiemset metrów dalej ścieżka dochodzi do dna wąwozu. Górski potok wystąpił z brzegów. Woda płynie wartko. Bandy idzie wzdłuż skråcającego w lesie strumienia. Po wyjściu na polanę dostrzega amerykański punkt medyczny. Krystaliczna woda przepływa obok dwóch wielkich namiotów z płótna. Jest tam też jeep z wymalowanym czerwonym krzyżem. Skrzynki na śmieci, ponad dwa tuziny, stoją przy potoku w rzędku jak podkłady kolejowe. Płynąca w strumieniu woda nie zakłóca przejmującej ciszy Hürtgen, a niemal sterylne powietrze jest ostre i przejrzyste. Las sprawia wrażenie jakby był pogrążony we śnie.

Bandy robi krok w kierunku namiotów. Rodzi się w nim makabryczne podejrzenie, że skotłowane na noszach koce na pewno coś skrywają. Podchodzi bliżej i znajduje pod nimi ciała martwych żołnierzy amerykańskich.

Odruchowo zatrzymuje się w pewnej odległości, by objąć scenę obiektywem swego speed graphica. Kiedy widzi punkt medyczny w metalowym kwadracie, przygotowuje się, by nacisnąć migawkę.

Zwłoki tych ludzi także zostały zakonserwowane przez mróz. Ale w przeciwieństwie do żołnierzy zastygłych w rozpaczliwych pozach między drzewami, ci tutaj w ujęciach Bandy'ego wcale nie wydają się martwi. Dotarli aż do tego miejsca, mieli szansę na przeżycie. Leżą spokojnie z rękami skrzyżowanymi na podciągniętych kocach. Na piersiach i głowach mają opatrunki z poczerńiałej od krwi gazy. Wojna dopadła ich tutaj, w miejscu, które powinno być święte. Personel w popłochu opuścił punkt medyczny. Rannych nie można było przenieść. Umarli na noszach, pozostawieni sami sobie.

Wokół Bandy'ego zacieśniają się ściany wąwozu wypełnionego trupami i połamanymi drzewami. W strumieniu pieni się trucizna. Bandy ma wrażenie, że dłoń śmierci zaciska się na nim samym. Czuje, jak aparat zaczyna mu drżeć w rękach. Czy Historia musi to zobaczyć?

Usta leżących na noszach są otwarte. Co mówią ci ludzie?

Obiecał. Zachowa powagę. Na pewno.

Przykłęka. Otwiera torbę z aparatami i chowa filmy do jej kieszeni.

6 lutego 1945, godzina 11.35

Pałac w Liwadii Jałta,

ZSRR

Stalin uwielbia, gdy mu salutują. Nigdy mu się to nie znudzi. Idzie foyer pałacu tak wielkimi krokami, na jakie tylko pozwalają mu krótkie nogi. Kołysze przy tym rękami, zbyt długimi z kolei w stosunku do torsu. Nie niesie teczek ani żadnych dokumentów na to spotkanie. Wszystko ma w pamięci, po co więc taszczyć ze sobą jakieś papiery? Amerykanie, których mija, wyprężają się, stając na baczność, jak rażeni prądem.

Idzie sam. Jego obcasy stukają na marmurowej posadzce. Kroki małego komunisty odbijają się echem od ścian i posągu cara Mikołaja II, wypełniają wielki hol wznoszącej się nad Morzem Czarnym rezydencji nieżyjącego cara. Cudzoziemcy, którzy śledzą Stalina wzrokiem, zastygają wyprostowani. On nie odpowiada na te honory. Uważa, że mu się należą.

A więc przyszli do mnie, myśli. Dwaj najpotężniejsi ludzie na świecie ulegli woli Stalina. Prezydent Stanów Zjednoczonych i premier Wielkiej Brytanii, choć obaj nie najlepszego zdrowia, odbyli długą, męczącą podróż i przywieźli ze sobą trzystu pięćdziesięciu współpracowników. Przybyli do Jałty, bo tak zacytował sobie Stalin.

Armia Czerwona odniesie pod jego wodzą największe zwycięstwo w historii Rosji, większe nawet niż niegdyś nad Napoleonem. Starzy bolszewicy, ci nieliczni, którzy pozostali jeszcze przy życiu, wciąż pamiętają Lenina. Choć płaszcą się przed Stalinem, nie uznali go nigdy za równego tamtemu. A teraz, proszę! Roosevelt i Churchill! Ameryka i imperium brytyjskie! Obaj przywódcy zjeżdżają na Krym. Żeby przypochlebić się Stalinowi. Traktują Stalina i Związek Radziecki jak równych sobie. Lenin nigdy czegoś takiego nie osiągnął.

Stalin skręca i kieruje się do lewego skrzydła pałacu, do dawnej sypialni cara, gdzie zatrzymał się Roosevelt. Kolejni Amerykanie przechodzący korytarzami przystają z szacunkiem. Córka prezydenta, Anna. Ładna kobieta. Nawet się kłania. To jest coś.

Uśmiechając się, marszałek puka w ozdobne drzwi pokoju Roosevelta. Dlaczego miałby się nie uśmiechać? Do tej pory uzyskał w Jałcie wszystko, czego chciał. Żadnych ingerencji Zachodu w sprawę Polski. Terytoria na Dalekim Wschodzie w zamian za obietnicę, że ZSRR przyłączy się do wojny na Pacyfiku. Dodatkowe miejsca w ulubionej organizacji Roosevelta, Narodach Zjednoczonych. Francuzi domagają się strefy okupacyjnej. Stalin jest temu przeciwny, Churchill ich popiera, Roosevelt głądzi i głądzi. Typowe. Reparacje wojenne, rozbrojenie Niemiec - o tym trzeba jeszcze porozmawiać. Ale to są sprawy na później.

Najważniejsze, że w ciągu trzech ostatnich tygodni przez terytorium Polski przerzucono dwa miliony radzieckich żołnierzy. Zbierają się teraz nad Odrą, osiemdziesiąt kilometrów od Berlina. Wreszcie Armia Czerwona zajęła całą Europę Wschodnią.

Kto zajmuje jakieś terytorium, wprowadza tam swój ład. Takie są realia polityczne jutra, bez względu na to, jakie ustalenia zapadną w Jałcie. Stalin może zasiąść do negocjacji z Churchillem i Rooseveltem. Ale na polach walki i w wyzwolonych przez siebie krajach, on będzie dyktował warunki.

Drzwi apartamentu prezydenta otwierają się. Chip Bohlen, tłumacz Roosevelta, płynnie po rosyjsku wita Stalina i usuwa się na bok. Wszedłszy do okazałego pokoju, Stalin podchodzi dostojnie do siedzącego prezydenta. Woli prywatne spotkania z Rooseveltem, bez udziału zapalczego Churchilla. Roosevelt zapowiedział, że chciałby porozmawiać o Francji. Dobrze, myśli Stalin, możemy załatwić sprawę Francuzów. Sam natomiast zamierza się zorientować, jakie plany ma Roosevelt i jego sztab co do Berlina.

- Panie prezydencie - mówi. - Dobrze pan wygląda.

Bohlen, który podszedł za nim do Roosevelta, tłumaczy. Przywódcy ściskają sobie dłonie, serdecznie, obiema rękami. Stalin sadowi się w fotelu, naprzeciwko kanapy, na której siedzi Roosevelt, i kontynuuje poranne uprzejmości.

Bohlen zajmuje miejsce w fotelu między nimi, mówiąc na przemian po angielsku i po rosyjsku. Z boku czeka jedna z sekretarek Roosevelta - gdy zaczną się rozmowy, przystąpi do protokolowania. Kiedy wszyscy już zajęli miejsca, Stalin milknie. Patrzy najpierw Bohlenowi w twarz, potem spogląda w dół, na nogi jego fotela i na dywan. Tłumacz siedzi tak blisko Stalina, jak sam Roosevelt. Radziecki przywódca unosi głowę. Bohlen przesuwając swój fotel nieco do tyłu. Słusznie. Roosevelt powinien był tego dopilnować. Na kominku trzaskają polana. Na srebrnym stoliku między politykami stoją prażone migdały i brandy.

Rooseveltowi podoba się stanowczość Stalina. Zazdrości mu siły. To paradoks. Rządzi najpotężniejszym narodem na świecie, a sam jest inwalidą. Nie może nawet wstać, gdy Stalin wchodzi do pokoju.

Prezydent wychwala warunki, w jakich mieszka - wspaniałe, cudowne. Widok z werandy na Morze Czarne jest fantastyczny. Carowie umieli korzystać z życia. Tak, myśli Stalin, dlatego ostatni z nich wraz z rodziną został zamordowany. Potakuje jednak. Mówi, że któregoś dnia chciałby zobaczyć Biały Dom w Waszyngtonie. Na pewno w porównaniu z nim błędną skromne rosyjskie pałace. Roosevelt, słysząc to, zanosi się śmiechem, macha fiklą z papierosem, autentycznie rozbawiony.

W przeciwieństwie do Roosevelta, Stalin nie czuje się swobodnie w Liwadii. Równie skrupowany jest w pałacyku Woronców, stylizowanym na szkocki zamek, gdzie teraz zatrzymał się Churchill. Podobnie w swojej siedzibie w pałacu Korejc, niegdyś własności księcia Jusupowa, rzekomego zabójcy Rasputina. Słucha, jak Roosevelt wychwala wygodne łóżko, chcąc w ten sposób, jako gość, wyrazić swoją wdzięczność. Nie ma pojęcia, że wygodne łóżko to właśnie powód, dla którego ich narody nigdy się nie zaprzyjaźnią. Związek Radziecki, zgodnie z zasadami marksizmu-leninizmu, dąży do zniszczenia kapitalizmu. Do spalenia miękkich łóżek mieszkańców Zachodu, zwłaszcza gdy radzieccy ludzie śpią na sianie. A Roosevelt wciąż mówi o pokoju. Czy on nie rozumie, że komuniści prowadzą z Zachodem wojnę, zarówno z całym społeczeństwami, jak i ich ideologią? Kapitałiści zbyt długo trzymali w garści tak dużą część świata. Upchali w swoje materace zbyt wiele bogactw. Nie. Nie może im się dobrze na nich spać.

Stalin docenia jednak przyjazne nastawienie Roosevelta; ten umiarkowany człowiek jest naprawdę wspaniałomyślny. Kiedy umrze, a sądząc z jego wyglądu nastąpi to wkrótce, wszystko się zmieni. Następny prezydent na pewno będzie prowadził inną, własną politykę. Stalin bierze więc, ile się da i póki się da. Tyle jego.

Śmieje się w trakcie monologu Roosevelta, zanim jeszcze usłyszy tłumaczenie. Robi wrażenie, jakby nie mógł się powstrzymać, jest w doskonałym humorze.

Bohlen tłumaczy słowa prezydenta:

- Cieszę się, że pana rozbawiłem, Joe.

Stalin pochyla głowę. Znowu to głupie imię. Ale jest mu zbyt wesoło, żeby miał okazywać niezadowolenie. Nikt nie śmie nazywać go „Joe” czy „Iosif”. Od lat wszyscy zwracają się do niego nie inaczej, jak „towarzyszu” albo „towarzyszu marszałku”. Człowiek ze Stali to nie jakiś tam Joe. A prezydent Stanów Zjednoczonych mówi tak do niego już drugi raz. Myli się, jeśli sądzi, że może sobie pozwolić na taką poufałość. Ta myśl sprawia Stalinowi satysfakcję. Nic więcej nie musi robić.

Śmieje się dalej, podczas gdy Roosevelt czeka. Stalin przypomina sobie krótkie poranne spotkanie z Churchillem w jego pokoju sztabowym. Chciał omówić z premierem kwestię przerwania części brytyjskich żołnierzy z Włoch na teren Jugosławii i Węgier, by tam połączyły się z siłami radzieckimi i ruszyły do Austrii. Był to dla Churchilla subtelny policzek i - bystry facet - dobrze to zrozumiał. Armia Czerwona dotarła już tak daleko, że oba te państwa znajdą się pod dominacją radziecką za parę dni. Anglicy nic już nie wskórają! Zniwazony, poczerwieniały na twarzy Churchill powiedział tylko: „Armia Czerwona może nie dać nam czasu na dokończenie tej operacji”. Stalinowi bardzo się to podobało. Ten Churchill może nawet człowieka rozbawić.

Szybko powściąga jednak wesołość. Splata palce.

- Niech mi pan powie, panie prezydencie, co pan sądzi o Francji.

- Cóż - Roosevelt mości się na kanapie wśród poduszek. Stalin widzi, jak nieporadnie się porusza. Chyba zmienił zdanie na temat Francji. Churchill go przekabacił. Roosevelt zawsze zwleka, gdy ma powiedzieć Stalinowi, że nie zgadza się na jego warunki.

- Winston zwrócił mi uwagę na kilka rzeczy dotyczących Francji.

Stalin czeka. Bawi się palcami, żeby wyrazić niezadowolenie.

Roosevelt w zasadzie podziela opinię Stalina, że Francuzi nie zasługują na szczególne przywileje po wojnie. Przecież kolaborowali z Niemcami. Ale są najpotężniejszym sąsiadem Niemiec. I Churchill słusznie dowodzi, że osłabieni nie będą mogli tak skutecznie przeciwstawić się ewentualnej przyszłej agresji Niemiec. Stalin kręci głową.

- To nie powojenne Niemcy niepokoją pana Churchilla. Ja go niepokoję.

- Nie, Joe - Roosevelt zaprzecza gwałtownie. - Winston, pan i ja gramy w jednej drużynie. Anglia wie, jak potężnym sojusznikiem jest Związek Radziecki. Oczywiście, pojawiają się różnice zdań. Ale nie tak wielkie, by miały podważyć nasze wspólne działania na rzecz światowego pokoju. Mam rację?

Stalin nie wierzy, że Roosevelt wszystko to mówi szczerze. Świat, w którym panuje rywalizacja, nie może stać się nagle miejscem pokojowej współpracy międzynarodowej.

- Tak, panie prezydencie. Oczywiście.

Roosevelt zwraca się do Bohlena i mówi coś, co nie zostaje przetłumaczone. Sekretarka tego nie notuje. Stalin przypuszcza, że było to coś w rodzaju: „Mam go, widzicie?”

Macha ręką.

- Więc sądzi pan, że Francja także powinna mieć swoją strefę okupacyjną?

- Tak. Winston i ja uważamy, że to ważne dla jej prestiżu.

Dziwne określenie, myśli Stalin, w przypadku narodu, który podnosi ręce do góry, żeby tylko ich wieża Eiffla się nie rozpadła. Rosja mogłaby zbudować taką wieżę z samych choćby kości ludzi poległych pod Stalingradem.

- No to muszę się zgodzić. Ale strefa francuska zostanie utworzona z części stref amerykańskiej i brytyjskiej. Nie oddamy nic z naszych terenów.

Roosevelt przewidział to i wyraża zgodę.

- To znaczy, że będą mieli także swoją strefę w Berlinie?

- Tak.

Stalin wypowiedział nazwę miasta, jakby wystawiał nowy obiekt na licytację. Roosevelt jednak pospieszenie przechodzi do innego tematu: jaką kwotę reparacji wojennych powinny zapłacić Niemcy?

Stalin na razie porzuca sprawę Berlina. Zajmuje się kwestią poruszoną przez Roosevelta - chce od razu ustalić sumę reparacji na dwadzieścia miliardów dolarów. Roosevelt zgadza się, że ta kwota może być punktem wyjścia do dalszych negocjacji. Oznacza to, że nie jest jeszcze gotowy, by zająć konkretne stanowisko.

Po półgodzinie wydaje się, że Roosevelt skończył. Rozstrzygnięto właściwie tylko sprawę Francji. Punkt dla Churchilla, niech mu będzie, myśli Stalin. To nie ma znaczenia. Alianci za kilka lat wycofają się ze swoich stref. Ale Związek Radziecki nie ma takiego zamiaru.

Prezydent klaszcze w dłonie. Wydają głośny dźwięk, to duże łapy. Kiedyś, przed chorobą, musiał być przystojnym mężczyzną, pełnym uroku. Roosevelt pochyla się, wyciągając rękę do Stalina. Marszałek wstaje, by ją uściśnąć i w ten sposób daje znak, że zamierza wyjść.

- Dziękuję panu, Joe, dziękuję. Jestem przekonany, że nasze małe narady pomogą w przyjęciu ustaleń podczas spotkań całej Trójki. Powiadomimy Winstona, o czym rozmawialiśmy. Będzie zadowolony. I jeszcze raz chciałbym w imieniu swoim i moich współpracowników podziękować za gościnność.

- To dla nas przyjemność i obowiązek, panie prezydencie.

- Wiem - mówi Roosevelt.

Sprawia wrażenie, jakby jeszcze nie chciał zakończyć rozmowy. Z tego, co Stalin zdążył już zauważyć, ma taki zwyczaj. Po omówieniu zasadniczych spraw lubi wypić drinka i pogadać, jakby to była nagroda za wykonaną pracę.

Chętnie opowiada dowcipy albo anegdoty, odpręża się, tak gawędząc o nich. Stalin zatrzymuje się, podczas gdy Roosevelt nalewa sobie i Bohlenowi brandy. Spoglądając na Stalina, unosi pytająco brew. Ten jednak ruchem ręki odmawia.

- Wie pan - mówi prezydent, pociągnawszy łyk - płynąc tu na *Quincym*, założyłem się z marynarzami.

- Tak?

- O to, że pańscy żołnierze wkroczą do Berlina, zanim my zdobędziemy Manilę.

Niewiarygodne, że mówi coś takiego! Stalin nie wierzy własnym uszom. Czyżby prezydent Stanów Zjednoczonych oddawał mu Berlin?

A co z amerykańskimi i brytyjskimi wojskami, zgrupowanymi na północ od Zagłębia Ruhry? Co z milionem żołnierzy przygotowujących się do przekroczenia Renu? Tak po prostu zatrzymają się w drodze do stolicy Rzeszy? Nie, to niemożliwe! Berlin jest przecież najwyższą stawką!

Stalin czuje ostrzegawczy skurcz w żołądku. Musi w tym być jakiś podstęp. Czyżby ten uśmiechnięty Roosevelt był taki sprytny?

- Wierzy pan w to, panie prezydencie? Nad Odrą toczą się teraz bardzo ciężkie walki. Niemcy z determinacją stawiają opór.

Roosevelt kiwa głową.

- Japończycy także nie chcą wycofać się z Manili.

- Nie. - Stalin gładzi się po wąsach, usiłując ukryć zaskoczenie i radość na myśl, że to dzieje się naprawdę. Jego cierpliwość została nagrodzona. - Nie, jestem pewien, że wy wkroczycie do Manili wcześniej. Z Berlinem będzie ciężka sprawa.

- Cóż, zobaczymy, Joe. Wiem, że pańska armia jest twarda. Myślę, że wygram zakład.

Stalin postanawia jednak usiąść i napić się brandy. Prezydent mu nalewa. Przecież nie może odmówić, gdy Roosevelt chce jeszcze pogadać w tym tonie. Nie czas teraz na abstynencję.

Miałby jako pierwszy stanąć pod bunkrem Hitlera? Wykurzyć go wraz z jego dziwką na ulicę? Postawić ich oboje i nazistowską sforę przed radzieckim sądem w obliczu całego świata? Byłoby to ukoronowaniem wygranej i największe historyczne zwycięstwo w Europie.

Stalin wznosi w duchu toast. Za Berlin.

Roosevelt kładzie rękę na oparciu kanapy.

- Chciałem pana zapytać o jeszcze jedną rzecz.

- Tak?

- Nasze armie są już dość blisko siebie. Chyba nadszedł czas, żeby nawiązały ze sobą kontakt. To zapobiegnie nieporozumieniom i nieszczęśliwym wypadkom. Takie rzeczy się zdarzają, gdy brakuje komunikacji.

Stalinowi nie przychodzi na myśl żaden powód, dla którego nie miałby się na to zgodzić. Byłoby bardzo źle, gdyby doszło do konfliktu, nawet przypadkowego, pomiędzy siłami amerykańskimi i radzieckimi. Przynajmniej na razie, gdy Związek Radziecki nie jest jeszcze gotowy.

- Należy ograniczać możliwość nieporozumień. Tak, zgadzam się.

- Świetnie, świetnie. Chciałbym też, żeby pozwolił pan generałowi Eisenhowerowi kontaktować się z pańskim sztabem bezpośrednio, zamiast robić to poprzez szefów sztabów w Londynie i Waszyngtonie, jak do tej pory.

- Myślę, że to bardzo ważne. Doskonały pomysł, panie prezydencie.

- To dobrze, to dobrze.

- Nasze sztaby ustalą dalsze szczegóły. Stalin unosi szklaneczkę brandy.

- Na zdrowie.

Rosyjskim zwyczajem wypija do dna. Zwykle nie pije tyle co Churchill i Roosevelt. Ale kiedy trzeba, potrafi im dorównać.

- Panie prezydencie, muszę już iść. Dziękuję za bardzo owocne spotkanie. Zobaczymy się na sesji plenarnej po południu.

Wychodzi. Być może pożegnał się zbyt pośpiesznie, ale poczuł, że musi zostać sam. W holu, mimo że wciąż skierowane są na niego oczy wielu Amerykanów, nie może zapanować nad emocjami. Idąc szybko, zaciska pięści i unosi je na wysokość twarzy, jakby chwycił kogoś za kłapy i przyciągnął do siebie. Szepcze triumfująco: - Tak. Tak!

Spieszy do samochodu, który czeka na niego przed pałacem. Jazda do Kojce trwa dziesięć minut. Siedząc z tyłu, otwartymi dłońmi uderza o kolana i wystukuje rytm, by dać upust podnieceniu.

Jeśli Roosevelt mówił szczerze, wyścig do Berlina jest przesądzony. To cud - i w samą porę. Chociaż wojska radzieckie stoją zaledwie osiemdziesiąt kilometrów od Berlina, to mają poważne kłopoty. Koniew i Żukow wyprzedzili swoje linie zaopatrzenia. Na ich tyłach pozostali jeszcze w swoich bastionach niemieccy dywersanci, którzy utrudniają Rosjanom dalszy marsz i blokują dostawy. Flanki Armii Czerwonej są także zbyt odsłonięte od północy. Linia frontu rozciąga się tam prawie na sto sześćdziesiąt kilometrów. Liczebność niektórych dywizji spadła do czterech tysięcy ludzi, czyli jednej czwartej zwykłego stanu. Do tego pogoda jest okropna.

Nawet w takich warunkach plan przewiduje parcie naprzód, by wykorzystać przewagę - przejść przez Polskę, pokonać Odrę i zaatakować stolicę Niemiec. Generałowie Stalina przygotowują się do ostatecznego uderzenia na siedzibę Hitlera, które ma się rozpocząć w przyszłym tygodniu. Szczególnie Żukow nalega, żeby nacierać na załamujące się linie niemieckie. Uważa, że tylko w ten sposób można wyprzedzić aliantów w wyścigu do Berlina. Taka strategia

jest pochopna, kosztowna, a nawet niebezpieczna. Teraz zaś okazuje się niepotrzebna. Stalin może poczekać, aż zbierze i uzbroi takie siły, których nikt nie powstrzyma.

Zdobędzie nie tylko Berlin. Roosevelt dał mu czas, a tym samym pozwolenie na przygotowanie się do zdobycia Europy Środkowej.

A jeśli żart Roosevelta okaże się podstępem? Jeśli prezydent wcale nie rozmawiał z nim bez wiedzy Churchilla, lecz działał z jego namowy, żeby uspić czujność Armii Czerwonej i dać czas wojskom alianckim na wykonanie ruchu? Jeśli w przyszłym tygodniu Montgomery przekroczy Roer, to co mu przeszkodzi w sforsowaniu Renu i ataku na Berlin? Nic.

Szeregi armii radzieckiej można jednak uzupełnić na tyle szybko, by uprzędzić każdy ruch Montgomery'ego czy Eisenhowera w kierunku Berlina. Byłaby to dla Rosjan krwawa łaźnia. Ale przecież nie pierwsza.

W pałacu Korejc Stalin idzie pospiesznie do swojego gabinetu. Każe sekretarce odnaleźć Żukowa i połączyć się z nim.

Kraży po pokoju, aż rozlega się dzwonek telefonu.

- Gdzie jesteś? - pyta swego marszałka.
- W kwaterze w Kołpakach. Są tu też wszyscy dowódcy frontu.
- Co robicie?
- Przygotowujemy plany operacji berlińskiej.

- Nie, nie, tracicie czas. Musimy zebrać siły nad Odrą, potem wysłać tylu ludzi, ilu można, do Rokossowskiego, żeby ściągnąć go na wasze północne skrzydło.

Żukow waha się przez chwilę.

- A co z Berlinem?
- Odkładamy to na później.
- Towarzyszu?

Stalin odkłada słuchawkę.

Patrzy nad kominek, na portret Lenina, z którym nie rozstaje się w podróży. Lenin, ujęty z półprofilu, spogląda przed siebie jak kapitan stojący na dziobie statku podczas burzy.

- Włodzimierzu Iljczu - mówi, patrząc na surową twarz. - Przyszli do mnie.

17lutego 1945, godzina 21.20

Poznań

Polska

Ktoś dorzuca następne polano do ogniska. Lecą iskry. Ogień daje całkiem sporo światła. Ilja przebiega wzrokiem po twarzach siedemdziesięciu zebranych tu ludzi. Oprócz Miszy, który siedzi tuż przy nim, rozpoznaje tylko dwunastu

z nich. Ich twarze są nieprzeniknione. Nauczyli się zachowywać całą furię na czas bitwy. Reszta jest wyraźnie zaniepokojona. Wyglądają na przestraszonych albo wściekłych.

W środku tego kręgu stoi komisarz polityczny Puszkow. Wita właśnie nowych ludzi w kompanii karnej, a jego słowom towarzyszy trzaskanie iskier. Nadeszły uzupełnienia. Od czasu, gdy przybył tu Ilja, cztery tygodnie temu, pododdział stracił ponad osiemdziesiąt procent ludzi. Wycofujący się z Polski Niemcy walczyli z niezwykłą zaciekłością, próbowali za wszelką cenę zatrzymać Rosjan przed granicami swego kraju.

Podczas gdy komisarz mówi dalej, Ilja szepcze do Miszy:

- Zobacz, kogo nam tu przysłali. Ten kiwa głową.
- Chłopów.
- Idiotów.
- To przeważnie zwolnieni więźniowie.
- Pomyłenci.

Misza szturcha go łokciem.

- Nie bardziej pomyleni niż ty.

Ilja na żart reaguje żartem i wbija łokieć w bok Miszy. Robi to jednak za mocno. Mały żołnierz, popchnięty, wypada z kręgu.

Komisarz odwraca się.

To wysoki mężczyzna o zapadniętych policzkach, brak mu przedniego zęba. Podchodząc do Miszy, który stoi w blasku ognia, wyciąga otwartą dłoń, jakby pokazywał jakieś dziwo. Ilja klnie pod nosem - niedobrze, że Miszka zwrócił na siebie uwagę politruka.

- Towarzysz Misza Bakow - oznajmia głośno komisarz. Wypowiada nazwisko ze świstem z powodu szczyrby między zębami. Potem wskazuje Ilję.
- Ach, i tuż za nim towarzyszy Ilja Szochin, oczywiście.

Robi przy tym zdziwioną minę.

- Czy Szochin nie powinien walczyć normalnie na froncie?

Misza udaje, że nie rozumie złośliwego pytania. Staje na baczność i oświadcza:

- Tak jest, towarzyszu komisarzu!

Puszkow spogląda na Ilję. Ten uśmiecha się szeroko, odstawiając zęby. A ja mam wszystkie, ty ścierwo, myśli.

Komisarz staje metr przed Miszą. Ilja mógłby wrzucić go do ogniska.

Puszkow nie ukrywa pogardy dla nich obu. Nie znosi, by ktokolwiek z kompanii karnej, nawet ktoś tak śmiały jak Ilja czy bystry jak Misza, dowodził podczas walki. Nie są już oficerami i Puszkow wciąż im o tym przypomina. Ale Ilja wcale nie próbuje zbierać ludzi wokół siebie. Oni sami wyrastają jak spod ziemi i idą za nim. A Misza jakimś dziwnym trafem zawsze wie więcej

o bitwie i jej strategicznych celach niż komisarz czy oficerowie. Puszkow nie życzy im źle, ale nie dopuści, by podważali jego autorytet. Kompania karna to nie miejsce, w którym można popisywać się inteligencją czy wykazywać inicjatywę. Tu się zabija wrogów i ginie, jeśli trzeba. Tylko tak można odpokutować winę.

Patrząc na komisarza, Misza mówi oficjalnym tonem:

- Chciałem tylko powiedzieć nowym towarzyszom, że pod waszym znakomitym przewodnictwem, towarzyszu komisarzu, nasz pododdział karny robi prawdziwie socjalistyczne postępy.

Puszkow mruga oczami.

- Tak. Dziękuję wam, towarzyszu Bakow.

Milknie. Czeką, aż Misza wycofa się w krąg żołnierzy. Ten odstawia nogę, jakby rzeczywiście chciał się cofnąć. Komisarz odwraca się, zadowolony, zostawiając za sobą Ilję i Miszę. Przechodzi obok ogniska, podrzucając piętami brzeg długiego płaszcza.

Ilja nie cierpi takiego języka, wiernopoddańczej mowy bezmózgowca. Ale z komunistami inaczej nie można. Komisarze mają władzę i w dodatku są kapryśni. Mogą zastrzelić człowieka na miejscu, jeśli unika walki albo się ociąga. Najlepiej zachowywać się jak posłuszny automat. Śmiesznie brzmiały te słowa w ustach sprytnego małego Miszy, nie pasowały do niego jak za duża koszula.

Ilja tłumia chichot. Jeśli zauważył go taki kundel, jak Puszkow, inni, ważniejsi, także zwrócą na niego uwagę. Puszkow nie należy jeszcze do najwredniejszych. Ilja znał gorszych niż ten chudy aparatczyk.

Misza nie wstępuje jednak do kręgu. Wciąż stoi z przodu. Ilja szepcze do niego:

- Chodź tu. Misza, chodź tu.

- Wiecie - Misza zwraca się do grupy, wymachując rękami. - Towarzysz Szochin był pod Stalingradem.

Zebrani wydają pomruk uznania. Ilja wtula głowę w ramiona. Puszkow zatrzymuje się w pół kroku. Odwraca się i patrzy. Nie prosił, żeby Misza mówił coś jeszcze. Mały żołnierz ciągnie dalej:

- Ma doświadczenie w walkach ulicznych, umie walczyć wręcz. Wie, jak pokonać Niemców w ich fortecach. Takich jak ta tutaj, w Poznaniu. Zobaczycie jutro.

Misza chwytą Ilję za płaszcz, żeby wyciągnąć go przed szereg. Równie do brze mógłby szarpać pień drzewa. Ilja ani drgnie.

- No, w każdym razie, jeśli macie jakieś pytania, Ilja chętnie z wami porozmawia. Z każdym. Nie krępujcie się. Dobra. Dziękuję.

Cofa się i staje obok Ilji. Podnosi głowę i patrzy mu w oczy.

- Uspokój się - mówi z uśmiechem - aż kipisz ze złości.

Po drugiej stronie ogniska Puszkow pociera czoło, a potem kontynuuje pogadankę polityczną. Ilja odciąga przyjaciela poza krąg, aż Miszy płaczą się nogi.

- Co to miało być? - pyta ostro.

- Spokojnie, Ilja. - Misza obciąga płaszcz i bluzę wyszarpiętą ze spodni przez Ilję.

- Misza.

- Nie lubię Puszkowa. Gdybym był jego zwierzchnikiem, wysłałbym go na pierwszą linię frontu uzbrojonego w wykałaczkę.

- Ale nie jesteś jego zwierzchnikiem. Ani jego, ani nikogo innego.

- Nie. Ale jutro rano, kiedy zdobędziemy cytadelę, ty i ja dostaniemy po plutonie. Zobaczysz. Tylko poczekaj.

Misza ma rację. Żeby odzyskać dawną pozycję, muszą poprowadzić tych ludzi do ataku, muszą na każdym kroku przypominać, że są kimś więcej niż tylko mięsem armatnim. Muszą wziąć na siebie rolę dowódców, nawet bez pozwolenia przełożonych.

- Ale na przyszłość postaraj się nie drażnić Puszkowa.

- Nie przejmuj się nim, Iljuszka. Dostanie kulkę, zanim zdąży nam zaszkodzić. A nas chronią czary.

Misza wali swego wielkiego przyjaciela w plecy i znika w ciemnościach nocy. Ilja patrzy za nim, jak odchodzi dziarskim krokiem, i zastanawia się, dlaczego nagle obudził się w nim taki kogut.

Żołnierze rozchodzą się i idą do okopu, gdzie czekają na rozpoczęcie porannej ofensywy. Od 26 stycznia 8 Armia Gwardyjska Czujkowa oblega Poznań. Miasto leży w strategicznym punkcie środkowej Polski, na przecięciu linii kolejowej i autostrady, także przy głównych drogach prowadzących ze wschodu do Berlina. Poznania nie można obejść, zamknąć w okrążeniu i czekać, aż sam się podda. Trzeba go zdobyć, rozbijając niemiecki garnizon ze stacjonującymi tam ponad sześćdziesięcioma tysiącami ludzi, aby zapewnić zaopatrzenie prącym na zachód wojskom radzieckim. Stoi tu tylko połowa sił Czujkowa. Cztery pozostałe dywizje posuwają się do przodu, by dołączyć do armii koncentrujących się nad Odrą. Poznań, kluczowy ośrodek komunikacyjny, pozostał sto sześćdziesiąt kilometrów za nimi jak niebezpieczne ognisko zapalne wszelkiego oporu.

Hitler uczynił z tego miasta jedną ze swoich fortec. I rzeczywiście jest to forteca. Poznań, polskie miasto, z katedrą o wysokich wieżach, uniwersytetem, zieleńcami i parkami, muzeami, eleganckimi sklepami i modnymi galeriami, zamieniło się pod rządami Trzeciej Rzeszy w prawdziwą twierdzę. Miasto

otacza osiem potężnych dziewiętnastowiecznych fortów pochodzących jeszcze z czasów zaboru pruskiego. W centrum tego pierścienia tkwi cytadela.

Ta wielka pięciokątna budowla stoi na wzniesieniu, które góruje nad miastem. Składa się z fortów i murów obronnych wzmocnionych wałami ziemi grubości trzech metrów. Dojścia do fortów broni głęboka i szeroka fosa obmurowana ceglami, która w razie ataku jest ostrzeliwana z otworów strzelniczych w murach, z szanców ziemnych i gniazd karabinów maszynowych. W cytadeli stacjonuje dwanaście tysięcy Niemców. Z rozkazu Hitlera mają opóźnić marsz wojsk radzieckich i bronić się do ostatniego żołnierza.

W ciągu ostatnich dwunastu tygodni Poznań przemienił się znowu, tym razem za sprawą Armii Czerwonej, w wielki krąg ognia. Czujkow ogromnym wysiłkiem żołnierzy zaatakował zewnętrzne forty i pierścienie obronne, rażąc ogniem artyleryjskim wszelkie przeszkody, a następnie kierując tam piechotę. Całe połacie zrównanych z ziemią budynków publicznych i domów prywatnych to rezultat ostrzału z czołgów i podpaień miotaczami ognia. Na wszelki wypadek teren oczyszczono jeszcze seriami z karabinów maszynowych. Poznań Hitlera przeszedł w posiadanie 8 Armii Gwardyjskiej. Poza cytadelą. Teraz wszystkie rodzaje broni zostały kierowane na broniących się tam żołnierzy niemieckich.

Ilja i Misza, skuleni w okopie, rozmawiają długo w noc. Podczas lutowych walk bardzo się zaprzyjaźnili. Misza uczy Ilję. Nie walki wręcz, w której ten jest niepokonany, ale taktyki, sztuki operacyjnej i strategii. Misza twierdzi, że zanim naraził się zwierzchnikom, przygotowywano go do objęcia stanowiska dowódcy. Ilja, który potrafi zabijać ludzi w bezpośrednim starciu karabinem albo pięścią, słucha z podziwem. Nie ma wątpliwości, że Misza wie, co mówi. Jego znajomość historii wojskowości jest wynikiem fascynacji tą dziedziną i całych lat studiów. Opowiada nie tylko o strategii dowódców radzieckich, ale także o dawnych generałach, o ich kampaniach i błędach, jakie popełnili, o Wellingtonie, Pattonie, o Termopilach. Zna nawet trochę niemiecki.

Ilja natomiast snuje opowieści o walkach, w których sam uczestniczył. Jego wspomnienia są żywe. Zostały zapisane w pamięci nieblaknącym czarnym atramentem, strach, a szkarłatnym - strzępy krwawych obrazów. Dokładnie opisuje scenerię - piwnice, korytarze, ulice, pola. Opowiada, jakiej broni użył albo w jaki sposób zabił wroga własnymi rękami, o tym, co wtedy czuł, jak puszczały mu nerwy, jak podchodził, czołgał się, skradał i jak potem uciekał. Misza słucha, obejmując ramionami kolana, kuli się albo wzdryga poruszony dramatycznymi opisami. To nie jest powtarzanie lekcji. Ilja przygotowuje bystrego Miszę na to, co będzie musiał przeżyć.

Ostatnio Ilja zauważył, że Misza staje się coraz odważniejszy. Nie jest bohaterem wojennym, ale przestał być tchórzem. Gdy Ilja szarżuje, kolejny raz

pragnąc zademonstrować swoją odwagę, Misza postępuje ostrożnie. W ten sposób wzajemnie się uzupełniają. I wciąż żyją. Nie zamierzają poddać się śmierci.

Tymczasem wokół nich trwają przygotowania do ostatecznego ataku na cytadelę. Skrzypią rozładowywane wózki z amunicją. Żołnierze wiążą patyki i różgi w wielkie pęki, które składają na gigantyczne sterty. Zostaną potem rzucone do fosy, by atakujący mogli przedostać się na wewnętrzne obwarowania. Z drewna i skóry powstają drabiny i mostki do przerzucania. W miotaczach płomieni uzupełnia się paliwo. Misza mówi, że gdyby nie współczesne karabiny i działa, można by pomyśleć, że przygotowują się do średniowiecznego szturm na zamek.

Przyjaciele śpią przytuleni do siebie, żeby wzajemnie się ogrzewać. Misza uklada się przy Ilji w kłębek, jak małe zwierzątko, ale żaden z nich nie jest z tego powodu skrępowany. W czasie wojny to zwykła rzecz. Kiedyś, za parę lat, będą się mogli z tego pośmiać - jeśli przeżyją.

Dwie godziny przed świtem kompania zbiera się na posiłek. Kiedy pierwsze promienie słońca wydobywają cytadelę z ciemności, Ilja i Misza czółgają się już wraz z towarzyszami na odległość stu metrów od fosy. Trzy inne kompanie z ich batalionu zajmują pozycje z prawej strony, w sumie trzystu ludzi. Pozostałe oddziały dywizji piechoty pozostają w odwodzie. Za czterema kompaniami posuwającymi się powoli, metr po metrze, idą saperzy, taszczą ładunki wybuchowe i drabiny.

Przed nimi wnosi się długa południowo-zachodnia fasada cytadeli. Wojska radzieckie codziennie atakują każdy z jej pięciu boków, by rozproszyć siły Niemców. Batalion Ilji ma się przepawić przez fosę, wspiąć się na wewnętrzny wał i na jego szczycie zorganizować punkt oporu. Za nimi ruszy reszta dywizji, która spróbuje wdrzeć się do środka cytadeli.

Kompania Ilji po zejściu do fosy dostanie się pod ostrzał z otworów w murze i wale, pod ogień karabinów maszynowych ustawionych na dnie rowu, a także pod ogień skrzydłowy z obu flanek redut w narożnikach cytadeli. Ilja nie mówi nic Miszy, żęto będzie jak gradobicie. Powietrze stanie się gęste od kul.

Nad ich głowami przetaczają się pierwsze salwy ciężkiej artylerii znajdującej się dwieście metrów za nimi. Ludzie przywierają podbródkiem do ziemi. Lufy wielkich dział ustawiono niemal poziomo - tor lotu pocisków przebiega prawie równoległe do ziemi. Ilja rozpoznaje je bezbłędnie i wymienia kolejno ich kaliber. To prawdziwy deszcz ognia: czołgi T-34, zdobyczne niemieckie osiemdziesiątki ósemki, nawet wielkie działa dwustutrzymilimetrowe. Pięciominutowy ostrzał wymierzony jest w wewnętrzny mur fosy i wał ziemny. Grunt pod Ilją drży.

W miarę jak cichną eksplozje, gęstnieje dym. Ilja widzi, że pociski ledwie zorały grubą warstwę ziemi na wale. Mury cytadeli zostały trochę nadgryzione, ale sam bastion stoi prawie nietknięty. Spluwa. Chciałby zakląć, ale nie pora teraz wyzywać los.

Przyczajony batalion wciąż leży cicho. Nie było rozkazu, by szturmować fosę. Ilja unosi głowę i widzi, że zapowiada się pogodny dzień.

Z tyłu znowu rozlega się huk. Kolejne pociski przelatują ze świstem, uderzając prosto w wał. Ziemia drży ponownie. Ostrzał jest teraz bardziej precyzyjny. Wielkie radzieckie działa celują w konkretny punkt wału. Ogień zaporowy jest bardzo niski, Ilja ma wrażenie, że gdyby się podniósł, straciłby głowę.

Przez następne pięć minut cytadelę zasypują pociski. Wschodzące słońce i ostrzeliwana twierdza, skulony obok Misza i reszta ludzi, cały poranek - wszystko znika Ilji z oczu, przesłonięte gradem ceglanych odłamków, dymem i pyłem. Ilja zamyka oczy i chowa twarz w zgięciu łokcia.

Unosi głowę, gdy ostrzał ustaje. Powietrze wypełnia teraz dym.

Po obu stronach rozciągniętego w linii batalionu rozlega się głośnie „Urrra!” Misza wskazuje ręką.

- Tam jest wyłom! W wale!

Ilja dostrzega wyrwę, która ma zaledwie dwa metry szerokości, ale wygląda jak czarna rana w ciele cytadeli. Atakując fosę, będą mieli przed sobą cel.

Unosi się nieco i przygotowuje do biegu. W tej samej chwili zza parapetu okna ponad wałem wyłania się biała flaga.

Za nią niepewnie pojawia się kilka głów. Widać następne białe flagi. Ze czterdziestu niemieckich żołnierzy woła: *Nicht schiessen!*

Wszyscy w kompanii Ilji trzymają karabiny gotowe do strzału, ale nikt nie naciska spustu. Niemcy podchodzą do krawędzi wału i rzucają broń. Pierwszy z nich, trzymając ręce do góry, ześlizguje się w dół.

On jeden dociera do fosy żywy.

Za nim rozlega się jazgot karabinu maszynowego. Żołnierze padają zastrzeleni, szarpani kulami, jakby ktoś kopał ich w plecy. A potem osuwają się do fosy jak szmaciane lalki. Ostatni Niemcy odwracają się w stronę luf karabinów, by nie ginąć od strzału w plecy. Chwilę później oni także staczają się na dno fosy. Lawina trupów.

Ilja patrzy osłupiały. Zawzięci naziści. Nie pozwolili tym ludziom ocalić życia; Kiedy padł ostatni żołnierz, nastaje cisza.

Przy zewnętrznym murze fosy pojawia się biała tkanina. Nawet z odległości stu metrów Ilja widzi, że jest zbryzgana krwią. Flaga unosi się wyżej. Pod nią widać przerażonego i wstrząśniętego człowieka, samotnego żołnierza, który stoi w rowie pośród ciał zdradzonych towarzyszy. Nie ma wyboru, musi iść

w stronę Rosjan. Wszyscy na niego patrzą. Dochodzi do brzegu fosy. Kieruje się ku kompanii Ilji. Ilja i inni krzyczą: „Chodź! Chodź!” Z tyłu, za plecami żołnierza, rozlega się szcęknięcie karabinu. Niemiec przystaje. Odwraca się twarzą ku cytadeli. Żałośnie drobny, wyzywa los. Dwa następne strzały kładą i jego, i białą flagę.

Ilja wrzeszczy, słyszy swój krzyk, zanim jeszcze wydobył się z ust. Rusza do ataku. Jego wrzask przemienia się w ryk. Cytadela, jak broniące się zwierzę, odpowiada wyciem. Biegąc przed siebie, Ilja czuje, że kule trafiają kogoś za nim. Ludzie, którzy za wolno podrywają się do biegu, pozostają z tyłu już na zawsze. Snajper wybiera najłatwiejszy cel wśród nadbiegających żołnierzy - tych, którzy się wahają. Misza także już biegnie. Jest mniejszy i szybszy. Woła za Ilją: - Dalej! Dalej! Dalej!

Ilja unosi swoją pepeszę. Posyła serię w kierunku błysków w wąskiej szczelinie wału. Z tej odległości na pewno nikogo nie trafi, ale sieje zamieszanie wśród obsługi karabinu. Pędzący obok niego żołnierze także strzelają i trzysta podskakujących karabinów tworzy całkiem skuteczną osłonę ogniową.

Kompania znajduje się dziesięć metrów od fosy. Niektórzy zostali ranni. Kompania formuje linię ognia. Saperzy czołgają się pospiesznie do przodu, ciągnąc drabiny. Ilja i jego towarzysze osłaniają ich. Wszystkie drabiny zostają kolejno przyciągnięte do brzegu fosy. Kompania zejdzie po nich w dół, a potem wdrapie się na przeciwległy mur. Dwaj saperzy wyskakują do przodu i wrzucają do fosy świece dymne, a potem zastrzeleni padają za zasłoną dymu.

Za nimi ruszają dwaj żołnierze z miotaczami płomieni. Mur obronny wygląda jak nastroszony w różowych obłokach kruszonych cegieł. Miotacze zieją ogniem na odległość dwudziestu pięciu metrów, aż poza fosę. Płomienie sięgają otworów strzelniczych. Ilja przesuwając karabin nieco w bok, żeby wesprzeć strumienie ognia. Przy huku wystrzałów i wybuchów napinają się wszystkie jego mięśnie, dym i ogień pieką oczy. Trafieni pociskiem krzyczą z bólu. Ci, którzy wciąż strzelają, atakują jeszcze zacieklej. Nawet w Stalingradzie, gdzie toczyły się równie ciężkie walki, Ilja nie widział tak chaotycznego ataku.

W miotaczach płomieni wyczerpuje się paliwo. Dwaj żołnierze wycofują się. Ta część cytadeli na chwilę milknie, zbiera siły. Kompania wstrzymuje ogień.

Ilja wie, że nie utrzymają tej pozycji. Rzucili wszystkie siły na mury i bliżej fosy już nie podejda. Kolejnych ośmiu ludzi z kompanii zostało zabitych albo rannych. Nie zastanawiając się nad tym, kto dowodzi, Ilja zamierza wydać rozkaz: „W tył zwrot”.

Rzuca szybkie spojrzenie przez ramię, żeby się zorientować, gdzie są jego ludzie i jak najlepiej się wycofać. Unosi się i siada, chce dać kompanii znak, by cofnęła się o sto metrów.

Nagle czuje szturchnięcie w nogę. Obok niego leży Misza.

- Może nie powinieneś tego robić, Iljuszka.

Ma czerwone plamy na kołnierzu, krew cieknie mu po szyi. Na policzku widać rozcięcie. Kula odstrzeliła mu płatek ucha.

Misza ogląda się za siebie. Kiedy odwraca głowę, Ilja zauważa, że krwawienie ustaje. Trzeba by zaszyć ranę. Mały żołnierz będzie miał bliznę z wojny.

- Zabiją nas tu - mówi Ilja.

Misza ściąga łopatki.

- Wyłom w murze to jedyna droga do środka.

Ilja z powrotem kładzie się na ziemię.

- Dobra - mówi. - Kapitanie Misza. Masz jakiś pomysł?

Misza wskazuje naruszone mury.

- To forteca, prawda? Są otoczeni. Mają odcięte linie zaopatrzenia. Amunicji więcej nie zdobędą. Gdybym tam dowodził, wiesz, co bym zrobił? Rozkazałbym ludziom strzelać tylko po to, by odpierać ataki. Muszą oszczędzać pociski.

- Dlaczego nie mieliby nas wystrzelać?

- Ilja, oni muszą tylko grać na zwłokę. Nie zależy im na tym, żeby wygrać czy się stamtąd wydostać. Widziałeś, co się stało, kiedy ci ludzie chcieli się poddać. Jakiś kutas, nazistowski oficer, zabił ich dla przykładu. Nikt nie ujdzie stąd z życiem. Taki mają rozkaz. To samo powiedział Hitler Szóstej Armii pod Stalingradem.

Ilja przypomina sobie tamte zagłodzone widma - niemieckich i włoskich żołnierzy, którym Hitler kazał bronić twierdzy Stalingrad. Milion ludzi skazanych na śmierć.

Misza ciągnie dalej:

- W ostatnich dwóch tygodniach Poznań wiązał siły czterech dywizji Czujkowa. To siedemdziesiąt tysięcy ludzi plus czołgi i artyleria. Jeśli uda się Niemcom utrzymać cytadelę jeszcze przez następne dwa tygodnie, będzie to ich zwycięstwo, nawet gdyby zostali wybici do ostatniego żołnierza.

Delikatnie dotyka palcem policzka. Badając rozcięcie, krzywi się z bólu.

- Poza tym, jeśli się wycofamy, znowu będziemy musieli atakować. Jest nas wielu - Misza obrzuca spojrzeniem leżące wokół ciała. - Bieganie tam i z powrotem nie bardzo mi się podoba. Oficerowie także nie byliby zachwyceni. Dotarliśmy aż tu, zastanówmy się więc, co możemy teraz zrobić. Myślę, że mamy szansę.

- W porządku. Masz jakiś plan?

- Coś w tym rodzaju.

Ilja sięga rękę do okaleczonego ucha Miszy.

- Boli cię?

- Jak cholera! Au! - Misza odpycha wielką łapę przyjaciela.
- Będziesz wyglądał głupio, kiedy się to zagoi.
- Chciałbym, żeby to było moje jedyne zmartwienie. A teraz myślmy. Wy-suwa język i oblizuje dolną wargę. Ilja przebiera palcami po ziemi. Ktoś z kompanii strzela, odpowiada mu snajper z wieży. Seria z karabinu przeszywa ziemię dwa metry od butów Ilji, który instynktownie przesuwają się na bok. Ludzie z kompanii otwierają ogień. Wieża milknie. Snajper się namyśla, czeka.

- Teraz byłby dobry moment, Misza.

Ten kiwa głową.

Bez słowa zaczyna się czołgać do tyłu, w stronę saperów. Minutę później wraca z dwoma ładunkami wybuchowymi. Czterej saperzy ciągną za nim drabinę.

- Ilja - ruchem głowy wskazuje mury cytadeli - założę się, że można tam zwariować z powodu hałasu.

- Pewnie tak.

- Ceglane ściany, niskie sufity, małe okna.

- Tak, to chyba nie najlepsza kwatery. Dobrze kombinujesz.

- Zrobimy tak...

Bierze jeden z ładunków. Ustawia zegar zapalnika na dziesięć sekund i rusza ku fosie. Zaskoczony szybkim działaniem małego przyjaciela, Ilja chwilę się waha, ale zaraz do niego dołącza. Są pięć metrów od fosy, kiedy z wieży znowu zaczynają strzelać. Kompania odpowiada ogniem. Kule śmigają w obu kierunkach.

Misza rzuca ładunek, który pada dokładnie pod otworem strzelniczym w wale. Ilja idzie za jego przykładem. Trafia celnie. Obaj z Misza czołgają się do tyłu, byle dalej od fosy. Przyciskają twarze do podłoża.

Ziemią wstrząsają dwa wybuchy, w hełmy uderzają spadające grudki. Misza wstaje i strzela w kierunku lewej wieży. Ilja robi to samo. Reszta kompanii ostrzeliwuje obie wieże, lewą i prawą. Otwory strzelnicze są prawie niewidoczne pod gradem świszczących kul. Saperzy zrywają się do przodu i opierają drabinę na brzegu fosy. Wracają biegiem na tyły kompanii. Kiedy strzały milkną, drabina stoi na miejscu.

Ilja jest pod wrażeniem. Taktyka Miszy była bardzo prosta. Niemcy mają trzy stanowiska obrony, które kryją ogniem każdy odcinek fosy: jeden na wprost i dwa po bokach, w wieżach. Kompania nie może nacierać prosto przed siebie, żołnierze zostaliby rozsiekani od frontu i z boków, zanim by zdążyli ustawić drabiny, a co dopiero po nich zejść. Nie mogą też po prostu siedzieć tu i ostrzeliwać cytadeli, bo jest zbyt solidna, a obrońcy zabarykadowani są w środku. A ponieważ piechota czeka pod murami cytadeli, artyleria również nie może nic zrobić. Jeśli jednak nie można wykurzyć Szwabów pociskami

artyleryjskimi ani ogniem z broni ręcznej, należy ich ogłuszyć wybuchami. Gdy Niemcy na flankach będą zajęci ostrzeliwaniem się, kompania ruszy po drabinach i zaatakuje wał, zanim tamci zdążą oprzytomnieć.

Ale jak spowodować tak wielkie eksplozje?

Misza odpowiada na to pytanie, zanim Ilja je zadał.

- Beczki po paliwie.

Ilja marszczy brwi.

- Wielkie puste zbiorniki. Wypełnimy je materiałami wybuchowymi. Zapalimy lonty i zepchniemy beczki po pochyłości, tuż pod stanowiska obrony. Ogłuszemy ich z obu stron. Potem ostrzelamy wieże, zsuniemy się po drabinach i pobiegniemy do wyłomu. Ktoś wejdzie na wał i wrzuci ładunek wybuchowy do kanałów wentylacyjnych.

Ilja wysuwa dolną wargę i kiwa głową.

- Świetny plan.

- Powiedzmy to wszystko Puszkowowi.

- Ucieszy się, gdy nas zobaczy.

- Będziemy mieli u niego dług wdzięczności. Ruszajmy.

Ilja kładzie się na brzuchu, by podczołgać się na pozycję Puszkowa za saperami. Misza robi to samo. Ale zanim ruszą, Ilja pyta:

- A co potem? Jak już znajdziemy się w środku? Puszkow także będzie chciał wiedzieć.

- To proste.

Misza stuka go palcem w pierś, w miejsce, gdzie Ilja zwykle nosi swoje medale.

- Ty przejmiesz dowodzenie.

Rozdział czwarty

18 lutego 1945, godzina 11.45
Goethestrasse Charlottenburg,
Berlin

Lottie patrzy na żółte drzwi.

Ciaśniej owija się swetrem, wyrażając w ten sposób irytację, ale matka nie zwraca na nią uwagi. Freya zajęta jest robieniem kanapek i gotowaniem zupy ziemniaczanej w wielkim garnku. Stojąc nad kuchenką, nuci miłym, śpiewnym głosem. Tego przedpołudnia jest prąd, więc w ciągu tych paru cywilizowanych godzin chciałaby ugotować, co się da. Od miesięcy gromadzi salami, które owija w woskowany papier i chowa pod obłuzowanymi klepkami parkietu. Dziś odkrawa z niego cenne plasterki.

Lottie opiera się o ścianę w małym korytarzu pomiędzy jadalnią a kuchnią. Mogłaby wystawić nogę i kopnąć drzwi prowadzące do piwnicy. To przyciągnęłoby uwagę.

Drzwi pomalowane są na ciemnożółto. Obrzydliwy kolor, wygląda jak ropa. A za drzwiami otwiera się piekło. Tkwi tam demon, jej osobisty diabeł, który zmaterializował się, by zrujnować jej życie.

Mogła przetrwać. Miała szansę. Ale zjawił się on.

Przeniknął do jej życia. Zaproszony przez jej własną matkę.

Żyd.

Freya przechowuje w piwnicy Żyda.

Siedzi na szczycie schodów - tak mówi Freya - i słucha. Słyszy nucenie Frej, zrzedliwe pomruki Lottie. Słyszy wszystko, ani na chwilę nie rusza się ze schodów. W piwnicy panuje ciemność, mężczyzna żyje więc tylko odrobiną światła przedostającą się przez szparę pod drzwiami, i stłumionymi dźwiękami, które docierają z zewnątrz. Lottie wyobraża go siebie jako gargulca ze złożonymi skrzydłami i wąskimi jak u kota źrenicami.

Nie będzie rozmawiać z tym Żydem z piwnicy. Od dwóch tygodni, odkąd zamieszkała u Frei, stanowczo odmawia. Wychodzi z pokoju, gdy tylko Freya odzywa się do niego. Nie ma zamiaru słuchać Żyda. Opuszcza dom, kiedy matka otwiera drzwi i daje mu jedzenie. Nie chce tam być, gdy ich złapią. Gdyby ją potem przesłuchiowano, powie, że nic nie wiedziała o obecności Żyda, że matka mówiła jej o nim, ale ona nigdy go nie widziała ani nie słyszała.

Chciałaby wyrzucić go stamtąd. Kopnięciem otworzyć drzwi, obić go pięściami za to, że śmiał się tu zjawić, i kazać mu się wynosić. Ale to nie jej dom. To dom matki. Lottie podejrzewa, że Freya wypędziłaby raczej ją niż tego Żyda.

Przenosi spojrzenie z drzwi piwnicznych na kuchnię. Freya obiera ziemniaki, obierki usmaży na smalcu i przyprawi. Ostatnio nosi chyba krótsze sukienki, jej buty błyszczą. Mówiła, że przechowa salami na najgorsze czasy. A teraz kładzie je na kanapki. Lottie jest przekonana, że z powodu tego Żyda przychodzą jej do głowy takie diabelskie myśli na temat matki.

Tego dnia, kiedy zbombardowano jej dom, Lottie zasłała na ulicy. Ratownicy zdążyli wynieść panią Preutzmann z płonącego budynku, zanim i on się zawalił. Gdy dozorczyńni odzyskała przytomność, zaczęła wołać męża. Strażak przykrył Lottie kocem i zostawił samą. Skuliła się obok wiolonczeli i zamknęła oczy, odgradzając się od zgliszcz, wycia syren, krzyków. Zawodzący ludzie zebrali się na Regensburger Strasse. Ochotnicy zaczęli roznosić gorące napoje i słodkie bułeczki. Po południu, kiedy dymy przesłoniły słońce, Lottie wreszcie wstała. Ciało miała obolałe. Ból wydawał się ciężki jak futerał z wiolonczelą. Taszcząc instrument, z wysiłkiem powlokła się do Charlottenburga. Wszystkie pociągi stanęły, tory były zatarasowane. Jeden z pociągów niczym ognista strzała wtoczył się na stację Anhalter cały w płomieniach. Całe miasto płonęło. Na podwórkach zajęły się zimowe zapasy węgla - wielkie kopce rozszalałej czerwieni. Będą tlić się jeszcze całe tygodnie. Powietrze zatruwał dym spalonych budynków i ulatniający się gaz. Lottie szła przez miasto, napotykając wyrwane z korzeniami drzewa, przewrócone słupy telegraficzne, pozrywane druty, leje po bombach i dymiące rumowiska. Podmuchy wiatru, wywołane szalejącym ogniem, miały po ulicach dachówkami, kawałkami rynien i odłamkami szkła. Brnąc przez to wszystko, dotarła do *Mutti*.

Kiedy Freya otworzyła drzwi, rozpląkała się na widok córki. Zabrała ją na górę, położyła do łóżka, opatrzyła jej rany i skaleczenia na twarzy i ramionach. Wymoczyła poranione ręce w gorzkiej soli. Niewiele przy tym rozmawiały. Przez trzy dni Lottie leżała w sypialni Frei, otulona jej kołdrą. Matka spała na kanapie albo w pokoju gościnnym. Krążyła między sypialnią a kuchnią z gorącą herbatą i zupami. Siadała na skraju materaca, gładziła stopy córki albo kładła jej rękę na czole. Lottie patrzyła w sufit lub zamykała oczy.

Wiolonczela stała w kącie jak cierpliwa przyjaciółka, czekając, aż dziewczyna wstanie i zagra.

Czwartego ranka Lottie wzięła wiolonczelę i wyszła z domu. Była jeszcze słaba i wewnętrznie rozbita, ale musiała iść na próbę. Nie mogła jej opuścić, mimo że bolały ją ręce - miejsce w zespole filharmonii było cenne. Freya odprowadziła ją na stację kolejki, pomagała nieść wiolonczelę. Na pożegnanie pocałowały się w policzki. Mimo przygnębienia Lottie poczuła się lepiej. Jakiś wewnętrzny głos mówił jej, że będzie dobrze. Dzięki matce. Lottie nie straciła jeszcze wszystkiego: ma wiolonczelę i *Mutti*.

Kiedy wróciła wieczorem, Freya poprosiła, żeby usiadła. Wzięła ją za ręce. Kilka razy mimowolnie spojrzała w bok, na drzwi do piwnicy. Potem zaczerpnęła powietrza i zaczęła mówić.

- Czujesz się już lepiej.
- Tak.
- To dobrze. Więc mogę ci powiedzieć. Lottie zamrugła powiekami.
- Ukrywam Żyda.

Lottie pokręciła głową, daremnie próbując zrozumieć, co przed chwilą usłyszała.

Freya powtórzyła:

- Ukrywam Żyda.

Wyrwała ręce z uścisku matki, jak ze szcęk wściekłego psa.

- Co takiego?!
- Jest w piwnicy. Lottie potrząsnęła głową.
- Nie, nie, nie.
- Posłuchaj mnie. On nie ma dokąd pójść. Ukrywa się przed nazistami już dwa lata. Jeśli go wyrzucimy, zginie.

Do mózgu Lottie wdarła się myśl nagła i straszna, jak pociąg płonący na stacji.

- Zginie? O n zginie? A co z nami? My też zginie, jeśli on tu zostanie. - Nie.

- Tak! Musi sobie pójść. I to zaraz!
- Nie. Jest tu już miesiąc. I zostanie. Do końca.
- Miesiąc! I ty...

Lottie zerwała się z kanapy. Pobieгла korytarzem do drzwi piwnicznych. Wtedy po raz pierwszy ujrziała w wyobraźni demona, który się tam ukrywał. Przemówiła do drzwi jak egzorcysta:

- Słuchaj. Słyszysz mnie? Musisz odejść. Nie możemy cię tu przechowywać. Wynoś się!

Za drzwiami nadal panowała cisza. Lottie bała się dotknąć gałki, bała się, co może zobaczyć, gdy ją przekreśli - coś wilgotnego i białego. Żyda w ciemności, Żyda, który położył się cieniem na jej życiu.

Ujęła gałkę.

Freya zatrzymała ją, kładąc rękę na jej dłoni. Uścisk palców matki był zaskakująco silny. Mówiła spokojnie, nie jak matka, ale opiekunka - stanowczo i z przekonaniem.

- Odejdź od tych drzwi, Lottie.

Choć Lottie ma silne ręce, Freya oderwała jej palce od gałki. Chwyliła córkę za łokieć i odprowadziła z powrotem na kanapę. Sprężyny jęknęły, gdy obie usiadły. - *Mutti*.

- Nie ma mowy.

- Czy zdajesz sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie nas narażasz? - Tak.

Lottie uważała jednak, że musi matce wytłumaczyć, bo przecież Freya nie zrobiłaby czegoś takiego, gdyby rozumiała sytuację.

- Jeśli nas złapią, zostaniemy rozstrzelane. Tu, zaraz, na ulicy, przed domem. SS nas zastrzeli, *Mutti*.

- A co zrobisz z nim, gdy wpadnie w ich ręce?

- Nie wiem.

Freya była wstrząśnięta. Pokiwała głową surowo, niemal przerażona.

- To najstraszniejsza odpowiedź ze wszystkich.

Lottie wstała. Chciała spojrzeć na matkę z góry, by zademonstrować swą wyższość.

- *Mutti*. Nie jesteśmy bohaterkami. Freya również wstała.

- Nie jesteśmy też potworami. Dziś w Berlinie i w całych Niemczech wszystko do tego właśnie się sprowadza. Każdy Niemiec musi dokonać wyboru. Nic nie wiedzieć, nic nie robić. Albo działać. Być potworem albo bohaterem. Dopóki wojna się nie skończy, cały świat będzie musiał opowiedzieć się po którejś ze stron.

Freya przyłożyła dłonie do ust. Stała z uniesioną głową.

- Lottie, *Liebchen*, wzięłam to ryzyko na siebie. Nie wiedziałam, że wprowadzisz się do mnie. Mieszkasz tu teraz i oczywiście jesteś mile widziana. Ale ja już zdecydowałam. Ty też musisz dokonać wyboru.

Kłótnie trwały całe dni. Lottie chciała wiedzieć, jak żywią trzecią osobę, skoro jedzenia ledwie starcza na dwie. Kartki żywnościowe tracą na wartości, zapasy rządowe się kończą. Tych parę pozostałych jeszcze sklepów spłonę na

skutek bombardowań. A obie mają za mało pieniędzy, żeby robić zakupy na czarnym rynku.

Kto jeszcze wie o tym Żydzie? Czy *Mutti* będzie trzymać to w sekrecie i nic nie powie przyjacielom, nie zechce się pochwalić, jaka to jest szlachetna, jaka odważna? Czy ktoś ze znajomych nie wyda ich obu za dodatkowy przydział koniny?

Czy temu Żydowi można w ogóle zaufać? Skąd wiadomo, że nie jest szpiegiem, który tylko czeka, by zadenuncjować ją i jakieś wymaginowane kółko konspiracyjne?

Jak długo dotrzyma słowa i będzie siedział cicho? Może przecież zacząć wariować w tej wilgotnej piwnicy i pójść sobie na spacer. Wtedy będzie po nich.

A co jeśli dom zostanie zbombardowany i znajdą go w piwnicy jęczącego: „Zabierzcie mnie stąd, zabierzcie”? Uratują go, a potem zastrzelą. A razem z nim Lottie i *Mutti*. To przecież Żyd!

Jak można dawać nieznanemu taką władzę nad nimi obiema?

Freya nie ustąpiła. Lottie poddała się wreszcie. Musiała. Nie miała dokąd pójść. Zupełnie jak ten Żyd. Są uwięzieni w domu *Mutti* - oboje. Ale Lottie. uwięziona czy nie, nie pogodziła się z jego obecnością.

Przechodzą ją ciarki, gdy uświadamia sobie, że on tam siedzi na szczycie schodów. Słucha, czeka, żeby ktoś wszedł, żeby pochwycić słowo czy dwa zza drzwi. Pewnie tkwi tam nawet wtedy, gdy dom jest pusty. Co to może być za istota, że znosi taką ciemność, ciszę, nienawiść, zagrożenie, podejrzliwość, strach? Ten Żyd ją przeraża z powodu władzy, jaką ma nad jej życiem, i z powodu siły, która pozwala mu wytrzymać to wszystko.

W nocy budzą ją ze snu koszmary. Patrzy wtedy przez chłodny mrok na drzwi pokoju. On tam jest, w piwnicy, przyczajony na najwyższym stopniu. Te złe sny to jego sprawka. Lottie boi się, że mężczyzna zakradnie się tu i dotknie jej, gdy będzie spała, że kiedy się obudzi, zobaczy go nad sobą.

Mutti mówi, że to wspaniały człowiek. Nauczyciel historii, zna najrozmaitsze opowieści. Jego własna historia jest przerażająca. Gdyby Lottie pozwoliła mu ją opowiedzieć, przekonałaby się, że nie można mu nie pomóc. Jest zupełnie sam. Cały jego naród, jego bliscy... to straszne, potworne.

Żyd szanuje wolę Lottie: od dwóch tygodni, odkąd zamieszkała u matki, ani razu nie dał jej okazji, by go zobaczyła lub usłyszała. Nigdy wprost nie postawiła takiego warunku, ale też nie odezwała się do niego ani słowem od chwili, gdy zażądała, żeby się wyniósł. On jednak usłyszał jej rozmowę z matką. Dla Lottie bywa więc czasem nierealny. Jakby był tylko wytworem fantazji *Mutti*, która chciałaby uchodzić za tak odważną, by pomagać Żydom.

Lottie nie wie, co on robi, gdy nie ma jej w domu. Wychodzi z piwnicy i pije z *Mutti* herbatę? Gawędzą, siedząc na kanapie? Nie, na pewno pozostaje

w ukryciu. Gdyby przypadkiem wpadł ktoś z sąsiadów, gdyby kotara od ulicy była odsłonięta... Konsekwencje nawet drobnej nieostrożności byłyby okropne.

Lottie przygląda się, jak matka stawia garnek na gazie. Pryska z niego tłuszcz. Żyd za drzwiami czuje pewnie zapach jedzenia. Lottie nie może pozostać w domu, nie może znieść ponurego nastroju i napięcia. Nie wytrzyma już ani chwili dłużej! Jak ten Żyd może tam siedzieć dzień po dniu, całe tygodnie, bez światła, w takiej ciszy? Czy człowiek może żyć jak szczur? Miałaby ochotę kopnąć nogą w drzwi, żeby podskoczył ze strachu, stoczył się po schodach.

Z założonymi na piersi rękami odwraca się w drzwiach kuchni. Ucieka jak najdalej do saloniku od frontu. Podchodzi do sofy i siada z rozmachem. Cicho tu, kuchnia została daleko. Pokoje w domu *Mutti* są wąskie, jest ich sporo. To dwupiętrowy budynek w szeregowej zabudowie, obłożony szarym kamieniem. Gotycka fasada została uszkodzona przez szrapnele, niektóre okna wypadły. Ale Freya i tak miała dużo szczęścia podczas bombardowań. A także u lokalnych władz: można by tu zakwaterować jeszcze ze trzy rodziny.

Lottie podchodzi do futerału z wiolonczelą. Wyjmuje instrument, błyszczący i szlachetny w swej starości. Stawia krzesło na środku pokoju, opiera wiolonczelę między kolanami. Obejmuje ją, przykłada głowę do chłodnego drewna. Galiano jest niewinny, myśli, i doskonały. Żyją w nim tylko melodie mistrzów. Lottie wie, jak go pieścić, żeby wydobyć je z niego, tę muzykę, tchnienie wiolonczeli. Jak się tu znaleźliśmy? Ty i ja w tym okropnym miejscu, w tych okropnych czasach? Wstyd jej, że galiano - dwustuletni instrument, który śmiał się i łkał na scenach Wiednia, Rzymu, Paryża, Londynu, który widział czasy bogactwa i honoru - musiał znaleźć się dziś w Berlinie.

Unosi głowę. Zerka w stronę kuchni, ku swej odważnej matce zajętej gotowaniem. Potem spogląda na drzwi do piwnicy, za którymi nie znany jej gatunek człowieka odsiaduje wyrok.

Dobra, wy dwoje, myśli, no to teraz posłuchajcie. Tylko to mogę zrobić.

Skłania głowę, przemyka powieki. Pograża się w sobie, ucieka tam, gdzie z wyciągniętymi ramionami czeka muzyka, jak dziecko, które chce, by wzięto je na ręce. Powoli przeciąga smyczkiem po strunach. Rozbrzmiewają pierwsze tony. To Koncert wiolonczelowy Schumanna w tonacji A-moll. Ukochany utwór Lottie. Grała go setki razy. Pewnego dnia wystąpi z nim przed zespołem Filharmonii Berlińskiej i zachwyci publiczność. W wyobraźni widzi ją przed sobą.

Jej gra dorównuje dziełu. To nie próba, występ w zaciszu domowym, ale prawdziwy koncert. Jej *vibrato*, dźwięki wydobywane pociągnięciami smyczka wypełniłyby Beethovensaal aż po sklepienie. Unosi podbródek, jej głowa kołysze się w lewo i w prawo, wiolonczela hipnotyzuje ją. Spod przymrużonych powiek widzi matkę, która staje w drzwiach.

Utwór ma wiele taktów, obejmuje niskie tony wiolonczeli, przypominające płacz ojca. Potem zamienia się w lament matki, o wysokich tonach i przechodzi w gwałtowny szloch i szybkie uderzenia pięści. Lottie poddaje się bólowi i egoizmowi swojego geniuszu. Pokonuje pasaże i kaskady. Zapomina o wszystkim, istnieje dla niej tylko wiolonczela i cel tego występu - grać z siłą równą sile Żyda i taką samą dumą, jaką demonstruje *Mutti*.

Wysłuchuje się we własną grę. Wie, że jest zniewalająca. Wiolonczela to pudełko na kosztowności, które otwiera, utwór Schumanna - to jej klucz. Nie chowa niczego w pudle instrumentu, wydobywa z niego wszystkie skarby, żeby matka i ten Żyd mogli je podziwiać.

Kiedy kończy, zamyka oczy. Wdzięcznym, efektownym gestem opuszcza smyczek. W wyobraźni stoi przed oklaskującą ją publicznością w sali koncertowej. Podnosi głowę i widzi Freyę, która klaszcze ze ściereczką przewieszoną przez ramię. Ma zaczerwienione oczy.

- Brawo, dziecko. Brawo - mówi. Zdejmuje ściereczkę, by otrzeć oczy. Oklaski nie milkną.

Dochodzą gdzieś daleko z korytarza. Z piwnicy.

Freya uśmiecha się promiennie do córki, ale za chwilę odwraca się i robi kilka kroków w stronę jadalni.

- Mówiłam ci, że pięknie gra! Prawda?! - woła.

Wciąż słysząc oklaski, stłumione przez odległość i ściany. Lottie chciałyby, żeby się skończyły. Tak nie wolno, to pogwałcenie zasad. On nie może się stać realny. Taką mają umowę! A tymczasem on klaszcze. Jest tam. Odzywa się do niej.

Freya wraca do saloniku. Jest wzruszona.

- *Liebchen*, to było wspaniałe. Grałaś dla mnie?

Lottie pakuje wiolonczelę i smyczek do futerału. Oklaski nie ustają. On tam jest. Żyd w ich domu.

- Nie.

- Cóż. - Freya składa ściereczkę. - Więc była to próba. Cudowna. Niech on przestanie, myśli Lottie. To śmieszne.

Freya ruchem głowy wskazuje piwnicę.

- Posłuchaj go.

- Muszę się przygotować. Mam koncert o czwartej.

- Nie wiedziałam. Będziecie grać Schumanna?

Głupie pytanie. Głupia ta matka.

- Nie.

Klaskanie milknie.

Freya stoi wciąż w pokoju, gdy Lottie chowa wiolonczelę. Dziewczyna odstawia krzesło i kieruje się ku schodom. Freya zatrzymuje ją.

- *Liebchen*.

- Tak.

- Dziękuję ci. Widzisz, ile to dla niego znaczy.

Lottie wyobraża sobie nauczyciela historii siedzącego w ciemności na schodach. Pewnie też się rozplakał.

Zła, idzie na górę po schodach. Zachowała się egoistycznie. Zrobiła okropną rzecz. Grała najlepiej, jak potrafi, aby ich poniżyć, pokazać im, że ich przewyższa. Tylu ludzi cierpi, każdy mieszkaniec Berlina. Miliony zachowują się bohatersko. Ale ilu ma taki talent jak Lottie? Zaledwie garstka na całym świecie.

A *Mutti* uznała przejaw próżności Lottie za szlachetny gest. Egoizm przemieniła we wspianałomyślność. Żyd klaskał jeszcze całą minutę po tym, jak skończyła grać. W żaloszny sposób wyraził swoje uznanie. Obydwoje ukradli jej muzykę. Rozczulili się i zinterpretowali jej zachowanie tak, jak im było wygodnie. Dopasowali je do swoich celów, by poczuć kolejny raz, jacy są wyjątkowi, lepsi od innych.

Lottie przebiera się w smoking i upina włosy. Dwadzieścia minut później schodzi na dół. Wiolonczela stoi przy drzwiach, obok papierowej torby, w którą Freya zapakowała kanapki z salami. Lottie wkłada płaszcz i nie żegnając się, zabiera obie te rzeczy.

Przed drugą zjawia się w Beethovensaal. Dziś w programie koncertu jest Mozart i Schubert. W utworach Schuberta są duże partie na wiolonczelę. Przed budynkiem stoi kolejka. Wstęp na popołudniowe koncerty jest bezpłatny, ale liczba miejsc dla publiczności ograniczona. Całe sektory rezerwuje się dla wysokich funkcjonariuszy nazistowskich i dla żołnierzy. Kiedy po występie zapalają się światła i Lottie wraz z muzykami podnosi głowę, widzi morze czarnych mundurów, poprzecinane białymi grzywami bandaży. Czasami nie ma prądu; widzów wyprowadza się wtedy przy świetle latarek.

Za kulisami panuje ożywienie. Filharmonicy zastanawiają się nad swoim dalszym losem, to główny temat ich rozmów. Lottie nie bierze w nich udziału; jest kobietą i tylko tymczasowym członkiem orkiestry.

Muzycy zbierają się w grupki pięcio-, dziesięcioosobowe i dyskutują. Co się z nimi stanie? Czy zostaną wcieleni do Volkssturmu? Czy Speer zrobi coś w tej sprawie? Czy Goebbels naprawdę rzuci ich na pożarcie po tym wszystkim, co zrobili dla Berlina? Lottie siedzi sama, plecami do ściany, rzuca spojrzenia na prawo i lewo. Oboista zdobył czarnorynkowy chleb, podaje jakiś adres. Waltornista widział belgijskiego robotnika, którego zabiła spadająca belka. Inny członek zespołu stracił dach nad głową, bo jego dom został zbombardowany. Okazuje się, że wliczając także nieszczęście Lottie, kwartet smyczkowy ucierpiał najbardziej. Wszyscy mają jeden cel: chcą przeżyć, każdy z osobna i razem jako orkiestra. Ktoś w sekcji instrumentów perkusyjnych

słuchał rozgłośni alianckich. Grozi za to śmierć, więc mówi szeptem, choć jest w gronie ludzi, którym może ufać. Opowiada, że Amerykanie i Brytyjczycy są już nad Roer i kiedy przekroczą rzekę, ruszą w stronę Renu. Zamierzają zdobyć Berlin. Mężczyzna wyraża przypuszczenie, że Niemcy złożą broń i przyjmą ich jak przyjaciół. Potem połączą swoje siły i zajmą się tymi cholernymi Ruskami. Słyszy to waltornista. Kręci głową.

- Rosjanie będą tu pierwsi - mówi. - Są tylko osiemdziesiąt kilometrów stąd.

Jest to smutny, otyły starszy pan, wciąż opowiada jakieś straszne historie i sieje defetystyczne wieści. Lottie woli unikać tych ludzi.

- Rosjanie to nieokrzeseane dzikusy - twierdzi mężczyzna.

Słyszał takie rzeczy, ale ciii... Lepiej nie wiedzieć. Można usłyszeć o jeszcze gorszych sprawach. A im bliżej do Berlina, tym bardziej stają się zawzięci i już zupełnie tracą panowanie nad sobą.

- Biada temu miastu - mówi trębacz.

Odpowiada mu waltornista:

- Och, miasto jakoś przetrwa. Musimy się tylko przyczaić i przeczekać. Ale te biedne kobiety!

Kilku z nich kieruje spojrzenie ku Lottie. Są zaskoczeni, że na nich patrzy. Speszeni, skupiają się znowu w swoim kółku i ścisząją głosy. Lottie słyszy kolejne „ciii...”

Dzisiejszy występ jest marny. Wizja hord radzieckich, gromadzących się na granicy z Polską, wprawia w przygnębiający nastrój cały zespół. Furtwangler wyjechał. Do jego powrotu dyrygentem będzie Robert Heger. Wydaje się, że myśli o czymś innym, kiedy tak macha batutą - dżokej na narowistym koniu. Heger popędza orkiestrę, ona jednak nie nadaża. Mozart zostaje okaleczony. Lottie nie może wykrzesać z siebie więcej zapału, nawet gdy gra Schuberta. Ale po koncercie w sali rozlegają się oklaski. Heger opuszcza ręce, odwraca się i kłania. Jest niezadowolony, z trudem ukrywa złość. Orkiestra wstaje i również pochyla się w ukłonie. Zdaniem Lottie, wyglądają, jakby kładli głowy pod gilotynę.

Zapalają się światła. Muzycy schodzą ze sceny, szurając nogami. Do Lottie docierają ciche przekleństwa mężczyzn. Odsuwane są krzesła, na deski sceny upadają kartki z nutami. Lottie zostaje na miejscu, patrzy w głąb sali koncertowej, gdzie za ostatnim rzędem foteli berlińczycy gromadzą się przy wyjściu. Kolejka po prawej stronie posuwa się wolno. Kilku żołnierzy wspartych na kulach stara się iść tak szybko, jak tylko mogą. Ludzie za nimi czekają cierpliwie.

Kolejka z lewej również nie posuwa się sprawnie. Coś się tam dzieje. Przy obu przejściach dwaj mężczyźni w mundurach wydają jakieś przedmioty

z koszyków. Lottie odkłada wiolonczelę. Idzie do bocznych schodków i opuszcza scenę.

Przy końcu kolejki po prawej stronie pustoszejącej sali dwoje starszych ludzi zwraca się do Lottie z paroma komplementami. Ona nie komentuje występu i tylko dziękuje za uznanie. Gratulują jej. Nie zauważyli ze swoich miejsc, że jest kobietą. Lottie wyjaśnia, że będzie grała w zespole tylko do końca wojny.

Zbliżając się do wyjścia, rozpoznaje sylwetki w mundurach. To chłopcy z Hitlerjugend. Z odległości dziewięciu metrów widzi błękit ich oczu. Paramilitarny strój wygląda groźnie. Ciemne skórzane naszywki i ostro zaprasowane kanty spodni nie pasują do czternasto-, piętnastolatków.

Lottie w kolejce powoli zbliża się do chłopców. Osoby przed nią sięgają do koszyków i szybko odchodzą. Nie zatrzymują się i patrząc na to, co dostali, stają jak zahipnotyzowani, póki ktoś za nimi ich nie szturchnie, wtedy dopiero odchodzą oszołomieni. Nikt nic nie mówi. Chłopcy z Hitlerjugend też się nie odzywają. Patrzą każdemu w oczy. Te dźwięki są śmiertelnie poważne, mają twarze jak z kamienia.

Starsi państwo przed Lottie dochodzą do końca foyer i zanurzają ręce w koszyku. Nie mogą oderwać wzroku od tego, co tam widzą. Potem oboje spoglądają sobie w oczy. To, jak na siebie patrzą, mówi wszystko o ich życiu. Pięćdziesiąt wspólnie spędzonych lat, a może więcej. Mąż i żona, myśli Lottie. W ich bliźniaczo podobnych twarzach jest miłość, troska o dzieci, lojalność. Mężczyzna wkłada rękę do koszyka i wyjmuje dwie paczuski.

Lottie robi krok do przodu. Widzi koszyk przed sobą.

W środku są kapsułki w plastikowych torebeczkach z plakietką.

Cyjanek.

Lottie wstrzymuje oddech. Serce w niej zamiera.

Boże drogi...

Więc to jest cała ochrona przed Rosjanami, jaką Hitler może dać Niemcom na zakończenie tego wszystkiego? Koszyki z trucizną - usankcjonowane przez rząd samobójstwo. Służby porządkowe złożone ze staruszków i wystraszonych muzyków. Miasta w ruinach. Chłopcy o martwych twarzach. Ich ręce podsuwające koszyki są drobniejsze niż dłonie Lottie.

Czuje odrazę. Żaden z tych chłopców ani drgnie, są jak manekiny.

Żyd w piwnicy jest realny. Rosjanie są realni. Cyjanek jest realny.

Więc tak to wygląda.

Traci równowagę. Żaden ze stojących jak posągi chłopców nie rusza się, by ją podtrzymać. Uginają się pod nią kolana. Chwyta się poślaczanej framugi drzwi. Sala wiruje. Lottie ma wrażenie, że zaraz zwymiotuje.

Jeden z chłopców mówi:

- Nie możemy pani pomóc, *Fraulein*.

Lottie unosi głowę, przewyciężając falę mdłości. Patrzy na ich twarze, ale nie wie, który z nich to powiedział. Wsuwa rękę do koszyka. Białe torebeczki pod jej palcami są miękkie. Wyczuwa jedną z pigułek. Taka mała, a taka potężna. Wrzuca ją Żydowi do jedzenia. To załatwi przynajmniej jeden problem.

Sięga głębiej. Tabletki przesypują się między jej palcami. Wydają się łagodne i skuteczne. Obiecują: nie zawiedzimy cię. Zaufaj nam, bo nie masz nikogo poza nami. Tylko my w twoim świecie dotrzemy słowa. Weź mnie. Mnie! Nie, weź mnie!

Lottie chwilę się waha.

Nie otruje Żyda. Może żyć sobie w piwnicy jak szczur, ale ona go nie otruje.

Jej ręka wciąż jest zanurzona w koszyku z pigułkami, które ocierają się o palce jak piskorze.

Dokonuje wyboru. Ty. Moja mała przyjaciółko, ty jesteś dla mnie.

Wybiera następną. I ty. Ciebie też wezmę.

Dla *Mutti*.

Przyjdą po nią - gestapo czy Rosjanie, jedni albo drudzy.

To wszystko dzieje się naprawdę.

22 lutego 1945, godzina 11.10

Okolice Jülich, miejsce stacjonowania 9 Armii

Zachodni brzeg Roer,

Niemcy

Bandy nigdy nie lubił nocnych operacji wojskowych. W ciemnościach nie można robić zdjęć.

Przysuwa do siebie latarkę. Nie ze względu na światło, ale dla jej ciepła. Powietrze jest zimne i wilgotne, nawet tu, w namiocie. Bandy rozgląda się: prycza, stolik i krzesło, koce, czasopisma. W ciągu ostatnich dziesięciu dni żyło mu się nie najgorzej, nigdzie się stąd nie ruszał. Ale po południu cały ten majdan zostanie zwinięty, przeniesiony na drugą stronę rzeki i przydzielony komuś innemu. Bandy nie ma już ochoty nocować w namiotach. Chciałby ruszyć w drogę do Berlina, jak wszyscy w amerykańskiej 9 Armii. Chciałby spać na przednim fotelu ciężarówki jadącej niemiecką autostradą. W zeszłym tygodniu nie wysłał ani jednego zdjęcia do Nowego Jorku. Bo co miałby fotografować - oczekiwanie? Ale mimo wszystko instynkt mówi mu, że jest we właściwym miejscu.

Na całej długiej linii frontu Ike'a, zarówno Bradley znajdujący się pośrodku, jak i Patton po stronie południowej, napotykały twarde opór w drodze nad Ren. Gdy przekroczą rzekę, staną wobec zmasowanych sił niemieckich zgromadzonych na Zachodzie. Krążą poza tym pogłoski, że Hitler planuje ucieczkę z Berlina w kierunku południowym, w górskie rejony Bawarii, Austrii i Włoch. Podobno zamierza się schronić w jakimś bastionie - Orlim Gnieździe, wyposażonym w mikrofon i radiostację, i stamtąd dowodzić oddziałami nazistowskich maniaków, którzy będą prowadzić wojnę partyzancką w górach. Jeśli Hitler rzeczywiście tam się dostanie, potrzeba będzie miliona ludzi, żeby go dopaść. To byłoby jak w Hürtgen - tylko trzy razy gorzej. Ike musi więc także powstrzymać nieprzyjacielskie oddziały, które kierowałyby się na południe. Natomiast tu, na północy, Monty'emu nie grożą żadne niespodzianki ze strony wrogów. Interesuje go wyłącznie Berlin i gdy tylko przekroczy Ren, będzie miał przed sobą prostą drogę do celu. 9 Armia wciąż pozostaje pod jego dowództwem, Eisenhower pozwolił mu ją zatrzymać. Zdaniem Bandy'ego, to właśnie te amerykańskie siły, popędzane przez Montgomery'ego i Churchilla, dotrą do Berlina jako pierwsze.

Początek operacji wyznaczono na drugą czterdzieści pięć. Bandy postanowił napisać list do Victorii. Kto wie, kiedy znowu będzie miał czas i okazję, by to zrobić. Jak wszyscy żołnierze, w kieszeni na piersi nosi list pożegnalny. Jest na wojnie już trzeci rok. W całej swojej wojennej karierze pięć razy żegnał się w taki sposób z Victorią.

Jej ostatni list był jedną wielką skargą. Za każdym razem, gdy siada do pisania, jest coraz bardziej rozdrażniona. Kiedy wracasz do domu? Jestem na ciebie tak wściekła, że jeśli nie zabiją cię Szwaby, ja to zrobię. I tak dalej. Nigdy nie była aż tak zła, gdy przebywał poza domem. Co się stało?

Siedząc na pryczy, długo trzyma pióro tuż nad kartką. Co ma napisać? Droga Vic, nie żałuję, że tu jestem. Nie żałuję, że jestem, kim jestem, i że znalazłem się tu, gdzie się znalazłem. Nie żałuję, że przeze mnie możesz zostać wdową, bo robię zdjęcia ludziom, którzy sprawiają jeszcze większy ból swoim kobietom. Jak może napisać coś takiego?

Pochyliła czoło nad otwartą dłońią i myśli: nie mów jej tego. Pióro czeka na rozkazy. Jest gotowe.

A więc pisze:

Najdroższa Victorio!

Cześć, laleczko. Znowu jestem w środku czegoś. Tym razem nad rzeką Roer, z jedną z dywizji 9 Armii. To jakieś dziesięć tysięcy ludzi. Tej nocy przepławiamy się na drugi brzeg. A raczej, oni się przepławiają. Ja czekam do rana.

„Life” dał mi sporo miejsca na Hürtgen, prawda? Okropnie się tam czułem. Ale oczywiście ci żołnierze czuli się gorzej.

Gdy z 1 Armią przebrnąłem przez las, znalazłem się tu, na północy, żeby przedostać się z Dziewiątką na drugą stronę Roer. Ale dwa tygodnie temu Niemcy wysadzili tamy na rzece, więc utknęliśmy tu, czekając, aż opadną wody. Co za cholerny los! W tym czasie ludzie ćwiczyli przeprawę przez rzekę. Mieliśmy też wizytę jakichś grubych ryb, pełna gala. Pokazało się też paru korespondentów. Porobili notatki, przyrzekli się, jak strzela artyleria, a potem zwiiali jak zwykle na tyły, żeby napisać „reportaż z linii frontu”. Był wśród nich papa Hemingway. Wszyscy robili wokół niego ogromnie dużo zamieszania. A przecież ja siedzę tu cały czas. No, ale „nikt nie jest prorokiem we własnym kraju...”

Przy odrobinie szczęścia, w przyszłym tygodniu może napiszę już ze wschodniego brzegu Renu. A potem prosto na Berlin. Zamierzam się dowiedzieć, która z jednostek będzie miała największe szanse, żeby dotrzeć tam jako pierwsza, i przyłączyć się do niej. Tak będzie najlepiej, Via Mam rację? „Charles Bandy - z Berlina”. Widzisz to? Wiem, że ci ciężko, ale już niedługo. Jesteśmy blisko, wszyscy to czują.

Bandy już słyszy odpowiedź żony. Nie chce się z nią kłócić. Pisze coś pojednawczego.

Posłuchaj. Przysięgam: kiedy to się skończy, już zawsze będę w domu. Tylko ty i ja, tytoń, dzieci i jakieś zlecenia w pobliżu, żebyś nie siedział beczynnienie.

Prawie wszystko to kłamstwa. Wszystko, oprócz dzieci. Chciałby wymazać ostatnie zdania, ale list będzie wyglądał brzydko. A Victoria pomyśli sobie, że napisał coś jeszcze gorszego. Bo mógł napisać gorsze rzeczy. Drobne kłamstwa to nic złego. Gdyby stanął z nią twarzą w twarz, powiedziałby coś, cokolwiek, żeby poczuła się lepiej, żeby jakoś sobie z tym poradziła.

Ale Bandy nie odejdzie z „Life’u”. Nie odejdzie, dopóki na świecie będzie tworzyć się Historia, a to dzieje się każdego dnia. Po tej wojnie znów wybuchnie gdzieś nowy konflikt, mniejszy czy większy. Ludzkość zna tylko jeden sposób współistnienia i zawsze polega on na wzajemnym okaleczaniu się. Victoria uczy dzieci w szkole o tym, co Bandy fotografuje i będzie fotografował. Jak mógłby z tego zrezygnować? Dlaczego ona tego nie rozumie? To zawsze jest ważniejsze niż pojedynczy człowiek, mężczyzna czy kobieta. Inaczej nie byłoby Historią.

Kłamstwa są jak ciosy, najskuteczniej działają w serii.

To potrwa jeszcze tylko parę tygodni, Vic, może miesiąc. Niemcy dają nogę. Wszystko naprawdę szybko się skończy i będziesz mogła przekazać mi berło. W porządku?

Kolejne kłamstwo. Hitler nie zamierza poddać się aliantom, nie ma o tym mowy. Choć powinien. Nie wiadomo, dlaczego ten pokurcz tak zażarcie walczy z Amerykanami i Brytyjczykami. Wszystkie działa aliantów są wymierzone w ziemię niemiecką. Niemieckie miasta i miasteczka płoną. Kraj jest niszczone, a żołnierze, ludność cywilna, nawet nastoletni chłopcy bronią się w sposób fanatyczny. To nie ma sensu. Po co to robią? Już i tak zostali pokonani. Bandy słyszał trzy wyjaśnienia. Pierwsze - to bastion narodowy w Alpach. Hitler chce zyskać na czasie, żeby

go przygotować. Drugie - Führer myśli, że może jeszcze sprawić aliantom krwawą łaźnię, jak w bitwie o wyrzuczenie, że Zachód zawrze z nim pokój i sprzymierzy się z nazistami przeciwko czerwonym, co oczywiście nigdy nie nastąpi. Nikt tego nie chce, od Roosevelta począwszy. I ostatnie wyjaśnienie - Niemcy śmiertelnie się boją, że będą musieli zapłacić za wszystko, czego dopuścili się w Europie. Jeśli będą walczyć do końca, alianci być może złagodzą warunki, żeby już zakończyć tę wojnę, i nie będą żądali bezwarunkowej kapitulacji. To także jest niemożliwe. Nie po tym wszystkim, co podobno działo się w Rosji i Polsce, i co Bandy sam widział, gdy rejestrował tworzącą się na jego oczach Historię. Będą musieli za to zapłacić. Na zewnątrz z rykiem przejeżdża konwój. Namiot drży. Bandy odsuwa płachtę, która zasłania wejście. Ciężarówki wiozą łodzie ważące po dwieście kilogramów, kierując się ku rzece.

Muszę już kończyć. Jeśli wszystko się ułoży, następnym razem napiszę do ciebie ze wschodniego brzegu Renu. Kocham cię. Jak zawsze. I wszędzie.

Charley

Wkłada list do koperty. Zabiera torbę z aparatami, pakuje dodatkowy koc. Zatrzymuje jedną z ciężarówek i jedzie na brzeg rzeki, zostawiając kierowcy list do wysłania.

Nad rzeką otwierane są wielkie stalowe kanistry zamontowane na platformach ciężarówek. Unoszą się z nich kłęby oleistego dymu, który ściela się nad wodą i zasłania żołnierzy wojsk inżynieryjnych, pracujących przy łodziach. Po opadnięciu wód powstał na brzegu prawie pięćdziesięciometrowy pas grząskiej, błotnistej mazi. Bandy przygląda się żołnierzom kursującym nad rzekę i z powrotem. Żałuje, że nie dzieje się to w dzień, zrobiłby im zdjęcie. Są pokryci błotem od stóp do głów, z ich ubrań unosi się para. Gdy wylaniają się z mgły, przypominają jakieś potwory z moczarów. Cała 9 Armia przygotowuje się do zmagania z rzeką i zwałami ziemi. Olbrzymie ciężarówki ciągną dźwigary i pontony, które posłużą do budowy mostów, gdy na wschodnim brzegu zostanie zdobyty przyczółek. Na polanach czekają już przyczajone dziesiątki kompanii szturmowych. Żołnierze hałasują jak cykady w nocy - podzwaniają bronią, hełmami, modlą się, gawędzą. Bandy wie, że tej nocy na trzydziestodwukilometrowym froncie wzdłuż Roer w dziesiątkach innych miejsc odbywa się podobna krzątanina. Przed świtem dziesięć tysięcy ludzi rozpocznie przeprawę na drugi brzeg. W ciągu następnych dni ich śladem pójdzie dalszych czterysta tysięcy.

Co ich czeka? Po pierwsze, będą musieli pokonać naturalne przeszkody. Rzeka osiąga głębokość trzydziestu metrów, są w niej silne prądy, a woda jest bardzo zimna. Po wylądowaniu na przeciwległym brzegu żołnierze nie będą mieli osłony na odcinku trzystu metrów - podmokłym i błotnistym. Jeszcze

większe zagrożenie stanowią sztuczne przeszkody, porównywalne z tymi, na które alianci natknęli się na normandzkich plażach. Sama rzeka i jej brzegi są zaminowane. Niemcy rozciągnęli w wodzie cienkie stalowe druty, wykopali i wzmocnili okopy, przygotowali pola minowe i stanowiska ogniowe - wróg jest gotowy do walki na śmierć i życie. Celem natarcia będzie Jülich, czterdziestotysięczne miasteczko położone na niewielkim wzgórzu za rzeką. A stamtąd ruszą na wschód w kierunku Renu.

Przez dwie godziny Bandy kręci się samotnie. Wędruje między grzejącymi silnikami ciężarówkami, pośród nawołujących się ludzi, milczących grupek żołnierzy i gór sprzętu. Wszystko - te miliony ton i nadzieje tylu ludzi na życie w wolności, odpowiedzialność przed Historią - spoczywa na barkach zebranych tu żołnierzy. Bandy czuje w powietrzu nie tylko chwałę, która ich spotka, ale i wszystkie potworności, których doświadcza. Chodzi między tymi chłopcami, chciałby każdego z nich dotknąć, utrwalić ich twarze i życiorysy, aby nie odeszły w niepamięć. Ale jest noc, nie jego pora. To niesprawiedliwe, myśli. Podobna myśl nachodziła go czasami na farmie, gdy czuł się nieznanym człowiekiem, jak ci, bezimienni żołnierze.

O drugiej trzydzięci przygotowania dobiegają końca. Światła ciężarówek gasną. Ludzie stają przy łodziach na brzegu, oficerowie kończą wydawać rozkazy. Żołnierze oddziałów inżynieryjnych idą się przebrać w suche ubrania. Bandy wchodzi w oazę ciepła pod plandeką ciężarówki. Spogląda poprzez pas błota w stronę niewidocznej rzeki.

Dokładnie o wyznaczonej porze, o drugiej czterdzięci pięć, na całej długości frontu ciemności rozdziera ostrzał artyleryjski. Noc raz po raz rozświetlają błyski, jakby jakiś łobuziak włączał i wyłączał światło. Bandy, zapalając papierosa, obserwuje przeciwny brzeg rzeki, na którym wśród dymu co chwilę wyrasta grzyb i zamienia się w kręgi ognia. Huk wystrzałów, niesiony echem nad szerokim pasem wody, uderza go w pierś.

Wielkie działa wściekle walą w Niemców przez czterdzięci pięć minut, zabijając ich, ogłuszając, wypędzając z kryjówek. Brzeg i półtorakilometrowy pas ziemi za nim zalewa deszcz pocisków ze stanowisk artylerii rozlokowanych wzdłuż całej rzeki. Bandy szuka w pamięci, ale nie może sobie przypomnieć równie silnego ostrzału. Nocne bombardowania są szczególnie przerażające. Każdy wybuch rozrywa błyskawicą ciemność, a ziemia drży jak rażona piorunem.

O trzeciej trzydzięci ostrzał artyleryjski zostaje zakończony. Bandy patrzy w mrok i ciszę, które zapadły jednocześnie. W oczach ma jeszcze błyski wybuchających pocisków. To była masakra. Przeciwny brzeg musi przypominać teraz powierzchnię Księżyca. Pierwsze kompanie szturmowe wchodzi do wody. Żołnierze oddziałów inżynieryjnych przeprowadzą na trzydziestu dwóch pontonach pierwszy rzut atakujących, a potem wrócą po następny.

Bandy niewiele może zobaczyć z platformy ciężarówki. Na rzece, we mgle, pełno jest już żołnierzy, którzy desperacko walczą ze strachem, mocno ściskając w rękach broń. Dla ilu z nich Roer stanie się Styksem? Ilu nie wróci do domu? Rzeka jest szeroka, prąd silny. Wróg czeka. Bandy czuje, że i jemu serce wali mocno, objijając się o schowany w kieszeni na piersi pożegnalny list do Victorii. Ten jeden jedyny list, który noszą przy sobie wszyscy idący na wojnę, a który nigdy nie powinien zostać wysłany do ich żon, do ich bliskich. Na to Uczą po cichu...

W ciągu następnych minut na drugim brzegu rzeki rozlegają się pierwsze strzały z broni ręcznej, zwiastujące początek bitwy. Raz po raz słychać stłumiony huk, jakby ktoś robił pranie nad wodą, używając kijanki - to wybuchają miny. Bandy wsłuchuje się w dobiegające dźwięki i wyobraża sobie rozgrywające się tam sceny, kadruje ujęcia. Ludzie brną przez błoto w stronę niemieckich linii, żołnierze padają, niektórzy zawracają, ziemię znaczą leje po bombach.

Bandy siedzi beczynn timer na ciężarówce albo kręci się na platformie - nie ma nic do roboty, dopóki nie wzejdzie słońce. Schodzi więc na ziemię, wyjmując koc i wsuwa się do kabiny kierowcy. Układa się w fotelu. Obicie cuchnie papierosami.

Kiedy budzi się cztery godziny później, przypomina sobie, że przed zaśnięciem myślał o tytoniu. Otwiera oczy. Coś mu się chyba śniło, ale nie pamięta co. To było dawno, tak dawno. Myśli o Victorii. Prostuje się, powracając do wojennej rzeczywistości.

Jeszcze zeszywniały wychodzi z kabiny ciężarówki. Zarzuca torby na ramię i kieruje się na brzeg. Żołnierze z jednostek inżynierskich zbudowali w nocy dwa mosty dla pieszych i uruchomili prom linowy. Oddziały szturmowe musiały się dobrze umocnić na przeciwległym brzegu i odepchnąć Niemców. Ludzie i sprzęt przepływają na drugą stronę rzeki. Na brzegach składane są pontony i potężne belki, z których powstanie most dla czołgów i ciężarówek. Żołnierze krzątają się jak mrówki, doglądają wszystkiego. Wydaje się, że podnoszą ciężary przekraczające wielokrotnie wagę ich własnego ciała.

Głodny i zmarznięty, Bandy przesuwa się w kolejce do przeprawy, zjadając w tym czasie swoją rację. O siódmej czterdzieści wchodzi na most, który chwije się atakowany silnym nurtem, połowę płyt zalała woda. Bandy przesuwa dłonie na poręczy linowej. Idąc, z trudem zachowuje równowagę. W oczach i nozdrzach czuje dym.

Po dziesięciu minutach jest dopiero w połowie drogi, boi się, że obsunie mu się ręka albo noga i wpadnie do wody. Jeśli aparaty zamokną, stanie się cywilem bez przydziału. Musiałby wtedy wrócić i wymienić sprzęt. A w tym czasie Berlin zostałaby już pewnie zdobyty. Porusza się więc ostrożnie. Za nim tworzy się kolejka, jakiś żołnierz woła, żeby się pospieszył. Mam was w dupie, myśli Bandy. Jestem od was wszystkich starszy o dobrych piętnaście lat.

Gdzieś z przodu poprzez mgłę dochodzi go plusk, ktoś klnie, głos niknie pod wodą. Bandy zaciska zęby.

Po obu stronach mostu zaczynają padać pociski. Widocznie Niemcy przegrupowali się, usadowili gdzieś wyżej w pobliżu miasteczka i teraz próbują zatrzymać Amerykanów przepływających się przez Roer. Z prawej i lewej strony wznoszą się słupy wody, zalewając ludzi forsujących rzekę. W jednej chwili Bandy jest cały mokry. Zimna woda wywołuje na całym ciele gęsią skórę. Aparaty w torbie są owinięte ceratą, nic im nie grozi, póki nie zostaną zanurzone w wodzie. Ostrzał jest dość chaotyczny, Niemcy niewiele widzą przez dym. Bandy z niedowierzaniem myśli, że zaledwie kilka minut temu zwyczajnie spał.

Resztę drogi pokonuje już w sześć minut. Zeskakuje z mostu na brzeg i grzęźnie po łydki w szlamie. Z ulgą zauważa, że wokół leży niewiele ciał. Atak musiał być skuteczny. Zabici spoczywają na wpół zanurzeni w błocie. Kojarzą mu się sceny z pierwszej wojny światowej - dym i błoto, biegnący ludzie, chciałby porobić trochę zdjęć. Ma jednak śliskie ręce, jest cały przemoczony i dookoła siebie nie widzi skrawka suchego miejsca. Woli nie wyjmować aparatów. Pochyla głowę w hołdzie zabitym i idzie do przodu, razem z innymi, którzy nie mogą się zatrzymać aż do Jülich.

Bandy z wysiłkiem stawia stopy w zagłębieniach pozostawionych przez żołnierzy przed nim. Żaden z nich nie przystaje, żeby strzelać. Niemcy opuścili lewy brzeg i wycofali się do miasteczka. Przez tyse drzewa widać już ulice, wieże, czerwone dachy. Im twardszy staje się grunt pod nogami, tym wyraźniej dochodzą Bandy'ego odgłosy walki. Nad rzeką słychać było tylko chłopot butów grzęznących w błocie. Za kępą zarośli Bandy przykłęka i wyjmuje z futerału trzydziestopięciomilimetrową leicę. Wkłada film, zamyka klapkę i wsuwa trzy zapasowe rolki do kieszeni kurtki. Leica jest najlepsza do robienia zdjęć podczas akcji. Poręczna i łatwa w obsłudze, może ją trzymać jedną ręką. Filmy mają mniejszą czułość niż u speed graphica, ale nie to jest tego ranka najważniejsze. Bandy nie zamierza fotografować twarzy. Obiektem będą płonące, walące się budynki.

Na obrzeżach miasteczka Bandy przyłącza się do drużyny piętnastu ludzi. Ich zadaniem jest opanowanie kwartału w południowo-zachodniej części Jülich. Żołnierzom, którzy w nocy przeplłynęli kutrami przez Roer, nie kazano zdobywać miasteczka. Mieli posuwać się w głąb terytorium wroga i poszerzać przyczółek. Umocnienie zdobytych obszarów to zadanie następnego, liczniejszego rzutu wojsk.

Żołnierze amerykańscy przećwiczyli już taktykę walk ulicznych we Francji, Belgii, Holandii i Luksemburgu. Wiedzą już, co mają robić, a ponieważ znajdują się na terenie Niemiec, czerpią z tego szczególną satysfakcję.

Bandy przykuca wraz z drużyną za stertą gruzu. Jakieś piętnaście metrów dalej stoi pierwszy rząd ceglanych budynków wzniesionych wzdłuż szerokiej ulicy. Są to dwupiętrowe segmenty, domy prywatne, sklepy i warsztaty. Na ścianie naprzeciwko wymalowano białymi literami napis: „Witaj, Wuju Samie! Zobaczysz Niemcy i umrzesz!” Nie patrząc za siebie, sierżant dowodzący drużyną kiwa ręką. Do przodu wysuwa się dwóch żołnierzy niosących bazookę.

- Nad to wielkie „N” w słowie „Niemcy”! - rozkazuje sierżant.

Żołnierze z bazooką, obaj siwi, z zębami pożółkłymi od tytoniu, zaciskają usta, po czym spluwają. W tym momencie Bandy robi im zdjęcie. Nie do publikacji, myśli, ale wspaniała pamiątka do archiwum domowego. Żołnierze zajmują pozycje, przyklekają. Reszta drużyny oczyszcza teren z przodu i z tyłu. Wyższy z dwuosobowego zespołu opiera bazookę na ramieniu i przykłada oko do celownika. Drugi - brodaty i zezowaty (zdaniem Bandy'ego, umyty, ogolony, po tygodniowym wypoczynku na Bermudach, byłby całkiem przystojny) - poklepuje kolegę po plecach. W odpowiedzi tamten kiwa głową w hełmie i ładuje pocisk wielkości bochenka chleba. Pochyla się. Siła odrzutu szarpie bazooką w chwili, gdy lufa błyska ogniem. Strzelający chwije się, ale pewnie trzyma broń. W tej samej chwili budynek naprzeciwko wybucha. Bazooka zostaje na miejscu, zespół jest gotów do następnego strzału, jeśli będzie trzeba. Pozostali żołnierze z drużyny przygotowują się do ataku. Dym się rozwiewa, widnieje już tylko fragment napisu: „Witaj, Wuju Samie!”

Ktoś odbezpiecza granat dymny i toczy go po ziemi. Pod osłoną sztucznej mgły czterej ludzie rzucają się do biegu, rozdzierając zasłonę dymu, która szybko zamyka się za nimi. Bandy czeka na pierwsze strzały. Pododdział wbiega do budynku, przeszukuje pokój po pokoju, sprawdzając, czy nie ma tam nieprzyjacielskich żołnierzy. Kopniakami otwierają drzwi, przebiegają korytarze i dają sobie znaki ręką, nie zdejmując palców ze spustu.

Z innych ulic dochodzą sporadyczne odgłosy strzelaniny. Słychać głuche wystrzały bazook. Do miasteczka wkraczają następne grupy Amerykanów, wprost zalewają Jülich. Kiedy po południu na rzece staną ciężkie mosty, wotczą się tu również czołgi i artyleria. Usadowiony za stertą gruzu, poprzez dym, który chwilami się rozwiewa, Bandy fotografuje walącą się ceglana ściana. Widzi stąd pozostałości napisu. Świetna rzecz, to zdjęcie może trafić do „Life'u”. Przed nocą w najlepiej zachowanym budynku zorganizowane zostanie stanowisko dowodzenia. Zjadą się tu wyżsi oficerowie. Bandy odnajdzie prasowego oficera łącznikowego i odda mu filmy, które polecą do Londynu, do cenzury, a potem do Nowego Jorku. Kiedy o tym myśli, rozlega się gwizd. Pierwszy zrywa się sierżant z karabinem gotowym do strzału. Bandy czeka, aż ostatni z drużyny rzuci się do biegu, i rusza jego śladem poprzez chmurę dymu. Jedną ręką przytrzymuje wiszącą na pasku leicę, by nie podskoczyła i nie uderzyła go w nos.

Budynek jest już opanowany. Wchodząc na zrujnowane pierwsze piętro, Bandy stwierdza, że był to dom prywatny. Wszystko zostało zniszczone. Meble są w drzazgach. Gąbka z poduszek, bielejąca na podłodze, wygląda jak stado martwych gołębi. Nad kominkiem wisi oprawiona w ramki fotografia Adolfa Hitlera. Szkło, dziwnym trafem, nie rozbiło się podczas wybuchu. Pod zdjęciem na kominku stoi parę ozdobnych kufli z metalowymi przykrywkami. To jedyne całe przedmioty w tym domu. Kilku żołnierzy zabiera kufle i pakuje do plecaków. Potem jeszcze przekopują gruz w poszukiwaniu innych pamiątek. Jakiś kapral zdejmuje ze ściany zdjęcie Führera. Zachowuje się nie jak najeźdźca w obcym kraju, lecz jak bywalec okolicznego baru, bez pośpiechu, swobodnie. To weteran. Zaczyna się śmiać, trzęsąc fałdami tłuszczu.

- Hej, Pendleton!

- Taaa? - odzywa się jeden z żołnierzy od bazooki, ten przystojniejszy. Kapral wiesza Hitlera na nietkniętej wewnętrznej ścianie, która oddziela ten budynek od sąsiedniego.

- Daj w mordę temu popaprańcowi.

Pluton tymczasem dociera do końca ulicy, podobnie jak reszta Amerykanów, którzy atakują Jülich. Idą pod ścianami, od budynku do budynku, wysadzają ściany między segmentami lub w wąskich zaułkach, żeby przejść dalej niezauważenie. Przy końcu szeregu budynków, kiedy trzeba przejść na drugą stronę ulicy, zaczynają od nowa: wysadzają pierwszą ścianę, rzucają granat dymny i biegną naprzód.

Drużyna oczyściła już dom. Teraz podchodzą do przeciwległej ściany pokoju z kominkiem i kucają za przewróconymi krzesłami, stołami i sofą. Dwuosobowa załoga bazooki ustawia się możliwie najdalej. Celują w zdjęcie Hitlera, w określony punkt, w jego zamyślane spojrzenie. Pokażą mu, jak zniszczą jego kraj, ścianę po ścianie. Żołnierz z tyłu ładuje pocisk. Klepie kolegę w ramię, tamten daje znak głową.

Cała drużyna wrzeszczy z całych sił. Robili to nieraz.

- *Heil Hitler!*

23 lutego 1945, godzina 14.30
Sześć kilometrów od Poznania
Polska

Ilja przygląda się butom sześćdziesięciu Niemców, którzy wloką się przed nim.

Powłóczą nogami na leśnej drodze. Już było porusza się z większą godnością, myśli Ilja. Pokonani żołnierze tak szybko ją tracą. Ilja wolałby umrzeć, niż stać się jednym z tych straszyleł.

Wczoraj Niemcy wreszcie się poddali. Dowódca poznańskiego garnizonu położył na podłodze swego biura nazistowską flagę i strzelił sobie w łeb. Czy tak postępuje oficer? To dezercja z pola walki. Czy tak Szkopy pojmują honor? Ilja nie rozumie tych Niemców, którzy walczą zaciekle, a potem, kiedy przegrują, tracą całą odwagę. Żołnierz nie musi zwyciężać, by pozostać żołnierzem. Jego postawę określa rozkaz: ma zrobić to i to albo tego nie robić. Proste. Zwycięstwo to już sprawa polityków i historyków.

Jeden z Niemców potyka się. Idzie niezdarnie, jest wyczerpany. I pełen poczucia wstydu. Słusznie, myśli Ilja, przypominając sobie, co widział: masowe egzekucje w polskich wsiach, obóz koncentracyjny na Majdanku, zwłoki leżące przy drogach, którymi wycofywali się Niemcy, zbiorowe groby bezimiennych ofiar, stosy nagich trupów. Żołnierz z kompanii Ilji kopie jeńca, żeby wstał. Już raz upadł podczas marszu. Wygląda na zagłodzonego, jak zresztą pozostali. Dostaje kolejnego kopniaka, a wtedy jakiś wystraszony towarzysz pomaga mu wstać, i tamten idzie dalej. Ilja nic nie mówi.

Zdejmuje włóczkową czapkę. Wielką dłonią przeczesuje szczecinę na głowie. Pora znów ogolić głowę. Zdobywanie cytadeli trwało prawie miesiąc, nie było czasu.

Dziś jest Dzień Armii Czerwonej, dwudziesta siódma rocznica jej utworzenia. Generał Czujkow ogłosił rano, że w Moskwie uczczono zdobycie Poznania dwudziestoma salwami z ponad dwustu dział. Ilja mocniej drapie się po głowie. Jest rozgoryczony. Był oficerem Armii Czerwonej. Wczoraj jeszcze - żołnierzem. Dzisiejszego popołudnia jest strażnikiem.

- Misza, powiedz im, żeby wyrównali szereg.

Ten parę metrów dalej wykrzykuje komendę po niemiecku. Bez większego efektu.

- Powiedz im jeszcze raz.

Misza podchodzi do Ilji. Prawy policzek i ucho ma obandażowane. Ranę zszyl mu miejscowy polski lekarz, który udzielał pomocy Rosjanom. Spod bandaża widać czarną szramę przypominającą drut kolczasty.

- To nic nie pomoże, Iljuszka. Daj spokój. Przecież idą.

- Chcę, żeby maszerowali jak należy.

- Po co?

- Bo tak mówię.

- Komu wydajesz rozkazy?

Ilja z niechęcią wypowiada to słowo:

- Tobie.

Misza, idąc, kiwa głową.

- Rozumiem. Co mam zrobić, panie szeregowy? Iść za nimi?

Ilja ściska czapkę w dłoni.

- Co cię ugryzło? Jesteś jakiś dziwny, odkąd wyszliśmy z Poznania.

Mały Misza ze swą bliźną jest bardzo bezpośredni. Nie boi się stanąć na przeciw swego potężnego towarzysza i zadawać mu niewygodne pytania, a nawet się sprzeciwić. Ilja obrzuca spojrzeniem sześćdziesięciu jeńców. Pilnuje ich sześciu żołnierzy z kompanii karnej, którzy razem z Ilją i Misza mają odstawić ich na tyły. To dwadzieścia kilometrów marszu. Stamtąd zostaną przewiezieni do obozów jenieckich. Nikt się nie odzywa, słychać tylko skrzypienie butów. Kurz na drodze i ośmiu strażników.

- Co za gówno, Misza.

- To zaszczyt, głupku! Wzięliśmy jeńców! Zdobyliśmy cytadelę! To, że możemy ich odprowadzić na tyły, to dla nas wyróżnienie. Puszkow w ten sposób chciał nas nagrodzić.

Inni żołnierze wojsk Żukowa maszerują teraz na zachód, nad Odrę, przygotowując się do zmasowanego ataku na Berlin. Ilja idzie w przeciwnym kierunku. Jaki to zaszczyt?

- Wziąłem do niewoli dziesięć tysięcy ludzi. I nigdy nie kazano mi opuścić frontu, żeby ich niańczyć.

- Byłeś oficerem. Dla zwykłych piechurów to wyraz uznania. A my przecież jesteśmy szeregowcami. I to szeregowcami, którzy jak na razie, uszli z życiem. Więc przestań mi rozkazywać.

Ilja wciąga zimne powietrze w płuca.

- Czy to rozkaz?

- Nie. Prośba. Od przyjaciela.

Ilja wkłada zieloną czapkę wartownika. Rzeczywiście, zdobyli cytadelę. I to takimi sposobami, jakich Ilja jeszcze nie widział. Misza przyturlał beczki z materiałami wybuchowymi. Wypełnili fosę stosami faszyny i przeszli po nich na drugą stronę. Pod otwory strzelnicze przystawili krzesła i kraty, żeby przesłonić widok obsłudze nieprzyjacielskich dział. Zapalili pojemniki z paliwem i wykurzyli ich dymem. Wspięli się po drabinach z powiązanych pali. Pałkami, bagnetami, miotaczami płomieni i pociskami karabinowymi wykończyli wroga - jednego po drugim.

Ilja, Misza i dwa tuziny ludzi, którzy wdarli się wraz z nimi do cytadeli, jeszcze przez tydzień toczyli walki z Niemcami. To było jak w Stalingradzie, a Ilja ma doświadczenie w takich walkach. Szeptem instruował ludzi, co mają robić, albo własnym przykładem uczył, jak zabijać i przeżyć. Jak się czołgać. Padać. Rozdzielać zadania. Wychwytywać rozmaite sygnały. Z różnych stron atakować zamknięte pomieszczenia czy punkty oporu. Rzucić granaty, by oczyścić sobie drogę. Nękać wroga dzień i noc, całą dobę, by go zmęczyć, nie dać wytchnienia, dopóki nie zostanie pokonany. Zwodzić go, pozorować ataki, ogłupiać, być wszędzie i nigdzie. Walczyć bez litości, bez skrupułów, pokonując własny

strach. Ilja i Misza wyszli z tego cało wraz z sześcioma ludźmi, którzy są teraz z nimi. Ilja nawet nie wie, jak się nazywają. Nie widział potrzeby, by poznać ich bliżej. Prowadził ich za sobą, a gdy miał dla nich jakieś zadanie do wykonania, wskazywał ręką i mówił: „Ty, ty i ty!” Podczas walk Misza trzymał się blisko Ilji. Nie należy do szczególnie walecznych, ale dobry z niego taktyk.

Ilja obrzuca spojrzeniem kolumnę wynędzniałych jeńców ubranych w płaszcze z materiału imitującego wełnę. Kolejny Niemiec traci równowagę i potyka się. Dwaj inni, którzy idą z tyłu, wpadają na niego. Powstaje zamieszanie, kolumna się zatrzymuje. Mruczając gniewnie, podchodzą tam dwaj strażnicy. Po co ci Niemcy tak walczyli, zastanawia się Ilja. Dlaczego zabijali i dawali się zabijać - z sześćdziesięciu tysięcy pozostało ich w Poznaniu dwanaście tysięcy. Czego bronili? Ilu młodych Rosjan zginęło, zostało rannych, zmaltretowanych. I ilu jeszcze to czeka? Po co tyle niepotrzebnych ofiar w Poznaniu, całej Polsce, Rosji i teraz w Niemczech?

Obowiązek. Jedyne odpowiedzi na wszelkie pytania żołnierzy. Poza tym nie ma nic.

A te wszystkie potworności, które wykraczają poza obowiązek? Ilja znowu przypomina sobie Majdanek. Stosy zwłok. Rowy. Popioły. Okrucieństwo.

To nie była robota żołnierzy. Dopuścili się tego szaleńcy. Przecież Hitlera tu nie ma. Kto więc za to odpowiada?

Ci ludzie w szeregu?

Czy zemsta też należy do obowiązków Ilji?

Nienawidzi tych Niemców. Nie jako zbiorowości. Nienawidzi jednostek, ich zapadniętych twarzy o wystraszonych oczach. Nienawidzi i zabija w walce - każdego osobno.

Kolumna się zatrzymuje. Ilja przystaje na końcu szeregu. Misza rusza do przodu. Po niemiecku rozkazuje żołnierzom, którzy upadli, by natychmiast wstali - *schnell!* Dwaj wstają, trzeci unosi się na kolana i znowu przewraca na ziemię. Misza schyla się i chwytając Niemca za kołnierz płaszcza. Szarpie go, ale tamten, jak leżący muł, nawet nie drgnie.

Misza bierze zamach nogą i kopie jeńca w brzuch. Krzyczy po rosyjsku:

- Wstawaj, ty kupo gówna! Wstawaj!

Kilku jeńców skupia się wokół towarzysza, który ledwie może usiąść. Misza opiera drobne pięści na biodrach. Mówi wciąż po rosyjsku, jakby zwracał się nie do jeńców, ale do uzbrojonych strażników.

- Powiedziałem, żebyś wstał, ty szwabska kupo gówna.

Niemiec wie, czego chce od niego Misza. Wciąż nie wstaje - nie może wstać.

Powolnym ruchem Misza wyciąga zdobycznego lugera. Sześciu pozostałych wartowników patrzy na niego. Oni także wyjmują pistolety i podnoszą je, stając za Misza.

Jeden z wartowników spluwa.

- Smoleńsk - mówi ochryplym głosem.

Za nim spluwa następny radziecki żołnierz.

- Leningrad. Trzeci robi to samo.

- Moskwa.

Te trzy rosyjskie miasta przeżyły straszliwe oblężenia, które pochłonęły mnóstwo ofiar. Dla Niemców nazwy te brzmią jak rosyjskie przekleństwa. I czwarty.

- Mińsk.

- Chełmno.

- Kursk.

Misza patrzy na Ilję, który stoi nieporuszony. Gdzieś z okolicznych lasów dochodzi krakanie wrony. Złowróźbny znak..

Strażnicy rzucają dalsze nazwy. Nazwy obozów jenieckich: Równe, Tarnopol, Żytomierz; obozów zagłady: Auschwitz, Sobibór, Treblinka; nazwiska zabitych towarzyszy: Kazora, Woznyj, Smirnow, Zubków, Mastawienko; imiona ojców i matek, braci, kobiet. Niemcy kulą się ze strachu pod gradem słów przepelnionych nienawiścią. Nazwy i imiona są jak kamienie.

Ilja stoi i przygląda się Miszy.

Są na wiejskiej drodze, z dala od miasta, gdzieś w Polsce. Nikt nie zobaczy, co tu się stanie. Nikt się tym nie przejmie. Cała ósemka może potem złożyć raport dowódcy kompanii w Poznaniu: jeńcy rzucili się do ucieczki. Wzruszeniem ramion dopowiedzą resztę. Może tego się właśnie od nich oczekuje. Kiepscy z nich strażnicy, to wszystko. Będą mogli dołączyć do swojego batalionu nad Odrą, ruszyć na Berlin, by jeszcze bardziej dać upust nienawiści.

Misza nie rusza się pod badawczym spojrzeniem Ilji.

Strażnicy wciąż zalewają Niemców potokiem nazw i imion, palących jak kwas. Każdy z nich jak wściekły pies wyszczekuje kolejne słowo. To zwyczajni chłopci. Ludzie z drugich szeregów. Przeszli najgorsze podczas walk. Nie dostają przepustek, rzadko wypłaca im się żołd. Są bombardowani płomiennymi hasłami propagandy komunistycznej, popychani do działania groźbami komisarzy NKWD. Teraz zaś znaleźli się sam na sam z jeńcami i nie wytrzymali. Ogłupiły ich gniew i żądza zemsty. Taka nienawiść zabija duszę. Ilja zna prawie wszystkie miejsca, których nazwy wykrzykują, a jeśli jakieś są mu obce, to i tak wie, co oznaczają. On miał szczęście, mógł walczyć z Niemcami, wyrównywać rachunki i wyładować całą swoją wściekłość na polu walki. Ci rozjuszeni ludzie byli w niewoli, bici, głodzeni, torturowani przez Niemców. Mają za co się mścić.

Wszyscy prócz Miszy. On jeden wydaje się spokojny, jakby się bawił. Mały żołnierz z obandażowaną głową odwraca się od Ilji. Spluwa jak inni. Krzyczy do strażników:

- Wystarczy!

Milkną posłusznie. Ilja prowadził ich do walki. Teraz Misza przejął pałeczkę. Rosjanie wstrzymują oddech. Niemcy nabierają powietrza w płuca. Boją się, że robią to po raz ostatni.

- Został jeszcze jeden! Dla ciebie, Iljuszka! - woła Misza i unosi lugera. Mówi do Niemców:

- Stalingrad.

Jeden z jeńców mamrocze po rosyjsku:

- Dranie.

Wszyscy zieją nienawiścią. I jedni, i drudzy.

Dwaj Niemcy pochylają się, żeby podnieść swego towarzysza. Stawiają go na nogi i ostrożnie puszczają. Stoi wyprostowany, ale się trzęsie. Reszta jeńców instynktownie zbliża się do niego. Zbijają się w gromadę jak zaszczute zwierzęta. Nie zdejmując wzroku z wymierzonej w nich broni, cofają się.

Jeden z Rosjan podnosi karabin do policzka, to śmieszne - jakby musiał do brzoze wycelować z tej odległości. Ilji zasycha w ustach. Mógłby się odezwać. Przecież słuchali go podczas tej szaleńczej walki w cytadeli. Teraz też pewnie by usłuchali. Powiedziałyby im - ale co?

Z lasu znowu dochodzi krakanie.

Ilja się odwraca.

M a r z e c

Historia świata jest czymś nadrzędnym wobec moralności, czyli charakteru człowieka i jego sumienia (...). Zasady moralne, jako pojęcia abstrakcyjne, nie mogą kolidować z postępem historii światowej i jej osiągnięciami. Nie wolno przeciwstawiać im zalet indywidualnych - takich jak skromność, pokora, łaskawość czy wyrozumiałość. Taka potężna forma musi deptać niewinne kwiaty - niszczyć każdy obiekt na swojej drodze.

G.W.F. HEGEL

Wykłady z filozofii dziejów

Rozdział piąty

1 marca 1945, godzina 11.50
Przedsionek Izby Reprezentantów
Waszyngton

Ludzie biegają we wszystkie strony, ustalając w ostatniej chwili spotkania. Prezydent, siedzący w fotelu inwalidzkim, ma wzrok na poziomie ich bioder. Przed jego oczami paradują ręce w kieszeniach, zegarki na łańcuszkach, paski przy spódnicach, grube brzuchy.

Myśli o jeździe na sankach.

To jego ulubiony sen. Jest dzieckiem i idzie zimą do Hyde Parku. Staje na szczycie góry i usiadłszy na sankach, odpycha się nogami. Zaczyna zjeżdżać, nabiera prędkości, pokonuje zakręty, wymija drzewa i wyprzedza psy. Sunie po śniegu, szybki i wolny.

Wokół niego zbierają się współpracownicy. Omija ich na sankach jak drzewa, bierze ostre zakręty, kieruje się ku otwartej przestrzeni, pędzi przed siebie.

Przechodzi Anna, przesuwa długimi palcami po jego ramieniu, ale nic nie mówi. Roosevelt chciałby ją zatrzymać i porozmawiać, żeby otrząsnąć się ze swojego snu na jawie. Ale już się oddaliła, załatwia coś w związku z przemówieniem, które prezydent ma wygłosić za kilka minut na wspólnej sesji Kongresu. Jego myśli - jak zwykle, gdy umysł jest zmęczony - podążają dalej, przeskakują na inny temat. Anna nie zatrzymała się przy nim. Jego córka, która ma do niego nieograniczony dostęp, zostawiła go samego. Z tego powodu ogarnia go znowu obsesyjny lęk. Prezydent boi się, że zostanie sam w płonącym budynku. Nie będzie mógł uciec, bo nie pozwolą mu na to bezwładne nogi. Kiedy został kaleką, całymi godzinami ćwiczył schodzenie z łóżka i czołganie się do drzwi, na wypadek gdyby znalazł się w takiej sytuacji. Czasami właściwie już nie wie, czego tak naprawdę się lęka. Co jest gorsze - ogień czy samotność?

Pożar. A on jest sam. Myśl goni myśl. Kolejna obsesja. Śmierć. W drodze powrotnej z Jafty umarł Pa Watson. Wylew krwi do mózgu. Pokłócił się z Harrym,

który sam tak źle się czuł, że nie mógł wyjść z kabiny. Pa wrócił do siebie i po prostu przestał oddychać. Generał major Edwin „Pa” Watson, jeden z najlepszych gawędziarzy i pokerzystów, jakich Roosevelt kiedykolwiek znał. I przyjaciel. Odszedł. Prezydent znowu został sam. Harry zszedł z pokładu *Quincy'ego* w Algierze, żeby polecieć do kraju, do kliniki Mayo. Wciąż tam jest. Roosevelt samotnie spędził większą część podróży przez Atlantyk, przesiadując albo w kabinie, albo na pokładzie admirałskim. Ubrany w swoją niebieską pelerynę i szary miękki kapelusz, z przygnębieniem obserwował niebieskoszary ocean, wypatrując jakichś znaków.

I nowa myśl. Jałta. Pa jeszcze wtedy żył. Byli tam z Joe i Winstonem. Wielka Trójka. Każdy ich gest i każde słowo miały historyczną wagę. Jakie to niezwykłe i podnoszące na duchu! Roosevelt za chwilę w wystąpieniu przed Kongresem zda relację z tego spotkania. Następną myśl. Przyjechał tu i siedzi w fotelu. Wokół kręcą się współpracownicy.

Raport na temat Jałty. Powie im, że to sukces, przynajmniej dla Ameryki. ZSRR zgodził się przystąpić do wojny z Japonią. Wstąpi także do Narodów Zjednoczonych. Co prawda, chce dwóch dodatkowych głosów, ale na dłuższą metę to nie ma znaczenia; jeśli wszystkie narody świata będą zrzeszone, cóż mogą znaczyć dwa głosy? Ratyfikowano utworzenie stref okupacyjnych. Rosja dostanie wschodnią część Niemiec, równinne tereny rolnicze, i wschodnią połowę Berlina. Wielka Brytania, Francja i USA zajmą zachodnie Niemcy, obszary przemysłowe, drogi wodne i złoża surowców mineralnych, czyli najlepszą część. Polska - co można było zrobić dla Polski? Stalin wprowadził tam miliony swoich ludzi. Następne miliony rozlały się po całej Europie Wschodniej. Churchill chce, żeby się stamtąd wynieśli. Amerykanom jest wszystko jedno. Pozycja Stanów Zjednoczonych jako światowego supermocarstwa jest niepodważalna, niezależnie od tego, co się stanie po wojnie. Ameryka nie chce wdać się w wojnę z Rosjanami, żeby skłonić ich do przestrzegania umów europejskich. W pewien sposób służy to zresztą interesom Europejczyków. Stalin jest na tyle silny, że może przynajmniej zapewnić pokój. A pokój to rzecz nie do pogardzenia. W każdym razie dla zmęczonych wojną Amerykanów, którzy dwukrotnie, w kolejnych pokoleniach, zostali wciągnięci w europejskie konflikty. Poza tym Stalin jest gotów na wszystko. To dyktator. Ma swoje metody. Co można zrobić, by mu przeszkodzić?

Zdobyć Berlin. Tak mówi Winston. Dotrzeć tam wcześniej i opanować miasto, by uczynić z niego argument przetargowy. W końcu i tak będziemy musieli oddać połowę. Ale wcześniej można się potargować. Wycofamy się z połowy Berlina, jeśli Stalin wycofa się z połowy innych miejsc.

Przerzut wojsk alianckich za Roer zakończył się powodzeniem. Brytyjczycy i Amerykanie szybko posuwają się w stronę Renu.

Może Winston ma rację. Gdyby zdobyli Berlin, Stalin zacząłby się z nimi liczyć.

Generał Marshall twierdzi, że Berlin kosztowałby ich jeszcze setki tysięcy ludzi. Rosja mogłaby wycofać się z wojny na Pacyfiku i z Narodów Zjednoczonych. A poza tym, gdyby Hitler zorganizował ruch oporu w górach na południu, Berlin stałby się wątpliwą zdobyczą. To wszystko jest jak jazda na sankach - szybka i ryzykowna, z wieloma drzewami do ominięcia, z wieloma zakrętami do pokonania.

Roosevelt uśmiecha się na to porównanie, jego myśli zatoczyły koło.

Zobaczymy, co będzie. Mamy jeszcze czas.

- Już czas - mówi Anna.

Córka pojawiła się przed nim niespodziewanie. Dość długo jeździł na sankach wokół różnych tematów i wspomnień. Pociera teraz czoło swoją silną dłońią. Te oderwane myśli nie tworzyły żadnego ciągu, prowadziły donikąd, w przestrzeń.

- Tato - powtarza Anna - czas na nas.

- Tak, tak, kochanie.

Roosevelt odejmuje palce od twarzy i wyciąga rękę w stronę córki. Dotknięcie jej działa na niego elektryzująco. To on dał jej życie. Nie przychodzi mu do głowy żadne inne osiągnięcie w jego życiu, które byłoby równie istotne, prawdziwe. Ludzie mówią, że prawda to absolut. Są w błędzie. Prawda przypomina oszlifowany klejnot - to, jak wygląda, zależy od tego, z której strony się patrzy. To dzieci bardziej niż dokonania na stanowisku prezydenta są prawdziwą spuścizną Roosevelta. O ich wartości nie decyduje żadna perspektywa, badania historyków czy relacje świadków. Szeroki uśmiech i duże zęby Anna odziedziczyła po Eleanor, siłę i wdzięk - po nim. Jej dłoń w jego ręce jest jedyną prawdą absolutną.

Ale dziś objawi się jeszcze jedna.

Za każdym razem, gdy Roosevelt miał wystąpić przed Kongresem, wchodził do sali o kulach albo wsparty na ramieniu kogoś ze współpracowników.

Ale nie dzisiaj. Już czas, jak powiedziała Anna.

Tam, w sali, odzwierny anonsuje najpierw sędziów Sądu Najwyższego, a potem członków rządu.

- Prezydent Stanów Zjednoczonych.

Otwierają się masywne dwuskrzydłowe drzwi. Roosevelt spogląda w głąb sali, wielka Izba Reprezentantów jest wypełniona po brzegi. Ludzie stojący w kolejnych rzędach ławek gapią się na niego. Panuje przejmująca cisza.

A potem rozlegają się oklaski, grzmiący aplauz. Z ust zebranych wydobywają się okrzyki i gwizdy. Po raz pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych pokazuje się w fotelu inwalidzkim.

To wielkie oszustwo trwało przez całe trzy kadencje i początek czwartej. Nikt nie miał odwagi powiedzieć narodowi amerykańskiemu, że ich prezydent jest kalekim i chorowitym człowiekiem, który nie potrafi ustać samodzielnie dłużej niż parę minut, i to z wielkim wysiłkiem. Kraj nie mógł się dowiedzieć, że funkcjonariusze Secret Service muszą podnosić go jak kukłę i prznosić z wózka na łóżko. Korporacje prasowe nie publikowały zdjęć Roosevelta na fotelu inwalidzkim czy w sytuacjach, które mogłyby ujawnić jego kalectwo. Amerykę karmiono mitem. Obawiano się, że naród straciłby wiarę w prezydenta podczas wielkiego kryzysu i potem, podczas wojny. Ale Amerykanie dowiedli, że można im zaufać. Zasłużyli na prawdę.

Anna ponownie kładzie mu ręce na ramionach. Oklaski się nasilają. Roosevelt wjeżdża na salę. Jego sen się kończy. Wjeżdża na środek.

*3 marca 1945, godzina 10.30
Pod Kwaterą Główną 9 Armii
Jülich, Niemcy*

Churchill schyla się, by podnieść cegłę. Oblepiona jest zaprawą murarską. Oderwała się podczas gwałtownego ostrzału artyleryjskiego i upadła w błoto. Premier wyobraża sobie ten wybuch. Wydaje mu się, że czuje siłę, z jaką pocisk uderzył w mur. Przez moment ma poczucie winy - może mógł zrobić więcej, by zapobiec wydarzeniom, które spowodowały, że ta cegła straciła swoje spokojne miejsce, upadła na ulicę i znalazła się na jego drodze wraz z mnóstwem innych.

Idąc ulicą, nie wypuszcza cegły z rąk. Zastanawia się, jakim człowiekiem musi być Hitler prywatnie, kiedy nie wykrzykuje tych swoich demagogicznych haseł. Czyżby zupełnie postradał zmysły, że wciąż walczy? Jest osaczony, wciąż się cofa. Dzień i noc bombardują go Amerykanie, Brytyjczycy, a teraz także Rosjanie. Zaciska się wokół niego pętla. Czy kiedykolwiek podniósł wyrwaną cegłę i pomyślał: „Ja ją tu rzuciłem?” Czy ten mały kapral nie myśli czasem: „Mogę to zakończyć?” Churchill trzymał w rękach tysiące wyrwanych cegieł, w Londynie, Brighton, Devonshire, Bath, ale żadna nie podziałała na niego tak przygnębiająco, jak ta w Niemczech. Tamte były sierotami wojennymi. Ta przywodzi na myśl ruinę i szaleństwo.

Churchill nie był w Niemczech od 1932 roku. Zniszczenia, jakie widzi w tym miasteczku nad rzeką, przerażają go, choć nie pokazuje tego po sobie. Uśmiecha się do oficerów i żołnierzy amerykańskiej 9 Armii, którzy mu towarzyszą. Mają swój udział w zrujnowaniu Jülich. Gratuluje im. Gawędzi z nimi, jest pogodny. Nie widział ani jednego budynku, który pozostałby nietknięty.

Podziurawione ściany wyglądają, jakby padły pastwą jakichś gigantycznych moli. Wieże, kopuły i iglice tego niegdyś ładnego miasteczka zostały ścięte. Snajperzy stracili swoje stanowiska strzelnicze. Spod zerwanych dachów sterczą belki i krokwie. Z domów, sklepów i budynków publicznych pozostały tylko szkielety. Premier nie widzi wśród gruzów żadnych zwłok, zapewne usunięto je przed jego przyjazdem. Dotąd nie zauważył też nikogo z mieszkańców, musieli zostać ewakuowani. Ani śladu jeńców. Za to nie można nie zauważyć, co spotyka teraz Niemcy - i jaką potęgą dysponują Amerykanie.

W objeździe zdobytego miasteczka towarzyszy Churchillowi pięciu współpracowników, generał William Simpson, dowódca amerykańskiej 9 Armii, ze dwudziestu szczerze opatulonych oficerów z otoczenia generała i około dziesięciu amerykańskich fotoreporterów. Po drodze mijają żołnierzy, którzy nie zwracają na nich szczególnej uwagi. Są zajęci swoimi sprawami. Churchill stwierdza, że zachowują się naturalnie w obecności brytyjskiego premiera i swoich zwierzchników. Jankesi kręcą się wśród gruzowisk, siedzą, palą, bagnetami kroją racje żywnościowe, ciągną skrzynki z amunicją. Niektórzy machają rękami do przechodzących, inni salutują im niedbale, jeszcze inni wołają: „Sie masz, Winston!” Simpson uśmiecha się do nich po ojcowsku. Fotoreporterzy chichoczą. Churchillowi podobają się te gładko ogolone twarze, wyciągnięte ze spodni koszule, powściągliwość w sposobie bycia. Trzeba przyznać, że ci Amerykanie - choć już zmęczeni - walczą i sięją zniszczenie jak żadni żołnierze w historii. Churchill woli nie pytać, jakie ponieśli ofiary.

Idzie na czele grupy, ale nie kieruje się w miejsce, które wskazuje mu Simpson. Cegła zaczyna ciążyć. Oddaje ją przybocznemu, prosząc, żeby jej pilnował - po wojnie wmuruje ją w ścianę swego domu w Chartwell.

Klucząc wśród rumowisk, zmierza z grupą ku rzece. Zabudowania są tu straszliwie zrujnowane. Rozmiary zniszczeń, jakich dokonano bronią z amerykańskiego arsenału, są niewiarygodne. Domy, podziurawione pociskami i szrapnelami, zamieniły się w góry gruzu. W miejscach, gdzie jeszcze parę dni temu stały stodoły i magazyny, zieją teraz kratery. Churchill przygryzazymane w zębach cygaro. Co czuli ci ludzie, gdy mieli przeciwko sobie Amerykanów? Taka siła ognia. I taka determinacja.

Na tym polega problem, gdy angażuje się Amerykanów w sprawy europejskie, myśli Churchill. Nie przejmują się tym, co pozostawiają za sobą, i nic na to nie można poradzić.

Spogląda za rzekę. Z jedyne go wiszącego mostu, który wysadzili wycofujący się Niemcy, pozostały tylko powykręcane stalowe słupy. Jakieś sto metrów od brzegu leżą puste łodzie, za nimi rozciąga się połać błota. Nacierający musieli brnąć w tej mazi pod druzgocącym ostrzałem wroga. Bohaterowie, męczennicy. Tak, kiwa głową Churchill - wybawcy. Wyjmuje cygaro z ust.

Żołnierze i sprzęt nieprzerwanymi kolumnami przejeżdżają przez kilkanaście mostów, wojska alianckie posuwają się w głąb Rzeszy. Niebawem miecz zagłębi się w ciele ofiary po rękojeść. Czy Hitler oszalał?

Churchill odwraca się do Simpsona. Armia generała wciąż jest przyłączona do 21 Grupy Armii Montgomery'ego. Eisenhower dotrzymuje słowa - wzmacnia siły Monty'ego i wspiera je podczas natarcia. Churchill chciałby się dowiedzieć, jakie zamiary ma Simpson.

- Generale, co dalej pan planuje?

Wokół nich krążą fotoreporterzy, robią zdjęcia pod różnym kątem, starając się równocześnie objąć w tle rzekę. Simpson to wysoki, przystojny mężczyzna o wyblakłej twarzy i silnej szczękę. Wygląda na urodzonego żołnierza.

- Zamierzam znaleźć most, panie premierze, żeby przebyć Ren.

- I?

Pstrykają aparaty fotograficzne.

- I, za pańskim pozwoleniem, dokopać Szwabom po drodze do Berlina.

Churchill, rozbawiony, macha cygarem.

- Leje pan miód na moje serce. Dobrze pan wie, co chciałem usłyszeć.

- Tak, sir. A ja chciałem to powiedzieć. Ike zapewnia mnie, że tu, na północy, posuwamy się najlepszą trasą, prosto do Berlina. Przeprawiliśmy się przez Roer zgodnie z planem. Z tego, co wiem, będziemy mieli cały czas zielone światło. Gdy tylko znajdziemy most, ruszymy w drogę.

- A co z Rosjanami? Są tylko pięćdziesiąt mil od Berlina.

Simpson się uśmiecha. Ruchem głowy wskazuje tę część Niemiec - swoje królestwo, w którym zgrupował trzysta tysięcy żołnierzy, transporty zaopatrzenia, czołgi, artylerię. Stosując swoje ulubione, amerykańskie wyrażenie, Churchill powiedziałaby, że Simpson ma tu rzeczywiście kupę ludzi i sprzętu. Ten amerykański generał znalazł się we właściwym miejscu o właściwej porze. Może tego dokonać. A jeśli jemu się uda, to Montgomery'emu także.

Simpson zgromadził wszystkie swoje siły. To rzeczywiście gigant - taki jak zadanie, które mu wyznaczono.

- Panie premierze, życzę im wszystkiego najlepszego.

Churchill poklepuje go po plecach. Musi stanąć na palcach, żeby sięgnąć ręką między jego łopatki.

W drodze powrotnej do kwatery głównej, ulokowanej w ratuszu miejskim, Simpson opowiada Churchillowi o swoich dwóch ostatnich próbach zdobycia mostu.

Po przebyciu Roer główne siły 9 Armii napotkały tylko symboliczny opór. Niemcy byli w rozsypce i sami zmierzali w stronę Renu. Zeszłej nocy, 2 marca, grupa czołgów amerykańskich wjechała do Neuss nad Renem, naprzeciwko leżącego po drugiej stronie przemysłowego Dusseldorfu. Ku zaskoczeniu

czołgistów, jeden większy most pozostał na rzece nietknięty. Nie czekając na rozkazy, ruszyli szybko na drugą stronę, sądząc, że zdołają go utrzymać i obsadzić przyczółek, dopóki nie przybędzie wsparcie. Kiedy trzy czołgi wjechały na most, Niemcy go wysadzili.

Tej samej nocy dowódca 330 Dywizji Piechoty 9 Armii Simpsona wpadł na pewien pomysł i wprowadził go w życie. Była to ta sama sztuczka, którą zastosowali Niemcy podczas bitwy o wybrzuszenie. Zostali potem za to straceni przez Amerykanów. Trzysta Trzydziestka zamalowała białe gwiazdy na swoich czołgach i pokryła maszyny barwami maskującymi, umieszczając na nich niemieckie krzyże. W wieżyczkach usadowili się żołnierze ubrani w mundury Wehrmachtu, którzy znali niemiecki. Czołgi skierowały się do mostu w Oberkassel. Przed wjazdem na most wartownik próbował je zatrzymać. Kolumna parła naprzód. Niemcy wszczęli alarm i wysadzili most tuż przed amerykańskimi maszynami, które stanęły z warkotem nad samą rzeką.

Simpson zapewnia Churchilla:

- Ale zdobędziemy most.

Wracając do kwatery głównej, Churchill wybiera inną drogę przez miasteczko. Jülich jest całkowicie zniszczone. Fotoreporterzy robią zdjęcia, wybiegają do przodu, przemykają obok idącej grupy. Churchill kilka razy pokazuje im swoje słynne V. To ważne, by widziano go na froncie. Niech świat zobaczy, że tu jest. Jeden z Wielkiej Trójki ze swymi żołnierzami. Stalin siedzi za murami Kremla. Nie ogląda go nawet własny naród. A Roosevelt z kolei nie może wybrać się w taki objazd. Churchill pokazuje swoje słynne cygaro. Aparaty pstrykają. Tego dnia ma na sobie zieloną kurtkę połową z epoletami, bryczesy do konnej jazdy, skórzane oficerki i czapkę generalską z daszkiem. Ze szłej nocy, gdy amerykańskie czołgi krążyły nad Renem w poszukiwaniu mostu, jadł obiad z Montgomerym. Dziś rano wizytuje 9 Armie. Potem jedzie obejrzeć osławioną linię Zygryda. Noc spędzi w pociągu Eisenhowera w Geldrop w Holandii. Jutro pojedzie na inspekcję 1 Kanadyjskiej Armii. Prześpi się znowu w pociągu Ike'a, a obudzi w Reims, by pogawędzić z pocziwym naczelnym dowódcą. Gotować się do marszu na Berlin! Flaga na maszt! V jak *Victory!* Naprzód, Brytanie! I tak dalej.

Gdy grupa dochodzi do kwatery dowództwa 9 Armii, fotoreporterzy się zatrzymują. Churchill mówi im na pożegnanie „Czołem!” Przechodzi z Simpsonem przez ulicę, udając się do zniszczonego ratusza. Na schodach budynku siedzi chudy mężczyzna, który trzyma na kolanach sfatygowaną torbę koloru khaki. Na mundurze brak jakichkolwiek dystynkcji, ale obok na stopniu leży wysłużony skórzany futerał na speed graphica.

To ktoś spoza tamtej paczki - myśli Churchill, przystając na ulicy. Ten poluje indywidualnie.

Mężczyzna wstaje powoli, torbę zostawia na schodach. Na ramieniu ma przewieszony aparat. Wygląda na bardziej skonanego niż większość żołnierzy.

- Generale Simpson. - Podchodzi i wita się z dowódcą. - Czy mogę mieć prośbę do pańskiego szanownego gościa?

Simpson unosi rękę.

- Charley, pan premier pozował już dziś fotoreporterom. Mogłeś przyłączyć się do nich.

- Tak, sir. - Fotoreporter uśmiecha się do Churchilla. Nad kieszonką ma zieloną naszywkę z nazwiskiem „Bandy”,

- To pan jest Charles Bandy.

- Tak jest, panie premierze.

Mężczyzna mówi wspaniałym jankeskim akcentem przywodzącym na myśl słodzoną miodem miętową herbatę.

Churchill pogryza cygaro. Słyszał o nim. Zajmuje się uprawą tytoniu. A Churchill szanuje wszystkich i wszystko, co ma związek z tymi cudownymi liśćmi. Poza tym pismo, dla którego facet pracuje, jest bardzo popularne. „Life” zamieszcza jego zdjęcia na rozkładówkach. To ulubiony fotoreporter amerykańskich żołnierzy, jak ten doskonały reporter Ernie Pyle. Bandy dzieli ich los, wszystkie ich trudy. Razem z nimi ryzykuje życie. Dużo zrobił dla tej wojny.

- W czym mogę panu pomóc, panie Bandy?

- Mógłby pan pójść ze mną? Pokażę panu coś.

Fotoreporter prowadzi wszystkich za róg, na tył ratusza. Idzie pochylony, aparat zwisa mu z ramienia jak jakiś ciężar. Za ratuszem rozciąga się plac, gdzie kiedyś prawdopodobnie stały stragany. Wszędzie widać zniszczenia, jak w całym Jülich. Ale tego Churchill nie widział. To napis.

Podchodzi ku niemu sam. Uśmiecha się szeroko; o tak, sfotografuje się pod nim. Sprytny ten Bandy. Zrobi jedno zdjęcie, nie tuziny jak inni. I będzie to strzał w dziesiątkę, anegdota - ironiczna i dowcipna. Spodoba się ludziom z „Life'u”. Brytyjska prasa też ją podchwyci.

Napis wymalował jakiś bystry dwujęzyczny żołnierz amerykański: GEBT MIR FUNF JAHRE UND IHR WERDET DEUTSCHLAND NICHTWIEDER ERKENNEN.

Poniżej widnieje angielskie tłumaczenie: DAJCIE MI PIĘĆ LAT, A NIE POZNACIE NIEMIEC.

Podpisane: ADOLF HITLER.

Churchill pokazuje Bandy'emu V. Fotoreporter kręci głową: nie.

Hm, myśli Churchill, ma tupet.

- Proszę się tylko uśmiechnąć, panie premierze.

Toporny speed graphic pstryka i jest po wszystkim. Bandy podchodzi, wyciągając rękę, by podziękować.

Churchill ściska podaną dłoń, długie, smukłe palce - palce artysty. Ten fotoreporter ma oczy starego człowieka, otoczone zmarszczkami. Raczej nie od słońca, ale od kul przelatujących nad głową.

- Panie Bandy. Mogę dać panu w zamian pewną radę?

- Bardzo proszę.

- Niech pan wraca do domu.

Wydaje się, że generał Simpson, słysząc to, miałby ochotę parsknąć, ale taka myśl wydaje się absurdalna.

Fotoreporter wsuwa aparat do futerału.

- Dlaczego wszyscy mi to mówią?

- Bo jest coś niepokojącego w tym, że spotyka się na froncie człowieka, który nie musi tu być...

Bandy przez moment grzebie nogą w pyle. Potem spogląda na napis i mówi:

- Proszę mnie źle nie zrozumieć, panie premierze, ale pan też nie musi tu być.

- Cóż, rzeczywiście. - Churchill zdejmuje czapkę. Przesuwa dłonią po włosach, niegdyś rudawych, teraz siwych i rzadkich. Ciągnie dalej: - Ale zdaje pan sobie sprawę z tego, że choć większość ludzi powołana została do służby przez armię, to niektórych z nas wezwały tu... inne, wyższe siły. Ci nieszczęśni wybrańcy także mają swoje obowiązki.

Charles Bandy kładzie dłoń na ramieniu premiera. To bardzo poufały gest, nawet jak na Jankesa. Ale jest w nim jakieś wspaniałe poczucie braterstwa. W nacisku dłoni wyczuwa się porozumienie, w twarzy - smutek.

- Tak jak ja - mówi fotoreporter. - Tam samo jak ja.

Churchill kładzie rękę na jego dłoni. Stoją tak obaj przez chwilę.

Premier kiwa głową, poklepuje Bandy'ego po ręce i odchodzi.

Dołączając do generała Simpsona, spogląda przez ramię na fotoreportera,

który oddala się wolnym krokiem. Z przejmującym smutkiem Churchill myśli: Cholera. Jeszcze jedna cegła. Wyrwana przez wojnę ze spokojnego miejsca, do którego przynależy.

5 marca 1945, godzina 23.50

Schron przy Savignyplatz

Charlottenburg, Berlin

Lottie wszędzie nosi ze sobą truciznę.

Trzyma kapsułki w kieszeni. Gdy nie jest zajęta, wsuwa tam dłoń i bawi się nimi, przerzucając je między palcami jak monety. Na noc wkłada je pod

poduszkę. Podczas koncertów są w smokingu. Jedną nawet na sekundę włożyła do ust. Oczywiście w plastikowej osłonce. Jakby chciała poddać próbie samą siebie -ssała ją przez moment, a potem wyjęła, zanim cyjanek przeniknął przez opakowanie. Ta pigułka na języku przestraszyła ją. W ogóle nie czuła jej ciężaru. Wydawała się niczym - i jednocześnie wszystkim.

Tej nocy w schronie pod sklepem pasmanteryjnym przy Kantstrasse Lottie znowu bawi się pigułkami w kieszeni, swoją sekretną bronią. Wszystkie zebrane tu kobiety się znają. Mogą rozmawiać otwarcie. Jedna z nich, krawcowa, opowiada okropne historie, które słyszała podobno od uchodźców ze wschodu. Lottie nie ma powodu, by jej nie wierzyć; nie odbiegają wiele od tych, które sama słyszała. W Polsce i w niemieckich miasteczkach przygranicznych bandy radzieckich żołnierzy gwałcą kobiety, a ich ojcom, synom i braciom każą trzymać lampy i przyświecać. Ci, którzy się temu sprzeciwiają, zostają zabici albo wykastrowani. Natomiast kobietom, które się bronią, te bestie podrzynają gardła albo rozpruwają brzuchy. Rosjanie strzelają z karabinów maszynowych do napotkanych na drogach uchodźców, mordują uciekających niewinnych ludzi, zarzynają konie i bydło. Znajduje się niemowlęta z roztrzaskanymi główkami. Dzieci są wpędzane na pola minowe, by oczyścić drogę. Starszych mężczyzn z Volkssturmu oblewa się benzyną i podpala, zamienia w żywe pochodnie. Lottie, Freya i inne kobiety słuchają tych historii ze zgrozą. Krawcowa niepotrzebnie gestykuluje i moduluje głos, jakby jej opowieści same w sobie nie były dość dramatyczne.

Świadomość, że ma pigułki, jest dla Lottie jak pancerz ochronny. Te wszystkie straszliwe relacje nie są w stanie go przebić. Tak mogło być dwa tygodnie temu, ale nie teraz. Nie widzi siebie w tych schwytyanych i torturowanych osobach, o których opowiadają uchodźcy. Trucizna uchroni ją przed takim losem. Ocali także *Mutti*. Nie czuje lęku. Już raz włożyła cyjanek do ust. Może to zrobić znowu. Wystarczy tylko przegryźć plastikową osłonkę. To takie proste.

- W Berlinie jest teraz dwa i pół miliona ludzi - mówi dalej kobieta. Podnosi trzęsący się palec jak kaznodzieja, ale nie ku niebu, lecz ku temu okropnemu miastu na górze, na powierzchni. - Dwa miliony z nich to kobiety. Reszta to bezsilni staruszkowie, którzy od czterdziestu lat nie mieli w rękach innych narzędzi niż grabie ogrodowe. A teraz otrzymali karabiny. I chłopcy. - Kobieta macha ręką jak kosą, przecinając powietrze zaledwie trzydzieści centymetrów od desek podłogowych. - Chłopcy, na rowerach, z pancerfaustami przeciwko czołgom! To mają być nasi obrońcy! Obrońcy Berlina!

Lottie w kieszeni obraca pigułkę między placem wskazującym a kciukiem. Nie dopadną jej.

Tej nocy to nie Berlin jest celem nalotu. Po trzech godzinach odzywają się syreny odwołujące alarm. Lottie podnosi się pierwsza. Taszczy wiolonczelę po schodach. Nic na to nie może poradzić, ale powoli zaczyna nienawidzić tego instrumentu. Jest wielki i nieporęczny, a taki wymagający - w przeciwieństwie do tych małych pigulek. Futerał głucho uderza o stopnie. Freya proponuje, że go poniesie, ale Lottie odmownie kręci głową. Nie jest zmęczona. Nie dlatego tak go ciągnie. Galiano jest jej kotwicą w tym życiu, i to ma mu za złe.

Po odwołaniu alarmu można na berlińskiej ulicy zobaczyć jedną z dwóch scen. Jeśli miasto zostało zbombardowane, to na ulicach szaleje morze ognia, unoszą się kłęby dymu i pyłu, leżą zabici, ludzie, którzy ocalili, biegną w jakimś szaleńczym transie, krzyczą i zawodzą, panuje chaos, a jednak wszyscy heroicznie sobie pomagają. Jeśli samoloty oszczędziły Berlin, mieszkańcy cicho wracają do tego, co pozostało z ich życia, z ich domów, niosąc z powrotem wszystkie te rzeczy, które za każdym razem zabierają ze sobą do schronu: walizki, teczki z dokumentami i prawdopodobnie biżuterią, obrazy, śpiące dzieci przewieszane na ramieniu. Kiedy milkną syreny, słychać ciche rozmowy, szuranie nóg i przejeżdżającą kolejkę. Ludzie wracają do domów z poszarzałymi twarzami i opuszczonymi ramionami. Jak upiory zdążające z powrotem do grobów przed wschodem słońca. Cyjanek w kieszeni Lottie nie wyzwolił jej jeszcze z tej znoјnej wędrówki. Jeszcze nie jest tak źle.

W drodze powrotnej na Goethestrasse Lottie i Freya milczą. Od kilku tygodni coraz mniej mają sobie do powiedzenia. Freya spędza większość czasu poza domem, zdobywając żywność. Racje na kartki żywnościowe zostały w tym miesiącu dwukrotnie zmniejszone. Z powodu trzeciej osoby, którą muszą wyżywić, obie prawie głodują. Kwartet smyczkowy Lottie nie wystąpił ani razu od dwóch tygodni. Orkiestra berlińska nie płaci im od trzech tygodni. Pieniądzy jest mało, a i te pochłaniają skromne zakupy na czarnym rynku. Lottie całymi dniami leży w łóżku albo gra na wiolonczeli. Skończył jej się puder, pasta do butów, pasta do zębów.

Gra na wiolonczeli, ale nie robi tego dla *Mutti* ani dla siebie. Nie gra dla nikogo. Po prostu bierze instrument i spędza przy nim cały dzień. W głębi duszy spodziewa się śmierci. Ale jest w niej jeszcze tyle muzyki, że zanim umrze, musi ją z siebie wydobyć. Spełnia swój obowiązek. Godzinami siedzi na kanapie w saloniku i gra. Nigdy nie robiła tego lepiej, choć gra nonszalancko.

Orkiestra filharmonii występuje zgodnie z planem, daje trzy, cztery koncerty tygodniowo. Tak będzie do końca kwietnia, do oficjalnego zakończenia sezonu. Muzycy są nerwowi, nie wiedzą, jaki los ich czeka. Krąży plotka, że młody wiolonczelista, koncertmistrz Taschner, zwrócił się do ministra Alberta Speera o pomoc. Speer obiecał, że coś zrobi. Po cichu mówi się, że wysłał jednego ze swoich oficerów do komisji poborowej, by zabrał i zniszczył dokumenty muzyków.

To jednak nie powstrzyma Goebbelsa. Jeśli ten pokurcz wymyślił sobie epicki koniec Berlina, dopilnuje, żeby wszyscy zagrali w nim swoje role.

Wszedłszy do domu Frei, Lottie stawia wiolonczelę w przedpokoju. Ciężkim krokiem idzie po schodach do siebie. Minęła pierwsza w nocy. W domu panuje chłód. Freya wchodzi do saloniku na dole, żeby poruszyć żar w kominiku. Pobrząkuje przy tym pogrzebaczem i nabiera szufelką węgla. Lottie zdejmuje tylko buty i w ubraniu kładzie się do łóżka.

Na dole otwierają się frontowe drzwi. Po chwili zamykają się cicho. W korytarzu słychać kroki. Freya z kimś rozmawia. Lottie podskakuje na materacu.

Żyd!

Był poza domem! Podczas alarmu przeciwlotniczego!

Odrzuca kołdrę. Zbiega po schodach.

Drzwi do piwnicy się zamykają.

- Ty! - Wymierza palec w tamtą stronę, jakby Żyd mógł zobaczyć jej oskarżycielski gest. - Wychodziłeś z domu!

Freya odkłada pogrzebacz. Zbliża się korytarzem.

- Lottie...

- Nie, nie! To jest nie do zniesienia.

Odwraca się znowu do drzwi piwnicy. Drewniane żółte deski, płaskie i szerokie, stały się dla niej twarzą i ciałem Żyda, jego samego przecież nigdy nie widziała.

Nie spuszczać z nich wzroku, zwraca się do *Mutti*:

- Wyszedł poza dom. To wbrew przepisom. Co będzie, jeśli go zatrzymają? Jeśli ktoś go zobaczy? Przyjdzie tu za nim gestapo! Co stanie się wtedy z nami, *Mutti*, no powiedz!

Freya podchodzi do córki. Lottie cofa się, ale matka kładzie jej rękę na ramieniu.

- Nic nam się nie stanie, *Liebchen*. On wyszedł na spacer. Jest ostrożny, obiecał mi to. Nie chodzi daleko. Siada na dworze i patrzy w gwiazdy. Trzyma się z dala od ludzi. Nie można siedzieć w piwnicy, nie wychodząc od czasu do czasu na świeże powietrze. To za duże wymagania. Za duże.

Lottie opadają kąciki ust. Jest zaszokowana.

- Za dużo od niego wymagam?

Po raz pierwszy od miesiąca, odkąd kazała Żydowi się wynosić, zwraca się do niego przez drzwi:

- Rzeczywiście za dużo od ciebie wymagam?

Gwałtownie zdejmuje dłoń matki ze swego ramienia.

On tam jest, na szczycie schodów, tuż za żółtymi drzwiami. Siedzi i słucha. Niczego nie wyjaśnia ani się nie broni. Nie wydaje głosu, nie słysząc nawet, by zaskrzypiało drewno.

Spaceruje sobie podczas alarmów przeciwlotniczych. Unika policji i SS. Pospiesznie wraca przed powrotem Lottie. Czy zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie naraża dobre kobiety, które go ukrywają? Jeśli tak, nie ryzykowałyby ich życia za cenę świeżego powietrza i widoku gwiazd.

Jeśli zobaczy go policja czy SS - a w końcu tak się stanie - przyjdą tutaj.

To nie do wytrzymania.

Lottie chwyta matkę za ramię. Ciągnie ją do saloniku, zamykając za sobą drzwi.

- *Mutti*.

- Tak?

- Posłuchaj mnie i postaraj się to zrozumieć. Złapią nas. A potem będą torturować. Poniżyć. I wreszcie nas zamordują.

Matka zachowuje spokój.

- Lottie, kochanie - mówி łagodnie. - Nie przejmuj się tymi strasznymi historiami, które opowiadała ta starsza pani w schronie. Obiecał mi, że będzie ostrożny. Nie ryzykuje bez potrzeby.

- Bez potrzeby - czyjej? Jego? Mam narażać życie, żeby on mógł rozprostować nogi? Czy ty nic nie rozumiesz? Jeśli jego złapią, złapią i nas. Kiedy on ryzykuje, i my ryzykujemy, potrzebnie czy niepotrzebnie!

Freya wyciąga rękę do córki. Lottie jednak nie odpowiada na ten gest. Dłoń Frei zawisa w powietrzu. Kobieta cofa rękę i splata ramiona na piersi.

- Przeżyliśmy już taki szmat wojny, *Liebchen*. Prawie sześć lat. Dożyjemy jej końca.

- To właśnie koniec tak mnie przeraża. Ten Żyd ściągnie na nas nazistów. Albo dopadną nas Rosjanie. Są tylko te dwie możliwości. Wiem to na pewno. Właściwie wszystko jedno, która z tych rzeczy się zdarzy. Nie chcę być świadkiem żadnej z nich.

- Alianci dotrą tu pierwsi. Wszystko będzie dobrze. -Nie.

- Nie odeślę go stąd, Lottie. Wiesz, że tego nie zrobię.

- Wiem.

- Co chcesz zrobić?

- Mam sposób...

Lottie wkłada rękę do kieszeni.

- ...możemy zrobić to razem.

Wyciąga w stronę matki cyjanek. Zamierza cofnąć rękę, gdyby *Mutti* chciała odebrać jej pigułki. Ale Freya stoi jak skamieniała.

- Skąd to masz?

- Dostałam po koncercie. Od nazistów.

- I ludzie to biorą?

Lottie unosi brwi, patrząc na matkę, tak ślepią na to, co się wokół dzieje.

-Tak.

- I uważasz, że ja... że my też powinniśmy je wziąć?

Proste pytanie, ale zaskakujące. Kiedy już zostaje wypowiedziane i pozostawione bez odpowiedzi, jak pozostała zawieszona w powietrzu dłoń *Mutti*, dwie pigułki w kieszeni Lottie nagle się przeobrażają. Do tej pory były obiektem fantazji, romantycznych i ulotnych jak babie lato. Lottie mogła je przemienić, w co chciała: w lśniącą tarczę albo w mary pogrzebowe, w cokolwiek, co pasowało do jej nastroju i okoliczności. Pigułki dawały jej możliwość uniknięcia żalosnego losu. Pozwalały być panią sytuacji, a nie ofiarą, kierować przeznaczeniem. Gdyby chciała, mogłaby paść zemdlona i umrzeć jak Brunhilda. Jej duszę zabrałyby walkirie. Mogłaby włożyć swoją najlepszą sukienkę i z wiolonczelą w ramionach położyć się na kanapie. Byłoby pięknie. Ale ten Żyd wszystko zepsuł. Teraz Lottie będzie musiała zwyczajnie połknąć truciznę, bo on, szwendając się po nocy, da się złapać. Jeśli nie zażyje pigułki, ostrzygą jej głowę, przewiozą na wózku przez cały Berlin, a tłum będzie obrzucać ją odpadkami. W końcu zostanie powieszona na haku. To Żyd o tym zdecydował, nie ona. On. Ukradł jej nadzieję, a wszystko to dla spaceru pod gwiazdami.

Freya unosi rękę, robi to ostrożnie, żeby Lottie nie zamknęła pigułek w dłoni.

- Mogę?

Lottie podsuwa jej kapsułki.

Freya bierze jedną z nich koniuszkami palców.

Upuszcza ją na podłogę. Rozgniąta obcasem, patrząc wciąż na Lottie. W jej oczach nie ma emocji. Odstawiając stopę, spogląda w dół. Plastikowa osłonka ukazuje sproszkowane wnętrze.

- Zatrzymaj tę drugą, *Liebchen*. Jeśli nie masz siły, połknij ją.

Lottie porusza szczęką, jakby dostała cios. Słowa Frei są takie zimne. Matka mówi córce, by umierała sama. Lottie by jej tego nie zrobiła. Przeciwnie - zapewniła ucieczkę im obu.

- Chodź ze mną - mówi Freya.

Otwiera drzwi na korytarz, przytrzymując je dla córki. Lottie obraca w dłoni pozostałą pigułkę.

- Chodź.

Lottie nie chce się poddać. Ma przy sobie pigułkę, może uciec od tego wszystkiego. Rozedrzeć opakowanie, rozgryźć kapsułkę i skończyć ze sobą.

Mutti w ciszy saloniku patrzy na nią surowo. Lottie słyszy jej stłumione westchnienie. To delikatny dźwięk, nie tak stalowy jak spojrzenie oczu. Lottie nosi w sobie wspomnienia minionych lat. Nie może usunąć ich z pamięci.

Pośród nich jest jedno dawno nie przywoływane. Myślała, że już zapomniała, że nie potrafi go odnaleźć, odkąd przestała słyszeć głos *Papy*. Jednak pod wpływem spojrzenia matki odnajduje je. Nie ma w nim już ojca, jakim go pamiętała - młodego i ujmującego. Jest tylko *Mutti*, z zapachem zupy, radosnym śmiechem i piosenkami śpiewanymi nad kołyską, a potem nad łóżeczkiem. Lottie niemal czuje w środku, pod żebrami, szturchnięcie małej dziewczynki. Dziecięcy głos mówi: Idź z nią. To *Mutti*. Z nią wszystko będzie dobrze.

Lottie wciąż trzyma w dłoni cyjanek. Czuje się w tym świecie taka bezradna - ma tylko truciznę. To jej jedyna broń. Ogarnia ją złość. Chciałaby rzucić tę kapsułkę w noc i zatruć cały Berlin. Chciałaby, żeby miasto umarło. Ona sama przeżyje, a Rosjanie i naziści mogą iść do diabła. Niestety, żadna pigułka nie zmieni już losu Berlina. Miasto zostanie zmasakrowane. A Lottie... Co się z nią stanie?

Freya czeka, przytrzymując drzwi jak odzwierny.

Lottie wsuwa samotną pigułkę do kieszeni i podchodzi z *Mutti* do drzwi piwnicy.

W korytarzu Freya bierze ją za rękę. Opiera się plecami o ścianę i powoli siada na podłodze. Pociąga Lottie za sobą. Przyciąga dłoń córki do siebie i tuli.

Dotykając się ramionami, siedzą obie naprzeciwko żółtych drzwi. Freya nic nie mówi, Lottie także milczy. Mijają minuty. Lottie przygląda się matce. Z twarzy *Mutti* znikła surowość. Teraz maluje się na niej powaga, nawet nabożność, jakby tamten Żyd za drzwiami był jakąś starożytną wyrocznią. Sprowadziła tu Lottie, żeby o coś zapytać.

- Julius? - mówi Freya.

Nie ma odpowiedzi.

A więc tak ma na imię ten Żyd. Wylania się jak w puzzlach, kawałek po kawałku. Właśnie otrzymał imię - Julius.

- Julius. Powiedz Lottie.

Lottie chciałaby zaprotestować. Ma ochotę pobiec na górę i położyć się do łóżka. Zrobiło się późno, jest wyczerpana. Nie zniesie już opowieści o cudzym nieszczęściu. Ledwie radzi sobie z własnym. Freya jednak głaszcze jej rękę, sprzedając protest, uspokajając ją. Mruczy:

- Ciii...

Żyd, Julius, nadal milczy.

Lottie uważa, że to głupota tak patrzeć w zamknięte drzwi i próbować poprzez nie rozmawiać.

- Dlaczego po prostu nie otworzyć drzwi? - pyta *Mutti*.

- Bo byłem już tej nocy na zewnątrz - odpowiadają drzwi. Freya ściska dłoń Lottie. Wyrocznia się odezwała.

- Przepraszam, że cię przestraszyłem - mówi.

Tak, przestraszył ją, i Lottie ma o to do niego pretensję - i za to, że siedzi teraz pod drzwiami, jakby uczestniczyła w jakimś obrzędzie. To Żyd, ukrywa się. Może wychodzić na dwór tylko wtedy, gdy inni schodzą pod ziemię. Dlaczego Lottie musi siedzieć na zimnej podłodze i rozmawiać z nim? Wolałaby nadal udawać, że on nie istnieje, nie znać jego imienia.

Jego głos jest niski, spokojny, trochę się łamie. To naturalne, rozmawia tylko z Freyą, i to rzadko. Mężczyzna nie wydaje się młody. Jest dojrzały, może w wieku *Mutti*. Przycupnął w ciemności na stopniu za drzwiami, choć mógłby usiąść z nimi i porozmawiać w cywilizowany sposób.

- No to wyjdź jeszcze raz.

Freya przenosi spojrzenie z drzwi na córkę. Nie wtrąca się do rozmowy.

- Nie wymagaj tego ode mnie - mówi Julius. Znowu to samo, myśli Lottie.

- Dlaczego?

- Bo nie chcę się przyzwyczaić.

Freya unosi rękę do oczu.

- Lottie? - pyta Julius.

Lottie wie, gdzie jest jego głowa - przy zawiasach, naprzeciwko gałki. - Tak?

- Wszyscy się boimy. Nie jesteś w tym osamotniona.

Następuje minuta milczenia. Mężczyzna nie jest już jakimś potworem, ale jak wygląda, tego sobie Lottie nie potrafi wyobrazić. Niewiele wie o Żydach, tylko tyle, ile mówiła o nich propaganda nazistowska. Widziała ich na ulicy i w sklepach za kontuarem. Nie zauważyła, by byli podobni do ciemnych, nalaných postaci z karykatur w gazetach i na plakatach. Opowieści o Żydach sprzedających własne dzieci, knujących w Syjonie spisek, by opanować świat, o Żydach-demonach miały budzić lęk, lecz były oszczerstwami, których nikt nie traktował poważnie. Lottie jednak nigdy nie przyjaźniła się z żadnym z nich. Byli wykluczeni z kręgów muzycznych, w których się obracała. Ich muzyka była zakazana przez większość jej życia. Żydzi są inni. Wprawiają ją w zakłopotanie, więc stara się o nich nie myśleć. Była dzieckiem, kiedy zaczęły się problemy z Żydami. I to nie były jej problemy.

- Wiesz, jak jest na zewnątrz podczas nalotów?

Dziwne pytanie. Podczas ich rozmowy jest spięty jak młody zalotnik, który dzwoni pierwszy raz.

- Nie.

- Najpierw nadlatuje samolot naprowadzający. Leci szybciej i niżej niż reszta. Zrzuca cztery flary, żeby wyznaczyć strefę zrzutu. Tuż za nim podąża pierwsza fala. Zrzucają bomby zapalające, wywołują pożary na dole, żeby następna eskadra mogła lepiej zobaczyć cele. Niebo się rozświetla, ziemia drży.

Widać spadające bomby. Wyglądają jak czarne jajka. Po niebie tam i z powrotem wędrują szperacze, które wyszukują samoloty. Działa przeciwlotnicze wystrzeliwiają pociski smugowe. Przypomina to wojnę bogów, wojnę światła z ciemnością. Wiesz, co wtedy robię?

- Nie.

- Śmieję się w duchu za każdym razem, gdy na Berlin spada bomba. - Urywa na chwilę. - Wiem, że to brzmi okropnie.

Tak, rzeczywiście. Freya jednak zaprzecza:

- Nie, Julius, wcale nie.

- Lottie?

- Słucham.

- Wiesz, odkąd Żydzi mieszkają w Berlinie?

Znowu dziwne pytanie. Przeskakuje z tematu na temat. Chyba odwykł od rozmowy, tyle miesięcy siedzi zamknięty w piwnicy. A ile lat spędził w innych kryjówkach?

- Nie. Od kiedy?

- Najstarszy grób żydowski znajduje się w Spandau. Na płycie wyryty jest rok 1244.

- Widziałeś ten grób?

- Tak, jako mały chłopiec.

Kolejny element układanki. Okazuje się, że Julius miał jakieś dzieciństwo. Lottie wyobraża sobie chłopca w podkolanówkach i czapce na starym, opuszczonym cmentarzu. Jakiś zasuszony staruszek w kapeluszu trzyma go za rękę, może dziadek, i opowiada mu długą historię Żydów w Berlinie.

Jakby czytając w jej myślach, Żyd mówi:

- Kiedy zaczęła się wojna, było tu ponad sto pięćdziesiąt tysięcy Żydów. W czterdziestym trzecim roku pozostało już niespełna dwadzieścia pięć tysięcy.

Nie musi nic więcej dodawać, ten straszliwy rachunek mówi sam za siebie. Julius jest chyba jednym z ostatnich Żydów w tym mieście.

Lottie zerka z boku na *Mutti*. Spojrzenie matki utkwione jest w żółtych drzwiach. Lottie też przenosi tam wzrok, usiłując zobaczyć to, co widzi Freya - obrazy, które ten Żyd maluje swoim barytonem, snując nie powiązane ze sobą opowieści, smutne i zastanawiające.

Zaskakuje ją jej własna pamięć. Stłuczone szyby, kawałki szkła na chodnikach, zdewastowane witryny sklepowe, synagogi, mieszkania. Mała Lottie wędruje wśród odłamków szkła, lękając się ich gniewu. Boi się, że mogłyby przez but skaleczyć ją w stopę. Szkło trzeszczy pod jej stopami, a ona sama czuje się jak potwór chodzący po czyichś kościach. Biegnie do domu, starając się omijać. A potem nie wychodzi przez parę dni. Udaje, że jest chora, nie mówi *Mutti*, że się boi. Plakaty i hasła. Pełne nienawiści slogany. Tani biały

papier i czarna farba. Żółte gwiazdy naszyte na ubraniach. Szeptem opowiadane historie o Hausjuden - dobrych Żydach. Każdy znał jedną czy dwie żydowskie rodziny, które nie zasługiwały na to oczy tamto. Przepisy. Przepisy rasowe. Przepisy dotyczące handlu, pracy, działalności artystycznej. Ciężarówka. Turkoczące po mokrym bruku wcześniej rano. Lottie wygląda przez okno zza zasłony. Mężczyźni, kobiety, dzieci stłoczeni jak bydło w zagrodzie. Mają na sobie tyle ubrań, ile tylko da się włożyć, nawet w lecie - kapelusze, płaszcze, szaliki, rękawiczki. Pociągi. Wyruszające ze stacji Anhalter wagony towarowe, przetaczające się przez miasto w kierunku wschodnim, wypełnione po brzegi. Błede palce wystające przez wszelkie otwory. Nazwy. Terezin, Ravensbrück, Sachsenhausen.

Lottie zna to wszystko. Oczywiście. Każdy berlińczyk się z tym zetknął. Każdy z nich miał swojego rzeźnika, modystkę, lekarza, nauczyciela, księgowego i w pewnym momencie musiał znaleźć nowego, bo tamten nagle zniknął. Bo zabrano go wraz z rodziną. Bo jego dom zajęli nazistowscy urzędnicy albo jakaś aryjska rodzina. Przez dwanaście lat, odkąd rozpętano prześladowania, Lottie stara się postępować jak najlepsi berlińczycy: nie przysparzać Żydom dodatkowych kłopotów. Zostawiać ich w spokoju. To tradycja. Sięgająca siedemset lat.

Żyd Julius opowiada, specjalnie dla Lottie. Wspomina swoje życie. Tak, to przerażająca historia, nie ma wątpliwości. Jego żona była gojką. Chroniła go, ale zginęła podczas nalotu. W ten sposób stracił jedyną osobę, na którą mógł liczyć. Stracił też pracę w fabryce broni. Ukrywa się dnie i noce, stał się U-Bootem, okrętem podwodnym, wyrzutkiem. Boi się zdrady. Walczy z głodem, strachem, beznadzieją. Goebbels tropi Żydów, chce za wszelką cenę uczynić z Berlina, stolicy Rzeszy, miasto *Judenfrei*. Lottie słucha tego wszystkiego z roztargnieniem. Losy Juliusa są rzeczywiście tragiczne, nie mieszczą się w wyobraźni. Nie potrafi jednak zrozumieć takiej woli życia, gotowości znoszenia wszystkich tych cierpień. Poznała nieco siłę takiego płomienia w muzyce wielkich kompozytorów. W głosie Juliusa pojawiają się horyzonty Beethovena, bicie serca Wagnera, oddech Mozarta. Jego opowieść o zagładzie i wytrzymałości jest jak z dramatu operowego. I choć Lottie słyszy tę muzykę, nie potrafi jej oddać, więc cierpienia Żyda Juliusa nie robią na niej wrażenia. Jego głos zostaje zagłuszony dawnym, wygodnym rozumowaniem Niemców. Jeśli cały naród tak cierpi, to znaczy, że musiał na to z jakiegoś powodu zasłużyć, *nicht wahr?*

Czego on oczekuje od Lottie, opowiadając jej to wszystko? Że ona się zmieni? Że wysłuchawszy o jego nieszczęściach, stanie się kimś lepszym? Że od tej chwili będzie myślała tylko o tym, żeby zapewnić mu bezpieczeństwo,

i zapomni o sobie? Że stanie się tak dobra jak *Mutti*, odważna i zdesperowana jak on?

Nie. Lottie wiedziała o tym wszystkim, co przeżył, zanim jeszcze go poznała. Ale przemykała na to oczy. Tak, owszem, przyznaje - los Żydów był jej obojętny. A to, że przypomniano jej o nim w jej własnym domu, wcale nie znaczy, że coś się nagle zmieni. Jeśli tak się miało stać, już by się stało.

Lottie chce tylko przeżyć. To jedyna rzecz, której się o sobie dowiedziała, tkwiąc tu, pod żółtymi drzwiami Juliusa. Nie pragnie być tak cholernie szlachetna, spokojna i silna. Jest wspaniałą wiolonczelistką - w jej życiu nie brak wzniosłych celów ani wartości. Żyd siedzi w piwnicy, bo nie chce przyzwyczaić się do swobody. Co za samodyscyplina! Godna podziwu!

Sięga do kieszeni, szukając kapsułki z cyjankiem. Uwalnia rękę ze spoczonej dłoni Frei. Palce matki są z wierzchu wilgotne od ocierania łez.

Podaje jej truciznę.

- Masz - mówi wstając, żeby pójść do łóżka. - Daj to Juliusowi na wypadek, gdyby nawet dla niego życie stało się zbyt trudne.

9 marca 1945, godzina 9.15 9

Armia Amerykańska

Krefeld, Niemcy

Bandy rzuca się na posłanie - pada najpierw na kolana, kładąc się etapami, jak wielbłąd. Rozstawia szeroko nogi, żeby nie stracić równowagi i sięga do swoich licznych kieszeni. Wysypuje z nich na matę kasetki z filmami i papiery, jak chłopiec, który choć zmęczony, chce obejrzeć z trudem zdobyte skarby.

Do Krefeld przyjechał autostopem wczoraj, dzień po batalionie zwiadowczym 9 Armii. Znalazł schronienie w piwnicy zburzonej piekarni na obrzeżach miasteczka. Ulica na zewnątrz jest tak samo zrujnowana jak zabudowania. Bandy zauważył, że zniszczenie rozprzestrzeniło się na kolejne niemieckie wioski i miasta jak ciepło, które stopniowo ogarnia cały garnek na kuchence.

Podobnie jak inne miasta, do których od dwóch tygodni wkraczają alianci, posuwając się na wschód, Krefeld, położone sześć i pół kilometra na zachód od Renu, broniło się do wyczerpania amunicji i woli walki zgrupowanych tu Niemców, po czym nagle skapitulowało. Jest w tym jakaś tragikomiczna prawidłowość. Miejscowi esesmani wystali do walki fanatycznych chłopców z pancerfaustami oraz podstarzałych żołnierzy Volkssturmu uzbrojonych w karabiny z pierwszej wojny światowej. Jedni i drudzy walczyli z zadziwiająco energią. Amerykanie podziurawili niczym ser szwajcarski wszystkie budynki, z których unosił się choćby obłoczek dymu. Czołgi zrównały z ziemią każdy

gmach z nazistowskim sztandarem, oszczędzając tylko te z wywieszonymi białymi flagami. Piechota została z tyłu i pozwoliła artylerii zrobić, ile się da. Żołnierze, którzy potem wkroczyli do miasta, starali się nie strzelać do nastolatków przemieszczających się z miejsca na miejsce na rowerach, z przewieszoną na kierownicy bronią przeciwpancerną, oraz do uzbrojonych starszych mężczyzn w rękawicach ogrodniczych. Jednak w walce nie da się uniknąć ofiar wśród ludności cywilnej. Zawsze w pewnej chwili, długo po tym, kiedy staje się oczywiste, że opór jest daremny, podnoszą się do góry ręce, pada na ziemię broń i zewsząd rozlegają się okrzyki: *Nicht schiessen, nicht schiessen! Halten Sie, bitte!* Do Amerykanów podchodzą kobiety, ocalałe mieszkanki wiosek i miast. Dziękują im, że przybyli tu przed Rosjanami. Całują na pożegnanie pozostałych przy życiu synów, mężów i ojców, zanim zostaną zabrani na tyły. Zabitych okrywają białymi flagami.

Bandy fotografuje pięknych jasnowłosych chłopców i posiwiiałych weteranów pierwszej wojny światowej, którzy polegli wraz z żołnierzami doborowych oddziałów hitlerowskich. Fotografuje jeńców i o pomarszczonych twarzach, i o jędrnych świeżych policzkach, starszych i młodszych. Ich oczy wyrażają to samo - lęk, ale także ulgę. Podobnie jak żołnierze, którzy eskortują ich na tyły, Bandy zastanawia się, czy to możliwe, że te same twarze jeszcze godzinę temu tkwiły za celownikami. Co wtedy wyrażały? Bandy chciałby nienawidzić Niemców za to, że tak szafują tym, co im jeszcze pozostało, bogactwem, jakim są ludzie. Jednak nie może się na to zdobyć. Jest zbyt zmęczony. Czasami próbuje wejrzeć w siebie. Ale znajduje tam tylko pustkę. Nie ma tam nienawiści, gniewu czy nawet smutku. W chwilach, gdy rozlega się huk broni wymierzonej w niego i w ludzi, którym towarzyszy, Bandy czuje strach i jednocześnie ożywienie. Ale gdy robi się cicho, jak tego rana, przygląda się rzezi, jaka się wokół dokonała, przez dziwny filtr swego umysłu. Coraz częściej postrzega wojnę z dystansu, jakby należała już do przeszłości, była Historią. To, co fotografuje - zmasakrowane istoty ludzkie czy zniszczone obiekty - zostaje sprowadzone przez ogniskową aparatu do monochromatycznych wizji, które ukażą się jako dwuwymiarowy obraz na kartach książki albo czasopisma. Nie patrzy więc na to wszystko tu i teraz - patrzy jak na przeszłość.

Nieśmiertelna Historia. Bandy ma wrażenie, że sam też staje się wieczny.

Victoria powiedziała mu, że tak nie można. Człowiek musi żyć własnym życiem i we własnym czasie, należeć tylko do teraźniejszości. Ostrzegająca, że Historia go zagarnie.

Bandy jest zbyt zmęczony w tej chwili, żeby zastanawiać się dłużej nad Historią lub własną żoną. Zajmują tę samą szufladkę w jego głowie. Są jak podpórki do książek, między którymi znajduje się wojna. Zsuwa filmy z postania i kładzie na nim głowę. Wciąga głęboko powietrze. Drewniane półki na ścianie

piwnicy pod piekarnią wydzielają zapach chleba, którym nasiąkały pewnie od stu lat. Bandy myśli z zadowoleniem, że jest jednak coś trwałego, coś, czego nie unicestwi nawet wojna. Woń mąki, zboża, pumpernika, drożdży, brzęk monet na połamanych stołach na górze, przybrudzone białe fartuchy wciąż wiszące na wieszakach. Od tego wszystkiego robi mu się ciepłej na sercu.

Tego rana pojechał do zbombardowanej Kolonii, niegdyś największej niemieckiej metropolii na zachód od Renu, położonej ponad trzydzieści kilometrów na południe od Krefeld. Chciał sfotografować poczerwiałe ruiny o świcie, gdy słońce jest jeszcze nisko. Alianci zrzucili na Kolonię bomby zapalające. Pozostała z niej tylko słynna katedra, klejnot architektury średniowiecznej - jedyny budynek, który bomby szczęśliwie ominęły.

Bandy miał ochotę zostać tam wraz z 1 Armią, która właśnie wkroczyła do miasta. Wciąż, jak konia, typuje zwycięzcę w wyścigu do Berlina. Ale Jedynek dowodzi Hodges, a Bandy pamięta, że Ike radził mu trzymać się północnej trasy i 21 Grupy Armii Monty'ego.

Studiując mapy i wyciągając informacje od oficerów, Bandy, jak gracz na wyścigach, rozważa wszystkie za i przeciw. Wykorzystując swoje reporterskie doświadczenie, dokonał oceny sytuacji. Na południe od Kolonii - tylko tam są dogodne warunki do przekroczenia Renu. Ale z kolei za rzeką w kierunku wschodnim rozciągają się gęste lasy z wąskimi dolinami, pasmami wzgórz i nielicznymi drogami, które nadawałyby się dla wojska. Nie są to tereny do działań ofensywnych. A im dalej na południe, tym bardziej wydłuża się droga do Berlina. I tym mniej prawdopodobne staje się, by któraś z podążających tamtędy armii dotarła do stolicy Rzeszy jako pierwsza.

Natomiast na północy Montgomery ma mnóstwo doskonałych punktów do przerzutu wojsk za Ren i odpowiednie drogi dla sprzętu zmechanizowanego. Przebiegająca przez obszary równinne autostrada prowadzi prosto do Berlina. Poza tym na tej trasie leży kilka ważnych dla aliantów obiektów, zwłaszcza przemysłowe Zagłębie Ruhry i wyrzutnie pocisków V-1 i V-2 w Holandii. A co najważniejsze, Monty otrzymał od Eisenhowera obietnicę wsparcia i zapewnienie, że to jego trasa będzie trasą berlińską.

O świcie tego rana Bandy znalazł się w Kolonii. Przeraziły go zniszczenia, które zobaczył - straszliwe świadectwo potęgi alianckich bombardowców. Mosty na Renie zostały wysadzone przez wycofujących się Niemców. Gdy zza horyzontu wyrzało słońce, wśród ruin pojawiły się kobiety, młodsze i starsze, które zabrały się do zamywania ulic miotłami ze słomy. Dzieci zaczęły zbierać i czyścić cegły, sklepikarze odgruzowywali miejsca na stragany. Bandy uchwycił moment, gdy życie - to prawdziwe, tętniące - wypuszcza z popiołów nowe pędy. Sfotografował amerykańskich żołnierzy, jak stoją zdumieni, z rękami na biodrach, przyglądając się czemuś, co musiało im się wydawać beznadziejnym

trudem. Kiedy skończył, wrócił do Krefeld i swojej pachnącej chlebem kwatery.

Na schodach słyhać czyjeś kroki. Bandy siada. Spogląda na zegarek, jest już po północy. Bola go plecy, kark ma sztywny. Wygodniej byłoby spać na ziemi niż na betonie. Ale woli normalny dach i ściany od płótna namiotu.

Do piwnicy wchodzi młody oficer prasowy. Jest wysoki i szczupły. Porusza się niezgrabnie, wygląda, jakby składał się tylko z kolan i łokci. Istny wieszak na ubrania.

- Pan Bandy? Jak się pan miewa?

Bandy wstaje obolały. Robi się za stary do tej roboty.

- Dobrze. - Spogląda na srebrną belkę.

- Porucznik...

- Rubin, sir.

- Rubin. - Podają sobie ręce. - Czym mogę służyć, poruczniku?

- Tylko zajrzałem, sir. Jestem tu nowy. Wiele o panu słyszałem i chciałem pana poznać. Zapytać, czy mógłbym w czymś pomóc. Wszyscy uważamy, że robi pan świetną robotę dla Dziewiątki. Trochę utknęliśmy tu, u Montgomery'ego. Większość amerykańskich dziennikarzy jest na południu, z Pattonem i Bradleyem. Cieszymy się więc, że pan jest z nami. Jeśli mógłbym coś dla pana zrobić, proszę tylko powiedzieć.

- Informujcie mnie na bieżąco - odpowiada Bandy. Mówi zmęczonym tonem. Uśmiecha się z wysiłkiem. - Nie cierpię dowiadywać się ważnych rzeczy na końcu.

Rubin kiwa głową energicznie. Jego hełm podskakuje. Bandy mógłby się założyć, że chłopak wszystko robi tak sztywno. Młodzi żołnierze frontowi tracą tę kanciastość, gdy przeleci im nad głową pierwszy pocisk. Rubin jest w porządku, ale to chłopak z prasy, nie żołnierz. Nie czuje zmęczenia, nie wie co to duma i strach, tak dobrze znane ludziom walczącym w pierwszych szeregach. Wielu z nich jest na froncie od D-Day. Mają nadzieję, że odniosą ranę „za milion dolarów”, taką, od której się nie ginie, tylko dostaje od Czerwonego Krzyża bilet powrotny do Stanów. Bandy wręczy temu miłemu porucznikowi Rubinowi wywołany film, żeby wysłał go do cenzury. Przeczyta jego raporty, weźmie udział w odprawach, przejedzie się z nim, jeśli będzie taka potrzeba. Ale to wszystko. Nie ma wyrzutów sumienia z powodu takiego nastawienia do tego wysokiego chudego oficera prasowego. Potrafi wyczytać z twarzy doświadczenia wojenne, tak jak generałowe odczytują z mapy ruchy Wojsk. Ludzie na jego zdjęciach, żywi czy umarli, są w pewien sposób do siebie podobni, łączy ich tajemne braterstwo.

Ten dzieciak chciałby jeszcze pogadać. Taki jest jego udział w wojnie. Bandy patrzy na niego zmęczonym wzrokiem. Przykłęka na postaniu między rolkami filmów.

- Och, panie Bandy - mówi Rubin. - Jeśli chodzi o najnowsze informacje, to nie wiem, czy pan wie... Mamy most.

Bandy prostuje się, jakby podskoczył na trampolinie.

- Co takiego?

- Mamy most. Na Renie.

- Gdzie? Kiedy go zdobyliście?

- Cóż - młody oficer wykonuje coś w rodzaju przepraszającego gestu - w Remagen.

Remagen. Trzydzieści osiem kilometrów na południe od Kolonii. Dokładnie pośrodku odcinka 1 Armii Courtneya Hodgesa. Nic nie znaczące miasteczko między Bonn a Koblencją...

- Ściśle mówiąc, to my go nie zdobyliśmy. Ale...

Bandy unosi otwartą dłoń, co ma oznaczać: cisza. Rubin zaraz wda się w wyjaśnienia, że tak naprawdę to „my”, czyli Amerykanie, odkryliśmy ten most.

- Kiedy?

- Dwa dni temu, siódmego. Szwaby próbowały go wysadzić, ale w powietrze wyleciały tylko filary i konstrukcja osiadła. Zdziwiający. To duży most kolejowy, nazywa się Ludendorff. Dziewięta Dywizja Pancerna przeprowadzała rekonesans i natknęła się na niego. Uwierzy pan? To naprawdę przełom. Słyszałem, że Pierwsza Armia przepравиła już przez rzekę całe dwie dywizje. Siódmego marca wypadły akurat ostatki. Założę się, że „góra” świętuje.

Zdaniem Bandy'ego opowieść Rubina jest zbyt barwna, żeby była prawdziwa. Ale Charles Bandy jest pewnie jedynym Amerykaninem w Europie, któremu wydaje się to podejrzane. Wizja karnawałowych masek i confetti w ostatki jakoś mu nie pasuje.

Obraca się na pięcie, bierze hełm i torbę z aparatami. Zbiera filmy z podłogi i wkłada je do kieszeni. Rubin usuwa się w tył, żeby mu nie przeszkadzać.

Bandy nic nie mówi. Po spakowaniu ubrań i jedzenia, które powinny wystarczyć mu na kilka dni, szybko mija wysokiego chłopaka i paroma susami pokonuje schody. Przebiega przez zdewastowaną piekarnię i jest już na ulicy pośród ruin, pod szarym, wilgotnym niebem. Tu się zatrzymuje.

Obok niego przejeżdżają ciężarówki ciągnące działa artyleryjskie. Żołnierze niosą skrzynie i broń. Bandy stoi w samym środku wojennej nocy w Krefeld, po niewłaściwej stronie Renu.

Siada na krawężniku. Kolana sterczą mu wysoko, torba ląduje między jego kostkami.

- Dokąd mam jechać? - pyta samego siebie w nadziei, że gdzieś znajdzie odpowiedź.

Dogania go Rubin.

- Panie Bandy, dokąd się pan wybiera?

Dwa tygodnie. 1 Armia znacznie wyprzedziłaby Montgomery'ego dzięki temu cudownemu mostowi w jakimś tam Remagen. Monty nie przedostanie się na drugą stronę Renu przed 24 marca. Jeszcze dwa tygodnie.

Bandy nie może podjąć decyzji. Typowany przez niego rumak zapowiadał się dobrze po starcie. Ale na pierwszym cholernym zakręcie wziął go czarny koń. Remagen. Niemcy wysadzili most, urządzając ostatkowe fajerwerki. Ale dlaczego nie runął do wody?

Remagen leży w samym sercu królestwa Bradleya. Generał Omar Bradley, dowódca 12 Grupy Armii, w której skład wchodzi Jedyńka. Pupil Ike'a, kolega z West Point.

Och, Ike zrobił sobie świetny żart.

Bandy przypomina sobie, z jaką pogardą Eisenhower opowiadał o swoich zmaganiach z Montgomerym. Wszyscy korespondenci wojenni w Europie wiedzą o ich napiętych stosunkach. Od czasu lądowania w Normandii Ike i Monty ciągle się żrą. Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Teraz, gdy wreszcie nastąpił przełom, Eisenhower może wykorzystać rezerwy i ruszyć naprzód. Ma szczęście, myśli Bandy. Remagen spadł mu jak z nieba. Wszystkie mosty na Renie zostały zniszczone - na długości sześciuset pięćdziesięciu kilometrów, od Holandii po Szwajcarię. A tu Omar Bradley znajduje jeden ocalały.

To mogłoby przesunąć punkt ciężkości wszelkich działań ku siłom Bradleya usytuowanym po środku, z dala od Brytyjczyków na północy. Gdyby Ike tylko chciał - a zdaniem Bandy'ego jest to prawdopodobne - mógłby dać Monty'emu po nosie. Nie z powodów politycznych czy prywatnych, co poczytano by mu za złe. Ale ze względów strategicznych. Jako naczelny dowódca wykorzystałby po prostu szczęśliwy zbieg okoliczności. Nieprzewidywalny, choć uwzględniany w dalekowzrocznych planach wojennych.

Czy Bandy powinien więc skierować się do Remagen, czy dołączyć do 1 Armii?

A może pozostać na miejscu, stawiając na Monty'ego?

Bradley mógłby wyprzedzić wszystkich. Kto wie, gdzie byłby za dwa tygodnie? Ale ma niełatwą drogę przed sobą. I jego siły są rozproszone na środkowym i południowym odcinku. Berlin nigdy nie był w zasięgu 12 Grupy Armii. Czyżby Bradley i Ike zmienili plany i zamierzali uderzyć na północny wschód?

Montgomery jest rozważny, posuwa się wolno. Ale ma najlepszą trasę i nie zadowoli go nic poza zdobyciem Berlina.

Niebawem będzie za późno na jakąkolwiek decyzję. Gdy tylko obie grupy armii pokonają rolnicze tereny Niemiec, wyrwą do przodu. A wtedy nie będzie czasu, by przetrząść się z jednej do drugiej.

Kto pierwszy dotrze do Berlina? 20 czy 21 Grupa Armii? Co zrobi Eisenhower?

Stojący na chodniku za Bandym Rubin ponawia pytanie: - Proszę pana. Dokąd pan jedzie?

10 marca 1945, godzina 6.40
Dziesięć kilometrów na wschód od Odry
Słońsk, Polska

Odgłosy strzałów zdają się nie milknąć w jego głowie ani na chwilę.

Ale to nie figle wyobraźni. Słyszy je w turkocie przejeżdżającej ciężarówki, w szumie potoku płynącego wśród skał czy w echach prawdziwej strzelaniny gdzieś w oddali. Często zastanawia się, czy te odgłosy nie są aby dźwiękiem tego świata, które on, jak lekarz przykładający stetoskop do piersi pacjenta, wychwytuje - niesłyszalny, głęboki szmer, objaw życia i zapowiedź śmierci.

Ilja śpi jak żołnierz. Nic mu się nie śni. Wciąż pozostaje czujny, na pograniczu czuwania. Wie, że jest mu zimno. Wie, że leży zwinięty na boku w okopie, który wykopał tydzień temu. Wie, że przenika go wilgoć. Słyszy pojedyncze strzały, jazgot karabinów maszynowych. Nie próbuje ustalić, czy są to prawdziwe odgłosy walki, czy też wrażenie, za którym kryje się coś zupełnie niewinnego. Jest pogrążony w półśnie. Strzały też są na wpół rzeczywiste. To wszystko.

Ramiona ma ociężałe jak po przepiciu. Nie jest już zmęczony, powinien się obudzić. Ciężar, który czuje, nie daje ciepła, nie jest przyjemny. Przygniata go do ziemi, zniechęcając do wstania. W tym dziwnym stanie, gdy dźwięk jest przytłumiony, a obraz zamazany, wszystko, co dochodzi z zewnątrz, jest niewyraźne. Wtedy Ilja może zмагаć się ze swoimi myślami.

Prześladuje go obraz niemieckich jeńców na drodze. Ilja walczy na wojnie od 1942 roku. Częściej brał do ręki karabin niż jakikolwiek inny przedmiot, częściej niż szczoteczka do zębów, młotek czy pióro. Widział krew prawie każdego z tych ludzi, których twarze oglądał. O takich rzeczach czyta się w książkach - żołnierz cierpiący na manię prześladowczą z powodu jakiegoś czynu. Na przykład masakry niemieckich jeńców. Ilja czuje niepokój, bo pojawiają się znowu na drodze - żywi. Płaszcz i wełniane czapki. Potykają się. Kulą ze strachu pod gradem obelg. On odwraca się jak wtedy. I znowu to samo - odgłosy strzałów. Tym razem ma pewność, że są prawdziwe.

Cokolwiek to jest, wyrzuty sumienia czy żal, chciałby to w sobie zwalczyć. Nie może jednak rozeznaczyć się w swoich uczuciach. Są znacznie mniej wyraźne niż obraz żołnierzy w ostatniej minucie ich życia. Ilja ma wrażenie, że gdyby

potrafił uporać się w rozsądny sposób z wyrzutami sumienia, scena zapadłaby się gdzieś w zakamarkach pamięci, dołączając do innych obrazów z wojny, które należą już do przeszłości. Gdyby wizja egzekucji niemieckich jeńców zniknęła, może wraz z nią zamilkłyby wreszcie te nieustające odgłosy strzałów.

Otwiera oczy. Siada. Ma zdrętwiałe ramiona i biodra. Nad głową widzi jaśniejące niebo, wyjątkowo niskie tego dnia. Jakby bogowie podkradli się bliżej, żeby podpatrzeć, co też Armia Czerwona porabia kilka dni przed wkroczeniem na terytorium wroga.

W niezдоровym świetle dnia nie czuje już żadnych wyrzutów sumienia. Ani cienia żalu. Tak długo odpychał te uczucia od siebie, bronił się przed nimi. gdy go osaczały, że teraz, kiedy mogłyby mu pomóc, nie może ich przywołać. Odrywa spojrzenie od chmur i spogląda na ścianę jednoosobowego okopu, jego wilgotną ziemię, ten pojemnik, w którym zmieścił wszystkie swoje uczynki.

No, osądź mnie. Przeklnij.

Nic.

Z miasteczka dochodzi terkot broni.

Znowu. A więc nie uzyskał przebaczenia.

Z kieszeni na piersi wyjmuje machorkę i kawałek gazety. Nie bardzo umie robić skręty. Ma za duże ręce jak na taką precyzyjną czynność i prawie zawsze opuchnięte palce. Papier się rozwija, wysypując trochę tytoniu. Ilja liże brzeg skręta i zakleja z powrotem. Zapala. Krztusi się i kaszle. Nie może się zaciągnąć, ale próbuje jeszcze raz. Świństwo, myśli, co za świństwo.

Wstaje. Teren wokół usiany jest pojedynczymi okopami. Ilja zarzuca na ramię karabin i wyskakuje z dołu. Drapie się po plecach, pociera ogoloną głowę i rusza przed siebie. Pole jest puste, cała kompania poszła do miasteczka. Ilję pozostawiono w okopie, żeby się wyspał. Może Misza próbował go obudzić, potrząsał nim, ale bez powodzenia. Tak się już zdarzało.

Ilja jeszcze raz zaciąga się dymem i rzuca skręta na ziemię. Przydeptuje go, ruszając do Słońska.

W miasteczku zatrzymuje się przy ruinach sklepu z artykułami żelaznymi. Siada na drewnianej beczce. Jest wysoka, Ilja nie sięga nogami ziemi. Zastanawia się, co w niej kiedyś przechowywano. Nie potrafi czytać po polsku. Może gwoździe, na pewno coś ciężkiego. Unosi nogi na dekiel i przyciąga je do piersi.

Ze swego miejsca przygląda się nadgryzanemu kulami czteropiętrowemu budynkowi w centrum miasteczka. Pociski, jak szarańcza na żdźbłach pszenicy, zamieniają zaprawę murarską i cegły w pył. Budynek wygląda, jakby parował. Ilja zapala następnego skręta. Dym, którym się zaciąga, pozostaje w płucach i już tak nie drażni gardła. Ściana sklepu za jego plecami jest nierówna. Ilja przesuwa się, żeby znaleźć miejsce wygodniejsze dla kręgosłupa.

Ostrzał budynku z ulicy przebiega nie tak, jak powinien. Żołnierze celują w dolny rząd okien. Pociski nadlatują tylko z jednej strony.

Ilja spluwa. Opuszcza nogi i zeskakuje na ziemię. Beczka chwieje się za nim. Stawia karabin, opierając go o ścianę - zaraz tu wróci. Rusza środkiem w dół ulicy. Dochodzi prawie do linii ostrzału, do miejsca, gdzie słyszy już świst kul. Macha rękami i strzelanina ustaje. Przykłada do ust dłonie złożone w trąbkę.

- Misza!

Z budynku w głębi ulicy odzywa się głos:

- Co jest? Cofnij się!

- Chodź tu!

Brak odpowiedzi. Ilja widzi lufy radzieckich karabinów, które wystają z kilkunastu wybitych, poczerńiałych okien.

- Misza!

- Tak, tak, dobra! - głos Miszy brzmi nieprzyjemnie.

Ilja czeka na ulicy. Gorzki posmak dymu papierosowego szczypie go w język. To wina Miszy, że zaczął palić. W ciszy budynek za Ilją otacza się powoli pyłem, jakby wiedział, co ma robić, nawet wtedy, gdy nie nękają go kule.

Misza pojawia się w drzwiach. Wydaje jakieś rozkazy, zanim wyjdzie. Jest teraz sierżantem i dowodzi plutonem, jak Ilja. Razem mają pod komendą pięćdziesięciu ludzi. Po bitwie o cytadelę zostali przez Puszkowa awansowani. Misza - za bystrość, Ilja - za męstwo. Za to, że poprowadzili ludzi do walki Batalion poniósł w Poznaniu olbrzymie straty. Przysłano im uzupełnienia, nowych ludzi skazanych na służbę w kompanii karnej. Ale to niedoświadczeni żołnierze. Niektórzy byli w niewoli niemieckiej przez parę lat, inni są po prostu tępi. Ale wszystkich przepęlnia gniew. Pragną tylko dotrzeć przez Odrę do Berlina i zetrzeć z powierzchni ziemi wszystko, co tylko napotkają po drodze. I zrobią to - jako armia. Misza i Ilja mają ich przeszkolić w tym nadgranicznym polskim miasteczku, którego ludność ewakuowano.

O tym, że niemieccy jeńcy nie dotarli na tyły, nikt nawet nie wspomniał. Nie padło na ten temat ani jedno słowo od chwili, gdy na samotnej drodze, nawiedzanej przez kruki, zamilkły karabiny. Od tej sekundy, kiedy ostatni Niemiec dotknął głową ziemi i tak na niej pozostał. Ilja odwrócił się i patrzył, jak gadają rozstrzeliwani. Nie chciał tego oglądać, ale tak stać do nich plecami... To kosztowało zbyt dużo wysiłku. Łatwiej było patrzeć. Jeszcze łatwiej przychodzi przypominanie sobie wszystkiego.

Oprawcy cały czas milczeli. Dym z karabinów się rozwiął, jakby był ostatnim dowodem istnienia tych sześćdziesięciu Niemców i wraz z jego zniknięciem przestało istnieć także całe zajście. Radzieccy żołnierze zarzucili na ramiona gorącą jeszcze broń i zawrócili na zachód, tam, skąd przyszli. Ciała

zabitych pozostawili na drodze. Ilja zatrzymał się z tyłu, by spojrzeć na szary stos. Sześćdziesiąt beładnie leżących zwłok. Próbował wyobrazić sobie życie, które zostało tu unicestwione. Wydarzenia, które już nigdy nie nastąpią. Osierocone dzieci. I w tym momencie wojna po raz pierwszy straciła dla niego sens. To były tylko zwłoki, a zwłoki już widywał. Dobrze, że były to niemieckie zwłoki. To wszystko, co czuł Ilja - pustkę. Kilometr dalej Misza zatrzymał się z ludźmi, czekając, by Ilja do nich dołączył. Szli w milczeniu. Jeden z żołnierzy zaczął robić skręty. Misza, który do tej pory nie palił, wziął jednego. Ilja też Teraz, po dwóch tygodniach, Misza pali, jakby robił to zawsze.

Puszkow powitał ich, jakby byli zupełnie innymi ludźmi. Zwołał zebranie. Wygłosił przemówienie wobec całej kompanii. A potem awansował Ilję i Miszę.

Ilja wypatruje, czy nie napotka gdzieś jakiś śladów po tych sześćdziesięciu ludziach. Ale niczego takiego nie dostrzega. Wydaje się, że tylko on nosi w sobie ich obraz, jeszcze żywych. I odgłos strzałów, które słyszy wszędzie i we wszystkim.

Z twarzy Miszy zniknął bandaż. Usunięto mu także szwy. Na policzku ma świeżą czerwoną pręgę, od szyi aż do ucha. Stracił płatek ucha. Wygląda, jakby stoczył walkę z jakimś drapieżnikiem.

- O co chodzi, Ilja? - pyta mały żołnierz, podchodząc szybkimi, drobnymi krokami. - No co jest?

Gdy się zbliża, Ilja czuje od niego woń tytoniu. Za dużo pali, myśli. Misza jest zniecierpliwiony:

- Prowadzę ćwiczenia w walkach ulicznych z bronią ręczną.

- W Stalingradzie inaczej to wyglądało. Poza tym specjalistą od broni ręcznej jestem ja.

- Świetnie. Wobec tego możesz mnie zastąpić. Bardzo dobrze.

- Nie. Jesteś teraz sierżantem. Przyprowadziłeś ich tu rano. Nie mam nic przeciwko temu. Uważam nawet, że to dobrze. Należy ich szkolić.

- Ale zamierzałeś mnie ośmieszyć przed nimi.

- Nie. Chciałbym tylko, żebyś ich dobrze przeszkolił, bo możemy przez nich zginąć.

Misza splata ręce przed sobą.

- Tak, Ilja. Więc poucz mnie.

- Kierujcie ogień najpierw na pierwsze piętro. Tam zwykle siedzi dowództwo. I wywiadowcy artyleryjscy. Snajperzy lokują się wyżej. To najważniejsze cele przed natarciem na sam budynek.

- Mimo że główna obrona znajduje się na parterze?

- Mimo to.

- Dobra. Co jeszcze?

- Potem skoncentrujcie ogień na środkowych piętrach. Tam będą ukryte ciężkie karabiny maszynowe. Jeśli nie zlikwidujecie ich przed natarciem, to później wam się to nie uda.

Misza obrzuca spojrzeniem Ilję. Przyjmuje jego rady i ze zrozumieniem kiwa głową.

Ilja ciągnie dalej:

- Rozdzielcie się. Zajmijcie pozycje pod trzema, czterema kątami w stosunku do celu. Pamiętaj, że jeśli znajdziecie się w zasięgu nieprzyjacielskich moździerzy, stracisz cały pluton.

- W porządku.

- Potem uderzcie na budynek. Ale róbcie to drużynami. Nie rzucaj do ataku od razu wszystkich sił. Trzymaj broniących się w napięciu.

Misza zaciska usta i potakuje ruchem głowy.

- No to tyle. Stanę z boku i popatrzę. Pogadamy o tym po południu, gdy już skończycie.

- W porządku. Ilja?

- Co?

- Tam, przy ludziach. Nie mów do mnie „Misza”, tylko „sierżancie Bakow”. A ja będę do ciebie mówił „sierżancie Szochin”. Ze względu na dyscyplinę.

- Niech ci będzie.

Misza uśmiecha się do niego. Blizna na policzku także jakby się wyszczerzyła.

- Iljuszka. Jesteśmy już sierżantami. Odbijamy się od dna. No nie?

Ilja udaje, że ta myśl go cieszy. Spogląda poza plecami małego, świeżo upieczonego sierżanta na budynek, który pięćdziesięciu ludzi z oddziału Miszy zniszczy tego przedpołudnia kulami karabinów, pociskami moździerzy, ładunkami wybuchowymi i rakietami, a także panczerfaustami z odzysku. Dom legnie w gruzach. Rosjanie odwrócą się i odmaszerują, a wydarzenia, które mogłyby wziąć tu swój początek, nigdy nie nastąpią. Tak będzie jeszcze setki tysięcy razy. Aż do Berlina, aż do końca wojny. Ilja i Misza unicestwią w zarodku miliony ludzkich spraw, które mogłyby się wydarzyć.

- Tak - odpowiada Ilja.

Zostawia Miszę na ulicy i wraca na beczkę przed sklepem z artykułami żelaznymi.

- Odbijamy się! - powtarza Misza radośnie.

Szurając butami, Ilja opuszcza wzrok.

Nie odbijają się już nigdy, czy będą sierżantami, czy nie. Na przeszkodzie stoi stos sześćdziesięciu zwłok.

Droga, którą idą, prowadzi donikąd.

12 marca 1945, godzina 13.00
Gabinet doktora Gerharta von Westermanna
Filharmonia, Berlin

Berlińczycy starają się nie rzucać w oczy.

Wiedzą, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Kraj opanowało zło. Wielooki pająk czai się w środku sieci, jaką jest miasto. Zauważa drgnienie każdej z nitki i natychmiast biegnie w tamtą stronę. Wszyscy berlińczycy starają się więc tkwić w bezruchu. Ukrywają się, jeśli muszą, i wierzą tylko w zdradę.

W Gerharcie von Westermannie nie ma niczego zdradzieckiego. To cichy poczciwy człowiek. Ale tego popołudnia przed koncertem szef Filharmonii Berlińskiej wezwał Lottie do swego gabinetu. Ona boi się go teraz jak nikogo na świecie. Przeraza ją wszystko - ciężkie krzesło, na którym siedzi, dywan, wielkie biurko między nią a dyrektorem, drżące płomyki świec, które pozwalają widzieć się nawzajem, mimo okien zasłoniętych grubymi kotarami z powodu zaciemnienia. To tylko pokój pozbawiony światła elektrycznego w chłodny, ciemny dzień. Ale Lottie czuje się jak w norze drapieżnika. Gdyby na podłodze leżały pobielające ludzkie kości, nie bałaby się bardziej.

Czego von Westermann może od niej chcieć? Lottie siedzi na krześle już z dziesięć sekund, a on jeszcze nie odezwał się ani słowem. Splótł palce na swym obfitym brzuchu i patrzy na nią znad kilku podbródków. Lottie chciałaby, żeby wreszcie coś powiedział. Z każdą upływającą sekundą jej los zdaje się pogarszać. Ale nie odezwie się pierwsza, przecież nie jest u siebie. Siedzi na samym brzegu krzesła i stara się nie poruszyć. Może jeśli nie drgnie, von Westermann w ogóle się nie odezwie? Może czeka na jakichś ruch, żeby rzucić się na nią z pazurami? Lottie boi się coraz bardziej.

Dyrektor orkiestry bierze głęboki oddech, jakby się budził.

- Charlotta, prawda?
- Tak, *Herr* von Westermann.
- Jak się masz? Jak sobie radzisz?
- Całkiem dobrze, panie dyrektorze.
- Nie jest ci łatwo, co?
- Jak wszystkim. Ale jakoś żyję.
- Nosisz smoking podczas występów.
- Tak.
- Dobrze. Będę musiał prosić o jego zwrot.

Lottie brakuje powietrza, wokół jej gardła zaciska się pajęczyna. Chciałaby zaprotestować, ale nie może złapać tchu. Mamrocze, nie kończy słów, bo zamierają w momencie, gdy znajdują się na jej ustach.

- Charlotta.

Lottie zamyka oczy. Trzepocze ręką o długich palcach, prosząc o chwilę ciszy, by mogła pogodzić się z wyrokiem, jakim jest zwolnienie z orkiestry. Kiedy dochodzi do siebie, pyta błagalnie:

- Dlaczego?

- Charlotte Proszę tylko o oddanie smokingu. Wciąż należysz do zespołu. Lottie gwałtownie pociąga nosem. Wydaje się, że łzy płynące po jej policzkach zwracają bieg.

- Och, *Herr* von Westermann, ja...

- Przepraszam. Nie pomyślałem, że możesz tak to zrozumieć. Zachowałem się niezręcznie.

Lottie przetyka łzy. Nie ma chusteczki. Von Westermann też nie ma nic, czym mogłaby obetrzeć policzki. Dziewczyna unosi łokieć z poręczy krzesła i waha się chwilę. Dyrektor kiwa głową i macha ręką. Niech tam, może wytrzeć twarz rękawem.

Lottie doprowadza się do porządku, wygładza włosy, które w chwili paniki pewnie potargała. Potem, już spokojna i opanowana, łagodnym ruchem składa ręce przed sobą.

- Już dobrze - mówi dyrektor orkiestry. Lottie odchrząkuje.

- Mogę zapytać, po co panu mój smoking?

Wie, że von Westermann nie bardzo umie postępować z ludźmi. Wśród muzyków uchodzi za gryziopiórka, który najlepiej się czuje wśród papierów: dokumentów, partytur, nut. To on ustala program występów orkiestry i organizuje je. Jest jednym z bogów w filharmonii. Działa w sposób niewidoczny, ale skuteczny. Lottie nigdy nie słyszała, żeby wyrządził komuś krzywdę czy coś w tym rodzaju. Cieszy się szacunkiem, bo jest kompetentny i niezauważalny.

- Widzisz, Charlotte Mówią do ciebie „Lottie”, prawda?

- Tak, panie dyrektorze.

- Ja też tak mogę?

- Bardzo proszę.

- Więc, Lottie. Wiesz, że Gauleiter Goebbels uważa się za oficjalnego patrona Filharmonii Berlińskiej.

- Tak. Wielokrotnie dawał temu wyraz.

Von Westermann śmieje się pod nosem, jakby rozbawiony jakimś paradoksem.

- Tak, rzeczywiście. Poczciwy minister myśli, że to dzięki niemu nasza orkiestra osiągnęła taki poziom. Ale w ostatnich miesiącach był... jak by to powiedzieć... mniej łaskawie do nas nastawiony. Parę razy napomykał, że być może zostaniemy wysłani na barykady, aby bronić miasta. To byłaby wielka strata.

- O tak.
- Widziałaś kiedyś ministra Speera wśród publiczności?
- Tak. Zawsze siedzi w pierwszym rządzie pośrodku.
- Zgadza się. Rzadko opuszcza koncerty. Zdradzę ci coś: minister Speer jest wpływowym protektorem orkiestry w kręgach rządowych.

Lottie niewiele wie o tej sferze życia muzycznego. Kto komu co zawdzięcza, kto podejmuje jakie decyzje. Nie bardzo ją zresztą obchodzi sam zespół. Jest po prostu tłem dla jej własnego talentu. Kocha swój instrument, piękno swoich partii. Mechanizmy funkcjonowania orkiestry są Lottie obojętne.

- Wiesz, że Rosjanie są osiemdziesiąt kilometrów od Berlina - mówi dalej von Westermann. - Stoją już nad Odrą. Są ich miliony.

Te informacje wydają się bez związku. Co Speer i Rosjanie mają wspólnego z jej smokingiem?

- Wiem - odpowiada.
- No tak... cóż. Rozumiesz, co to znaczy? Mam na myśli Rosjan.
- Słyszałam różne opowieści, *Hen* von Westermann.
- Jak my wszyscy. Jeśli dotrą do Berlina przed aliantami z zachodu... - Unosi i opuszcza ręce w geście bezradności. - Trudno sobie nawet wyobrazić, co się będzie działo.

Lottie potrafi sobie wyobrazić. Jest kobietą.

- Chciałbym ci zadać ryzykowne pytanie. Ale przecież wszyscy jesteśmy kolegami. Możemy sobie ufać, prawda?

- Tak.

- To świetnie. Bardzo dobrze. Więc...

- Tak, panie dyrektorze? Dyrektor wciąż się waha.

- Czy ktoś w twojej rodzinie ma samochód?

- Nie, panie dyrektorze.

- A masz dokumenty? Jakiś sposób, żeby wyjechać z Berlina?

- Nie.

- Hm. Nie, oczywiście, że nie.

Takie możliwości mają teraz tylko ludzie bogaci i naziści. Lottie widuje ich codziennie, jak ładują do samochodów pakunki, walizki i dzieci. Ale od pozostałych berlińczyków wymagają, by bronili miasta do ostatniego człowieka. Zbliżamy się już do tego, myśli, niewielu nas zostało.

Dyrektor popada w milczenie. Ukrywa twarz w podbródkach. Bezgłośnie przebiera palcami po biurku. Nie ma ochoty mówić dalej. On też wyczuwa obecność pajaka.

- Lottie, muszę ci coś powiedzieć. Masz to zachować w absolutnej tajemnicy. Rozumiesz?

- Tak. Oczywiście.

- Żadne oczywiście, dziewczyno. Wielu niewinnych ludzi może stracić życie, jeśli nie zatrzymasz dla siebie tego, co zamierzam ci powiedzieć.

- Rozumiem, *Herr von Westermann*. Naprawdę.

- W porządku.

Mężczyzna kładzie otwarte dłonie na biurku. Rzuci spojrzenie przez jedno ramię, potem przez drugie. *Berliner Blick*. Nawet we własnym gabinecie. Ścisza głos.

- Minister Speer ma plan uratowania orkiestry.

Lottie wciąga głęboko powietrze. Dyrektor unosi palec, by ją uciszyć, powinna panować nad sobą, pamiętać o istnieniu pajęczyny.

- Mówię ci to, bo jesteś naprawdę zdolnym muzykiem, choć tylko czasowo w zespole orkiestry. Ale przede wszystkim dlatego, że jesteś kobietą. Nie muszę chyba tego wyjaśniać.

No tak, Rosjanie.

- Tylko wybrani wiedzą, co się dzieje. Pozostałym powiemy w odpowiednim czasie. Nie wolno ci o tym rozmawiać z nikim. Ani z rodziną, ani z innymi muzykami, narzeczonym. Z nikim. Absolutnie.

Lottie ma ochotę przebiec *Unter den Linden*, krzycząc: „Zostanę ocalona! Zostanę ocalona!” Ludzie patrzyliby na nią i wyrażali aprobatę, przyznając, że właśnie ona powinna ocaleć.

- Dobrze.

- Od tego zależy moje życie, Lottie.

- Tak, panie dyrektorze.

- Po jutrzejszym występie zostawisz smoking u kierownika sceny. Powiadomimy orkiestrę, że chcemy przechować kostiumy do zakończenia wojny. Poza tym w nadchodzących tygodniach zauważysz, że zniknęło kilka naszych najcenniejszych instrumentów. Niektóre fortepiany, tuby i harfy. Przeniesiemy też jak największą część partytur. Wszystko to załadujemy na furgonetki, wywieziemy na zachód i prześlemy aliantom.

W nadchodzących tygodniach?

- *Herr von Westermann*. Dlaczego nie jechać od razu? Dziś w nocy, jutro. Po co czekać? Rosjanie mogą tu wkroczyć w każdej chwili. - Lottie ledwo może usiedzieć na miejscu. Po tej wspaniałej wiadomości chciałyby zerwać się i natychmiast uciekać z Berlina.

- Jesteśmy orkiestrą Filharmonii Berlińskiej. Musimy dotrzeć do końca sezonu. Potem wyjedziemy.

Lottie gryzie się w język. Jeszcze chwila, a zaczęłyby pouczać tego fajtłapę. Zaledwie parę dni temu myślała o truciznie. Teraz jednak, po usłyszeniu takiej

nowiny, pragnie nie tylko przeżyć. Nie zamierza już ryzykować, a już na pewno nie w imię czegoś tak iluzorycznego jak zasady honoru czy patriotyzm. Dyrektor obserwuje, jak jej twarz zmienia się pod wpływem różnych myśli i uczuć. To hipokryzja, myśli Lottie. Orkiestra filharmonii zamierza opuścić miasto, wykorzystać swoje wpływy i uciec przed losem, który stanie się udziałem innych berlińczyków, tak samo zasługujących na to, aby żyć. A jednocześnie wyobraża sobie, że przestrzega jakichś zasad honoru. Lottie nie jest hipokrytką, nie chce czekać.

- Tak, panie dyrektorze. Oczywiście.

- Minister Speer załatwił transport dla wszystkich stu pięciu muzyków. Furgonetki i autobusy przewiozą was i wasze instrumenty oraz wybranych pracowników administracji na zachód, do linii aliantów. *Herr* Speer wyśle też osobistego adiutanta, by wynegocjował warunki oddania się do niewoli. Nie pozwolimy, żeby filharmonicy dostali się w ręce czerwonych. To wspomniała orkiestra. O międzynarodowej sławie. Musi zostać uratowana.

Dyrektor mówi, jakby chciał przekonać Lottie, że taki spiszek, zdrada i dezercja są usprawiedliwione. Ale nie musi tego robić.

- Czy będziemy mogli zabrać kogoś ze sobą? - pyta Lottie.

Dyrektor kręci głową - powoli i ze smutkiem.

- Nie. Ogromnie mi przykro, ale niebezpieczeństwo byłoby zbyt duże. Tylko kilka osób może o tym wiedzieć. To wojna.

Mutti i Żyd. Będą musieli być dzielni do końca. Cóż, sami wybrali.

- Tak, panie dyrektorze.

- Muszę ci jeszcze raz przypomnieć, że to ścisła tajemnica.

Lottie przytakuje ruchem głowy.

- Dobrze. Na razie czekamy, aż alianci podejną bliżej. Nie przedostaniemy się przez własne linie, jeśli będziemy musieli jechać zbyt daleko. Odeślą nas z powrotem. A to mogłoby się źle skończyć.

Oto dylemat każdego berlińczyka. Co jest gorsze - wpaść w ręce nazistów czy czerwonych?

- Nadejdzie sygnał - mówi dalej von Westermann. - Na scenie musi zebrać się cała orkiestra.

Jakież to sygnał może być dany całej orkiestrze pod okiem publiczności? Von Westermann kolejny raz rzuca przez ramię *berliner Blick*. Pochyla się do przodu w sposób właściwy konspiratorom.

- Kiedy przyjdzie czas, wszyscy znajdziecie na pulpitych utwór, który nie był przewidziany w programie. Jest znany orkiestrze, próba nie będzie potrzebna. Zagracie go podczas koncertu bez zmrużenia oka. I zagracie tak, jak inne utwory. Po występie wstaniecie i uklonicie się. A potem macie iść do

tylnego wyjścia. Weźmiecie tylko instrumenty, żadnego bagażu. W ulicze będą czekały samochody, do których wsiądziecie.

Lottie nie bardzo podoba się ta cała intryga. Jej chodzi tylko o jedno: żeby uciec. A w tym celu wystarczy ruszyć w drogę. Natychmiast.

- Mogę zapytać, co to będzie za utwór?

- Zagracie finał *Zmierzchu bogów*.

Bardzo odpowiedni, myśli Lottie.

Zagłada Walhalli według Wagnera. Śmierć bogów. Koniec świata.

Rozdział szósty

16 marca 1945, godzina 2.15

Dom Stalina, ulica Kirowa

Moskwa

- Jakow.
- Tak, ojczce.
- Jesteś zdrajcą.
- Tak, ojczce.
- Tak to się kończy. Popatrz na siebie.

Ciało młodego człowieka tkwi rozciągnięte na ogrodzeniu z drutu kolczastego. Wygląda jak strach na wróble. Jedna ręka sięga wysoko, druga wisi bezwładnie, nogi rozrzucone są nienaturalnie.

Stalin uzmysławia sobie, że właściwie rzadko ogląda śmierć. Nigdy nie uczestniczy w egzekucjach, które wykonywane są na jego rozkaz. On tylko kopiowym ołówkiem odhacza nazwiska na liście wrogów. Od początku wojny jedynie raz odważył się pojechać na front. Zresztą, wyłącznie po to, by w książkach historycznych odnotowano, że bratał się z żołnierzami. Nie odwiedza fabryk ani wsi, gdzie ludzie pracują, żyją i umierają. Śmierć widzi jedynie w kronikach filmowych, które często ogląda na Kremlu. Tam jest jednak sterylna i pozbawiona wyrazu. Jakow natomiast stoi przed nim jak żywy. Dawno temu Stalin widział w mauzoleum zwłoki Lenina. W rękach złożonych jak podczas drzemki trzymał kwiaty. Lenin jednak znalazł się w znacznie lepszej sytuacji niż Jakow.

- Co to było za miejsce? Obóz jeniecki?
- Tak, ojczce.
- Ach, pamiętam. Sachsenhausen. Zginąłeś w Sachsenhausen. Kwiecień czterdziestego trzeciego. Rzuciłeś się na druty kolczaste.
- Tak, ojczce.
- Więc cię zastrzelili.

- Tak, ojcze.

Stalin siedzi na ziemi obok wiszącego ciała swego syna. Chłopak ma na sobie mundur Armii Czerwonej. Bluza została podarta przez stalowe kolce i kule. W rękę Stalina pojawia się fajka.

- Poddałeś się, Jasza. Poddałeś się i opuściłeś swoje stanowisko. Wiesz, co to znaczy? Syn Stalina wolał ocalić własną skórę niż umrzeć za ojczyznę. Niemcy narobili wokół tego dużo szumu. Wiedziałeś o tym? Puścili w obieg twoje zdjęcie w niewoli. To była propagandowa sprawa.

Stalin pyka z fajki, a potem ustnikiem wskazuje na syna.

- Co by było, gdyby zmusili cię do mówienia? Gdyby chełpili się, że torturami czy narkotykiem rozwiązali język najstarszemu synowi Stalina? Skutek byłby katastrofalny.

- Tak, ojcze.

- Wiesz, że te wszawce Szwaby zaproponowały mi układ? Chcieli negocjować ze mną warunki twojego zwolnienia. Odesłałem ich do diabła! Myśleli, że Stalin będzie rozmawiał z faszystami. „Nigdy! Wojna to wojna!”, powiedziałem.

- Tak, ojcze.

- Codziennie żądam od milionów, żeby oddawali życie, Jasza. I codziennie je oddają. Za Rosję, za partię, za mnie. Wszyscy, oprócz ciebie. Nigdy cię nie lubiłem.

- Tak, ojcze.

- Ty i twoja matka! Jekatierina. Moja pierwsza żona. Zdradzę ci tajemnicę, Jasza.

- Tak, ojcze.

- Kochałem ją. Pochodziła z Gruzji, jak ja. Byliśmy młodzi. Kiedy umarła, płakałem. Stalin płakał jak dziecko. Ale płakał w zaciszu domowym. Tylko tam mężczyzna może cierpieć. Nie tak jak ty, na zdjęciach, publicznie. Przykro mi to mówić, ale wiesz co? Od twojej matki nie może pochodzić nic dobrego.

Obok ciała Jakowa Dżugaszwili pojawiają się nowe postacie, już nie tak wyraziste jak syn, bledsze, ale Stalin je rozpoznaje. Kobiety i mężczyźni, w sukienkach i garniturach z kamizelkami i zegarkami na łańcuszku. Oni także tkwią pomiędzy drutami kolczastymi. Wiszą powykręcani jak pranie na sznurze. Stalin wie, że to duchy. Tak naprawdę ich tam nie ma. Więc dalej mówi do syna.

- Brat Jekatieriny, twój wuj Aleksandr. Kiedyś był moim przyjacielem, ale musiałem go rozstrzelać za szpiegostwo. A żona Aleksandra i jego syn okazali się wrogami ludu. Zostali zesłani na Syberię. Ona tam umarła, jak słyszałem.

Tak. Stalin ich widzi. Są tu, w swoich odświętnych strojach spowici drutem kolczastym.

- Miałem rodzinę, a jakże. Słuchasz mnie? Moja druga żona, Nadieżda, samobójczyni, psia jej mać. Jej siostra Anna - szpieg. Mąż Anny został rozstrzelany dziesięć lat temu jako wróg ludu. Jego brat - następny szpieg. Twój brat - pijak. Siostra - jędza. Moja rodzina. Gniazdo szpiegów, zdrajców i donosicieli.

Szereg postaci na drutach kolczastych jest dość długi. Wiszą na ogrodzeniu jak Jakow. Ich ciała są poszarpane i bezwładne.

- Odejdźcie.

Wszyscy znikają oprócz Jakowa. Stalin pali fajkę. To go uspokaja. Obserwuje dym, który nie rozwiewa się, lecz tańczy dla niego tak długo, jak on tego chce. Przyglądając się szarym kręgom, wyobraża sobie, jak może wyglądać obóz jeniecki.

- Sachsenhausen, tak?

- Tak, ojczu.

Chłopak nie żyje. Nie dał draniom satysfakcji.

- Cóż, sam zdecydowałeś. Wiedziałeś, że jesteś słaby. Wiedziałeś, że się załamiesz. Przynajmniej skończyłeś ze sobą jak mężczyzna. No i dobrze.

Stalin kiwa głową. Ciało Jakowa wykonuje ledwie widoczny ruch, jakby potakiwał ojcu.

- Powiem ci, co zrobię, Jasza. Sachsenhausen jest chyba pod Berlinem. Zdobędę to przekłete miasto bez względu na to, co knują te amerykańskie i brytyjskie łajzy. Potem powieszę dla ciebie kilku nazistów w ich własnym obozie. Weźmiemy Sachsenhausen i wykorzystamy go przeciwko jego panom. Co ty na to?

- Tak, ojczu.

- No to postanowione. Dobrze, chłopczu. Martwiłem się z twojego powodu. Ale w końcu zachowałeś się, jak należało. Teraz bardziej cię lubię.

Stalin postanawia wyzwolić się z tego snu. Wierzy, że może to zrobić.

- Odejdź.

Jakow, obóz niemiecki i siatka z drutu kolczastego nie znikają jednak na jego życzenie. Jakow wciąż kiwa głową i przykuwa spojrzenie ojca.

- Powiedziałem odejdź.

Na ustach Jakowa pojawia się krew. Stalin jest przestraszony. Na swoich wargach czuje coś ciepłego. Coś cieknie mu po brodzie.

- Won!

Usta Stalina są we krwi, stopniowo cały nią nasiąka. Chce się jej pozbyć, ale jest lepka, po chwili staje się żywa, coraz jej więcej na nim jak os na rozlanym syropie. Na całym ciele czuje ukłucia żadeł.

Jakow zniknął. Teraz Stalin wisi na drutach.

Wstrząsa się, jakby przeszła go kula. Słyszy trzask przypominający łamanie kości.

Na jego brzuchu leży „Prawda”. Zgniatą ją w rękach, jakby grał na akordeonie. Rozkłada ramiona i rozpościera gazetę. Mruga powiekami, żeby otrząsnąć się ze snu i powrócić do realnego świata.

Dom Stalina jest nieduży. Dwa pokoje dalej cicho tyka zegar, serce domu. Dźwięk, który wydaje, jest taki delikatny.

Na jednej z pogniecionych stron gazety widnieje zdjęcie Winstona, który stoi pod jakimś napisem na froncie zachodnim, gdzieś w Niemczech. Miasteczko za nim jest jedną wielką ruiną. Na dole strony znajduje się wilgotna plama śliny. Koszula Stalina też jest zaśliniona. Ociera ręką brodę i wąsy, klnąc przy tym.

Siada przy lampie. Abażur jest przezroczysty, żółty. W mętym świetle wszystko w pokoju ma blade odcienie, nawet wierzch dłoni Stalina.

Niedbale składa gazetę i upuszcza na podłogę. Sprzątnie ją gospodyni.

Sięga po fajkę. To mu przypomina sen. W jednej chwili powracają do niego wszyscy. Jakow i inni, rozciągnięci na drutach. Martwe kukły.

A potem on sam wiszący na ogrodzeniu - schwytany. Zabity.

Stalin czuje się oczyszczony, jakby wizja senna była wyciorem, który przeczyścił mu duszę. Nic nie dzieje się przypadkiem. Skąd ten sen z Jakowem i resztą?

Nie wie i nie chce się nad tym zastanawiać. Nie pora na to. Jest przywódcą narodu. Może zinterpretować swój sen tak, jak będzie chciał.

Oto interpretacja. Bardzo proste. Jeśli ci wszyscy ludzie nie rzucą się na druty - albo nie zostaną na nie rzucony - to Stalin będzie zgubiony. Muszą więc ponieść ofiarę, każde z nich. Krew w jego ustach jest ich krwią, przepływa przez żyły Stalina.

Takie jest znaczenie snu: Stalin to *rodina*.

Rozstrzygnięcie spraw, które dręczą człowieka, zawsze przynosi ulgę. To był niemiły sen i źle się skończył. Sprawił Stalinowi ból. Ale dzięki temu człowiek nie zapomina. Ból popycha go do działania.

Teraz Stalin bardziej lubi Jakowa.

Tak. Sachsenhausen.

Obiecał coś chłopakowi. Stalin pamięta. Nie obchodzi go, co tam knują alianci.

Jakow zakończył życie pod Berlinem.

Znowu to samo.

Zawsze Berlin.

18 marca 1945, godzina 9.20

Goethestrasse

Charlottenburg, Berlin

Po raz pierwszy od czterech lat Lottie nie idzie do schronu.

Naloty na Berlin stały się czymś powszednim. W ciągu ostatnich jedenastu miesięcy było osiemdziesiąt pięć ataków bombowych. Freya nalega jednak, żeby przy każdym alarmie obie schodziły do schronów publicznych. Są w ten sposób widziane. Nikt nie pomyśli, że mają piwnicę pod domem i że w razie zagrożenia, można by z niej skorzystać.

Z jakiegoś powodu Lottie chce tego rana pozostać na górze. Nie stara się pojąć, dlaczego nie wstaje, gdy na ulicach zaczyna się gorączkowa biegania. W głębi serca wie jednak, co ją do tego skłania. Żyd obserwuje bombowce. Lottie uważa, że też powinna je zobaczyć. On jest tylko nauczycielem. Ona natomiast artystką. Takie przeżycie pobudza natchnienie i pasję. Stać blisko ziemskiego piekła, być świadkiem widowiska. Lottie zapamięta dzisiejszy widok berlińskiego nieba. Gdzieś kiedyś ten płomień ożyje za pośrednictwem wiolonczeli. Po wyjściu ze swoich nor berlińczycy oglądają skutki ataków. Lottie jako jedna z nielicznych znajdzie się pośród czarnego deszczu bomb.

Pozostaje w swoim pokoju na drugim piętrze. Uważa, że mimo wszystko powinna być przezorna. Ściąga więc z łóżka materac i nakrywa nim ciężki futerał z wiolonczelą. Galiano ma dwieście lat. Lottie, jego właścicielka, nie może pozwolić mu umrzeć. Chowa go w kącie. Wie, że jest bezpieczny. Potem otwiera okno i sadowi się na parapacie. Nie wolno przebywać na zewnątrz podczas nalotów, ale Lottie się tym nie przejmuje. Po zeszlotygodniowej rozmowie z von Westermannem jest przekonana, że przeżyje. Jej wizja przyszłości uległa zmianie. Plan ministra Speera, mający na celu uratowanie orkiestry, zastąpił kapsułki z cyjankiem. Lottie wie, że teraz, tak blisko końca, powinna być szczególnie ostrożna, jednak - wbrew logice - ma poczucie, że nic jej nie grozi. Zawsze wierzyła w przeznaczenie. Teraz ma pewność, że jej dalszy los - za sprawą ucieczki - jest już przesądzony.

Zostawia więc wiolonczelę i siada na oknie. Gdy pół godziny temu odezwały się syreny alarmowe, matki nie było w domu. *Mutti* spędza całe dnie, zdobywając żywność i wodę. Pewnie jest teraz w jakimś schronie w Kurfürstendamm. Być może w wielkim bunkrze przeciwlotniczym na terenie zoo. Żyd sam zadba o siebie, jak zwykle. Lottie ma nadzieję, że tu, na drugim piętrze, nie natknie się na niego, że w ogóle go nie zobaczy. Wydaje jej się zresztą, że za dnia Julius pozostaje w ukryciu.

Niedzielne pogodne przedpołudnie Amerykanom sprzyja. Ze swego okna Lottie widzi bombowce B-17 nadlatujące w szyku nad centrum miasta. Bomby

zrzucane ze środkowej części kadłuba wyglądają jak ścieg na materiale. Lottie siedzi zahipnotyzowana z głową odchyloną do tyłu. Mrużąc oczy przed słońcem, wpatruje się w niebo. Bombowców są tysiące, a może i więcej, nad nimi i wokół nich lecą setki myśliwców. Ten widok budzi grozę. Samoloty są jak bucząca szarańcza - plaga zesłana przez mściwych bogów.

Można wyróżnić cztery rodzaje dźwięków, które wprawiają szyby okienne W drzenie. Warkot samolotów, odpowiednik basu w kwartecie, to całkiem przyjemny odgłos, niskie buczenie, które zdaje się dochodzić ze wszystkich stron. Następnie słychać huk wybuchów, rozlegający się w całym mieście. Bomby padają na północne i północno-wschodnie rejony Berlina - Reinickendorf, Wedding i Panków. Na tamtejsze fabryki, na centrum miasta wokół Bramy Brandenburskiej i Kancelarii Rzeszy, tylko trzy kilometry od miejsca, gdzie siedzi Lottie. Wyższym od detonacji dźwiękiem jest terkot niemieckich działek przeciwlotniczych, umieszczonych na czterech potężnych betonowych wieżach. Czarne chmury dymu przesłaniają widok bombowców sunących wysoko w górze. Ostatni z dźwięków wydają same bomby. Świszczą i gwizdzą spadając w dół.

Dla Lottie wszystkie te dźwięki nie tworzą kakofonii. Słyszy je oddzielnie, jak poszczególne instrumenty i partie muzyczne w muzyce mordowanego Berlina.

Przez dwadzieścia minut obserwuje panoramę miasta i bezchmurne niebo. Bez przerażenia patrzy na spadające bomby i słucha eksplozji. Wyobraża sobie chwające się i walące budynki trzy kilometry od jej okna w Charlottenburgu. Nie boi się; ma uczucie, jakby już ją stąd zabrano, jakby była w autobusie, bezpieczna. A to wszystko, co dziś ogląda, co będzie oglądała jutro i później, do czasu ucieczki, to tylko uwertura. Bomby padające tuż obok, a przecież omijające ją, są na to dowodem.

Jak przyjmą orkiestrę alianci? Lottie wyobraża sobie nocną jazdę autobusem, muzycy w garniturach, kurczowo trzymają instrumenty, swoje paszporty do życia. Będą kontrole przy blokadach dróg, ale ciężarówki i autobusy zostaną przepuszczone, gdy niemieccy wartownicy zobaczą pasażerów. Każda minuta będzie oddalać ich od Berlina. Wreszcie w ciemności usłyszą po angielsku: stop! Konwój się zatrzyma, wszyscy wysiądą i ucałują ziemię. Są światowej klasy muzykami, nie żołnierzami, zostaną przez aliantów przyjęci z szacunkiem. Może nawet od razu zbiorą się i zagrają dla nich?

Ale przecież tam, na niebie, to właśnie Amerykanie. Karzą bombami Berlin. Może dla nich wszyscy Niemcy są źli i żaden nie zasługuje na szacunek.

Jak zareagują mieszkańcy Berlina, kiedy się dowiedzą, że uciekliśmy? Co z dobrym imieniem orkiestry? Będą nas uważać za tchórzy?

Jakiś szczególnie głośny wybuch sprawia, że Lottie odruchowo wzdryga się, siedząc na parapecie. Budzi się z zamyślenia. I ponownie przenosi wzrok na niebo.

Tam w górze dzieje się coś dziwnego. Amerykańskie bombowce nie zmieniły zwartego szyku, ale między nimi coś się wydarzyło. Z tyłu, wśród białych smug, jakie za sobą zostawiają, pojawił się zawijas, jakby narysowała go kredą mdlejąca ręka. Kilka trafionych samolotów odłącza się od formacji. Jak to się mogło stać? Przecież ochrania je tyle myśliwców!

Do chóru, jaki słyszy Lottie, dołącza się nowy dźwięk, nie jest to huk eksplozji czy warkot silników, ale świst pocisku. Udaje jej się dostrzec coś, co mknie szybciej niż bombowce i ich eskorta. To samoloty błyskające srebrem, nurkujące i tworzące nowe zwiariowane wzory na niebie.

Odrzutowce! Odrzutowce Luftwaffe! Od miesiący Goebbels obiecywał, że wypuści swoją tajną broń, wyśle nowy typ maszyn na niemieckie niebo, by broniły miasta przed alianckimi bombowcami. Lottie, podobnie jak inni berlińczycy, myślała, że to tylko przechwałki, pobożne życzenia nazistów. Ale oto są. Lottie ogląda ich debiut.

To, co się dzieje, może zmienić jej los. Straszne! Niemieckie supersamoloty, myśliwce odrzutowe, zbierają swoje żniwo. Następny amerykański bombowiec wypada z szyku. Leci w dół, spowity ogniem i kłębamii białego dymu. Rozbija się. Neeee...!

Lottie czuje ucisk w żołądku. Czy to możliwe, że obserwuje przełomowy moment w dziejach wojny? Nad miastem widać z tuzin spadochroniarzy, amerykańskich lotników z zestrzelonych samolotów. Odrzutowce atakują, nieprzyjacielskie bombowce odpowiadają ogniem z działek. Na niebie, gęsto usianym spadającymi bombami i pociskami, panuje coraz większy zamęt. W obłokach dymu toczą się niezliczone pojedynki powietrzne. Z przeważającymi siłami wroga walczą zaledwie dwadzieścia cztery odrzutowce. Lottie nie chce, żeby coś pokrzyżowało jej plany. A te niemieckie myśliwce mogą zmienić bieg historii.

W duszy jednak gratuluje niemieckim pilotom. Stało się coś wbrew wszelkim przewidywaniom. Skoro odrzutowce potrafią zmieść z nieba kilka bombowców, to może naloty staną się rzadsze. Może Amerykanie nabiorą trochę więcej respektu. Tego dnia jednak już nic więcej nie może się wydarzyć. Lottie umacnia się w przekonaniu, że pisane jest jej ocalenie. Koniec wojny jest przesądzony. Nadejdą Rosjanie. Ona sama zdąży uciec. Wszystko będzie tak, jak miało być.

I nic nie zatrzyma bomb. Lottie obserwuje efekt działań odrzutowców. Zestrzelili piętnaście amerykańskich bombowców. Artyleria unieszkodliwiła jeszcze siedem. Dwa samoloty spadły na Tiergarten, zaledwie półtora kilometra

stał. Nad ziemią kołysze się w powietrzu z tuzin spadochroniarzy - białe znaki porażki. Ale dwadzieścia dwa bombowce na tysiąc to kropla w morzu. Amerykańskie siły są przytłaczające. Cudowne maszyny Goebbelsa zniknęły. Na niebie niepodzielnie panują teraz formacje bombowców. Przez następną godzinę bombardują Berlin, który drży i rozpada się w gruzy. Zaskoczona Lottie dochodzi do wniosku, że nienawidzi aliantów. Miasto jest bezbronne. Bombardowanie go jeszcze teraz to jak bicie powalonego człowieka. Poszczególne dźwięki, które Lottie tak wyraźnie słyszała na początku, nalotu, zlewają się w jeden wielki huk. Schodzi z parapetu i zamyka okno. Rzuca się na łóżko i przyciska do uszu poduszkę.

Kiedy syreny odwołują alarm, Lottie się podnosi. Podchodzi do okna i ponownie kieruje wzrok ku niebu. Widzi czarną mgłę przykrywającą żelazny kocioł, jakim jest Berlin. Z pożarów wzbijają się kłęby gęstego dymu. Walące się budynki pozostawiają po sobie kręgi pyłu ceglanego i zaprawy, które niczym duchy znaczą miejsce, gdzie minuty temu wznosiły się ściany. Obłoki pary unoszą się nad pogorzeliškami. Drużyny strażackie z mizernym skutkiem usiłują ugasić płomienie. Lottie wszystko to już widziała. Ale ponieważ wkrótce opuści Berlin, ponieważ nie będzie dzieliła jego losu, myśli teraz z wściekłością o tym, co zrobili miastu Amerykanie. W nocy nadlecą jeszcze brytyjskie bombowce mosquito i będą zadawać kolejne rany. W swoim sercu Lottie już pożegnała się z Berlinem. Patrzy więc na rodzinne miasto zatroskanym wzrokiem szowinistycznego uchodźcy.

Zbiega szybko po schodach i pędzi do frontowych drzwi. Spieszy się, by uniknąć spotkania z Żydem, który pewnie właśnie wraca do swej kryjówki w piwnicy. Zatrząskuje za sobą drzwi. Znalazłszy się na ulicy, rusza w stronę centrum, ku zniszczeniom.

Powietrze gryzie w gardle. Ludzie z sąsiedztwa wracają do domów. Rozglądają się wśród dymu wiszącego nisko nad głowami. Lottie przeciska się przez tłum wędrujących ludzi. Kiedy dochodzi do Charlottenburger Chaussee, która przebiega prawie przez środek Tiergarten, zauważa, że dym staje się coraz gęstszy, przypomina już aksamitny całun.

W parku dogorywają pnie drzew. Ich korony już dawno temu zostały ścięte szrapnelami, pokaleczone gałęzie spoczywają na ziemi. Dalej, za łysym terenem, gdzie niegdyś rozciągały się trawniki i rabaty, gdzie stały parasole i artyści wystawiali swoje prace, leży skrzydło amerykańskiego bombowca. Łopaty śmiegiel przy wielkim silniku są wygięte.

Lottie zaczyna biec. Pędzi przez park. Berlińczycy wędrują po jednej i drugiej stronie ulicy, niosą tobołki i niemowlęta. Na głowach mają meloniki albo szale, niektórzy nie zdjęli jeszcze masek przeciwgazowych. Wszyscy sprawiają wrażenie włóczęgów we własnym mieście. Lottie przyspiesza kroku. Omija lej

po bombie, a potem zwalone drzewo. Para starszych ludzi, siedząca bezradnie na zimnej ziemi, patrzy na nią, gdy przebiega obok. Ich twarze są pozbawione wyrazu, wydają się zdruzgotani jak cały park.

Lottie biegnie pięć, potem jeszcze dziesięć minut. Na Göringstrasse, przy wschodniej granicy Tiergarten, zwalnia. Brama Brandenburska, łuk triumfalny prowadzący do parku, jest poważnie naruszona i osmalona, ale stoi. Na szczycie skrzydlata bogini zwycięstwa mknie przed siebie dwukołowym rydwanem ciągnionym przez czwórkę koni. Ale jest to chyba podróz przez piekło.

Lottie zatrzymuje się przy bramie. Płuca palą ją od biegu w gęstym od dymu powietrzu. Na ulicy leży spalony rower. W ramę wplątane są kości nóg; nad stopionym siodełkiem spoczywa tułów w strzępach materiału, czaszka tkwi w hełmie cywilnej obrony przeciwlotniczej. Te szczątki trzeba będzie zebrać łopatą i miotłą - jak śmiecie. To był starszy człowiek. Odważny starszy pan, który pędząc na rowerze, nawoływał berlińczyków, by zeszli do schronów, bo nadlatują Amerykanie. I Amerykanie odpłacili mu za to, zrzucając bombę. Potwierdzili w ten sposób, że miał rację.

Lottie stoi przy tym szkielecie ludzkim, u stóp osmalonej Bramy Brandenburskiej. Nie potrafi się ruszyć. Dookoła drużyny ratunkowe zaczynają pompować powietrze do zasypanych piwnic, gdzie uwięzieni są ludzie. Nowi bezdomni siadają na ziemi, bo nie wiedzą, dokąd pójść. Na ulicę wychodzą kobiety i starsi mężczyźni z łopatami, zabierają się do robienia przejść wśród ruin. Na stołach z kartonowych pudeł organizowane są punkty żywienia, które wydają zapach i chleb.

Tej nocy przylecą jeszcze Brytyjczycy i zrzuca następne bomby. A jutro pewnie znowu pojawią się Amerykanie.

Lottie siada na krawężniku obok szczątków funkcjonariusza służby przeciwlotniczej.

Nienawidzi aliantów. Chciałaby zwalczyć to uczucie, bo przecież ma u nich znaleźć ratunek. Ale to oni pozbawili tego starszego człowieka wszystkiego, co miał, nawet ciała.

24 marca 1945, godzina 10.20

W samolocie C-46, dwieście metrów nad Holandią

Z amerykańską 17 Dywizją Powietrznodesantową

W pobliżu Wesel, Niemcy

Zapalają się czerwone lampki nakazujące przygotować się do akcji. Bandy wstaje. Stoi pewnie na podłodze, choć jest mocno obciążony. Ranek jest pogodny. Ciężki samolot transportowy leci wolno, bez wstrząsów, nikt więc

nie rzygał. W ładowni są dwa rzędy miejsc. Bandy siedzi z tyłu po prawej stronie. Pięćdziesięciu spadochroniarzy znajdujących się przed nim sprawdza sprzęt i broń. Po obu stronach samolotu drzwi są otwarte. Słychać huk wiatru i ryk silników. Niektórzy z żołnierzy stukają sąsiadów w hełmy, żeby przygotowali się do skoku, a potem do walki.

Bandy schyla się i sprawdza, czy aparaty są dobrze przywiązane pasami do nóg. Bał się umieścić je w plecaku czy na piersi na wypadek, gdyby zdarzyło mu się twarde lądowanie. Do tej pory skakał na spadochronie tylko raz, - w Hiszpanii sześć lat temu, i nie poszło mu źle, tylko wybił sobie ramię. Ale przecież nie odnosi się obrażeń przy każdym skoku, myśli. Ten powinien pójść lepiej.

Samolotem wstrząsają podmuchy pierwszej serii pocisków przeciwlotniczych. Maszyna zbliża się chyba do strefy zrzutu. Ludzie, szurając nogami, podchodzą do drzwi, obie kolejki ścieśniają się. Bandy, stojący na końcu, poklepuje się po kieszeni na piersi. Czuje pod palcami metalową piersiówkę. Whisky z Tennessee. Za nią ukryty jest ostatni list do Victorii, ten w plastikowym opakowaniu, który zawsze nosi przy sobie.

Za kilka minut wyskoczy na spadochronie i znajdzie się po wschodniej stronie Renu. Wyląduje na północ od miasta Wesel, około piętnastu kilometrów na północ od Jülich. Żeby dostać się na pokład tego samolotu, Bandy musiał w zeszłym tygodniu wrócić okazją z Jülich do sztabu w Arras, w północnej Francji. Wykorzystując swoje znajomości i pozycję „słynnego fotoreportera”, uzyskał zezwolenie, by przyłączyć się do 17 Dywizji Powietrznodesantowej podczas tej akcji. Wczoraj cała dywizja ogoliła głowy w stylu mohawk, zostawiając tylko cienki pas włosów od karku do czoła. Bandy zrezygnował z tej fryzury. Docenia jednak fakt, że zostanie zrzucony do walki w towarzystwie najlepszych żołnierzy, prawdziwych bohaterów.

Siedemnastka ma wylądować na tyłach wroga i kierować się na zachód, w stronę, z której przybyła. Jej zadaniem jest zatrzymać Niemców uciekających pod naporem piechoty Montgomery'ego, która przekracza właśnie Ren. Spadochroniarze zajmą lesiste tereny w Dierforderwald. Będą obserwować przeprawę przez rzekę i kontrolować brukowane drogi do Wesel. Gdy tylko się uda, połączą się z nacierającą piechotą Monty'ego i razem ruszą na wschód.

Operacja powietrznodesantowa ma kryptonim Varsity, operacja lądowa - Plunder. Obie są częścią wielkiego natarcia Montgomery'ego na Berlin. Ofensywa lądowa rozpoczęła się zeszłej nocy. To największy atak na siły nieprzyjacielskie od D-Day. Zostanie poprowadzony północnym skrajem Zagłębia Ruhry oraz przez równiny niemieckie w kierunku Łaby, by zatrzymać się dopiero przed bunkrem Hitlera. Wyprawiając żołnierzy w drogę, Monty powiedział: „Nieprzyjaciel w gruncie rzeczy został zapędzony w kozi róg i nie ma

stamtąd wyjścia. Wobec tego - za Ren, naprzód! Życzę wam udanych łowów tam, po drugiej stronie”.

Od pierwszej w nocy, przez dobrą godzinę, wschodni brzeg Renu ostrzeliwała artyleria. Trzy tysiące pięćset dział polowych, dwa tysiące dział przeciwpancernych i wyrzutni raketowych zasypywało niemieckie pozycje ponad tysiącem pocisków na minutę. Tysiąc sto B-17 bombardowało wyznaczoną strefę aż do świtu. W ramach operacji Plunder przez całą noc i poranek osiemdziesiąt tysięcy amerykańskich, brytyjskich i kanadyjskich żołnierzy przeprawiło się przez Ren ośmioosobowymi łodziami w dziesięciu rzutach na froncie długości trzydziestu dwóch kilometrów. Teraz zaś, zgodnie z planem Varsity, nad granicą holendersko-niemiecką znajduje się tysiąc siedemset samolotów transportowych i tysiąc sześćset pięćdziesiąt samolotów holowniczych, z których każdy ciągnie dwa szybowce z żołnierzami piechoty. Cała ta flota powietrzna kieruje się na wschód.

W samolocie Bandy'ego dowódca skoków unosi pięść. Jest to sygnał dla żołnierzy, żeby zahaczyli sprzączki o stalową linę biegnącą wzdłuż sufitu. Bandy także się przypina. Na próbę mocno pociąga swoją linkę od spadochronu. Żołnierz stojący przed nim odwraca się, posyła mu szeroki uśmiech i unosi kciuk do góry. Chłopak ma piegi i mały wąsik.

Bandy poklepuje go po ramieniu.

Ponieważ z powodu huku nic nie słyhać, żołnierz bezgłośnie, samymi tylko ustami mówi:

- Zrób mi zdjęcie, kiedy wyląduję. Dobra?

Bandy w odpowiedzi pokazuje uniesiony kciuk.

Ostrzał przeciwniczy się nasila. Przez otwarte drzwi do samolotu dostaje się czarny dym. Płonie prawe skrzydło, które zostało trafione. Samolot podskakuje. Bandy słyszy stukot, jakby o kadłub uderzał grad. Kolejny wybuch rozlega się bardzo blisko. Spadochroniarze stojący w kolejce zaciskają ręce na linkach, zaczynają tłoczyć się przy drzwiach. Chcieliby jak najszybciej wyskoczyć z samolotu.

Piechocie Montgomery'ego towarzyszy jeszcze kilku fotoreporterów, dwunastu znajduje się na pokładzie jednego z B-17, który krąży nad strefą bombardowania. Na szerokim froncie Eisenhowera, naprzeciwko sił niemieckich rozciągniętych wzdłuż Renu, zainstalowały się setki cywilnych i wojskowych korespondentów. Bandy jednak uznał, że to północna trasa Monty'ego najpewniej zaprowadzi go do Berlina. Dwa tygodnie temu w niezwykle dramatycznych warunkach dokonano przeprawy przez Ren w Remagen na środkowym odcinku frontu. Ale Bradleyowi tego przyczółka na wschodnim brzegu nie udało się rozszerzyć z powodu natychmiastowej reakcji Niemców. Na południu Patton wytrwale posuwa się do przodu. Jego 3 Armia przekroczyła Ren dwa dni temu

i wyprzedziła wielką operację Montgomery'ego. Przechodząc przez most pontonowy na drugą stronę rzeki, Patton rozpiął rozporek i jak powiedział, ulżył sobie, sikając do Renu. Ale Patton nie ma szans dotrzeć stamtąd do Berlina jako pierwszy. Musi pokonać zbyt duży teren. Poza tym Ike prawdopodobnie skieruje go na południe, by mieć pewność, że naziści nie zbierają się w rzekomej „reducie narodowej” w bawarskich Alpach. Za kilka minut Bandy wyskoczy z samolotu wraz z ludźmi i sprzętem 17 Dywizji Powietrznodesantowej na najdalej wysuniętych pozycjach wojsk alianckich. Znowu znajdzie się w pierwszych szeregach walczących.

C-46 schodzi niżej, na wysokość dwustu metrów. Zwalnia do prędkości stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Twarz Bandy'ego owiewa świeże powietrze wpadające przez drzwi. Czarny dym się rozwiął. Do Niemiec wkracza wiosna.

Dowódca skoków macha pięścią w górę i dół. Oznacza to: „Przygotować się!” Klęka przy drzwiach i unosi palec wskazujący. Podchodzi pierwszy żołnierz, reszta przesuwa się i ścieśnia za nim w kolejce. Robiąc krok do przodu, Bandy spogląda pod nogi. Spadochroniarze mają wetknięte nogawki spodni do wysokich butów. On też tak zrobił.

Victoria rozwaliłaby mu łeb, gdyby widziała go teraz. Powiedziałyby mu, nie owijając w bawełnę, że powinien orać traktorem ziemię pod zasiewy, a nie skakać z wysokości dwustu metrów prosto w ogień karabinów i artylerii. Powinien być w domu, pośród zielonych wzgórz i pierwszych kwitnących azalii. Siedzieć na huśtawce w chłodne jeszcze wieczory. Leżeć w ciepłych ramionach żony i świeżej pościeli. Przywiązane do łydek aparaty grzechoczą, gdy samolot umyka przed ostrzałem, odwracając uwagę Bandy'ego od myśli o domu. Przyciskają się do jego nóg jak dzieci z drugiej, równie ważnej rodziny, i mówią: Zostań z nami! Będzie świetnie!

Gaśnie czerwone światelko, a pod nim zapala się zielone. Dowódca skoków opuszcza ramię, jakby machał flagą startową ze wzorem szachownicy. Wskazuje palcem ziemię. Pierwszy żołnierz w szeregu wyskakuje bez wahania. Dowódca znowu unosi rękę, zatrzymuje ją na chwilę, a potem ponownie opuszcza, odmierzając jak metronomem dwusekundowe przerwy między wyskakującymi spadochroniarzami. Bandy nie słyszy go, widzi jednak, jak układają się jego usta i poruszają ścięgna na szyi, gdy krzyczy: - Już!

Nad strefą lądowania ostrzał znowu staje się silniejszy. Samolot dokonuje gwałtownych zwrotów. Ludzie tracą równowagę i przytrzymują się linek. Bandy stara się zachować pewną odległość od młodego żołnierza przed sobą. Łomot odłamków uderzających o kadłub jest coraz intensywniejszy. Przednią część kabiny, gdzie gorący metal właśnie przebił powłokę samolotu, przecinają niczym miecz magika snopy światła. Bandy mówi sobie, że powinien jak

najszybciej się stąd wydostać, a jednocześnie wszystko w nim się przed tym buntuje.

Usiłuje nie myśleć. Przed nim jest już tylko czterech ludzi, do skoku pozostało osiem sekund. Wewnętrzny głos ostrzega, że nie pora teraz na rozrachunki z życiem. Na wyrzuty sumienia wobec Victorii. Na obietnice składane Wszchemogącemu. Po prostu krok na przodu i stop, znowu krok i stop, i jeszcze jeden krok.

Stopy Bandy'ego znajdują się w odległości kilku centymetrów od otwierającego się przed nim przeznaczenia. Wskoczyli już wszyscy oprócz dowódcy, który unosi rękę-szlaban. Uśmiecha się zza gogli do Bandy'ego. Salutuje i wreszcie wskazuje na dół. Tym razem Bandy słyszy jego okrzyk poprzez świst wiatru, bicie serca i pulsujący strach:

- Już!

Bandy'ego zdumiewa, że świat jest taki szmaragdowy. Drzewa i pola pod nim są kojąco zielone, ciągną się bez końca. Dokoła niego na niebie, jak okiem sięgnąć, widać oliwkowobrazowe samoloty. Niemal stykają się skrzydłami. Niespotykana flotylla, którą przysłały tu wolne państwa.

Stają mu przed oczami wiosenne pola i kwiaty tytoniu. Góry. Mech z kroplami deszczu. I Victoria.

- Już!

Okrzyk Bandy'ego „Aaa!” niknie w ryku silników i nicości, która go wchłania.

Za pierwszym pociągnięciem linki z plecaka wyskakuje spadochron. Tkanina rozwija się nad jego głową z szelestem. Bandy czuje szarpnięcie w kroczu i pod pachami. Jego zęby uderzają o siebie. Spada już znacznie wolniej. Niebo znika. Przez chwilę Bandy huśta się na swej uprząży, a potem, już tylko lekko się kołysząc, opada ku ziemi. Wszystko poszło dobrze. Bandy jest zadowolony.

Poranek wypełniają teraz zupełnie inne dźwięki. W górze huczą silniki samolotów, w dole terkocze broń ręczna. Bandy'emu zdaje się, że leci prosto w trzaskające płomienie. Wyją niemieckie działa osiemdziesięcio-ośmiomilimetrowe, niebo przecinają pociski smugowe. Wśród tego ryku Bandy słyszy bicie własnego serca.

A potem nagle zapada cisza. Nie istnieje nic poza rosnącą w oczach połącią zieleni. Czy zawsze tak się dzieje? Bandy nie pamięta, jak to było podczas pierwszego skoku. Czyżby tak samo? Człowiek nawet nie zdąży...

Pod wpływem wstrząsu hełm uderza go w kark. Czuje ból w szyi. Kolana zginają się gwałtownie, kostki wykręcają. Pada twarzą do przodu, ledwie zdążywszy wyciągnąć ręce.

Przygryzł sobie wargę. Kolano ma stłuczone. Bola go biodra. Ziemia, która znalazła się przed jego nosem, przypomina glebę w Tennessee deszczowego

dnia. Trawa, błoto i ten żyzny zapach. Bandy odpręża się na chwilę i przykłada policzek do ziemi.

Ale nad nim zamiast nieba jest spadochron, który za chwilę go okryje. Ze wsząd dochodzą odgłosy strzelaniny, tupot biegnących ludzi i okrzyki wojenne. A ziemia pod nim to ojczyzna wroga.

Bandy obraca się, by sprawdzić, czy aparaty wyszły cało z tej eskapady. Zaplątuje się jednak w spadochron i linki. Usiłuje wydobyć się ze zwojów jedwabiu i po kilku sekundach szamotaniny siada zawstydzony, że przed chwilą tak przywarł do ziemi.

Wszędzie dokoła gramolą się ludzie, zbierając swój sprzęt. Sierzanci i porucznicy nawołują i machają rękami, formują swoje plutony. Nagle na Bandy'ego pada cień. Nie słyszy ryku silnika, ale ma dziwne uczucie, że przecięło mu drogę skrzydlate przeznaczenie. Potem tuż obok niego na ziemi pojawia się jeden z płóciennie-drewnianych szybowców. Ląduje niezbyt efektownie, ale bezpiecznie. Samolot jest podziurawiony kulami. Przez otwory Bandy widzi młodego pilota, który trzyma drążek. Gdy szybowiec zatrzymuje się niezgrabnie, osiadając na podpórkach, Bandy wstaje i zaczyna biec. Nogi ma nadwerężone w stawach. Po drodze odpina paski, którymi do łydek przywiązane są speed graphic i leica.

Chowa się za żywołotem na granicy pola, na którym wylądował. Zarośla nie osłonią go przed kulami, ale przynajmniej będzie niewidoczny, dopóki nie przygotuje sprzętu. Przykuca wśród gałęzi, kłują go kolczaste krzewy, więc kładzie się pod nimi.

Z dwóch skoków, które w życiu wykonał, ten z pewnością był bardziej udany, o ile, oczywiście, przeżyje całą tę przygodę.

Rozpakowuje aparaty. Wkłada pękatego speed graphica do plecaka, a następnie leicą lustruje rozciągające się przed nim pole bitwy. Gdy patrzy przez obiektyw, obraz staje się bardziej wyostrojony. Aparat jest trzecim okiem Bandy'ego, dzięki niemu widzi lepiej. W obiektywie walka nie sprawia wrażenia bezładnej szamotaniny. Staje się układem płaszczyzn, liniami na tle światła, siłą mierzoną tempem, arytmetyką, w której liczbami są ludzie. Wojna rozpada się wtedy na poszczególne elementy, sceny, jakby obiektyw aparatu był mikroskopem, przez który Bandy ogląda jądro i elektrony, składające się na atom.

Na spadochronach albo w szybowcach nadciąga drugi tysiąc żołnierzy. Jest cicho, dopóki nie dotkną ziemi. Kiedy szukają osłony, ściągają na siebie ogień zza żywołotów i budynków gospodarskich. Bronią się, strzelając do wroga. Niektóre spadochrony zaplątują się w gałęzie wysokich drzew. Żeby się uwolnić, żołnierze muszą przeciąć nożem pasy, które ich przytrzymują, i zaryzykować skok na ziemię. Jeden ze spadochroniarzy jest martwy, został zastrzelony,

gdy zawiał bezradnie.

Bandy robi zdjęcia, zużywa cały film i wkłada nowy. Robi to szybko, wyćwiczonym ruchem, by nie tracić czasu. Fotografuje pochylonych żołnierzy, którzy biegną z karabinem gotowym do strzału. Utrwała na filmie olbrzymie masy ludzi zrzucanych przez samoloty i w myśli układa już podpis: „Czarne kropki rozkwitają jedwabnymi kwiatami”. Chłopcy na ziemi wygrzebują się spod zwiędłych czas spadochronów i pokaleczonych szyboców. W ich oczach radość z udanego lądowania przemienia się nagle w strach, gdy ze świstem przelatuje obok nich pierwsza kula. Uświadamiają sobie, że nadal muszą walczyć o życie. Wszystko to Bandy rejestruje swym obiektywem.

Nadszedł jednak czas, by wyjść z za żywopłotu.

Czterdzieści pięć metrów dalej, przy południowej granicy pola, ciągnie się rząd drzew. Tam wokół porucznika i sierżantów zebrał się pluton, z którym Bandy skakał. Bandy wstaje. Schylony przebiega otwartą przestrzeń w kierunku grupy żołnierzy. W takich chwilach, gdy jest nieosłonięty i narażony na strzały wroga, używa nie tylko rąk i oczu, jak podczas robienia zdjęć. Czuje każdy centymetr kwadratowy własnego ciała. Jego mózg poprzez nerwy wysyła komunikaty do wszystkich części organizmu. Bandy czuje palce u nóg, brwi, nad którymi podskakuje hełm, mięśnie brzucha, utrzymujące w skłonie jego pochyloną sylwetkę. Przez sześć lat wojennej kariery przygotowywał się na spotkanie ze swą pierwszą kulą. Czeką na nią. Na tym polu po wschodniej stronie Renu pozdrawia go kilka przelatujących pocisków. Jedne szepczą „witaj”, inne orzą ścieżkę u jego stóp. Ale żaden go nie całuje.

Bandy jak baseballista wsuwa się między żołnierzy. Jeden z nich mówi:

- Dobrze jest!

Porucznik się uśmiecha.

- Panie Bandy, przyłączy się pan do nas?

Bandy stara się złapać oddech.

- Jeśli wolno.

- Oczywiście. Tylko proszę się trzymać z tyłu. Pochylić głowę i iść za nami.

Okay?

Bandy spostrzega młodego spadochroniarza z wąsikami. Wyraźnie widzi piegi na twarzy chłopca, gdy ten po raz drugi pokazuje mu uniesiony do góry kciuk.

Oficer nie czeka na odpowiedź. Zdejmuje broń z ramienia.

- Tyraliera. W drogę.

Pluton rozciąga się w szeregu między drzewami i rusza na zachód, oddalając się od strzelaniny w strefie zrztu. Zaczynają się niewielkie wzgórza. Las nie jest już tak gęsty, pnie drzew nie tak grube, a na gałęziach pojawiły się

pączki. Bandy ma dobrą widoczność we wszystkich kierunkach, ale sam także jest z daleka widoczny.

Do zalesionego wzgórza docierają odgłosy walki o Wesel, oddalonego jakieś trzy kilometry na prawo. Z tej wysokości widać czerwone dachy i kościelną wieżę leżącego niżej miasteczka. Ze wszystkich stron dochodzą odgłosy strzałów, gdy Amerykanie natykają się na Niemców broniących się w wolno stojących domach, stodołach i oborach. Teren jest urozmaicony. Strumienie, wąwozy, pagórki i błotniste drogi przypominają Bandy'emu rodzinne strony. Przykro mu widzieć tę krainę tak okaleczoną.

Dziesięć minut później pluton wkracza do rozległego sadu. Dziesięć kroków i dostaje się pod ostrzał. Strzały padają z dużego domu oddalonego jakieś siedemdziesiąt metrów. Pluton natychmiast rozdziela się na trzy drużyny, które kierują się w prawo, w lewo i na wprost. Bandy waha się przez moment, nie wiedząc, w którą stronę biec. Zdezorientowany pada na ziemię i pozostaje sam na otwartej przestrzeni.

Niemcy ukryci w budynku ponownie otwierają ogień z karabinów maszynowych. Nie celują zbyt dobrze, kule padają, gdzie popadnie. Z okna na drugim piętrze wydobywa się smuga dymu. Pocisk, mijając drzewa, trafia w wielki pień niespełna dwadzieścia metrów od miejsca, gdzie leży Bandy. Niemcy strzelają również z pancernych. Drzewo łamie się na pół, pada. Gałęzie stają w płomieniach.

Pluton rusza do przodu zgodnie z zasadami taktyki wojennej - ostrzeliwując dom, zajmuje pozycje, by wziąć go potem ze wszystkich stron.

Porucznik przystaje w biegu. Przykłęka i odwraca się do Bandy'ego.

- Panie Bandy, niech pan się gdzieś ukryje!

Budynek przypomina podpalony magazyn fajerwerków. Z kilku okien bucha dym, w każdej szczelinie błyska ogień broni automatycznej, słychać terkot karabinów. Ktokolwiek ukrywa się w środku, wali ze wszystkiego, co ma pod ręką. Niektóre z pocisków są przeznaczone dla Bandy'ego.

Zrywa się więc na nogi do kolejnego biegu przez otwartą przestrzeń. Jego celem jest stos drewna opałowego trzydzieści metrów dalej, tuż za płonącym drzewem. Biegnie, wymachując leicą w lewej ręce. Speed graphic w plecaku obija mu się o kręgosłup.

Bandy nie spuszcza wzroku ze stosu drewna. Niech no tylko tam dotrze, to nie wystawi zza niego nosa, póki dom nie zostanie zdobyty. Ci ludzie w środku, to czubki. Strzelają do wszystkiego. Pociski koszą gałęzie jakieś sześć, siedem metrów nad Bandy'm.

Pozostało mu już tylko kilka susów. Uda się. Zawsze mu się udaje.

Nagle ból przeszywa jego prawe udo i jak prąd ogarnia całe ciało. Leica wypada mu z ręki i leci w stronę stosu drewna. Bandy przewraca się. Pada

instynktownie na lewą stronę, żeby nie urazić zranionej nogi. Uderza o ziemię ramieniem, tym samym, które zwicznął podczas skoku w Hiszpanii sześć lat temu. Upada jak długi i jeszcze zanim stracił rozpęd, zaczyna się czołgać.

Prawa noga jest jednak bezwładna. Chce nią poruszyć, ale przy następnej próbie podczołgania się pod osłonę stosu przekonuje się, że lepiej zdać się na zdrową nogę, a tamtą tylko ciągnąć. Ma wrażenie, że lewe ramię przypieka mu jakiś olbrzym. Niech to szlag! Chciałby zakląć bardziej soczyście, szuka w myśli odpowiedniego słowa na upamiętnienie swej pierwszej rany bitewnej, ale tylko to przychodzi mu na myśl: Cholera! Ale boli.

Oparłszy się wreszcie o stos drewna, dokonuje oględzin nogi. Wewnętrzna strona prawego uda w nogawce spodni jest mocno poszarpana. Rana sięga nawet parę centymetrów wyżej. Niech to szlag! Ostrożnie manewrując palcami, odsuwa zakrwawiony skrawek materiału. Syczy z bólu przez zaciśnięte zęby, znowu przesywa go prąd.

Szczęściarz z niego! Oberwał paskudnie, rana ma dokładnie kształt litery C i rozmiar ośmiomilimetrowego pocisku, który ją wyciął. Mocno krwawi. Pod kolanem zebrała się już mała szkarłatna kałuża. Palce Bandy'ego, którymi bada udo, są czerwone i lepkie.

Rana piecze, jakby były w niej ciernie. Nie ma czym jej opatrzeć, a lekarz jest z plutonem, który atakuje dom. Bandy odpina guziki kurtki. Zaciskając zęby, zsuwa ją z trudem, lewe ramię jest zwicznione i szybko puchnie. Przekłada rękaw kurtki pod krwawiącym udem i związuje mocno z drugim rękawem powyżej rany. Bardzo się przy tym poci. Jeszcze minutę temu biegł ku osłonie. Charles Bandy, fotoreporter „Life'u”, na pierwszej linii frontu po wschodniej stronie Renu. Teraz ranny, ma sprawną tylko jedną nogę i jedną rękę. Mija pięć kolejnych minut. Krew w obwiązanej nodze pulsuje coraz szybciej. Bandy ma wrażenie, jakby tkwił w niej zegar. Zza stosu drewna dochodzi zgiełk walki. Głosy ludzi odbijają się echem wśród drzew. Tam! Już, już! Szeleszczą liście, pod butami biegnących ludzi trzaskają patyki. Pociski uderzają w szkło, w ziemię, w pnie, ściany budynku. Sad wchłania te dźwięki. Bandy, który ze swej kryjówki nic nie widzi i w dodatku z bólu zaciska powieki, słyszy wszystko, ale po raz pierwszy nie interesuje go pole bitwy.

W końcu walka ustaje. Odgłosy strzałów milkną. Kiedy w sadzie zapada cisza, z domu dają się słyszeć okrzyki:

- *Nicht schiessen! Wir kommen aus!*

Młodziutki głosy. Wysokie. Jak z chłopięcego chóru.

Bandy nie wierzy własnym uszom. Nie. Nie, to niemożliwe.

Postrzeliły go dzieci.

Chciałby się podnieść, wytoczyć zza stosu i zobaczyć, kto do niego strzelał. Może to jednak dorosły mężczyzna, prawdziwy nieprzyjacielski żołnierz tak

go załatwił. Po tych wszystkich latach spędzonych na wojnie przynajmniej tyle mu się należy. Bandy jednak nie słyszy żadnych dorosłych głosów od strony budynku. Spadochroniarze, krzycząc, ruszają do przodu, by wziąć Niemców do niewoli.

- *Hande hoch!* - Porucznik zna trochę niemiecki. Potem dodaje: - *Schnell, Kinder.*

Szybciej, dzieci!

Bandy przykładą rękę do czoła, rozmazując na nim krew. Mruczy do siebie:

- Cholera, nie wierzę.

Nie wytrzyma tego dłużej. Mimo oporu zwichniętego ramienia, obraca się w lewo i wyjrzawszy wreszcie zza drewna, widzi z tuzin nastolatków. Niektórzy wyglądają na jeszcze młodszych. Wszyscy szczupli, o jasnej cerze. Są w czarnych mundurach SS, ze srebrnymi galonami i orłami. Trzymają ręce w górze. Żaden z nich nie ma hełmu, są w czapkach albo bez. Tylko dwaj czy trzej mają oficerki. Reszta jest w zwykłych cywilnych butach. Zostają otoczeni przez spadochroniarzy, którzy mierzą do nich z karabinów. Bandy słyszy, że niektórzy chłopcy pociągają nosem, jeden z nich z poczerwieniałą twarzą po prostu płacze.

To hitlerowcy zorganizowali tę maskaradę. Dali dzieciom broń i kazali im strzelać do Amerykanów. A one usłuchały. Kiedy skończyła się amunicja albo zbyt wielu z nich było już rannych, podniosły ręce do góry i pokornie wyszły z budynku. Ilu jeszcze młodych ludzi poświęci Hitler, żeby bronić swojej parszywej sprawy? Jeśli posunął się do czegoś takiego, musi być zdesperowany i gotowy na wszystko. To większy drań i bardziej niebezpieczny, niż Bandy sobie wyobrażał. Co jeszcze nas czeka w drodze do Berlina, zastanawia się.

Nigdzie nie widać felczera. Bandy jest trochę zażenowany, ale woła:

- Hej! Lekarza!

Podchodzi jeden z sierżantów.

- Jak tam, chłopie? W porządku?

- Może być. Nie.

- Poczekaj. Lekarz jest zajęty.

Sierżant kuca, żeby obejrzeć ranę i prowizoryczny opatrunek.

- Będzie dobrze.

- Mam nadzieję.

Żołnierz wstaje, by wrócić do kolegów otaczających młodych Niemców.

- Hej! - Bandy zatrzymuje go.

- Aha?

- Ilu ich było? Tam, w domu. Byli jacyś regularni żołnierze?

- Nie. Tylko ci. Zabiliśmy pięciu, zanim się poddali. Bandy kiwa głową.

- Nienawidzę tego - mówi żołnierz. - Cholernie nienawidzę.

Nie czeka na odpowiedź. Bandy jest ranny, to fakt. Ale ten żołnierz zabił dzieci. Jego rana nigdy się nie zagoi. Sierżant stoi jeszcze chwilę, zastanawiając się nad własnymi słowami, ale nic już więcej nie mówi. Sплюwa i odchodzi. Bandy podnosi z ziemi swoją leicę.

- Sierżancie.

Żołnierz zatrzymuje się

- Pomoże mi pan?

- Chce pan robić zdjęcia, panie Bandy?

Owszem, chciałby.

- Nie. Nie, ja tylko... chciałem na nich popatrzeć przez obiektyw.

Spadochroniarz otacza go ramieniem i pomaga mu się podnieść. Bandy podpira się jedną nogą i wstaje, tłumiąc jęk. Zawiązana na nodze kurtka odwija się i upada na ziemię. Sierżant chwytając Bandy'ego za ramię. Ten wyje z bólu. Żołnierz sadza go więc z powrotem.

- Zwichnięte - sapie z irytacją Bandy. - Jest zwichnięte. Jezu. Daj mi minutę. Sierżant stoi nad Bandym, który kołysze się w tył i w przód. Pochyla się i bezceremonialnie ujmując go za lewe ramię. Bandy nie może temu zapobiec.

- Nie! Czekaj!

Sierżant zapiera się o prawe ramię Bandy'ego i jednym mocnym szarpnięciem nastawia je. W stawie rozlega się trzask. Bandy ma wrażenie, jakby został rozerwany na pół. Ale chwilę później ból ustaje.

- Aaa. Aaa, na miłość boską, sierżancie. Boże!

- Lepiej?

- Tak, Jezu...

Żołnierz podnosi Bandy'ego z taką samą siłą, z jaką przed chwilą szarpnął go za rękę. Razem ruszają w stronę domu. Bandy utyka, wsparty na ramieniu spadochroniarza. Czuje, jak krew po łydce spływa mu do skarpetki i do buta. Podczas marszu ból wcale nie jest większy, niż wtedy gdy siedział spokojnie. Będzie miał na pamiątkę sporą bliznę, i tyle. Bardziej niepokoi go ramię. Jest nastawione, owszem, ale coś w nim strzyka.

Dwadzieścia metrów dalej stoi dwunastu niemieckich chłopców. Trzymają wciąż ręce nad głową, otoczeni przez spadochroniarzy o kamiennych twarzach, którzy mierzą do nich z karabinów. Teraz płacze już kilku z nich. Najstarszy nie może mieć więcej niż szesnaście lat.

Młodzi Niemcy przenoszą wzrok na Bandy'ego i jego krwawiącą nogę. Kilku z nich nie kryje satysfakcji. Na twarzach większości maluje się jednak ulga. Bandy żałuje, że nie może tego sfotografować - fanatycznego zaślepienia i łez bezradności. Obrazu wypaczonego dzieciństwa.

Omijają chłopców i kierują się w bok od domu. Tam, na skraju sadu, grupa spadochroniarzy otacza leżącego na ziemi mężczyznę i klęczącego przy nim felczera.

Zobaczywszy Bandy'ego, który kuśtyka wsparty na ramieniu sierżanta, rozstępują się i pozwalają mu przejść do środka. Felczer nie podnosi jednak wzroku znad ciała żołnierza z wąsikiem.

Chłopak dostał w szyję. Lekarz przyłożył gazę do rany. Biały bandaż przesiąknięty jest krwią po obu stronach gardła, kula przeszła na wylot. Rękami czerwonymi od krwi felczer odpakuje osocze. Żołnierz stojący obok trzyma już gotową strzykawkę z morfiną.

Rumieńce, które młody spadochroniarz miał na policzkach w samolocie transportowym, zniknęły. Jego twarz zszarzała. Piegi stały się niewidoczne, jakby także zbladły.

Patrzy prosto w niebo. Zauważa jednak Bandy'ego i przekręca głowę. Felczer rozrywa torebkę z osoczem, wbija igłę i podłącza kroplówkę.

Świadom swego beznadziejnego losu, chłopak posyła Bandy'emu uśmiech. Unosi nad ziemią słabą dłoń i jeszcze raz wystawia kciuk do góry.

Bandy odpowiada tym samym gestem. Porusza ręką z uniesionym kciukiem, jakby chciał wydobyć z niej siłę i odrobinę szczęścia, które mógłby przekazać leżącemu chłopcu. Dosypać piasku do jego klepsydry.

Spojrzenie chłopca ześlizguje się na leicę w ręku Bandy'ego. Jego poblądła twarz się zmienia, krzywi, lecz nie z bólu, tylko w wyrazie przeczenia.

Bezgłośnie, młody żołnierz prosi Bandy'ego: Nie rób mi zdjęć. Dobrze?

25 marca 1945, godzina 14.30

Zachodni brzeg Renu

Büderich, Niemcy

- Nie.

Jedną z zalet Churchilla jest to, że potrafi przyjąć to słowo do wiadomości. Podczas swojej długiej kariery politycznej nauczył się być cierpliwy. Zachowuje prawdziwy stoicyzm, jeśli o to chodzi.

- Dobrze, generale. Skoro tak pan uważa.

Eisenhower nie jest pewien, czy Churchill poważnie traktuje jego decyzję. Głęboko zaciągając się cygarem, sprawia wrażenie, jakby nagle skapitulował.

Generał spogląda na innych dowódców zebranych w pokoju, na Bradleya, Simpsona i Montgomery'ego. Chciałby, żeby go poparli.

- Ja nie żartuję, panie premierze. Jestem naczelnym dowódcą i nie pozwolę, żeby pan uczestniczył w przeprawie. Mógłby pan zginąć.

- Tak - mówi Churchill, opuszczając wzrok. Przeczytał kiedyś, że jest to sposób obrony przed atakującym gorylem. - Tak, rzeczywiście, to prawda. Ma pan rację.

Simpson i Bradley kręcą głowami. Bradley nawet kiwa ostrzegawczo palcem. Ale w jego oczach widać rozbawienie. Montgomery uśmiecha się otwarcie do swego zwierzchnika.

Churchill rozkłada ręce.

- No, ale już się specjalnie ubrałem na tę okazję...

Ma na sobie swój stary mundur oddziału kawalerii, 4 Pułku Huzarów Przez te wszystkie lata kilka razy musiał go przerabiać u krawca. Mundur ten wydaje się szczególnie stosowny na dzisiejszą wizytę frontową. Churchill czekał na tę chwilę od września trzydziestego dziewiątego roku. Finałowa przeprawa przez Ren. Operacja Varsity w samym sercu Niemiec. A potem, pod dowództwem Anglika, marsz na Berlin.

Bradley i Montgomery nie starają się ukryć rozbawienia. Simpson odwraca wzrok. Eisenhower wydmuchuje dym nieodłącznego papierosa. Churchill także wypuszcza obłoczek dymu, tyle że większy, ze swego cygara.

- Panie premierze. Kiedy ostatni raz jechał pan w oddziale kawalerii?

- Obawiam się, że w zeszłym stuleciu.

- Dlatego się sprzeciwiam.

- Rozumiem, generale. Oczywiście.

Churchill chyba nie podda się w taki sposób, by Eisenhower poczuł się przekonany.

- A co było wczoraj? - nie ustępuje generał. - Z Jockiem?

Mówi o Jocku Colville'u, sekretarzu Churchilla. Wczoraj przed południem Colville bez pozwolenia przepłynął rzekę łodzią szturmową i powrócił cały zakrwawiony, bo kierowca, który stał obok niego, został trafiony szrapnelem.

Eisenhower odwołuje się do Montgomery'ego:

- Monty, co wczoraj powiedziałeś, kiedy zobaczyłeś Jocka?

Montgomery podnosi głos dla lepszego efektu:

- Powiedziałem: „Dobry Boże, człowieku!”

- A co powiedział pan premier?

Monty klaska w dłonie, naśladując Churchilla:

- „Ale popis, człowieku!”

- Nie! - mówi Eisenhower, jakby to słowo było puentą całej historii. Unosi otwartą dłoń jak znak stopu. - Zabraniam. Koniec.

Eisenhower jest w złym humorze tego popołudnia. Podczas lunchu, dwie godziny wcześniej, czterej generałowie i Churchill omawiali ostatni konflikt z Rosjanami. Siedzieli na tarasie zamku położonego wysoko nad rzeką, w którym

Eisenhower umieścił swoją kwaterę. Na dużym stole nakrytym białym obrusem stała srebrna zastawa, półmiski z mnóstwem smakowitego jedzenia oraz alkohole. Wszystko tak, jak lubi Churchill. Między biesiadnikami unosiły się smutki dymu i Churchill miał wrażenie, że są na Olimpie. W dole, na rzece widać było łodzie przewożące żołnierzy, którzy płynęli na drugi brzeg, by rozgromić wroga. W górze tysiące alianckich samolotów transportowało spadochroniarzy na tyły nieprzyjaciela. Churchill zafascynowany patrzył, jak ta zbliżająca się ku końcowi wojna przetacza się na wschód. Miał to być uroczysty lunch. Ale Eisenhower był w paskudnym nastroju. Po posiłku wszyscy przyjechali do tego domu w Büderich nad rzeką, by lepiej przyjrzeć się operacji. Jest piękny wiosenny dzień. Naczelny dowódca jednak się nie rozchmurzył.

Czerwoni przesadnie zareagowali w sprawie czystej jak łąza. Pod koniec lutego generał Karl Wolff, najwyższy rangą oficer SS we Włoszech, rozmawiając z włoskim przedsiębiorcą, wyraził chęć nawiązania kontaktu z aliantami. Zamierzał wynegocjować warunki poddania się niemieckich wojsk stacjonujących w północnych Włoszech. W marcu z Wolffem spotkał się w Zurychu szef OSS, Allen Dulles. Poinformował generała SS, że aliantów interesuje tylko bezwarunkowa kapitulacja jego oddziałów. Uzgodniono, że Wolff wróci do Włoch i przekona feldmarszałka Kesselringa, naczelnego dowódcę tamtejszych niemieckich sił, o konieczności złożenia broni. Drugie spotkanie zaplanowano w Bernie, w Szwajcarii. Wyraźnie określono warunki: miała to być kapitulacja militarna, nie mająca nic wspólnego z polityką. Powiadomiono o tym rząd radziecki. Minister spraw zagranicznych Mołotow zgodził się, że spotkanie z Wolffem powinno się odbyć, ale zażądał, by uczestniczył w nim także przedstawiciel ZSRR. Ponieważ spotkanie berneńskie miało charakter wstępny, Brytyjczycy i Amerykanie odpowiedzieli odmownie. Uznano, że obecność Rosjan mogłaby przestraszyć Niemców, a poza tym udział Związku Radzieckiego tylko przedłużyłby sprawę. To, co można załatwić w godzinę, ciągnęłoby się tygodniami, a przez to zginęłoby więcej żołnierzy. Ponadto we Włoszech nie było żadnych wojsk radzieckich. Stalin z pewnością nie zaprosiłby amerykańskich ani brytyjskich obserwatorów do rozmów w sprawie kapitulacji niemieckich sił na Wschodzie. Mołotow został więc poinformowany, że Związek Radziecki będzie mógł przysłać swoich reprezentantów dopiero wtedy, gdy Niemcy oficjalnie złożą broń.

Jednak Mołotow i Stalin wpadli we wściekłość. Zaczęli wietrzyć podstęp, podejrzewając, że alianci chcą podpisać z Niemcami oddzielny pokój. Bali się, że Hitler uzyska zgodę na przerzucenie swych sił i sprzętu z Włoch na front radziecki. Albo co gorsza, że Zachód porozumie się z Niemcami i razem zwróci się przeciwko *Matuszce Rossiji*. Prawdopodobnie, myśli Churchill.

Bolszewicy po prostu walczą o swój prestiż na arenie międzynarodowej. Nie chcą, by pierwsza większa kapitulacja wojsk niemieckich była wyłącznie zasługą państw zachodnich. Rozmowy berneńskie, jak ich zapewniono, dotyczą wyłącznie spraw wojskowych i nie będą miały żadnych konsekwencji politycznych dla ZSRR. Stalin jednak patrzy na wszystko jak paranoik i mierzy ludzi własną miarką.

W każdym razie Mołotow i jego szef ślą coraz ostrzejsze depesze do Churchilla i Roosevelta. Ostatnia znalazła się zeszłego wieczora w obitej czerwona skórą ministerialnej teczce Churchilla. Język Mołotowa był, mówiąc dyplomatycznie, jadowity. Niedopuszczenie ZSRR do wstępnych rozmów z Niemcami zostało określone jako „całkowicie niespodziewane i niezrozumiałe w kontekście stosunków między naszymi państwami”. Rządy USA i Wielkiej Brytanii oficjalnie odparły zarzuty Mołotowa, wyjaśniając, że na żadnym etapie niczego przed Rosjanami nie ukrywano. Dulles działał z własnej inicjatywy i jak dotąd wszelkie negocjacje były nieformalne i niezobowiązujące. Stosunki się jednak popsuły.

Podczas lunchu Churchill pokazał generałom list Mołotowa. Radziecki minister spraw zagranicznych pisał:

„Za plecami Związku Radzieckiego, który wziął na siebie cały ciężar wojny z Niemcami, od dwóch tygodni prowadzone są w Bernie negocjacje pomiędzy przedstawicielami niemieckiego dowództwa wojskowego a reprezentantami sił amerykańskich i brytyjskich.

To sformułowanie „za plecami” - jest jawnym oskarżeniem rządów amerykańskiego i brytyjskiego o to, że kłamią. Na zapewnienia państw zachodnich, że cała sprawa to wyłącznie nieporozumienie, Mołotow odpowiedział:

Rząd Związku Radzieckiego widzi w tym nie nieporozumienie, ale coś gorszego.

Eisenhower był tak rozgniewany, że nie zjadł lunchu, co zdaniem Churchilla jest niedopuszczalne. Naczelnym dowódcą grzmiał przy stole: radzieckie oskarżenia o wiarołomstwo są niesprawiedliwe i pozbawione podstaw. Jako dowódca wojskowy może przyjąć bezwarunkową kapitulację jakiejkolwiek jednostki niemieckiej na swoim froncie, od kompanii po całą przeklętą armię niemiecką. Jest to sprawa czysto militarna i niepotrzebne są do tego żadne polityczne pełnomocnictwa. Churchill i inni siedzieli cicho, podczas gdy Eisenhower pieklił się dalej.

Kiedy dał już upust złości, zapadł w ponure milczenie, paląc papierosa.

Odezwał się tylko Monty:

- Ike, dlatego właśnie powinniśmy pierwsi zdobyć Berlin. Czerwoni liczą się tylko z siłą.

Naczelnym dowódcą nic na to nie odpowiedział. Spojrzał jedynie na brytyjskiego marszałka z żarem w oczach.

Churchill wcale nie był zaskoczony reakcją Stalina i Mołotowa. Od trzydziestu lat, często sam jeden, bił na alarm, ostrzegając wszystkich przed komunizmem. Choć zdarzało się, że czasami ulegał urokowi i autorytetowi Stalina — kilkakrotnie wznosił żenująco wylewne toasty za powodzenie radzieckiego przywódcy i całego ZSRR, za zdrowie i przyjaźń - to zawsze wiedział, kim są czerwoni i do czego dążą. Zupełnie inaczej niż Roosevelt, który nie chciał zauważać pewnych spraw. Jak kochanek patrzący na swoją wybranekę przez różne okulary.

Teraz prawda wyszła na jaw - jak wąż, który wyjrzał z liści. Nic nie zostało z postanowień jałtańskich. Gwałcąc Deklarację Wyzwolonej Europy (moskiewską) i wcześniejszą Kartę Atlantycką, Stalin narzucił komunistyczne rządy wszystkim krajom, które zajął: Polsce, Rumunii, Bułgarii, Węgrom, a także w pewnym stopniu Jugosławii. Zrobiłby to samo w Grecji, gdyby nie sprzeciwił się temu Churchill. We wszystkich okupowanych państwach pachołkowie Stalina wprowadzają system terroru, mordują lub osadzają w więzieniach przeciwników politycznych. Churchill obawia się, że skoro Stalin łamie wszelkie umowy z tymi krajami, odmawiając im prawa wyboru formy rządów, pod którymi chciałyby żyć, odmawiając im nawet wolności słowa, może to samo zrobić z najważniejszą obecnie zdobyczą - z Berlinem i całym Niemcami. Jeśli jego czołgi dotrą w głąb Niemiec, to skąd pewność, że wycofa je do ustalonej strefy? Jeżeli czerwoni wkroczą do Berlina pierwsi, to czy oddadzą potem dwie trzecie miasta, zwłaszcza jeśli są przekonani, że to oni ponieśli największe ofiary w tej wojnie?

A co z Rooseveltem? Jeśli zdarzy się najgorsze - a na arenie politycznej zawsze tak się dzieje - to czy Stany Zjednoczone przeciwstawia się marksistowskiemu komunizmowi? Czy teraz, gdy Stalin i Mołotow ugryźli rękę, która karmiła ich podczas wojny, Stany wreszcie potraktują poważnie zagrożenie, jakim są czerwoni? A może Wuj Sam nadal będzie ufny i łaskawy wobec Wuja Joe, zamiast zastosować wobec Rosjan metodę kija i marchewki, jedyną, która do nich przemawia? Czy nadal, sfrustrowany, będzie załamywać ręce, jednocześnie radując się, że Związek Radziecki zajmuje parę miejsc w Narodach Zjednoczonych, ukochanej organizacji prezydenta Roosevelta? Churchill jest ciekaw, czy Roosevelt w ogóle zauważy tę farsę, gdy Polska i Rumunia będą głosować tak samo jak ZSRR.

Narody Zjednoczone. Marzenie Roosevelta o pokoju światowym.

Jaką cenę przyjdzie Europie za nie zapłacić?

Jest jeszcze jedno miejsce, w którym będzie można położyć temu kres.

Churchill to wie. Berlin.

Generał Eisenhower spogląda na brytyjskiego premiera.

Churchill stoi pośród generałów, bogów wojny. Zrobił wszystko, by przyjęli go do swego grona. Włożył nawet z tej okazji swój stary mundur huzarów. Ale ci ludzie władają innym niż on królestwem. To dowódcy wojskowi, a on - mimo że ubrany po wojskowemu - jest rasowym politykiem. Choć ci oficerowie służą celom politycznym, to w wojnie nie tylko o to chodzi. Churchill i wszyscy światowi przywódcy dobrze o tym wiedzą. Dlatego właśnie Stalin przeprowadził czystki w Armii Czerwonej, pozbywając się każdego niezależnie myślącego oficera. Taki człowiek przewodzi milionom uzbrojonych żołnierzy, którzy maszerują tam, gdzie im każe. O wyniku ich walki przesądzają nie głosy, lecz przelana krew. O ich losie decyduje nie głosowanie nad ustawą budżetową, ale wola narodu. Obalają tyranów. Zapełniają cmentarze.

Ci ludzie. Eisenhower. Simpson. Bradley. Montgomery, zaproszony tu w miejsce Pattona, dla równowagi. Dzieli ich rozmaite animozje, łączy poczucie lojalności. Ich łupem wojennym jest sława, którą zdobywają wspólnie lub indywidualnie. To oni kształtują Historię świata - w takim samym stopniu poprzez swoją mądrość, co małostkowość. Nic się na to nie poradzi, zawsze tak jest.

Teraz Churchill musi ulec woli Eisenhowera, choć wciąż patrzy tęsknie w stronę Renu i łodzi przewożących ludzi na drugi brzeg.

- Na mnie już czas - mówi Eisenhower.

Churchill odwraca spojrzenie od rzeki. Przywołuje na twarz promienny uśmiech.

- Szczęśliwej podróży, generale. Niebawem się spotkamy.

- Mhm - w głosie Eisenhowera wciąż słychać napięcie. Chciałby zastanowić się jeszcze nad obraźliwym listem Mołotowa. Może napisać odpowiedź.

Churchill czyta w jego myślach. Żegnając go, dodaje łagodnie:

- Proszę dać sobie spokój, generale. To żadna niespodzianka. Żadna. Najlepiej będzie pominąć to milczeniem.

Eisenhower kiwa głową.

- Możliwe. Ale nie podoba mi się to wszystko.

- Ma pan rację. Oczywiście.

Eisenhower poklepuje po ramieniu Bradleya, który także wychodzi. Naczelnym dowódcą rzuca szybkie spojrzenie na Simpsona i Montgomery'ego i odwraca się do wyjścia. Monty woła za nim:

- Berlin, Ike, musi być nasz!

Monty powinien nauczyć się trzymać język za zębami, myśli Churchill.

Eisenhower wychodzi sztywnym krokiem, zostawiając za sobą smugę dymu jak samolot z płonącym silnikiem. Za nim podąża Bradley.

Churchill i Montgomery pozostają sami z generałem Simpsonem, dowódcą amerykańskiej 9 Armii przydzielonej Monty'emu. Są u niego gośćmi.

- Cóż - mówi Churchill oględnie.
- Cóż - odpowiada marszałek polny Montgomery.
Premier wydmuchuje dym i zauważa:
- Dwaj Anglicy i jeden Jankes. Panie marszałku, może ostatni raz w tej wojnie przewyższamy Amerykanów liczebnie.
Simpson kiwa smukłym palcem.
- Nie, nie, nie, panowie. Słyszeliście, co powiedział Ike.
Churchill staje przy wysokim, szarym generale. Wyciąga rękę, stara się otoczyć go ramieniem.
- Tak. Nie pozwolił mi płynąć. Ale teraz go tu nie ma. I jeśli dobrze pamiętam regulamin wojskowy, pan dowodzi tym odcinkiem frontu, generale.
Simpson nie traktuje tego poważnie. Śmieje się.
- Domyślam się, do czego pan zmierza.
- Więc?
- Nic z tego, panie premierze.
- Ach tak. - Churchill zdejmuje z jego ramienia swą rękę. Staje obok Montgomery'ego. - Z przykrością to robię, generale. Ale muszę się wobec tego odwołać do wyższej władzy. Panie marszałku polny?
- Tak, panie premierze?
- Dziewiąta Armia podlega pańskiej Dwudziestej Pierwszej Grupie, nieprawdaż?
- Tak, rzeczywiście, panie premierze.
Na przystani za domem zapuszcza silnik mała łódź motorowa marynarki amerykańskiej.
- Może byśmy popłynęli na drugi brzeg i zobaczyli, co się tam dzieje? Montgomery wygląda dziarsko w swoim berecie i czerwonym krawacie.
Podoba mu się ta mała rebelia. Churchill uważa, że nie powinni drażnić Eisenhowera. Ale przeprawa przez Ren, doniosły etap wielkiej inwazji przez sam środek Niemiec, po tak ogromnych cierpieniach i ofiarach, to coś, czego nie można stracić.
- Dlaczego nie? - uśmiecha się Montgomery.
Churchill ledwie zauważa gest protestu ze strony generała Simpsona. Pędzi za Montgomeryem do drzwi i wybiega na brzeg, by zatrzymać łódź. Po drodze mijają marszałka polnego Alana Brooke'a, swego szefa sztabu.
- Chodź, Alan! Płyniemy na drugą stronę.
Montgomery dobiega na brzeg pierwszy i woła sternika łodzi. Za nim nadchodzi Churchill i Brooke, a tymczasem łódź odbija od mola. Chwilę później pojawia się Simpson w towarzystwie czterech oficerów, z których każdy jest uzbrojony.

- Ike mnie zabije za to, że pozwoliłem panu płynąć - mówi. - Ale będzie zabijać mnie powoli, jeśli w tej sytuacji spuszcze pana z oka.

Sternik łodzi i jego jednoosobowa załoga gapią się na swoich pasażerów, którzy gramolą się przez burtę.

- Kapitanie - mówi Churchill, zwracając się do sternika, który wcale nie jest kapitanem i z wrażenia zapomniał zamknąć usta - niech pan będzie tak miły i przewiezie nas na drugi brzeg.

Łódź płynie na środek rzeki pod bezchmurnym niebem. Churchill gryzie nowe cygaro z miną zwycięzcy. To fantastyczne, myśli. A jakie zabawne! Otoczony wojskowymi, w samym centrum działań wojennych, gdzie właśnie tworzy się Historia, gdzie wyraźnie słychać skrzywienie pióra na jej kartach. Tu nie trzeba myśleć o tym, kto jest obecny na jakim spotkaniu, kto kogo obraził. Nie ma politycznego ping-ponga i zabiegania o poparcie wyborców. Nie, na Boga, tu dzieje się coś naprawdę! Kofyszący się pokład pod stopami. Niebezpieczeństwo. Żołnierze. Churchill myśli o dwóch pozostałych ludziach, którzy wraz z nim tworzą wielkie przymierze. Jednym, ograniczonym nie tylko przez wózek inwalidzki, ale także przez pozycję i własną naiwność. I o tym drugim, uwięzionym w murach dogmatu i obłędu. Ach, gdyby prezydent i marszałek byli tu wraz z nim... W blasku słońca, w obliczu wielkich wydarzeń na pewno otworzyłyby im się oczy. Pokonałiby wszelkie bariery.

Kiedy wojna się skończy, myśli Churchill, ci dwaj będą mieli rzeczywiście wielką władzę. Ale prawdziwa chwała jest tu, teraz.

Przeprawa przez rzekę przebiega gładko, nie przyciąga uwagi wroga. Kiedy już dotarli na drugą stronę, Churchill wyprzedza Simpsona, który usiłuje ze swoimi ludźmi jako pierwszy zejść na brzeg. Premier zgrabnie wchodzi na molo. Z płaskowyzu za miasteczkiem dochodzi huk artylerii i broni ręcznej. Churchill - kawalerzysta bez konia - bez wahania zmierza w tamtą stronę. Simpson dogania go i staje przed nim, próbując go zatrzymać.

- Nie, sir.

- Generale, dotarliśmy aż tu i nie popatrzymy, co się tam dzieje?

- Słyszymy odgłosy walki i to powinno nam wystarczyć, panie premierze. - Och, gadanie!

- Możemy przejść wzdłuż brzegu, jeśli pan chce, ale nie pójdziemy w głąb łądu.

- Generale.

- Panie premierze, to, jak pan powiedział, mój odcinek frontu.

Churchill przystaje na moment, ale nikt się nie łudzi, że usłucha. Po chwili dobrodusznego oporu wtyka do ust cygaro.

- Racja! Racja! - mówi głosem zniekształconym przez ciemny zwitek tytoniowych liści. Woła do pozostałych, marszałków polnych, Montgomery'ego

i Brooke'a. - Panowie, jesteście! Przespacerujmy się wzdłuż brzegu, dobrze? Cudownie.

Przez pół godziny grupa wędruje nad rzeką pod przewodnictwem Churchilla, który opowiada:

- Cha! Wczoraj byli tu naziści! Panowie Europy, niech mnie! I gdzie oni są? Dranie!

W drodze powrotnej Churchill wciąż tryska entuzjazmem. Na środku Renu nagle żąda, by zabrano go do Wesel, miasteczka leżącego w samym środku ofensywy. Simpson w odpowiedzi wzrusza ramionami, jest przecież tylko eskortą. Na to wstaje Montgomery i pokazuje wciąż przejętemu sternikowi, dokąd ma płynąć. Wydaje się dumny z nieustępliwości i zawadiackiej postawy swego premiera. Łódź zawraca i płynie z prądem.

Kilka minut później natykają się na łańcuch przeciągnięty przez rzekę, który nie pozwala im płynąć dalej. Rozczarowany Churchill gryzie cygaro. Montgomery staje więc przy nim i mówi:

- Proszę się nie martwić, panie premierze. Pojedziemy do Wesel moim samochodem. Co pan na to?

Po powrocie do Buderich cała grupa wsiada do trzech samochodów. Churchill jedzie z Montgomerym. Kierują się do Wesel. Po dziesięciu minutach Montgomery zatrzymuje się przy szczytkach mostu kolejowego na obrzeżach miasteczka. Churchill wysiada z wozu i wdrapuje się na stertę kamiennych bloków i powykęcanych filarów. Podziwia siłę alianckich bomb, które spadły tu jeszcze tego ranka. Wydaje mu się, że czuje wciąż ciepło uchodzące z gruzu. Ogląda samotnie to, co pozostało z mostu, i wydaje się bardzo zaabsorbowany.

Półtora kilometra dalej do rzeki wpada pocisk artyleryjski, który wybucha po uderzeniu w dno. Churchill zatrzymuje się w swojej wędrowce i zastyga jak pies myśliwski, kierując nos i cygaro w stronę, z której dochodzi huk. Sekundę później następne pociski wznoszą fontanny wody, i to coraz bliżej mostu.

Churchill stoi nieporuszony, choć wie, że Simpson już przedziera się przez zwały gruzu, by go stąd zabrać. Nadlatują kolejne pociski, jeden tuż nad ich głowami, i spada niespełna sto metrów od samochodów. Churchilla z podniecenia ścisną w żołądku. Spogląda na Montgomery'ego i Brooke'a. Obaj przykucnęli i wyglądają, jakby za chwilę mieli paść na ziemię. Simpson wreszcie dopada Churchilla.

- Panie premierze. Ma pan przed sobą snajperów. Ostrzeliwią obie strony mostu. A zaraz zaczną ostrzeliwać drogę za nami. Odpowiadam za pana i muszę prosić, żeby pan się stąd oddalił.

Churchill obejmuje ramieniem wystający stalowy słup. Puszczą go dopiero wtedy, gdy widzi, że Simpson siłą zamierza go od niego oderwać.

28 marca 1945, godzina 22.45
Kostrzyn,
Polska

Ilja niewiele w życiu myślał o Bogu.

Wychowywał się w rodzinie o tradycjach wojskowych. Najważniejsze były honor i ojczyzna. Nad tym wszystkim unosił się Bóg, ale jakiś wątył, jak blask świecy.

Ze wzgórza na wschodnim brzegu Warty obserwuje bombardowanie kolejnej twierdzy. Niewidoczne samoloty Armii Czerwonej przecinają nocne niebo. Lecą między Ilją a gwiazdami, przesłaniając raz po raz ich jarzące się światelka. Bomby, również niewidoczne, spadają ze świstem na fortecę i w błyskach wybuchów wyrzucają w powietrze snopy iskier - płonące kawałki drewna i rozpalonego betonu. Te eksplozje kierują myśli Ilji na sprawy wiary. Stara twierdza Kostrzyn stoi na wyspie u ujścia Warty do Odry. Wybuchy i płonące ruiny odbijają się w wodzie, co sprawia, że cała ta scena robi jeszcze większe wrażenie. Dla Ilji za rzeką rozciąga się piekło. Bo piekło istnieje. Już poza kręgiem ognia jest ciemność, a ból i zmagania nigdy się nie kończą.

To dziwne, że Bóg przychodzi do niego w taki sposób. Nieproszony, pośród wyblakłych gwiazd, znad bombardowanej twierdzy. Miał mnóstwo innych okazji, spokojniejszych chwil. Dlaczego wybrał ten moment?

Ilja przypomina sobie wszystko, co wie o Bogu. Bóg panuje w niebie i rządzi aniołami. Stworzył ziemię. Daje i odbiera życie.

To ostatnie trochę niepokoi Ilję.

Już pod Stalingradem miał wątpliwości. Teraz jest pewien - Bóg tylko daje życie. Człowiek s o b i e przyznał prawo odbierania go.

Pociąga łyk wódki z butelki. Zawsze w noc przed atakiem między ludzi rozdziela się kartony wódki. Ilja nigdy nie pił. W każdym razie nie tyle, ile większość radzieckich żołnierzy. Ale tej nocy jest zamyślony, a wódka to chętny i milczący towarzysz. Nie zamierza się jednak upić. Chce tylko trzymać coś w rękach. Nie może dużo palić. Chyba w ogóle to rzuci. Niech sobie Misza pali.

Misza, który jest obok, obserwuje przez lornetkę obłożoną twierdzę. Jego usta poruszają się za każdym razem, gdy spada bomba. Głos współbrzmi z jednostajnym buczeniem myśliwców i bombowców, które przelatują nisko, nie napotykając żadnych przeszkód.

- ...bombardują główną część twierdzy, widzisz? Niemcy schronią się w fortyfikacjach polowych. Założę się, że jutro rano znowu zbombardujemy środek. Niemcy myślą, że są tacy sprytni, a nam chodzi o to, żeby wykurzyć ich za mury. Tam dopadnie ich nasza piechota i artyleria. Och, człowieku! Zobacz, jak ta leci!

Ilja jednym uchem słuca tych relacji i prognoz. Jego zdaniem Misza to kolejny dowód, że to nie Bóg zabija. Bóg nie podchodziłby do tego tak entuzjastycznie i tak profesjonalnie jak człowiek.

Misza rzeczywiście ma rację. W tych sprawach nigdy się nie myli. Rano walki potoczą się, jak zapowiada ten mały sierżant. Ilja ma wrażenie, że wraz z bliźną Misza zdobył jakąś niezwykłą zdolność przewidywania tego, co ma się zdarzyć.

Mija tak godzina za godziną. Twierdza nadal jest bombardowana z powietrza. Misza relacjonuje, co się dzieje. Jakby Ilja sam tego nie widział. Ta scenaria nastraja do przemyśleń. Dwaj żołnierze mają narzucony na ramiona biały koc. Ilja jest znacznie wyższy, więc gdy tak siedzą obok siebie, wyglądają jak łabędzica z pisklęciem schowanym pod skrzydłem.

W twierdzy giną ludzie, każda bomba zbiera kolejne krwawe żniwo. Ilja wyobraża sobie, że iskry to ulatujące w górę wreszcie wyzwolone dusze. Dziwi się. Przez trzy lata wojny nigdy nie pomyślał o niczyjej duszy. Nie czuje wyrzutów sumienia z powodu pogromu, jaki dokonują on i jego towarzysze, ani śmierci tysięcy ludzi, którzy polegą rano po obu stronach, gdy ruszy do ataku piechota. Nie lęka się też o własne życie. Nie to go teraz interesuje.

Nie dają mu spokoju myśli o Bogu. Znowu ma przed oczami tamtych sześćdziesięciu ludzi. Tak, to oni. „Co z nami?” - pytają Ilję pośród wybuchów. Zamknijcie się, odpowiada. I tak byście umarli - albo na Syberii, albo w drodze do obozu. „Chodzi o to, jak zginęliśmy. Jak zwierzęta”. A co w tym takiego niewłaściwego, pyta Ilja. Za życia nie byliście lepsi od zwierząt. Te tortury, gwałty i grabieże, fabryki śmierci. „Byliśmy ludźmi, zwykłymi żołnierzami jak ty, Iljo Borysowiczu. Wypełnialiśmy rozkazy, nie robiliśmy nic z tego, o czym słyszałeś”. Zamknijcie się. Zapłaciliście za te zbrodnie i nieważne, czy to wy je popełniście, czy nie. „Kto cię upoważnił do wymierzania sprawiedliwości, Ilja? Bóg?” Nie mówcie mi o Bogu. On przyglądał się rzezi, jaka was spotkała. I nic go to nie obchodziło. „T y przyglądałeś się naszej rzezi, Ilja. Ciebie to nie obchodziło”. Zamknąć się!

- Iljuszka? Przeszkadzam ci?

Ilja wzdryga się na dźwięk głosu. Misza opuszcza lornetkę.

- Ilja?

- Misza... przepraszam.

- Kazałeś mi się zamknąć.

- Nie chciałem.

- Brzmiało tak, jakbyś chciał.

Ilja nic nie mówi.

- Ilja?

- Co? - pyta z rozdrażnieniem.

- Ty drżysz.

Ilja wystawia ramię spod koca i wstaje. Powiew wiatru chłodzi mu kark.

Na wzgórzu za Ilją i Misza rozłożył się ich pluton. Żołnierze owinęli się wełnianymi kocami. Niektórzy próbują spać, większość ogląda fajerwerki nad rzeką. Ilja wędruje wśród nich.

- Sierzancie - mówią - jutro ich dorwiemy, co? Niemieckie świnię. Zabijemy każdego, który wpadnie nam w łapy. Pokażemy im. Jutro, sierzancie.

Ilja słyszy szacunek w ich głosie. Widać podoba im się to, co słyszeli o Ilji Szochinie. Podziwiają jego umiejętność zabijania wroga.

Przechodzi obok rozmawiających albo pogrążonych we śnie, skulonych postaci. Idzie przed siebie, aż znajduje miejsce pod drzewem, skąd rozciąga się widok na rzekę. Siada na płataninie korzeni i patrzy przed siebie poprzez gołe gałęzie. W tym momencie na twierdzę spada ostatnia bomba, z nieba nie dochodzą już żadne świsty. Bombowce z warkotem oddalają się na wschód. Noc zdaje się słabnąć jak bokser, który ciężko dysząc, odchodzi w narożnik ringu i boleśnie pragnie wytchnienia. Nigdy więcej, mówi sobie, nigdy więcej. Wie jednak, że świt przyniesie dalsze cierpienia. Słońce niczym gong zapowie następną rundę. I tak będzie przez wiele dni. Nie wsłuchuj się w swoje ciało. Nie myśl, bo nie dasz rady. Tylko walcz. Walcz.

Ilja siedzi pod drzewem aż do rana. Kiedy na horyzoncie pojawia się słońce, wszystko ma już przemyślane. Pogadał z tymi sześćdziesięcioma. Potem trochę drzemał i znowu rozmawiał z tamtymi. Pomogli mu podjąć decyzję.

Bóg musi z powrotem wziąć na siebie odpowiedzialność. Nie może zdawać się w tej kwestii na człowieka. Sam powinien odbierać życie.

Z początku Ilja nie wiedział, co mógłby zrobić. Jak skłonić Boga do czegokolwiek? Nie da się. Ale przecież Ilja ma talent. Bóg go nim obdarzył. Wykorzysta więc teraz swoje zdolności, by wyrzucić na niego wpływ. Zacznie zabijać bez opamiętania i wtedy Bóg przyzna, że to obłąd. Będzie musiał powstrzymać Ilję. I całe to szaleństwo. Bo jeśli pozwoli, by trwało dalej, zginą wszyscy.

Wstając, słyszy brzęk kuchni polowej. Śniadanie. Czuje się tak głodny, że zjadłby konia z kopytami. Sam się temu dziwi. Po raz pierwszy od wielu tygodni ma ochotę na tuszonkę, owsiankę, czarny chleb. I gorącą herbatę na koniec. Przeciąga się, mięśnie ma trochę zeszywniałe od nocnego chłodu, ale czuje się dobrze. Idzie na szczyt wzgórza. Twierdza leży w dole, zalana pomarańczowym światłem. Rzuca na rzekę długi cień, który wygląda jak igła kompasu wskazująca zachód. Kierunek: Berlin.

Podchodzi do kuchni polowej i bierze dwie porcje. Kucharz nic na to nie mówi. Ilja siada w miejscu, z którego widać twierdzę. Ogarnia go dziwne przeżucie, podobne do tego, które dotychczas kojarzył z bliźnią Miszy. Może to premia od Boga za zawarcie z nim umowy. Takiej, jaką Misza zawarł z ciemnością. Ilja widzi przyszły atak. Nie wie dlaczego, ale uśmiecha się podczas jedzenia.

Od miesiący twierdza na wyspie broniła korytarza niemieckiego ciągnącego się osiemdziesiąt kilometrów od Odry do Berlina. Przeprowadzane z niej kontrataki uniemożliwiały wojskom radzieckim połączenie przyczółków na zachodnim brzegu Odry. Korytarz ten został zamknięty trzy dni temu, a twierdza - otoczona. Przed dwoma dniami, dwudziestego siódmego, do Kostrzyna z południa uściłowały się przedrzyć niemieckie posiłki. Cztery dywizje i wspierające je czołgi dotarły do przedmurza, ale dobrze okopana artyleria Czujkowa rozniosła je na otwartej błotnistej przestrzeni nad rzeką. Niemiecka ofensywa zakończyła się klęską. Wojska musiały się wycofać, zostawiając w błocie tysiące ciał.

Siedząc nocą obok gadającego nerwowo Miszy, Ilja dowiedział się, że twierdza pochodzi z siedemnastego wieku. Jest kompleksem fortyfikacji. Umocniona forteca leży pośrodku sieci redut, bunkrów i schronów. Wyspę łączą z lądem cztery groble, tak wąskie, że ledwie może przejechać tamtędy czołg. Niemcy umieścili na nich najróżniejsze przeszkody: bunkry, okopy, zasieki z drutu kolczastego i miny. Oddziały radzieckie podeszły tak blisko fortyfikacji, że dzień i noc w obu kierunkach przelatują granaty pancernych i moździerzy.

Misza mówi, że w lutym zewnętrzne umocnienia sforsował pułk 5 Armii Uderzeniowej. Oficjalna agencja informacyjna, Sowinform, doniosła, że Kostrzyn padł. To rzekome zwycięstwo uczczone zostało w Moskwie salwami armatnimi. Podobno marszałek Żukow był bardzo zakłopotany. Nakazał Czujkowowi naprawić ten błąd najpóźniej dziś rano.

Ilja kończy śniadanie. Zadowolenie, z jakim powitał świt i poranny posiłek, ulotniło się po wschodzie słońca. Twierdza i połyskujące wody ciągną go ku sobie. W jego duszy już szaleje bitwa, choć nie padł jeszcze ani jeden strzał. To nie strach. Ilja czuje coś silniejszego niż lęk. To świadomość, której mieć nie powinien: że dziś jeszcze nie umrze, że Boga nie da się tak łatwo poruszyć.

Schodzi na dół, by dołączyć do plutonu. Z każdym krokiem coraz bardziej sztywnieje, jakby szedł przez zamarzającą wodę i sam zamieniał się w lód. Misza wita go z irytacją, a właściwie robi to jego blizna.

- Gdzie byłeś?

Ilja nie ma ochoty mówić. Mowa to coś zbyt ludzkiego. A on, dopóki bitwa się nie skończy, nie chce być człowiekiem.

- Poprowadź ludzi - mówi. - Za mną, sierżancie.

Misza gwałtownie podnosi głowę, słysząc bezbarwny ton Ilji. Ilja lustruje wzrokiem ludzi z plutonu - pięćdziesięciu tchórzy i słabeuszy, myśli. Żadna strata, jeśli zginą.

Misza cofa się o krok i wyciągając rękę, wskazuje Ilję, jakby demonstrował eksponat.

- Ludzie - mówi - to najlepszy żołnierz z całej Armii Czerwonej. Walczyłem u jego boku. Słyszeliście, co powiedział. Pójdźcie za sierżantem Szochinem i skoczycie Niemcom do gardeł. Co wy na to?

- Urrra! - krzyczy pluton.

Ilja odwraca się od słońca i rusza na miejsce zbiórki.

Kompania karna otrzymała zadanie poprowadzenia ataku wschodnią groblą. Pluton Ilji i Miszy ma iść na szpicy. Groblą długości dwustu metrów może biec obok siebie tylko trzech ludzi. Reszta dywizji dostanie się pod fortecę łodziami.

Ilja zerka na zegarek: dwadzieścia pięć po ósmej. Ich kompania ma się zebrać w wielkim leju przy drodze biegnącej nad rzeką. Trzydzieści metrów dalej wznosi się betonowa podmurówka ich grobli. W rowie i za nim gromadzi się stu pięćdziesięciu żołnierzy i oficerów. Rozdawane są papierosy, krąży też parę butelek wódki, które przetrwały noc. Ilja patrzy na twierdzę za rzeką. Czekają tam na niego garnizon wrogów.

Dlaczego Niemcy jeszcze tu są? Dlaczego nie wymknęli się którejś nocy i nie uciekli na tyły? Zostali tu z jednego powodu: żeby powstrzymać Rosjan, azjatyckich barbarzyńców. Odważni ludzie, ci żołnierze w twierdzy. Poświęcają swoje życie, żeby zagrozić drogę Iwanom i umożliwić tłumom uciekinierów dotarcie do Berlina. No i dobrze, myśli Ilja. Są otoczeni. Dziś dobierzemy się do tych na wyspie. Później, w ich stolicy, dokończymy dzieła.

Mijają minuty. Wszelkie próby nawiązania rozmowy tylko Ilję drażnią. Warczy na tych, którzy go zagadują, resztę ignoruje. Czuje, że zaczyna wszystkich nienawidzić. Nie tylko ludzi, ale i sprzęt, rzekę, drzewa i wzgórza, kamienne mury twierdzy. Wszyscy są winni. Może nie? Odważni ludzie. Co to właściwie znaczy być odważnym? Zdobywać nowe ziemie i zabijać innych czy bronić swego kraju i ginąć? Głupota. Ilja chciałby wycofać się z tego, co postanowił w nocy i nad ranem. Najchętniej rzuciłby broń i odszedł, i w ten sposób naprawdę wykazał się odwagą.

Wie jednak, że nikomu by się to nie spodobało. Ludzie i sam Bóg pomyślał, że po prostu nie wytrzymał nerwowo. Że stał się słaby.

Nie. Musi stać się teraz kimś takim, kim sam pogardza. Sprowokuje Boga, zachowując się jak on. Pozbawi życia tyle istnień, zaprzepaści tyle Jego pracy, że Bóg wreszcie będzie musiał to zauważyć. Dopiero wtedy Ilja spocznie.

O ósmej czterdzieści pięć znowu nadlatują samoloty i zaczynają bombardować sam środek twierdzy, jak przewidywał Misza. Nękają ją przez godzinę, zmuszając Niemców do ucieczki na zewnątrz, między umocnienia połowe. Misza, usadowiwszy się obok Ilji, jak zwykle obserwuje i komentuje wszystko, co rozgrywa się przed jego oczami. Ilja przypuszcza, że to Miszę uspokaja. Sam jednak się nie odzywa. W głębi jego duszy sześćdziesięciu ludzi wyciąga

ręce, by uściskiem przypieczętować umowę, jaką z Ilją zawarli. On w zamian daje im głucho eksplozje bomb, gadaninę Miszy, wlokący się czas i swoje znikające człowieczeństwo. Oni biorą jego dary - dary nie z ich świata. Kiwiają powoli głowami, chwieją się jak wodorosty w jeziorze. I wtedy Ilji robi się lżej na duszy.

O dziesiątej spada ostatnia bomba. Samoloty opuszczają niebo. Na minutę wokół leja, w którym siedzi Ilja, zapada ciężka cisza. Ludzie za jego plecami czekają w napięciu.

- Jeszcze nie - mówi im Misza. - Spokojnie.

Ma rację. Na obu brzegach rzeki podnosi się nagle potężny łomot. To trzy wielkie działa, dwustutrzymilimetrowe haubice rozstawiono w półkolu i wycelowano w samą twierdzę niespełna czterysta metrów od fortyfikacji. Ich pociski uderzają w cel prawie w tej samej chwili, w której są wystrzeliwane. Z rozrywanych wybuchami betonowych schronów i bunkrów pozostają tylko gruzowiska i sterzące stalowe pręty. Do rzeki wpadają kamienie wielkości człowieka. Ilji wydaje się chwilami, że to rzeczywiście są ludzie.

O dziesiątej trzydzieści dwie dywizje i jeden pełny pułk, w sumie dwadzieścia tysięcy ludzi, odbijają od brzegu w łodziach. O dziesiątej czterdzieści wzbija się w niebo żółta flara.

Ilja wstaje. Za nim tłoczą się ludzie z plutonu.

U jego boku wyrasta Misza. Brwi małego żołnierza znajdują się tuż poniżej potężnego ramienia Ilji.

- Sierżancie Szochin?

- Tak?

- Będę obok. To znaczy, dzisiaj. Tuż obok. Dobrze?

Mówienie jest dla Ilji wielkim wysiłkiem. Prawie tak wielkim jak dla nieboszczyka. Odwraca więc wzrok od Miszy, mówiąc:

- Dobrze. Trzymaj się mnie.

- Dziękuję, Ilja.

Wysoko w górze zatacza łuk czerwona flara, sygnał do ataku.

Ilja wyskakuje z dołu. Kompania krzyczy: - Urrra! Urrra!

W dziesięciu susach Ilja dostaje się na szczyt grobli. Krok za nim biegnie mały Misza. Pięćdziesięciu ludzi z plutonu, krzycząc wściekle, by zagłuszyć strach, podąża ich śladem.

Ilja biegnie szybko, chce oddalić się od pędzącej tuż za nim gromady. Kule dziesiątkują ich już na odcinku pierwszych dwudziestu metrów. Ilja słyszy świst serii z karabinu. Potem specyficzny odgłos pocisków trafiających w człowieka biegnącego za nim. Pokonując parapet, skacze do pierwszego ze zbombardowanych bunkrów. Misza z dzikim wzrokiem wpada tuż obok.

Obsługujący karabin maszynowy Niemcy nie są w stanie tak szybko obrócić się w lewą stronę, skąd następuje atak. Ilja leci w powietrzu, jakby miał skrzydła. Odbija się od podziurawionego betonu i ląduje za nimi, strzelając z pepeszy. Głupi Misza biegnie prosto w wycelowany karabin. Ale Niemcy padają martwi, zanim zdążyli nacisnąć spust. Ilja patrzy na Miszę i znika w ruinach.

Chwilę później pojawia się znowu na grobli prowadzącej pod mur twierdzy. Pluton znalazł schronienie wśród gruzów. Ilja sam, bez wahania, nie wydając jakichkolwiek rozkazów, odwraca się i biegnie ku fortecy. Misza krzyczy do ludzi z plutonu:

- Ruszać! Za Ilją, do cholery! Ruszać!

Buty Ilji głucho uderzają o ziemię. W piersi mocno łomocze mu serce. Za sobą słyszy kroki biegnących. Powietrze wypełnione jest wrzaskiem i świstem kul. Krew wrogów, stal i beton. Wszystko w tym szaleństwie zlewa się ze sobą i zamienia miejscami - krew, która należy do ludzi, cegły, które powinny tkwić w ścianach, woda, która zwykle płynie po ziemi, a teraz strzela strumieniami w górę. Ale niebo zachowało swój urokliwy, delikatny odcień błękitu. Światło jest łagodne i równomiernie rozproszone. Bóg dba o swoją siedzibę. Niezależnie od chaosu, jaki człowiek rozpętał na dole.

Ilja podnosi karabin na wysokość biodra i zaczyna strzelać. Biegnie po grobli zygzakiem, nie dając się wziąć niemieckim snajperom na muszkę. RzUCA przed siebie granaty. Kieruje karabin to w prawo, to w lewo, strzela za trzech. Podąża w ślad za kulami, jak myśliwy za sforą psów. Wskakuje do lejów po bombach i wyskakuje z nich, pędząc do przodu. Stara się, by stopy trafiały na wybetonowane miejsca zawalone gruzem. Wie, że tam na pewno nie ma min. Zatrzymuje się tylko na chwilę w osłoniętym miejscu, by mogli go dogonić ludzie z plutonu albo żeby Misza złapał oddech. Nie ma żadnej przemyślanej taktyki. Misza, ciężko dysząc, próbuje mu podpowiadać, co ma robić: „Idź tamtędy, ja wezmę pięciu ludzi i pójdę tędy”. Ilja w odpowiedzi rusza przed siebie. Misza mruczy tylko „cholera” i biegnie za nim.

Ilja, mimo swej postury, zawsze był szybki i zwinny. Podczas walki przeważnie zachowywał spokój. Zdarzało się czasami - jak w Stalingradzie - że wpadał w szał. Nigdy jednak nie dokonywał tak heroiczych czynów, jak teraz. Przeskakuje zaskakująco z drutu kolczastego, umyka przed kulami, które zdają się zmieniać tor lotu jak promienie światła załamujące się w pryzmacie, nie czuje draśnięć na nogach i rękach. Każdego Niemca, który stanie mu na drodze, unicestwia serią z pepeszy. RzUCA granaty, które przelatują przez najmniejsze nawet szczeliny w zrujnowanych betonowych umocnieniach. Nie czuje zmęczenia ani drżenia nóg.

Człowiek, nawet najodważniejszy, zachowuje się na polu walki w pewien określony sposób. Kiedy nieprzyjacielski snajper widzi biegnącą postać, wie,

jak ją namierzyć, bo robił to już wielokrotnie. Ale gdy nadbiega ktoś, kto zupełnie się nie boi - nie dlatego, że jest odważny, ale dlatego, że nie zna strachu - porusza się inaczej, dziwnie, z niespotykaną siłą. Taki człowiek jest nieprzewidywalny. Takiego zabić najtrudniej.

Ilja podczas ataku nie jest okrutny, tak samo jak nie jest bohaterski. Zabija tylko tych Niemców, którzy stanęli mu na drodze, by zabić jego. Takie ma zadanie. Wydaje mu się, że biegnie obok samego siebie, poza swoim ciałem. Nie czuje żadnego wysiłku, funkcjonuje bez udziału woli.

Osiem minut po sygnale do ataku dociera pod gruby mur twierdzy. Posuwa się wzdłuż ściany do miejsca, gdzie po ostrzale artyleryjskim powstała wyrwa. Przejście leży w martwym polu - nie sięga tu ogień ostrzału. Cały czas za Ilją idzie Misza. Wygląda na wykończonego, jego blizna pulsuje.

- Ach - sapie Misza, opierając ręce na udach. - Ilja, co...? O cholera.

Ilja słyszy go nie lepiej, niż gdyby stał przy hałasującej prądnicy.

Minutę później dołącza do nich reszta plutonu. Pozostało z niego dwudziestu czterech ludzi. Inni leżą rozrzućeni na grobli. Albo unoszą ich wody Odry. Ci, którzy przeżyli, zaciskają zęby ze zmęczenia albo z bólu. Ilja widzi podziurawione kulami, zakrwawione mundury. Stoją oparci o mur i patrzą na niego dziwnym wzrokiem.

Patrzą z lękiem.

Ilja wybiera dwóch żołnierzy, którzy aż kulą się ze strachu. Ale pod wpływem spojrzenia Ilji stają przed nim wyprostowani - pójdą tam gdzie on.

- Gotowi? - pyta.

Obaj kiwają głowami.

- Reszta załadować broń.

Żołnierze wkładają nowe magazynki do karabinów. Niektórym drżą przy tym ręce. Ilja też ładuje swoją pepeszę. Puste magazynki odrzucają na ziemię. Kiedy wszyscy są już gotowi, Ilja mówi:

- Misza, pójdziesz z nimi. Rozumiesz?

Mały wojak spluwa. Wzrokiem błaga Ilję o drobny przywilej, małą satysfakcję w tym piekle. Chce, nawet teraz, by zwrócił się do niego „sierżancie Bakow”.

Ilja ulega jego niemej prośbie.

- No to naprzód, sierżancie Bakow.

Dwaj wybrani żołnierze ruszają za Ilją i razem z nim przywierają do muru. Ilja unosi broń do policzka. Metal chłodzi rozgrzaną twarz.

Odlicza: raz, dwa...

Wszyscy trzej równocześnie wychylają się zza sterczących cegieł.

Dwaj towarzysze Ilji padają trafieni kulami. Gina z jękiem w ciągu sekundy. Niemcy, broniący się na dziedzińcu twierdzy, ustawili karabin maszynowy

naprzeciwko wyrwy w murze. Ilja udaje, że rzuca się na prawo, lecz pada w lewo. Kule przeszywają powietrze kilka centymetrów od jego piersi. Wokół nie ma żadnej osłony. Biegnie wprost na karabin maszynowy. Nie robi już uników. Nie stara się zmylić wroga. Trzyma w rękach pepeszę. Strzelając i krzycząc, oczyszcza samego siebie.

Karabin naprzeciwko milknie. Ilja nie zwalnia, nie zastanawia się, co się stało. Pada na brzuch i podnosi broń, żeby osłaniać otwór w murze. Strzela do uciekających Niemców i zabija dwóch z nich. Za sobą słyszy krzyk Miszy: „Urrra, Iljuszka! Urrra!” Z tyłu nadbiegają ludzie z plutonu. Strzelają, wykrzykując jego imię. Jednocześnie z parapetów zeskakują radzieccy żołnierze, którzy przyplęnęli łodziami i wspięli się na mury za pomocą lin i haków. Któryś z nich na górze macha czerwonym radzieckim sztandarem.

Parę minut później na dziedzińcu toczą się już zaciekle walki. Wybuchają panczerfausty i granaty, w obu kierunkach śmigają kule. Ilja stoi w samym sercu bitwy, rzucając jedną broń i chwytając następną z pełnym magazynkiem. Walka wkrótce przemienia się w jatkę. Poddanie się nie wchodzi w grę. Zarówno broniący się, jak i atakujący walczą we wszystkich przejściach, na schodach i wewnętrznych dziedzińcach.

W południe niemiecki garnizon jest już rozbity. Nocne i poranne bombardowania spełniły swoje zadanie. Większość wrogich żołnierzy schwymano poza murami twierdzy, podczas ataku radzieckiej piechoty.

Ilja siedzi sam, zgarbiony pod jednym z filarów. Tu odnajduje go Misza. Mały sierżant siada ciężko naprzeciwko Ilji, mówi bezbarwnym tonem:

- Potrzebni nam będą nowi ludzie.

Ilja milczy. Po takiej walce nie ma właściwych słów, które można by wypowiedzieć. Stosowne byłyby tylko dym i krew, ale to nie są słowa.

Misza i Ilja siedzą naprzeciwko siebie dłuższą chwilę. Dookoła nich żołnierze i oficerowie wyprowadzają jeńców, zbierają broń i ciała zabitych.

Ilja zamyka oczy, ale natychmiast je otwiera. Woli trzymać je otwarte. Świat zewnętrzny jest spokojniejszy. Kto by pomyślał - ten świat!

Po chwili Misza zaczyna się śmiać pod nosem. Ten dźwięk jest zniekształcony, jakby wydobywał się z zepsutej szafy grającej. Mały żołnierz wstaje powoli.

- No, Iljuszka, tylko mnie nie pogryź.

Przysuwa się, by obejrzeć rany Ilji. To tylko draśnięcia, nic poważnego. Ilja nie rusza się podczas oględzin. Misza, który sam ma parę śladów po kulach, mówi, chichocząc:

- Chyba wkrótce zostaniemy awansowani na podporuczników.

Rozdział siódmy

30 marca 1945, godzina 13.50
Pociąg prezydencki Ferdinand Magellan
W pobliżu Warm Springs, Georgia

Wzdłuż torów kolejowych stoją ludzie, machają rękami, powiewają chusteczkami i chorągiewkami. W ten ciepły Wielki Piątek mają na sobie koszule z krótkimi rękawami. To farmerzy i mieszkańcy małych miasteczek, szczerze wierzący w demokrację, oddający swoich synów i córki na wojnę. Biedni i uczciwi. To dla nich Roosevelt tak się trudzi już czwartą kadencję prezydencką.

Jest bardzo zmęczony, musi uważać, żeby patrząc przez okno, nie uderzyć czołem o szybę. Przy torach rozciągają się pola lucerny i kukurydzy. Na czarnej ziemi wschodzą małe zielone pędy, z których w słońcu wyrosnie bogactwo Ameryki. Kwitną drzewka brzoskwiniowe. Zieleń iglaków i dębów staje się żywsza. Natura dotrzymuje obietnic. Roosveltowi podoba się ta myśl.

Chciałby już odpocząć. Chciałby pozbyć się obowiązków związanych ze stanowiskiem, które pełni od trzynastu lat, i zrealizować wreszcie obietnice złożone samemu sobie. Sprawdzić, czy potrafi funkcjonować jako zwykły człowiek. Na pewno powróci mu wigor. Nie ma co do tego wątpliwości. Wielokrotnie zapowiadał swoim współpracownikom, żełoży rezygnację, gdy tylko zacznie działać Organizacja Narodów Zjednoczonych. Niech Truman obejmie urząd. Władza przejdzie znad Hudsonu do Missouri. Nigdy dotąd jednak nie mówił tego poważnie. Robił to dla żartu albo żeby rozbawić Eleanor. Czasami po to, by rozproszyć obawy lekarzy. Za każdym razem, gdy mówi, że włoży ciepłe kapcie i szlafrok, chce po prostu zakończyć jakieś nieprzyjemne rozważania na temat swego zdrowia. Dziś jednak stwierdza, że chyba miałby ochotę odejść. Chciałby już z tym wszystkim skończyć.

Nocna podróż z Waszyngtonu była męcząca. Źle spał w pociągu. Ostatnie cztery dni spędził w Hyde Parku, wypoczywając. Niewiele to pomogło, nadal

czuje się kiepsko. Wczoraj po południu pojechał do Białego Domu, żeby podpisać parę depeš do Churchilla, które przygotowali współpracownicy. Odbył też kilka spotkań przy lunchu. Teraz przez dwa tygodnie zamierza odzyskać siły. Zamieszka w pobliżu jaru w Małym Białym Domu w Warm Springs. Zabrał ze sobą kolekcję znaczków. Planuje długie przejażdżki po okolicy, będzie oglądał zachód słońca w górach. Podrzemie sobie z książką na kolanach, udając, że czyta, by nikt mu nie przeszkadzał. Tym razem Anna nie mogła z nim pojechać - jej sześćioletni synek w ostatniej chwili rozchorował się na zapalenie gardła. Nie chciał, by towarzyszyła mu Eleanor. Powiedział, że nie powinna odrywać się od swojej ważnej działalności - nigdy zresztą nie lubiła Georgii, panującej tu biedy i segregacji rasowej, miękkiej wymowy tutejszych ludzi. Wziął do towarzystwa swoje dwie ulubione kuzynki, będzie więc pod opieką troskliwych kobiet.

Półtora kilometra przed stacją Warm Springs pociąg zwalnia. To dla pasażerów znak, że podróż zbliża się do końca. Roosevelt nie czuje jednak radošnego podniecenia. Chciałby, żeby pociąg przyspieszył i pędził przed siebie, nie zatrzymywał się, nie włókł w takim żółwym tempie. Jazda była przyjemniejsza i wszystko układało się lepiej w czasach, kiedy życie toczyło się szybciej. Roosevelt nie chce się leczyć w Warm Springs. Chciałby być kowbojem z filmu, wspinać się na dachy pociągów i walczyć z bandytami, pochylać się tuż przed wjazdem do tunelu. Brakuje mu wrażeń. Pragnie napędu, ognia. Pragnie, żeby pociąg pędził w nieskończoność.

Odsuwa twarz od okna. Nie chce, żeby gapili się na niego ci nieznajomi z Georgii. Odchyła głowę na oparciu. Wąskim przejściem zbliża się do niego sekretarka, Grace Tully. Idzie chwiejnie na kotłyszającej się podłodze.

- Panie prezydencie. Jesteśmy prawie na miejscu. Chciałabym zabrać dokumenty i schować je.

- Wyrzuć je za okno. - Chciałby się uśmiechnąć, mówiąc ten żart, ale nie może.

- Usiądź, Grace.

- Tak, panie prezydencie.

Roosevelt kładzie rękę na stoliku. Pod palcami ma cienkie kartki i kartonową teczkę. Na jego silnych rękach wyraźnie rysują się żyły. Wciąż ma dłonie boksera albo bohatera.

- Nie możesz doczekać się tego urlopu?

- Owszem, panie prezydencie. Będzie pan mógł naprawdę wypocząć, posiedzieć w ciszy.

Pytał ją o jej odczucia, ale skoro nie chce mówić o sobie, to trudno. Stuka palcem w jedną z kartek.

- Wiesz, o co tu chodzi?

Grace Tully wciąż patrzy mu w oczy. Jej twarz odzwierciedla wszystko, co maluje się na jego twarzy. Gdy Roosevelt mruży powieki, ona robi to samo, przybiera identyczny wyraz rozgoryczenia jak on. Jest, jak wszystkie kobiety z jego otoczenia, pełna współczucia. Harry też tak się do niego odnosi. Tylko Eleanor zachowuje się inaczej.

- Oskarżają mnie tu o kłamstwo. Kobieta kręci głową.

- To nieprawda.

- Ale tak tu jest napisane. Stalin nazywa mnie kłamcą. Nie wprost, oczywiście. Twierdzi, że rozmowy z Niemcami w Szwajcarii to zasłona dymna. Że podczas tych negocjacji Hitler przesunął trzy dywizje z Włoch na front wschodni. A dalej, posłuchaj, Grace: „Ta sytuacja jest irytująca dla Związku Radzieckiego i podważa wzajemne zaufanie”.

Grace Tully powtarza ostatnie słowa:

- „Wzajemne zaufanie”. Na miłość boską!

Krzywiąc twarz, tym razem ona wyznacza ton rozmowy, Roosevelt podchwytuje go.

- No tak. Rosjanie nie mogą mi ufać. To właśnie chce powiedzieć Wuj Joe.

- Po tym wszystkim, co pan dla nich zrobił!

Roosevelt jest zadowolony, że sam nie musiał tego mówić. Stuka palcem w następną kartkę, jakby chciał ją obudzić, zmusić, by powiedziała głośno, jaką kryje perfidię.

- A ta tutaj. Wiesz, o czym mówi? Przysłał ją ambasador Harriman. Oburza się na to, jak Sowietci traktują amerykańskich jeńców uwolnionych z niemieckich obozów. Twierdzi, że ich biją i przetrzymują jako szpiegów. Nie chcą nam ich wydać. Harriman życzy sobie, żebym porozmawiał o tym ze Stalinem, poczynił jakieś kroki. Wiesz, co zamierzam z tym zrobić, Grace?

- Nie, panie prezydencie.

- Nic.

Twarcz Grace Tully niczego nie wyraża. Roosevelt patrzy na nią badawczo, by zorientować się, co kobieta myśli, a potem pyta:

- Wiesz, dlaczego?

Znowu postukuje palcem, tym razem środkowym. Rozlega się głucho pukanie o blat stolika.

- Z powodu następnej kartki. Mołotow nie przybędzie w przyszłym miesiącu do San Francisco, na pierwszą sesję Organizacji Narodów Zjednoczonych. Stalin wysyła Gromykę. Gromykę! Kiedy wszystkie państwa członkowskie delegują ministrów spraw zagranicznych, czerwoni przysyłają ambasadora. Co chcą przez to powiedzieć światu? Jaką wagę przywiązują do tego pierwszego spotkania? To policzek, Grace. Policzek dla wszystkich krajów, które

wspierały Stalina podczas całej tej wojny. Policzek dla mnie osobiście. Nazywają mnie kłamcą. Dobra, mówiono już o mnie gorzej. Stalin chce przyłożyć kilku amerykańskim żołnierzom. To też przełknijemy. Ci chłopcy przeszli straszniejsze rzeczy. Ale chodzi o Organizację Narodów Zjednoczonych, Grace. I to przesądza sprawę. Reszta jest nieważna. Tam zresztą wszystko się ułoży. Stalin chciałby zapomnieć o naszych umowach z Teheranu i Jałty. Dobrze. Ale niech tylko zasiądzie przy stole w ONZ, gdy będę miał za sobą cały świat. Wtedy zobaczymy.

Roosevelt zagryza dolną wargę. Kręci głową.

- Stalin się zmienił, mówię ci, Grace. Może Winston jednak od początku miał rację... Że nie dogadamy się z Sowietami. A zwłaszcza z Joe...

Grace Tully przybiera minę pełną zawodu.

- Tak - mówi prezydent. - Sam już nie wiem.

Sekretarka dostrzega coś w wyrazie jego twarzy. Natychmiast staje się przejęta i smutna.

- Tak, Grace - powtarza Roosevelt. Ona jak lustro odbija jego bolesne rozczarowanie. - Tak to jest. Tak to jest, cholera.

Obiema rękami zgniata papiery w kulę. Podaje Grace Tully do wyrzucenia.

- Weź to.

Sekretarka jest bardzo poruszona. Wstaje, by wziąć dokumenty. Kilka kartek i teczek wypada jej z dłoni. Roosevelt obserwuje ją, jak usiłuje uporządkować papiery. Pociąg, trzęsąc się, wjeżdża na stację. Grace Tully traci równowagę i musi przytrzymać się stolika. Upuszcza przy tym następne kartki.

Pociąg zatrzymuje się. Sekretarka siada naprzeciwko prezydenta i bierze głęboki oddech, by dojść do siebie. Zaczyna skrzętnie sortować dokumenty i wkładać do odpowiednich teczek. Roosevelt odwraca od niej wzrok. Za oknem widzi powiewające amerykańskie chorągiewki i kapelusze. Miejscowa orkiestra dęta gra *Hail to the Chief*.

Tak, myśli, po tym wszystkim, co zrobił dla Stalina! Po tym wszystkim, co Ameryka dała Związkowi Radzieckiemu. Pieniądze, sprzęt, broń, samoloty, okręty. Kolejne polityczne ustępstwa. Anglię i Churchilla rzucił rosyjskiemu niedźwiedziowi na pożarcie. Ignorował ostrzeżenia swoich doradców. Ustąpił w sprawie Polski, poświęcił całą Wschodnią Europę. Skończył się tym, że odda Stalinowi Berlin. Boże, co jeszcze musi mu dać, by zaspokoić jego apetyt.

Zaciska pięść i uderza nią w stół. Rozlega się słaby, głuchy odgłos. Grace Tully nawet nie podniosła głowy.

Ale stać go tylko na taki poryw gniewu. Z podziwem spogląda na Grace, która spokojnie porządkuje jego dokumenty. Składa je tak starannie. Potem z kolei przychodzi mu na myśl Churchill. On, Roosevelt, nie ma takiej energii, by się oburzać czy gniewać, by toczyć bitwy. Winston to człowiek, który musi walczyć,

i to z najpotężniejszymi, musi wygrywać. Roosevelt natomiast oszczędza siły na inne cele. Organizacja Narodów Zjednoczonych. Wielka Koalicja. Ustanowienie pokoju na świecie. Odbudowanie gospodarki po wojnie. Umocnienie współpracy międzynarodowej. Ma przejmować się tym, że Stalin nazywa go słabeuszem?

Jest jeszcze czas, żeby wszystko doprowadzić do porządku.

Potem będzie mógł odejść.

Na peronie cichną dźwięki granej dla niego pieśni.

Teraz trzeba przybrać stanowczy ton, nie ma wyjścia. Powiedzieć Stalinowi, że to nie do przyjęcia. Połączyć wysiłki z Churchillem, uzgodnić wszystko precyzyjnie, stworzyć wspólny, angloamerykański front.

Ostrożnie jednak. Żeby nie wylać dziecka z kąpielą. Nie przekroczyć cienkiej granicy. Wszystko powinno toczyć się naturalnie, tak jak z tym pociągiem: zbliżając się do stacji, należy zwolnić, żeby uniknąć niebezpieczeństwa. Nie wolno reagować przesadnie. Winston będzie chciał odpowiedzieć ostro, gwałtownie. A tu trzeba zachować umiar. Wykazać się tolerancją.

Ale na miłość boską. Z jakimż to diabłem prowadzimy rozmowy?

- Grace, zostaw to. - Niecierpliwie macha ręką. - Sprowadź Mike'a. Powiedz mu, że jestem gotowy.

Sekretarka uśmiecha się i wstaje, ściskając w ręce dokumenty, które udało jej się ułożyć. Przystaje przed Rooseveltem, spogląda na niego. Prezydent chciałby powiedzieć coś, co złagodziłoby jego ostatnie słowa, ale nie robi tego. Zamyka oczy i słyszy, że Grace odchodzi.

Jego nogi są martwe. Od pasa w dół jest trupem. Nic w nich nie ma. Są jedynie źródłem wspomnień i melancholii. To stamtąd pochodzi cały jego smutek, unosi się z jego nieruchomych nóg niczym mgła.

Staje mu się przed oczami Eleanor. Żyje w smutku, tak jak niektóre rośliny rosną w cieniu. Żona robi krok do przodu. Ma na sobie suknię ślubną. Macha do niego. Następnie pojawiają się wszystkie ich dzieci, pozdrawiają go - nowo narodzone i płaczące. Wokół unosi się mgła. On wie, że to krew tętni mu w głowie, ale wyciąga rękę, wciąż z zamkniętymi oczami, by pogłodzić dzieci po policzkach. A to co - podium? Tak, stoi na nim pewnie, z nogami w szynach. Obejmuje urząd gubernatora Nowego Jorku, a potem stanowisko prezydenta USA. Jak zwykle jest przy nim matka.

Roosevelt otwiera oczy i powraca do przytulnego przedziału w wagonie. Ścisną wyściełaną poręcz fotela inwalidzkiego.

Stalin nie może mieć tego wszystkiego, myśli. Nie może mieć jego dzieci, żony, matki. Nie może mu odebrać milionów wyborców, konwentów, wiwatów. To życie Roosevelta, całe jego życie. Poza zasięgiem Stalina.

A dawne marzenie Roosevelta? Jego misja? Stalin może ją zniweczyć.

Jeśli się zniszczy marzenie człowieka - to czemu służyło całe jego życie?

Rozlega się pukanie do drzwi. Roosevelt ma nadzieję, że to już nie jest sen, że jeszcze nie przyszedł na niego czas. Składa ręce na kolanach. W skroniach wciąż pulsuje mu krew. Ale największy ból czuje w sercu.

Mike Reilly, potężny agent tajnych służb, uchyla ostrożnie drzwi.

- Panie prezydencie? Grace mówi, że jest pan już gotów do wyjścia. Roosevelt patrzy na tego silnego mężczyznę bez zazdrości. Nie budzi się w nim nawet zwykła chęć rywalizacji, pragnienie, żeby pokazać młodym byczkom, że jest w nim jeszcze trochę ikry.

- Tak, Mike - mówi tylko.

Reilly odsuwa fotel od biurka i pcha w stronę drzwi. Dawniej Roosevelt uchwyciłby się go, podciągnął na rękach i dał się wziąć na ręce. Teraz jest słaby i niezdecydowany. Podnosząc go, Reilly stęka.

- Przykro mi, Mike - mówi Roosevelt.

Agent uśmiecha się szeroko, schodząc po stopniach pociągu.

- W porządku, szefie - szepcze.

Na peronie, za atlasowym sznurem i szpalerem agentów tajnej służby, stoi tłumek gapiów. Witają Roosevelta radosnymi okrzykami, machają chorągiewkami i transparentami. Jest wśród nich kilku chłopców w mundurach, jeden wsparty o kule. Drzwi limuzyny są już otwarte.

Roosevelt opuszczany w ramionach Mike'a Reilly'ego na siedzenie wozu, unosi twarz ku zgromadzonym.

Tłum się ucisza.

*30 marca 1945, godzina 4.15
Siedziba premiera w Chequers
Hrabstwo Buckingham, Anglia*

Churchill siedzi w kłębach dymu i pary. Miota się w spienionej wodzie jak wielka burzowa chmura. Jest nagi, biały i pulchny. - Jock! - woła z cygarem w ustach. - Na miłość boską, człowieku! Jock! Zza drzwi dochodzi głos sekretarza:

- Zaraz, zaraz, panie premierze. Idę.

Drzwi łazienki się otwierają, para szybko wydostaje się na korytarz, gdzie panuje chłód. Wchodzi Jock Colville, balansując srebrną tacą, na której stoi wysoki kieliszek kaukaskiego wina musującego.

Mówi uspokajająco: - No już, panie premierze.

Churchill bierze wino. Wyjmuje cygaro z ust i trzymając je między dwoma palcami, pociąga łyk. Potem znów zaciąga się dymem.

Jock Colville odbiera od niego pusty kieliszek. Odwraca się do wyjścia. Churchill go zatrzymuje.

- Masz! - podnosi kartkę ze specjalnego dębowego blatu leżącego na wannie. Zamiast przycisku do papieru na dokumentach leży gruby kieszonkowy zegarek Churchilla, nazywany przez jego córkę „cebula”.

- Wszystko przez to, Jock. O jedno słowo za dużo! Montgomery nie mógł sobie darować, nie mógł tak po prostu zająć się swoimi sprawami. O nie!

Chciałby, żeby Colville został i wysłuchał go. Sekretarz to dostrzega. Churchill czeka, aż odstawi tacę i zajmie miejsce na drewnianej ławce ustawionej w łazience specjalnie dla sekretarzy. Colville zna treść telegramu, który trzyma w rękę Churchill. Podobnie jak reszty dokumentów zwijających się w oparach wilgoci nad wanną. Ale niektóre rzeczy ze swej natury zasługują na to, by je wykrzyzczyć. Churchill robi to w Anglii publicznie od pięćdziesięciu lat.

- Ten człowiek to bufon i głupiec. Nie rozumiem, jak to się stało, że jeszcze nikt go nie zastrzelił! - Macha ociekającą ręką. - Dostał rozkazy od Eisenhowera. Oczyścić Zagłębie Ruhry przed rozpoczęciem natarcia na wschód. To jasne! Potem ze swoją armią rusza naprzód. Świetnie! Opór Niemców się załamuje. Wspaniale! A co wtedy robi Monty? Czy pocziwy marszałek robi dalej, co do niego należy, i siedzi cicho? Liczy na nagrodę i trzyma buzię na kłódkę?

Colville kręci głową.

- Nie.

Churchill patrzy na niego z niezadowoleniem. Sekretarz powinien znać go lepiej i nie przerywać mu tyrady.

- Nie - premier wypowiada to słowo, jakby udzielał lekcji. Przerywa na chwilę, głęboko zaciągając się dymem. Mógłby za karę nie dokończyć opowieści.

Za bardzo jednak dał się już ponieść emocjom, by wytrwać w milczeniu.

- Nie! Na Boga, on wysłał Ike'owi coś takiego! Coś takiego! - Stuka palcem w kartkę, potem odsuwa ją od oczu i czyta bez okularów:

Wydałem szybkim i pancernym oddziałom 9 oraz 2 Armii rozkaz, by natychmiast ruszały naprzód i jak najszybciej przebyły Łabę. Sytuacja wygląda dobrze i w ciągu następnych dni wydarzenia powinny potoczyć się szybko.

Przenoszę swoją kwaterę na północny zachód od Bonninghardt w czwartek, 29 marca. Potem... będę przemieszczał się na trasie Wese-Munster-Widenbruck-Herford-Hannover, a stamtąd, mam nadzieję, autostradą do Berlina.

Churchill wymachuje cygarem, jakby opędzał się od osy.

- „A stamtąd do Berlina”! Na Boga, równie dobrze mógłby pomachać bykowi przed nosem czerwoną płachtą.

- Eisenhower nie chce, żeby Anglik pierwszy dotarł do Berlina - mówi Colville.

- Tak! - Wypowiadając to słowo, Churchill wykonuje gwałtowny ruch, woda przelewa się za wannę. Colville zrywa się, by uniknąć zamoczenia spodni.

- Obaj z Rooseveltem chcieliby widzieć tam Rosjan, i jeśli tak dalej pójdzie, to sprawa jest pewna!

- Rzeczywiście. - Colville bierze tacę i pusty kieliszek. - Przepraszam, panie premierze.

Wychodzi i zamyka za sobą drzwi. Churchill przygryza cygaro. Opiera plecy o ciepłą porcelanową wannę. Ten Colville, myśli. Facet trzyma nerwy na wodzy, gdy ktoś się przy nim wścieka, ale nie może wytrzymać, kiedy ta druga osoba się uspokaja. Do diabła z tym!

Odkłada telegram od Montgomery'ego na blat wraz z innymi papierami. Wzdycha i spogląda na swoją nagą pierś. Ma poczerwieniałą skórę - od gorącej wody i gniewu. „Cebula” tyka, powierzchnia wody się wygładza i paruje.

Monty i Eisenhower.

Stosunki między nimi jeszcze się pogorszyły. Już ze sobą nie rozmawiają, wysyłają sobie tylko krótkie depesze. Monty błędnie ocenił sytuację, nadając ten ostatni telegram. Eisenhower odplacił mu pięknym za nadobne.

Churchill przebiera palcami po leżących przed nim papierach. Głowę opiera na brzegu wanny. Jest zbyt odchylona, by mógł widzieć, która kartka jest która. Odpycha się nogami i podsuwa wyżej. O, tu. Niby nic ważnego, zwykła depesza. Ale historia nie zawsze pisana jest krwią ofiar, którym obcinają głowy.

No właśnie. Telegram numer 252 Naczelnego Dowódcy Sił Alianckich. Wysłany bezpośrednio do marszałka Stalina.

- Jak on śmiał - mruczy Churchill, zanurzając się w wodzie. - Jak on śmiał, do diaska!

Bezpośrednia korespondencja między dowódcą wojskowym a szefem obcego państwa. To wykracza poza przyjęte granice. I poza kompetencje generała. Chocierne niezręczne. A nawet gorzej - Eisenhower celowo ominął oficjalne kanały, nie kontaktując się z nikim w Połączonym Komitecie Szefów Sztabów czy amerykańskich i angielskich władzach państwowych. Londyn dowiedział się o tym później, za pośrednictwem kopii rozesłanych w zwykłym trybie do wiadomości zainteresowanych. Eisenhower nie konsultował się nawet ze swoim brytyjskim zastępcą, marszałkiem lotnictwa sir Tedderem. Po prostu zaszarżował i bez porozumienia z kimkolwiek napisał do Joe Stalina.

Churchill żuje koniec cygara, zastanawiając się nad słowami telegramu Ike'a:

Moje bieżące działania mają na celu okrazenie i zniszczenie wroga broniącego Ruhry. Sądzę, że ta faza zakończy się w ostatnich dniach kwietnia albo nawet wcześniej. Potem będę zmierzał do rozdzielenia nieprzyjacielskich wojsk poprzez połączenie z pańskimi siłami. Najlepszą linią, na której moglibyśmy się połączyć, byłaby oś Erfurt-Lipsk-Drezno.

Myślę, że w ten właśnie rejon przemieszczane są niemieckie struktury rządowe. Tam też chciałbym skupić swoje główne działania.

Erfurt-Lipsk-Drezno? Po co? Żeby odciąć drogę prowadzącą do rzekomej południowej reduty nazistów w Alpach? Głupota oparta na nie sprawdzonych informacjach. To uciekający pracownicy administracji rządowej, a nie uzbrojone oddziały. Ściganie ich to daremny trud.

Nie zasięgając niczyjej rady, bez żadnego pozwolenia, Eisenhower zmienił ustalone już dawno wspólne plany. Zamiast zmierzać do Berlina przez północne niemieckie równiny z 21 Grupą Armii Montgomery'ego, która została w tym celu specjalnie wzmocniona, Eisenhower powierzył główne natarcie Bradleyowi - sto sześćdziesiąt kilometrów na południe od stolicy Rzeszy!

To ryzykowna ingerencja w sprawę polityki światowej, w domenę zarezerwowaną wyłącznie dla Roosevelta, Stalina i Churchilla. A już na pewno leżąca poza kompetencjami Eisenhowera, dowódcy wojskowego.

Boże, to będzie świętowanie w Moskwie.

Jak Amerykanie mogą być tak głupi? Jeżeli oddadzą Berlin Rosjanom, to po wojnie nie będzie z nimi już żadnych negocjacji. Rosjanie wkroczą do Wiednia i zajmą Austrię. Stalin i tak uważa, że to Armia Czerwona przesądziła o biegu wojny, a alianci na Zachodzie związali tylko siły paru dywizji, odciągając je od frontu wschodniego. Po telegramie Eisenhowera sytuacja w Europie, i bez tego trudna, stanie się nie do opanowania. W takich okolicznościach zmiana celów wojskowych może zdecydować o losach demokracji europejskiej. Jak to się dzieje, że Roosevelt tego nie widzi? Jest aż tak delikatny wobec Rosjan, że rezygnuje z wszelkich prób przeciwstawienia się im?

Churchill nie ma na to żadnego dowodu, ale jest przekonany, że telegram Eisenhowera to kolejne posunięcie Roosevelta, by ułagodzić Stalina. Jeszcze jeden nierozsądny i niebezpieczny gest zalotnika. Eisenhower, jak inni, zna oczywiście linię polityczną Roosevelta. George Marshall, Roosevelt, Ike. Wszyscy z jednej parafii. Wyznają tę samą ideę: Do dzieła, Stalin! Bierz Berlin. Bierz, co chcesz.

Churchill zanurza się w wodzie aż po brodę. Wydmuchuje dym tuż nad powierzchnią, przyglądając się, jak wypiera parę na boki.

To nie mogło się stać w gorszym momencie. W najbardziej obraźliwych słowach Stalin oskarża Zachód o prowadzenie negocjacji z wrogiem za jego plecami. Mołotow wycofał się z uczestnictwa w pierwszej sesji Organizacji Narodów Zjednoczonych w San Francisco. Polska została podzielona na naszych oczach. Reszta Europy Wschodniej się dusi. Nigdy w historii ludzkości nie było tak palącej potrzeby, by dwa państwa stworzyły wspólny silny front przeciwko trzeciemu.

I właśnie ten krytyczny okres - kiedy wojna dobiega końca, kiedy chaos osiągnął szczytowy punkt, a szanse historyczne są największe - wybrał sobie Eisenhower, by wywołać rozdźwięk między Anglią a Stanami Zjednoczonymi, najgłębszy od czasu rewolucji amerykańskiej.

Mimo ciepła, w którym się pławi, Churchill czuje zimny dreszcz na myśl o skutkach gafy Eisenhowera. Generał popełnia błąd. Berlin jest dla Zachodu najważniejszym obiektem militarnym i politycznym.

Kolejny telegram na białce - od Eisenhowera do Montgomery'ego - to ostatnia kropla, która przepełnia czarę. Na jego mocy 9 Armia Simpsona zostaje zabrana spod dowództwa Monty'ego. Ike przekazuje potężne siły generała Bradleyowi na środkowym odcinku frontu, w rejonie swych obecnych „głównych działań”. Co się stało z ustaleniami maltańskimi, w myśl których główne działania mają objąć Berlin?

Doskonale, myśli Churchill. Wszystko układa się po myśli Eisenhowera. Cała chwała przypadnie Jankesom. Ike wykorzysta przeprawę w Remagen, da fory temu jasnowłosemu chłopcu, Bradleyowi. Uzasadni to koniecznością odciążenia nazystom drogi w góry. I cały czas będzie wmawiać światu, że podejmuje wyłącznie wojskowe decyzje. Bzdury! Wszystko to jest szyte grubymi nićmi - za decyzją oddania Berlina kryją się polityczne kaprysy i samowola.

Wysyłając telegram do Stalina, Eisenhower pozbawił całą resztę możliwości manewru, zamknął im wszystkie drogi. Tak związał Monty'emu ręce, że ten nie będzie mógł opanować Berlina, nawet gdyby miał szansę. Tkwi na północy, „oczyszczając teren”.

Churchill wyjmuje rękę z wody. Bezradnym gestem uderza w ścianę wanny.

Wielka Koalicja - tak dobrze rokująca na początku, niosąca takie możliwości - żałośnie dogorywa.

30 marca 1945, godzina 17.40

Gabinet Stalina, Kreml

Moskwa

Stalin przed spotkaniem zbiera z biurka wszystkie dokumenty i mapy, ale nie po to, żeby chronić tajemnice państwowe. Chce zrobić wrażenie na amerykańskich i brytyjskich urzędnikach, pokazać, że nie potrzebuje żadnych papierów, że wszystko pamięta. Stalin rządzi nie za pośrednictwem pisemnych rozkazów, ale żywego słowa.

Czeka, paląc fajkę. Otoczony dymem przechadza się pod wysokimi oknami. Zasłony są zaciągnięte - jak zwykle. Stalin nie należy do tych, którzy wyglądają przez okno i w mrocznych dziedzińcach czy podwórkach, szukają inspiracji

czy wytchnienia. Całe życie pracował w więziennych celach czy kryjówkach uciekiniera. Wielokrotnie ratowały go właśnie ciemność i ograniczona przestrzeń.

Kiedy rozlega się pukanie do drzwi, Stalin siada na krześle za biurkiem. Prostuje się.

- Tak.

Drzwi się otwierają, sekretarka piskliwym głosem anonsuje delegację.

- Wprowadzić ich.

Stalin zmienia zamiar. Powita gości na stojąco.

Pierwszy pojawia się w drzwiach generał John Deane, szef amerykańskiej misji wojskowej w Moskwie. Za nim wchodzi jego brytyjski kolega, admirał Ernest Archer, potem ambasadorowie, Averell Harriman i sir Archibald Clark-Kerr. Ci idą na końcu, odnotowuje Stalin.

- *Gentlemen* - mówi Stalin po angielsku i wstaje, gdy tamci podchodzą do niego. W gabinecie nie ma dywanu, wystrój jest skromny, krzesła przeznaczone dla zachodnich dygnitarzy są takie same, jak jego własne, proste, niewyściełane. Radziecki obywatel żyje jak spartanin.

Goście zajmują miejsca. Wchodzi tłumacz Stalina i staje za nim cicho, porusza się jak gejsza, lekko pochylony i pokorny. Harriman zna trochę rosyjski, ale Stalin chce dowiedzieć się po spotkaniu, o czym mężczyźni rozmawiali między sobą.

Zaczyna spotkanie.

- Macie dla mnie telegram od generała Eisenhowera.

Generał Deane trzyma na kolanach czerwoną skórzaną aktówkę. Nie reaguje na wezwanie Stalina, nie kwapi się, żeby otworzyć teczkę i wręczyć depeszę. Stalin odkłada fajkę.

- Podobno jest dziś ciepło na dworze. To prawda?

Dean, lekko prychając, śmieje się cicho przez nos.

- Tak, bardzo przyjemnie, panie marszałku.

- Nadchodzi wiosna. Mogę zaproponować panom coś do picia?

- Nie, dziękujemy - mówi ambasador Harriman. - Nie zajmiemy panu wiele czasu. Tak, mamy wiadomość dla pana od generała Eisenhowera. Generale Dean?

Dean otwiera aktówkę. Zapisana na maszynie kartka zostaje przekazana. Depesza ma numer 252 i nagłówek „Naczelny Dowódca Sił Alianckich”. Stalin bierze ją do ręki i nie patrząc, podaje tłumaczowi. Drobny mężczyzna w okularach odczytuje ją głośno. Stalin pyka z fajki.

Eisenhower zamierza okrążyć Zagłębie Ruhry i zniszczyć broniące się tam niemieckie siły. Cel ten leży w rejonie działań generała Bradleya. Ofensywa zakończy się w ostatnich dniach kwietnia albo nawet wcześniej.

Alianci planują następnie rozdzielić siły wroga, łącząc się z wojskami radzieckimi.

Miejszem tego połączenia ma być oś Erfurt-Lipsk-Drezno, rejon, gdzie przemieszcza się, według raportów, elita niemieckich władz.

Jak tylko stanie się to możliwe, ruszy drugie natarcie, które będzie miało na celu połączenie się z siłami radzieckimi na południu, w pobliżu Austrii, i uniemożliwienie oddziałom niemieckim utworzenie ośrodka oporu w południowych Niemczech.

Eisenhower chciałby jak najszybciej poznać radzieckie plany, dalsze ruchy wojsk i ich terminy, by dostosować do nich własne operacje. Naczelny dowódca aliantów uważa, że obie armie powinny skoordynować swoje działania i utrzymywać stałą łączność.

Słuchając tłumacza, Stalin gładzi wąsy. Spogląda ponad głowami amerykańskich i brytyjskich gości, tam, gdzie dym z fajki tworzy szare esy-floresy.

A więc sojuszników niepokoi południowa reduca. Stalin tego nie rozumie. Jego informacje świadczą o tym, że nie ma powodów do niepokoju. To tylko wycofujący się urzędnicy i pracownicy administracji, którzy nigdy nie trzymali w rękach broni. Dlaczego Eisenhower podejmuje tak ważne decyzje wojskowe, opierając się na pogłoskach?

Eisenhower twierdzi, że kieruje się na Lipsk i Drezno. Na czele wojsk alianckich znalazł się teraz Bradley. A co z wielką armią Montgomery'ego na północnych równinach niemieckich? Czy cała ta potęga nie zostanie wykorzystana do celu, dla którego została powołana? Nie, to wydaje się mało prawdopodobne. Winston Churchill musi bardzo nad tym boleć. Stalin uśmiecha się, wyobrażając go sobie - wściekły angielski buldog, który szarpie Eisenhowera za nogę. Według depezy, Montgomery otrzymał zadanie oczyszczenia portów morskich, podczas gdy Bradley ma skierować się w głąb Niemiec. Więc to jemu przypadnie cała chwała, nie Montgomery'emu? Nie, przecież Churchill do tego nie dopuści.

Tłumacz kończy czytanie. Stalin wyciąga rękę po kartkę. Waży ją w dłoni. Nie spojrzął w oczy żadnemu z gości od chwili, gdy tu przyszli.

- Dziwne. List pochodzi bezpośrednio od Eisenhowera, nie przeszedł, tak jak powinien, przez Połączony Komitet Szefów Sztabów. Czyżby to właśnie miał na myśli Roosevelt, gdy pytał w Jałcie, czy Eisenhower może kontaktować się wprost z radzieckim sztabem głównym? W końcu Stalin jest zwierzchnikiem radzieckich sił zbrojnych. Czy to możliwe, żeby Roosevelt przygotował się do tego ruchu tak wcześnie?

To bardzo dziwne. W efekcie depeza oznacza: oddajemy wam Berlin.

Stalin zaciska dłoń na cybuchu fajki. Potem splata ręce pod brodą i zamyka oczy. Pociera jednym kciukiem o drugi i w myśli kalkuluje.

Amerykanie i Brytyjczycy są trzysta kilometrów na zachód od Berlina. Armię Czerwoną na wschodzie dzieli od niego tylko osiemdziesiąt kilometrów. Najsilniejsze niemieckie dywizje zostały zgromadzone po stronie wschodniej. Siły Montgomery'ego posunęły się znacznie za Ren. Bradley, Patton i Simpson przemieszczają się tak szybko, jak tylko pozwalają im na to czołgi. Dlaczego Eisenhower miałby ściągać im cugle? Wstrzymywać bieg do Berlina? To nie ma sensu.

Roosevelt. Prezydent musi zdawać sobie sprawę ze znaczenia Berlina. Churchill na pewno mu to uświadomił. Po co zmiąłby oddawać Stalinowi Berlin, skoro sam może go zdobyć? A to, co powiedział w Jałcie: że Armia Czerwona z pewnością dotrze do Berlina, zanim Amerykanie wkroczą do Manili - to był żart? Tak, oczywiście.

Nie, nie można być aż tak naiwnym. Czy prezydent jest już tak chory, że nie może przeszkodzić Eisenhowerowi i jego generałom w ich grze? Czy też Eisenhower to tchórz, który boi się rozlać jeszcze trochę krwi, by zdobyć największą premię w tej wojnie? A może rozdźwięki na Zachodzie są tak duże, że Churchill i Montgomery nie mają już nic do gadania? Czy Eisenhower po prostu się mści, podstawiając Montgomery'ermu nogę pod koniec wojny i forując swego rodaka, Bradleya?

Ktoś w pokoju chrząka. Może chce ponaglić Stalina, by otworzył oczy i zabrał głos. On jednak to ignoruje.

Pyta sam siebie, wsłuchuje się w swój wewnętrzny głos, który zawsze ostrzegał go przed niebezpieczeństwem i knowaniami wrogów. Co myśleć o tej wiadomości Eisenhowera? Czy można mu zaufać? Czy oficjalne powody jego decyzji są prawdziwe?

Nie, nie bądź głupcem.

Eisenhower nie jest tchórzem. Churchill to nie lew z przyciętymi pazurami. A Montgomery nie dałby się tak łatwo zepchnąć na margines.

Berlin ma zbyt duże znaczenie polityczne dla Roosevelta, by mógł go rzucić Rosjanom. Zamiary Stalina wobec Europy Wschodniej nigdy nie były szczególnie maskowane. Nie są żadną tajemnicą. Roosevelt jest może chory, ale musiałby być martwy, by tego nie widzieć. Wie, co się stanie, jeśli Stalin zdobędzie Berlin. Gromadka aliantów nie będzie miała nic, zupełnie nic, z czym mogłaby przystąpić do negocjacji.

- Panie marszałku?

Stalin unosi głowę i otwiera oczy. Ma wrażenie, jakby wydobywał się na powierzchnię wody. Goście patrzą na niego wyczekująco.

- Tak, generale Deane?

- Co pan o tym sądzi?

- Sądzę - Stalin podejmuje grę - że generał Eisenhower ma rację. Naziści najdłużej będą się bronić na południu, w Bawarii albo zachodniej Czechosłowacji. To bardzo dobry pomysł, żeby jak najszybciej ich odciąć.

Widzi, że Amerykanie zgodnie kiwają głowami na to kłamstwo. Dwaj Brytyjczycy prawie nic nie mówią, nie wykonują też żadnych ruchów. Cholerni Anglicy. Są jak zwykle chłodni czy po prostu trudniej ich wywieść w pole?

Stalin pyta Deana:

- Proszę mi powiedzieć, gdzie rozpocznie się ta równoczesna ofensywa ku Austrii? Czy wykorzystacie wasze włoskie siły teraz, gdy Niemcy się tam podają?

Miał to być przytyk, ale żaden z zachodnich gości nawet nie mrugnął okiem.

- Nie, panie marszałku. W natarciu wezmą udział siły, które stoją obecnie po wschodniej stronie Renu.

Dobrze, myśli Stalin, niech wojska alianckie tkwią we Włoszech. Lepiej, żeby państwa zachodnie nie zapuszczały się w południowe Balkany.

- A co z pańskimi wojskami nad Odrą? - pyta Harriman. - Może pan nam coś powiedzieć o kłopotach powodujących opóźnienie ich marszu?

- Tak, oczywiście. Sytuacja szybko się poprawia. Kończą się wiosenne wyłewy i drogi schną. Myślę, że wkrótce będziemy gotowi, by ruszyć naprzód. Ale muszę się w tej sprawie skonsultować z moim sztabem.

- Kiedy generał Eisenhower może spodziewać się odpowiedzi?

- Niebawem. W ciągu dwudziestu czterech godzin. A teraz, panowie... Stalin wstaje, by zakończyć spotkanie. Mężczyźni podchwytyją sygnał i po podaniu rąk wychodzą z pokoju. Stalin odprawia też tłumacza. Goście niewiele ze sobą rozmawiali. Spotkanie było krótkie. Stalin wraca za biurko. Kładzie przed sobą depezę Eisenhowera. Patrzy na angielskie zdania na białym papierze, jakby teraz, gdy jest z nimi sam na sam, chciał je jeszcze raz usłyszeć.

Nabija fajkę i zapala ją znowu. Lekko wodzi ustnikiem po wargach, zastanawiając się nad telegramem. Wydmuchnięty dym uderza w kartkę i rozchodzi się nad nią błękitnymi falami. Zegar na wieży Kremla bije sześć razy.

Kiedy zegar milknie, Stalin odsuwa kartkę. Kiwa głową. Wcześniej nic z niej nie rozumiał. Teraz nabrała sensu.

Podnosi słuchawkę telefonu i każe sekretarce odnaleźć obu marszałków, Żukowa i Koniewa.

Po minucie Żukow jest już na linii. Stalin żąda, żeby rzucił wszystko i przyjechał jutro do Moskwy na naradę. Żukow znajduje się nad Odrą, ponad tysiąc sześćset kilometrów stąd. To nieważne. Jutro. Zaraz potem sekretarka łączy Stalina z Koniewem, który dostaje to samo polecenie.

Odkłada słuchawkę i wstaje zza biurka. Odwraca się plecami do listu Eisenhowera, jakby ta kartka była towarzyszem, który pod presją wyjawiał prawdę. Stalin wie już wszystko. Wie również, co zrobi.

Spogląda na portret Lenina, dawnego towarzysza. Zawsze kiedy zwraca się do niego, przybiera pełną respektu postawę, jakby stał przed żyjącym. Tego wieczora jednak macha ręką i przechodzi obok.

Myśli: Byłeś przywódcą i inicjatorem rewolucji, Włodzimierzu Iljiczu. Za to ci chwała.

Ale to Stalin jest kontynuatorem twego dzieła. Dlaczego? Z powodu zdrady. Ty byłeś zbyt ufny, zbyt dobry. Spójrz na ten list.

- To wybieg - mówi Stalin w głąb pokoju, jakby chciał, żeby Lenin go usłyszał i orientował się w wydarzeniach. - Sojusznicy próbują wykiwać Stalina.

Eisenhower zamierza zdobyć Berlin.

K w i e c i e ń

Tylko umarli widzieli koniec wojny.

Platon

Rozdział ósmy

1 kwietnia 1945, godzina 9.30

Rejon działania amerykańskiej 83 Dywizji Piechoty 9 Armii
Holzminden, Niemcy

Gruby burmistrz mruga powiekami. Podnosi ręce do góry i jednocześnie robi krok w tył. Ma na sobie ciemny garnitur z muszką, a na piersi przewiązaną z boku aksamitno-jedwabną szarfę.

Na ścianie za biurkiem burmistrza widać miejsce, gdzie farba ma cieplejszy odcień, jest świeższa. Wisiało tu zdjęcie. Na pewno Hitlera.

W burmistrza wymierzony jest colt kalibru 45, który trzyma kapitan amerykańskiej piechoty.

Oficer płynnie mówi po niemiecku. Pistolet zaś przemawia sam za siebie.

Burmistrz cofa się, aż dotyka siedzeniem biurka. Nie ma już dalej miejsca. Oczy mężczyzny robią się wielkie jak spodki. Amerykański kapitan nie przestaje się uśmiechać. Gdyby nie broń, podniesione do góry ręce, twarz mokra i połyskująca od potu wywołanego strachem - byłoby zupełnie miło. Burmistrz sprawia wrażenie człowieka chętnego do współpracy.

Utykając, Bandy podchodzi do krzesła i siada. Na nodze, w którą go postrzelono, ma dwadzieścia dwa szwy. Wczoraj dopiero mógł zdjąć lewą rękę z temblaka. Boli go także lewa noga, bo spoczywa na niej ciężar całego ciała, i prawe ramię, którym wszystko musi robić. Jest obolały od stóp do głowy. Ale sprawia mu to zadowolenie. Został postrzelony. Dzięki szwom na nodze i temblakowi bardziej niż kiedykolwiek wcześniej ma poczucie, że przynależy do braci frontowej. Charley Bandy odniósł ranę. To go nobilituje.

Choć rozmowa toczy się po niemiecku, Bandy wie, o czym mówią obie strony w tym dużym gabinecie burmistrza. To trzecie miasteczko w ciągu ostatnich dwóch dni, w którym oficer 83 Dywizji prowadzi taki dialog:

- Zechce pan podnieść słuchawkę telefonu i zadzwonić do następnego miasteczka.

- *Ja, ja, ja.*

- Proszę im powiedzieć, jak zachowało się pańskie miłe miasteczko. Jeśli tamtejszy burmistrz chce, żeby z jego miasteczka jeszcze coś pozostało po naszym odejściu, to niech poleci wszystkim wywiesić z okien białe flagi.

- *Ja.*

- Jeżeli są tam jeszcze jacyś niemieccy żołnierze czy te zwariowane, fanatyczne dzieciaki, niech opuszczą miasteczko albo złożą broń.

- *Ja,ja.*

- Proszę im powiedzieć, że chcemy porozmawiać.

- *Ja.*

Kapitan opuszcza broń. Burmistrz, który tymczasem oparł się o biurko, staje wyprostowany. Poprawia szarfę i kołnierzyk, odchrząkuje, próbuje zachować pozory godności, zanim jako urzędnik państwowy dopuści się zdrady. Przed przyjściem tu Bandy musiał obiecać kapitanowi, że nie będzie robić zdjęć. Szkoda, myśli. W czasie wojny jest tak mało zabawnych scen.

Burmistrz wykręca numer i łączy się ze swoim kolegą w następnym miasteczku, w Bayern. Według map Osiemdziesiątki Trójki, to właściwie wioska. Leży osiem kilometrów dalej na wschód przy dwupasmowej drodze.

Ale to niemiecka wieś.

Żaden z amerykańskich żołnierzy nie chce zginąć czy zostać rannym tak blisko końca wojny. Nie po to tyle przeszli, żeby zastrzelił ich teraz fanatyczny nastolatek zaczajony za rogiem. Albo żeby jakiś dzieciak wysadził ich wraz z jeepem w powietrze, strzelając zza kępy drzew, bo znalazł nie zużyty pancernaust. To byłoby okrutne i niepotrzebne, kiedy bieg wojny jest już przesądzony. Hitler wychował jednak całe pokolenie dzieci zdolnych do takich czynów. Dziewcząt i chłopców, którzy dla Führera z radością oddaliby życie. W Niemczech nie ma ani jednego piętnasto- czy szesnastolatka, który potrafiłby wyobrazić sobie innego przywódcę niż Adolf Hitler. Świat bez niego dla tych dzieciaków nie istnieje.

Nie. To nie jest odpowiedni dzień, żeby ryzykować życie. Nie w Niedzielę Wielkanocną.

Burmistrz patrzy w podłogę podczas rozmowy z kolegą z sąsiedztwa. Jest poruszony, wymachuje wolną ręką, opowiadając, jak wielką siłą dysponują Amerykanie. Setki czołgów! Tysiące dział. Setki tysięcy ludzi! Gruby urzędnik zerka na kapitana, przypoehlebiając mu się spojrzeniem i szybkim, skwapliwym skinieniem głowy, opowiadając dalej swoją bajkę.

Bandy wstaje, opierając się na lewej nodze i starając się jednocześnie osłaniać lewe ramię. Burmistrz daje znak kapitanowi, że wszystko w porządku, a ten odpowiada ruchem głowy i chowa colta. Pozostanie tu tylko jeden z amerykańskich żołnierzy dla pewności, że w następnej wsi albo gdzieś po drodze, nie zostanie zastawiona pułapka.

Bandy kuśtyka po schodach ratusza. Holzminden wygląda na małe miłe miasteczko. Główna ulica. Sklepiki. Domy z czerwonymi dachami, ogródki. Rynek z fontanną i pomnikiem. Ładny kościół i dzwonnica, którą widać już z daleka. To dobrze, że Holzminden nie zostało zrujnowane i splądrowane. Tak się dzieje pod koniec wojny, gdy wojsko i sprzęt przetaczają się przez terytorium wroga, pokonując dziennie po pięćdziesiąt-sześćdziesiąt kilometrów w marszu, jakiego nie odnotowano jeszcze w historii. Gdyby żołnierze musieli zbrojnie zdobywać miasteczko, nie obeszliby się z nim delikatnie. Artyleria, bazooki, czołgi - cała ta siła ognia ma zminimalizować zagrożenie, choćby obracając wszystko w gruzy. W starciach nie biorą już udziału regularne niemieckie oddziały. Żołnierze Wehrmachtu, widząc napisy na murach, poddają się gromadnie. Już pół miliona z nich złożyło broń w otoczonym Zagłębiu Ruhry. Opór stawiają prawie zawsze maruderzy z Waffen-SS, gorliwi członkowie Volkssturmu czy Hitlerjugend, których przywieziono z Berlina.

Niezależnie od tego, z kim przychodzi Amerykanom walczyć, po pokonaniu wroga żołnierze czują się wręcz upoważnieni do plądrowania. Z chłodną pogardą przechodzą obok zwłok, ofiar niepotrzebnego oporu, uważając, że głupcom nic innego się nie należy. Nigdy nie zabierają więcej, niż mogą zmieścić w plecaku - biorą biżuterię, wino, srebro. Najbardziej pożądaną zdobyczą są nazi-stowskie pamiątki. Wszyscy poszukują lugerów, szabli, odznak partyjnych, flag. Niemcom, którzy przeżyli, radzi się, by stanęli z boku i trzymali gęby na kłódkę. Zwłaszcza wtedy, gdy wśród Amerykanów było dużo ofiar. Jeśli natomiast miasteczko poddało się od razu, mieszkańcy traktowani są znacznie lepiej. Często się zdarza, że niemieccy cywile z zadowoleniem witają nadejście Jankesów. Często ich i goszczą u siebie, obdarowują prezentami. Przyjmują ich tak mile, bo cieszą się, że to nie Rosjanie.

Niemieccy obywatele zdumiewają wielu żołnierzy, Bandy'ego także. Ci ludzie z miasteczek i wsi są wykształceni i ciężko pracują, czyszczą cegły i zamiatają ulice. Ponieważ sklepy są zniszczone, artykuły codziennego użytku i żywność sprzedają z wózków. Stoją przy szosach i wiejskich drogach, z otwartymi ustami przyglądają się przejeżdżającym Amerykanom i ich sprzętowi. Trzymają dzieci na barana, żeby mogły lepiej widzieć. Maluchy machają rękami. Podoba im się ciężarówka i cały ten hałas. Nieważne - wrogowie to czy przyjaciele. Bandy robi zdjęcia swoją trzydziestopięciomilimetrową leicą. Wielkiego speed graphica trzeba trzymać w obu dłoniach i zręcznie nim operować, żeby uchwycić błyskawiczne postępy wojsk alianckich. A jego ramię nie jest jeszcze sprawne.

Negocjacje w gabinecie burmistrza zostały zakończone. Kapitan wychodzi i staje na schodach obok Bandy'ego. Dzień jest słoneczny. Tego rana nikt nie stracił życia.

Na wieży kościelnej odzywają się dzwony.

- Panie Bandy? - pyta kapitan. - Jest pan wierzący?

Na ulicy przed drzwiami kościoła zbierają się zarówno żołnierze, jak i mieszkańcy miasteczka. Msza rozpocznie się za parę minut, o dziesiątej.

Bandy nie modli się żarliwie, tak jak inni żołnierze. Nie zastanawia się nad tym, jak to się dzieje, że Bóg ochrania człowieka, który zwraca się do niego w modlitwie, a jednocześnie zezwala na tyle okrucieństw. Dlaczego Bóg ocalając człowieka, miałby działać wbrew własnym wyrokom? Bandy zadowala się fotografowaniem Boskiego dzieła. Głosi słowo Boże, bo w jego życiu słowem Bożym jest Wojna. Nie ma moralnych dylematów. Bóg nagradza go za wierność. Dał mu Victorię, Tennessee i leicę.

Uśmiecha się więc do kapitana.

- Pan pierwszy.

Oficer śmieje się i rusza po schodach. Mówi przez ramię:

- Wielu chłopców się nawraca, gdy kula przeleci im centymetr od jaj. Bandy patrzy na tłumek żołnierzy i mieszkańców miasteczka, zebranych przed wejściem do kościoła. Unosi leicę w jednej ręce i robi kilka ujęć. Jak zwykle przyciąga go to, co widzi w obiektywie. Postanawia wejść do kościoła. Chole-
ra, myśli, przecież jest Wielkanoc.

Schodzi po stopniach ratusza na ulicę i kuśtykając kieruje się w stronę kościoła. Obok niego idzie starszy pan z laską. Proponuje, by Bandy wziął jego laskę. On jednak dziękuje, posługując się z pewną trudnością językiem niemieckim: *Danke, nein, danke schön*. Mężczyzna nalega i wiesza Bandy'emu laskę na rękę. Gestykuje przy tym, jakby spędzał kozy z drogi. Chce przekonać Bandy'ego, żeby przyjął laskę, i niecierpliwi się, że Amerykanin oponuje. Potem odwraca się i idzie pospiesznie do kościoła.

Kościół jest wypełniony kilkuset wiernymi. Grają organy. Amerykanie i Niemcy siedzą w ławkach. Ramię przy ramieniu. Słychać stukot karabinów odkładanych na podłogę. Dzieci niecierpliwą się i chichoczą, a żołnierze uśmiechają się do nich i robią miny. Łamią czekoladowe batoniki i podają dalej. Przy ołtarzu, obok niemieckiego księdza w białej sutannie, staje amerykański pastor. Bandy znajduje miejsce w ostatniej ławce przy drzwiach. Siadając, jest zadowolony, że przyjął laskę.

Msza odprawiana jest w obu językach. Wszyscy jakimś sposobem wiedzą, kiedy uklęknąć, a kiedy powrócić na miejsce. Ze względu na nogę Bandy nie kłęka. Przy wstawaniu laska okazuje się bardzo pomocna. W kościele jednak nie można robić zdjęć. Bandy zaczyna się więc nudzić.

Siedzący obok szeregowiec modli się szczególnie żarliwie. Gdy msza toczy się po niemiecku i chłopak na chwilę przerywa modlitwę, Bandy klepie go w nogę, szepcząc:

- Synu?
- Tak, proszę pana?
- Mogę zapytać, o co się tak modlisz?

Żołnierz nie jest zakłopotany pytaniem. Na jego młodej twarzy maluje się sama łagodność. Bandy zastanawia się, co mogłoby zniekształcić te regularne rysi, jaki gniew i żądza mordy, panika, zwątpienie...

- Ależ tak, proszę pana - odpowiada żołnierz. - Może pan.

Bandy czeka. Chłopak pochyla głowę, jakby powtarzał głośno modlitwę.

- Prosiłem Boga o dwie rzeczy.
- Uhm.

- Po pierwsze, żeby pozwolił mi wrócić do domu w jednym kawałku. Chyba wszyscy się o to modlą.

Bandy kiwa głową. Przypomina mu się bandaż na nodze. Zgadza się, jest o co prosić.

- A po drugie, chciałbym, żeby Bóg rzucił ten kraj na kolana, aby już nigdy Niemcy nie mogli wszcząć wojny.

Chłopak wydaje się zawstydzony, że prosi o coś takiego. Nie podnosi wzroku, by spojrzeć Bandy'emu w oczy. Ale on rozumie jego prośbę. Ten młody żołnierz wypowiedział życzenie, które od wieków dzielają wszyscy ludzie biorący udział w wojnie: niech ta, w której właśnie biorą udział, będzie ostatnia. Niech ofiara złożona przez towarzyszy czemuś służy, a zniszczenie, które się dokonało, skłoni ludzi do refleksji i porzucenia broni.

Żołnierz jest zażenowany, bo nie modli się o pokój. Nie prosi, żeby wszyscy podali sobie ręce, wybaczyli krzywdy i zaczęli wszystko od nowa. Tak byłoby lepiej, bardziej po chrześcijańsku i szlachetniej. Ale ten młody Amerykanin już zbyt wiele widział i zbyt wiele rozumie, by wierzyć, że Bóg może zaprowadzić pokój w świecie ludzi. Prosi więc o słuszną i odważną rzecz. Jedynie taka modlitwa może coś zmienić: żeby Bóg był miściwy i siał zniszczenie, bo tylko w ten sposób zdoła nas powstrzymać.

Ten chłopak zna prawdę, myśli Bandy. Nie zna jednak historii. Wojny nigdy się nie kończą.

Dziękuję żołnierzowi, kładąc mu jeszcze raz rękę na nodze. Ten wraca do swojej rozmowy z Bogiem. Bandy bierze łaskę i wychodzi z kościoła.

Na ulicy przed kościołem 83 Dywizja Piechoty przygotowuje się do drogi. Bandy jest poruszony smutną i mądrą modlitwą chłopca, ale widząc Osiemdziesiątkę Trójkę, zaczyna się śmiać.

Od głównego placu aż poza granice miasteczka rozciąga się kolumna najróżniejszych pojazdów. Choć Osiemdziesiątka Trójka jest dywizją piechoty, to dzięki sprytniej taktyce stała się brygadą lotną. W każdym niemieckim miasteczku, które zdobywa siłą lub zmusza do kapitulacji, rekwiruje pewną liczbę samochodów. Generał Macon, dowódca dywizji, wydał rozkaz: „Brać wszystko,

co jeździ, nie pytać o pozwolenie”. Żołnierze szybko przemalowują przejęte pojazdy oliwkowobrazową farbą, dodając białą gwiazdę amerykańską. Potem pakuje się do nich ponad dziesięć tysięcy ludzi i w drogę rusza niesamowity konwój złożony ze zdobycznych kubelwagenów Wehrmachtu, tygrysów, panter, cywilnych i wojskowych samochodów osobowych, motocykli, autobusów i dwóch wozów strażackich. Jeden z tych ostatnich prowadzi tę cudaczną paradę. Na przedzie ma transparent z napisem: „Następny przystanek - Berlin”.

Bandy postanowił złączyć swój los z tą pomyslową, zawadiacką gromadą. Poprzednio dywizja nosiła nazwę „Piorun”. Ostatnio amerykańscy korespondenci nazwali ją „Cyrkiem z Hołotą”.

Osiemdziesiątka Trójka, jak cała 9 Armia, chce zdobyć główną nagrodę w tej wojnie - stolicę Rzeszy. Dowódca 9 Armii, generał Simpson, wydał instrukcje, nakazując dywizjom pancernym i dywizji piechoty, by jak najszybciej dostały się na *Autobahn* za Magdeburgiem nad Łabą. Stamtąd zamierza skierować je na Poczdam, gdzie armia będzie już gotowa do okrążenia Berlina. Wszystkie dywizje, które nie biorą udziału w oczyszczaniu Zagłębia Ruhry z sił niemieckich, chcą uczestniczyć w uderzeniu na Berlin. 2 Dywizja Pancerna, zwana „Piekle na Kółkach”, posuwa się na lewym skrzydle „Cyrku z Hołotą”. Dwójka jest tak ciężkim oddziałem, że jak mówią reporterzy, przemieszcza się trzy kilometry na godzinę i dotarcie do wyznaczonego punktu zajmuje jej pół dnia.

Na innym odcinku frontu 9 Armii, który liczy sobie osiemdziesiąt kilometrów, tuż za Dwójką i Osiemdziesiątką Trójką posuwają się oddziały 5 Dywizji Pancerniej „Zwycięstwo”, a także dywizje piechoty: 30, 84 i 102. Razem prą nieubłaganie przez środek Niemiec w kierunku wschodnim.

Bandy spogląda na swoją Osiemdziesiątkę Trójkę. Według niego to ona będzie zwycięskim koniem, który wygra wyścig do Berlina. „Cyrk z Hołotą” jest w samej czołówce, tuż za chłopcami z „Pieśla na Kółkach”.

Holzminden dostarczyło kolejne środki transportu: dwa traktory z wozami drabiniastymi, dwa autobusy, motocykl z przyczepą i śmieciarkę. Wóz strażacki włącza syrenę. Zdaniem Bandy'ego, przemalowany na zielono wygląda cudacznie, bo nie zdjęto z niego drabin i węży. Na dźwięk syreny z kościoła i okolicznych budynków wychodzą ostatni żołnierze. Ludzie z Osiemdziesiątki Trójki, którzy przez ostatnie półtorej godziny zabezpieczali Holzminden i zbierali broń, dwukrotnie przewyższają liczebnością mieszkańców. Bandy czeka na kapitana i gdy ten wychodzi z kościoła, macha do niego. Pyta, czy znalazłoby się dla niego miejsce w przyczepie motocykla. Jadąc na zewnątrz, mógłby robić zdjęcia. Poza tym nikt nie trącałby go w ramię czy w nogę. Kapitan wyraża zgodę i odszukuje kierowcę motocykla. Bandy ostrożnie wsiada do przyczepy. Kierowca, kapral, kładzie na wierzchu bagażnika dwie pary gogli.

Obaj z Bandy nakładają je na kaski. Młody człowiek z wyraźną przyjemnością uruchamia silnik. Uśmiecha się i krzyczy do Bandy'ego, że jest w ósmym niebie. Informuje, że pochodzi z Jersey.

Kiedy wszyscy żołnierze są już na miejscu zbiórki, wóz strażacki rusza w drogę. Setki ciężarówek, samochodów, motocykli i traktorów „Cyrku z Hołotą” opuszczają Holzminden przy akompaniamencie wszelkiego rodzaju dźwięków, jakie wydają pojazdy zmechanizowane: prychań, strzałów z gaźników, klaksonów, warkotu diesli i pomruku silników benzynowych. Bandy i jego kierowca z Jersey czekają kilka minut, zanim ruszą. Mieszkańcy miasteczka stoją po obu stronach drogi i wychodzą na balkony. Ze względu na nastawienie, z jakim żegnają przybyszów, można ich podzielić z grubsza na trzy grupy, zauważa Bandy. Jedni się uśmiechają i machają przyjaźnie, inni krzywią się z niechęcią, jeszcze inni stoją nieporuszeni.

Bavern leży w odległości zaledwie ośmiu kilometrów. Gdy pojazdy prowadzące kolumnę dotrą do obrzeży wsi, ostatni żołnierze dopiero wyjadą z Holzminden. Bandy ze swoim kierowcą znajduje się w drugiej połowie konwoju, jakieś cztery i pół kilometra za łopocącym na wietrze transparentem rozpiętym na wozie strażackim. Droga jest dwupasmowa, pokryta asfaltem i żuzłem, prowadzi przez łagodne wzgórza i pola. Bandy zwraca uwagę na kępy drzew. Niepokoją go zwłaszcza te przy drodze. W ryku motocykla nie usłyszy się nawet odgłosu strzałów. Ale Osiemdziesiątka Trójka opanowała oba pasma drogi. Kolumna rozciąga się z tyłu i z przodu aż po horyzont. Jakakolwiek zasadzka byłaby samobójstwem. To nie znaczy, że coś takiego nie jest możliwe. Zdarzały się już ataki w podobnych warunkach. Liczebność dywizji działa jednak uspokajająco - oprócz Bandy'ego jest wiele innych celów.

Jeśli tylko system powiadamiania burmistrzów się sprawdzi, plan dnia przewiduje opanowanie jeszcze trzech wsi położonych wzdłuż tej drogi i nocleg w miasteczku Alfeld. Jutro dywizja powinna wkroczyć do Braunschweig. Przy takim tempie marszu, bez poważniejszych starć z wrogiem, Osiemdziesiątka Trójka ma szansę pierwsza dotrzeć do Magdeburga, skąd rozpocznie ostatni etap natarcia na Berlin. Tam „Cyrk z Hołotą” opuści boczne drogi i wkroczy na autostradę, *Autobahn* Hitlera.

Bandy wkłada nowy film do aparatu; nie mały wyczyn, jeśli się to robi jedną ręką z łopocącym na wietrze rękawem. Instykt podpowiada mu, żeby zachował czujność. W ostatnich dniach wszystko szło zbyt gładko.

Kiedy zamyka klapkę aparatu, kierowca motocykla gwałtownie skręca w lewo, tak że Bandy'ego rzuca na bok w przyczepie. Zaciska zęby, bo przeszywa go ból w nodze aż po pachwinę. Jest tak dotkliwy, że Bandy czuje parcie w pęcherzu. Klnie na kierowcę, wiedząc, że chłopak i tak go nie usłyszy. Kierowca odwraca głowę i macha długiemu czarnemu mercedesowi, który ich

wyprzedza. Samochód przejeżdża szybko pomiędzy motocyklem a ciężarówką z żołnierzami jadącą drugim pasem. To niemiecki wóz sztabowy. Na zderzakach ma dwie chorągiewki ze swastykami. Pewnie został zarekwirowany w Holzmin-den w ostatniej chwili, nie było czasu przemalować go na zielono i zdjąć chorągiewki. Ale kierowca limuzyny ma czapkę szofera, czarne rękawiczki i bojową minę. Z tyłu siedzi dobrze ubrany cywil, który rzuca się od okna do okna, patrząc na jadące po obu stronach kolumny amerykańskich żołnierzy.

Szofer naciska klakson i manewruje pomiędzy pojazdami. Wszystkie zjeżdżają mu z drogi i przepuszczają go. Amerykańscy żołnierze patrzą ze zdumieniem na ten zabłąkany nieprzyjacielski samochód. Bandy kręci głowę. Najwyraźniej Osiemdziesiątka Trójka zdobyła i zarekwirowała tyle niemieckich pojazdów, że ten wóz wziął „Cyrk z Hołotą” za kolumnę Wehrmachtu. Bandy bierze się do robienia zdjęć. W czasie wojny nie zdarza się wiele komediowych scen.

Seria z karabinu maszynowego zmusza mercedesa do zatrzymania się. Samochody jadące obok niego zwalniają. Jeden z jeepów eskortuje wóz na pobocze. Wyprzedzając go, Bandy rozpoznaje mówiącego po niemiecku kapitana, który znowu z uśmiechem podnosi pistolet. Za pięć minut mercedes zostanie przemalowany na zielono, a nazistowskie flagi znajdą się w plecaku jakiegoś żołnierza.

Karawana rusza dalej na wschód z prędkością niespełna szesnastu kilometrów na godzinę. Kierowca z Jersey naciska gaz. Chciałby wyrwać się z tej kolumny i wraz z pasażerem zrobić sobie porządną przejażdżkę. Bandy nie zna jego imienia, ale robi mu zdjęcie - chłopcu włoskiego pochodzenia walczącemu za oceanem. Ma wspaniałą twarz, myśli Bandy, śniadą i świetlistą, amerykańską jak *apple pie*, bo o europejskich rysach.

Droga przed nimi biegnie prosto. Zielone pojazdy wiozące żołnierzy wypełniają każdy jej centymetr. Jadąc tak w otwartej przyczepie, Bandy uświadamia sobie szybkość, z jaką posuwają się alianckie wojska. Za polami i wzgórzami po obu stronach tej drogi nacierają inne amerykańskie i brytyjskie dywizje, wbijają się w samo serce Niemiec, z każdą minutą zajmując kolejne obszary nieprzyjacielskiego terytorium. Bandy zastanawia się, dlaczego Niemcy jeszcze stawiają opór? Dlaczego zmuszają ich do rujnowania swoich miast, dlaczego wysadzają własne mosty, dlaczego oddają życie? Bandy miałby ochotę pojechać z „Cyrkiem” do Berlina i dorwać tego chorego popaprańca Hitlera i przy pomocy znajomego kapitana, który mówi po niemiecku, zadać mu te oraz jeszcze inne pytania.

Kolumna posuwa się bez przeszkód. To dobry znak. Gdyby Bayern zamie-rzało się bronić, strzelanina już by się rozpoczęła, bo zielony wóz strażacki

jadący na przedzie zbliża się właśnie do wsi. Poza tym burmistrz zrozumiał chyba, że opór nie ma sensu.

Do takiego samego wniosku widocznie doszła nieduża grupa żołnierzy Wehrmachtu, która stoi przy drodze. Dziesięciu z nich, ustawionych w szeregu na poboczu po lewej stronie, rzuciło broń na ziemię i trzyma ręce nad głową. Amerykanie we wszystkich przejeżdżających obok oliwkowobrazowych ciężarówkach, traktorach, samochodach osobowych, motocyklach (Bandy z przyczepy oczywiście robi zdjęcie), autobusach i jeepach pokazują im wzniesione do góry kciuki. Radzą niedawnym wrogom, żeby maszerowali na zachód i tam oddali się do niewoli. My nie mamy czasu, widzicie napis, chłopaki, następny przystanek w Berlinie.

Dwadzieścia minut później przy dwupasmowej drodze pojawiają się pierwsze zabudowania. Są to małe budynki gospodarskie kryte czerwonymi dachówkami albo słomą. Ocalałe stodoły wydają się bardzo stare. Drewno, smagane przez lata deszczami i wiatrem, ma ładny odcień szarości. Bandy jako farmer patrzy na nie z przyjemnością. Inne zabudowania, przycupnięte przy ziemi, wyglądają jak leżące w pyłe ciemne szkielety wielkich zwierząt. Chłopak z Jersey zwalnia. Łuk z bezlistnych gałęzi drzew, splecionych ze sobą nad drogą, wyznacza granicę wsi.

Konwój zatrzymuje się jakieś pięćdziesiąt metrów dalej. Kierowca znowu niecierpliwie naciska pedał gazu. Patrzy na Bandy'ego pytająco. Ten w odpowiedzi kiwa głową.

Motocykl wyłamuje się z kolumny i zjeżdża na pobocze. Inne samochody trąbią, gdy je wyprzedza. Bandy słyszy protesty żołnierzy poprzez własne syknięcia, gdy podskoki przyczepy nadwężają szwy w nodze. Kierowca musi jednak wykonywać ostre skręty między stojącymi pojazdami, by dostać się do wsi.

Za minutę są już na rynku. Chłopak z Jersey gasi silnik. Zielony wóz strażacki stoi na środku placu. Za nim tłoczy się setka innych pojazdów. Żaden z żołnierzy jeszcze nie wysiadł, nikt z obywateli nie wyszedł im na spotkanie. Szum silników na jałowym biegu brzmi złowroźnie jak zawodzący wiatr.

Na werandach, balkonach i w oknach wokół całego rynku wiszą białe flagi. Zarzucono je także na druty elektryczne. To rozwieszono „pranie” i panująca w miasteczku cisza sprawiają, że wioska wygląda jak zaśnieżona.

Bandy wysiada z przyczepy. Kierowca zdejmuje gogle, ale nie idzie za nim.

Po obu stronach głównej ulicy, przed piekarnią, kancelarią adwokacką, cukiernią i warsztatem garbarskim wiszą ciała. Wiszą na latarniach i żelaznych balustradach górnych pięter budynków. Jest ich dwanaście. Pięciu starszych mężczyzn i pięć kobiet, dwóch chłopców.

Na szyjach powiewają kartki z czarnym odręcznym napisem: *Vaterland-verräter*.

„Zdrajca ojczyzny”.

Bandy stoi po środku pustej ulicy. Szedł jako pierwszy i słyszy teraz za sobą kroki kilku żołnierzy i oficerów. Amerykanie odetną tych powieszonych cywiliów i pozwolą miejscowym je przykryć.

To robota wycofujących się esesmanów. Oni nigdy się nie poddadzą.

Ulica się zaludnia. W drzwiach i na schodach pojawiają się mieszkańcy Bawern. Bandy wsparty o łaskę idzie dalej wśród tych dekoracji wojennych, wśród zwisających ciał, białych prześcieradeł oznaczających gotowość poddania się i wreszcie wśród nadbiegających kobiet, które zawodząc, przypadają do kołyszących się stóp swoich bliskich.

Ostatnie zwłoki w szeregu wiszą na maszcie. Bandy domyśla się, że ten budynek z tyłu to ratusz. Wisielca ma na sobie garnitur i lśniące czarne buty. Pierś przewiązana jest aksamitną szarfą. To burmistrz.

Gdy Bandy się temu wszystkiemu przygląda, obok, szurając nogami, przechodzi starsza kobieta. Omija wzrokiem linę, która spowodowała śmierć mężczyzny. Spogląda raczej na jego obcasy. Myśli, ale o czym? Że był starym głupcem? Że powinien był siedzieć cicho, jak inni, którzy przeżyli?

Kobieta opuszcza głowę. Pada na kolana pod błyszczącymi butami wisielca. Unosi otwarte dłonie do twarzy, jakby myła ją nad strumieniem, i zaczyna szlochać.

Bandy robi zdjęcie tej klęczącej pod kołyszącym się ciałem kobiecie. Przypomina mu się modlitwa wielkanocna, którą słyszał rano, i układa podpis: „Niemcy - rzucone na kolana”.

1 kwietnia 1945, godzina 19.20

Grolmanstrasse

Charlottenburg, Berlin

Lottie ściska długi nóż. Trzyma go za trzonek, z ostrzem skierowanym w górę.

Idzie pospiesznie za matką. Freya przemyka chyłkiem pod poczeriałymi fasadami budynków, starając się kryć w ich cieniu. Obie z Lottie mają na sobie długie czarne suknie, głowy i ramiona przykryte czarnymi szalami. Ubranie Frei powiewa na wietrze. Dwie kobiety idą na łowy. Ich ciemne sylwetki stapiają się z nocą i miastem leżącym w gruzach.

Noże ukryły pod szalami. Freya przez godzinę ostrzyła je w kuchni. Kiedy nad Berlinem zapadła noc, wyprowadziła córkę z domu.

Lottie musi iść szybko, by dotrzymać jej kroku. Przeraza ją zimne ostrze, które dotyka jej ręki. Ogarnia ją także strach na myśl o tym, że wbrew przepisom wyszła po zmierzchu na ulicę. Goebbels wydał kolejne zarządzenie, które ma powstrzymać szabrowników przed szwendaniem się po mieście. Na razie matka i córka nie zostały zauważone. Na ulicach nie ma samochodów ani ciężarówek, w Berlinie brakuje benzyny. Paliwo rezerwowane jest dla członków partii i ich rodzin. Baki ich wygodnych wozów są pełne, gdy wyruszają na południe od Berlina, w góry, albo potajemnie kierują się na zachód, by oddać się do niewoli aliancom.

Mutti oszalała, myśli Lottie. Robić coś takiego - z nożami, wbrew przepisom, w dodatku ciągnąc ją ze sobą do pomocy. Ale Żyd musi przecież coś jeść. Lottie zresztą też. Z głodu, jaki ostatnio jej doskwiera, bardzo schudła, choć i wcześniej była szczupła. Oczy, które ogląda w lustrze, przypominają teraz puste ptasie gniazda, złote włosy stały się łamliwe. Szybko też opada z sił, zwłaszcza gdy gra na wiolonczeli. Gdyby były same, starczyłoby dla nich jedzenia. Ale mają u siebie tego Żyda. Dlatego Lottie wymyśliła pewną sztuczkę: gdy tylko rozlegają się syreny odwołujące alarm przeciwlotniczy, obie z matką i wyruszają w zbombardowane właśnie rejony, by dostać na miejscu kartki żywnościowe dla ofiar i talerz zupy. Freya wyspecjalizowała się w zdobywaniu, towarów czarnorynkowych. Udaje jej się to nawet bez pieniędzy czy czegokolwiek na wymianę. Lottie już nie wychodzi z domu, kiedy *Mutti* znosi Juliusowi do piwnicy skromne posiłki. Siedzi w salonie albo leży na łóżku. Przestała grać na wiolonczeli. Oszczędza siły na koncerty orkiestry, które odbywają się nadal trzy, cztery razy w tygodniu. Muzycy nie rozmawiają ze sobą o planowanej ucieczce. Nie słyszy się też na ten temat żadnych pogłosek. Lottie zaczęła się już martwić, że plan może nie dojść do skutku. Spisek musi pozostać w tajemnicy. Trzeba więc czekać, by się przekonać - i trwać tymczasem w niepewności. Nie ma mowy, żeby pozbyć się z domu Żyda. Nikt nie wspomina również o samobójstwie. Te sprawy zostały już dawno ustalone. W ciągu paru tygodni Lottie wraz z orkiestrą wyjedzie z Berlina. Postanowiła do tego czasu pomagać *Mutti* w zdobywaniu jedzenia. Obawia się, że gdyby tego nie robiła, matka żywiłaby Żyda kosztem ich obu.

Freya zatrzymuje się na rogu Savignyplatz. Lottie idzie za nią tuż pod ścianą ostatniego budynku. Przed wojną skwer był pastelowozieloną oazą, z parasolami, stolikami i sprzedawcami ulicznymi. Wszystko to jednak zniknęło. Tego wieczora na placu jest tylko padły koń. I bawiące się dzieci.

Trzy dni temu na berlińskim niebie coś się zmieniło. Amerykanie nadal przedpołudniami nawiedzają miasto swoimi B-17. Nocą - być może dziś za godzinę albo dwie też tak będzie - nadlatują brytyjskie bombowce mosquito. Popołudnia natomiast zawsze były spokojne, przynajmniej w tych częściach miasta,

których nie ogarnęły pożary. Trzy dni temu jednak na niebie pojawili się Rosjanie, którzy wybrali sobie właśnie południa na swoje naloty. Nękają Berlin nie spadającymi ze świstem bombami, lecz wyjącoymi myśliwcami, które lecąc nisko, ostrzeliwują ulice i place z karabinów maszynowych zamontowanych na skrzydłach. Bazy mają niedaleko, nadlatują szybko, nie namierzone przez radar, nikt się ich więc nie spodziewa. Berlińskie baterie przeciwlotnicze, chcąc je trafić, strzelają niemal poziomo i sieją na ulicach miasta takie same zniszczenia, jakie powodują czerwoni. Lottie widziała nawet ich pilotów w kokpitach, czerwone gwiazdy na ogonach i skrzydłach samolotów, oglądała także zrytą pociskami ziemię, którą pozostawiają za sobą. Po czterech łątach bombardowań ta nowa plaga, która niespodziewanie nadeszła ze wschodu, jest dla Berlińczyków najbardziej dokuczliwa. W mieście pojawili się pierwsi uzbrojeni Rosjanie.

Tego wielkanocnego popołudnia czerwoni zaatakowali Charlottenburg. Najwyraźniej za cel obrali sobie Savignyplatz, dwie ulice od domu Frei. Radzieckie myśliwce raz po raz nurkowały w dół, bombardując ten publiczny plac. Lottie nie rozumie, dlaczego wybrali sobie właśnie to miejsce. Nie ma tu przecież żadnych obiektów wojskowych. Zrobili to złośliwie. Chcieli po prostu zniszczyć jeden z ładniejszych punktów miasta.

Przy Savignyplatz znajdował się sklep z karnawałowymi strojami. Okna i wystawa zostały zniszczone podczas nalotu, ściany są podziurawione od kul. Po zdemolowanych półkach myszkuje teraz grupa dzieci. To najmłodsze „nocne marki” Goebbelsa wałęsające się po placu. Tańczą, wloką za sobą kolorowe chorągiewki, na głowach mają ozdobne kapelusze, wymachują podczas zabawy żółtymi i niebieskimi latarniami. Niektóre zjeżdżają po zwalonej belce, odpowiedniej dla ich małych pup.

To koń przywiódł tu Freyę. Z powodu braku paliwa w mieście, amunicję do wież strzelniczych przewozi się na wózkach ciągnionych przez konie. Zwierzęta są wycieńczone na skutek pracy i niedożywienia. Ten koń został zastrzelony podczas nalotu. Freya chce wykroić z niego kawałek mięsa.

Podaje Lottie nóż.

- Zostań tutaj.
- Co? Dlaczego? Dokąd idziesz?
- Nie chcę, żeby dzieci nas widziały.

Zdaniem Lottie, te dzieci musiały już niejedno widzieć w Berlinie. Skaczą przez okno zrujnowanego sklepu, biegają dookoła martwego konia. Z pewnością nieobcy jest im widok i ludzkich trupów.

Freya wsuwa ręce pod szal. Zasłania twarz atramentową koronką. Skrada się w stronę placu, przemykając za potrzaskanymi stolikami i ławkami. Dzieci jeszcze jej nie widzą. Zauważają ją dopiero, gdy unosi spowite czarną tkaniną

ramiona i zaczyna pohukiwać, udając ducha. Podbiega do nich, zawodząc i wymachując rękami. W ten sposób przepędza wszystkie maluchy z placu. Dzieci piszczą, niektóre z nich się śmieją, ale żadne z nich, uciekając do domu, nie wypuszcza z rąk zdobytych skarbów.

Freya staje nad leżącym koniem. Lottie podchodzi i podaje jej nóż. Matka uśmiecha się, ciężko dysząc z wysiłku. Usuwając dzieci z placu miała na względzie ich dobro. Lottie uważa, że to było głupie i niepotrzebne. Jeśli o nią chodzi, chciałaby jak najszybciej zrobić to, po co tu przyszły, i odejść.

Freya dostrzega wyraz dezaprobaty na twarzy córki i mówi:

- Ach, Lottie.

Uśmiech znika z jej oblicza. Pochyla się nad martwym zwierzęciem.

Dopiero gdy kłęką przy nim, Lottie widzi, jak bardzo jest wynędzniałe. Koń był zagłodzony, wszędzie sterczą mu kości. Ma ciemną maść, to kasztan. Pod żebrami sterczy niewiarygodnie wzdęty brzuch. Mimo ciemności widoczne są rany od kul, a w nich białe czerwie. Nad ranami, a także nad zmętniałymi oczami i wywalonym na bok grubym językiem krążą muchy. Wokół śmierdzi padliną, ale Lottie, choć się krzywi, jakoś znosi tę woń. Freya przesuwa dłonią po padłym zwierzęciu. Lottie dotyka placem jego boku. Sierść konia jest chłodna i sztywna jak dywan. Obie kobiety kłękają w kałuży zakrzepłej, czarnej krwi.

Freya kładzie na ziemi nóż i wór z płótna, który wyjęła spod paska.

Lottie czuje, że zbiera jej się na wymioty.

- *Mutti*, jak możemy to jeść? On leży tu co najmniej od południa. Obsiadły go muchy. Nie tknę tego.

Freya nie zwraca na nią uwagi. Bierze nóż i przykuca obok karku i kręgosłupa zwierzęcia.

- Słyszałam, że najlepsze mięso jest na grzbiecie. Będziemy musiały je ugotować, póki się jeszcze nadaje do jedzenia. Lottie, pomóż mi. Proszę.

Lottie z niechęcią nabiera haust powietrza i przysuwa się do matki. Freya kilka razy przymierza się do krojenia, próbuje ująć nóż tak, by wykorzystać całą swoją siłę. Zdaniem Lottie, matka nie ma pojęcia, na co się porywa.

Ostrze zagłębia się między łopatki zwierzęcia. Freya ciągnie nóż do siebie, krojona skóra wydaje odgłos, który przypomina cięcie konopnego płótna. Lottie oczekuje, że pojawi się krew, ale nic takiego się nie dzieje. Serce konia dawno przestało pracować. Krew zastygła albo wypłynęła. Freya wbija nóż na grubość tylko dwóch centymetrów, ledwie nacinając mięso. Przy pierwszej próbie lekko drży jej ręka. Gdy zagłębia nóż ponownie, efekt jest już lepszy. Wkłada drugą dłoń w nacięcie i wyrywa płat skóry wraz z mięsem. Lottie obserwuje, jak matka nabiera coraz większej wprawy.

Po odsłonięciu mięsa smród, do tej pory słabo wyczuwalny, staje się nie do wytrzymania. Ohydna, przenikliwa woń. Lottie odsuwa się od konia, ale i tak

będzie musiała później zmyć z siebie ten odór. Muchy, na chwilę rozpędzone, powracają i krążą beładnie nad raną w nodze, skąd wystaje fragment kości. Żadna z nich nie siada jednak na Lottie ani nie przenosi się nad inną otwartą ranę. Uparcie trzymają się jednego miejsca.

- Zad - mówi Freya, nie przerywając swego zajęcia. - Rób tak jak ja. Wbijaj i ciągnij.

Kawałek mięsa, który wrywa z konia, ma pięć centymetrów grubości. Jest czerwony i miękki jak stek.

Jeśli okaże się jadalny, będą miały ucztę.

Jeśli jednak zjawi się gestapo albo SS, obie zjedzą w więzieniu zaledwie kilka posiłków, i to tylko wtedy, gdy dopisze im szczęście. Rozszarpywanie konia na placu publicznym pod osłoną nocy zostanie uznane za szaber. W najlepszym razie - za przejaw braku morale. Sędziowie wezmą pod uwagę fakt, że były głodne i zdesperowane. Że w końcu im się nie udało. Lottie martwi jednak to, że gdyby zostały aresztowane i osadzone choćby na tydzień w celi, to orkiestra mogłaby wyjechać z Berlina bez niej.

To jasne, że Freya nie odejdzie stąd, dopóki nie wykroi wystarczająco dużo mięsa. Im szybciej więc skończą, tym szybciej będą mogły wrócić do domu. Lottie przesuwając się w tył, do miejsca, gdzie leży żałosna kupka odchodów, ostatni przejaw czynności życiowych konia.

W zwierzęciu nie ma już życia, myśli. Jest tylko mięso. Jedzenie. Tniemy. Przykłada czubek noża do boku konia, obok kości biodrowej. Naciska trzonek, przebijając skórę. W nos uderza ją znowu woń rozkładającej się padliny. Jedna z much przez chwilę interesuje się świeżo naciętą raną, ale odlatuje, by żerować gdzie indziej. Nóż rysuje na skórze czerwieniejącą krechę, znacząc linię mięśnia na końskim zadzie. Lottie wsuwa palce lewej ręki w nacięcie i z jękiem odzyna mięso. Musi powtórzyć tę czynność, żeby oddzielić mięsień od białej kości i sieci włókien.

Po kilku minutach Lottie trzyma już w ręku wykrojony kawał purpurowego mięsa - gruby, zimny i ciężki. Nie budzi obrzydzenia. To po prostu wielki stek z płatem brązowej skóry. Natomiast dziura w boku zwierzęcia wygląda ohydnie. Wystaje z niej staw biodrowy i kość udowa. Ściągną i kości wszystkich istot powinny być ukryte - odsłonięte budzą grozę. Muchy już wyczuły, że mają żerowisko w tym przepaścistym kraterze. Lottie kładzie mięso na wzdętym brzuchu konia i podnosi się z obolałych kolan. Robi krok do tyłu. Freya jest tylko czarną plamą, ciemniejszym akcentem zapadającej nocy, gdy tak leczy i odcina mięso przy kręgosłupie. Biel wiązadeł i kości, odsłaniająca się a każdym nacięciem noża *Mutti*, a także wijących się larw wydzierają padłego konia nocy. Lottie i jej matka, ubrane na czarno, mają noże i są głodne. Koń zaraz zniknie, myśli Lottie. I dobrze.

Gdy wycięła zad, zaczyna się niecierpliwić. Idźmy już, pogania w myśli matkę. Ile tego *Mutti* chce zabrać! Całego konia? Mięso nie przetrwa nocy, jeśli nie zostanie zamrożone, a przecież nie ma lodu ani prądu. *Mutti* będzie gotować je całą noc, póki nie zabije bakterii i mięso nie stanie się jadalne. Zrobi z niego gulasz, kiełbasę, kabanosy i pasztety, zmieli je. Nakarmi całe sąsiedztwo i za trzy dni znowu będą we trójkę głodować. A z każdą sekundą ich obecności na placu rośnie niebezpieczeństwo, że zostaną schwytane, Lottie niemal fizycznie odczuwa tykanie zegarka.

- *Mutti* - syczy. - Kończysz już?

- Wystarczy i dla nas?

To nie jest głos Frei. Dochodzi z ciemności, od strony innej niewyraźnej postaci sunącej przez plac.

Freya unosi głowę. Podchodzą do niej cztery ciemne sylwetki. Jakieś kobiety ubrane na czarno. One także przyszły tu po końskie mięso.

- Tak - odpowiada Freya. - Oczywiście.

Bez zbędnych słów kobiety zsuwają szale z głów i wyjmują noże. Jest zbyt ciemno, by można było zobaczyć ich twarze. Lottie w każdym razie nie zna głosu tej, która się odezwała. Kobiety klękają wokół zwierzęcia i teraz pięć z nich rozbiera tuszę. Dwie atakują jedną z przednich kończyn. Lottie widzi, że nie tracą czasu, nie wykrawają samego mięsa, tylko odcinają całą nogę. Trzecia przykłęka obok łba. Jednym silnym pociągnięciem noża wycina język i rzuca go na woskowany papier. Wyłupuje też ostrzem oko konia, by dostać się do mięśnia policzkowego. Czwarta kobieta zajmuje niedawne miejsce Lottie przy zadzie i zabiera się do wycinania reszek mięsa.

Lottie cały czas stoi z tyłu. Klęczące kobiety kroją gnijącego konia.

Robią to z wprawą. Przednia noga zostaje odcięta i odłożona na bok. Z zadu daje się jeszcze wykroić sporo do jedzenia. Łeb konia jest już całkiem okaleczony. Freya odrzyna od kręgosłupa długie płaty mięsa i rzuca do worka.

Lottie stoi nieruchomo. Chce odsunąć się na bok. Odczuwa obrzydzenie z powodu odoru, insektów, widoku zawzięcie pracujących noży i samego mięsa. Przerażają ryzyko aresztowania, a także świadomość własnej degradacji.

Po kilku minutach rzeźniczki muszą przewrócić konia, żeby dostać się do jego drugiego boku. Lottie cały czas stoi na uboczu, nie przyłącza się do nich. Mocowanie się ze sztywnym, zmasakrowanym, trzynogim trupem to dla niej zbyt odstręczające zajęcie.

Piątka kobiet ustawia się wokół padłego zwierzęcia. Freya i dwie inne chwytają je za nogi, dwie pozostałe podkładają ręce pod brzuch i popychają. Bezwładne ciało zachowuje się jak worek z wodą. Wszystkie kobiety pchają naraz, zwłoki powoli się przekręcają. Nogi zwierzęcia są jak żelazne sztaby, sztywne i wyprostowane. Brzuch nie przewraca się wraz z całym ciałem, ale

bezkształtny i oporny wymyka im się z rąk. Jedna z kobiet robi krok do tyłu, zastanawiając się, co zrobić. Zdyszana liczy: raz, dwa, trzy...

Zapiera się i z całej siły pcha wyprostowanymi rękami zeszywniałe nogi i korpus. Koń przewala się, uderzając kończynami o ziemię.

W powietrze bucha najohydniejszy odór, z jakim Lottie kiedykolwiek się zetknęła. Wprost niewyobrażalny. Obrzydliwy smród rozchodzi się dookoła. Z brzucha konia wypadają wnętrzności i pchające kobiety z rozpędu wpadają na nie. Jedna z nich puszcza zwłoki i odskakuje na bok. Pod Lottie uginają się kolana. Zbiera siły, by nie upaść, i cofa się na chwiejnych nogach, obiema rękami przyciskając szal do ust i nosa. Idzie tak tyłem aż na koniec placu. Odślania wreszcie twarz i ostrożnie wciąga nosem powietrze - tu nie czuje fetoru. Zaczyna oddychać gwałtownie jak ktoś, kto wyszedł z zatęchłej nory. Pozostałe kobiety rozpierchają się na wszystkie strony. Lottie nie widzi, dokąd uciekły. Gdzie jest *Mutti*?

Głośnym szeptem nawołuje: - *Mutti?! Mutti?!*

Z różnych stron placu dochodzą głosy i pokastywania ludzi, którzy poczuli w mieszkaniach rozchodzącą się woń padliny:

- *Gott im Himmel!* Co tak cuchnie? To ten koń! *Scheiss!*

Lottie wkracza w krąg smrodu. Ponieważ nie ma wiatru, odór jest wciąż intensywny. Pochylona, idzie szybkimi małymi krokami. Czuje się jak padlinozerca odchodzący od ścierwa.

- *Mutti!* - syczy.

Boi się, że znowu zrobi jej się niedobrze. Powstrzymuje mdłości.

- *Mutti*, musimy wracać.

Z okna nad placem rozlega się zrzędlivy starczy głos, mówiący do kogoś w mieszkaniu:

- Zadzwoń na policję. Szybko! No, rób coś!

Z ciemności wyłaniają się trzy kobiety. Nic nie mówią, chwytają tylko odciętą nogę i kawałki mięsa na woskowanym papierze, a potem szybko się oddalają. Czwarła, ta ubrudzona wnętrznościami, stoi z boku.

Lottie podchodzi do konia, który wrócił do poprzedniej pozycji. Jest rozdarty i wygląda jeszcze bardziej przerażająco. *Mutti* leży tam, gdzie upadła zemdlna. Wciąż trzyma nóż w ręce. Lottie nabiegają łzy do oczu. Oddycha szybko przez szal przytknięty do ust.

Przykleka obok matki i wolną ręką potrzasa ją za ramię. Freya nie reaguje. Lottie musi odciągnąć ją w miejsce, gdzie mogłaby odzyskać przytomność. Wciąga powietrze w płuca, zaciska usta i obiema rękami ujmuje Freyę pod pachy. Gdy ciągnie ją w tył, z rąk matki wypada nóż.

Lottie wlecze ją na skraj placu, szepcząc do niej gorączkowo:

- *Mutti*, obudź się! Nadchodzi policja! *Mutti!*

Freya jest wciąż nieprzytomna. Lottie przystaje na chwilę, by złapać oddech. Wie, że nie mogą tak siedzieć na placu, nawet w ciemności, gdy zjawi się policja. Natychmiast by wpadły. Policjanci zobaczyliby upuszczone noże i wór z mięsem. Aresztowano by je za szabrownictwo.

Resztkami sił Lottie ciągnie matkę z Savignyplatz na chodnik Grolmanstrasse. Po przebyciu dwudziestu metrów jest już całkowicie wyczerpana. Z wysiłkiem sadza *Mutti* za dużym kubłem na śmieci. Zdejmuje matce szal, zwiija go, robiąc poduszkę, i podkłada jej pod głowę. Gdy *Mutti* jest chwilowo bezpieczna w ciemności, Lottie wraca pędem na plac. Nie stara się poruszać cicho, tylko szybko.

Kilka sekund później wraca z nożami i worem mięsa. Siada pod ścianą i przyciaga do siebie głowę mamroczącej coś matki.

- Ciii..., *Mutti* - szepcze, głosząc jej zimne czoło. - Ciii...

Policja rzeczywiście przyjeżdża na plac. Lottie słyszy stukot butów, głosy ludzi zastanawiających się, skąd taki smród, a potem dyskutujących, co zrobić z koniem. Mieszkańcy placu wykrzykują z okien różne informacje. Znowu słychać zrzędlivą staruszkę, która mówi: - No, zróbcie coś.

Mutti coś bełkoce. Za chwilę wstanie. Lottie ją ucisza.

Odsuwa od niej worek z zepsutym mięsem. Już lepszy jest smród dochodzący ze śmietnika.

1 kwietnia 1945, godzina 19.30

Sala konferencyjna przy gabinecie marszałka Stalina
Kreml, Moskwa

Czuje się taki lekki. Jego buty same unoszą się nad podłogą. Musi ściągać stopy w dół, by podporządkować je prawu ciężenia.

Przepełnia go świadomość władzy i unosi do góry. Stalin splata z tyłu ręce, jakby składał skrzydła, i przechodzi od drzwi gabinetu do swego krzesła u szczytu długiego, wąskiego stołu konferencyjnego. Gdy tak stąpa na palcach, czuje zawrót głowy.

Kładzie dłonie na oparciu krzesła. W zębach trzyma swoją ulubioną fajkę, British Dunhill. Na to spotkanie, jedno z najważniejszych, włożył zwykły musztardowy mundur z czerwonymi lampasami na spodniach. Jedyłą jego ozdobę stanowi przypięta na piersi złota gwiazda Bohatera Związku Radzieckiego z czerwoną wstążką.

Ludzie zebrani przy stole, ludzie, którzy nie mogą spuścić z niego wzroku, dopóki nie przemówi i nie usiądzie, to najważniejsze postaci w ZSRR. Budzące największy postrach. Beria, szef NKWD. Malenkow, sekretarz partii. Minister spraw zagranicznych Mołotow. Marszałek Bułganin. Ministrowie: Kaganowicz,

Wozniesiński i Mikojan. Generałowie Antonów i Sztienienko ze sztabu armii. Tworzą oni GKO, Państwowy Komitet Obrony.

Naprzeciwko Stalina siedzą dwaj bohaterowie znad Odry, rywalizujący ze sobą pogromcy nazistów. Marszałkowie Żukow i Koniew. Mają kamienne twarze, ale na pewno też są przejęci. To z ich powodu zwołano to zebranie.

Stalin ogarnia spojrzeniem zebranych. On wszystkim im przewodzi. Potęga i wpływy ludzi zgromadzonych w tej sali to tylko podium dla niego samego. Wystarczy, że wyda rozkaz, a nawzajem poderzną sobie gardła. Cały czas zresztą musi powstrzymać przed tym Berię.

Skinieniem głowy wita wykreowane przez siebie osobistości. Oni odpowiadają takim samym gestem i mamrocą słowa przywitania. Stalin zajmuje swoje miejsce.

Wyjmuje fajkę z ust i wskazuje ustnikiem Żukowa.

- Co się dzieje z Pierwszym Frontem Białoruskim?

Żukow odpowiada, że przygotowania w jego armii przebiegają sprawnie. Drogi i grunt schną szybko. Ludzie są gotowi i rwą się do walki. Wszystko toczy się zgodnie z planem.

Stalin pyta następnie, jak wygląda sytuacja na Pierwszym Froncie Ukraińskim, i otrzymuje równie entuzjastyczną odpowiedź.

-To dobrze. - Stalin kieruje to stwierdzenie do obu marszałków. - Bardzo dobrze.

Przybiera na razie poufały ton, który jednak zamierza wkrótce zmienić.

- Otrzymałem informacje, że plany aliantów są... inne, niż można by oczekiwać od sprzymierzeńców.

Budzi to na sali pełne satysfakcji parsknięcia. Beria siedzący po lewej stronie Stalina śmieje się nieprzyjemnie, złośliwym chichotem.

- Sojusznicy zamierzają dotrzeć do Berlina przed Armią Czerwoną - kontynuuje Stalin. Nie wspomina o wczorajszej depeszy Eisenhowera. Daje znak ręką generałowi Sztienience. - Czytajcie.

Generał wstaje. Cały ugina się pod ciężarem orderów przypiętych na piersi. Jak jego nogi to wytrzymują, zastanawia się Stalin. Sztienienko poprawia na nosie okulary i zaczyna czytać.

Kartka, którą trzyma w ręce, to raport wysłanników radzieckich z kwatery Eisenhowera. Wysłannicy poznali plany aliantów, czyta Sztienienko. Po pierwsze, siły amerykańskie i brytyjskie, które otoczyły Zagłębie Ruhry, zamierzają zniszczyć tamtejsze pozycje wroga. Potem alianci ruszą na południowy wschód, w kierunku Lipska i Drezna.

Generał zsuwa okulary na czubek nosa. Spogląda znad raportu, żeby spogłować napięcie wśród zebranych przy stole.

- Ale po drodze - mówi - chcą zdobyć Berlin.

Chrząknięcie Stalina wyraża oburzenie. Wszyscy spoglądają na niego, ale on nie odrywa wzroku od Sztienienki.

- Kontynuujcie.

Generał podsuwa okulary w górę. Raport stwierdza dalej, że pod pozorem „pomagania Armii Czerwonej” wojska państw zachodnich, dowodzone przez Montgomery'ego, uderzą na północ od Ruhry, kierując się najkrótszą drogą do Berlina.

- Zgodnie z wszelkimi naszymi informacjami, plan ten - by zdobyć Berlin przed armią radziecką - jest uważany przez angielsko-amerykańskie dowództwo za całkowicie realny. Przygotowania są już w toku.

Sztienienko opuszcza kartkę i zdejmuje okulary. Stalin kiwa głową w jego stronę i generał siada.

Radziecy wysłannicy dobrze się spisali, myśli Stalin. Udało im się zdobyć telegram Montgomery'ego do Eisenhowera. „A stamtąd autostradą do Berlina...”!

Stalin wyciąga ręce i kładzie je na blacie stołu. Jest tak niski, że musi się dobrze pochylić, by to zrobić. Patrzy na ludzi siedzących po obu stronach - wszystko . to nieroby, biurokraci i podnóżki. Obejmuje spojrzeniem dwóch bohaterów wojennych, Żukowa i Koniewa.

Żukow. Zaczął karierę w oddziale dragonów carskich. W 1917 roku przyłączył się do Rewolucji. Z zapałem walczył za sprawę. Zawsze bardziej związany był z wojskiem niż z partią bolszewicką. Polityka mało go interesuje. Dlatego przeżył czystki w Armii Czerwonej, mające na celu usunięcie dawnej carskiej ekipy. Lojalny, z wyobraźnią, śmiały, bezwzględny. Przeszedł przez wszystkie szczeble kariery i został w końcu obwołany bohaterem spod Moskwy i Stalin-gradu. Chce także zostać zdobywcą Berlina.

Koniew, wyższy i bardziej szorstki w sposobie bycia niż Żukow, stoi mu na drodze. Awansowali w takim samym tempie. Pod wieloma względami ich kariery przebiegały podobnie. Koniew także przeszedł na stronę rewolucjonistów, ale w przeciwieństwie do Żukowa, który wstąpił do Armii Czerwonej jako szeregowiec, został komisarzem politycznym. Choć należy do dowództwa wojskowego od dwudziestu lat, uchodzi za starego aparaczyka. Żukow i inni żołnierze frontowi traktują go jako kogoś obcego, do kogo nie można mieć zaufania.

Stalin wybrał ich dwóch ze sfery młodych generałów i zrobił z nich swoje psy obronne. Żukow i Koniew. Mają podobne zalety: są inteligentni, wierzą w partię i nienawidzą nazistów. Stalin jawnie, bezlitośnie szczuje jednego na drugiego. Ku jego zadowoleniu, obaj żywią do siebie coraz silniejszą niechęć.

Marszałkowie siedzą wyprostowani pod spojrzeniem Stalina.

- No to co? - pyta. - Kto zdobędzie Berlin? My czy nasi kochani sprzymierzeńcy?

Koniew, podjudzony, unosi pięść-

- My - oświadczają ten potężny mężczyzna - przed aliantami.

Stalin oblizuje wargi. Wsparty na rękach, pochyla się do przodu.

- Cieszę się, że mogę na was liczyć.

Koniew wyrwał się z odpowiedzią, bardzo szybko, myśli Stalin. Ale jak jego wojska mogą zdobyć Berlin od południa? Zobaczymy, co z siebie da. A potem przydusimy Żukowa.

- Czy uda wam się zorganizować odpowiednią grupę uderzeniową? - pyta. - Wasze główne siły są na południowym skrzydle. Nie będziecie musieli się najpierw przegrupować?

Koniew bez wahania rozwiewa wątpliwości Stalina.

- Mój front przedsięwzięcie odpowiednie środki, towarzyszu Stalin. Zdążymy się przegrupować, by zdobyć Berlin.

- Czy mogę coś powiedzieć?

To Żukow. Mówi protekcyjnym tonem.

Stalin odwraca się od Koniewa. Żukow nie czeka jednak na pozwolenie.

- Z całym szacunkiem - mówi skłaniając głowę w stronę Koniewa - ale Pierwszy Front Białoruski nie musi się przegrupować. Jesteśmy w gotowości. Możemy ruszyć prosto na Berlin. Dzieli nas od niego najkrótsza droga. - Przerzywa dla lepszego efektu. Zaciska w pięść jedną z dłoni spoczywających na stole. Potrząsa nią. - Zdobędziemy Berlin.

Stalin zdejmując rękę ze stołu. Siada z powrotem na krześle. Uzyskał to, co chciał, deklarację ze strony dwóch wielkich dowódców radzieckich stojących na granicy niemieckiej, którzy podejmą ze sobą rywalizację. Zainicjował wyścig do Berlina.

- Bardzo dobrze. Wy dwaj zostaniecie w Moskwie i przygotujecie plany razem ze sztabem głównym. Chcę je mieć za czterdzieści osiem godzin. Potem, gdy wszystko zostanie zatwierdzone, wróćcie na front.

Stalin widzi, że obaj marszałkowie unoszą brwi ze zdumienia. Zdaje sobie sprawę z tego, jakim zadaniem ich obarczył. Przed tym zebraniem natarcie na Berlin planowano na początek maja. Ale teraz, gdy Eisenhower okazał się kłamcą, a Montgomery rusza na Berlin, Stalin postanowił przyspieszyć decydującą ofensywę o dwa tygodnie.

Koniew stoi w obliczu poważnych problemów z zaopatrzeniem. Jego siły są bardzo rozciągnięte. Brakuje mu ludzi i sprzętu. Musi pospieszyć transportować wszystko nad Odrę. To byłby dla niego koszmar, gdyby chciał spełnić żądanie Stalina.

Żukow z kolei wcale nie jest jeszcze gotowy. Jego armie zostały bardzo osłabione podczas walk o twierdze w Poznaniu i Kostrzynie. Wiele dywizji straciło co najmniej połowę ludzi. Musiałby szybko ściągnąć uzupełnienia.

A nowi żołnierze nie będą mieli doświadczenia. Pal ich lichy, myśli Stalin, niech przynajmniej osłaniają przed kulami lepszych wojaków.

Wstaje. Zebranie zostaje na razie zakończone. Wszyscy natychmiast się podrywają. Żukow i Koniew wciąż nie mogą ochłonąć z wrażenia, przerażeni zadaniem, jakie nałożył na nich Stalin. Czterdzieści osiem godzin na przygotowanie planu ataku to nierealny termin.

Ale Stalin nie skończył jeszcze przykręcać śruby.

- Marszałkowie Żukow i Koniew?
- Tak, towarzyszu Stalin?
- Muszę wam powiedzieć, że przywiązujemy szczególną wagę do daty rozpoczęcia waszych operacji.

Obaj przymykają powieki na znak, że zdają sobie z tego sprawę. Po chwili wymieniają szybkie spojrzenia, jakby krzyżowali miecze. Stalin wkłada fajkę do ust i ssie ustnik. Cybuch w jego dłoni jest ciepły, to dobry dunhill. Obraca się na pięcie. Znowu czuje się lekki.

Rusza po wypastowanej podłodze do swego gabinetu. Mężczyźni w milczeniu wychodzą za nim z sali. To jest na nich sposób, myśli. Niech sobie skaczą do gardeł.

Siada przy biurku i układa odpowiedź dla generała Eisenhowera. Godzinę później zostaje już nadana.

Stalin informuje go, że plan aliantów zmierzający do rozproszenia sił niemieckich przez połączenie wojsk angielskich i amerykańskich z armią radziecką „jest całkowicie zbieżny z planem naczelnego dowództwa ZSRR”. Zgadza się, że cło połączenia powinno dojść w rejonie Lipsk-Drezno, ponieważ główne uderzenie sił radzieckich kierowane będzie w tamtą stronę. Armia Czerwona ruszy znad Odry w głąb Niemiec „mniej więcej w drugiej połowie maja”.

Haczyk znajduje się w trzecim akapicie. Nawiązując do tonu depeszy Eisenhowera i odpowiadając kłamstwem na kłamstwo, Stalin pisze: „Radzieckie naczelne dowództwo zamierza wysłać w stronę Berlina drugorzędne siły. Berlin stracił polityczne znaczenie”.

5 kwietnia 1945, godzina 1.15
Sześć kilometrów od Kostrzyna
Równina Seelow, Niemcy

- Powiedz mu, że go zabiję. Misza przysuwa się bliżej. Szepcze po niemiecku.

Twarz Ilji znajduje się zaledwie parę centymetrów od wroga. Mówi do Miszy, trzymając między zębami trzonek noża. Przywiera piersią do munduru

nieprzyjaciela jak gwałtowny partner w tańcu. Przytrzymuje rozpostarte ramiona Niemca i przypiera go do ściany okopu. Prawą ręką ściska jego nadgarstek, aż wreszcie ramię tamtego słabnie. Palce wroga się rozwierają, luger upada na ziemię. Ilja czuje w jego oddechu woń kapusty. Wydaje mu się, że widzi strach w rozszerzonych źrenicach. W świetle pocisków smugowych i szperaczy wszystko ma żółtawy odcień.

- Powiedz mu, że jeśli będzie hałasował, to go zabiję.

Misza znowu zbliża usta do drżącego ucha. Gdy tak syczy, widać poślótkę od tytoniu zęby.

Ciało żołnierza robi się bezwładne. Ilja musi go wręcz podtrzymywać. U ich stóp leży martwy Niemiec, towarzysz tamtego. Dalej w okopie spoczywa jeszcze jeden. Obaj mają poderżnięte gardła - Ilja zabił ich nożem, który trzyma w ustach. Na wargach ma ich krew. Mężczyzna w żelaznym uścisku Ilji zerka na zwłoki towarzysza. Palce zabitego są zgięte, jakby w ostatniej chwili po coś sięgały i nie zdołały tego pochwycić. Niemiec znowu przenosi spojrzenie na twarz Ilji. Ciężko wzdycha i kiwa głową.

Ilja pochyla głowę i robi krok do tyłu. Przekłada nóż do ręki i ociera usta rękawem. Niemiecki żołnierz stoi nadal z rozpostartymi rękami, opierając je o ścianę okopu. Misza wyjmuje kawałek sznura. Ilja pokazuje na migi, co żołnierz ma zrobić - złączyć ręce, które zostaną związane. Mężczyzna posłusznie wykonuje polecenie, dysząc coraz gwałtowniej.

Misza staje przed Ilją, żeby związać jeńca. Nagle cofa się i wpada na przyjaciela.

- O psia mać. Złał się. Zobacz.

Spodnie Niemca są z przodu mokre, a na ziemi pod jego butami widać wilgotną plamę. Ilja czuje smród moczu.

Żołnierz wyciąga przed siebie złączone ręce, mrugając powiekami. Boi się odezwać i przeprosić. Chciałby, żeby już go związano i zabrano stąd - żywego. Misza odchodzi na bok i mówi ściszym głosem.

- Nie, nie, Ilja. Nie będę szedł przez tę ziemię niczyją z tym czymś.

- Przyszliśmy tu zdobyć jeńca. I zdobyliśmy. Zwiąż go, Misza.

- Nie. On cuchnie. Zabij go. Znajdziemy innego.

Ilja patrzy na przerażonego, upokorzonego żołnierza, który trzyma złączone w nadgarstkach ręce, jakby już został przez Miszę związany. Niemiec kiwa głową: tak, tak, zabierzcie mnie, nie zrobię już nic złego.

- Powiedz mu, żeby zdjął spodnie.

- Co?

- Wykonać, sierżancie.

Teraz jest to już rozkaz. Po zdobyciu twierdzy kostrzyńskiej Ilja został awansowany na podporucznika. Misza nie.

- Powiedz mu to. I zdejmij spodnie z tamtego trupa.

Ilja chowa nóż do pochwy. Wsuwane ostrze wydaje złowrogi świst. Misza nie rusza się, by wykonać rozkaz. Ilja ostrzegawczo rozprostowuje palce. Misza spluwa.

- Psia mać, Ilja. Psia mać.

Niechętnie mruczy po niemiecku polecenie. Żołnierz jest szczupły i młody, ma najwyżej dwadzieścia lat. Przyjmuje słowa Miszy z radością, którą stara się ukryć.

Ilja przygląda się zamianie spodni. Misza obchodzi się z trupem bezceremonialnie, ściąga mu buty i spodnie, po czym porzuca zwłoki. Głowa leży prosto, podczas gdy reszta ciała jest wykręcona. Na szyi widać głębokie nacięcie.

Kiedy Niemiec ma już na sobie czyste spodnie, Misza związuje mu ręce. Żołnierz spogląda na Ilję. Uśmiecha się z wdzięcznością i skłania głowę.

Ilja wyciąga rękę, chwytając Niemca za gardło - jego dłoń jest tak wielka, że obejmuje całą szyję - i przypiera go do ściany okopu.

Nic przy tym nie mówi. Patrzy w wytrzeszczone oczy. Nie czuje nienawiści do tego człowieka. Nienawidzi całego świata.

Nagle zdaje sobie sprawę z tego, że dusi żołnierza. Widzi jego wywalony język.

- No dalej - słyszy syk Miszy.

Rozwiera palce. Młody człowiek podnosi związane ręce do szyi. Krztusi się i kaszle, potem podnosi wzrok, błagając, by mu wybaczone ten kaszel. Prostuje się i usiłuje przełknąć ślinę. Opuszcza głowę, wbija wzrok w ziemię.

Ilja spogląda na Miszę. Oblizuje zęby.

- Idziemy.

Misza zerka na niego badawczo. Jego spojrzenie mówi: Nie jesteś już z nami, Iljuszka.

Wszyscy trzej ruszają na drugi koniec wysuniętego okopu. Leży tam ciało pierwszego zabitego Niemca. Trup wciąż trzyma w rękach menażkę. Misza gramoli się z okopu. Idzie z przodu, odszukując drogę, którą tu przyszli, i omija miny. Ma rzadką umiejętność - przyjrzy się mapie i pamięta wszystkie jej szczegóły. Poza tym coraz lepiej mówi po niemiecku. Z tych powodów Ilja wziął go ze sobą. Do niczego innego nie jest mu potrzebny.

Idą gęsiego, kryjąc się w terenie, przebiegając od drzewa do głazu czy rowu. Kiedy nad ich głowami przelatują pociski smugowe, padają na ziemię. Jeniec posłusznie robi wszystko, co oni. Idzie krok w krok za Misza. Dobrze wie, że wszędzie tu są miny.

Do radzieckiego przyczółka, rozciągającego się po drugiej stronie Odry, mają pięć kilometrów. Za nimi, dziesięć kilometrów na zachód, znajdują się wzgórza Seelow. Na skarpie wysokości siedemdziesięciu metrów, która stanowi granicę tej płaskiej piaszczystej wyżyny, leży niemieckie miasteczko o tej

samej nazwie. Dolina pomiędzy wzgórzami a rzeką - Niemcy nazywają ją Oderbruch - poprzecinana jest strumieniami i źródłami, które przybierają na wiosnę. Przez całe wieki ziemia ta była uprawiana przez Polaków albo Prusaków, zależnie od tego, kto aktualnie sprawował władzę w tym chłodnym zakątku. Niewiele tu drzew i dróg. Panują roztopy, grunt rozmięka na skutek wylewu potoków. Przez ten nieprzychylny teren ma przemaszerować 1 Front Białoruski marszałka Żukowa z 8 Armią Gwardyjską Czujkowa na przedzie. Milion ludzi i dziesięć tysięcy czołgów. Będą nacierać na zachód, prosto na Berlin.

Niemcy, uzbrojeni po zęby i umocnieni na płaskowyżu Seelow, strzegą tego odsłoniętego pasa ziemi dniem i nocą. W ciągu dnia obie strony mogą się nawzajem obserwować. Drzewa nie porosły jeszcze liśćmi. W namokłej ziemi nie można się okopać, bo każda dziura natychmiast wypełnia się wodą. W nocy natomiast niemieckie samoloty zwiadowcze zrzucają rakiety i oświetlają Oderbruch, tak że ich żołnierze w wysuniętych okopach doskonale widzą, co dzieje się po stronie radzieckiej. Dodatkowo na przyczółek kostrzyński kierowane są z Seelow wielkie reflektory, które umożliwiają obserwację ruchów wojsk, artylerii i czołgów. Żukow nie pozwolił artylerii zbombardować tych światel, by wróg nie poznał jego pozycji i siły. W rezultacie Niemcy znają każdy ruch Rosjan, ci zaś wiedzą, że wszelkie próby podejścia pod wzgórze zostaną udaremnione przez setki nieprzyjacielskich dział. By jakoś temu zaradzić, Żukow kazał zdobyć języka - przyprowadzić niemieckich jeńców i wydobyć z nich potrzebne informacje.

Cała trójka, z Misza na czele i jeńcem po środku, spiesźnie posuwa się za linią niemieckich okopów. Po dwudziestu minutach docierają do martwej strefy, gdzie tej nocy nie ma nikogo poza radzieckimi patrolami wracającymi z wypadów. Nad doliną przelatuje kolejna rakietka. Są jednak już na tyle daleko, że nie muszą padać na ziemię i kryć się. Ilja popędza ich do przodu.

Przez następnych dwadzieścia minut maszerują w milczeniu. Ich buty chlu-począ w błocie. Jest to jedyny odgłos, jaki im towarzyszy, poza świstem rakiet przelatujących w górze. Młody Niemiec idzie z pochyloną głową, ramiona ma opuszczone. Ilja cały czas zachowuje czujność, na wypadek gdyby z którejś strony zaatakował ich nieprzyjaciel.

W świetle rakietki widać, jak Misza odwraca się, zrównuje krok z Niemcem i patrzy mu w twarz. Blizna na jego policzku jest jakby porowata w ruchliwym żółtawym świetle.

Nie ścisząc głosu, pyta jeńca:

- *Wie heisst du?*

Żołnierz nie odpowiada. Patrzy przez ramię na Ilję, który zapowiedział mu wcześniej, że zginie, jeśli wyda jakiś dźwięk. Pyta wzrokiem: co mam zrobić? Zadano mi pytanie. Ilji jest wszystko jedno, nic im już nie grozi. Widzi

sylwetki dział i czołgów stojących w szeregu kilka metrów dalej na poszerzonym przyczółku.

Wzrusza ramionami.

Niemiec znowu przenosi spojrzenie na Miszę, który chciałby się trochę zabawić w drodze powrotnej. Powtarza swoje pytanie:

- *Wie heisst du?*

- Ho... - żołnierzowi załamuje się głos. Nie odchrząknął ani nie rozmasował sobie szyi po tym, jak poddusił go Ilja. Szedł sztywny ze strachu przez czterdzieści pięć minut. Próbuje ponownie.

- Horst.

Misza szczerzy zęby w uśmiechu, wciąż napierając na Niemca.

- Dobra, Horst. - Patrzy na Ilję, by się zorientować, czy pozwoli mu na to, co zamierza zrobić. Ilja idzie spokojnie.

Misza chwyta się za krocze. Podnosi rękę do nosa i krzywi się, udając, że czuje smród.

- Ach, Horst, *du bist ein Baby!* Fuj!

Śmieje się i podchodzi jeszcze bliżej. Horst opuszcza głowę na pierś. Idąc, powłóczy nogami.

Misza zaczyna kwiczeć jak warchlak. Podnosi ręce na wysokość piersi i macha nimi jak zwierzątko.

- Horst! Horst! *Du bist ein Ferkel.*

Żołnierz dalej maszeruje z pochyloną głową.

- Hej, Ilja, Ilja! Powiedziałem mu, że jest prosiakiem. Małym wystraszo-
nym prosiakiem, który sika pod siebie. Cholerny Szwab. To co? I tak go zabijają
po przesłuchaniu.

Misza znowu zwraca się do żołnierza. Po tonie jego głosu Ilja domyśla się, że to samo mówi do Niemca: I tak umrzesz, Horst.

Ilja staje.

- Horst.

Niemiec zatrzymuje się wpół kroku. Misza także przystaje, ale przestępuje z
nogi na nogę, bo nie chce jeszcze kończyć zabawy.

Ilja wyjmuje nóż. Ostrze szepcze: Horst...

Jeniec odwraca się. Stoi teraz plecami do Miszy. Unosi głowę.

Ilja widzi go dobrze. Policzki i broda Niemca są ciemne od kilkudniowego
rzadkiego zarostu. Chłopak ma niebieskie oczy, czyste białka. Jego związane
nadgarstki są kościste. Brudne paznokcie tworzą czarne półksiężyce na czub-
kach palców. Ilja robi krok do przodu.

Misza podskakuje:

- Wypatrosz tę świnię, Iljuszka.

Ilja chwyta młodego żołnierza za skrępowane ręce i przyciąga do siebie bardzo blisko - tak blisko, jak wcześniej w okopie. Niemcowi drży dolna warga, ale poza tym nie zdradza już strachu.

- *Genug* - mówi w twarz Ilji.

Ilja pochyla się nad nim. Pyta ponad jego ramieniem:

- Misza? Co znaczy *genug*?

- Wystarczy.

Ilja zwraca się do Niemca:

- Tak, Horst. *Genug* - mówi i bierze zamach nożem.

Ręce żołnierza są wolne. Przecięty sznur upada u jego stóp jak martwy wąż.

Ilja wykonuje nieznaczny ruch głową, wskazując Miszę.

Żołnierz obraca się na pięcie i rzuca na Miszę. Mały sierżant ma karabin na ramieniu i nie może go szybko zerwać. Niemiec wali go pięścią w bliźnę, robi to jeszcze kilkakrotnie. Broń pada na rozmiękłą ziemię. Horst zbliża się, jeszcze raz uderza Miszę w szczękę i przewraca go. Misza, cały utaplany w błocie, usiłuje usiąść.

Niemiec chwyta jego karabin. Unosi go, celując w Miszę.

Zanim jednak zdąży nacisnąć spust, pada zastrzelony przez Ilję.

Misza zastyga w błocie.

- Ilja! - bełkoce. - Co za... czort!

Ilja zarzuca pepeszę na ramię. Słychać echo strzału, które umiera na płaskowyzu Seelow dłużej niż żołnierz imieniem Horst.

Ilja wyjmuje karabin z rozwiązanych rąk zabitego. Podsuwa go Miszy, by mógł złapać się lufy i wstać.

Patrzy na młodego Niemca. W jego szczupłych plecach widać pięć dziur, z których sączy się krew.

Zginał z bronią w rękach. Walcząc. A więc się liczy.

Ale Horst się mylił.

To jeszcze nie wystarczy.

5 kwietnia 1945, godzina 20.05
Rezydencja premiera w Chequers
Hrabstwo Buckingham, Anglia

Churchill upija łyk szampana. Odstawia wąski kieliszek na miejsce, z prawej strony. Szkło było zroszone, wyciera więc wilgotne palce o kamizelkę. Bąbelki ulatują w górę jak radośni żeglarze.

Też z prawej strony, ale nieco bliżej, stoi mosiężna popielniczka, a na niej spoczywa tłące się grube cygaro. Głowę premiera spowija szary dym. To jego

ulubiona aura - klimat zacisznych gabinetów, polityki, męskiego grona. Po lewej stronie paruje talerz z jagnięcina w ostrym sosie korzennym z ryżem i piklami, za nim - krakersy i rosyjski kawior. Dalej na stole, na honorowym miejscu, stoi zdjęcie żony Churchilla, Clementine, i jego córki.

Bezpośrednio przed nim leży mały plik depesz i wiadomości. Kartki są białe i sztywne. Nie do jedzenia i nie do picia. Nie dają żadnej przyjemności. Churchill otoczył je swymi ulubionymi rzeczami, które są dla niego wsparciem w tych trudnych chwilach.

Poza tym kręgiem czeka pióro i elegancki papier listowy premiera. Jeszcze dalej leży i tyka otwarta „cebula”.

Telegramy ułożone są w kolejności, według daty i godziny odbioru. Dwudziesty wiek rozpoczął się w duchu zaufania i współpracy, z nadzieją na lepszy świat. Ale wszystko to zostało zatrute. Zazdrość, ideologie, podejrzliwość, żądza chwały - to wszystko zabiło nadzieję. Churchill bierze pierwszą kartkę.

Depesza generała Eisenhowera do Stalina - numer 252.

Kiedy Churchill przeczytał ją tydzień temu, 29 marca, natychmiast skontaktował się z generałem przez telefon. Była prawie północ. Nie wspominając o telegramie, zapytał naczelnego dowódcę o jego plany. Podkreślił w rozmowie rolę Berlina, przekonując, że Montgomery, z amerykańską 9 Armią, powinien jednak prowadzić dalej natarcie od północy. Jeszcze raz wyraził przekonanie, że dotarcie do Berlina przed czerwonymi ma dla aliantów zasadnicze znaczenie. Eisenhower wysłuchał go i odparł: „Berlin stracił militarne znaczenie”.

Churchill odkłada depeszę na bok. Historia tak łatwo nie przejdzie nad mą do porządku, zauważa w myśli.

Następna kartka nosi datę 30 marca - „Generał Eisenhower do premiera”. Eisenhower potwierdza w liście to, co powiedział Churchillowi podczas rozmowy telefonicznej. Jego celem jest Łaba, na południe od Berlina - zamierza odciąć siły niemieckie kierujące się w tamtą stronę. Główne uderzenie „skupi się na odcinku Bradleya, a przeprowadzą je Armie 3, 1 i 9”.

Zgodnie więc z listem Eisenhowera wszystkie wojska angielskie mają być skierowane do ochrony lewego skrzydła sił Bradleya. Monty traci Dziewiątkę, co osłabi jego 21 Grupę Armii. Dalej Eisenhower wyjaśnia, że w późniejszym etapie ofensywy, „gdy główne uderzenie będzie przebiegać pomyślnie”, Montgomery zajmie się oczyszczeniem północnych portów morskich.

Jak miło, myśli Churchill. Sprzątanie - angielska specjalność.

Nakłada trochę kawioru na krakersa. Popija szampanem. Niegdyśejsi Rosjanie, którzy pierwsi wymyślili to zestawienie, wiedzieli, co dobre.

Eisenhower goni marę. Prześladuje go wizja niemieckiego gniazda oporu w górskiej twierdzy na południu. Już parę tygodni temu brytyjski wywiad stwierdził, że to fałszywa pogłoska. Dlaczego Amerykanie nie dadzą sobie z tym

spokoju - zastanawia się Churchill. Jak mogą kierować się czymś tak niepewnym przy podejmowaniu ważnych strategicznych decyzji?

Szampań lekko szczypie w język. Churchill sięga po cygaro i wciąga dym w płuca, łącząc różne smaki i delektując się nimi.

Nie jest przygnębiony, przerzucając te dokumenty. Jeszcze zanim polecił Jockowi Colville'owi złożyć je na biurku i zanim zabrał się do ich czytania podczas obiadu, obiecał sobie, że nie popsują mu nastroju. To tylko przegląd. I pożegnanie.

Eisenhower zaś... Generał, porywczy nawet w swych najlepszych okresach, podobno wściekł się na Anglików. O jego gniewie świadczy seria telegramów do Marshalla, Montgomery'ego, szefów sztabu, Bradleya i innych. Churchill lubi Eisenhowera jako człowieka, ale jest przekonany, że jego decyzja w tym historycznym momencie - oddanie Berlina czerwonym - jest absolutnie zła.

Ale co można zrobić? Churchill wzdycha i wykonuje jedyny możliwy ruch, jak król w szachu. Odkłada cygaro na popielniczkę i bierze następną kartkę.

Trzydziestego marca brytyjscy szefowie sztabów wysłali sążnistą skargę do swoich amerykańskich kolegów w Waszyngtonie. Zrobili to bez porozumienia z Churchilllem. Angielskich generałów zirytował fakt, że Eisenhower ominął służbowe drogi, kontaktując się ze Stalinem. Zdaniem Churchilla, jest to jednak sprawa uboczna wobec zasadniczego problemu, tego mianowicie, że Eisenhower arbitralnie uznał Berlin za cel drugorzędny.

Następna kartka. Odpowiedź Amerykanów opatrzona tą samą datą. Oświadczają oni, że bezpośrednia korespondencja Eisenhowera ze Stalinem była jak najbardziej stosowna, wynikała bowiem z konieczności. Popierają także koncepcję poprowadzenia głównej ofensywy w kierunku południowo-wschodnim, twierdząc, że jest zgodna z przyjętą strategią i pozwala jak najskuteczniej wykorzystać istniejącą sytuację militarną.

Kampania na terenie Niemiec znajduje się na takim etapie, że prowadzący ją dowódca najlepiej potrafi wybrać środki, które pozwolą jak najszybciej zniszczyć wojska niemieckie i uniemożliwić im dalszy opór (...). Naszym jedynym celem powinno być szybkie i całkowite zwycięstwo.

Gadanie, myśli Churchill. „Jedynym celem”. W wojnie nie ma czegoś takiego, jak jedyny cel. Tego właśnie nie rozumieją wojskowi. Sprawa nie kończy się z chwilą, gdy któraś ze stron odkłada broń. Zawsze pozostaje pytanie, kto następny po nią sięgnie. I tym zajmuje się polityka.

Churchill łapie się na tym, że narasta w nim irytacja. Nie, nie warto, uspokajają sam siebie. Patrzysz za daleko, to jeszcze nie koniec. Napij się. Weź cygaro. Zjedz coś. O, już lepiej, znacznie lepiej.

Pociera nos w miejscu, gdzie opierają się okulary. Zagłębia się w skórzanym fotelu przy biurku. Kolejna kartka.

Depesza Eisenhowera do Montgomery'ego z datą 31 marca. Z każdego słowa telegramu bije niechęć. Eisenhower daje wyraz swemu niezadowoleniu z powodu debaty nad jego decyzją jako naczelnego dowódcy i gani brytyjskiego marszałka polnego:

Będę trzymał się swojej decyzji dotyczącej przejścia 9 Armii pod dowództwo Bradleya. (...) Pewnie zauważyłeś, że w żadnym z dokumentów nie wspominam o Berlinie. Jestem przekonany, że obiekt ten jest już jedynie punktem na mapie, a takie nigdy mnie nie interesowały.

Montgomery nie mógł dyskutować z tak wyraźnymi rozkazami swego dowódcy. Otrzymał silny cios. Jeśli przewiduje się jakieś zadania dla jego 21 Grupy Armii za Łabą, to wyłącznie oczyszczenie portów. I nic więcej. Bo z pewnością nie zdobycie Berlina. Churchill miał jednak prawo zabrać głos w tej sprawie i zrobił to. Jeszcze tego samego dnia zadeszował do Eisenhowera, obalając wszystkie jego argumenty.

Kładzie telegram od Eisenhowera na rosnącym przed nim pliku papierów. Bierze do ręki swoją odpowiedź napisaną językiem tak cierpkim, jakim wcześniej Ike pisał do Montgomery'ego:

Premier Wielkiej Brytanii do generała Eisenhowera 31 marca 1945 roku

1. Wielkie dzięki. Moim zdaniem, jeśli opór nieprzyjaciela się nie załamie, to przesunięcie głównego ataku na południe i wycofanie amerykańskiej 9 Armii z 21 Grupy Armii może spowodować takie rozciągnięcie frontu Montgomery'ego, że zadanie poprowadzenia ofensywy, które mu powierzono, okaże się niewykonalne. Nie rozumiem, dlaczego przekroczenie Łaby straciło na znaczeniu. Jeżeli, zgodnie z Pańskimi oczekiwaniami, opór wroga osłabnie, to dlaczego nie mielibyśmy sforsować Łaby i posuwać się jak najdalej na wschód? Ma to wielkie polityczne znaczenie, ponieważ wojska radzieckie na południu z pewnością wkroczą do Wiednia i zajmą Austrię. Jeśli jeszcze oddamy im Berlin, będący ewidentnie w naszym zasięgu, to wzmocnimy tylko ich przekonanie, już i tak dość wyolbrzymione, że to oni zrobili najwięcej w tej wojnie.

2. Nie sądzę, by Berlin stracił swe militarne znaczenie, a już na pewno nie polityczne. Zdobycie miasta miałyby olbrzymi efekt psychologiczny w razie oporu Niemców w innych rejonach Rzeszy. Dopóki Berlin się broni, całe szeregi Niemców uważają za swój obowiązek walczyć dalej. Bynajmniej nie przemawia do mnie argument, że zdobycie Drezna i połączenie z Rosjanami przyniesie jakiś znaczący efekt w tej kwestii. Te struktury niemieckiego rządu, które przemieściły się na południe, mogą bez trudu znowu uciec w tamtym kierunku. Natomiast póki Berlin będzie w rękach Niemców, moim zdaniem pozostanie głównym ośrodkiem decyzyjnym w Niemczech.

3. Z tych wszystkich powodów zdecydowanie wolałbym, żebyśmy trzymali się planu, który przyświecał nam przy przekraczaniu Renu, a mianowicie, żeby amerykańska 9 Armia nacierała z 21 Grupą Armii w kierunku Łaby i dalej, na Berlin. Nie powinno to w żaden sposób kolidować ze zmasowanym uderzeniem centralnym, które słusznie przedsięwziął Pan w efekcie błyskotliwych operacji Pańskich armii na południe od Zagłębia Ruhry. Odciążąłoby to natomiast tę armię kosztem północnego skrzydła.

Churchill kilka sekund trzyma tę kartkę przed sobą. Warto było spróbować, myśli. Dolewa sobie szampana i wznosi toast. Historia przynajmniej nie zarzuci mu zaniedbania w tej sprawie. Nikt nie powie, że Winston Churchill stał bezczynnie, gdy rosyjski niedźwiedź pożerał Berlin podany mu przez Amerykanów na srebrnym półmisku.

Dwie następne kartki przerzuca dość szybko, ledwie je czytając. Nie lubi tej depezy. To długie i uniżone pismo do prezydenta Roosevelta. Churchill wspomina w nim po raz pierwszy o kontrowersjach związanych z telegramem Eisenhowera do Stalina. Powtarza punkt po punkcie swoją polemikę z Eisenhowerem, ale ubiera ją w delikatniejsze, bardziej oględne słowa.

Wszyscy w rządzie Jego Królewskiej Mości podziwiają „wybitne zalety o-az osobowość” Eisenhowera. Zaczemu naczelnemu dowódcy należą się „serdeczne gratulacje z powodu wspaniałych zwycięstw i sukcesów wszystkich armii środka w ostatnich walkach nad Renem i poza nim”.

Zanim Churchill odważył się wspomnieć prezydentowi o problemach z Eisenhowerem, jego kontrowersyjnym postępowaniu i ocenie sytuacji, zapisał całą kartkę pochlebstwami pod adresem Ameryki, prosząc jednocześnie o wybaczenie dla Anglii.

Po takim przygotowaniu wreszcie poruszył kłopotliwą kwestię, zrobił to jak włamywacz, który cicho otwiera okno i wchodzi ukradkiem do mieszkania.

Wyjaśnwszy i, jak sędzę, załatwiwszy sprawę tych nieporozumień między zaufanymi przyjaciółmi i towarzyszami, którzy zawsze jako sprzymierzeńcy walczyli ramię przy ramieniu, ośmielam się przedstawić Panu kilka uwag na temat istoty zmian w naszym pierwotnym planie, jakie pragnie wprowadzić generał Eisenhower. Wydaje mi się, że zmiany te są niewielkie i, jak zwykle, nie mają charakteru zasadniczego, ale raczej uboczny.

Churchill delikatnie przypomina prezydentowi porozumienia zawarte na Malcie. W tych spotkaniach przygotowawczych przed Jałtą, w których uczestniczyli członkowie Połączonego Komitetu Szefów Sztabów, zdobycie Berlina uznano na sprawę priorytetową, zgadzając się jednocześnie, że uderzenie poprowadzi północną trasą Montgomery.

Churchill nabija na widelec kawałek jagnięciny, kroi ją i macza w sosie, a następnie wkłada od ust. Odkłada widelec na talerz, pobrzękując o porcelanę. Nie będzie już jadł tego wieczora, stracił apetyt. Co za ironia, myśli, wykończyło go jagnię.

Następna kartka to odpowiedź Eisenhowera na jego depezę, nosząca datę 1 kwietnia. Generał twierdzi, że nie zmienił żadnych planów. Już od czasu lądowania w Normandii zamierzał przekroczyć Ren i zniszczyć albo otoczyć brońiące się tam siły niemieckie. To tyle, jeśli chodzi o jego strategiczne przewidywania. Eisenhower utrzymuje, że nie zrobił nic ponad to, co zapowiadał od początku - korzysta z sytuacji i atakuje słabe punkty wroga.

Potem ponownie wyjaśnia premierowi, że musi skoncentrować działania przede wszystkim na środkowym odcinku, który należy do Bradleya. Przemieszczenie wojsk na północ, do Montgomery'ego, oznaczałoby „próbę realizowania kilku celów jednocześnie” i spowodowałoby „rozproszenie sił”, a na to nie można sobie obecnie pozwolić. Jeśli jednak opór niemiecki się załamie, „jeżeli nastąpi to na całej długości frontu, ruszymy naprzód, a Lubeka i Berlin staną się znowu ważnymi celami strategicznymi”.

Jasne, myśli Churchill, to wyraźna próba ułagodzenia premiera i zamknięcia mu ust w sprawie Berlina. Eisenhower mówi w ten sposób: jeśli Niemcy złożą broń, ruszymy na Berlin. To gadanie o cudzie, który nie nastąpi, póki żyje Hitler, a Hitler będzie żył, póki Berlin nie zostanie zdobyty! I dlatego nie warto dalek się tym zajmować.

Pozostały jeszcze trzy kartki.

Pierwsza to odpowiedź Stalina na telegram Eisenhowera, która dotarła do Londynu 2 kwietnia. Stalin informuje generała, że Berlin przestał być istotnym celem dla Rosjan. Churchill aż się roześmiał, gdy przeczytał to pierwszy raz. Stalin miałby zrezygnować z Berlina? Prędzej oddałby Moskwę!

Odkłada kartkę, kręcąc głową. Kto by uwierzył w coś tak absurdalnego? Tylko ci, którym bardzo na tym zależy. Amerykanie.

„Cebula” tyka niecierpliwie na biurku. Churchill nalewa sobie szampana do pełna. Nie wypije go, ma już dosyć, ale cieszy go radosny nastrój, jaki roztacza wokół siebie smukły kieliszek.

Nie odurzają go jednak te wesołe bąbelki, ten aromat unoszący się nad dwiema ostatnimi kartkami, które przed nim leżą. Wie, że ta historia do niczego dobrego nie prowadzi.

Po otrzymaniu odpowiedzi Stalina Churchill jeszcze raz usiłował nakłonić Eisenhowera, żeby jednak ruszył na Berlin. Sądził, że jeśli Eisenhower rzeczywiście chce postępować tak, jakby prowadził szczerą i uczciwą korespondencję ze Stalinem, to należy go przekonać, by tego samego wymagał od Rosjan:

Jeszcze raz dziękuję Panu za telegram (...). Mimo wszystko jestem coraz bardziej przekonany, że powinniśmy wkroczyć do Berlina, który być może stoi przed nami otworem. Świadczyłby o tym trzeci akapit adresowanego do Pana pisma z Moskwy: „Berlin stracił strategiczne znaczenie”. Należy to odczytać w świetle argumentów politycznych, które przedstawiłem wcześniej. Uważam za niezwykle ważne, byśmy spotkali się z Rosjanami jak najdalej na wschodzie.

Jeszcze raz gratuluję wielkich osiągnięć. Wiele się może zdarzyć na Zachodzie przed rozpoczęciem głównej ofensywy Stalina.

Wiele się może zdarzyć na Zachodzie przed atakiem Stalina. O tak. Wiele już się zdarzyło. Niemiecka obrona jest w tym rejonie słaba i rozczłonkowana. Armie alianckie na północy - zwłaszcza 9 Armia Simpsona, teraz pod dowództwem

Bradleya - posunęły się znacznie na wschód, prawie nie natrafiając na przeszkody. Z każdym dniem są bliżej Łaby. Jeśli utrzymają takie tempo, przed końcem tygodnia znajdą się niedaleko Berlina, napotykając tylko niewielki opór. Czy jednak Eisenhower pozwoli im przekroczyć Łabę i uderzyć na stolicę Niemiec, tak jak obiecał w liście? Czy alianci prześcigną czerwonych?

Definitywna odpowiedź przyszła 4 kwietnia. „Prezydent do premiera. Ściśle tajne, do rąk własnych”. Churchill nie miał wątpliwości, że pismo nie wyszło spod pióra Roosevelta. Można w nim wyczuć suchy styl generała Marshalla. Wyraźnie brakuje też nieformalnego, przyjacielskiego zakończenia, jakie zawsze dodaje prezydent w swej korespondencji z premierem.

Jeśli chodzi o „daleko idące zmiany, jakie generał Eisenhower pragnie wprowadzić do planów uzgodnionych przez szefów sztabów na Malcie i zaaprobowanych przez nas obu”, to nie rozumiem Pana. Montgomery otrzymał wszystkie siły i środki, jakie obiecano północnej grupie armii. Po niespodziewanym zdobyciu przyczółka Remagen i rozbiciu niemieckich wojsk w dorzeczu Saary te odcinki frontu uległy takiemu osłabieniu, że nawet nasze drugorzędne działania przyniosły duże sukcesy. Fakt ten musi mieć wpływ na dalsze prowadzenie przez nas operacji. Dyrektywa generała Eisenhowera z 2 kwietnia jest moim zdaniem zgodna z tym, co ustalono na Malcie. Lipsk leży blisko Berlina, czyli w centrum naszych działań. Jednocześnie brytyjskiej armii wyznaczono wynikające z aktualnej sytuacji zadania na północnym skrzydle.

Dziękuję Panu za zaufanie do Eisenhowera, zawsze też doceniałem wsparcie, jakiego mu Pan udzielał, a także sam fakt, że to Pan zaproponował go na to stanowisko. Żałuję, że styl tych formalnych rozmów tak Pana zdenerwował, ale jeszcze bardziej mi przykro, że w chwili wielkich zwycięstw naszych połączonych sił musimy zajmować się tak niefortunnymi reakcjami.

Więc tak to wygląda, myśli Churchill. Kiedy w korespondencji padają słowa w rodzaju „żałuję”, „niefortunne reakcje” i „nie rozumiem pana”; kiedy jedna ze stron podważa ustalenia jałtańskie; kiedy misja Montgomery'ego - co wiąże się z obniżeniem prestiżu całej Wielkiej Brytanii - została sprowadzona do „zadań wynikających z sytuacji”, to są to wyraźne oznaki, że sprawa zaszła już za daleko. Churchill przypochlebiał się i narzekał, przekonywał odwołując się do rozumu i emocji, i za każdym razem był karcony. Na każdym szczeblu. Ale teraz, jak mówią w Ameryce, żarty się skończyły.

Amerykanie włożyli wiele wysiłku, żeby ukryć swe polityczne i osobiste cele za rzekomymi motywami strategicznymi. Nic nie mówiąc, realizują wytyczne swego szefa, czyli prezydenta. Z jakichś sobie tylko wiadomych powodów, mimo uzasadnionych protestów Churchilla, Rooseveltowi zależy na tym, żeby Stalin dostał Berlin.

I dostanie.

Churchill odkłada ostatnią depezę na stosie z boku. Przysuwa sobie papier listowy i pióro. Czysta kartka zaprasza do następnej rundy. W jej bieli tkwią wielkie możliwości. Tykająca „cebula” informuje, że jest jeszcze czas. Można kolejny raz wziąć w ręce maczugę.

Bitwa została jednak przegrana, myśli Churchill. Będą natomiast inne, nowe. Dopisując jej koniec, czuje się podle.

Premier do prezydenta Roosevelta. Ścisłe tajne, do rąk własnych. 5 kwietnia 1945 roku

Wciąż bardzo żałuję, że telegram Eisenhowera do Stalina został wysłany bez porozumienia z naszymi szefami sztabów, zastępcą generała marszałkiem lotnictwa Tedderem czy naszym dowódcą naczelnym marszałkiem Montgomerym. Zmiany w stosunku do pierwotnego planu okazały się jednak znacznie mniejsze, niż wcześniej przypuszczaliśmy. Moje osobiste stosunki z generałem Eisenhowerem są jak najbardziej przyjacielskie. Uważam więc sprawę za zamkniętą i na potwierdzenie chciałbym przytoczyć jeden z moich ulubionych łacińskich cytatów: *amantium irae amoris integratio est*.

Prawdziwej miłości towarzyszą kłótnie kochanków.

Churchill sięga po kieliszek szampana i opróżnia go jednym haustem.

Anglia wycofała się właśnie z wyścigu do Berlina. To koniec.

Dzwoni po Jocka, żeby sprzątnął z biurka naczynia i to świadectwo odstępstwa od własnych przekonań.

Czekając na sekretarza, Churchill gryzie w zębach cygaro. Kapitulacja sprawia, że chciałby coś zrobić, działać. W tej sytuacji może jednak tylko gryźć cygaro.

Jest jeszcze jedna szansa.

Nie Montgomery. Brytyjczycy zostali wyeliminowani.

Wszystkie te szykany mają charakter zakulisowy, odbywają się poprzez tajne depesze i listy. Może jakiś śmiały dowódca amerykański, który nie orientuje się, co powinien, a czego nie powinien robić, da się sprowokować i pokonując resztki oporu Niemców, popędzi na Berlin. Popędzi tak szybko, że ani Eisenhower, ani Roosevelt nie zdążą go powstrzymać.

To by mogło wszystko zmienić.

Kimkolwiek jesteś, myśli Churchill, jeśli w ogóle jesteś: szczęśliwej drogi.

12 kwietnia 1945, godzina 13.00

Mały Biały Dom

Warm Springs, Georgia

- Proszę, panie prezydencie - mówi artystka. - Niech pan postara się siedzieć bez ruchu jeszcze przez chwilę.

Roosevelt odchrząkuje i próbuje się nie ruszać.

- Bardzo dobrze pan dziś wygląda. - Malarka muska pędzlem płótno stojące na sztalugach. Roosevelt zauważył, że wzięła teraz sangwinę. Jego twarz musi mieć zdrowy kolor.

- Lepiej niż wczoraj?

- Tak, panie prezydencie. Lepiej niż wczoraj.

Spodziewał się, że malarka powie jeszcze coś na ten temat, poświęci mu więcej uwagi. Ale ona przygląda się portretowi i milknie.

Roosevelt prostuje głowę i ramiona, a potem ryzykuje zerknięcie na gazetę, która leży przed nim na biurku. Na pierwszej stronie „Atlanta Constitution” widać wielki tytuł: 9 Armia - 91 kilometrów od Berlina.

Amerykańska 2 Dywizja Pancerna 9 Armii dotarła do Łaby i przygotowuje się do zdobycia przyczółka na południe od Magdeburga. 83 Dywizja ma w stosunku do niej tylko jednodniowe opóźnienie i też powinna wkrótce przybyć nad rzekę.

Na razie nie ma żadnych informacji o tym, czy Rosjanie wyruszyli znad Odry. Stało się to, co uważano za niemożliwe. Amerykańskie oddziały są tak blisko Berlina, jak czerwoni. To nadzwyczajne, jeśli się pomyśli, że zaledwie tydzień temu byli trzysta dwadzieścia kilometrów dalej. Wojska amerykańskie są wystarczająco silne, by zdobyć miasto.

Czyżby jakiś szalony dowódca Dziewiątki zamierzał bez rozkazu opanować Berlin? Roosevelt już widzi w wyobraźni jutrzejszy nagłówek w gazecie: Berlin zdobyty przez armię amerykańską.

Gdyby tak się stało, a wszystko wskazuje, że jest to prawdopodobne, Stalin by eksplodował. Churchill z przyjemnością gasiłby płomienie. Hitler uciekłby w góry. Wszystko by się skomplikowało.

Roosevelt przenosi spojrzenie z gazety na malarkę. Z zadowoleniem stwierdza, że kobieta zajęta jest pracą. Zapatrzona w płótno, pewną ręką nakłada farbę, punkt po punkcie. Roosevelt, podobnie jak ona, starannie wypracował obecną sytuację w Europie - tu delikatne pociągnięcie, tam mocniejsze. Lata planowania i zabiegów. Polityka i siły zbrojne wymieszane razem na palecie. Z tego ma powstać obraz, który stworzył w swojej wyobraźni. Nic tego nie zmieni. A już na pewno nie 9 Armia.

Roosevelt spogląda na twarze kobiet zebranych tu wraz z nim. Lubi ten wiejski dom, Mały Biały Dom. Może sobie usiąść, gdzie chce, i odseparować się od innych, zamykając oczy. Albo jeśli zechce, skupić na sobie uwagę, otwierając je. Te kobiety go uwielbiają. Udało mu się oczarować nawet malarkę, rosyjską damę nazwiskiem Shoumatoff, i wciągnąć ją w pogawędkę na tematy osobiste. Dzisiejszy dzień jest ładny i ciepły. To ciepło przenika prezydenta, czuje je w spojrzeniach kobiet, w łagodnych kolorach, które malarka nakłada na twarz z portretu.

Co zrobić ze Stalinem? Paskudna sprawa z tym tajnym spotkaniem w Bernie. Wuj Joe pokazał, że jest nie tylko dyktatorem, ale także politykiem nie przebiegającym w słowach. W piśmie z 4 kwietnia nazwał Roosevelta kłamcą.

A raczej starym głupcem - wszystko jedno. Pisze, że prezydent Stanów Zjednoczonych nie jest „w pełni informowany” o przebiegu rozmów w Szwajcarii. Zarzuca aliantom knowania za jego plecami, mimo ich zapewnień, że tak nie jest. Roosevelt obruszył się i uznał, że już czas, by zrewanżować się Stalinowi. Rozpoczął swój list od słów: „Przeczytałem pańskie pismo ze zdumieniem...” Zakończył podobnie chłodną nutą: „Szczерze mówiąc, nie mogę wyzbyć się niechęci do pańskich informatorów, kimkolwiek są, za tak błędną ocenę zarówno moich poczynań, jak i działań moich współpracowników”

Roosevelt w tej sytuacji skłonny jest zgodzić się z opinią Churchilla na temat Rosjan, a zwłaszcza Stalina. Wysłał nawet do niego telegram, przyznając, że można by przyjąć „twardszy” kurs wobec Rosjan, szczególnie że wojska alianckie robią takie postępy na froncie zachodnim.

Stalin nie przeprosił za swoje oskarżenia, ale nieco złagodził ton. W depe-szy z 7 kwietnia zaprzeczył, jakoby zamierzał kogokolwiek „oczernić”. Wy-dawał się nawet trochę urażony:

Moje pisma mają charakter osobisty i ściśle poufny. To pozwala na szczere i jasne postawienie sprawy. Takie są zalety bezpośredniej korespondencji.

Jeśli jednak będzie Pan traktować każde moje szczere stwierdzenie jako obraźliwe, porozumienie między nami stanie się znacznie trudniejsze. Zapewniam Pana, że nie chciałem i nie chcę nikogo obrazić.

Ten telegram potwierdził wcześniejszą opinię Roosevelta o Stalinie, Churchill, wojnie, polityce i ludziach. To kwestia stylu. Trzeba minimalizować problemy, grać na zwłokę, jeśli trzeba zyskać na czasie. Jeśli się da, obstawać przy swoim. A wtedy przeszkody przeważnie same znikają. A raczej się roz-chodzą, zanikają. Tak się powinno postępować. Tego rana Roosevelt pod- dyktował nową depe-szę do Stalina, jedną z nielicznych, które osobiście napisał podczas pobytu w Warm Springs. Wyraził wprost to, co najważniejsze:

Dziękuję panu za szczere przedstawienie stanowiska ZSRR w sprawie incydentu berneńskiego, który, zdaje się, należy już do przeszłości i był zupełnie niepotrzebny. W żadnym razie nie powinniśmy stracić do siebie zaufania. W przyszłości tego rodzaju drobne nieporozumienia nie powinny mieć miejsca.

Ambasador Harriman zapytał, czy nie wykreślić słowa „drobne”. Sądził, że może to zostać w Moskwie źle rozumiane. Jego zdaniem, incydent był poważny. Roosevelt uważał, że nie należy zmieniać tekstu, chciał pomniejszyć zna-czenie sprawy. Po napisaniu listu do Stalina wysłał kopię Churchillowi, do-dając pojednawczo: „...te problemy, w takiej czy innej formie, pojawiają się co dzień i większość z nich sama znajduje rozwiązanie, jak w przypadku spo-tkania berneńskiego”.

Sprawa została zamknięta, bo Roosevelt trzymał Churchilla na muszce, a wobec Stalina zachował stanowczą, choć przyjacielską postawę. Nie uległ nierozważnym namowom Winstona, by ostro przeciwstawić się Rosjanom. I nie ulegnie. Niebawem świat wkroczy w okres powojenny. Roosevelt musi dopilnować, by odbyło się to w sposób pokojowy.

Wchodzi kamerdyner. Zastawia stół do lunchu.

Roosevelt chciałby zakończyć już pozowanie. Nie lubi siedzieć nieruchomo. Przez większość życia pozbawiony był ruchu. Źle znosi narzucone mu ograniczenia. I milczenie. A już na pewno nie wtedy, gdy jest tak ciepło i przyjemnie. Ma ochotę na lunch. Chciałby w towarzystwie kobiet przejechać się w słońcu otwartym samochodem, a potem uciąć sobie drzemkę.

Jest bardzo ciepło. Nie może dłużej tak siedzieć. Patrzy na zegarek.

- Mamy jeszcze tylko piętnaście minut.

Właściwie to nie jest ciepło, tylko gorąco. Czuje mrowienie na karku, ma wrażenie, jakby przebiegła po nim stonoga. Chciałby już zakończyć tę sesję, ale obiecał malarce jeszcze piętnaście minut.

Chyba się spocił. Unosi dłoń, żeby otrzeć brew.

Ale ręka nie chce być posłuszna. Wymyka się spod kontroli. Podskakuje nad brwią, Roosevelt próbuje jeszcze raz, ręka wykonuje kolejny nieskoordynowany ruch.

Nie może oddychać.

Opuszcza głowę, żeby spojrzeć na swoje nogi. Wy, myśli. Wy. I nagle uświadamia sobie: to nie z waszego powodu.

Kobięcy głos. Tuż przy jego twarzy.

Nie rozumie, co ona mówi, nic nie widzi. Opadła go mgła, ma ją przed oczami i w mózgu. Podnosi głowę. Mgła robi się coraz cieplejsza, zamienia się w parę.

- Strasznie mnie boli. Z tyłu głowy.

Podnosi lewą rękę, by pokazać tej kobiecie, gdzie czuje ból.

A czuje wszędzie. Jakby miało go rozsadzić.

Otwiera usta, chce jeszcze coś powiedzieć, powiedzieć więcej, wydobyć to z siebie szybko. Czas! Pamięć! Ale mgła przechodzi w zupełną ciemność - szybciej, niż znajduje słowa, niż zdąży poczuć żal czy nadzieję.

To przerażające. A potem staje się piękne, bo następuje koniec.

Rozdział dziewiąty

13 kwietnia 1945, godzina 15.10
Z amerykańską 83 Dywizją 9 Armii
Nad Łabą, Barby
Niemcy

Bandy kuca, żeby sięgnąć do plecaka, i dostaje kopniaka w tyłek.

- Ruszaj się, żołnierzu.

Odwraca się i widzi przed sobą oficera z rękami wspartymi na biodrach. Pod jedną z nich, w kaburze, tkwi pistolet, colt 45. Mężczyzna jest niski i ma zaczerwienioną twarz.

- Cokolwiek robisz, synu, możesz to zrobić na drugim brzegu rzeki! Bandy nic nie odpowiada temu pułkownikowi. Nie podnosząc się, stuka płacem w opaskę na ramieniu, która informuje, że jest cywilem z korpusu prasowego. Wyjmuje z plecaka leicę i pokazuje oficerowi.

- Świetnie, synu. A teraz zabieraj dupę na drugą stronę rzeki i tam rób te swoje cholerne zdjęcia!

Pułkownik odchodzi, pokrzykując i poganiając kopniakiem każdego, kto wydaje mu się opieszwały. „Cyrk z Hołotą” jest nad Łabą. Ma szansę przebyć rzekę jako pierwszy z armii amerykańskiej. Oficer bardzo się stara, żeby wszyscy w zasięgu jego głosu o tym wiedzieli. „Szybciej!” - wrzeszczy na kolejną gromadę maruderów. „Nie czekajcie na sformowanie, do diaska! Wsiadać do kutra i płynąć! No, dalej! Jesteście w drodze do Berlina!”

Cztery godziny temu kolumna Osiemdziesiątki Trójki wtoczyła się z hałasem do miasteczka Barby nad rzeką. Wokół centralnego budynku, obwieszonego jak należy białymi flagami, panował spokój. Cywile zostali w domach. Nie było uroczystości powitalnych, ale też nikt nie stawiał oporu. Naziści i wszyscy niemieccy żołnierze uciekli. Po wycofaniu się za Łabę wysadzili most. Pozostały po nim tylko drewniane i stalowe fragmenty leżące w zielonkawej

wodzie i kilkanaście wystających nad powierzchnią kamiennych filarów, które niczego już nie podtrzymują.

Bandy dotarł do Barby ohydny oliwkowym wozem strażackim, który jak zwykle jechał na czele kawalkady. „Cyrk z Hołotą” lubi rozgłos i jeśli o to chodzi, nie mógł trafić na nikogo lepszego od Charlesa Bandy'ego, specjalnego korespondenta „Life'u”. Przez ostatnie dwa tygodnie Bandy rejestrował swym aparatem postępy „Cyrku” idącego łeb w łeb ze swym najgroźniejszym rywalem z 9 Armii, czyli „Piekle na Kófkach” - 2 Dywizją Pancerną. Zespół „Life'u” w Nowym Jorku bardzo się interesuje tym wyścigiem. Zdjęcia Bandy'ego są rozchwytywane przez syndykaty prasowe. Wszyscy w kraju podążają jego śladem, nawet gdy zdarza się dwu-, trzydniowy przestój. Jest nadzieja, że jedna z dywizji wkrótce przeprawi się przez Łabę - znajdzie most i powtórzy cud z Remagen, który w ciągu jednej nocy zdecydował o zmianie całej strategii aliantów. I wtedy każdy angielski i amerykański pojazd znajdujący się w promieniu stu sześćdziesięciu kilometrów zmieni kierunek jazdy i przedostanie się na drugi brzeg, wykorzystując drogę odkrytą przez dywizję. Według doniesień, armia amerykańska jest tylko szesnaście kilometrów dalej od Berlina niż czerwoni.

Ociężała 2 Dywizja Pancerna właściwie nawet wyprzedziła „Cyrk” w drodze nad Łabę i przybyła wczoraj do Magdeburga, pokonując trzysta dwadzieścia kilometrów na terytorium wroga w czternaście dni. „Cyrk z Hołotą” pozostał jeden dzień w tyle za chłopakami z „Piekle na Kófkach” i nie mógł ich dogonić. Żadna z dywizji nie znalazła jednak całego mostu, który mogłaby wykorzystać. Nie będzie drugiego Remagen. Ale dowódcy obu dywizji zdecydowali, że i tak przekroczą rzekę, ustanowią przyczółki na wschodnim brzegu i sprowadzą wojska inżynieryjne, żeby zbudowały tyle mostów pontonowych, ile będzie trzeba. To zbyt ważna chwila, żeby można było zwolnić marsz z powodu braku jakiegoś parszywego mostu. Wzniosą własne.

Dwójka ma więc jednodniową przewagę nad Osiemdziesiątką Trójką.

Zeszłej nocy na drugi brzeg Łaby przeprowadzono promem trzy bataliony 2 Pancерnej. Dokonano tego w Westerüsen, na południe od Magdeburga. Bez żadnych przeszkód. Po zejściu na wschodni brzeg żołnierze okopali się półkolem na pozycjach obronnych. O świcie wszystko wyglądało jak należy. Panował spokój.

Wojska inżynieryjne wysłały naprzód pododdziały, które spuściły pontony na Łabę. Gdy weszło słońce, Niemcy zaczęli jednak ostrzeliwać Amerykanów ze wschodniego brzegu rzeki. Pociski zniszczyły pontony i raniły kilku ludzi. Dwójka musiała zrezygnować z przeprawy w tym miejscu. A do drugiego brzegu brakowało jej już tylko sześćdziesiąt parę metrów.

Gdy tego rana „Cyrk z Hołotą” wjechał do Barby, Dwójka znalazła inne miejsce przeprawy, zaledwie parę kilometrów na północ od miasteczka. Jednak „Cyrk” szybko się zmobilizował i chłopcy, zachęceni okrzykami oficerów oraz kopniakami, sprawnie uruchomili silniki.

Po południu już jeden batalion przeprawił się łodziami na drugą stronę Łaby. Teraz robi to następny. Działa transportowane są pontonami. Dla piechoty pospiesznie buduje się most, który powinien być gotowy przed zmierzchem. Całe Barby zastawione jest przedziwną zbieraniną pojazdów „Cyrku z Hołotą”. Wszyscy obserwują pododdziały inżynieryjne, stawiające most, który ma zaprowadzić ich na autostradę, a potem prosto do Berlina. Jak dotąd na drugim brzegu nic podejrzanego się nie dzieje. A gdy dotrą tam wielkie działa, które wesprą zdobyte pozycje, przyczółek na pewno się utrzyma. Bandy słyszy głos oficera patrolującego brzeg, w rozmaity sposób zachęcającego ludzi, żeby wsiadali do kutra i płynęli na drugą stronę. Choć jeszcze czuje kopnięcie w tyłek, myśli, że przyłączenie się do tej zwariowanej dywizji może mu się nieźle opłacić.

Wkłada nowy film do aparatu. Rwanie w lewym ramieniu ustało, ale bywa, że przy gwałtownych ruchach daje o sobie znać. Szwy z uda zdjęto mu w zeszłym tygodniu, mógł więc wreszcie pozbyć się laski. O odniesionej ranie przypominają mu tylko opatrunek z gazy i mnóstwo plastrów. W żadnym z listów nie wspomniał Victorii, że został postrzelony. Napisze jej o tym w następnym. Nie będzie musiała długo czekać, sądząc po całej tej krzątaninie nad rzeką, niecierpliwości malującej się na twarzach żołnierzy, natłoku pojazdów w Barby, rywalizacji pomiędzy dywizjami, które usiłują jak najszybciej pokonać rzekę, liczebności ich połączonych sił oraz napisie na wozie strażackim, informującym, że kolumna zamierza zatrzymać się dopiero w Berlinie.

Bandy wstaje. Noga nie boli go już, ani ramię. Pozostaje tylko przekonać podświadomość, że wszystko jest wyleczone. Jak nowe. Bandy wiesza pasek z leicą na szyi, bierze plecak i rusza na brzeg, by znaleźć miejsce w łodzi i przedostać się na drugi brzeg Łaby z 83 Dywizją Piechoty. Taki wyczyn zasługuje na coś więcej niż zwykły podpis pod zdjęciem - zasługuje na nagłówek: „Bandy za Łabą”.

Schodzi nad rzekę. Robi kilkanaście zdjęć ośmioosobowych łodzi, które umożliwią pokonanie ostatniej naturalnej przeszkody dzielącej Amerykanów od Berlina. Całe popołudnie woda w rzece aż kipi od ruchu. Ludzie przewożeni na drugą stronę są wysadzani z łodzi, zanim jeszcze dotrą na brzeg. Sternicy natychmiast zawracają i śpieszą po następną partię pasażerów. Dwa wielkie działa transportowane są na pontonowych platformach, a każdą z nich holują pod prąd trzy łodzie. Dwudziestka ludzi z wojsk inżynieryjnych - zdaniem Bandy'ego najbardziej pomysłowych i energicznych żołnierzy - przeciągnęła

już kładkę przez jedną piątą szerokości Łaby. Panuje wesoły nastrój, karnawałowa atmosfera odpowiadająca nazwie dywizji. Przeprowa przez rzekę przypomina zabawę. Ci ludzie naprawdę chcą dotrzeć do Berlina. W tej chwili nic ich już nie zatrzyma - ani Niemcy, ani natura, ani rozkaz.

Dziś jest piątek, trzynastego. Bandy zastanawia się, co może przynieść ten feralny dzień.

Pakuje aparat, a potem zapisuje w notesie kilka wersji podpisów. Podnosi rękę, jakby chciał zatrzymać taksówkę, i kilka sekund później ma już łódź. Podchodząc do niego, musi zamoczyć buty, ale sternik nie ma czasu, by przybić do brzegu. Bandy wskakuje przez burtę, a łódź wykonuje ostry zwrot, zanim udało mu się usiąść.

Płyną szybko i bez zakłóceń. Dzień jest przyjemny, jakby wokół nie było żadnego zagrożenia. Woda jest spieniona i czysta. Gdyby nie broń i hełmy, można by odnieść wrażenie, że to przejażdżka z przyjaciółmi. Bandy przepływa Łabę na drugą stronę i kiedy łódź zwalnia, schodzi na mieliznę wraz z innymi. Sternik zawraca bez wyłączania silnika i odpływa, jakby brał udział w wyścigu sztafetowym.

Bandy wchodzi na brzeg. Tym razem wyjmuje speed graphica. Chce fotografować twarze i ręce tysięcy żołnierzy w najbardziej wysuniętym punkcie amerykańskiego natarcia w głąb Niemiec podczas tej wojny.

Rozsuwa harmonijkę aparatu, mocuje obiektyw, wkłada klatkę z filmem i rozgląda się, co ująć w kadrze. Teraz, gdy przerzucono już przez Łabę pierwszych ludzi i przyczółek jest umocniony, cała ta przerażająca siła niebawem znajdzie się po tej stronie. Dwa bataliony Osiemdziesiątki Trójki, które przewieziono tu promem, ryją zamasyście grunt łopatami, kilofami, a nawet hełmami. Okopują się w ziemi niemieckiej, bo wróg może nadejść w każdej chwili i wyprzeć ich stąd. Ale oni nie dadzą się tak łatwo wykurzyć z tych nor i dołów, żaden z nich nie zamierza wycofać się za rzekę. Dopóki nie zobaczy Berlina.

Bandy wędruje między nimi i utrwała czas wojny swym aparatem. Ci ludzie pozostaną tu na zawsze. Zawsze już będą kopali w ziemi, heroiczni, weseli i młodzi. Niektórzy śpiewają przy pracy. Niemal wszyscy palą. Wyglądają, jak gwiazdorzy filmowi grający żołnierzy, nonszalancko trzymając peta w wilgotnych ustach. Bandy myśli z zadowoleniem, że jako farmer też coś dla nich robi.

Podchodzi do niego jeden z poruczników. Spodnie ma mokre po kolana, najwyraźniej dopiero co przyplłynął. Nie promienieje entuzjazmem jak reszta. Jest przygarbiony. Coś w tym musi być.

No to mamy, myśli Bandy. Piątek, trzynastego. Zawsze przynosi pecha.

- Panie Bandy. Sir... - młody porucznik nie bardzo wie, jak się do niego zwracać.

- Tak, poruczniku. Czym mogę panu służyć?

- Sir, nie wiem, czy pan słyszał...

- O co chodzi?

- Dostaliśmy informację, że wczoraj... umarł prezydent Roosevelt. Bandy zwęża oczy i krzywi twarz. To cholernie smutna wiadomość, myśli.

Starszy pan wybrał sobie kiepski moment. Gówniany. Teraz, gdy jesteśmy tak blisko. Nikt nie chce umierać pod sam koniec. On powinien był doczekać. Jeszcze trochę pożyć. Tak jak wielu ludzi. – W jaki sposób?

- Podobno stracił przytomność. W Georgii. Podniósł się i umarł. Porucznik kiwa głową, a ponieważ Bandy nic więcej nie mówi, odwraca się, by odejść. Bandy siada na kamieniu. Ciężki speed graphic prawie uderza o ziemię. Zdejmuje hełm i przeczesuje włosy palcami, drapiąc się w tył głowy.

Franklin Delano Roosevelt nie żyje. Bandy opuszcza ręce na kolana. Porusza palcami, jakby chciał realnie odczuć stratę, ale czuje tylko ciężar aparatów. Przypomina sobie zdjęcia, które zrobił, niebezpieczne miejsca, w których był, widzi w wyobraźni postać zmarłego i miliony ludzi, którzy walczą o życie. Myśli o ryzyku i ofiarach, jakie ponosili. Uzmysławia sobie także własną drogę. W porównaniu z tym wszystkim odejście Roosevelta błędnie. To niesprawiedliwe, myśli, nie fair. Ten człowiek był prezydentem przez trzynaście lat, wprowadził Amerykę z kryzysu. Przeprowadził nas przez wojnę.

Dlaczego tego nie czuje? Dlaczego nie potrafi odpowiednio pożegnać prezydenta? Jak zwykle szuka odpowiedzi oczami. Wyteża wzrok, ale widzi tylko bezimiennych żołnierzy, okopujących się na terytorium wroga, i innych, pośpiesznie przeprawiających się przez rzekę w nadziei, że zdobędą nieprzyjacielskie miasto. Widzi ludzi ryzykujących życie na obcej ziemi, daleko od domu i bliskich. Ludzi, którzy utracili przyjaciół droższych niż Roosevelt, którzy jeszcze nie wypełnili swojej misji. Oni i Bandy mają jeszcze coś do zrobienia. Ale nie są niezastąpieni. I oto odpowiedź: Roosevelt także nie jest.

Bandy wkłada hełm. Obserwuje, jak wiadomość rozchodzi się wśród okopujących się żołnierzy. Ludzie przerywają pracę, by jej wysłuchać. Wielu, tak jak Bandy, zdejmuje hełm i drapie się po głowie brudnymi rękami. Większość po chwili refleksji wraca do swego zajęcia. Inni podchodzą do następnej grupy, by przekazać informację dalej. Wszystkim jest przykro, ale nie są przybici. Dla nich to nic nadzwyczajnego, myśli Bandy. To tylko śmierć. Coś, z czym stykają się na co dzień.

Przed zmierzchem most dla pieszych jest już gotowy. Niedługo później zakończona zostaje budowa mostu pontonowego. Na drugi brzeg przedostaje się kolejny tysiąc ludzi, którzy będą poszerzać przyczółek. Obronę wzmocnią

zielone czołgi, z turkotem przejeżdżające na drugi brzeg. „Cyrk z Hołotą” przekroczył właśnie Łabę.

Bandy zatrzymuje jedną z zawracających łodzi, by zawieźć oficerowi łącznikowemu naświetlony film, który rano poleci do Londynu.

Na zachodnim brzegu wyjmuje jeszcze leicę, by zrobić ostatnią serię zdjęć mostu pontonowego. Leica pozwala mu fotografować szybciej niż speed graphic, a to ważne, bo robi się ciemno. Na drugi brzeg przejeżdża ciężarówka, turkocząc po poszczególnych elementach. Pontony podskakują na niespokojnej wodzie. Dzień ma się ku końcowi. Bandy podchodzi do wjazdu na most i fotografuje go z rysującą się pośrodku sylwetką ciężarówki.

Obejmuje obiektywem znak wbity przez żołnierzy Osiemdziesiątki Trójki. Z typową dla „Cyrku” fanfaronadą nadali nazwę mostowi, pierwszemu i jednemu amerykańskiemu mostowi na Łabie. Ku chwale nowego prezydenta USA napis głosi: „Most Trumana. Droga na Berlin. Dzięki 93 Dywizji Piechoty”.

14 kwietnia 1945, godzina 14.15

Goethestrasse

Charlottenburg, Berlin

Freya siedzi w holu oparta plecami o ścianę. Osuwa się na podłogę, podkurczając nogi. Sukienka odsłania szczupłe kolana.

Lottie, stojąca przy drzwiach, cofa się. Widząc wychudzone ramiona i łydki *Mutti*, uświadamia sobie, jak bardzo sama schudła. Odkąd skończyła się konina, niewiele było do jedzenia. Mięso okazało się lepsze, niż Lottie przypuszczała. Freya zrobiła z niego kiełbaski. Najpierw jednak moczyła je w solonej wodzie, potem smażyła, żeby zabić bakterie. Wreszcie mocno przyprawiła, żeby zabić smak zgnilizny. Po tygodniu zapasy zostały zjedzone. Freya, tak jak się Lottie spodziewała, zaniosiła jedzenie do schronu i rozdzieliła między sąsiadów, starszaków i dzieci.

Matka rozmawia z żółtymi drzwiami. Omawiają możliwość ucieczki z Berlina.

- Samochód - mówi Żyd - to najlepszy sposób.

Mutti się śmieje. Jakaś jej część jeszcze się nie poddała.

- Wiesz, Julius, ile kosztuje samochód? To odpada. Nawet za gruchota, który ledwo jeździ, trzeba by zapłacić ponad dwadzieścia tysięcy marek. A benzyna? Litr kosztuje pięćdziesiąt marek.

- Tyle co dwadzieścia papierosów.

- Niemożliwe, jak powiedziałam. Kilo masła. Za to można by kupić dwa-
dzieścia litrów benzyny.

Żyd powtarza jak echo:

- Masło.

Oboje milkną, przypominając sobie smak tego specjału.

- A gdybyś miała samochód? - pyta Żyd. - Skąd wzięłabyś dokumenty, że-
byśmy mogli wydostać się z Berlina?

- Trzeba by mieć pozwolenie na wyjazd.

- I przepustkę wojskową. Musiałbym mieć przepustkę wojskową.

- Uhm. I zwolnienie ze służby w Volkssturmie.

- Dobra. Jak myślisz, ile?

- Och, Julius, to nierealne. Kosztowałyby zbyt dużo.

Freya odwraca się i patrzy na Lottie.

- *Liebchen*, ty jesteś sprytna. Ile byśmy musieli mieć?

- Nie wiem.

- Och, włącz się. Ile?

- Ile, Lottie? - powtarza pytanie Żyd.

Lottie przywykła do tego bezcielesnego głosu, ale nie wtedy, gdy odzywa
się do niej. Setki razy przechodziła korytarzem, gdy *Mutti* rozmawiała z Ży-
dem. Czasami, jak teraz, przysłuchiwała im się z nudów. Zawsze jednak czuje
się dziwnie, gdy Żyd zza drzwi zwraca się do niej. Dlaczego stamtąd nie wyj-
dzie? Ta jego samodyscyplina! Ach, myśli Lottie, ci Żydzi!

- Nie wiem. Słyszałam, że za to wszystko trzeba by zapłacić sto tysięcy marek.
Mutti kiwa głową i uśmiecha się, dziękując córce, że nie odeszła. Poklepuje
ręką podłogę obok siebie, mówi w ten sposób: Chodź, usiądź koło matki.

Lottie przybiera niechętną postawę, ale przyjmuje zaproszenie. Zsuwa się
po ścianie, aż dotyka barkiem ramienia *Mutti*. Wyciąga nogi obok matki. Mają
taką samą budowę, wąskie kostki, kształtne łydki. Freya jest wciąż piękną ko-
bietą.

Siedząc tak pod żółtymi drzwiami, Lottie ma wrażenie, że postać za nimi
musi być potężnie zbudowana, o szerokich ramionach, wręcz wysoka. Ale gdy
tylko mężczyzna się odzywa, głos jest słaby, dochodzi jakby z dołu.

- Julius, jutro jest Pascha, prawda?

- Tak.

- Co chciałbyś dostać do jedzenia? Wiem, że Żydzi jedzą w to święto spe-
cjalne dania. To co byś chciał?

Prowadzą dalej tę grę, oboje zachowują się tak, jakby mieli samochody, od-
powiednie dokumenty i pieniądze.

- Chciałbym jagnięcinę. Z pietruszką i ziołami. Tak. I macę.

Mutti słucha z zachwytem. Żyd, który ryzykuje życie za to, kim jest, wciąż chciałby kultywować swoją wiarę. Wyraz jej twarzy świadczy o tym, że uważa to za coś wspaniałego. Zielony wiosenny pęd pod koniec zimy.

- Lottie? Znasz historię Paschy? - pyta Żyd.

Lottie patrzy na żółte drzwi. Nie odpowiada, nie chce wdawać się w rozmowę. Matka szturcha ją w udo. -Nie.

- To jednocześnie historia exodusu.

Drzwi, nie proszone, zaczynają opowiadać o ucieczce Żydów z Egiptu trzy tysiące lat temu. Mimo zsyłanych na ten kraj przez Boga plag, faraon wciąż nie pozwalał ludowi Mojżesza odejść. W końcu Egipt nawiedził Anioł Śmierci, który zabrał każdej egipskiej rodzinie pierworodnego syna. Drzwi żydowskich domów pomazane były krwią baranka i anioł je omijał. Faraona przeraziła ta straszliwa plaga. Zażądał, by Żydzi opuścili jego kraj. Ci ruszyli w drogę, zanim chleb zdążył wyrosnąć im w dziezach, prażyli go więc na własnych plecach. Dlatego właśnie Żydzi jedzą do dziś prażony placek, macę, paschę. Na pamiątkę. Faraon jednak zmienił zdanie i ścigał Żydów na pustyni. Ale Bóg ocalił naród wybrany - za Jego sprawą morze się rozstało i Żydzi mogli ujść z Egiptu. A potem zniszczył armię faraona.

To opowieść z przesłaniem. Lottie słucha, mając nadzieję, że wkrótce jej samej uda się uciec z Berlina jak Żydom z Egiptu. Zastanawia się jednak, jak to się stało, że Bóg uratował Żydów przed faraonem, a nie ocalił ich przed nazistami. Może nie ratuje już całych narodów, tylko poszczególne osoby. Po jednej, po dwie, jak Lottie czy, miejmy nadzieję, *Mutti* albo ten Żyd za drzwiami. To dobrze - myśli jednocześnie - że ludzie pamiętają o drodze swoich przodków ku wolności. Jeśli uda jej się uratować z tej wojny, także do końca życia będzie opowiadała o swoim ocaleniu.

- To wspaniała historia - mówi Freya.

- Modłę się codziennie, by z nami było tak samo.

- A mogą być gotowane ziemniaki, Julius? Jutro? Z odrobiną pietruszki?

Żyd się śmieje. To przyjemny szczerzy śmiech.

- Tak.

Mutti ujmuje rękę córki. Poklepuje ją i podrzuca, trzymając za nadgarstek.

- Przeżyjemy to, nie martwcie się. Jesteśmy razem i musi nam się udać.

- Słusznie - mówi Żyd.

Lottie milczy. Matka znowu lekko potrząsa jej ręką, by i ona coś powiedziała.

- Lottie?

Tym razem dziewczyna postanawia odpowiedzieć drzwiom. Niebawem opuści Egipt, pozostawiając *Mutti* i Żyda. Dopóki więc tu jest, może być miłsza.

Sezon koncertowy orkiestry zbliża się do końca. Niektórzy z muzyków słuchają nielegalnych radiostacji. Alianci są już nad Łabą. To nie potrwa długo.

- Tak, Julius? - po raz pierwszy zwraca się do niego po imieniu.
- Mam coś dla ciebie.
- Nie. Dziękuję.
- Proszę. Pokażę ci. Będzie można kupić za to żywność.

Lottie spodziewa się, że Julius wsunie pod drzwi plik banknotów albo cenne klejnoty. Nie zdziwiłaby się, gdyby przechowywał jakieś kosztowności na czarnej godzinę, kiedy wszyscy będą na krawędzi śmierci głodowej.

Między stopami jej i *Mutti* wysuwa się żółta gwiazda z materiału. To ten upokarzający znak, który musieli nosić niemieccy Żydzi, zanim ich odizolowano.

- Kiedy miasto upadnie, każdy, kto będzie to nosił, powinien być dobrze traktowany. Nawet przez Rosjan.

Lottie patrzy na sześcioramienną gwiazdę, która leży na podłodze.

- Sprzedaj ją, Lottie - mówi Żyd. - Powinna być coś warta. To krew baranka.
- Nie - odzywa się Freya. - Nie, Julius, musisz ją zatrzymać. Lottie i ja jesteśmy kobietami, nic nam się nie stanie. Ale ciebie, jako mężczyznę, mogą podejrzewać o dezercję albo coś takiego. Musisz mieć jakiś dowód na to, że nie jesteś jednym z nich.

- Lottie. Weź ją. Na jedzenie.

Żyd ma rację. To może mieć jakąś wartość. Może ocalić komuś życie, komuś, kto ma pieniądze.

- Dobrze.

Lottie bierze gwiazdę z podłogi. Wkłada do kieszeni. Namówi potem *Mutti*, żeby ją sprzedała. Sama nie wie, jak to zrobić, ale matka, zdaje się, doskonale sobie radzi na czarnym rynku. Weźmie ją i wymieni na jedzenie. Może nawet Żyd Julius dostanie w swoje święto coś więcej niż tylko gotowane ziemniaki.

- Dziękuję - mówi Lottie. Bierze rękę matki i splata z nią palce.

Przez chwilę siedzą tak bez słowa. Lottie zamyka oczy i opiera głowę na ramieniu *Mutti*.

Nagle rozlega się pukanie w drzwi frontowe.

Freya i Lottie wzdrygają się przestraszone. Obie wstają, wygładzając spódnice w taki sam sposób. Lottie idzie za matką do wejścia.

- Tak? - pyta Freya przez drzwi.
- Proszę otworzyć, *Fraulein*.
- Kto tam?
- Proszę, niech pani otworzy. Policja. Gestapo.

Lottie posyła Frei przerażone spojrzenie. Matka unosi rozłożone dłonie, macha nimi w górę i w dół, dając znak: spokojnie, trzymaj się, dziecko. Od tego zależy nasze życie.

Odryglowuje drzwi i otwiera je.

- Tak, panowie?

Na progu stoi czterech mężczyzn. Są w czarnych mundurach tajnej policji, mają opaski ze swastyką i czapki z daszkiem. Całość uzupełniają buty, rękawiczki i pasy z błyszczącej czarnej skóry. Mężczyźni wyglądają nieskazitelnie w mieście pełnym brudu i zniszczenia.

- Dzień dobry, *Fraulein*. Pani pozwoli, że wejdziemy?

Wszyscy czterej są niscy i trochę otyli, mają bladą cerę i niebieskie oczy. Wyglądają jak ulepione z białego ciasta demony. Przy paskach noszą broń. Lottie zastanawia się, który z nich tak walił w drzwi, że aż trzeszczały w zawiasach.

- Tak, oczywiście.

Freya usuwa się na bok, Lottie robi to samo. Gestapowcy wchodzą do środka. *Mutti* zostawia drzwi otwarte. Zamyka je jeden z gestapowców. Ten, który mówi w imieniu pozostałych, skłania głowę na widok Lottie.

- Proszę pań, poszukujemy w okolicy ochotników.

Gestapo przeczesuje miasto, by wcielić do Volkssturmu ostatnich mężczyzn.

Freya się uśmiecha. Prawie zaczyna się śmiać. Lottie ze zdumieniem obserwuje, jak matka dobrze gra.

- *Mein Hen*, bardzo bym chciała mieć w domu jakichś mężczyzn. Nie byłybyśmy z córką takie samotne.

Gestapowcy rechoczą wraz z *Mutti*, rozbawieni jej rubaszną odpowiedzią. Ten, który prowadzi rozmowę, pierwszy ucina śmiech.

- Wobec tego nie będzie pani miała nic przeciwko temu, że szybko przeszukamy dom.

Lottie zapiera dech ze strachu. To koniec, myśli.

Trzeba im powiedzieć! Powiedzieć, zanim sami znajdą Żyda. Potraktują je łagodniej, jeśli się przyznają. Może darują im życie. *Mutti* nigdy tego nie zrobi, nie przyzna się. Lottie krzyczy w duchu: Powiedz im!

- Proszę bardzo, panowie. - Freya prowadzi ich w głąb domu. Pod idącą za nimi Lottie uginają się kolana. Musi oprzeć się o ścianę w holu.

- Proszę wybaczyć, ale nie mam herbaty, by panów poczęstować - mówi lekko Freya.

Gestapowcy w odpowiedzi machają rękami na znak, że i tak nie skorzystaliby z propozycji.

Jeden z oficerów zostaje w holu, skąd może obserwować frontowe i tylne drzwi. Pozostali przeszukują kolejno pokoje. Nie rozdzielają się. Wszędzie

wchodzą razem, na wypadek gdyby znaleźli kogoś w szafie albo pod kanapą. Jeden z nich idzie na przód z ręką na pistolecie przy biodrze. Najpierw wchodzi na górę. Zaglądają wszędzie, gdzie może ukryć się człowiek: pod łóżka, za drzwi i meble. W sypialni proszą nawet Lottie, żeby otworzyła futerał z wiolonczelą. Freya wyjaśnia, że córka gra w Filharmonii Berlińskiej. Gestapowcy patrzą na Lottie, z uśmiechem unoszą brwi i kurtuazyjnie kiwiają głowami.

Na dole szybko przeszukują salonik. Nie ma tu żadnych ewentualnych kryjówek. Krążący w holu oficer zatrzymuje się przed żółtymi drzwiami do piwnicy. Kładzie na nich rękę w czarnej rękawiczce, jakby chciał wyczuć, co się z nimi znajduje. Dwaj inni wchodzi pospiesznie do kuchni. Zaglądają do szafek, a nawet szuflad. Na tyłach domu też nic nie ma.

- Proszę to otworzyć - mówi oficer przy żółtych drzwiach. - To piwnica, prawda?

Mutti rusza do przodu.

- Tak.

No dalej, myśli Lottie. Została ci jeszcze sekunda życia. Przyznaj się! Nie zastrzelą cię, jeśli wszystko powiesz! No, mów!

Lottie stoi bez ruchu. Za późno. *Mutti* nie okazuje strachu, otwiera drzwi i prowadzi gestapowców po schodach do piwnicy. Lottie wciąga w płuca powietrze, uświadamia sobie przy tym, jak bardzo jest roztrzęsiona.

Zostaje w holu. Za chwilę, gdy wywloką Żyda z kryjówki, zaczną krzyżeć, że nic o tym nie wiedziała. Zabiorą *Mutti*, zabiorą Żyda. Lottie powie, że nie miała pojęcia o jego obecności. On będzie tego słuchał, tak samo jak *Mutti*, i oboje potwierdzą jej słowa, żeby ją osłaniać. Tak, będą powtarzać, że ona o niczym nie wiedziała. Trzymaliśmy to w tajemnicy, żeby ją chronić. Oszczędźcie ją.

Słyszy, że matka na dole odsłania jedyne okno w piwnicy, by wpuścić światło. Nie ma jednak żadnych krzyków towarzyszących zazwyczaj aresztowaniu, żadnych oskarżeń. Nikt nic nie mówi.

Lottie zbliża się do schodów. Nie zaglądała za te drzwi od miesięcy. To ten stopień, na którym siaduje Żyd. Zwykła deska, zupełnie pusta. Lottie staje na nią, a potem pokonuje resztę stopni, schodząc do piwnicy.

W pomieszczeniu na dole stoją słoczeni trzej gestapowcy i *Mutti*. Nie ma tam nic poza materacem z gąbki, który leży na podłodze, wyplatany fotelem i egzemplarzem „Völkische Beobachter”, nazistowskiej gazety. Na pierwszej stronie znajduje się nagłówek informujący o śmierci prezydenta USA.

- Czasami podczas nocnych nalotów - wyjaśnia *Mutti* - schodzimy tu z córką, zamiast biec do schronu. - Wskazuje gazetę na fotelu. - Moja lektura.

Lottie patrzy ze zdumieniem. A gdzie Żyd? Gestapowcy zagląдают do ustępu, ostukują ściany, szukając jakiś skrytek. Nie ma żadnych śladów, które by

zdradzały obecność człowieka, mieszkającego tu od dwunastu tygodni. Jak to możliwe?

Najstarszy rangą oficer zaciska usta i obrzuca spojrzeniem całą piwnicę. Bierze do ręki gazetę z krzykliwym nagłówkiem.

- Ten drań Roosevelt nie żyje - mówi cały czarno-biały jak gazeta w jego dłoni.

Freya splata ramiona przed sobą.

- Wolałabym, żeby to był raczej któryś z tych przeklętych pilotów bombowców. Nie obchodzi mnie, kto rządzi Ameryką, ale kto zrzuca na nas bomby.

Zdaniem Lottie matka za dużo rozmawia z tymi gadami. Ich nie można oczarować.

Oficer odkłada gazetę tam, skąd ją wziął - na fotel.

- Tak. Dziękuję pani. Przepraszam za zamieszanie.

- To drobiazg. - *Mutti* z powrotem zaciąga zasłonę w oknie i w piwnicy robi się ciemno. Lottie odwraca się i jako pierwsza wchodzi na schody. Kieruje się do kuchni, wiedząc, że gestapowcy pójdą do wyjścia.

- Panie rozumiem - mówi oficer - musimy bronić Berlina. Do końca, jeśli będzie trzeba.

- Oczywiście - przytakuje Freya. - Berlin to Berlin.

- Wszystkiego dobrego, *Fraulein*, dla pani i uroczej córki. *Heil Hitler*.

- Tak, oczywiście - odpowiada *Mutti*, wykonując coś w rodzaju pożegnального gestu.

Otwiera drzwi. Cztery mężczyźni opuszczają dom. W chwili gdy *Mutti* zamyka drzwi, Lottie czuje, że przestaje nad sobą panować. Jej ciało ogarnia drżenie.

Freya podchodzi do niej szybko. Chwyta córkę w ramiona i sadza na krześle w kuchni. Lottie ma wrażenie, jakby jej ciało całkowicie zmroził strach, który przenikał ją przez ostatnie dwadzieścia pięć minut. Trzęsie się coraz bardziej w objęciach matki.

- *Liebchen, Liebchen* - uspokaja ją *Mutti* - już dobrze. Poszli sobie. Ciii... Już dobrze.

Po minucie udaje jej się przełknąć wreszcie ślinę, ucisk w gardle ustępuje. Ścisca dłonie, by je ogrzać, i kiwa głową na matkę. Freya bierze krzesło i przysuwa je do córki.

Lottie spogląda w twarz *Mutti*, spodziewając się, że zobaczy na niej ulgę czy jakieś inne ślady niedawnego przeżycia. Ale Freya cała jaśniej, błyszczą jej zęby i otoczone zmarszczkami oczy. Lottie znowu czuje się obrażona. Dociera do niej nieprzyjemna świadomość, że nie jest tak silna, tak odważna jak matka i że nie potrafi zniknąć czy stawać się niewidzialna jak Żyd. Ma wrażenie, jakby okrutnie z niej zakpiono.

Uderza matkę w ramię.

- Gdzie on był?

Freya zaczyna się śmiać, w ten sposób odreagowuje strach. Śmieje się głośno, ściskając Lottie za nogę, klepiąc ją żartobliwie po plecach. Lottie czuje się idiotycznie: nie wie, gdzie ukrył się Żyd. A Freya wie. Była tak przerażona obecnością gestapo w domu, że prawie zaczęła już krzyczeć.

- *Mutti*, do jasnej cholery, gdzie on był?

Freya, roześmiana, nie słyszy przekleństwa. Mruga oczami, patrząc na Lottie, i powoli się uspokaja.

- Nie możemy ci powiedzieć. Są pewne sekrety, *Liebchen*, których nie należy zdradzać. Nigdy.

- Powiedz.

- Oboje z Julusem wiedzieliśmy, że coś takiego w końcu się zdarzy. I że musimy przygotować dodatkową kryjówkę w piwnicy. Sprzątaliśmy więc po każdym posiłku. Zamiataliśmy każdy paproch. Julius musiał obywać się bez książek i gazet. Co parę dni znosiłam na dół nowy numer „Völkische Beobachter”, żeby ktoś, kto tam zajrzy, wziął mnie za lojalną nazistkę.

- *Mutti*. Powinnaś mi była powiedzieć, że macie jakiś plan. - Lottie nie zamierza się przyznać, że prawie wydała już matkę i Juliusa. Nigdy więcej nie przyzna się do tego nawet przed sobą. - Gdzie on był?

- Lottie. Rozumiesz.

- Tak, *Mutti*, rozumiem. A teraz mów. Gdzie on był?

Matka nachyla się do niej. Ścisza głos.

- W materacu. Wycięliśmy od spodu dziurę rozmiarów człowieka. Julius naciągnął materac na siebie i leżał bez ruchu.

Lottie nie może powstrzymać nerwowego chichotu. Boże drogi, myśli, a co by było, gdyby któryś z gestapowców kopnął materac? Albo gdyby na nim usiadł, żeby chwilę odpocząć? Jezu.

Zaczyna trząść się znowu - śmiejąc się razem z *Mutti*.

15 kwietnia 1945, godzina 13.15

Gabinet Stalina, Kreml

Moskwa

Amerykianie to przystojni ludzie, myśli Stalin.

Ten Harriman, który wyraża się ostrożnie, jak człowiek balansujący na pływającej belce, to typowy ich przedstawiciel. Kanciasta twarz, nie azjatycka, okrągła jak u większości ludzi radzieckich. Smukłe ręce. Papieros w jego palcach wygląda jak na reklamie. Wytworny garnitur, doskonale skrojony,

jedwabna chusteczka i krawat. Szlachetne rysy, kulturalny sposób wypowiedzenia się. Choć Harriman mówi po angielsku, Stalin rozumie parę słów. Ambasador ma taką samą wymowę jak Roosevelt.

Przybył do Stalina, by go zapewnić, że nowy prezydent, Truman, będzie kontynuował politykę Roosevelta. Zwłaszcza w zakresie stosunków ze Związkiem Radzieckim i dalszego biegu wojny. Stalin ma na biurku plik radzieckich gazet, z tekstami obwiedzionymi na czarno, które informują o śmierci prezydenta. Artykuły pożegnalne są naprawdę smutne. Roosevelt był tu podziwiany. Uchodził za wielkiego przyjaciela Rosjan.

Stalin patrzy kolejno na dwóch amerykańskich dostojników - Harrimana i generała Hurleya - oraz na własnego ministra, Mołotowa. Jeśli przyjrzeć się zebranym w pokoju Rosjanom, w tym Stalinowi i jego tłumaczowi, wyglądają oni przy eleganckich i zgrabnych przedstawicielach Zachodu jak ciemni, prości chłopci. Roosevelt także był przystojnym facetem. Stalinowi jest naprawdę przykro, że umarł. Przypomina sobie ostatni telegram, jaki od niego otrzymał, napisany zaledwie parę godzin przed śmiercią w jego wiejskiej posiadłości. Roosevelt do końca szedł na kompromis i był niezwykle cierpliwy. Jak ktoś taki mógł zostać światowym przywódcą?

Stalin przerywa Harrimanowi gładką przemowę.

- Panie ambasadorze, mam prośbę w związku ze śmiercią prezydenta Roosevelta.

- Tak, panie marszałku, oczywiście.

- Chciałbym, żeby przeprowadzono sekcję zwłok. Żeby się upewnić, czy ten wielki człowiek nie został otruty.

Harriman zasłania dłonią usta, bo zakrztusił się lekko.

- Panie marszałku, zapewniam pana, że nikt prezydenta nie otruił. Lekarze twierdzą, że zmarł z powodu rozległego wylewu do mózgu.

- Mimo wszystko.

- Oczywiście. Zobaczę, co się da zrobić.

- Dziękuję, panie ambasadorze.

Przez następne pół godziny Amerykanie wiją się pod potokiem oskarżeń o prowadzenie za plecami ZSRR tajnych negocjacji z hitlerowcami. Jaki jest prawdziwy cel rozmów w Szwajcarii dotyczących poddania się wojsk na froncie włoskim? Dlaczego Niemcy nie walczą tak zaciekle przeciwko oddziałom alianckim na zachodzie jak przeciwko armii radzieckiej na wschodzie? Jak to się dzieje, że niemieckie miasteczka leżące na drodze Amerykanów poddają się już po rozmowie telefonicznej? Czy te pozornie nie związane ze sobą fakty nie są częścią większego spisku?

Stalin pyta Harrimana, jakich zapewnień oczekują Stany Zjednoczone, by uwierzyły, że Związek Radziecki jest ich lojalnym sprzymierzeńcem. Stalinowi

zależy na powstrzymaniu narastającej fali nieufności. Co Stalin może zrobić, by uspokoić obawy Ameryki co do trwałości przymierza? Harriman ma gotową odpowiedź.

- Mógłby pan pozwolić, by minister Mołotow wziął udział w uroczystym inauguracyjnym posiedzeniu Organizacji Narodów Zjednoczonych w San Francisco.

Mołotow wierci się na krześle. Wolałby nie jechać. Nie ma ochoty tłumaczyć się ze wszystkich poczynań ZSRR w Europie Wschodniej. Spadłby na niego grad oskarżeń, szczególnie ze strony Anglii. Jednak konferencja w San Francisco byłaby znakomitą okazją do poznania tego nowego prezydenta, Trumana. Mołotow więc pojedzie.

Harriman jest zadowolony.

Ambasador wskazuje gazety przy łokciu Stalina. Stalin kładzie na nich rękę z wyrazem współczucia na twarzy.

- Stany Zjednoczone - mówi Harriman - są poruszone żalem, jakie okazuje pański kraj.

- Będzie nam brakowało prezydenta Roosevelta.

- O tak.

Powszechnie wiadomo, że Harriman nie zgadzał się z Rooseveltem w każdym niemal punkcie jego polityki wobec Stalina. Ambasador USA od dawna był zwolennikiem zdecydowanego i twardego kursu, tak jak Churchill. Roosevelt natomiast - przeciwnie. Stalin uśmiecha się do swych myśli. Roosevelt wybrał dobry moment, by umrzeć. Przynajmniej jeśli chodzi o losy światowego komunizmu. Nieboszczyk prezydent nie miał fizycznych ani psychicznych predyspozycji, by postępować stanowczo. Zabiła go właśnie skłonność do uległości. Mimo to Stalin żałuje, że Roosevelt nie pożył jeszcze trochę. Będzie mu go brakowało, ale z odmiennych powodów niż wszystkim innym.

- Wie pan, że premier przerwał obrady parlamentu? Harriman kiwa głową.

- To wydarzenie bez precedensu - mówi. - Obradowali tylko osiem minut.

- Tak. To wyraz wielkiej czci. Churchill był bardzo zaprzyjaźniony z naszym prezydentem.

Harriman milczy, przedłużając tę pełną powagi chwilę, jakby spuszczał atramentową kurtynę nad nagłówkami gazet. Potem podejmuje rozmowę, by zadać najważniejsze pytanie. Stalin wie, do czego zmierza ambasador. Chce zapytać o Berlin. Ostatnie miasto. Harriman jest pełen podziwu dla sił radzieckich zgromadzonych nad Odrą. Docenia zalety bezpośredniego kontaktu pomiędzy Stalinem a generałem Eisenhowerem. Krąży wokół tematu. Wreszcie, porzucając dyplomatyczne wybiegi, bo Stalin zaczyna już postukiwać ustnikiem fajki o wargi, Harriman mówi otwarcie:

- Panie marszałku, słyszeliśmy, że radio niemieckie ostrzega mieszkańców Berlina przed nadchodzącą ofensywą Armii Czerwonej. Może nam pan coś o tym powiedzieć?

- Tak - odpowiada Stalin lakonicznym tonem - przygotowujemy ofensywę. To oczywiście potrwa jeszcze kilka tygodni. Powiedzie się albo nie, kto to może wiedzieć? Tyle trzeba jeszcze zrobić. Nasze siły są rozciągnięte, rozumiecie. Niemcy mocno się okopali. Mają tę przewagę, że teren jest pagórkowaty. Zobaczymy.

- A jaki będzie kierunek ataku, jeśli nastąpi ofensywa?
Stalin kłamie jak z nut. To dla niego najmniejszy problem.

- Jak informowałem generała Eisenhowera, skierujemy się na południowy zachód, w stronę Drezna. Armia Czerwona nie ma już żadnego interesu w Berlinie. Żadnego, panie ambasadorze.

Wstaje, by zakończyć spotkanie.

Amerykianie wychodzą. Tłumacz usuwa się bez słowa. Stalin odprawia Mototowa, który wie, że nie ma co protestować, skoro otrzymał już instrukcje. Gabinet pustoszeje. Stalin wrzuca gazety do kosza na śmieci.

16 kwietnia 1945, godzina 2.40

Przyczółek kostrzyński

Granica polsko-niemiecka

Czas ruszać na Berlin.

Ilja dowiaduje się tego z małej ulotki. To krótkie wezwanie do walki. Bezpośrednio od marszałka Żukowa. Dostają je wszyscy żołnierze w okopach, lejach po bombach i bunkrach.

Wróg zostanie zmiążdżony na najkrótszej drodze do Berlina. Zdobędziemy stolicę faszystowskich Niemiec i zawiesimy nad nią sztandar zwycięstwa.

Od kilku godzin cały front Żukowa posuwa się naprzód i robi to zadziwiająco cicho. Słychać tylko skrzypienia, szelesty i słaby turkot. Wielkie siły wychodzą z ukrycia - zza załomów terenu i spod siatek maskujących. Ożywają z minuty na minutę, gotując się do ataku. Gdy ze wszystkich stron zbiera się wojsko, Ilja ze swoim plutonem siedzi jeszcze w wysuniętym okopie. Jak zwykle ruszy do walki jako jeden z pierwszych.

Wczoraj podczas zebrania Misza i połowa plutonu wstąpili do partii. Misza usiłował namówić także Ilję.

- Iljuszka, przystąp do nas.

- Nie.

- To tylko głupia przysięga. Podpiszesz kartę. Dlaczego nie chcesz?
- A dlaczego miałbym chcieć?
- Bo po pierwsze, to najlepszy sposób, żeby szybko awansować. A po drugie, co będzie, jeśli zginiesz w walce? Armia Czerwona nie powiadomi twojej rodziny. Robi to partia, i to tylko w przypadku swoich członków. Chcesz, żeby zupełnie o tobie zapomniano?
- Tak.

Misza nie daje się tak łatwo zniechęcić. Kiedy Ilja pozwolił, żeby niemiecki żołnierz rzucił się na niego pod Seelow, Misza po prostu wstał, wziął karabin i ruszył dalej w drogę powrotną. Nie rozmawiał o tym incydencie ani z Ilją, ani z nikim innym. Gdy Ilja nie odzywa się przez cały dzień albo kładzie się spać na godzinę, a potem obserwuje gwiazdy i wschód słońca, mały Misza wciąż na niego popatruje. Kiedy Ilja odmówił wstąpienia do partii, poklepał tylko swego potężnego przyjaciela w taki sposób, jakby poklepywał głaz, którego nie można ruszyć z pola. Więc niech tam zostanie, niech sobie leży.

Ilja nigdy nie jest sam. Zawsze Misza kręci się koło niego, z takiego czy innego powodu. Obaj należą do siedemsetpięćdziesięciotysięcznego frontu Żukowa, który kieruje się na Berlin. Muszą słuchać przemówień komisarzy, uczestniczyć w inspekcjach prowadzonych przez oficerów, ćwiczyć rekrutów, transportować zaopatrzenie. Ciągłe w pobliżu są jacyś ludzie. Panuje hałas, zgiełk i smród. Wszyscy się krzątają. Ilja jest jednak samotny. Nie potrafiłby powiedzieć, czy to świat się od niego oddalił, czy to w nim rośnie jakiś dystans. Jednak od czasu mordu na drodze, od czasu walk w twierdzy, jego świat wewnętrzny i świat zewnętrzny jakby zlały się w jedno. Ilja może wędrować po nich swobodnie, przechodzić z jednego do drugiego, czy też pozostawać w którymś z nich. Kiedy był małym chłopcem, chodził na polowanie z wujem Pawłem. Tropili wilka. Znaleźli go rano i próbowali zastrzelić. Ale go nie zabili. Wilk, choć trafiony w szyję, uciekał dalej. Zwodził ich jeszcze dwa dni. Paweł i mały Ilja spali na gołej ziemi, czuwając na zmianę ze strzelbą na kolanach. Żywili się tym, co dostali od okolicznych chłopów, wycieczkowiczów czy myśliwych, których spotykali po drodze. Paweł mówił, że nie można zostawić rannego wilka na wolności. Trzeba go zabić. Zwierzę jest zbyt niebezpieczne. Ilja nie potrafił wtedy zrozumieć dlaczego. Wilk straszliwie cierpi. Jaką jeszcze krzywdę może wyrządzić mu świat? Nie sprawi mu przecież większego bólu. Ale ten ból powoduje, że wilk staje się stworzeniem potężniejszym. Nic go nie powstrzyma. Póki męka nie ustanie, będzie próbował dać ujście cierpieniu, atakując wszystkich i wszystko, co napotka. W swoim dzikim sercu liczy na to, że w ten sposób spotka śmierć. I trzeciego rana tak się stało. Wilk rzucił się na psa w obejściu, a kiedy zaatakował także gospodarza, został przez niego zastrzelony.

Siedzący obok Misza trzyma skręta jak stary palacz, osłania dłonią żarzący się koniec. Ilja rzucił palenie. Tytoń pali go w gardle. Przestał także pić.

Misza zaciąga się głęboko, potem przełamuje niedopałek, by wetknąć go w uszy. Ilja naciąga mocniej włóczkową czapkę wartownika.

- Jeszcze pięć minut - oznajmia Misza. Rzuca te słowa przez ramię, kieruje je do pięćdziesięciu ludzi z plutonu, którzy siedzą za nim. Wyczuwa się wśród nich dwójakiego rodzaju emocje. Dziwna to mieszanka, przypominająca olej i wodę. Ich strach i gniew nie łączą się ze sobą. Każdy z nich odczuwa jedno albo drugie, nikt obu jednocześnie. Te emocje neutralizują się nawzajem wśród ludzi w plutonie. Nie dotyczy to Ilji, który nie czuje nic, ani Miszy, który zdaniem Ilji zapomniał, co to strach, a nie jest już zdolny odczuwać wściekłości.

Powietrze tego wczesnego poranka jest chłodne z powodu mżawki i mgły. Podpinka pod kurtką Ilji jest wilgotna. Po obu stronach frontu panuje cisza. Słychać tylko łopotanie flag. Żukow rozkazał wszystkim oddziałom wystawić sztandary. Na ostatni posiłek dostali gęstą grochówkę, tuszonkę z puszek i termosy z gorącą herbatą.

O trzeciej w niebo strzelają flary. Wyżynę Seelow zalewa czerwona poświata.

W następnej sekundzie świat staje się jednym wielkim błyskiem światła - jak wtedy, gdy człowiek wychodzi z tunelu na oślepiające słońce. Wszystkie działa ustawione za pozycjami żołnierzy na przyczółku kostrzyńskim, wszystkie moździerze i czołgi, wszystkie katusze - otwierają jednocześnie ogień. Stoją w szeregu koło przy kole, na każdym metrze, w trzech kolumnach. Jest ich piętnaście tysięcy. Błyski z luf łączą się ze sobą. Nie nikną ani na chwilę. Jest jasno jak za dnia. To światło oślepia Ilję. Musi mrużyć oczy, póki do niego nie przywyknie.

Pas ziemi, na którym znajdują się pozycje Niemców, jakby wymykał się prawu ciężkości i wznosił w eksplozjach do góry. Wciąż mrużąc oczy, Ilja nie może dostrzec odcinka, który nie byłby zryty pociskami. Ziemia pod nogami drży, rozpalona. Hałas rozrywa bębunki w uszach. Do huku artylerii dołącza grzmot radzieckich bombowców lecących w kierunku wyznaczonych celów.

Kanonada nie ustaje. Rozszerza się daleko poza niemieckie linie, tworząc ośmiokilometrowy pas martwej ziemi. Po dziesięciu minutach bombardowania twarz Ilji owiewa ciepły podmuch. Wybuchy są tak zmasowane, że powodują turbulencje atmosferyczne. Na całym radzieckim przyczółku w tym nienaturalnym wietrze entuzjastycznie łopoczą sztandary.

Po trzydziestu minutach ciężkiego ostrzału w niebo uderza słup światła reflektorów. Zaraz potem nad głowami żołnierzy eksplodują setki wielokolorowych rac. To sygnał dla piechoty, by wyszła z okopów i ruszyła do ataku. Artyleria przeniesie ogień przed szeregi nacierających.

Pojawia się jeszcze jeden sygnał. Na całej połaci przyczółka włącza się sto pięćdziesiąt reflektorów przeciwlotniczych skierowanych prosto na pozycje niemieckie. Mają nie tylko oświetlić teren atakującym żołnierzom, ale także siać panikę w szeregach wroga. Niemcy, którym udało się przeżyć bombardowanie, zostaną teraz oślepieni, ogłuszeni i zupełnie stracą orientację. Ciepły krąg światła pada także na plecy Ilji, który właśnie wyskakuje z okopu.

Pluton rusza jego śladem. Misza jest na swoim miejscu, tuż za Ilją. Ilja czuje jego wzrok. Nie odwraca się, nie odpowiada spojrzeniem.

Ilja tym razem nie biegnie. Spokojnie kroczy przez błoto, trzymając palce na spuście karabinu. Kiedy tak idzie, pobrzękuje nożami, granatami i drugą pepeszą przewieszoną na plecach. Na razie nie ma śladu Niemców. Dookoła natomiast widać jasno oświetlone sylwetki towarzyszy - plecy i profile, zielone i wilgotne jak on sam. Wszyscy czekają na reakcję wroga. Od chwili gdy rozpoczął się atak, Niemcy nie oddali ani jednego strzału. Radzieckie pociski grzną i padają kilka kilometrów przed nacierającymi. Buty setek tysięcy ludzi grzęzną w podmokłym gruncie. Ilja czuje się częścią tej wielkiej fali, muszelką niesioną przytływem. Daje mu to poczucie anonimowości, wycisza go i koi.

Wstępuje w dziwną nocną poświatę. Każdy żołnierz, każde rumowisko i odarte z kory drzewo rzuca w świetle reflektorów zwielokrotniony cień. Cienie są długie, rozciągnięte. Ilja nie może się zorientować, co znajduje się przed nim. Mógłby zbliżyć się do okopu i wpaść do niego nieopatrznie. Potężne bombardowanie, które się przetoczyło, podniosło w powietrze ścianę pyłu i dymu. Na obrzeżach płaskowyżu płoną drzewa i wiejskie domy, a dym pożarów łączy się z tumanami pyłu wzbijanymi przez artylerię. W tę chmurę uderzają gigantyczne snopy światła padające z tyłu i przebijają ją na wylot. Niemcy w okopach mają radzieckich żołnierzy jak na dłoni. Sylwetki atakujących rysują się wyraźnie, rzucają przed siebie liczne cienie. Rosjanie nie mogli zrobić więcej, by zwrócić na siebie uwagę nieprzyjacielskich snajperów i obsługi dział. No, chyba żeby zaczęli wymachiwać rękami.

Misza także to sobie uświadamia. Przywołuje do siebie młodego żołnierza z plutonu. Ilja poznaje tego chłopaka. Został zesłany do kompanii karnej za tchórzostwo.

- Biegnij z powrotem i powiedz tam, żeby wyłączyli światła. Nic tu, psia mać, nie widać. Powiedz im to. Znajdź generała.

- Tak jest, towarzyszu sierżancie. - Chłopak rusza na jednej nodze, uradowany, że wysyłają go na tyły.

Ilja patrzy na Miszę i kiwa głową. Misza w odpowiedzi klepie go w plecy. Znowu jesteśmy jedną drużyną, mówi w ten sposób. Jego cień na rozmiękłej ziemi sięga niemal tak daleko jak cień Ilji.

Ilja natęża wszystkie zmysły. Z tyłu słyszy chrzęst czołgów wspierających i turkot dział samobieżnych. Reflektory i ich generatory brzęczą niczym

rozzłoszczone pszczoły w ulu. Jeszcze dalej za nimi, na wschodnim brzegu Odry, setki tysięcy żołnierzy Żukowa z okrzykami zagrzewającymi do walki rzucają się w wodę.

Piętnaście minut po rozpoczęciu ataku pluton Ilji znajduje się już kilometr od swoich pozycji. Wciąż nie ma żadnej reakcji ze strony Niemców. Nie widać żadnych ciał w poczerniałych lejach po bombach. Żołnierze wkraczają między popalone, zbombardowane bunkry i umocnienia, ale stwierdzają, że nikogo tam nie ma.

- Wykiwali nas - mówi Misza. - Wycofali się na drugą linię obrony.

Na otwartą przestrzeń wciąż leci straszliwy deszcz pocisków. Tymczasem Niemcy w pełnej gotowości czekają na wyżynie Seelow, patrząc z góry poprzez tumany dymu i pyłu.

Światła reflektorów gasną. Z ust dziesiątek tysięcy żołnierzy wrywa się pomruk. Wszyscy jednocześnie przystają, bo nic nie widzą po nagłym zapadnięciu ciemności.

Chwilę później reflektory zapalają się ponownie. Ilja wyobraża sobie ten wrzask kogoś z generałów w kwaterze na tyłach.

Ilja rusza do przodu, za nim podąża pluton. Misza trzyma się z boku. Przez następne dwadzieścia minut reflektory są na przemian włączane i wyłączane, w zależności od tego, kto jest przy włączniku - czy jakiś zdenerwowany dowódca polowy, który każe je zgasić, czy urażony generał rozkazujący je zapalić. Żołnierze idą już pół godziny, ale nadal nie słyszą i nie widzą żadnych ruchów wroga.

Kiedy tak co chwila gaśnie światło, a ciemności potęguje gęstniejący pył, Ilja stacza się do rowu melioracyjnego. Udaje mu się w porę zatrzymać, ale nogi aż do kolan ma przemoczone i umazane błotem. Misza z tyłu zatrzymuje pluton. W mroku kilku ludzi po prawej stronie wpada jednak do dołu i klnie.

Ilja z trudem gramoli się w górę po drugiej stronie rowu. Rusza dalej bez słowa. Misza prowadzi pluton w dalszą drogę przez błoto.

Po dwóch kilometrach zauważają, że ukształtowanie terenu się zmienia. Drogę przecinają im teraz strumienie i kanały. Oświetlające ten odcinek reflektory nareszcie zgasły - pewnie jakiś oficer strzelił w nie z pistoletu albo kopniakiem rozbił kilka z nich.

Natarcie zamienia się w powolny marsz. Czołgi, które zjechały z dróg, by towarzyszyć piechocie, natrafiają na różne przeszkody i wypełnione wodą rowy. Żołnierze mają przemoczone spodnie i oblepione błotem buty. Ślizgają się i wpadają do niewidocznych dołów. Niemcy nie wystrzelili jeszcze ani jednego pocisku, nie zatrzymują wrogów, pozwalają na razie, by trudny teren zrobił swoje.

Wiele z czołgów, które nie utknęły w błocie, opuszcza otwarte pole, szukając przejezdnych dróg w kierunku Seelow. Żołnierze wkraczają w ciemną dolinę, ledwo co widząc. Zwalniają kroku. Marsz powoli ustaje.

Misza kładzie Ilji rękę na ramieniu.

- Poczekajmy do świtu, Iljuszka. Nie widzimy, dokąd idziemy.

- Nie.

- Wszyscy inni się zatrzymują. Tracimy wsparcie czołgów.

- Wiem.

Bez dalszych wyjaśnień Ilja rusza w dalszą drogę przez gęstą, wilgotną noc. Misza dogania go.

- Oni pójdą za tobą, Ilja. Wiesz przecież.

- Uhm. A nie powinni?

- Pójdą za tobą i zginą. Nie są tacy jak ty, Ilja. Ja też nie jestem. Mamy przed sobą Niemców, tylko ich nie widać. Jeśli pójdziemy za tobą, wyjdziemy im prosto pod lufy. Położą nas pokotem. Twoich ludzi, może i mnie. Nie, Ilja. Musimy poczekać, aż wszędzie słońce.

Dotyka jego ramienia. Robi tak ostatnio, bo ma wrażenie, że Ilja go nie słyszy, jeśli nie ma między nimi fizycznego kontaktu. Jakby same słowa nie mogły się przebić do świata, w którym przebywa.

- Ilja. Poczekamy, dobrze?

- Dobrze, Misza.

- Niemcy na pewno ci nie uciekną, zobaczysz. - Odwraca się, by dołączyć z Ilją do plutonu. Śmieje się przez ramię, dodając: - Ale tylko dlatego, że jeszcze o tobie nie slyszeeli.

Rozkazuje ludziom wyjąć brezent i rozłożyć się. Do świtu pozostały dwie godziny.

Czekając na wschód słońca, Ilja wsłuchuje się w odgłosy bitwy, której nie ma. Wokoło panuje noc, jest gęsta jak smoła. Wojska radzieckie grzęzną w błocie nad strumieniami. Na tym wysuniętym odcinku, gdzie rozłożył się pluton Ilji, prawie żaden oddział nie posuwa się już dalej. Za nimi na mokradłach bezradnie utknęły masy ludzi i pojazdów. Natarcie na Seelow zatrzymało się, zanim któryś z Niemców na wyżynie zdążył nacisnąć spust.

Świt zapowiada pogodny wiosenny dzień. Ilja podnosi się na nogi. W kolanach strzyka mu od wilgoci. Ludzie mamrocą niechętnie, gdy Misza kopniakiem pogania ich, by wstawali.

Ilja odwraca się, by ocenić sytuację na terenie Oderbruch. Sześć kilometrów dalej rozciąga się wyżyna Seelow. Niemcy mają stamtąd doskonały widok na atakujące siły radzieckie. Mogą bez trudu namierzyć najważniejsze cele. Ilja widzi je za sobą i po bokach tak samo, jak oni: czołgi, działa samobieżne i ciężarówki tkwiące na drogach. Wszystko stłoczone, unieruchomione w błocie i

korytach potoków. Za nimi zebrani żołnierze piechoty, dziesiątki tysięcy ludzi. Trzy czwarte miliona wraz ze swoim sprzętem próbuje przedostać się przez tę podmokłą dolinę. Ilja spogląda w jaśniejsze niebo. Widzi samego siebie tak wyraźnie, jak widzą go niemieccy saperzy. Podzwaniając bronią, rusza przed siebie.

- Idziemy! - rzuca Misza za siebie. - No już!

Dziesięć minut później Niemcy na wyżynie Seelow otwierają ogień. Oderbruch znowu drży, ale tym razem pociski spadają na pozycje radzieckie. Pluton Ilji posuwa się naprzód. Pięćdziesięciu ludzi prowadzi atak całej armii. Nad nimi przelatują pociski artyleryjskie, uderzając z tyłu w zmasowane siły radzieckie. Świszczą im nad głowami jak szumiące przed burzą drzewa.

Grunt staje się bardziej suchy i ludzie z plutonu mogą poruszać się szybciej. Ściągają jednak na siebie uwagę wroga i co chwila muszą padać na ziemię, by chronić się przed ostrzałem. Posuwają się w ten sposób przez godzinę, starając się rozróżnić po odgłosach, który z pocisków leci w ich stronę. Niemcy chcą jednak przede wszystkim odegrać się na radzieckiej artylerii i bombowcach. Ilja prowadzi więc swoich ludzi prosto na Seelow.

Zatrzymują się dwa kilometry od stoku, na brzegu kanału wypełnionego wodą.

- Haupt Kanał - stwierdza Misza, kolejny raz demonstrując swą zdolność zapamiętywania map.

Ilja ocenia wzrokiem głębokość rowu, który rozciąga się na szerokość pięćdziesięciu metrów. Wezbrana zielona woda płynie wartko. Dwieście metrów na prawo widać kamienny most. Następny, z lewej, znajduje się znacznie dalej.

Ilja robi krok w stronę bliżej położonego mostu. Przechodzi już przez niego inna grupa żołnierzy.

- Poczekaj - ostrzega Misza. - Ilja, nie. Patrz.

W tej samej chwili most zostaje rozerwany w błyskach ognia i huku eksplozji. Zmasakrowani ludzie wylatują w powietrze.

- Niemcy zaminowali wszystkie przejścia - mówi Misza. - Myślałeś, że pozwolą nam tak po prostu do siebie podejść?

Woda pod nogami Ilji zabarwia się na czerwono. Ciała zabitych, ich skrwacone szczątki płyną unoszone prądem jako ostrzeżenie dla innych, by trzymali się z dala od mostów.

Misza kręci głową i stwierdza:

- Będziemy musieli poczekać, aż saperzy zbudują kładkę.

Ilja ogląda się za siebie, patrzy na zamęt panujący w oddziałach radzieckich. Saperom nie będzie łatwo przebić się tutaj.

Siada z plutonem na wprost Oderbruch. Pociski przelatujące z rykiem w obie strony tworzą nad ich głowami niesamowite sklepienie. Niemcy usiłują udaremnić

Rosjanom przeprawę przez Odrę, gdzie główne siły radzieckie wciąż czekają na włączenie się do walki. Ostrzeliwiają także szeregi żołnierzy przemierzających podmokłą równinę albo tłoczących się na nielicznych drogach. W odpowiedzi bombowce i potężne działa Żukowa starają się zniszczyć obronę wroga na wyzynie, aby umożliwić swoim ludziom opanowanie dróg i węzła kolejowego w miasteczku. Gdy Seelow padnie, Żukow będzie mógł oskrzydlić inne miejscowości w okolicy. Na Berlin ruszy dopiero wtedy, gdy zdobędzie całą wyżynę.

Oddziały saperów docierają nad kanał po trzech godzinach. Przez ten czas pluton Ilji leży płasko na ziemi. Ludzie kryją głowy przed pociskami spadającymi prawie pionowo z góry. W miarę jak słońce wędruje wyżej, poranek staje się coraz cieplejszy. Ilja czuje na plecach żar podobny do tego, jaki ogarzał go podczas ostrzału przed świtem, gdy z tyłu oświetlały go reflektory. Misza pali dwudziestego skręta. Równina jest już na pewno zasłana tysiącami zabitych żołnierzy, a pozostali przy życiu wciąż prą do przodu pod morderczym ostrzałem niemieckim.

Wreszcie z grupy ludzi czekających nad kanałem dochodzi okrzyk:

- Mamy most!

Ilja zrywa się do biegu, zmuszając Miszę i innych, by ruszali za nim. Ignoruje jęk Miszy, który błagalnie woła go po imieniu, i przyspiesza.

Na moście zrobionym z pontonów może się zmieścić obok siebie pięciu ludzi. Saperzy przystępują do budowy następnego przejścia dwieście metrów dalej. Niemieccy artylerzyści jeszcze dobrze się nie wcelowali, pociski padają w sporej odległości od kanału.

Ilja i jego pluton przechodzą na drugą stronę, napierając na ludzi idących przed nimi. Most nie utrzyma się długo, zapowiadają to coraz bliżej padające pociski artyleryjskie.

Pluton jest już na drugim brzegu. Następną przeszkodą do pokonania - to sama wyżyna.

Pomiędzy kanałem a stokiem rozciąga się pas równej ziemi. Ilja i jego ludzie biegną naprzód wraz z pięcioma tysiącami towarzyszy z dywizji. Po kilku minutach dostają się na pole wysokiej oziminy. Pszenica jest zielona i jedwabista. Ilja czuje jak smaga go po palcach. Dwieście metrów dalej grunt się wznosi, tworząc niewysokie, za to dość strome wzniesienia. Za nimi widać wieżę - to kościół w Seelow.

Nagle pole pszenicy eksploduje rozorane wybuchem. Ilja pada na ziemię. W tej samej chwili z prawej strony kolejna erupcja wyrzuca w górę ludzi, rozrywając ich na kawałki. Misza wrzeszczy do pozostałych:

- Padnij! Padnij!

Ilja podrywa się, nie zważając na padające wokół niego skrwawione szczątki zabitych kolegów. Ściąga z ramienia karabin i chwyta go w ręce. To na nic się nie zda. Niemcy okopali się na wzgórzach z bronią ciężką. Są poza zasięgiem jego pepeszy czy innych rodzajów broni, którymi Rosjanie dysponują po tej stronie kanału.

Ilja jednak pędzi przez otwartą przestrzeń. Jako pierwszy dopada podnóża stoku. Ciężko dyszy.

Nogi wreszcie mogą odpocząć. Na razie Ilja nie ma nic więcej do roboty. Ruszy do akcji dopiero po kolejnym bombardowaniu z ładu i z powietrza, kiedy już zgromadzi się tu reszta ludzi i zapadnie noc.

Uderza pięścią w stok. Znowu musi czekać.

16 kwietnia 1945, godzina 9.30

Z amerykańską 83 Dywizją 9 Armii

Przyczółek Barby, wschodni brzeg Łaby, Niemcy

Bandy obserwuje, jak wiadomość rozchodzi się po przyczółku. Robi zdjęcia słuchającym ludziom.

Oficerowie przeważnie dowiedzieli się o tym z radia. Wczoraj późnym popołudniem Bandy był w bunkrze dowodzenia wraz z trzema z nich, młodymi ludźmi po college'u. Wtedy właśnie Edward R. Murrow nadał komunikat w stacji CBS. Opisał, co widział rano w miejscu wyzwolonym przez 3 Armię Pattona, miejscu zwanym Buchenwald. Był to obóz śmierci, tak przerażający, że jak powiedział sam Murrow, trudno uwierzyć w istnienie czegoś takiego. Korespondent przysięgał słuchaczom, że wszystko, co mówi, jest prawdą. Drżącym głosem stwierdził na zakończenie, że „nie jest mu ani trochę przykro”, jeśli kogoś uraził swoją relacją. „Ja tam byłem” - dodał.

Gdy dwaj kapitanowie i trzech porucznicy skupieni wokół radia omawiali wiadomość, Bandy robił im zdjęcia. Na ich twarzach malowała się zgroza, zdumienie rozmiarami okrucieństwa i zbrodni. Oficerowie należą do ludzi, którzy po usłyszeniu takich doniesień czują potrzebę pogadania o tym. Gdy tylko Bandy kończy robienie zdjęć i opuszcza aparat, ci i inni, z którymi się styka, zwracają się w jego stronę i milkną. Bandy jest starszy, patrzą więc na niego i oczekują, że coś powie, coś wyjaśni. Ale on się nie odzywa. Wtedy podejmują rozmowę między sobą i stwierdzają: dlatego właśnie tu jesteśmy, dlatego musimy zwyciężyć.

Na zewnątrz, w polu, Bandy obserwuje, jak przyjmują tę wiadomość zwykli żołnierze. Są zajęci. Machają łopatami i kilofami, wznosząc umocnienia na przyczółku. Jeżdżą ciężarówkami i wyładowują zaopatrzenie. Pełnią warty w

okopach, patrząc przez celowniki. Nie z radia, ale od kolegów dowiadują się o piecach krematoryjnych, stosach ciał pomordowanych cywilów, łaźniach, w których zagazowano ludzi, o Pattonie, który zwymiotował w Ohrdruf, o wyzwoleniu przez Brytyjczyków Bergen-Belsen, o wizycie Eisenhowera w tych obozach. Słuchając tego wszystkiego, przerywają robotę. Wbijają łopaty w niemiecką ziemię i opierają się na nich. Zaciągają hamulce samochodów i splatają ramiona na kierownicy, podczas gdy kolega kontynuuje opowieść przez okno wozu. Większość z nich spluwa, mówiąc niewiele więcej niż tylko „pieprzone Szwaby”. Jezu. Niektórzy dodają: dobrze, że to nie oni brali udział w wyzwalaniu kogoś z tych obozów. Boże. Ci wszyscy dzielni Amerykanie jeszcze jakiś czas stoją bez ruchu. Potem znowu zabierają się do pracy.

Bandy czuje, że to wszystko, co usłyszeli o obozach, to dla nich za wiele, by mogli sobie z tym od razu poradzić. Utrwała na kliszy wyraz ich oczu i zaciśniętych ust, gdy do wieści o niedawnej śmierci prezydenta Roosevelta doszły te przerażające informacje. Wieńce i znicze złożą innym razem. Kiedy będzie mniej roboty, kiedy już minie niebezpieczeństwo grożące w dniach wojny. Ci ludzie od początku postawili sobie za zadanie wygrać tę wojnę. Ostatnie straszliwe relacje nie mogą już bardziej utwierdzić ich w tym postanowieniu. W obiektywie Bandy widzi, że pracują teraz szybciej, kopią bardziej zawzięcie. Przypuszcza, że robią to z myślą o zmarłym prezydencie i z pewnością dla ofiar obozów. Ale także dla rodziców i ukochanych w kraju, dla kumpli, których z nimi już nie ma, i dla tych, którzy jeszcze są.

Bandy także spluwa na ziemię. Widział wojnę, oglądał śmierć, być może częściej niż wszyscy inni w armii. Ale nic, czego był świadkiem w dziesiątkach miejsc w ciągu dziewięciu lat pracy korespondenta wojennego, nie dorównuje bestialstwem tym zbrodniom. Wszyscy wiedzą, że Niemcy prześladowali Żydów. Mówiło się także o obozach pracy, o obozach koncentracyjnych. Ale zagłada całego narodu? Czy na tym polega nowoczesna koncepcja wojny?

Bandy jest wstrząśnięty. A co gorsza - z niechęcią się do tego przyznaje - głęboko sobą rozczarowany.

Już od jakiegoś czasu zaczął odczuwać potrzebę walki. Dziś miałby ochotę chwycić broń i zastrzelić kogoś z Niemców, całą ich gromadę.

Zawsze chciał obserwować i utrwać to, co widzi. Przez większość swego dorosłego życia miał do czynienia z przemocą i brutalnością. Ile jeszcze może znieść? - rozmyśla.

Ma wokół siebie tysiące żołnierzy. Po drugiej stronie Łaby maszeruje dalszych dwadzieścia tysięcy. Któryś wreszcie da mu broń, gdy zacznie się walka. To nie będzie trudne.

Bandy wie, że zbliża się do jakiejś granicy, swojej granicy.

Musi dotrzeć do Berlina.

Wciąż chodzi mu o Historię, o robienie zdjęć i oglądanie ich potem na pierwszych stronach gazet. Ale teraz jest w tym coś jeszcze. Bandy chce zobaczyć koniec, a to nastąpi w Berlinie.

„Cyrk z Hołotą” przydzielił mu jeepa. Bandy spędza przedpołudnie objeżdżając przyczółek. Fotografuje ludzi i ich krzątanie. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin ten dość słaby punkt nad rzeką stał się prawie nie do zdobycia. 83 Dywizja sama w sobie jest bardzo silna. Teraz ma przy boku, tu na brzegu Łaby, chłopców z „Piekiła na Kólkach”, czyli 2 Dywizję Pancerną.

Dwójka dała się wyprzedzić „Cyrkowi” w drodze nad Łabę i stoi im to kością w gardle. Bandy zatacza jeepem łuk w kurzu i kieruje się nad rzekę, by porobić zdjęcia rywalizującej z nimi dywizji podczas przeprawy na drugą stronę mostem Trumana.

Nie można powiedzieć, by ludzie z „Cyrku” nie byli z siebie dumni. Ich przyczółek, Barby, jest już umocniony. Wczoraj parę kilometrów na północ żołnierze Dwójki dwukrotnie próbowali postawić stopę na tym brzegu. Zostali jednak przez Niemców wyparci, zanim zdążyli połączyć pontony tworzące most. Batalion broniący przyczółka zaatakowały niemieckie oddziały pancerne, a ponieważ Amerykanie nie mieli odpowiedniego sprzętu, musieli się wycofać na zachodni brzeg. Jak dotąd, Barby nie było niepokojone. Zdaniem Bandy'ego, przyczółek jest zbyt rozległy i dobrze broniony. Powinien wytrzymać niemiecki napór.

Wśród żołnierzy mówi się, że gdy tylko Dwójka przeprawi się przez rzekę, obie dywizje 9 Armii ruszą ramię w ramię na Berlin. W nocy przez Łabę przerwano drugi most, tak więc korzystając z pomocy innych dywizji zgromadzonych na zachód od rzeki, Amerykanie będą mogli szybko sformować armię pięćdziesięciu tysięcy dobrze zaopatrzonych i uzbrojonych w broń ciężką żołnierzy. Nastroje na rozszerzającym się przyczółku są smutne, ale wszyscy rwą się do walki. Diesle pracują, słychać też inne odgłosy świadczące o tym, że ludzie chcą jak najszybciej wyruszyć. Buldożery wyrównują brzeg rzeki. Powstaje prowizoryczna droga dla potężnych ciężarówek, które ciągną wielkie działa polowe. Bandy słyszał, że patrol zwiadowczy Osiemdziesiątki Trójki dotarł już do miasteczka Zerbst leżącego zaledwie siedemdziesiąt dwa kilometry od Berlina. Szesnaście kilometrów dalej rozpoczyna się wielka, szeroka, czteropasmowa autostrada prowadząca prosto do Poczdamu i stolicy Rzeszy. Amerykańskie wojska gromadzące się nad Łabą są dobrze zorganizowane i pewne swej siły. Nie ma dla nich przeszkód.

Są doniesienia, że czerwoni przystąpili do ofensywy. Według radiostacji alianckich, napotkali jednak silny opór wzdłuż całej linii, zwłaszcza pod Seelow. Nie ma mowy, myśli Bandy, by Niemcy poddali się Rosjanom. Będą się bronić zębami i pazurami. Jeśli Eisenhower pozwoli ludziom z Dziewiątki

ruszyć naprzód, to Bandy wjedzie swoim jeepem do centrum Berlina, zanim czerwoni zdążą nawet podejść pod miasto. Amerykanie szybciej pokonają te osiemdziesiąt kilometrów niż Rosjanie swoje sześćdziesiąt cztery, które dzieli ich od celu. Bandy mógłby się o to założyć. Jutro wieczorem, a najdalej pojutrze, będzie już układał podpisy pod zdjęcia zrobione w stolicy wroga. Wojna się skończy.

Podjeżdża jeepem do brzegu. Wyjmuje speed graphica i tuzin filmów. 2 Dywizja za mostem Trumana wygląda jak ociążały olbrzym. Niecierpliwi żołnierze „Cyrku” sprowadzili tu jeden z autobusów, które skonfiskowali w Barby. Pomalowali go na czerwono z żółtymi jezorami płomieni nad kołami i podarowali chłopcom z „Piełka na Kólkach”, dając im w ten sposób do zrozumienia, by szybciej się ruszali. Podobno ludzie z Dwójki zmiażdżyli autobus czołgiem.

Bandy fotografuje żołnierzy stłoczonych na platformach półtonówek i ucze-pionych czołgów niczym skorupiaki. Gdy mija jeepem wjazd na most, machają do niego i pokazują, wzorem Churchilla, V - *Victory*. Wielu krzyczy w kierunku aparatu: „Cześć, mamol!” Ci mężczyźni i chłopcy, przeprawiający się przez Łabę, działają na Bandy'ego pokrzepiająco. Dwójka prezentuje się jak prawdziwa dywizja bez tej całej kolekcji prywatnych pojazdów, które włączyła do służby Osiemdziesiątka Trójka. Bandy podziwia werwę chłopców z „Cyrku”, ale widok regularnej kolumny wojskowej jadącej z turkotem w głąb Niemiec, uzbrojonych po zęby żołnierzy, budzi jego uznanie. Kończy ostatni film i chowa speed graphica. Siedzi w jeepie i pozdrawia ruchem ręki przejeżdżających ludzi z „Piełka na Kólkach”.

Po półgodzinie dostrzega, że odstęp między pojazdami robią się coraz większe. Kolumny jadące dwoma mostami stopniowo rzadną. Według jego oceny 2 Dywizja Pancerna powinna przeprawić się na drugi brzeg i utworzyć tam przyczółek jeszcze przed wieczorem. Skąd ten przestój? Przez rzekę nie przedostała się jeszcze nawet jedna trzecia dywizji.

Wysiada z jeepa i zatrzymuje krytą ciężarówkę dostawczą, jedną z niewielu na moście Trumana.

Samochód zwalnia. Bandy wskakuje na stopień przy szoferce.

- Hej - zagaduje kierowcę - gdzie reszta z was, chłopaki? Kierowca wzrusza ramionami. Wskazuje brudnym kciukiem za siebie.

-Tam.

- Dlaczego nie jadą? Czy Dwójka nie przeprawia się na drugą stronę?

Żołnierz ponownie wzrusza ramionami.

- Chyba nie.

- Co się stało?

- Ktoś opuścił szlaban.

Bandy spogląda na most. Nadjeżdża jeszcze tylko jedna ciężarówka, jest tuż za nimi. Kierowca naciska klakson.

- Co się stało? - pyta ponownie Bandy. - Co z Berlinem?

- Nie mam pojęcia. Mówią: ktoś opuścił szlaban.

Bandy prawie spada ze stopnia.

Kierowca wzrusza ramionami po raz ostatni.

- Muszę jechać, chłopie. Zrobisz mi zdjęcie?

Bandy zeskakuje na ziemię.

- Hej! - krzyczy tamten, odjeżdżając. - Zrobisz czy nie?

Bandy macha mu ręką.

Żołnierz naciska na gaz, by oddalić się od ciężarówki siedzącej mu na zde-rzaku, ostatniej na obu mostach.

Bandy wsiada od swojego jeepa i rusza mostem Trumana na zachód. Jeszcze dwadzieścia minut temu jazda w tym kierunku byłaby niemożliwa. Cała armia amerykańska jechała w przeciwną stronę.

Znalazłszy się na zachodnim brzegu, Bandy chciałby rozpędzić jeepa i jak najszybciej dojechać do ratusza w Barby, stanowiska dowodzenia 83 Dywizji. Tymczasem musi kluczyć między stojącymi obok siebie samochodami, ciężarówkami, czołgami i dziwnymi środkami transportu „Cyrku z Hołotą”, które stłoczone w miasteczku, czekają tylko na rozkaz, by pomknąć ku autostradzie. Zastawiają uliczki, chodniki, alejki, nawet podwórza. Cięższe pojazdy Dwójki nie stoją w kolejce do mostów, nigdzie ich nie widać - zostały usunięte poza Barby. Tam mają więcej miejsca. W miarę jak natrafia na zablokowane uliczki i musi oddalać się od rynku, Bandy niecierpliwi się coraz bardziej. Bierze plecak z aparatami i porzuca jeepa. Czuje pulsowanie w postrzelonym udzie, ramię boli go od zawieszzonego na pasku ciężaru. Odzwyczał się od tego w ostatnich tygodniach. Teraz ból powrócił.

Ktoś opuścił szlaban? Berlin jest pół dnia drogi stąd. Osiemdziesiąt kilometrów! Za kilka godzin dwie pełne dywizje mogłyby już być na drugim brze-gu Łaby, następna albo nawet dwie o zmierzchu. Ruszyłyby w drogę przed świtem, a o wschodzie słońca dotarłyby na przedmieścia z całym sprzętem, bronią i zaopatrzeniem. Rosjanie są zablokowani. Niemcy nie dopuszczają ich tak łatwo do Berlina.

Kto opuścił szlaban?

Im bliżej jest odpowiedzi, tym bardziej utwierdza się w przekonaniu, że wie, co usłyszy.

- Ike - odpowiada na jego pytanie major w ratuszu.

- Ike - powtarza Bandy.

- Rozkaz przyszedł dziś rano. Mamy umacniać przyczółek, ale go nie roz-szerzać.

- Dlaczego?

Oficer spluwa. Spogląda w dół i uzmysławia sobie, że splunął na podłogę własnego biura. Trudno.

- Panie Bandy, jestem oficerem. Niech mi pan nie zadaje takich pytań. Gdybym ja o to zapytał, też nie otrzymałbym odpowiedzi. Jasne?

Na ścianie za plecami majora wisi mapa. Niebieskie pionowe linie oznaczają przewidywane postępy i miejsca postoju amerykańskiej 9 Armii między Łabą a Berlinem. Takie były plany.

- Panie Bandy. - Major wysuwa papierosa z prawie pustej paczki i częstuje gościa. - Nie mogę powiedzieć, co myślę o tej decyzji zatrzymania nas nad Łabą. Ale bardzo bym chciał usłyszeć, jak ktoś to głośno powie za mnie.

Bandy zapala papierosa od podsuniętej mu zapałki. Zaciąga się głęboko. Major robi to samo i obaj wydychają dym, wypełniając nim dystans, jaki ich dzieli. Bandy odczuwa to wyraźnie.

- To najgłupsza pieprzona decyzja, z jaką spotkałem się w życiu.

Major czeka. Obraca w palcach papierosa.

- Chyba dla nas wojna się skończyła - mówi.

Bandy podnosi papierosa do ust. To coś swojskiego, coś, co pozwala zająć rękę, gdy w środku skręcają się wewnętrzności.

- Ale mówię panu - dodaje major, odwracając się do mapy. Stuka palcem w serce miasta. - Dla Berlina to jeszcze nie koniec. Czerwoni rozerwą go na strzępy.

16 kwietnia 1945, godzina 14.50

Goethestrasse

Charlottenburg, Berlin

Lottie lekko obejmuje matkę, nie chce, by silniejszy uścisk ją zdradził. Mutti od razu zapytałaby, o co chodzi.

- Do widzenia, *Liebchen* - szepcze matka z ustami przy jej uchu. - Graj najlepiej, jak potrafisz.

Lottie wysuwa się z jej objęć. Ma na sobie ciemny męski garnitur. *Mutti* wyciąga rękę, by poprawić jej krawat przy kołnierzyku koszuli, a potem przesuwa dłońmi po ramionach i rękach córki. Od czasu, kiedy miesiąc temu smokingi członków orkiestry zostały wyekspediowane na południe do aliantów, obie męczą się z wiązaniem krawata. Julius próbował nauczyć tego *Mutti*, ale wciąż nie najlepiej jej to idzie.

- Och - mówi matka, niezadowolona, i chce jeszcze raz poprawić węzeł.

- Dobrze już, zostaw - strofuje ją Lottie. - To nie ma znaczenia.

Freya opuszcza ręce. Lottie widzi po jej minie, że miałyby ochotę powiedzieć: „Wszystko ma znaczenie”, ale się powstrzymuje. *Mutti* cofa się o krok, dając znak córce, że wygląda dobrze i może iść na koncert.

- *Mutti*.

Lottie spogląda na swą urodziwą matkę.

Rosjanie nad ranem rozpoczęli atak na Berlin. Wszyscy już o tym wiedzą. Mieszkańców wschodnich rejonów miasta obudził odległy ryk artylerii. Natychmiast chwycili za słuchawki telefonów, przeciążając już i tak nieliczne działające linie. Wiadomość błyskawicznie rozeszła się po mieście przekazywana z ust do ust, jak mówią berlińczycy, za pośrednictwem *Mundfunk*. Wczesnym popołudniem w radiu zakomunikowano oficjalnie, że Rosjanie rozpoczęli natarcie nad Odrą, sześćdziesiąt cztery kilometry na wschód od Berlina. Na zachodzie zaś Amerykanie zatrzymali się nad Łabą.

Mutti i Lottie przez cały dzień nie rozmawiały o tych okropnych wieściach. Sąsiedzi, których spotkały rano, kiedy szły po wodę, także nic nie mówili. Wszyscy zajęli się własnymi sprawami, zachowując typowo niemiecką rezerwę. Nie przywitali jednak matki i córki zwykłym „dzień dobry, paniom”. Teraz berlińczycy pozdrawiają się inaczej, mówią: *Bleib übrig* - pozostań przy życiu.

Godzinę temu na Goethestrasse doręczono wiadomość. Lottie przeczytała ją na osobności. Wzywano ją do gabinetu doktora von Westermanna w budynku filharmonii godzinę przed dzisiejszym koncertem. Lottie nie powiedziała matce prawdy. Skłamała, że ma dzisiaj grać jako druga wiolonczela, bo starszy wiolonczelista zachorował. Zawiadamią ją, żeby przyjechała wcześniej i przećwiczyła swoją partię. Ubrała się na gorze. Do futerału z wiolonczelą zapakowała sweter i szczotkę do włosów.

Teraz zaś usiłuje pożegnać się z matką.

- Tak? - pyta zachęcająco matka, czekając, by Lottie dokończyła, co zaczęła mówić.

- *Mutti*, będziesz... będziesz na siebie uważała? Freya uśmiecha się łagodnie.

- Tak, *Liebchen*.

- Sprzedałaś już tę żółtą gwiazdę?

- Nie. Wstrzymałam się z tym jeszcze.

- Nie czekaj dłużej. Sprzedaj ją dzisiaj.

- Przestań się martwić, Lottie. Rosjanie tak od razu tu nie wkroczą. - Freya kładzie dłoń na policzku córki. - Mamy jeszcze czas. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

- I nie rób już żadnych głupstw. Jak z tym ohydny koniem. Gdyby mnie wtedy nie było, co by się z tobą stało?

- Ale byłaś.

- Wszystko jedno, proszę cię...

- Postaram się, *Liebchen*. Żadnych głupstw do końca dnia.

Lottie rozpiesza świadomość, że wyjedzie z Berlina, z tego domu, że ucieknie przed niebezpieczeństwem. Chciałaby powiedzieć *Mutti* prawdę: że dziś orkiestra zagra swój ostatni koncert. O zmierzchu Lottie uda się do autobusu i wyjedzie z kolegami na zachód, do Amerykanów. Nie będzie jej tu, nie ochroni swej ufnej, kochanej matki. To ją będą chronić.

Przysięga sobie w duchu, że wróci, gdy tylko będzie mogła. Obrzuca spojrzeniem salonik, meble i ściany, które zostawia, schody prowadzące na górę. I korytarz, żółte drzwi.

Czy on zaopiekuje się *Mutti*?

Będzie musiał troszczyć się o siebie. Na pewno nie pomoże matce.

- Lottie?

- Tak?

- Boisz się?

- Tak, *Mutti*. Boję się.

Freya przytula się do córki. Bierze ją w ramiona.

- Zagrasz wspaniale. Partia drugiej wiolonczeli nie może być tak bardzo trudna.

- Nie.

- No. - Freya całuje ją w nos. Robi krok do tyłu i obejmuje wzrokiem po stać córki w wyjściowym stroju.

Lottie się uśmiecha.

- *Mutti*, pożegnaj Żyda... - Lottie urywa - pożegnaj ode mnie Juliusa.

Freya unosi głowę. Uśmiecha się, uważając to za swoje małe zwycięstwo.

- Dobrze. Oczywiście. Będzie z ciebie bardzo dumny.

Lottie mogłaby tak stać i przedłużać chwilę pożegnania, zdradzając przy tym swoje plany i niepokój. Musi iść.

Bierze futerał z wiolonczelą. Freya otwiera frontowe drzwi i Lottie wychodzi. *Mutti* zostaje w holu. Jedną rękę opiera wysoko o drzwi, gotowa je zamknąć, gdy Lottie odwróci się i pójdzie. Matka i córka stoją w pewnej odległości, ale nie robią żadnego ruchu, by się rozstać.

Dzień zapowiada wiosnę. Kosy śpiewają na dachach i pośród gruzów. Nie ma dla nich gałęzi, na których mogłyby się popisywać. Zaprasza je bezkresne błękitne niebo. Lottie ma wrażenie, że świat przyzywa ją do siebie: chodź.

Odwraca się od matki i robi kolejny krok przed siebie. Drzwi za jej plecami zamykają się cicho.

Taszczy wiolonczelę do przystanku tramwajowego przez pięć przecznic. Po drodze widzi berlińczyków stojących w kolejkach po żywność albo po ubrania. Plotkują i narzekają, jak zwykle. Inni, z podniesionymi głowami, idą do biur,

sklepów i fabryk. Wrażenie normalności zostaje zakłócone, gdy dwie starsze panie uśmiechają się na widok Lottie w męskim ubraniu i z wiolonczelą. Uśmiechy są smutne i pełne niepokoju. Dosiągają Lottie, gdy przechodzi obok. Kobiety ściszym głosem mówią do niej: - *Bleib übrig*.

Tramwaj jedzie w stronę Tiergarten i budynku filharmonii. Za oknem widać głównie zrujnowane zabudowania. Na ocalałych fragmentach ścian można przeczytać napisy, których jeszcze wczoraj tu nie było: „Berlin pozostanie niemiecki”, „Zwycięstwo albo niewola!”, „Ufajcie Hitlerowi”. Lottie przypuszcza, że wymalowały je dzieci. W jednej ręce miały pędzel, w drugiej broń, a w kieszeni - woreczek ze śniadaniem od matki.

Dotarwszy do filharmonii, Lottie od razu udaje się do gabinetu doktora von Westermanna. Puka do drzwi, a gdy słyszy dochodzące ze środka zaproszenie, wchodzi, ciągnąc za sobą wiolonczelę.

Szef orkiestry nie wstaje z fotela. Jego gabinet jest zawalony stosami partytur. Wygląda na to, że von Westermann i jego pracownicy zamierzają wszystko to gdzieś ukryć.

- Lottie - mówi. - Usiądź.

Lottie stawia wiolonczelę pod ścianą, a potem zajmuje krzesło po drugiej stronie biurka.

- Dostałaś ode mnie wiadomość. To dobrze.

- Jestem gotowa - odpowiada Lottie.

- Tak. Na pewno. Słyszałaś komunikaty. Lottie kiwa głową.

- Lottie.

- Tak, proszę pana.

- Sytuacja się zmieniła. Żołądek podchodzi jej do gardła.

- Co takiego?

Von Westermann składa dłonie, uderzając opuszkami palców jednej ręki o drugą. Czeką, aż Lottie się uspokoi. Nie może sobie pozwolić, by kobieta podniosła głos w jego gabinecie i jeszcze w dodatku zaczęła mówić coś o tajnym planie.

- Przykro mi - mówi Lottie. Zaciska w pięści dłonie, które trzyma między udami.

- Wciąż zaskakujesz mnie swoimi reakcjami, moja droga. Ale to moja wina, nie twoja. Aby nie było nieporozumień, pozwól, że ci wyjaśnię.

Lottie przetyka ślinę.

- Dobrze, proszę pana.

- Oficjalnie program dzisiejszego koncertu jest taki, jaki ćwiczyliście na próbach. Uwertura *Egmonta* Beethovena. Podwójny koncert Brahmsa. I *Tod und Verklärung*.

Von Westermann wskazuje stopy partytur leżące na podłodze.

- Zabraliśmy je z pulpitów orkiestry. Program został zmieniony na prośbę ministra Speera. Zagracie jego ulubione utwory, orkiestra dobrze je zna. *Koncert skrzypcowy* Beethovena i *Symfonia romantyczna* Brucknera. Ale rozpoczniecie od *Die Götterdämmerung*.

Zmierzch bogów. Zmierzch świata.

- To sygnał - stwierdza Lottie.

Von Westermann znowu uderza opuszkami palców o siebie, obserwując reakcję Lottie. Ona jednak nic więcej nie mówi.

- Tak. Dzisiejszego popołudnia odbędzie się ostatni koncert Filharmonii Berlińskiej w czasie wojny. Domyślałaś się tego.

- Tak, proszę pana.

- Ale, jak wspominałem, w naszym planie zaszyły zmiany.

Lottie oblizuje wargi.

- Odbędzie się głosowanie - mówi kierownik.

- Co? Kiedy?

Von Westermann unosi palec, by ją uciszyć, ale nie przykładając go do warg.

- Wczoraj. Wezwaliśmy tylko tych, którzy wiedzieli o planie.

- A ja?

- Ciebie nie.

Lottie zaciska leżące na kolanach ręce.

- Nie było takiej potrzeby. Wiedzieliśmy, jak zagłosujesz.

- W jakiej sprawie?

- Orkiestra nie wyjedzie z Berlina.

Lottie kuli się na krześle. Traci oddech. Płuca rozpaczliwie domagają się powietrza.

Von Westermann ciągnie dalej:

- Olbrzymia większość zdecydowała się zostać. Ze względów rodzinnych albo emocjonalnych. Z różnych powodów. Ponieważ tak zagłosowano, ja tak że zostanę.

Lottie porusza ustami. Jej ramiona i nogi przygniata wielki ciężar. Dłonie są jak przywiązane do poręczy krzesła. Do oczu napływają łzy.

Szef orkiestry znowu unosi palec. Tym razem macha nim w powietrzu, jakby wymazywał coś, czego nie chciał napisać.

- Lottie droga, nie, nie, nie. Powinienem był powiedzieć ci to na początku. Ty możesz wyjechać.

Lottie wciąga powietrze, te wszystkie informacje padają zbyt nagle. - Mogę... mogę...

- Tak, moja droga. Wieczorem, po dzisiejszym koncercie, adiutant ministra Speera będzie czekał w samochodzie przed Beethovensaal. Wyjeżdża Gerhard

Taschner z żoną i dwojgiem dzieci. I córka wiolonczelisty Geoga Diburtza. Pojadą na południowy zachód, do Bayreuth, dokąd w zeszłym miesiącu wyeksponowaliśmy instrumenty i smokingi. Jest tam już armia amerykańska. Wsta-
wiłem utwór Wagnera do programu na wypadek, gdyby któryś z muzyków
jeszcze zmienił zdanie.

Von Westermann zaciska usta, przypominając sobie zebranie, na którym po-
stanowiono zostać w Berlinie i stawić czoło Rosjanom.

- Wątpię jednak, czy znajdzie się ktoś taki.
- Będzie samochód?
- Tak. Możesz po koncercie wsiąść do niego z wiolonczelą.

Lottie ma ochotę usłyszeć jeszcze raz: czy rzeczywiście wyjedzie z Berlina? Tej nocy? Naprawdę są tam już Amerykanie? Chciałaby się upewnić, że ten dziwny von Westermann czegoś nie pomylił albo nie zapomniał o czymś po-
wiedzieć.

Kierownik rozkłada ręce.

- Cóż...
- Więc oni zostają.
- Tak, Lottie. Orkiestra Filharmonii Berlińskiej zostaje.

Lottie wychodzi na korytarz poruszona tą wiadomością. Jak ci starsi panowie mogli się na coś takiego zdecydować? Speer zwolnił kilku z nich ze służby w Volkssturmie, owszem. Ale nie ominą ich bomby, kule i pociski artyleryjskie. Nie zostawią ich w spokoju te bestie z SS, szukające po domach „ochotników”.

Młody koncertmistrz Taschner zdaje sobie sprawę z tego, że musi uciekać. Reszta zostaje, jest więc miejsce dla jego rodziny. Diburtz także wysyła córkę z miasta. To mądrzy ludzie. Wcale nie tchórze. Realiści.

Lottie przychodzi do głowy, że mogłaby pobiec do domu po *Mutti*. Jest przecież miejsce w samochodzie do Bayreuth. A jeśli nawet by zabrakło, mogłaby po prostu zostawić wiolonczelę. Ale *Mutti* nie zechce wyjechać. Nie ma sensu ludzić się, że będzie inaczej.

Lottie jest spóźniona. Gdy wchodzi do Beethovensaal, większość orkiestry znajduje się już na scenie. Stu pięciu muzyków trzyma w dłoniach swoje instrumenty. Tuby i basy z hałasem ustawiane są na miejscach, strojone skrzypce wydają przeciągłe jęki, rozgrzewają się zimne mosiężne waltornie i trąbki. Drewniane instrumenty grają szybkie i lotne solówki. Lottie kluczy z wiolonczelą przez gąszcz pulpity, kolan i instrumentów, starając się nie trącić niczego ani nie uszkodzić swego galiano. Zajęci koledzy witają ją skinieniem głowy albo w ogóle nie zwracają na nią uwagi.

Lottie nie wie, kto z orkiestry został wtajemniczony w plan ucieczki. Strojąc wiolonczelę, przebiega wzrokiem po twarzach muzyków. Kto narzekał na zmiany w dzisiejszym programie koncertu? Kto uśmiecha się do niej dyskretnie,

żegnając ją w ten sposób? Kto siedzi bardziej wyprostowany niż zwykle, unosi podbródek, wiedząc, że to jego ostatni koncert przed upadkiem miasta?

O piątej koncert się zaczyna. Barokowa czerwono-złota sala jest pełna. Minister Speer siedzi sztywno tam gdzie zazwyczaj, pośrodku pierwszego rzędu. Von Westermann i jego żona zajmują miejsca w łoży. Wszyscy na widowni są w płaszczach. Beethovensaal jest nie ogrzewana. Wielką salę oświetlają jedynie żółtawe płomienie świec. Zwykle o tej porze dnia nie ma prądu - palą się tylko lampki na pulpitych muzyków. Speer wyczarował jakąś niezwykłą atmosferę podczas tego ostatniego koncertu.

Przy akompaniamencie oklasków na scenie pojawia się Robert Heger. Kiedy bierze batutę i wchodzi na podwyższenie, sala się ucisza. Lottie unosi smyczek wraz z innymi wiolonczelistami. Zamierza zagrać najlepiej, jak potrafi, tak jak życzyła sobie *Mutti*.

Chwilę przed rozpoczęciem koncertu Lottie nagle zauważa, którzy z muzyków wiedzą. Wyróżniają się spośród innych, jakby bił od nich jakiś blask. Trzydziestu, czterdziestu ludzi, prawie połowa orkiestry. Wszyscy, którzy głosowali za pozostaniem w Berlinie do końca, unoszą głowy i poruszają szczękami nawet mimo przytkniętych ustników. Wielu próbuje powstrzymać łzy, innym toczą się one po policzkach. Gdy Heger podnosi batutę, by zacząć koncert, Lottie czuje, jak te emocje elektryzują atmosferę.

Zaczyna bęben, tragicznie i powoli, na żałobną nutę. Odpowiadają mu tuby. Przyłączające się basy pogłębiają ton. Heger zamaszystymi ruchami ożywia kolejno całą orkiestrę, by opowiedzieć Wagnerowską historię o knowaniach bogów, o pogrzebie Zygryda, poświęceniu Brunhildy, która przybywa na koniu i rzuca się na stos pogrzebowy ukochanego, by się z nim połączyć po śmierci, a wreszcie - o zagładzie Valhalli i całego świata.

Lottie gra lekko i precyzyjnie. Po raz pierwszy słyszy nie tylko własną partię, ale ogarnia całość, odczuwa pasję, z jaką gra orkiestra. Przy rozwinięciach zamyka oczy i przesuwając smyczkiem po strunach, nawet gdy następują pasaże, których, jak sądziła, nie zna na pamięć. Pograża się w muzyce, i to tak bardzo, że pozwala jej się unosić. Serce podpowiada, jak grać.

Orkiestra gra *Die Götterdämmerung*, jakby ten utwór tu i teraz był sygnałem, gigantycznym dzwonem na wieży, który bije na alarm. Kiedy kończą, rozlega się aplauz, jakiego Lottie jeszcze nie słyszała. Oklaski trwają pięć minut. Muzycy siedzący wokół niej wymieniają spojrzenia, niektórzy podają sobie ręce. Świadomość, że dokonali czegoś wielkiego, niemal zapiera im dech w piersiach.

Dalsza część występu przebiega wartko, jednak brakuje jej Wagnerowskiego dostojeństwa. Trzydziestotrzyletni Taschner gra *Koncert skrzypcowy* Beethovena bez zwykłej brawury. Wydaje się zamyślony i jakby zmęczony. Być może jego wyjazd z rodziną jest traktowany przez pozostałych muzyków jako coś niegodnego. W każdym razie orkiestra gra Beethovena z pamięci.

Heger kończy finałową nutę. Publiczność nagradza filharmoników ciepłymi oklaskami, ale nie mogą się one równać z tymi, które nastąpiły po Zmierchu bogów. To był szczególny występ. Lottie będzie go pamiętać do końca życia. Dyrygent wskazuje batutą Gerharda Taschnera, któremu należą się oklaski jako soliście. Taschner kłania się nisko ostatni raz. Potem ze skrzypcami w rękę schodzi ze sceny.

Wychodzi? Teraz? Nie czeka do końca, na Brucknera? Koncertmistrz znika. Lottie spogląda w stronę pierwszego rzędu, gdzie przed sceną, klaszcząc w dłonie, stoi minister Speer w brązowym płaszczu z paskiem. Minister odwzajemnia spojrzenie Lottie. Wypowiada ustami jedno słowo: idź.

Lottie przebiega spojrzeniem przez ciemną salę w kierunku łoża von Westermanna. Gruby dyrektor orkiestry przestaje klaskać i wyciąga rękę takim gestem, jakim wskazuje się krzesło. Tam jest wyjście, mówi w ten sposób. Idź tam. No już.

Heger odwraca się do orkiestry i macha batutą, dając znak muzykom, by się uklonili. Wszyscy więc wstają. Drobnym schludnym wiolonczelista o silnych żyłastych rękach, *Herr Kleber*, który stoi z lewej strony Lottie, bierze jej galiano.

- To cię opóźni, moja droga. Zaopiekuję się nim.

Z prawej strony na tle oklasków rozlegają się inne przyciszone głosy.

- Zaczniј kasłać. Płakać. Rób coś, dziewczyno. Uciekaj ze sceny.

Heger wstrzymuje się z daniem znaku, by orkiestra usiadła. Ale oklaski zaczynają słabnąć, nie może trzymać muzyków na stojąco dłużej niż kilka sekund. Lottie powinna szybko się odwrócić i zejść ze sceny.

Głowy zwracają się w jej stronę. Twarze rzucają groźne spojrzenia. Dyrektor orkiestry wydyma policzki.

Lottie patrzy w głąb sali oświetlonej słabymi żółtymi płomykami. Myśli o *Mutti*. Czy sprzedała żółtą gwiazdę?

Bierze głęboki oddech.

- *Herr Kleber*.

- Tak, moja droga?

- Dziękuję.

Wyciąga ręce po swego galiano. Siada.

16 kwietnia 1945, godzina 23.40

Gabinet Stalina, Kreml

Moskwa

Podejmuje słuchawkę zaraz po pierwszym dzwonku czerwonego telefonu.

- Tak. Tu Stalin.

- Towarzyszu Stalin, mówi Żukow.

- Proszę meldować. Zdobyliście już Seelow.

Żukow milczy przez chwilę.

- Nie, towarzyszu Stalin. Jeszcze nie.

Stalin stuka cybuchem fajki o stół.

- A to dlaczego, towarzyszu marszałku?

Dał temu bohaterowi spod Moskwy, Kurska i Stalingradu wszystko, czego potrzeba, ludzi i maszyny, jakimi tylko dysponował. Żukow ma przed sobą prostą drogę do Berlina. Jego armia pod względem uzbrojenia dziesięciokrotnie przewyższa siły wroga. Dostał wszystko. I nie może zdobyć jednego miasteczka na wzgórzu!

Żukow zadzwonił na Kreml o trzeciej po południu, żeby złożyć raport. Jego wojska posuwają się ku wyżynie, miażdżąc opór nieprzyjaciela. Przed południem lotnictwo radzieckie unieszkodliwiło bardzo wiele dział na szczycie stoku. Oddziały 8 Armii Gwardyjskiej Czujkowa przedarły się przez dwie pierwsze linie niemieckiej obrony u podnóża wyżyny. Trzecia linia jednak, okopana na samym stoku, okazała się trudna do przełamania. Czujkow nie zdoła przeprowadzić czołgów i dział samobieżnych po stromiznie. Do Seelow można dotrzeć jedynie drogami, a każdy ich odcinek jest potężnie umocniony i broniony przez artylerię na wzgórzu.

W południe Żukow stracił cierpliwość. Wbrew planom wprowadził do walki dwie armie pancerne, które trzymano w rezerwie do czasu zdobycia wyżyny. Wysłał tysiąc czterysta czołgów i dział samobieżnych, by jechały na czele piechoty Czujkowa. Z ich pomocą zamierza przedrzeć się do Seelow.

Takie były ostatnie doniesienia, jakie otrzymał Stalin. Cały dzień czekał na dalsze wiadomości.

A teraz słyszy: nie, jeszcze nie.

- Powiedźcie mi, dlaczego nie.

- Niemcy wzmocnili obronę na wyżynie. Zaatakujemy nocą, towarzyszu Stalin.

- Z użyciem dwóch armii pancernych?

Żukow znowu zwleka z odpowiedzią. Stalin przerywa tę przedłużającą się ciszę.

- Przypominam wam, że nie takie mieliście instrukcje. Nie powinniście byli wysłać Pierwszej Armii Pancernej na odcinek Ósmej Armii Gwardyjskiej. Czołgi miały poczekać do zdobycia Seelow i zostać użyte dopiero pod Berlinem. Wprowadziliście je do walki za wcześnie. A teraz słyszę, że i one za wiodły.

Widzi w wyobraźni, jak Żukow unosi brodę i gwałtownie wciąga w płuca powietrze na dźwięk słowa „zawiodły”.

- Towarzyszu marszałku, jutro zdobędziemy Seelow.

- Opowiedzcie mi, co się stało dzisiaj.

Żukow wyjaśnia: przybycie czołgów z przyczółka kostrzyńskiego utrudniło ruch na terenie Oderbruch. Piechota Czujkowa i działa musiały usunąć się z dróg, bo nadjechały czołgi. Podmokły grunt i liczne strumienie zwolniły natarcie. Pozostało wciąż wiele nie oczyszczonych pól minowych. Nie można sprawnie przemieszczać się naprzód. Artyleria nieprzyjaciela, usadowiona na wzgórzach, okazała się w takich warunkach niezwykle skuteczna.

Żukow wydał właśnie rozkazy przegrupowania i reorganizacji własnej artylerii i rozproszonych wojsk pancernych. Poza tym osiemset radzieckich bombowców atakuje w tej chwili niemieckie pozycje na wyżynie, żeby nie dać wrogom wytchnienia i zniszczyć jak najwięcej ich dział. Idące na czele oddziały 8 Armii Gwardyjskiej Czujkowa wkroczyły na obrzeża miasteczka i wkrótce opanują domy przy głównych drogach.

Stalin nie usłyszał do tej pory nic na temat strat. Żukow uznał, i słusznie, że to go nie interesuje.

- Do północy powinniśmy zdobyć punkt oporu.

Stalin patrzy na zegarek. Zdobycie punktu oporu w Seelow nie robi na nim wrażenia. Zależy mu na Berlinie.

- Jesteście pewni, że jutro opanujecie wyżynę Seelow?

- Macie moje słowo, towarzyszu Stalin. Jutro.

- Będę oczekiwał na potwierdzenie.

- Towarzyszu Stalin...

Stalin przybiera zmęczony ton.

- Tak?

- Może się to okazać nawet korzystne.

- Co macie na myśli?

- Im więcej ludzi Niemcy rzuca przeciwko nam w Seelow, tym szybciej zdobędziemy Berlin. Łatwiej nam będzie rozbić ich siły tu, na otwartym polu, niż w przygotowanym do obrony mieście.

- Jak na razie wcale nie wydaje się to takie łatwe, towarzyszu marszałku.

- No nie, towarzyszu Stalin.

Stalin uznaje, że pora dźgnąć konia ostrogą.

- Koniew posuwa się bardzo sprawnie.

Żukow chrząka.

- To świetnie.

- Zastanawiamy się, czy nie wydać Koniewowi polecenia, by przesunął swoje obie armie pancerne z południa w kierunku Berlina. Nie byłoby też źle, gdyby Rokossowski szybko sforsował Odrę i uderzył na Berlin od północy.

Do Stalina nie dociera żadna odpowiedź. Wyobraźnia znowu podsuwa mu obraz Żukowa krzywiącego się jak od smagnięcia biczem. Żukow pragnie

Berlina, chce mieć własną kartę w Historii. Stalina zaś nie obchodzi, kto zdobędzie miasto - chce je mieć.

- Towarzyszu marszałku?

- Towarzyszu Stalin, rzeczywiście siły Koniewa mogłyby wykonać taki manewr. Ale chciałbym zauważyć, że północny front nie będzie gotów do ataku na Berlin wcześniej niż w przyszłym tygodniu.

I o to chodziło, myśli Stalin. Nie można zbyt mocno smagać muła, bo przestanie odczuwać ból.

Jeśli ktoś stoi teraz obok muła, usłyszy jego ryk, a może nawet dostanie od niego kopniaka. Właśnie w tej chwili.

- Towarzyszu marszałku.

- Na rozkaz....

- Do widzenia.

Stalin odkłada słuchawkę.

Rozdział dziesiąty

17 kwietnia 1945, godzina 0.40

Stok wyżyny Seelow

Niemcy

Ludzie padają w świetle płonących czołgów.

Ilja nie słyszy swoich kroków, ciężkiego oddechu ani szczęką broni podskakującej na plecach i przy boku. Wyginająca się stal i syk prochu dookoła dają wyobrażenie tego, jak może wyglądać pandemonium. Ilja pochyła głowę i biegnie przed siebie. Czeka, kiedy szrapnel rozerwie mu ciało, i jest gotów biec dalej, nawet gdy zostanie trafiony.

Tyle ognia szaleje wokół, że nie ma mowy o jakimkolwiek zaskoczeniu w ciemnościach nocy. Czołgi i żołnierze ostrzeliwani są przez niemieckie działa osiemdziesięcioośmio- i stu pięćdziesięciopięciomilimetrowe, które wałą poprzez otwartą przestrzeń na oślep. Maszyny, jedna po drugiej, zjeżdżają z drogi. Wiele z nich wylatuje w powietrze i zostaje unieruchomionych. Następne muszą je taranować albo omijać na stoku. Z włazów wyskakują ludzie, by nie upiec się w pancernym wnętrzu. Oświetleni przez płomienie, giną od strzałów z broni ręcznej albo karabinów maszynowych.

Ilja biegnie zygzakami, ale nie traci poczucia kierunku. Pędzi na północ przez ostatnie wzgórze. Nie strzela, nie trzyma nawet broni w ręku. Nie toczy swojej walki. Niepotrzebnie do bitwy z udziałem piechoty włączono czołgi. Kompanię Ilji skierowano gdzie indziej, ku północnej krawędzi Seelow. Ale po drodze natknęli się na tę bitwę gigantów, płonących i bezużytecznych.

Jedynym ludzkim dźwiękiem, jaki dociera do Ilji, jest głos Miszy. Mały sierżant woła za nim: „Naprzód! Naprzód!” Gdy tylko rozlegają się strzały, biegnie, ile sił w nogach. Ilja nie przyspiesza, nawet wtedy, kiedy Misza zaczyna deptać mu po piętach. Bez względu na to, jak wolno będzie się przedzierał przez pole walki, Misza i tak nie wybiegnie przed niego.

Ilja prowadzi swój pluton od jednego unieruchomionego, płonącego czołgu do drugiego. Gdy Niemcom udaje się trafić którąś z maszyn, kierują ogień na

następny cel. Widząc to wszystko, Ilja myśli z zadowoleniem o tym, że został piechurzem. Jest taki zwinny w porównaniu z tymi niezgrabnymi olbrzymami. Mniejszy i trudniejszy do namierzenia. Z doświadczenia wie, że w bezpośrednim starciu biegnący człowiek jest o wiele niebezpieczniejszy niż jakikolwiek czołg.

Po ośmiu minutach są już poza rejonem bitwy. Ilja przykuca za wystającym głazem. Czekając na Miszę i resztę plutonu, stara się wyrównać oddech. Odgłosy walki - szcęk stali, trzaskanie płomieni, huk działek - przypominają dźwięki dochodzące z kuźni. Ludzie z plutonu rzucają się pod osłonę głazu, w cień. Niektórym trzęsą się głowy. Ilja liczy żołnierzy. Z pięćdziesiątki, z którą rano ruszał do walki, pozostało czterdziestu czterech. Trzech nie przedostało się przez Haupt Kanał, trzech inni nie przetrwali nocnego natarcia czołgów. Pluton całe popołudnie przeleżał płasko na stoku Seelow. Ludzie nie mogli iść do przodu, ale też nie byli atakowani przez Niemców. Był rozkaz - czekać do zmroku, a potem wkroczyć do miasteczka.

Przed nimi rozciągają się pozostałości spalonego lasu. Stok wznosi się łagodnie. Jeśli będą ostrożni, może uda im się ukryć między poczerniałymi pniami drzew. Ilja nie ma pojęcia, gdzie jest reszta kompanii. Pozostała setka mogła utknąć na polu bitwy razem z czołgami. Dotrą tu, kiedy będą mogli. Czterdziestu pięciu ludzi musi posuwać się ku Seelow.

Ich cel znajduje się pięćset metrów dalej, u szczytu drogi, którą właśnie przebiegli. To trzy budynki z kamienia, które bronią brukowanego wjazdu do miasteczka. Póki pozostaną w rękach Niemców, nie pozwolą radzieckim czołgom przedostać się do Seelow. Zanim nastanie świt, kompania Ilji musi zdobyć te domy. Jego pluton ma za zadanie opanować jeden z nich.

Ilja przygląda się swoim ludziom. Jest gotów do biegu między drzewa.

- Sierżancie Bakow.

Misza przysuwa się bliżej. Blizna na policzku i odstrzelony płatek ucha nadają Miszy wygląd kogoś nieprzewidywalnego, kto może okazać się agresywny.

- Tak, Ilja?

Jeszcze ani razu nie zwrócił się do niego „podporuczniku”.

- Kiedy dotrzemy do najwyższego punktu drogi, podzielimy się na cztery grupy szturmowe. Zaatakujemy pierwszy dom naprzeciw stoku. Pozostałe nas nie interesują.

- Rozumiem.

- Pamiętaj, czego cię uczyłem o walkach ulicznych?

- Tak.

- Ostatnie piętro. Potem środkowe. I parter.

- Dobrze.

- Atak z tyłu stron, z ilu się da.

- Wiem.
- Poprowadzisz jedną z drużyn.
- Ja? Myślałem... Ilja... myślałem, że razem...
- Ty, Misza.

Ilja wstaje. Misza nie podnosi się z kucek.

- Wydaj rozkazy, sierżancie. A potem ruszamy.

Misza patrzy w ciemność. Kiwa głową, jakby odpowiadał jakimś złym mocem, które rozgniewał i którym teraz musi się podporządkować. Ilja kieruje wzrok na spalony las. Wybiera ścieżkę biegnącą przez najbardziej zniszczone miejsca. To zmniejsza ryzyko natknięcia się na zasieki przeciwpiechotne i niewypały.

Czeka, aż Misza zbierze ludzi, objaśni im sytuację i przydzieli zadania. Ilja nie poprowadzi żadnej drużyny. Chce działać sam, robić to, co uzna za stosowne. W pojedynkę, zupełnie niezależnie.

Wraca Misza.

- Zrozumieli wszystko.
- To dobrze.
- Ilja...

Ilja oblizuje wargi, czekając na dalsze słowa Miszy.

- Co?
- Niedługo to się skończy, wiesz.

Ilja zastanawia się nad tą uwagą. Jakoś zapomniał, że wojna może się zakończyć. W ciągu ostatnich czterech miesięcy robił to, co musiał - zabijał Niemców, których spotykał na swojej drodze. Awans i obowiązki dowódcy przyjął z marszu, bez wrażeń. Nie wierzy, że kiedykolwiek zobaczy koniec wojny, bez względu na to, ile trupów zostawi za sobą i jak wiernie będzie służyć swej idei. Po zdobyciu Berlina pojawią się inni wrogowie do pokonania. Amerykanie. Polacy. Japończycy. Może jacyś Rosjanie walczący przeciwko innym Rosjanom. Kto to wie? Zawsze jacyś będą. Świadomość, że może już nie być żadnej wojny, wydaje mu się zaskakująca.

- Ale zanim się skończy - mówi Misza - nadejdzie taki dzień, kiedy to ty pójdziesz za mną.

Ilja zniża głos.

- To dla ciebie ważne, prawda? Takie rzeczy? Kto idzie za kim?
- Tak. Dla ciebie też powinno być ważne. Kiedyś było.

Ilja spogląda na drogę za Misza. Widzi pole usiane płonącymi czołgami i biegnącego między nimi człowieka, całego w płomieniach. Co za różnica w takiej sytuacji, kto idzie za kim? Myśli o tych sześćdziesięciu jeńcach. Który z nich zginął pierwszy? Dostał się gdzieś szybciej? Kto pierwszy zaczął wtedy strzelać? Misza? Jest przez to bardziej przeklęty czy błogosławiony?

Powraca spojrzeniem do Miszy.

- Nadejdą rozmaite dni - mówi, biorąc karabin. - Może nawet taki. W drogę.

Rusza między drzewa. Pluton także wstaje i dzieli się na drużyny. Misza zostaje z nimi.

Marsz przez ostatni odcinek wzgórza przebiega bez zakłóceń. Ludzie znikają w ciemnościach, rozpraszając się między potężnymi pniami drzew. Ilja idzie sam.

Sto metrów od szczytu drogi w powietrze wzbija się biała flara. Ludzie wiedzą, co robić. Mają biec jak najszybciej przed siebie, dostać się jak najdalej, zanim padną pierwsze strzały. Potem paść na ziemię, a w następnej chwili przystąpić do ataku. Żołnierze za Ilją pędzą więc pod górę.

Pojawia się następna flara. Ilja zwalnia i obserwuje przebieg ataku na budynek. Rozlegają się pierwsze serie z karabinów maszynowych. Pluton jak na razie nie odpowiada. Ludzie wciąż zajmują pozycje. W świetle flary Ilja może ocenić, co ich czeka.

Trzy budynki stanowiące cel ataku stoją na obrzeżach ronda z placykiem, który kiedyś, zanim spadł tu pocisk, zdobiła fontanna albo jakiś pomnik. Są trzypiętrowe. Bomby zerwały z nich dachy. Niektóre okna, osmolone od góry, przypominają oczy z czarnymi brwiami. Budynki zostały podpalone, ale ogień nie zniszczył ich na tyle, by nie można się było w środku bronić. Nie da się ich otoczyć. Dopóki ostatni z budynków nie padnie, wewnętrzny placyk stanowić będzie punkt oporu. Misza nie widział ich na mapie, bo inaczej wiedziałby, że stoją w kole.

Pluton otwiera ogień. Pociski z grzechotem uderzają o kamienną fasadę. W górę wznosi się kolejna flara. Ilja widzi, jak drużyny biegnące w stronę budynku rozdzielają się na lewo i na prawo. Okna ostatnich dwóch pięter przesłania chmura pyłu i odprysków.

Z pozostałych dwóch budynków także wystrzeliwane są flary. Widać błyski w oknach. Z jednego z nich wylatuje pocisk pancerfausta, ciągnąc za sobą smugę ognia. Wybucho na ziemi, pozostawiając po sobie lej. Jedna z drużyn znalazła się w ogniu krzyżowym. Po paru minutach musi się wycofać.

Ilja widział to już wcześniej, w Stalingradzie. Jeśli grupa szturmowa nie przypuści ataku przynajmniej z trzech stron, broniący się mogą skoncentrować ogień. Ponieważ pluton Ilji wysunął się znacznie do przodu, nie może liczyć na uzupełnienie amunicji. Cztery drużyny tłoczą się razem i natarcie traci tempo. Sytuacja staje się patowa.

Ilja rusza naprzód. Widzi, że drużyna Miszy ostrzeliwuje budynek. Nie posunęła się dalej od początku ataku.

- Misza.

Nawet w takich warunkach Misza patrzy na niego z wyrzutem. Poprawia się więc: - Sierzancie.

- Coś nie tak? - Misza sądzi, że Ilja przyszedł go zganić.

- Mam dla ciebie inne zadanie. Musimy odszukać resztę kompanii, bo inaczej z ataku nic nie będzie. Powiedz swoim w drużynie, żeby oszczędzali amunicję i starali się utrzymać pozycję. Jeśli nie wrócimy za godzinę, niech pójdą następni dwaj. Przekaż im to, i idziemy.

Kiedy Misza wraca po przekazaniu poleceń, Ilja rusza z nim przez spalony las do wystającego głązu. Siadają w miejscu, skąd mają widok na rozszalałą bitwę czołgów.

Misza nie czeka. Odzywa się pierwszy.

- Wiedziałem, że będę ci potrzebny. Ilja pyta:

- Jak myślisz, gdzie są nasi?

Misza wskazuje piekło na stoku.

- Tam. Utknęli. Strzelają do cieni. Głupie ciołki. - Kiwa głową, jakby znowu otarł się o te niewidzialne moce, od których zależy tej nocy jego los. - Dobra. Musimy tam wrócić. Ty i ja, Ilja.

Ilja odkłada pepeszę obok kamienia. Zdejmuje z pleców karabin i zostawia go także. Misza idzie za jego przykładem.

Ilja, z twarzą bez wyrazu, patrzy przez chwilę Miszy w oczy. Potem wskazuje ręką pole walki, jeszcze bardziej zaciętej niż dwadzieścia minut temu, gdy tędy przechodzili.

- Wy pierwszy, sierzancie. Ja za wami.

Misza marszczy brwi i macha ręką, dając znać, że chętnie zrezygnuje z tego przywileju. Nie ukrywa, gdzie woli być podczas walki.

- Może jeszcze nie nadszedł ten dzień, Iljuszka - śmieje się. - Ale na pewno nadejdzie. To co, pobiegnę za tobą? Ostatni raz, dobrze?

Ilja się zgadza.

Misza głęboko wciąga powietrze.

- No to prowadź, olbrzymie - mówi. Unosząc swoje drobne pośladki jak biegacz gotujący się do startu, wydaje przeciągły okrzyk, który przechodzi w coraz głośniejszy ryk. - Aaaaaaa! - wrzeszczy na całe gardło. - Aaaaaaa! - I rzuca się w sam środek walki. Ilja rusza za nim.

W ciągu następnych dziesięciu minut panuje straszliwy chaos. Narasta zamęt i zgiełk. Misza znacznie wyprzedza Ilję. Przebiega jak zając od jadących z rykiem czołgów i nieruchomych, płonących maszyn do przykucniętych żołnierzy. Pyta przy tym każdego oficera, gdzie może być reszta kompanii karnej. Ilja z trudem za nim nadąża. Misza ogląda się za siebie, sprawdza, czy Ilja dotrzymuje mu kroku. Wydaje się, że atak postępuje do przodu, choć zamieszanie,

jakie spowodowały czołgi, jest przyczyną niepotrzebnej rzezi. Na skutek złego planowania i niecierpliwości Żukowa ofiary w ludziach są znaczne. Wyżyna jednak w końcu padnie. Żołnierze radzieccy i czołgi będą nacierać, dopóki jej nie opanują. Nie brakuje sprzętu i ludzi, a dowódcy nie zawahają się ich poświęcić.

Zgodnie z przewidywaniami Miszy reszta kompanii zatrzymała się w drodze na wzgórze, kryjąc się za czołgami. Ostrzeliwuje broniących się Niemców, choć ich nie widzi i nie może do nich podejść. Pododdział ucierpiał znacznie w całym tym zamęcie podczas ataku na wzgórze. Ilja staje z boku, podczas gdy Misza rozmawia z kapitanem. Wyjaśnia, jak przedstawia się sytuacja na północnym skraju miasteczka, gdzie utknął ich pluton. Przypomina o przydzielonym im zadaniu: jeśli nie zapewnią czołgom możliwości dojazdu do Seelow, nie dostaną się tam nawet po opanowaniu drogi.

Kompania straciła dwunastu ludzi. Kapitan jest chyba zadowolony, że może ich skierować do wyznaczonego zadania, zając się wraz z nimi czymś innym niż bezsensowne leżenie w błocie, strzelanie w ciemności i czekanie, aż porąbią ich na kawałki nadlatujące szrapnele czy rozrywane pociskami czołgi. Zwołuje więc pozostałych przy życiu ludzi i rusza z nimi przez pole walki. Ilja idzie z tyłu, wyrównany poziom adrenaliny w żyłach już go nie gna do przodu. Misza także spokojnie podąża za nim. Po drodze pada jeszcze co najmniej trzech ludzi z kompanii.

Kiedy już przedarli się przez pole bitwy, Ilja i Misza zabierają broń pozostawioną przy kamieniu. Pododdział zmierza między kikuty drzew. Ilja pozostaje nieco z tyłu. Misza odłącza się od reszty i czeka na niego.

- Wyglądasz na wykończonego, Ilja.
- Nic mi nie będzie.
- Jesteś koniem pociągowym. Nie nadajesz się do biegu.
- A ty czym jesteś?
- Ja? Szczurem. Mogę biegać tam i z powrotem całą noc. Blizna Miszy nie przypomina wąsów gryzonia.
- Ilja, mam pewien pomysł.
- Znowu jakieś beczki z materiałami wybuchowymi?
- Mniej więcej. Nie sądzę, żeby to mieściło się w zasadach walki wręcz. Ale przecież ty sam jesteś bronią do takiej walki.

Misza śmieje się i uskakuje w bok, udając, że boi się reakcji Ilji. Zostawia go i podbiega na czoło kompanii.

Kapitan zatrzymuje pododdział na skraju lasu. Wokół budynków panuje cisza. Strzelanina, jaka wybuchła między broniącymi się Niemcami a ludźmi z plutonu, ucichła. Ilja wie jednak, że w każdym oknie tkwi lufa karabinu,

a wrogowie czekają w napięciu, z palcami na spustach. Kompania siada wokół Miszy, który podnosi się na kolana i zaczyna wyjaśniać swój plan.

- Ile mamy rakietnic?

Przybyła kompania ma ich sześć, ludziom Ilji i Miszy zostały jeszcze trzy. Wypada po sześć rac na karabin maszynowy.

- To dużo - stwierdza Misza. - Oto, co zrobimy.

Omawia poszczególne etapy ataku. Ilja uważa, że pomysł jest świetny. Kompania, podzielona na drużyny, zbliży się do trzech budynków ze wszystkich możliwych stron, ostrzeliwując każde dojście poza jednym - prowadzącym do ronda. Na sygnał, którym będzie wystrzelenie pionowo w górę zielonej racy, wycelują rakietnice w okna domów. Niemcy będą przypuszczali, że Rosjanie zamierzają zastosować taktykę walki nocnej. Strzelając flarami w budynek, Misza chce jednak ich oślepić. Przy odrobinie szczęścia któraś raca może nawet wpaść przez okno do środka. W oślepiającym świetle i pod osłoną dymu drużyny otworzą ogień - każda będzie ostrzeliwać z trzech stron ostatnie piętro swego budynku.

Następnie po dwóch ludzi z drużyny podbiegnie do okien, starając się zrobić to niezauważenie. Nie będą się jednak kierowali na wprost, tylko na skos. Zbliżywszy się do budynków, zaczną rzucać granaty w najbliższe okna na pierwszym piętrze i zaraz potem ukryją się pod ścianami. Kiedy granaty wybuchną, każda drużyna ruszy do ataku, opanuje parter swego budynku i zaczeka na resztę ludzi z plutonu. Następnie oczyszczą budynki od wewnątrz.

Kapitan przydziela zadania. Osiemdziesięciu kilku żołnierzy rozchodzi się po terenie. Ilja i Misza podczołgują się do ludzi ze swojego plutonu, którzy zebrani razem siedzą i czekają na dyspozycje. Misza wyjaśnia im dalszą taktykę. Kiedy mówi, żołnierze sprawdzają rakietnice i flary. Dzielią się na grupy i znikają w ciemnościach, udając się na prawo albo na lewo, by zająć pozycje. Misza zostaje w otoczeniu swojej grupy.

Wskazuje młodego szeregowca, szczupłego chłopaka, który sprawia wrażenie zwinnego i szybkiego, podobnie jak Misza. Ilja ledwie przypomina sobie jego twarz.

Misza przywołuje go ręką do siebie.

- Antonie Daniłowiczu. Weźcie dwa granaty.

Ilja czuje coś w rodzaju wstydu. Misza zna imię żołnierza, podczas gdy on, Ilja, nie pamięta choćby jednego nazwiska. Ludzie przychodzą do plutonu i odchodzą tak szybko, z tak różnych i dziwnych powodów. Wszyscy z jakimś piętnem. Ilja rzadko z nimi rozmawia. Prowadzi ich do akcji, idzie na czele. Oni zaś podążają za nim albo nie. Poza walką trzyma się z dala od wszystkich. Od miesiąca rozmawia tylko z Miszą, a i to coraz rzadziej. Przyznaje w duchu, że właściwie nie wyzbył się dawnej pogardy dla ludzi z batalionu karnego - pijusów,

zuchwalców i tchórzy. Prześladowany przez duchy, nie chciał się z nimi bratać z kilku powodów, ale teraz uświadamia sobie, dlaczego ich tak naprawdę unikał. Odzwierciedlają jego własny los. Ilja, dobry żołnierz, z armijnej elity, zawsze uważał, że słabości, które miewają inni, jego nie dotyczą. Nie mógł się więc pogodzić z tym, że należy do takiej grupy. Patrzy teraz na młodego Antona Daniłowicza i znowu zastanawia się, kto za kim na wojnie podąży.

Pierwszy czy ostatni, król czy poddany - wojna i śmierć na to nie zważają. Jest tylko jeden szereg, w którym stają wszyscy.

A sprawa niewinności? Winy? To rzecz drugorzędna. Liczy się co innego. Wojna nie rozstrzyga, kto ma rację, a kto nie. Tylko kto pozostanie na scenie.

Zarzuca pepeszę na ramię, ma tam już karabin. Wyjmuje zza paska dwa granaty, trzyma je w ręce.

- Antonie Daniłowiczu - zwraca się do żołnierza - którą wolicie stronę? Lewą czy prawą?

Chłopak jest wystraszony. Porucznik nigdy nie odzywał się do niego, do nikogo zresztą, oprócz sierżanta Bakowa.

- Towarzyszu - zaczyna, nie panując nad nerwami - ja...

- Pójdzie z prawej - odpowiada za niego Misza, kładąc ręce na dłoniach Ilji.
- A ja z lewej.

Ilja rozwiera place. Misza bierze od niego granaty. Ilja wyjaśnia:

- Poprowadzę drużynę zaraz za wami, sierżancie.

- Tak jest, poruczniku - odpowiada Misza.

Minutę później niebo przecina zielona flara.

W następnych sekundach trzy obsadzone przez Niemców budynki zostają zalane potokami czerwonego i żółtego światła. Wygląda to jak przebiegająca w odwrotną stronę eksplozja - ogień i odłamki wlewają się do środka, zamiast na zewnątrz. Wiele rac trafia w kamienne mury domu tuż przed Ilją. Większość jednak ląduje na ziemi, rozsnuwając dym i zabarwiając go różnymi odcieniami. Parę flar przelatuje obok Niemców, dobrze widocznych w oświetlonych oknach, i dymiąc, upada za ich plecami. Ilja widzi odwracające się głowy, ręce unoszone do oczu i zakrywające twarz. Widzi Miszę i zwinnego chłopaka, którzy ruszają do akcji.

Kompania otwiera ogień w kierunku domu. Do lecących rac dołączają kule. Wokół wszystkich trzech budynków dzieje się to samo. Ilja ostrzeliwuje z pepeszy kamienną fasadę przed sobą. Karabin drga w jego rękach jak silnik. Reszta drużyny robi to samo. W powietrzu śmigają kamienne odpryski. Ilja nie celuje dokładnie. Przesuwa jedynie lufę, rażąc cel całymi seriami pocisków. Kątem oka obserwuje przy tym Miszę.

Mały sierżant porusza się szybko i sprawnie. Przebiega zygzakiem pięćdziesiąt metrów pod deszczem iskier. Ilja nie może się zorientować, czy do niego strzelają. W każdym razie mały Misza nie zwalnia. Kiedy jest już blisko rogu budynku, rzuca jeden z granatów przez okno na pierwszym piętrze. Natychmiast rozlega się wybuch. Misza jeszcze w biegu musiał ustawić bardzo krótki czas detonacji, by nie dać Niemcom szansy na odrzucenie granatu. Nie pada na ziemię, ale pędzi dalej i wrzuca drugi granat przez następne okno. Tym razem wybuch następuje po paru sekundach. To wystarcza, by Misza zdążył schronić się pod ścianą.

Ilja przystaje. Ludzie biegnący za nim także natychmiast się zatrzymują. Reszta plutonu z prawej i lewej strony nadal ostrzeliwuje budynek. Odpalają w jego stronę ostatnie flary. Ilja rusza do biegu.

Pięćdziesiąt metrów przed nim rozciąga się płaski pas ziemi, chodnik, a następnie kilkanaście schodków prowadzących do tylnych drzwi. Ilja kieruje broń w stronę drzwi. W biegu może nie trafić tak celnie, ale ma nadzieję, że położy kryjących się za nimi ludzi i nadweręży drewno na tyle, by móc wyważyć je potem ramieniem. Wskakuje na stopnie i ciągle strzelając, dziurawi drzwi w pobliżu framugi i zawiasów. Dopiero w ostatniej chwili zdejmuje palec ze spustu i odwraca się bokiem. Całą siłą uderza barkiem w drzwi. Wylamuje je i wpada do środka. Przewracając się na podłogę, strzela w rozświetlone flarami kłęby pyłu, powalając cień mężczyzny z podniesionymi do góry rękami.

Ilja przetacza się za wyważone drzwi, by obezwładnić napastnika, który może się za nimi kryć. Ale dym i pył są tak gęste, że nic nie widzi. Znowu więc strzela na oślep w głąb pomieszczenia, a potem usuwa się na bok, żeby przepuścić resztę drużyny. Wpadający do budynku ludzie rozpierzchają się po pokojach zgodnie z tym, czego Ilja uczył Miszę, a Misza swoich żołnierzy. Biorą granaty w ręce i rzucają je w korytarze oraz do pokoi, a dopiero potem wkraczają do środka. Dwóch pozostaje u podnóża schodów, by zablokować drogę ucieczki Niemcom broniącym się na wyższych piętrach. Po oczyszczeniu parteru cała grupa zbiera się, by zlikwidować niedobitki na górze.

Ilja idzie za drużyną. Jest zadowolony z ich akcji. Pozostali żołnierze z plutonu bez przerwy ostrzeliwują wyższe piętra. Coraz więcej ludzi wbiega do budynku. Ilja czuje ból w stłuczonym ramieniu. Próbuje je rozruszać.

Gasnące race oświetlają z tuzin ciał Niemców leżących na pierwszym piętrze - wszyscy zginęli od rzuconych przez Miszę granatów. W budynku jest już co najmniej dwudziestu ludzi z plutonu Ilji. Z dalszych pomieszczeń dochodzą odgłosy eksplozji. Za parę minut pierwsze piętro zostanie w całości opanowane. Pozostali przy życiu Niemcy są uwięzieni na górze. Pięciu żołnierzy z plutonu, trzymając wycelowane w górę schodów karabiny, krzyczy po rosyjsku:

„Rzucić broń! Schodzić na dół z rękami na karku!” Niemcy coś na to od-
krzykują. Nikt nie zna ich języka, ale wszyscy rozumieją, że to koniec walki,
choć nie koniec ofiar.

Drużyna na zewnątrz przestaje strzelać. Krzyki w budynku milkną. Ilja sły-
szy regularne wybuchy granatów i odgłosy strzałów, dochodzące z innych do-
mów wokół ronda. Dźwięki te mają różne nasilenie.

W drzwiach staje Misza. Ostatnia gasnąca flara oblewa go szkarłatnym bla-
skiem. Małego sierżanta spowija dym, a blizna na policzku wydaje się czer-
wieńsza niż reszta twarzy. Wygląda jak demon.

W jego grubym płaszczu, na piersi, widnieje duża, osmalona dziura.

Z wysiłkiem podchodzi do Ilji, zaciskając zęby przy każdym kroku.

- Co ci jest? - pyta Ilja.

Misza poklepuje się po piersi. Z płaszcza sypią się spalone skrawki materiału.

- Upadłem na pieprzoną flarę. Boli mnie.

Wydyma policzki, wyczerpany i obolały. Wlecze się w kierunku schodów.
Ilja woła za nim:

- A Anton Daniłowicz?

Misza kręci głową.

Staje obok żołnierzy mierzących z broni w górę schodów. Ilja wydaje ka-
pralowi rozkaz: sprowadzić resztę plutonu do środka. Chce ustawić połowę z
nich przy oknach wychodzących na rondo, by mogli strzelać w kierunku po-
zostałych budynków. Inni przygotowują się do ataku na drugie piętro.

Podchodzi do Miszy.

- Powiedz Niemcom, żeby zeszli, bo jak nie, to ich wybijemy.

Misza woła po niemiecku.

Z góry odzywa się jakiś rozhisteryzowany głos:

- *Nein! Heil Hitler!*

Misza jest tym wyraźnie zdegustowany. Chwiejnie odwraca się do Ilji.

- Co to...? Słyszałeś?

Wyciąga rękę ku sfluczonemu ramieniu Ilji i chwyta za pasek jego karabin.

Ilja pozwala mu go wziąć.

Misza kieruje lufę w górę schodów. Naciska spust i siekąc ogniem przez
cztery minuty, wystrzeliwuje sześćdziesiąt pocisków, które ryją ścianę pod su-
fitem.

Zanim jeszcze przebrzmi echo strzałów, krzyczy w tuman odpryskującego
tynku:

- *Idioten!*

Wtyka broń z powrotem w ręce Ilji. Lufa karabinu jest ciepła.

- Idź po nich, Ilja.

Usuwa się na bok. Ilja wyjmując z paska dwa granaty. Bierze jeszcze dwa od stojących obok ludzi. Da im sygnał. Zaczynają strzelać w sufit, by trzymać Niemców z dala od schodów. Ilja wbiegnie na górę, rzuci granaty i przykucnie, a potem poprowadzi atak w głąb korytarza. Po zdobyciu drugiego piętra pluton oczyści pokój po pokoju. Tak jak na parterze. Mają zabijać każdego Niemca. Jeśli jacyś będą się jeszcze bronić na trzecim piętrze, spotka ich to samo.

Ilja trzyma mocno jeden z granatów. Pozostałe niesie ostrożnie w lewej ręce. Stawia stopę na pierwszym stopniu. Drewno skrzypi. Dwunastu ludzi podnosi broń, jakby mieli wystrzelić na wiwat.

Ilja wchodzi na drugi i trzeci stopień. Opuszcza rękę, by rzucić pierwszy granat. W każdej chwili spodziewa się, że Niemcy mogą zrobić to samo.

Przystaje. Z góry dochodzą krzyki. Nie są kierowane do Rosjan. To ostra wymiana zdań pomiędzy broniącymi się.

Rozlega się strzał. Ilja instynktownie kuca. Drugi strzał. Ilja wsuwa kciuk pod zawleczkę granatu, by wyciągnąć ją jednym ruchem. Poniżej słychać stukot butów ludzi i szcęk broni. Pluton jest gotów, by na jego sygnał zacząć strzelać.

Drzwi na górze otwierają się powoli. Słychać, jak do schodów zbliżają się ciężkie kroki. Ilja spogląda w górę, sprężony do skoku. Nie ma karabinu, trzyma w rękach granaty. Siedzi, skulony na wypadek gdyby Niemcy zaatakowali.

Coś wysuwa się w górę przez barierkę. Ręka. Potem wyłania się całe ramię i głowa. Ilja nieruchomieje. Słyszy nad głową szuranie butów. Pojawia się trzech ludzi. Ilja zatrzymuje na nich wzrok.

Jeden z nich wychyla się przez barierkę, jakby chciał powiedzieć coś do Ilji. Wysuwa się jednak zbyt daleko. Sprawia wrażenie bezwładnego. Po brodzie cieknie mu krew. Jego nogi unoszą się w górę. Dwaj pozostali ludzie wypychają go na schody. Ciało upada i podskakując, stacza się po stopniach, by wreszcie zatrzymać się przed Ilją. Dwie głowy patrzą jeszcze przez chwilę zza barierki, potem znikają.

Był majorem SS.

- *Wir kommen!* - rozlega się głos z góry. - *Ja? Wir kommen unten. Nicht schiessen, bitte. Bitte.*

Ilja wkłada granaty za pasek. Chwyta w ręce pepeszę. Nad głową słyszy brzęk metalu i głuche uderzenia o drewno, jakby ktoś rzucał broń. Wstaje. Trąca nogą ciało esesmana, które stacza się po stopniach. Na dole ludzie wyrzucają je przez okno. Tak jak innych zabitych.

Ilja rusza po schodach. Niemcy tłoczą się w korytarzu z rękami na hełmach. Kiwa głową na pierwszych z brzegu. Zastrzelili fanatycznego esesmana, który

chciał poświęcić ich życie za nic, za Hitlera. Do niewoli oddaje się ponad dwudziestu żołnierzy.

Kiedy go mijają, Ilja opuszcza wzrok na ich buty. Nie chce obok wspomnienia Antona Daniłowicza zachować w pamięci twarzy tych Niemców. Każe ich zebrać w kacie i pilnować, dopóki rano nie będzie można przekazać ich dalej. Potem poleci wnieść do domu ciało zwinnego chłopaka i przykryć.

Teraz, gdy pierwszy budynek jest już opanowany, pozostałe dwa też padną. Pluton Ilji zajmuje swoje pozycje i rozpoczyna ostrzeliwanie sąsiednich domów pod odpowiednim kątem. Odpala także nie wykorzystane jeszcze flary.

Walki wokół ronda toczą się przez godzinę. Misza i Ilja nie biorą w nich jednak udziału. Wślizgują się do pustego pokoju, by się przespać.

Pozostałe siły Żukowa nadciągają o świcie. Trzy budynki przy drodze są już zdobyte i tworzą zabezpieczony przyczółek na obrzeżach Seelow. Kompania dostała posiłek i otrzymała uzupełnienia. Do miasteczka wjeżdżają czołgi i potyczki na ulicach się kończą. Załogi wbiegają do niemieckich domów i wynoszą stamtąd sprzężyny z łóżek. Przyczepiają je do czołgów, z przodu i z boków. Ktoś wymyślił, że zatrzymują uderzenie panzerfaustów.

Przed południem artylerzyści Czujkowa znowu ostrzeliwują wyżynę, by osłabić opór Niemców przed następnym zmasowanym atakiem piechoty. W błocie Oderbruch i na stoku wzgórza leżą nie zebrane ciała kilku tysięcy ludzi.

Wczesnym wieczorem obrona Seelow zaczyna się załamywać. Opór stawiają jeszcze tylko grupy najbardziej zawziętych Niemców. Każdy zakątek miasteczka wypełniają luźne grupki radzieckich żołnierzy i ich sprzęt. Zaczyna się szaber. Jeńcy, wyprowadzani gęsiego na ulice, siadają na chodnikach.

Następnego dnia padają ostatnie punkty oporu. Radzieckie wojska zajmują całą wyżynę. Rozciągająca się poniżej równina nosi ślady zaciętych walk.

Droga do Berlina stoi otworem.

20 kwietnia 1945, godzina 6.50

Siedziba premiera w Chequers

Hrabstwo Buckingham, Anglia

Nad angielskimi polami za oknem sypialni Churchilla pojawia się słońce. Rolnicy wyszli już do pracy. Krowy wracają wydeptanymi ścieżkami do obór. Z kominów wydobywa się dym. Churchill unosi głowę z poduszki, by spojrzeć na Anglię, której Niemcom nie udało się pokonać.

Dziś są urodziny Hitlera. Pięćdziesiąte szóste. Churchill zastanawia się, czy mały kapral nie zakopał się w swoim bunkrze zbyt głęboko, by mógł widzieć ten poranek. A jeśli nie, to na co teraz patrzy? Na pewno nie na chłopów i bydło.

Na nic, co można zobaczyć tylko w czasie pokoju. Słowem, na nic przyjemnego. Churchill ma nadzieję, że Hitler patrzy na swoje państwo i płacze.

Na ruchomym stoliku obok łóżka stoi taca z jajami przepiórczymi, kiełbaskami i ryżowymi grzankami. Churchill nie pija soków owocowych. Są zbyt kwaśne dla jego żołądka. Dzień zaczyna zazwyczaj od schłodzonego szampana. Poklepuje się po brzuchu pod jedwabną piżamą i kołdrą z gęsiego pierza. Traktuje swój przewód pokarmowy jak ulubieńca, kapryśnego weterana. Może i jest trochę niesprawny, ale Churchill zna jego nawyki.

Na tacy stoi już szampan. Nie w smukłym kieliszku, jak do obiadu, ale w dużej śniadaniowej szklance. Churchill wznosi ją w stronę okna.

- Za ciebie, ty draniu. Żebyś padł dziś trupem.

Upija łyk. Odrzuca kołdrę i opuszcza nogi na ziemię, wsuwając stopy w czekające już przy łóżku kapcie z wyszytym monogramem. Stolik przysunięty jest dostatecznie blisko. Churchill rozkłada serwetkę na kolanach.

- Ach, stara banda - mówi głośno, biorąc widelec. - Rozpada się powoli. Dni Hitlera rzeczywiście są policzone. Przesądził o tym rozpoczęty atak

Rosjan.

Mussolini dał nogę. Raporty mówią, że próbuje przedostać się ze swoją kochanką do Szwajcarii. Włoscy partyzanci depczą mu po piętach. Kiedy go dopadną, zawiśnie na stryczku.

Odszedł Roosevelt. Biedny facet. Był jeszcze młody.

Cóż, myśli Churchill, wygląda na to, że zostaliśmy już tylko ja i Joe.

Pojawił się wprawdzie ktoś na miejsce Roosevelta.

Kim jest ten nowy prezydent, Harry Truman?

Harry. Solidne imię. Nie jak Franklin czy Winston, Adolf czy Benito. Zwyczajnie - Harry.

Churchill kroi kiełbaskę i podnosi na widelcu do ust kawałek przyprawionej wieprzowiny. Na ścianie, za plecami premiera, rysuje się prostokąt pomarańczowego światła. Dzień urodzin Hitlera zapowiada się ładnie. Dobra pogoda na bombardowanie. Amerykanie postanowili jeszcze dziś nawiedzić Berlin. Tysiąc samolotów zrzuca parę prezentów dla Führera. RAF robi to samo po południu i wieczorem. Amerykanie dokończą dzieła jutro rano. Będzie to ostatnie słowo ze strony Zachodu.

Berlin. Przypadł mu w udziale straszliwy los. Najpierw był stolicą Rzeszy. Potem niszczone go tak systematycznie, jak żadne miasto od czasu Kartaginy. A w końcu dostanie się w ręce Rosjan.

Jedząc jajka i grzankę, Churchill myśli o Trumanie. Nigdy się z nim nie spotkał. Rozmawiał z nim jedynie przez telefon. Chciał pojechać na pogrzeb Roosevelta. Zamówił nawet samolot, ale sprawy państwowe zatrzymały go w

Anglii. Jako premier Wielkiej Brytanii pożegnał prezydenta w parlamencie. Śmierć Roosevelta nastąpiła nagle. Plany i debaty rządowe dotyczące zasadniczych spraw wojennych nie mogły ulec zmianie. Na razie Churchill musiał zadowolić się telegraficzną korespondencją z Trumanem, próbując stworzyć sobie jego obraz na podstawie relacji tych, którzy mieli okazję się z nim zetknąć - głównie ambasadora lorda Halifaxa i Anthony'ego Edena.

Pierwsze wiadomości o Trumanie są dobre. Facet sprawia wrażenie stanowczego i odważnego, nie z tych, których łatwo zastraszyć. Jeśli chodzi o sprawę Polski, twierdzi, że stanowisko Stalina jest nieprzejednane, ale Zachód powinien „jeszcze raz go o to zagadnąć”. Halifax uważa, że Truman jako prezydent „będzie postępował zupełnie inaczej niż FDR”, w sposób bardziej zorganizowany, trzymając rękę na pulsie i polegając nie tyle na osobistych sympatiach, ile raczej wybierając osoby odpowiedzialne i znające się na rzeczy. Co ciekawe, Truman interesuje się historią strategii wojskowej i wydaje się bardzo odczytany w tej dziedzinie. Któregoś wieczora zaskoczył Halifaxa znajomością kampanii Hannibala. Eden z kolei w swym ostatnim telegramie opisuje Trumana jako uczciwego i sympatycznego. „Jest świadom swoich nowych obowiązków, ale nie czuje się nimi przytłoczony. O Panu wyraża się bardzo ciepło. Sądzę, że będziemy mieli w nim lojalnego współpracownika. Pierwsza rozmowa z nim bardzo podniosła mnie na duchu”.

Churchill odsuwa stół. Jadł pospiesznie, w zamyśleniu. Czuje się nielojalny wobec Roosevelta i wszystkiego, co razem przeżyli, ale uważa, że Truman nie mógł pojawić się w lepszej chwili. Już od jakiegoś czasu brakowało Ameryce silnego przywódcy. Odczytany człowiek w Białym Domu, facet, który zna historię wojskowości - w obecnej sytuacji to nie będzie złe. Umarł prezydent. Niech żyje prezydent.

Jednak martwią Churchilla doniesienia, że Truman napotyka pewne trudności w sprawowaniu swoich obowiązków. Wyszło na jaw, że Roosevelt traktował swego zastępcę - w końcu drugiego człowieka w państwie - jako pomniejszego urzędnika w rządzie. Truman nie był informowany o najważniejszych sprawach wewnętrznych i zewnętrznych. Przejął prowizoryczny rząd, działający dość nieformalnie pod przewodnictwem wielkiej osobowości, która stała na jego czele przez trzynaście lat. Musi się teraz zapoznać ze stanowiskiem Roosevelta w poszczególnych kwestiach i z polityką, jaką prowadził. Choć nowy prezydent to człowiek wielu zalet, dopóki nie nabierze rozpędu, będzie miał kłopoty z forsowaniem swoich decyzji. A wszystko to dzieje się w przełomowej chwili, gdy świat potrzebuje sprawnie działającego amerykańskiego przywódcy, nie praktykanta, choćby najbardziej obiecującego.

Churchill dopija szampana. Bierze z drugiej półki stolika teczkę z najnowszymi dokumentami. Zamaszystym ruchem zrzuca kaptcie i z powrotem wsuwa bosa stopy pod kołdrę.

Jak Roosevelt mógł na to pozwolić? Zwłaszcza w ostatnich miesiącach, kiedy decydowały się losy wojny, a zdrowie jego samego wyraźnie się pogarszało? Na wypadek gdyby Churchillowi coś się stało, Anthony Eden wie wszystko o sprawach Anglii i w każdej chwili mógłby przejąć rządy. Tymczasem Harry Truman z Missouri przeskoczył z pozycji nie najlepiej poinformowanego urzędnika, w dodatku o ograniczonej władzy, na stanowisko szefa państwa.

Churchill nieraz spierał się z Rooseveltem. Teraz, gdy ten nie żyje, chciałby być wobec niego wyrozumiały i myśleć o nim dobrze. Jednak stawiając swego zastępcę w takiej sytuacji, Roosevelt źle przysłużył się sprawie wojny i swej własnej misji ustanowienia trwałego pokoju na świecie. Churchill powiedziałałby mu, co o tym myśli.

Stalin sprzeniewierzył się ustaleniom jałtańskim w stosunku do Jugosławii. Za parę dni zrobi to samo wobec Polski. Za kilka tygodni albo miesięcy również pozostałe państwa Europy Wschodniej staną się marionetkami w rękach Rosjan. Dziesiątki milionów ludzi dostaną się pod władzę komunistów wbrew swojej woli.

Roosevelt wyraził na to zgodę i tak się stanie. Nic już nie da się zrobić.

Pozostało jeszcze jedno, ostatnie miasto, które nie wpadło w łapy radzieckiego niedźwiedzia.

Churchill zastanawia się, czy nie podnieść słuchawki telefonu i nie przeprowadzić swej pierwszej rozmowy z Trumanem - na temat losu Berlina. Rosjanie stoją naprzeciwko zmasowanych sił niemieckich. Amerykańska Dziewiątka przeprawiła się przez Łabę i nie spodziewa się poważniejszego oporu w dalszej drodze. Zachód mógłby zdobyć Berlin, a potem przehandlować go Rosjanom za inne miasta.

Generał Eisenhower był posłuszny Roosevelutowi. Teraz będzie musiał wykonywać polecenia Trumana.

Ale czy Truman posłucha Churchilla? I czy będzie w stanie coś zrobić, teraz, gdy spadło na niego tyle spraw?

Nie. Już za późno.

Tym razem jest już naprawdę za późno.

Ale nie skończyliśmy jeszcze z Berlinem, myśli Churchill. Na razie tak, ale potem... Stalin zajmie miasto i złamie dane słowo, tak jak w przypadku wszystkich innych terytoriów, które opanował. Konflikt wokół Berlina będzie się pogłębiać z każdym rokiem. Trzeba tylko poczekać, jak zareaguje nowy prezydent.

Churchill przygląda się jaśniejącym polom za oknem. Spogląda na zegarek, który leży na stoliku przy łóżku. Amerykańskie bombowce są już w drodze.

Dzisiaj lecą, by uczcić urodziny Hitlera. Jutro odwiedzą Berlin po raz ostatni.

21 kwietnia 1945, godzina 10.40
Stacja kolejki przy Hardenbergstrasse
Charlottenburg, Berlin

Od minuty nie było żadnej eksplozji.

Lottie przyciska kolana do piersi, czekając, aż rozlegnie się kolejne głębokie dudnienie. Siedzi na posadzce stacji kolejki podziemnej w tłumie kilkuset ludzi. Jedyne światło i świeże powietrze docierają z wyjść na ulicę. Podłoga z płyt ceramicznych jest twarda i zimna. Powoli rozchodzi się odór moczu i spononych ciał.

Ludzie tłoczą się wokół radia. Właścicielka wyłączyła je na czas bombardowania, żeby oszczędzać baterie. Rano punktualnie o dziewiętej odezwały się syreny. Nalot rozpoczął się o dziewiętej dwadzieścia pięć. Lottie szła właśnie w kierunku Kurfürstendamm, żeby stanąć w kolejce po racje żywnościowe. Kiedy usłyszała alarm, pognąła wraz z innymi w dół po schodach. Ziemia nad ich głowami trzęsła się przez godzinę. Odgłosy wybuchów, przypominające walenie młotem, dochodziły do stacji z jednej i drugiej strony tunelu. Napływały z ciemności falami, jak przyjeżdżająca i odjeżdżająca kolejka.

Od ostatniego wybuchu mijają następne dwie minuty. Właścicielka radia przekręca gałkę. Siedzący tłum nachyla się w stronę aparatu.

Słabo słyszalny głos spikera odwołuje alarm. Amerykańskie latające fortece opuściły niebo nad Berlinem. We wschodnich i południowych rejonach miasta odnotowano niewielkie szkody. Głos w radiu wyraża przypuszczenie, że nalot był skierowany przeciwko Rosjanom, którzy nadchodzą właśnie z tamtych rejonów.

Lottie próbuje wstać. Od twardej i zimnej podłogi cała zdrętwiała. Inni także zaczynają się podnosić, ale ludzie skupieni wokół radia sykają, by ich uciszyć. Lottie zatrzymuje się wraz z resztą. Są jakieś nowe wiadomości.

- Co takiego? - pyta kobietę przed sobą. - Nie usłyszałam. Co mówili?

- Że to był ostatni atak Amerykanów - odpowiada tamta. - Anglicy zakończyli bombardowania zeszłej nocy. Już nie wrócą.

- No właśnie! - woła jakiś starszy pan. - Właśnie! Przetrzymaliśmy ich! Staruszek zostaje uciszony. Komunikat radiowy jeszcze się nie skończył.

Tłum słucha w milczeniu.

Spiker wyjaśnia, że teraz miasto bombardować będą wyłącznie radzieckie siły powietrzne.

Właścicielka radia odzywa się pierwsza.

- Och, do diabła z radzieckimi siłami zbrojnymi!

Inni podchwytyją jej przekleństwo. To prawda, myśli Lottie. Tak strasznie dużo było tych amerykańskich i angielskich nalotów. Wyrządziły tyle szkód.

Nękały Berlin przez cztery lata. Teraz alianci przekazują swoje obowiązki czerwonym, zdecydowanie mniej precyzyjnym. Rosyjskie bombardowania nie mogą się równać z alianckimi. Ich bomby są o wiele mniejsze, naloty rzadsze. A zatem to dobra wiadomość.

Ludzie zaczynają klaskać i Lottie się do nich przyłącza. Radio milknie wyłączone. Tłum się podnosi, ludzie pomagają wstać starszym i słabszym. Wychodzą po schodach na świeże powietrze, powtarzając dumne stwierdzenie starszego pana: przetrzymaliśmy ich!

Już na chodniku Lottie kieruje się ku Kurfürstendamm. W tę samą stronę zmierza wielu starszych ludzi. Nad Berlinem wisi powłoka szarych chmur. Ostatni nalot aliantów nie wyrządził żadnych szkód tu, w zachodniej części miasta. Bombardowania były niewielkie. Nie takie, jak wczorajszy urodzinowy atak. Po co jeszcze zrzucać bomby na miasto? Lottie wydaje się to już czystą złośliwością.

Wczorajszy nalot zrobił swoje - to był wielki finał ataków powietrznych. Amerykanie zjawili się o dziesiątej przed południem. Przez dwie godziny na niebie było aż gęsto od ich samolotów. Niemiecka obrona nie dawała sobie z nimi rady. Potem nadlecieli Anglicy. Zrzucali swój ładunek, znikali, po czym wracali znowu - z nieregularnością, która mogła doprowadzić do szału. Berlińscy musieli siedzieć cały dzień w schronach. W nocy Anglicy nadlecieli ponownie, i to w wielkiej liczbie. Do północy zbombardowane zostało całe miasto.

Po raz pierwszy od dwunastu lat urodziny Hitlera obyły się bez bankietów i przemówień. 20 kwietnia okazał się także ostatnim dniem, w którym miasto miało wodę i gaz. Spłuczki w toaletach nie działają. Nie wywozi się już śmieci. Prąd pojawia się rzadko i tylko na parę sekund. Nie działają telefony. Przestała kursować kolejka. Pociągi stoją. Berlin nie jest już żywym miastem. Zamienił się w wielką muszlę. Trzy miliony przerażonych mieszkańców egzystuje w nim jak kraby.

Lottie idzie we wschodnim kierunku. W rękę trzyma pustą płócienną torbę: Sklepy przy Kurfürstendamm będą wydawać dziś dodatkowe racje. Czy to prezent z okazji urodzin Hitlera, czy zaopatrzenie przed nadchodzącym oblężeniem - to jej nie obchodzi. Dziś, na mocy odgórnego zarządzenia, przyniesie do domu funt bekonu albo kiełbasy, pół funta ryżu lub płatków owsianych, dwieście pięćdziesiąt ziaren suszonej soczewicy, fasoli albo grochu, puszkę warzyw, puszkę owoców, dwa funty cukru, ćwierć funta prawdziwej kawy, dwa funty mielonej kawy zbożowej i worek tłuszczu. Ogłoszono także, że w dalszej kolejności zostaną rozdysponowane zapasy na następne dwa tygodnie. Od pojutra przez osiem dni nie będzie się wydawać żadnej żywności. Berlińczycy,

z właściwym sobie czarnym humorem, nazwali te dodatkowe porcje „racjami Wniebowstąpienia”. Mówią, że z tymi smakołykami w ustach pójdą do nieba.

W swych licznych tyradach radiowych minister Goebbels nazywa miasto *Festung* - fortecą. Twierdzi, że Berlin został przekształcony w śmiertelną pułapkę dla tych, którzy tu wkroczą. Idąc do sklepu i wiedząc już, że Rosjanie są tylko parę kilometrów od granic miasta, Lottie nie widzi niczego, co przypominałoby fortecę. Funkcjonariusze Volkssturmu w cywilnych ubraniach opieszale kręcą się wśród ruin ze starymi karabinami na ramieniu. Strzelano z nich ostatnio za czasów młodości ich właścicieli. Chłopcy z Hitlerjugend popisują się jednostrzałowymi pancernymi karabinami, które wożą na ramie roweru. Przymusowi robotnicy znoszą kamienie i cegły, budując barykady, ale brakuje żołnierzy, którzy by nadzorowali ich pracę. Brygady kobiet wyposażonych w łopaty maszerują na wschodnie krańce miasta, by kopać rowy przeciw -czołgowe. Nie ma straży pożarnej ani policji. Wszyscy zostali wcieleni do oddziałów bojowych. Nieliczni esesmani i gestapowcy kręcą się tu i tam w jakichś tylko im znanych celach - nieskazitelnie ubrani i nieprzystępni. Przygotowania do obrony Berlina wyglądają niepozornie. Zwłaszcza w zestawieniu z wielkim ruchem na ulicach - krzątaniem ludzi poszukujących jedzenia.

Lottie dochodzi do głównej alei. Wszędzie uderza w oczy widok kobiet stojących w kolejkach do sklepów. Podejrzewając, że może to być ostatnia okazja zdobycia prowiantu przed wkroczeniem Rosjan do centrum, tysiące mieszkańek Berlina przyszło tu zrealizować ostatnie kartki żywnościowe. Zachęciły ich do tego także komunikaty radiowe informujące o zakończeniu bombardowań przez aliantów. Do uszu Lottie dochodzą strzępy rozmów. Plotki głoszą, że zostanie podpisany rozejm, dlatego Zachód zaprzestał nalotów. Nie będzie ataku Rosjan. Żadnego *schlacht um Berlin*. Szeroka Kurfürstendamm jest zatarasowana kolejkami. Wiją się one wokół lejów na całej ulicy, gdzie z pękniętych rur do podstawionych wiader sączą się ostatnie w Berlinie krople wody. Lottie wędruje jeszcze parę przecznic na wschód, w kierunku Tiergarten. Ma nadzieję, że w pobliżu parku kolejki są krótsze.

Przygląda się zniszczeniom wzdłuż Kurfürstendamm i w bocznych uliczkach. Ich stan jest różny, nie ma w tym żadnej prawidłowości. Niektóre ulice są jakby szczerbate, ziele w nich dziura po domu, który zawalił się od wybuchu bomby. Inne są nienaruszone. Jeszcze gdzie indziej zabudowania zostały zrównane z ziemią. Pozostały po nich tylko sterty cegieł i powykręcane stalowe sztaby. Obok dumnie stojących, ocalałych domów piętrzą się góry gruzu, pyłu i pordzewiałych prętów. Lottie przychodzi do głowy, że mogłaby ustawić berlińczyków wzdłuż ulicy, jak te budynki, i okazałoby się, że ich losy są podobne. Niektórzy przetrwali bez uszczerbku. Wielu mocno ucierpiało, ale wciąż jakoś się trzymają. Inni zginęli - zostały po nich puste miejsca.

Lottie o sobie nie myśli jak o budynku. Jej historia nie jest jeszcze dokończona. Tak jak historia Berlina. W tym sensie nie jest więc pojedynczym budynkiem, ale całym miastem. Wciąż czeka. Jej los jeszcze się nie dopełnił. Wciąż wisi nad nią niebezpieczeństwo.

W ciągu pięciu dni, jakie minęły od ostatniego koncertu, Lottie miotła się między rozpaczą a nadzieją. Nazistowskie radiostacje i gazety ostrzegają przed Armią Czerwoną. Bez przerwy donoszą o gwałtach i mordach, o różnych okropnościach. W Berlinie nasiliły się przypadki samobójstw. Każdy w schronie ma do opowiedzenia jakąś straszną historię: o całej rodzinie, która zasiadła do kolacji, i nigdy nie wstała od stołu, otruta przez rodziców; o niemieckim oficerze, który podciął sobie żyły i wyszedł naprzeciw Rosjan, po palcach ciekła mu krew, a on mówił: „Zabiłem się. Czy teraz zostawicie mnie w spokoju?”; o zakonnicach zgwałconych w kaplicy. Te opowieści są tak makabryczne, że przestają już robić wrażenie. Wydają się tak nieprawdopodobne. Dlatego, paradoksalnie, Lottie znowu odzyskała nadzieję. Te historie nie mogą być prawdziwe, przekonuje samą siebie. Na pewno zostały zmyślane. Żeby nas jeszcze bardziej nastraszyć, by skłonić berlińczyków do zaciętej obrony. Freya też tak mówi. Rosjanie to przecież ludzie, a to są opowieści o zwierzętach. Nie należy w nie wierzyć. Poza tym, dodaje *Mutti*, nawet jeśli to prawda, żadne z okrucieństw wyrządzanych przez Rosjan nie mogą równać się z tym, co zrobili naziści Żydom. Prawdziwe bestie są wśród nas, twierdzi *Mutti*. Lottie nie próbuje ważyć ciężaru zbrodni, tak jak robi to matka. Zresztą i tak by jej to nie pomogło. Chciałaby po prostu uwolnić się od tego wszystkiego. Karmi się nadzieją. Nie gra i właściwie nie ma nic do roboty. Codziennie wieczorem kładzie się do łóżka. W dzień wędruje wśród ruin, szukając jedzenia. Tego popołudnia, na przykład, usiadł w saloniku, będzie wyglądała przez okno i łudziła się, że w jakiś sposób nadal jest chroniona.

Przecina Budapester Strasse i mija kilka kolejnych przecznic. Zatrzymuje się przy sklepie naprzeciwko zoo. Podobnie jak orkiestra Filharmonii Berlińskiej, ogród zoologiczny, jako ważna instytucja publiczna, pozostał czynny przez cały okres wojny. Teraz jednak na bramie pomiędzy dwoma wielkimi słoniami z terakoty wisi kłódka. Napis głosi: „Zamknięte”. Okazuje się to niespodziewanym ciosem dla Lottie. Oczywiście, że ogród został zamknięty. Był to jednak absolutnie ostatni pogodniejszy akcent w życiu Berlina. A teraz i on zniknął.

Lottie staje na końcu kolejki do sklepu spożywczego. Przed sobą widzi jakieś pięćdziesiąt kobiet. Myliła się. Kolejki wcale nie są tu krótsze, nigdzie zresztą takich nie znajdzie. Ale spacer pozwolił jej wypełnić czas.

Czeka. Mniej więcej co minutę robi krok do przodu. Postoi tak co najmniej godzinę. Ale wszystko jej jedno. Przecież musi coś zrobić.

Nie rozmawia z nikim w kolejce. Starsze kobiety spoglądają na nią i spuszczają wzrok, powracając do szeptanej wymiany plotek. Jest też kilka w wieku Lottie. Te młodsze patrzą przeważnie na chodnik. Ładna dziewczyna odwraca się i zerka na Lottie. Uśmiecha się. Oczekuje na jakiś gest - chciałaby otrzymać od niej odrobinę nadziei. Lottie jednak nie ma nic do ofiarowania. Odwraca spojrzenie.

Po półgodzinie zaczynają ją boleć nogi od stania. Wychodzi więc z kolejki, by się trochę poruszać. Kobieta stojąca za nią pospiesznie robi krok do przodu. Kłóci się, gdy Lottie chce powrócić na swoje miejsce. W miarę zbliżania się do drzwi i znajdującej się za nimi żywności kobiety stają się coraz bardziej zdeenerwowane. Lottie stawia stopę na chodniku, by zademonstrować kobiecie stojącej za nią i wszystkim pozostałym w kolejce, że ma równe prawa i jest nie mniej stanowcza niż one.

Kiedy ma przed sobą już tylko kilkanaście kroków do drzwi, słyszy podniesione głosy dochodzące ze sklepu. Kilka kobiet ma zastrzeżenia do wielkości porcji wydzielanych przez sklepikarza. „To nie może tak być! - wołają. - Za mało! Należy mi się więcej! Pan oszukuje!” Sklepikarz odpowiada ostrym tonem: „Zabierajcie się stąd - woła - jeśli się wam nie podoba! Idźcie do innego sklepu i przekonajcie się, co tam wam dadzą. No już!”

Lottie słyszy, jak sklepikarz wrzeszczy: „Nie, nie wolno!” Chwilę później dziesięć kobiet stojących w kolejce przed nią rzuca się do drzwi i wpada do sklepu. Lottie nie ma pojęcia, co takiego zobaczyły czy usłyszały, że tam wtargnęły, ale idzie ich śladem.

Sklepikarz za kontuarem wali białą ścierką po rękach co najmniej dwudziestu kobiet, które wpychają do siatek, co tylko dosięgną, chwytają wszystko, co nadaje się do jedzenia. Jedna z nich wbiega za kontuar, by dostać się do półek. Natychmiast ruszają za nią inne, wśród nich Lottie. Sklepikarz jest gruby. Kto ma taki brzuch w czasach, gdy tyle ludzi głoduje? To jeszcze bardziej rozjusza kobiety. Mężczyzna z pewnością kradnie. Z drogi, grubasie, mówią do niego i dalej rozdrapują towar.

Lottie wrzuca do siatki bochenek chleba i całkiem sporo konserw mięsnych. Zagłębia dłoń w suszonej fasoli i chwytą jej pełną garść, rozsypując sporo ziaren po podłodze. Kobieta, która robi to samo, zatrzymuje się na moment i posyła Lottie surowe spojrzenie, upominając ją, by była ostrożniejsza i szabrując, nie marnowała niepotrzebnie jedzenia.

Sklepikarz opuszcza ścierkę. „Cholera! No dobra!” - krzyczy. Krzyżuje ramiona na piersi i staje z boku.

Następne kobiety wpadają do sklepu. Produkty wystawione w oknie znikają. Lottie nie może precyzyjnie się do miejsca za kontuarem, gdzie stoi kawa, a na niej zależy jej najbardziej. Siatkę ma już pełną i ciężką. Udało jej się zdobyć

więcej, niż przewidują racje, ale są to artykuły mniej różnorodne. Wspierając się na ramionach i barkach tłoczących się wokół kobiet, chwytą wszystko, co widzi. Brak jej siły przebicia, jaką wykazują niektóre starsze panie.

Minutę później szał przygasa. Lottie próbuje przedostać się przez tłum w stronę drzwi. Gdzeniegdzie pozostały jeszcze resztki żywności, ale Lottie zdobyła już wystarczająco dużo i chce wyjść. Kobiety stojące na zewnątrz, które nie brały udziału w plądrowaniu sklepu, patrzą wymownie na pierwsze wychodzące osoby. Podziel się! - żądają. Złodziejka! Lottie nie ma zamiaru dzielić się tym, co z takim trudem wywalczyła. Korzysta z możliwości, jakie daje młodość, i oddala się biegiem, gdy pod jej adresem padają pierwsze gniewne uwagi.

Nie musi biec daleko, nikt jej nie goni. Przechodzi na drugą stronę ulicy, w stronę zoo. Siatka waży mniej niż wiolonczela, ale Lottie i tak dużo w nią napakowała. *Mutti* będzie zadowolona ze swej zuchwałej córki.

Idzie wzdłuż ceglanego muru zoo. Przystaje przy zamkniętej bramie z ogromnymi słoniami i wtyka brodę między pręty. Budka z kasą jest pusta. Stare drzewa są przeważnie spalone, ale na kilku z nich pojawiły się pączki. Czuje się charakterystyczny zapach zoo, który przywodzi na myśl przestrzeń i połączenie zieleni, tajemnicze dzikie zwierzęta i egzotyczne krainy - powietrze jest przesycone tą wonią. Lottie słyszy pohukiwanie małą, coś jak dźwięk trąbki. Stoi tak w bramie, chłonąc smutek Berlina.

Jakiś hałas sprawia, że Lottie podnosi wzrok ku niebu. To musi być ptak, jakiś olbrzymi ptak, o wielkiej rozpiętości skrzydeł. Wydaje niski, gwałtownie narastający odgłos, jakiego Lottie jeszcze dotąd nie słyszała.

To nie ptak. Lottie odwraca się od bramy i czuje skurcz żołądka. Niebo nad nią szepcze, a potem zaczyna krzyczeć.

Ziemia się rozstępuje.

Lottie z powrotem przypada do bramy i tuli głowę do żelaznych prętów. Ciężka siatka ciągnie ją osłupiałą ku ziemi. Lottie niewiele widzi. Przez ulicę przetoczył się wybuch. Przed chwilą były tu kobiety. Setki kobiet. Stały w kolejkach. Lottie mruga powiekami, by coś zobaczyć. Te w środku zniknęły. Na ulicy zieje dziura, a w niej strzępy tkanin i ludzkie szczątki. Ocalałe kobiety chwiejnie cofają się od krateru. Na rękach i płaszczach mają krew. Te, które mogą, biegną.

Lottie czuje piekący ból z tyłu głowy. Wie, że krwawi. Nie może podnieść się na nogi.

Przez moment nie jest pewna, czy dźwięki, które słyszy, nie są złudzeniem. Z nieba znowu dochodzi przeciągły odgłos. Nadlatują kolejne niesamowicie wielkie ptaki. Budapester Strasse wstrząsają eksplozje. Nie ma samolotów,

spadających bomb, syren ostrzegających przed nalotem.

Przy kolejnych wybuchach Lottie wreszcie pojmuje.

To radziecka artyleria. Rosjanie podeszli do Berlina na tyle blisko, że mogą ostrzeliwać go z dział.

Wraz z kolejnymi wybuchami pocisków narasta panika. Ostrzał zaskoczył tysiące ludzi na ulicach, poza schronami. Przez chwilę myśleli, że są bezpieczni. Teraz biegną we wszystkich kierunkach. Krzyczą przerażeni, zdezorientowani.

Lottie podnosi głowę i spogląda w głąb alei. Wszędzie szaleje ogień, nawet za nią, w zoo. Nie słychać ryków czy zawodzenia zwierząt, ale Lottie domyśla się, że umierają w klatkach i sadzawkach jak pędzący donikąd ludzie na ulicy. Niektórzy z berlińczyków upuszczają torby i uciekają, biegnąc od drzwi do drzwi. Inni próbują zbierać rozrzuconą żywność. Pociski ryją ulicę i zabudowania wzdłuż całej Budapester Strasse. Nie sposób umknąć przed nimi. Ciała zabitych leżą jak przygwożdżone do ziemi. Trafione samochody stają w płomieniach. Dachy się zapadają. Jeden z budynków, który ledwie stał, wali się teraz, uderzony pociskiem.

Lottie wciąż siedzi pod bramą zoo. Kilkoro biegnących ludzi przeskakuje ponad jej nogami wyciągniętymi w poprzek chodnika. Ból z tyłu głowy zaczyna pulsować, staje się nie do wytrzymania. Podciąga nogi do siebie, żeby nie zawadzać uciekającym. Dokąd oni biegną, zastanawia się. W Berlinie nie ma już bezpiecznego miejsca. Rosjanie obwieścili swoje nadejście i zniszczą teraz wszystko. Te pociski nie są wymierzone w poszczególne sklepy czy starsze panie. Nie są wycelowane w nic konkretnego. Rosjanie strzelają z odległości wielu kilometrów, bez żadnego planu. Chcą tylko dobić Berlin. Doniesienia nie kłamią. Te wszystkie historie opowiadane w schronach muszą być prawdziwe. Nie będzie litości dla Berlina i jego mieszkańców.

Lottie mogłaby już wstać i iść do domu. Nogi ma sprawne, czuje, że rana z tyłu głowy przestała krwawić. Ale siedzi nadal, osłabiona i pozbawiona tej resztki nadziei, którą nosiła w sobie. Obserwuje kończący się atak, czeka, aż któryś z radzieckich pocisków wyląduje w okolicy jej nóg, pozostawiając po niej ziejącą wyrwę w ziemi.

Tam, gdzie nie ma litości, nikt nie jest pod ochroną. Po raz pierwszy Lottie uświadamia sobie, że nie różni się od pozostałych mieszkańców miasta. Nawet od tych zabitych.

Powinna była wsiąść do samochodu Speera, kiedy miała taką możliwość. Myliła się, myśląc, że może być bohaterką, że może zostać i wytrzymać to wszystko.

Środkiem Budapester Strasse galopuje para koni. Ich grzywy i ogony płoną. Zwierzęta biegną jak oszalałe, rżą z bólu. Lottie wie, dlaczego biegną - nic innego nie mogą zrobić.

Z każdym następnym wybuchem coraz bardziej zagłębia się w sobie. Zwraca się w jedną stronę, która daje schronienie.

27 kwietnia 1945, godzina 10.30

Z amerykańską 2 Dywizją Pancerną 9 Armii

Na północny zachód od przyczółka w Barby

Wieś Leitzkau, Niemcy

Ze wsi uciekają ludzie. Jako pierwsze zbliżają się do czołgów młode dziewczyny. Za nimi idą matki z mniejszymi dziećmi. Na końcu kroczą starsi, wsparci na laskach i podtrzymujący się nawzajem. Najślabi pozostają na progu domów, przy drzwiach.

Kapitan w jadącym na przedzie czołgu zna niemiecki i norweski, pochodzi z Minneapolis. Bandy stoi za kierownicą swego jeepa, z leicą zawieszoną na szyi. Zamierza sfotografować kapitana, który wychyla się z włazu i przyjmuje kwiaty od ładnej kobiety. Jej ciemne włosy i białe smukłe ramiona okrywa szal. Kiedy kobieta staje na palcach, Bandy robi zdjęcie.

Wysiada z jeepa i obchodzi dwa czołgi „Pieśla na Kólkach”, by sfotografować trzech starsuszków obwieszonych medalami z pierwszej wojny światowej. Mężczyźni stoją ramię przy ramieniu, jakby zagradzali Bandy'emu drogę. Ale to po prostu starzy towarzysze wojenni, wsparci o siebie. Wyglądają na jakieś siedemdziesiąt, osiemdziesiąt lat, ale zbliżywszy się, Bandy stwierdza, że nie są aż tak wiekowi. Wyniszczyły ich choroby i głód. Inni mieszkańcy wsi, w ich wieku, ale lepiej odżywieni i zdrowi, zostali zabrani. Prawdopodobnie wcielono ich do Volkssturmu. Ci trzej patrzą na Bandy'ego, Amerykanina, który nie przybył tu, by ich wyzwolić.

Nadchodzą Rosjanie. Nie zmieniają tego żadne kwiaty ani ładne kobiety, choćby było ich całe mnóstwo. Te dwa czołgi 2 Dywizji patrolują jedynie granice przyczółka, a Bandy przyłączył się do nich w swoim jeepie, bo szuka tematu do zdjęć. Armia Czerwona dotarła do Łaby i stanęła na wprost wojsk amerykańskich. Dwa dni temu, w miasteczku Torgau, osiemdziesiąt kilometrów na południe od Barby, żołnierze 69 Dywizji 1 Armii Hodgesa spotkali się z oddziałem 1 Frontu Ukraińskiego Koniewa. Obszar Niemiec został przecięty na pół. Berlin jest otoczony. To na pewno wspaniałe zdjęcie - spotkanie Rosjan i Amerykanów. Zrobił je ktoś inny. Jakiś fotoreporter, który postawił na Sześćdzie-

siatkę Dziewiątkę. Dotarł wprawdzie donikąd, ale potem miał swoje pięć minut, gdy oddział, któremu towarzyszył, jako pierwszy spotkał się z czerwonymi.

Bandy fotografuje na przycółku Barby, co się da. Nie ma pojęcia, jak jego zdjęcia zostaną przyjęte w kraju. Nie dzieje się tu nic rewelacyjnego, to martwy punkt nad Łabą. Lustruje wieś przez obiektyw.

Całe Leitzkau pokryte jest białymi płachtami. Białe flagi wiszą we wszystkich oknach i na balkonach. Mieszkańcy mają nadzieję, że amerykańskie czołgi przyjmą jednak ich kapitulację. Kapitan wyjaśnia kilkunastu Niemcom tłoczącym się wokół jego czołgu, że nie przybył tu, by ich wyzwolić.

- *Die Russen kommen* - wyjaśnia.

Bandy utrwała na filmie wyciągnięte ręce, wskazujące place i przerażone twarze, które mówią: jak to? To wy tu dotarliście! Wy, Amerykanie, stoicie za rzeką. Jak możecie oddać nas w ich ręce?

Bandy jako jedyny z Jankesów wysiada z wozu. Wieżyczki czołgów zwrócone są w różne strony, silniki pracują na jałowym biegu. Kapitan i jego kolega z drugiej maszyny górują nad grupą starych mężczyzn z medalami z poprzedniej wojny. Wokół Bandy'ego gromadzą się cywile. Błagają go. Nalegają. On opuszcza ręce z aparatem. Patrzy im w oczy i nawet nie kręci głową, by powiedzieć: nie. Stoi otępiały.

Ktoś ciągnie go za rękę. Bandy odwraca się w tamtą stronę, ale nie może rozemnać, kto to zrobił, tak wiele osób tłoczy się przy nim. To córki, żony i rodzice miejscowych chłopów. Wszyscy młodzi mężczyźni zostali zabrani. Wielu nigdy nie wróci. Bandy'emu przypomina się cytat z Cycerona: podczas pokoju synowie grzebią ojców, podczas wojny ojcowie grzebią synów. Całe bydło ze wsi zniknęło, zarekwirowane przez wycofujących się niemieckich żołnierzy. Pola stoją odłogiem. Jeśli zboże nie zostanie szybko zasiane, jeśli czerwoni wkrótce nie zakończą sprawy i nie odeślą jeńców do domu, w zimie nie będzie co jeść. Kobiety chcą zacząć normalne życie już teraz, gdy są tu Amerykanie. Ponaglają Bandy'ego: no powiedz, że już można. On pragnie im powiedzieć: to nie ode mnie zależy, decydują o tym ci na górze. To oni rysują linie na mapie, a wy ponosicie tego koszty. Spogląda na tych ludzi i słyszy ich nieme prośby. Znowu ktoś ciągnie go za rękaw.

Powinien wracać do domu. Tu nic się już nie wydarzy. Wojna się skończyła. Pozostała tylko polityka.

W kieszeni ma list od Victorii. Nie dostał go wcześniej, bo wciąż przemieszczał się z miejsca na miejsce, trudno go było złapać. W Tennessee też zaczynają się już siewy. Gdzie są ci młodzi mężczyźni? Gdzie ty jesteś, Charley?

Rozlega się metaliczny zgrzyt, Niemcy reagują lękiem. Odstępują Bandy'ego i spoglądają na wieżyczki czołgów, które zaczynają się obracać. Ludzie

cofają się i zbijają w gromadę. Mówiący po niemiecku kapitan rzuca bukiet kwiatów, pastelowe płatki uderzają o pancierz czołgu. Gąsienice drugiej maszyny zostają wprawione w ruch. Ryją ziemię, czołg odwraca się i staje obok pierwszego. Oba działa przesuwały się ku północy. Bandy słyszy szcęk karabinów maszynowych. Nie wie, co się dzieje, ale wraca do swego jeepa.

Już rozumie, dlaczego czołgiści zajęli pozycje obronne. Z północy zbliżają się do wsi trzy pojazdy. Z daleka wyglądają jak zwykle amerykańskie jeepy. Być może rzeczywiście pochodzą z Ameryki. Ale gwiazdy, wymalowane na maskach, nie są białe. Są czerwone.

Zbliżywszy się, Rosjanie zwalniają. Czołgi wyglądają groźnie. Dwa samochody zatrzymują się jakieś sto metrów przed nimi. Jeden z jeepów rusza w ich kierunku i jedzie z prędkością kilkunastu kilometrów na godzinę. Żołnierz siedzący obok kierowcy wstaje i macha rękami nad głową.

- *Cześć, Amerykance!* - woła.

Kapitan w pierwszym czołgu mówi w głąb wjazdu:

- Niech podjadą. Ale bądźcie czujni.

Rosjanie zbliżają się powoli. Bandy wysiada z jeepa i podchodzi do nich.

- Panie Bandy! - krzyczy kapitan. - Proszę zostać na miejscu.

Mieszkańcy wsi cofają się przed Rosjanami. Widząc to, radziecki żołnierz pozdrawia ich przyjaźnie:

- *Gut Morgen, gut Morgen.*

Niemcy jednak stoją nieporuszeni.

Rosjanie zatrzymują się tuż przed czołgami, pomiędzy ich wielkimi wieżyczkami. Bandy nigdy jeszcze nie widział radzieckich żołnierzy. Domyśla się, że ten przy kierowcy to oficer, bo ma przy boku tylko krótką broń. Mężczyzna jest młody. Ma brudny mundur. Tak samo kierowca.

Oficer wyskakuje z jeepa. Podchodzi do Bandy'ego i wyciąga rękę.

- *Cześć. Cześć.* Bandy podaje mu dłoń.

- *Jak się macie?*

- *Dobrze. Wspaniale. Bardzo, bardzo wspaniale. Miło, że pytasz.* Oficer spogląda w stronę amerykańskiego kapitana. Staje na baczność i przedstawia się:

- *Jestem porucznikiem. Pierwszy Front Białoruski i Siódmy Korpus Kawalerii Gwardyjskiej. Oleg Borysowicz Ancifierow.*

Czołgista uśmiecha się, słysząc tę formalną prezentację.

- *Kapitan Lerberg. Druga Pancerna z Dziewiątej Armii USA. Miło mi pana poznać, poruczniku.*

- *Tak!* - Rosjanin klaszcze w dłoń. - *Mnie też miło!*

Porucznik pstryka palcami. Jego kierowca sięga na tylne siedzenie samochodu po płócienny worek. Bandy słyszy brzęk butelek. Mieszkańcy wsi na chwilę schodzą na dalszy plan. Bandy ujmuje aparat i fotografuje rosyjskiego porucznika, gdy ten wznosi butelkę wódki, przepijając do Amerykanów. Rosjanin pociąga łyk i macha flaszką w stronę Lerberga.

- Nie, dziękuję - odpowiada kapitan.

Tamten wzrusza ramionami i proponuje poczęstunek Bandy'emu.

- Fotograf, napijesz się?

- Jasne. - Bandy bierze butelkę i upija łyk. Rosjanin wali go w plecy. Wódka ma smak ziemniaków i denaturatu.

- O rany. - Bandy ociera usta i oddaje butelkę. Patrzy na kapitana Lerberga i chucha. - Następnym razem niech mnie pan powstrzyma.

Lerberg czeka, aż Bandy złapie oddech, a Rosjanin przestanie się śmiać.

- Poruczniku, gdzie pański oddział? - pyta. Żołnierz zatyka butelkę i zwraca ją kierowcy.

- Północny wschód. Jesteśmy w Brandenburgii.

To tylko trzydzieści dwa kilometry od obrzeży Berlina, ostatnie większe miasto na zachód od Poczdamu.

- Wysłano nas, żebyśmy was znaleźli. Cześć. Kapitan krzywi twarz w uśmiechu:

- Witam, jeszcze raz cześć.

Porucznik odwraca się do dwóch jeepów, które stoją z tyłu. Daje im znak, żeby podjechały.

- *Nein!* - krzyczą mieszkańcy wsi. - *Nein!*

Porucznik zatrzymuje samochody. Zwraca się do grupy Niemców:

- W porządku. Nic się nie stać - mówi łamaną angielszczyzną.

- *Nein!* - odkrzykują tamci. Kobieta, która wręczała Lerbergowi kwiaty, wybiega na przód. Rzuci się na pancierz czołgu, wskazując palcem Rosjan.

- Strzelajcie do nich! - prosi. - Strzelajcie! Kapitan odpowiada:

- *Ich kann nicht.*

Spogląda ponad jej ramieniem. Mówi do radzieckiego oficera:

- Proszę powiedzieć swoim ludziom, że mogą jechać dalej. Miasteczko jest wasze.

Kobieta uderza pięścią w wieżyczkę, tam gdzie widnieje emblemat armii amerykańskiej. Potem odwraca się ku Rosjaninowi i wyrzuca z siebie potok obelg. Mieszkańcy wsi stoją za nią w milczeniu.

Porucznik nie rozumie dokładnie, co kobieta wykrzykuje. Nie zna niemieckiego. Został wysłany na spotkanie z Amerykanami, bo mówi trochę po angielsku. Ale domyśla się, o co chodzi.

- Nic się nie stać - mówi do zawodzącej kobiety. - Nic się nie stać.

Bandy robi zdjęcie krzyczącej Niemki i uspokajającego ją okupanta.

Lerberg się nie wtrąca. Wydaje jedynie polecenia swoim ludziom siedzącym w czołgu na stanowiskach. Silnik maszyny pracuje. Rozlega się zgrzyt skrzyni biegów. Załoga drugiego czołgu robi to samo co koledzy.

- Poruczniku! - kapitan krzyczy do obrzucanego obelgami Rosjanina. - Niech pan powie swojemu dowódcy, że stoimy około pięć kilometrów na południe od wsi. Zaczekamy na was.

Rosjanin patrzy to na amerykańskiego czołgistę, to na kobietę. Wołałby nie spuszczać jej z oczu, bo boi się, że mogłaby rzucić się na niego. Lerberg woła znowu:

- Zrobi pan to, poruczniku?

Rosjanin prosi:

- Powie jej pan, żeby się uciszyła?

Lerberg interweniuje:

- *Fraulein, Fraulein!*

Kobieta milknie i zaciska usta. Stoi z rękami opartymi na biodrach i ciężko dyszy. Lerberg przemawia do niej, wskazuje radzieckie samochody, swoje czołgi, pozycje 9 Armii kilka kilometrów dalej nad rzeką. Tę scenę fotografuje Bandy. Ma już w głowie podpis: „Wyjaśnienia”.

Wsiada do jeepa. Na twarzy kobiety maluje się nienawiść. Do wszystkich. Do odjeżdżających Amerykanów, całej tej potężnej armii przysłanej tu przez wolny naród, armii, która ich zawiodła i nic nie robi, żeby ich ocalić. Do Rosjan, których nauczyła się bać, choć ten młody oficer sam wydaje się przestraszony. I wreszcie do własnych sąsiadów, którzy stoją beczynn timer i nic nie mówią.

A przecież wszyscy są tylko pionkami. Wynik wojny został przesądzony już dawno. Rozstrzygnął się nie na polu walki, ale w jakimś zacisznym gabinecie w Waszyngtonie albo w Moskwie. Za pomocą ołówków, linijek i cyrkli. Dowódcy wojskowi i politycy potraktowali świat jak planszę do gry. Pieniądze i władza liczą się dla nich bardziej niż życie ludzkie czy krew. Historia nie odnotuje imienia tej dzielnej kobiety. Zapamięta za to Eisenhowera, Roosevel-ta i Stalina. Ona przypadnie w niepamięci.

Po wyjaśnieniach kapitana zapada cisza. Rosjanin przenosi spojrzenie na Bandy'ego.

- Panie fotograf. Rozumiesz tę kobietę?

- Nie.

- Ja też nie. Ale wiem, co ona mówi.

- Aha. Ja też.

- Powiem ci coś. - Rosjanin spogląda na czołgistów. - Powiem ci prawdę. Jak przyjacieli. To smutne. Ta dziewczyna, ona ma rację.

Niemka oddala się od gawędzących ze sobą Amerykanów i Rosjan. Bandy patrzy na nią, kiedy tak idzie do swego małego domu. Drzwi otwiera jej starsza kobieta, która wygraża Bandy'emu pięścią, a potem wchodzi za dziewczyną do środka.

Rosjanin kręci głową.

- My frontowi żołnierze. Znamy dyscyplinę. Nie chcemy skrzywdzić niemieckich ludzi. Chcemy zemsty. Ale nie na nich. Na faszystach. Na tych, co stają przeciwko nam. Tak. Ale nie na cywilach. Jaki żołnierz tak robi? Rozumiesz?

- Zemsta? - pyta Lerberg z wieżyczki. - Żołnierze mają walczyć, poruczniku. Wykonywać rozkazy. Nie do nas należy wymierzanie sprawiedliwości. Ani na cywilach, ani w walce. Nigdy.

Rosjanin prycha ironicznie i w tym momencie Bandy uświadamia sobie, jaki poziom ten człowiek reprezentuje.

- Tak, tak. Jak Niemcy przyjdą do Ameryki w następnej wojnie, to zobaczymy. Tak, kapitanie?

Ta uwaga powstrzymuje Lerberga od dalszych pouczeń. Porucznik zwraca się do Bandy'ego:

- Panie fotograf. Ty rozumiesz. To nie moi ludzie. To ci z tyłu. Drugi rzut. Ta dziewczyna niech się boi tamtych. Oni szaleńcy w walce. Co oni robią... - Zwęża oczy. Urywa.

- Panie Bandy! - woła kapitan. Rozlega się warkot silnika. - Zabieramy się stąd.

Bandy nie ma ochoty uścisnąć Rosjaninowi ręki na pożegnanie. Odwraca się w stronę jeepa.

- Chcesz jechać z nami?

Bandy przystaje. Porucznik wskazuje drogę za stojącymi dalej samochodami.

- Do Brandenburga, panie fotograf? Zobaczysz sam. Co robią radzieccy żołnierze. Co robią Niemcy.

Bandy patrzy na Lerberga:

- Kapitanie?

- Jak pan chce, panie Bandy.

To może być dla niego jedyna szansa na dotarcie do Berlina. Gdyby udało mu się przyłączyć do jakiegoś radzieckiego oddziału, dostałby się tam wraz z nim. Jako jedyny amerykański fotoreporter byłby świadkiem upadku ostatniego niemieckiego miasta - prawdziwego zakończenia wojny w Europie.

List w jego kieszeni odzywa się znowu: gdzie jesteś, Charley?

Droga Via Jestem w Berlinie.

- Dobrze, poruczniku. Jadę z wami.

Rosjanin skinieniem głowy przyjmuje odpowiedź.

Kapitan Lerberg krótko salutuje Bandy'emu. Dwa czołgi z hurkotem ruszają w drogę. Kierują się na południe od wsi, zostawiając za sobą smugę spalin. Porucznik wskazuje Bandy'emu miejsce w swoim samochodzie, ale on woli jechać własnym.

Mieszkańcy wsi odprowadzają wzrokiem oddalające się amerykańskie czołgi. Potem spoglądają oskarżycielsko na tego, który jeszcze został. Na Amerykanina, który przygotowuje się do odjazdu z Rosjanami. Bandy ostatni raz patrzy im w oczy. Widzi w ich spojrzeniach gniew i wie, że uważają go za tchórze.

- A co z tymi ludźmi? - pyta Rosjanina. - Z całą wsią?

Porucznik odpowiada pytaniem:

- Jak się nazywasz?

- Bandy.

- Bandy. Widziałeś wojnę?

- Tak, poruczniku. I to nie raz.

- No to nie pytaj. Wiesz dobrze.

Rosjanin wsiada do wozu. Kierowca ostro skręca, wyrzucając spod kół żwir i kamienie. Bandy ma jechać za nimi.

Droga biegnie na północ. Bandy jedzie za trzema radzieckimi jeepami. Stara się trzymać blisko, aby wszyscy, którzy go zobaczą, wiedzieli, że należy do tego małego konwoju. Po szesnastu kilometrach dojeżdżają do wschodniego krańca Magdeburga, średniej wielkości miasta nad Łabą. Droga przebiega obok dzielnicy przemysłowej. Widać wielkie zniszczenia, rezultat walk artyleryjskich między 9 Armią a niemieckimi działami, które usiłowały uniemożliwić Amerykanom przekroczenie Łaby. Bandy przejeżdża obok magazynów, z których pozostały tylko szkielety, obok osmalonych i łysych budynków z cegły. Wśród ruin nie ma żywego ducha. Wszyscy się ukrywają. Nadchodzą przecież Rosjanie.

Droga prowadzi dalej do Brandenburga, przecinając kilkanaście wsi i miasteczek. Nigdzie nie widać śladów zorganizowanej działalności wojsk niemieckich. Bandy przypuszcza, że wszyscy ludzie, cała broń i sprzęt zostały wycofane na wschód, do obrony Berlina przed czerwonymi. Obszar między Łabą a Berlinem jest opustoszały. Oddziały amerykańskie mogły pokonać ten odcinek bez żadnych przeszkód. Ale nie jest to żadne odkrycie. Wszyscy na przyczółku Barby tego się właśnie spodziewali.

Bandy jedzie przez tereny rolnicze i piękne pagórkowate pastwiska. Są tu lasy i strumienie, malownicze kamienne mostki i chaty kryte słomą. Nie widać

zwierząt gospodarskich. Ziemia została zorana pojazdami pancernymi i zrzuconymi przez samoloty bombami.

Słyszac zbliżające się samochody, mieszkańcy tej krainy wychodzą na drogę. Zobaczywszy czerwone gwiazdy na jeepach, zaczynają wymachiwać rękami, jakby chcieli odpędzić Rosjan. Bandy jedzie z tyłu, w jak najmniejszej odległości. Wydaje się, że ściga radzieckie wozy. Na widok białej gwiazdy na masce ludzie się uśmiechają.

Tablica przy drodze informuje, że do Brandenburga pozostało osiem kilometrów. Eskorta Bandy'ego się zatrzymuje. Porucznik podchodzi do jego jeepa.

- Pokażemy ci coś.
- Dobrze.
- Masz filmy do aparatu?
- Tak.
- To robota Niemców. Staniemy tam.
- Co to takiego?
- Jedź za nami, Bandy. Zobaczysz. I rób zdjęcia.

Cztery pojazdy ponownie ruszają w drogę. Kierowca porucznika przepuszcza Bandy'ego przodem.

Wjeżdżają do niewielkiego starego miasta z murami obronnymi, katedrami i brukowanymi uliczkami. Na wyspie pośrodku rzeki stoi średniowieczny zamek. Znak informuje, że rzeka nazywa się Hawela - przepływa też przez Berlin. Masywna gotycka architektura kontrastuje z zabudową dwudziestowieczną pochodzącą z czasów, gdy Branbenburg stał się ośrodkiem przemysłowym. Rzeka jest tu szeroka i wystarczająco głęboka, by mogła stanowić port dla Berlina. Bandy i towarzyszące mu samochody mijają stocznie i żurawie, browar - czuć zapach chmielu, widocznie w miasteczku wytwarza się piwo nawet po wkroczeniu Rosjan - i wiele zakładów przemysłowych z kominami, z których niegdyś wydobywał się dym. Teraz, po alianckich nalotach, z kominów pozostały kikuty. Ale generalnie miasto nie jest zniszczone. Walcząc o nie, Rosjanie nie napotkali wielkiego oporu.

Według oceny Bandy'ego, Brandenburg przypomina wielkością Bristol na granicy Tennessee z Wirginią. Może mieć ze czterdzieści, pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców. Tego dnia jednak miasto jest przepełnione ludźmi. Jest ich chyba z dziesięć tysięcy więcej, niż może się tu pomieścić. Na ulicach stoją wypełnione tobołami wózki, które przyciągnęli starsi mężczyźni albo co potężniejsze kobiety. Wokół tych prowizorycznych pojazdów kręcą się całe rodziny albo siedzą na walizkach i kufrach. Ojcowie mają kilkunniowy zarost. Wyglądają niechlujnie, jak po długiej podróży. Kobiетom i dzieciom ze zmęczenia kiwają się głowy. Wszyscy są potargani. Zapęniają miasto, jego place i chodniki,

pomosty dla wędkarzy nad rzeką, tereny wokół kościołów, parki. Widać, że są to uchodźcy. Zwykli, przestraszeni Niemcy, którzy uciekali tłumnie na zachód i południe, zabierając swoje rzeczy w pośpiechu, by zdążyć przed Rosjanami, dotrzeć do linii amerykańskich. Te nadzieje się nie spełniły. Bandy nie widzi na ich twarzach ulgi z powodu wyzwolenia. Mają świadomość, że są w niewoli.

Na parkingu zebrano pod strażą setkę żołnierzy Wehrmachtu. Wśród nich są dziesiątki starszych mężczyzn w cywilnych ubraniach i miękkich kapeluszach - niedobitki miejscowego Volkssturmu. To obsada miejscowej placówki wojсковej. Ostatnia linia obrony, która szybko się załamała. Między nimi krążą sanitariuszki. Rozdzielają wodę i lekarstwa, opatrują rany.

Brandenburg zalany został przez radzieckie wojska - ludzi i sprzęt. Rosjanie przepychają się przez blokujący przejścia tłum bez uciekania się do przemocy, ale też bez zbędnych uprzejmości. Niemcy sami usuwają się z drogi. Bandy zauważa radziecki transporter z żołnierzami, który spycha z drogi wóz. Ludzie i bagaże wysypują się z niego na ulicę. Istnieje jakby niepisane prawo, zgodnie z którym tylko radzieccy żołnierze mogą poruszać się szybko i sprawnie, jedynie ich sprzęt może przemieszczać się wszędzie bez przeszkód. Reszta siada albo staje z boku.

Rosjanie są zdyscyplinowani. Zachowują się powściągliwie, tak jak mówił porucznik. Bandy nie widzi oznak grabieży. Mieszkańcy miasta i uchodźcy są wystraszeni, ale nikt nie zachowuje się wobec nich agresywnie. Wojska radzieckie postępują podobnie jak Amerykanie, myśli Bandy. Jeśli zdobywają miasto siłą, traktują jego mieszkańców szorstko. Jeśli natomiast miasto samo się podda - albo jak w przypadku Brandenburga, jego obrona się rozproszy - odnoszą się do nich po ludzku.

Samochody jadące przed Bandym skręcają w zachodni kraniec miasta. Droga biegnie wzdłuż Haweli. Porucznik trzyma się tuż za Bandym. Parę minut później nad rzeką wyrasta masywna ufortyfikowana budowla. Jeepy zostają zatrzymane przez wartowników przy bramie. To nie żaden zamek pod miastem. Budynek jest zbyt nowy. Żołnierz w samochodzie na przedzie rozmawia ze strażnikami. Ci dają znak, że auta mogą przejechać. Jeden z wartowników salutuje Bandy'emu.

To więzienie. Zaprojektowane nowoczesnie i w sposób przemyślany. Centralny budynek, otoczony rozległym dziedzińcem, jest czteropiętrową bryłą ze spadzistym dachem krytym dachówką. Całość niepokoi swoją surowością. Bandy zwalnia, nie zważając na porucznika z tyłu. Nie ma zamiaru się spieszyć.

Mija osadzone w cemencie ogrodzenie ze stalowych prętów. Między nimi biegną druty kolczaste. Na wieżach wartowniczych wbudowanych w zewnętrzne

mury stoją nie obsadzone teraz karabiny maszynowe, które osłonięto workami z piaskiem. Bandy zatrzymuje wóz. Porucznik także staje, ale nic nie mówi. Pozostałe samochody jadą dalej.

Dziedziniec wypełniony jest błakającymi się bezradnie ludźmi. Wszyscy mają na sobie takie same luźne ubrania, brudne i złachmanione, w szerokie bladoniebieskie pionowe pasy. Wielu z nich nosi czapki z tego samego materiału. Bandy wysiada z jeepa.

Porucznik woła do niego:

- Bandy! Aparat.

Bandy ignoruje jego uwagę. Tego, co widzi, nie odda żaden aparat.

Więźniowie przypominają porozrzucane śmieci. Nie poruszają się normalnie. Są jakby popychani podmuchami wiatru, unoszą się na jakiejś niewidocznej fali. Przy drutach kręci się ich tysiąc, może dwa tysiące. Podchodzą do ogrodzenia, wyciągają ręce i dotykają go. Robią coś, za co wcześniej mogli zostać zastrzeleni. Pewnie nawet jeszcze dziś rano. Bandy podchodzi do jednego z nich.

Po raz pierwszy w życiu spogląda w oczy żywego człowieka, które są zupełnie puste. Ma wrażenie, jakby patrzył poprzez otwarte drzwi w całkowity mrok. Wzrok tego człowieka wciąga go do środka, w głąb ciemnego pomieszczenia rozciągającego się za progiem. W zagłodzonej twarzy mężczyzny pustką zieją także usta.

Bandy chciałby coś powiedzieć. Obok niego przepływają inni więźniowie przyciągani przez druty kolczaste. Mężczyźni, marszcząc brwi, niepewnie kładą na nich ręce.

Pyta stojącego obok mężczyznę:

- Wszystko w porządku?

Więzień podnosi w górę oczy, jakby głos Bandy'ego dochodził gdzieś z wysoka. Bandy podąża wzrokiem za jego spojrzeniem i widzi pustą wieżę wartowniczą na szczycie muru.

Marmurowe oczy ponownie zwracają się ku niemu. Ta wędrówka nie zmieniła ich wyrazu.

Mężczyzna kiwa głową.

- *Ja.*

Powiew niewidzialnego wiatru unosi więźnia dalej.

Do Bandy'ego podchodzi porucznik.

- To jeszcze nie najgorsze. Chodź. Zobaczysz więcej.

Bandy jedzie za porucznikiem środkową aleją. Po obu jej stronach kręcą się więźniowie. Bandy jest wstrząśnięty tym, że błądzą tak bez celu. Wszyscy wyglądają tak samo - wyniszczone, wychudzone, zgarbione sylwetki przypominające rośliny powalone ulewным deszczem. Ubrani tak samo, poruszają się

takim samym krokiem w powolnym, lunatycznym marszu. Ich ręce są wątle, wyraźnie poznaczone żyłami. Oczy, osadzone w różnych twarzach, to takie same przepaściste doły, w które Bandy zaglądał przed chwilą. Ten człowiek jest w każdym z nas - myśli - żyjąca istota na końcu swej drogi. Co za straszliwa podróż.

Porucznik zatrzymuje się przed wejściem do więzienia. Bandy staje za nim. Bierze torbę z aparatami. Budynek jest wysoki i smukły. To ceglany gmach z zakratowanymi oknami. Wchodzą przez grube, obite blachą drzwi. Jedyne światło dochodzi przez nieliczne okna.

Na wyłożonej linoleum podłodze dudnią kroki następnych więźniów. Porucznik szybko przechodzi między nimi, nie pozwalając Bandy'emu się zatrzymać, by porobić zdjęcia. Idą długim korytarzem.

Rosjanin macha ręką.

- To więzienie, wiesz?

- Wiem.

- Odbiliśmy go faszystom dwie godziny temu. Wiedzieli, że idziemy. Powinni uciec, no nie? Powinni odejść i zostawić więzienie. Zdobyliśmy i uwolniliśmy ludzi.

- Kim są ci więźniowie?

- Przeważnie wrogowie Niemców. Żydzi, Rosjanie, Polacy, Słowacy.

- Niemcy bronili tego miejsca?

- Nie. Radziecka armia nadeszła zbyt szybko. Faszyci mieli do załatwienia inne sprawy.

Mówiąc to, porucznik popycha potężne drzwi. Bandy wchodzi za nim do obszernego pomieszczenia z celami ulokowanymi na trzech poziomach. Nie dochodzi tu światło dzienne, które by rozproszyło szarą, mglistą aurę. Przez całą długość budynku biegają betonowe chodniki. Każda cela zamknięta jest kratą.

- Są trzy takie rzędy - wyjaśnia porucznik. - Węzienie jest na dwa tysiące ludzi. Faszyci wsadzili tu pięć tysięcy. Chodź.

. Bandy idzie za nim w głąb pomieszczenia. Wszystkie cele są otwarte. Już po pierwszych krokach czuje woń ludzkiego upodlenia: odchodów, zgnilizny, chorób. Oprócz tłumu na dziedzińcu, setek ludzi krążących po korytarzach, jeszcze tysiąc więźniów leży tu, w celach, po trzech albo czterech w każdej. Są zbyt wycieńczeni lub okaleczeni, by wstać. Ich jęki odbijają się echem od chropawych ścian i stalowych prętów. Idąc, Bandy zagląda do każdej celi. W tym zbiorowym nieszczęściu znowu dostrzega pojedynczego człowieka, który mógłby opowiedzieć pięć tysięcy wstrząsających historii.

- Ci ludzie są niedożywieni - odzywa się porucznik. - Jest też tyfus. Gruźlica. Naziści pozwolili im tak gnić.

Bandy zsuwa z ramienia torbę, by wyjąć leicę.

- Czekaj - mówi porucznik. - Najpierw zobacz wszystko.

Dochodzą do końca szeregu cel. Rosjanin otwiera następne drzwi pancerne. Dudniąc butami w korytarzu, kierują się do małego pokoju na tyłach budynku. Stoi tam wysoki drewniany przyrząd. Na podłodze pod nim znajduje się odpływ.

Przyjrząwszy się, Bandy widzi, że to gilotyna.

Porucznik zwilża usta.

- Zamordowano tu dwa tysiące więźniów.

Bandy nie podchodzi bliżej, by zajrzeć do ciemnego odpływu czy dotknąć ostrza gilotyny. Trzyma się z daleka, jak od ogniska zarazy. Rosjanin okręca się na pięcie i rusza dalej.

- Gdzie są Niemcy? - pyta Bandy, idąc za nim. - Ci, którzy prowadzili to więzienie?

Żołnierz obiema rękami otwiera ostatnie drzwi. Prowadzą one na dziedzińiec. Stalowa brama zatrząskuje się za nimi z nieprzyjemnym hukiem.

- Teraz rób te swoje zdjęcia, Bandy.

Pod wysoką ścianą leży kilkadziesiąt zwłok ułożonych w stos. Są straszliwie wychudzone. Kiedy tak leżą jedno na drugich, wyglądają jak sterta beładnie rzuconych szaro-niebieskich pasiaków. Ceglany mur zryty jest pociskami, które przeszły ciała ostatnich ofiar. Ponieważ zbliżali się Rosjanie, strażnicy więzienni podjęli ostatnią, desperacką próbę wypełnienia swego zadania. Ci więźniowie zginęli z jakiegoś powodu. Kim byli? Dlaczego nie dopuszczono, by przeżyli jeszcze godzinę, zastanawia się Bandy. Robi krok w stronę stosu ciał. Nie otrzymuje jednak żadnej odpowiedzi. Niezależnie od tego, co łączyło albo dzieliło tych ludzi za życia - skończyli tak samo. Czy istnieje coś, co mogłoby to wytłumaczyć? Jakiś powód?

Pod przeciwną ścianą ustawiono w szeregu ponad dwudziestu niemieckich strażników. Podobnie jak więźniowie, oni także mają na sobie identyczne mundury. Cali w czerni, arogancy, stoją sztywno wyprostowani. To fanatycy, zostali tu, podczas gdy reszta funkcjonariuszy uciekła.

Bandy wyjmując speed graphica i filmy. Rozsuwa harmonijkę z soczewkami i mocuje ją na miejscu. Radziecki porucznik usuwa się na bok, by amerykański fotoreporter zajął się tym, po co został tu sprowadzony - rejestrowaniem dla swojej prasy okrucieństw, jakich dopuścili się faszyci w Brandenburgu.

Bandy przygląda się dłuższą chwilę zwłokom. Potem odwraca się ku niemieckim strażnikom.

Podchodzi do pierwszego w szeregu, unosi aparat i ujmuje w obiektywie twarz mężczyzny. Niemiec ani drgnie, jego rysy są jak odlane z wosku.

To nie tamte ciała pod ścianą, ale ten człowiek uosabia zbrodnię. Podczas każdej wojny, każdego konfliktu ogląda się śmierć. Ale rzadko można oglądać tak złych ludzi. Przed tym właśnie należy się bronić. Coś takiego powinno się wykrywać wcześniej i unieszkodliwiać. Bandy ustawia ostrość. To przeciętna twarz. Ani piękna, ani fascynująca. Takie widuje się w sklepach, na stacji benzynowej, w urzędzie. W Niemczech i w Ameryce. Jak ich wykrywać, zastanawia się Bandy, czekając na otwarcie przesłony. Wyglądają jak wszyscy inni. Strażnicy uśmiechają się hardo. Mam cię, ty bydlaku, myśli Bandy i zwalnia migawkę.

Fotografuje wszystkich strażników, celuje obiektywem w każdą twarz, czekając, aż wreszcie wyjdzie na wierzch całe ich zezwierzęcenie. I tak się dzieje. Bandy utrwala ten wyraz na filmie. Robiąc kolejne portrety, czuje, że zbliża się do kresu swej wytrzymałości. Jak ci nieszczęśliwi więźniowie, którzy pragną tylko dotknąć ogrodzenia wyznaczającego granice ich więziennej egzystencji. Z każdym naświetlonym filmem Bandy czuje się coraz bardziej wyczerpany.

Historia była jego życiem. Wojna, ludzie, którzy biorą w niej udział, i terytoria, o które walczą. Była pasją i tworzywem. Przez dziewięć lat Bandy służył Historii. Ale dłużej już nie może, jeśli będzie musiał fotografować takie okropności

Robi jeszcze jedno zdjęcie. Wsuwa kolejną klatkę i staje przed następnym strażnikiem. Czy ci ludzie o twarzach bez wyrazu rzeczywiście są potworami? Czy zbrodnie, których się dopuścili, żądza zemsty, którą pałają Rosjanie, tolerancja polityczna Amerykanów, której następstwem są miliony ofiar, to tylko kwestia interesu, jak wszystko w dziejach? Czyżby on, Charles Bandy, fotoreporter „Life'u” - obieżyświat znany ze swoich zdjęć ukazujących rzeczywisty obraz rzeczy - nie dostrzegał do tej pory prawdy? Czy prawdziwa twarz Historii jest tak okrutna, jak twarze tych stojących w szeregu nazistów, gdy już wyjdzie na wierzch ich natura? Bandy tak długo patrzy przez obiektyw, że zatracił zdolność widzenia istoty rzeczy.

Historia, którą fotografował po całym świecie, to przecież dzieje rzezi bezimiennych, podboju słabszych i triumfu zwycięzcy - bez względu na to, jak owo zwycięstwo osiągnął. Jak mógł widzieć w tym coś szlachetnego i chwalebego? Coś, za co należą się medale i honory? Jak to się stało, że pół miliona zdjęć, które zrobił, oddaje prawdę w tak znikomym stopniu? Jaki jest powód, dla którego miałby spędzić jeszcze choć jeden dzień w służbie bogiń tak bezwzględnych jak Wojna i Historia?

Zrobi jeszcze piętnaście, dwadzieścia zdjęć - i koniec. Czuje się wykorzystany i piramidalnie głupi. To będzie jego pożegnalna seria. Kolejny raz - to kolejny dowód, że zbyt długo wykonywał swoją robotę - Bandy w twarzach patrzących na niego Niemców widzi tylko jedno oblicze. Jednego przerażającego człowieka,

przewodnika w drodze do piekła. To historyczne oblicze w jego obiektywie jest całkiem normalne. To maska. Odrażająca maska.

Bandy przygotowuje się do naciśnięcia migawki.

Niemiecki strażnik unosi brodę i zasysa policzki. Spluwa w kierunku aparatu, jego jadowita ślina pada Bandy'emu w okolice brwi.

Bez chwili namysłu Bandy upuszcza speed graphica. Aparat z hałasem upada mu u stóp. Jeszcze zanim znieruchomieje, Bandy rzuca się na Niemca. Chwyta go rękami za gardło i przypiera do ściany. Niemiec się broni. Bandy dusi go z całych sił. Strażnik również próbuje złapać go za szyję.

Bandy nie czuje nic poza tym, co czuli naziści - nienawiść.

Teraz jest taki sam jak oni, jest jednym z nich.

Rozdział jedenasty

*29 kwietnia 1945, godzina 8.50
Wilmersdorf, Berlin*

A teraz muszą walczyć z dziećmi.

Czterystu chłopców w czarnych szkolnych mundurkach zbliża się ulicą w kierunku pozycji Ilji. Każdy niesie na ramieniu pancerfaust - jak maczugę do wielkiej bitwy, która zostanie tu rozegrana.

Misza sięga po lornetkę. Ilja odwraca się do niego bokiem, nie chcąc jej oddać. Chłopcy mają najwyżej po piętnaście lat. Nie idą przepisowym krokiem. Nie wznoszą okrzyków bojowych. Po prostu idą. Hitler wysłał ich do walki.

Nie wiedzą, na co się ważą. Sześć przecznic dalej, tam, gdzie siedzą przy czajeni Misza i Ilja, stoi pośród ruin pięćset dział. Siedem tysięcy ludzi z bronią w rękach. Wozy konne wyładowane taką ilością amunicji, że mogłaby ich wszystkich zabić tysiąc razy.

Wśród najeźdźców sięgających po Berlin jest także Ilja. Zabije te dzieci, jeśli będzie musiał. Ta myśl nie sprawia mu przyjemności.

Od czasu zdobycia Seelow Ilja widział, jak słabnie niemiecka obrona. Na terenie Oderbruch wróg walczył zaciekle. Radzieckie straty w dolinie były ogromne. Ofiary pochłoneła też walka o miasteczka na skraju wyżyny. Gdy już się tam dostali, szybko dotarli do wschodnich przedmieść Berlina. Stoją tam przeważnie letnie domki, drewniane wille z podwórkiem albo ogrodem. Otwarta przestrzeń, tereny parkowe i pola sprzyjały postępom armii. Budynki stanowiły kiepskie punkty oporu, a drogi były liczne i szerokie. Niemieckie oddziały zaczęły wycofywać się do Berlina, pozostawiając na wyżynie artylerię i dziesięć tysięcy ludzi, którzy zginęli w walce. Za nimi postępowali Rosjanie, zdobywając każdy dom i każdą uliczkę.

Przed wkroczeniem do Berlina 8 Armia Gwardyjska Czujkowa skrzyła na południe, by zaatakować miasto z jego najsłabszej strony. Trzy dni temu

kompania Ilji wjechała na czołgach 1 Armii Pancерnej do dzielnicy Neukölln. Tu zabudowa stała się bardziej zwarta. Ludzie Ilji musieli walczyć między pięciopiętrowymi budynkami fabrycznymi i dziewiętnastowiecznymi kamienicami czynszowymi. 8 Armia Gwardyjska otoczyła lotnisko Tempelhof, przebiła się przez Schöneberg, a potem ruszyła na północ i wkroczyła do Wilmersdorf. Dalej leży Charlottenburg. I wielki Tiergarten. Na wschodnim skraju parku znajduje się punkt zero, symboliczny ośrodek władzy w Niemczech - Reichstag. Warunkiem powodzenia ataku jest jego szybkość. Żukow zapowiedział, że gdy nad Reichstagem zawiśnie radziecka flaga, bitwa o Berlin oraz cała wojna będą zakończone.

Ku zaskoczeniu Ilji obrona Berlina okazała się nieskoordynowana. Nie tego spodziewali się po reżimie Hitlera i on, i Misza, i radzieccy generałowie. Podchodząc pod Berlin, oczekiwali kolejnego Stalingradu, a raczej Hitlergradu, i ciężkich walk, będących ostatnim rozdziałem morderczej kampanii. Szykowali się do mozolnego zdobywania twierdz i pokonywania rozległych przestrzeni, przepraw przez rzeki i tytanicznych bitew z udziałem czołgów. Berlin tymczasem walczy jak pijany zawodnik. Zadaje źle wymierzone ciosy, miota się bezładnie. Jego obrońcy to marnie uzbrojona zbieranina. W oddziałach wziętych do niewoli, prócz regularnych żołnierzy, są tylko starsi ludzie - członkowie Volkssturmu, chłopcy z Hitlerjugend, strażacy i policjanci. Wszyscy oni walczą obok siebie bez dowódców. Obrona sprowadza się do sporadycznych starć na ulicach. W tego rodzaju walkach Ilja wprawił się w Stalingradzie i teraz, w Berlinie, potrafi przewidzieć finał każdej potyczki, zanim jeszcze się rozpocznie. Czuje się jak zwierzę w dżungli, które powróciło na swoje łowisko. Dzisiaj jednak do walki z nim stanęły dzieci i w związku z tym nie potrafi przewidzieć, co się za chwilę wydarzy.

Ilja oddaje Miszy lornetkę. Broń, którą niosą ci chłopcy, jest niebezpieczna. Nie wolno pozwolić, by podeszli bliżej.

Dzieciaki podjęły walkę, bo władze państwa nie są już w stanie ich obronić. Niemieccy żołnierze masowo dezertują z armii. Ilja znajduje wśród ruin porzucone mundury. Najbardziej zawzięci esesmani przeszukują piwnicę po piwnicy, by wyłapać żołnierzy ukrywających się między cywilami. Wielu członków Volkssturmu pragnie dzielić los swoich rodzin i ucieka do domu, pozbywając się po drodze opasek i starych karabinów. Dezertery wieszani są w miejscach publicznych albo rozstrzeliwani. Pozostawione zwłoki mają na szyjach tabliczki z napisami: „Jeszcze wiele możemy”. W rezultacie trudno przewidzieć, do czego zdolni są obrońcy. Poszczególne walki mają na celu zatrzymanie wroga, jak długo się da. Opór jest nieporadny, choć czasem bywa bardzo zacięty.

W takiej sytuacji Rosjanie stosują taktykę działań zdecydowanych i bezpośrednich. Generał Czujkow, bohater spod Stalingradu, postanowił, że Berlin nie

stanie się Hitlergradem. Przy każdym oporze, czy to w poszczególnych budynkach, czy kwartałach ulic, artyleria po prostu zmiata z ziemi pozycje wroga. Katusze, zamontowane na amerykańskich ciężarówkach Forda, rażą raketami z fosforem na oślep, wzniecając morze ognia. Lufy potężnych dwustutrzymilimetrowych dział, kierowane nawet na chodniki, wyrzucają ciężkie pociski. Tysiące z nich pada na ogrody, place - wszędzie, gdzie dadzą o sobie znać obrońcy. Pojedyncza seria z karabinu maszynowego, jeden niemiecki snajper zaczajony w oknie może ściągnąć zagładę na cały budynek wraz z jego mieszkańcami. Radzieccy oficerowie krzyczą do swoich ludzi: „Ognia!”, „Strzelajcie do woli!”, „Nie oszczędzajcie amunicji!”

Gdy bastion oporu leży już w gruzach, wtedy do akcji wkraczają czołgi, taranując resztki barykad i rozwalając pociskami to, czego nie mogą zmiażdżyć. Wszelkie przeszkody, jakie ustawiono na ulicach, by zatrzymać pochód Rosjan - autobusy, wagony tramwajowe, wozy wyładowane kamieniami - są po prostu roznoszone na kawałki, nikt nie bawi się w ich omijanie. Czołgi jadą tyralierą. Ludzie opróżniają magazynki, wiedzą, że nabojów nie zabraknie.

Za czołgami idzie piechota. Żołnierze wkraczają do zniszczonych dzielnic z karabinami, granatami i nożami. W takim działaniu Ilja nie ma sobie równych. Jak zawsze bez słowa prowadzi ludzi do walki. Wydawanie rozkazów pozostawia Miszy. Stara się unikać otwartych przestrzeni. Przechodzi wraz z plutonem przez wyrwy w murach, piwnice, alejki i tylne bramy. Dzięki jego instynktowi ofiar jest niewiele. Ludzie szybko się uczą i stają się naprawdę groźni. Po zabezpieczeniu terenu ruszają dalej, zmierzając ku centrum miasta. Artyleria także przemieszcza się naprzód, by razić pociskami następne rejonny Berlina.

Misza z upodobaniem uczestniczy w tym dorzynaniu miasta. Jak zresztą wszyscy żołnierze. Miasto jest już na kolanach, ale jeszcze nie padło, i dopóki się nie podda, będzie bite i poniewierane. Misza, śmiejąc się, klnąc i rabując Niemcom zegarki (zatrzymuje w tym celu nawet ledwie chodzących starszych ludzi, woła „Uri!” i pokazuje na swój nadgarstek; pod rękawem płaszcza ma zegarków po łokieć, wszystkie nastawione dwie godziny do przodu, wskazują czas moskiewski), kształtuje postawę innych żołnierzy. Jest dla nich teraz przykładem, jak Ilja jest wzorem w walce. Ilja tymczasem robi swoje. Kopnięciem usuwa z drogi cegły, pada na ziemię i znowu rusza do ataku.

Dzieci tymczasem podchodzą bliżej. Są już trzy ulice przed nimi. Między ruiny za Ilją i Misza wpada jeden z żołnierzy.

- Towarzyszu poruczniku, towarzyszu sierżancie.
- Tak? - pyta Misza.
- Co robimy?
- Z czym?

Żołnierz jest zaskoczony tym pytaniem. Przecież wiadomo.

- Ci chłopcy, towarzyszu. Jest ich kilkuset.

- Wiem.

- Są uzbrojeni, towarzyszu sierżancie.

- To też wiem.

Żołnierz przestępuje z nogi na nogę. Chłopcy z każdą chwilą są coraz bliżej.

- Jak myślicie, po co mają te pancerfausty? - pyta Misza.

- Jak to, towarzyszu?

- Widzieli przecież nasze czołgi i artylerię. Co zamierzają? Myślicie, że pojeżdżą i zaczną nimi walić w czołgi? Jak maczugami?

- Oni... zaczną do nas strzelać, towarzyszu?

Ilja wyciąga rękę w stronę Miszy i zabiera mu lornetkę. Nie ma ochoty słuchać, co teraz powie Misza.

On jednak w uśmiechu wyszczerza zęby do Ilji. Wyjaśnia żołnierzowi:

- Znajdźcie sposób, żeby ich rozbroić. Wystrzelcie race, żeby nas zobaczyli. Poślijcie im nad głowami parę pocisków. Może się przestraszą. To dzieciaki w krótkich spodenkach. Powinni dać nogę. To wszystko.

Żołnierz jest zadowolony z otrzymanego rozkazu. Odwraca się, by pobiec do kolegów i przekazać im polecenie, zanim któryś naciśnie spust. Ilja zatrzymuje chłopaka.

- Nikołaj?

Misza, robiąc ucieszną minę, udaje zdziwienie. Ilja zna imię któregoś ze swoich ludzi?

- Tak, towarzyszu poruczniku?

- Jeśli nie da się ich przestraszyć... Dzieci czy nie...

Żołnierz rozumie to gorzkie niedopowiedzenie. To dobrze, myśli Ilja.

- Idźcie już.

Żołnierz odbiega.

Mały Misza nic nie mówi. Podchodzi do przeciwległej ściany i rzuca się pod nią. Wyciąga jedną nogę, drugą zgina w kolanie. Wygląda zawadiacko. Wyjmuje kapciuch z machorką, by zrobić skręta. Ilja przygląda się ruchom jego rąk. Są zręczne, zwijają skrawek gazety ściśle i równo. Potem Misza wtyka skręta w usta z nonszalancją starego palacza i człowieka potężniejszego, niż jest w istocie. Ilja zazdrości mu tych cech kameleona. Zdobył bliźnę. Pali więcej niż ktokolwiek inny w kompanii. Klnie jak szewc, a w piciu wódki mało kto może mu dorównać. Udaje chojraka, wydaje rozkazy. Obmyśla taktykę w samym środku bitwy. Ludzie go lubią, lgną do niego, a nawet naśladują. Mówi to, co właśnie chcą usłyszeć. Choćby teraz, gdy kazał przestraszyć te dzieciaki. W ciągu pięciu miesięcy Misza z tchórza przeobraził się w charyzmatycznego dowódcę.

Chłopcy idący ulicą podeszli już tak blisko, że Ilja słyszy stukot ich butów. Maszerują przez ruiny, wypatrując pozycji radzieckich. Ilja chciałby pojąć, dlaczego tak się dzieje, że dzieci dostają broń w ręce i idą na śmierć. Co im wbijano do głów, że tak postępują? Kto im to zrobił? Ale nie ma czasu, by się nad tym zastanawiać. Bierze karabin maszynowy. Celuje do nadchodzących chłopców. To szaleństwo, myśli. Szaleńcy przeciw szaleńcom.

W niebo strzelają złoście race. Jest ich z tuzin, szybują nad kilkoma kwaterami ulic. Oświetlają silne pozycje radzieckie w ruinach. Wielu chłopców w pierwszych szeregach wzdryga się ze strachu, gdy wzbijają się nad nimi race. Uciekajcie, podpowiada w myśli Ilja. Ale słysząc tylko syk iskier. Poza tym nie się nie dzieje. Chłopcy zbijają się w bardziej zwartą grupę i maszerują dalej. Zdejmują pancerfausty z ramienia i biorą je w ręce, gotowi do ataku.

Odzywa się działo. Pocisk uderza w ścianę budynku za nimi, robiąc kolejną wyrwę. Chłopcy w grupie odwracają głowy. Uciekajcie stamtąd, myśli Ilja. Uciekajcie.

Chłopcy zaczynają biec, ale nie w tę stronę, w którą chciałby skierować ich Ilja. Ruszają do ataku tuż za błyskami i smugami dymu pozostawianymi przez odpalone pancerfausty. Namierzili radziecką artylerię. Dziesięciu, teraz już dwudziestu chłopców wystrzeliwuje swój ładunek. Rakiety przelatują nad stanowiskiem Ilji. Ci, którzy zrobili już swoje, zwalniają. Wypełnili obowiązek wobec ojczyzny i przeżyli. Inni napierają na nich, zbliżając się do Rosjan, których widzą przed sobą.

Ulicę rozrywają następne pociski panzerfaustów. Ilja zastyga z palcem na spuście. Gdzieś za nim przeraźliwie rzą ranne konie. W miejscach, gdzie rozlokowani są Rosjanie, rozlegają się wybuchy. Teraz chłopcy już padają. Kule koszą pierwszy szereg. Ilja zaciska zęby i strzela. Zabija z pepeszy troje dzieci. Mógłby zabić pięćdziesięcioro, ale przerywa serię. Pozostali chłopcy zatrzymują się niepewnie. Żaden nie decyduje się przejść nad ciałami kolegów. Rosjanie przerywają ogień. Kolejna raca wlatuje w górę. Szybkuje po niebie z sykiem, oświetla chłopców z wysoka. Ci, którzy ocaleli, rozbiegają się, rzucając broń. Uchodzą z życiem.

Ilja opuszcza pepeszę. Wie, których z wielu leżących na ulicy chłopców zabił. Zadaje sobie pytanie: czy miejsce, gdzie leżą zabite dzieci, nawet jeśli miały w rękach broń, można nazwać polem bitwy?

Chciałby to wiedzieć. To i wiele innych rzeczy. Ma wiele pytań. Całe mnóstwo. Do wszystkich, których zabił. Gdy lufa karabinu jest jeszcze ciepła, gdy nozdrza pełne są dymu, przychodzi chwila zastanowienia.

Przykłada policzek do kolby karabinu. Zamyka oczy. Przecież zna odpowiedzi na te pytania. Są w nim, jest tego pewny. Zbliża się do nich, ale coś stoi mu na przeszkodzie. Czuje się bezradny, jak ktoś, kto napotyka zwodzony most.

Nie wie, jak przedostać się na drugą stronę. Przeczuwa, że to, czego szuka, jest blisko, w zasięgu ręki. I to doprowadza go do szału.

Przywołuje wszystkie swoje wątpliwości. Muszę poznać odpowiedzi! - woła w głąb siebie. Ale ta część jego duszy, która je skrywa, pozostaje niema.

Ilja zaczyna się bać. Nie wędrował tą ścieżką od początku wojny. Przez cztery lata podążał inną, mniej subtelną drogą, gdzie nie potrzebował żadnych wyjaśnień, gdzie liczyły się tylko konkretne umiejętności i obowiązek. Teraz chciałby zrozumieć. Czuje się zagubiony. Doszedł do martwego punktu. Zada-je więc te pytania ciemnej, milczącej części swego „ja”, bezwładnej i ciężkiej jak zwłoki.

Boi się, że stanął wobec największego niebezpieczeństwa, z jakim się do tej pory zetknął - lęka się, że nigdy nie pojmie tego, co zrobił.

Odwraca głowę od ulicy. Misza ruszył się spod ściany. Mały sierżant wydmuchuje obłok dymu.

28 kwietnia 1945, godzina 9.40

W samolocie C-46 lecącym na zachód

Nad Renem, Niemcy

Bandy potrzebuje dystansu. Jak największego i możliwie jak najszybciej.

Spogląda w dół przez okno zamkniętych drzwi, którymi wyskakują zwykle spadochroniarze. Ławki są teraz puste, stalowa podłoga jest stabilna. Lot do Londynu przebiega spokojnie i głośno. Żadnego ostrzału przeciwlotniczego na zewnątrz, żadnych spoconych ze strachu żołnierzy w środku. Tylko Charley Bandy, który usiłuje o wszystkim zapomnieć. Bezskutecznie.

Na wodach rozciągającego się poniżej Renu połyskuje słońce. Samolot nie leci wysoko i Bandy widzi w dole skutki wojny. Most na rzece jest zerwany. Spalone czołgi i leje po bombach szpecą pola, które powinny być już zielone, a są brązowe, usiane czarnymi plamami i jałowce. Lećmy wyżej, myśli Bandy, wyżej. Nad chmurami. Niech ten widok zniknie. Bandy marzy o tym, aby czarno-brązowo-czerwoną Europę przesłoniła mu biel.

Odchodzi od okna. Siada na ławce. Nie ma ze sobą aparatu fotograficznego ani filmów. W ogóle nie ma bagażu, tylko brudne ubranie na sobie. Samolot leci pusty. Wraca do Londynu, żeby zabrać do Niemiec reporterów, jakichś oficjeli, może jeszcze żołnierzy i zaopatrzenie. Na razie nikt nie podróżuje w tym kierunku. Wszyscy chcą lecieć w przeciwną stronę, gdzie coś się dzieje, gdzie wojna dobiega końca, by mogli potem powiedzieć, że tam byli. Bandy nie wie, ile czasu upłynie, by i on miał ochotę o tym mówić.

Gdy wyląduje w Londynie, złapie jakikolwiek samolot do Stanów. Będzie musiał wziąć prysznic, coś zjeść, odpocząć, ogolić się. Jego ciało ma swoje potrzeby i Bandy jest z tego powodu niezadowolony, bo to opóźni jego powrót do Tennessee.

Tam wszystko sobie przemyśli i ułoży. Stanie na ziemi swoich dziadków. Ziemi, która przeszła na jego ojca, a teraz należy do niego. Wciągnie w płuca wilgotne górskie powietrze, nasyci się bliskością żony i wonią tytoniowych liści na palcach.

Porusza obolałą prawą ręką. Od walenia Niemca ma obtłuczone dłonie. Tłukł go w twarz bez opamiętania. Rosjanin nie zrobił nic, by ich rozdzielić. Strażnik zrewanżował mu się kilka razy, ale Bandy zasypał go ciosami. Biłby tak, nawet gdyby sam miał zginąć. To nie zależało od jego woli. Po prostu się działo, tkwiło w nim, by w sprzyjającym momencie się ujawnić, wyskoczyć jak diabeł z pudełka. Bandy nie mógł nad sobą zapanować. Niemiec wiedział, że Bandy może go zabić, a czerwoni będą się temu tylko przyglądać. Podniósł kolano i kopnął Bandy'ego w krocz. Zrobił to dwukrotnie, zanim Bandy go puścił. Potem Niemiec wyprostował się chwiejnie i zaczął uciekać, ale Rosjanin powalił go kolbą karabinu. A Bandy leżał zamroczony, w szoku. Nawet gdy już wstał, nie mógł dojść do siebie jeszcze przez kilka minut. Wyjął leicę z torby i rzucił ją w podziurawioną kulami ścianę. Srebrne odłamki posypały się na ciała zabitych. Wyjechał z Brandenburga, przejechał przycóżek i most Trumana, nie zatrzymując się, dopóki nie dotarł daleko na tyły i nie znalazł pasa startowego. Przenocował tam i rano złapał samo Lot do Londynu.

- Każdy z nas - powiedział głośno, ale jego słowa zagłuszył warkot silników. Musiał to usłyszeć, dlatego tym razem posłużył się głosem, nie aparatem. Dlatego tak się spieszy do Victorii, bo ona zada mu to pytanie, a on będzie musiał na nie odpowiedzieć.

Kończy teraz zdanie w huku śmigieł:

- Każdy z nas potrafi zabić.

Nieważne, kim jesteś i za kogo się uważasz.

Każdy z nas.

Powie jej. Co widział, co zrobił. Kim się w końcu stał. Opowie o nienawiści, która go odmieniła i zmusiła do ucieczki. Wyjaśni, skąd ma bliznę na nodze, opowie o skoku ze spadochronem, o ranie, którą odniósł, i o młodych Niemcach. Pokaże jej list pożegnalny, który nosił przez lata wojny w kieszeni na piersi. O wyścigu do Berlina, o wielkim zawodzie amerykańskich chłopaków, którym odebrano miasto. Opisz wszystkie okropności, jakie widział, i zrobi to słowami, nie za pośrednictwem zdjęć. Zwłoki. Powieszeni. Więzienie. Rozbity aparat. Pragnienie odebrania komuś życia, które nie może być usprawiedliwione tym, że to ktoś bardzo podły. Pogrzebie zabitych pod liśćmi tytoniu,

odda swój gniew ziemi i być może zaowocuje to w nim narodzinami czegoś dobrego.

Bandy się modli. Prosi Boga, żeby to rzeczywiście przemieniło się w coś dobrego.

Zielone wnętrze samolotu to goła stal. Nie ma tu niczego, co by wygłuszało huk silników i świst wiatru. Wibracje, jakie Bandy czuje za plecami, są wyraźniejsze niż pod butami. Zamyka oczy i czuje, jak przesuwa się pod nim niemiecka, a potem francuska ziemia. Wydaje mu się, że słyszy trzeszczenie każdego nitu w samolocie.

29 kwietnia 1945, godzina 17.30

Schron przeciwlotniczy przy Savignyplatz
Charlottenburg, Berlin

- Ciii!

Mutti kładzie dłoń Lottie na swoich kolanach. Zaciska na niej palce.

Jedna ze starszych kobiet w schronie dalej mówi beładnie. Wszystkie są zdenerwowane. Ona też i dlatego nie przestaje mówić. Zostaje ponownie uciszona. Tym razem syknięciami wychodzącymi z wielu ust.

- Dobrze! - prycha kobieta. Owija się ciasniej płaszczem, jakby było zimno.

- Ktoś idzie - mówi kilka głosów.

W sklepie tekstylnym na górze słychać kroki - trzy, cztery, trudno powiedzieć. Ktoś idzie ostrożnie. Nie jest to stukanie obcasów po podłodze, ale delikatne stąpanie na palcach.

Rozlega się walenie w drzwi schronu.

Nie walenie - kopnięcie.

Następne kopnięcie. Od pięciu godzin trzydzieści kobiet wsłuchuje się w huk eksplozji i odgłosy walki, które dochodzą z ulicy tam w górze. Surowe belki podtrzymujące strop drżą przy każdym większym wybuchu, którego odgłos dochodzi tu za pośrednictwem ziemi i powietrza. Kobiety wyobrażają sobie, co się dzieje na zewnątrz, na polu walki, jakim są ich domy i sklepy. Podrygują na swoich miejscach albo padają na ziemię w tumanie wzbijającego się pyłu. Nic, co do tej pory słyszały czy też sobie wyobrażały, nie przeraża ich tak, jak to kopnięcie butem w drzwi piwnicy, ich ostatniego schronienia.

Skrzypią zawiasy. Freya obejmuje ramieniem Lottie. Każda kobieta w schronie otula się szczelniej tym, co ma na sobie - swetrem, płaszczem czy chustą. Na schody pada snop światła. Widać, jak tańczą w nim drobiny pyłu. Jasny krąg przesuwa się w lewo i w prawo. Żołnierz z latarką w ręku schodzi po stopniach.

Wszyscy wstrzymują oddech. *Mutti* obiema rękami przyciska do siebie Lottie.

Odzywa się gadatliwa starsza pani:

- *Druzja*.

Snop światła zatrzymuje się na schodach i pada kolejno na twarze zebranych w piwnicy, by odnaleźć tę, która mówi. Starsza kobieta powtarza:

- *Druzja*.

Wciąż poszukiwana przez snop światła wyjaśnia pozostałym:

- Powiedziała, że jesteśmy przyjaciółmi. Nauczyłam się tego słowa. Nic nam nie zrobią, jeśli będą myśleli, że...

Latarka oświetla jej twarz. To zamyka kobiecie usta.

Krąg światła spoczywa na niej przez chwilę, badając jej zmarszczki i załamane oczy. Żołnierz pokonuje resztę schodów i jest już na dole. Jeszcze raz oświetla po kolei wszystkie kobiety. Szuka mężczyzn.

Światło pada na Freyę i Lottie. Drga przez chwilę. Jest zarówno oczami, jak i opuszkami palców mężczyzny trzymającego latarkę. Obmacuje przytulone do siebie kobiety.

Żołnierz kieruje latarkę na własną twarz. Jego oczy, osadzone nad brudnymi policzkami, są skośne, to Mongoł. Ma na głowie futrzaną czapkę uszatkę. W drugiej ręce trzyma wielki karabin z okrągłym magazynkiem. Opuszcza broń.

- *Druzja* - mówi do kobiet. - *Da*.

Wyłącza latarkę. W pierwszej chwili wydaje się, że w piwnicy jest ciemniej, niż było poprzednio. Rosjanin krzyczy coś do kolegów na górze. Sądząc po odgłosie kroków, wychodzą z budynku.

Żołnierz bierze w ręce karabin. Stawia stopę na pierwszym stopniu, by opuścić schron.

Odwraca się jeszcze w stronę kobiet i wypowiada jedno słowo po niemiecku:

- Wolne.

Kilkoma ciężkimi krokami pokonuje schody, dołącza do towarzyszy i kobiety zostają same.

W schronie panuje atmosfera pełna niedowierzania. Przed chwilą był między nimi, tu, w centrum Berlina, radziecki żołnierz. I nie ma po nim śladu. Czy rzeczywiście tutaj był? Kobiety mają jeszcze w oczach światło latarki. W pomieszczeniu pozostała po mężczyźnie ostra, duszna woń - zapach bitwy i potu. Nie mogą oderwać oczu od miejsca, w którym stał. Dopiero po chwili opuszczają wzrok, jakby znaczenie tego, co widziały, było zbyt przytłaczające.

Nikt się nie odzywa. Jakikolwiek komentarz wydaje się kobietom aktem odwagi i żadna z nich nie waży się na to. Nawet gadatliwa starsza pani. Z ulicy

na górze dochodzą odgłosy strzelaniny. Nagle świat wraca do normalności. Ożywa ruchem i głosami.

Freya wstaje. Wszystkie kobiety unoszą głowy, jakby były kierowanymi przez nią marionetkami. Tylko Lottie patrzy nadal tam, gdzie stał żołnierz.

- Chodź - mówi Freya, biorąc ją pod ramię.

Lottie daje się prowadzić po schodach. Reszta kobiet pozostaje w schronie. Nie padają żadne słowa pożegnania, życzenia szczęścia.

Freya i Lottie przechodzą przez sklep. Już dawno został splądrowany i ogołocony z resztek materiałów i pasmanterii. Mijają szybko puste półki, stłuczone szyby. *Mutti* popycha drzwi prowadzące na Savignyplatz, który pogrąża się w mroku wieczora. Gdy obie wychodzą za próg, mocniej ściska dłoń Lottie.

Wojska radzieckie rozbijają obóz na placu. Wszędzie widać ciężarówki przywożące ludzi i zaopatrzenie. Wznoszone są namioty, śledzie wbija się między płyty chodnikowe. Kuchnia połowa działa już pełną parą: kolejka radzieckich żołnierzy czeka z menażkami w rękach. Dym z wielkiego kotła zasnuwa cały plac. Stajenni przywiązują konie do latarni. Od strony Knesebeckstrasse pędzi trzoda owiec i ryczące krowy. Towarzyszą im wozy ciągnięte przez konie albo woły. Savignyplatz przemienił się w radziecką zagrodę.

Freya i Lottie trzymają się blisko budynków. Omijają łukiem masy żołnierzy. Smród ludzi i zwierząt drażni nozdrza Lottie. Obok chodnikiem przechodzi żołnierz z różowym parasolem przeciwsłonecznym. Kłania się obu kobietom.

Lottie zaczyna się śmiać.

Freya to słyszy. Mocniej ściskają za rękę. Przyspiesza kroku, dopóki obie nie znajdą się za placem. Lottie biegnie obok matki, wciąż rozbawiona widokiem zdobywców Berlina.

Wielu Rosjan sprawia wrażenie, jakby po raz pierwszy znaleźli się w dużym mieście. Nie potrafią jeździć na rowerach. Przewracają się i znowu próbują jechać kawałek. Kręcą kierownicą w jedną i drugą stronę, nieudolnie usiłując zachować równowagę. Wstając, narzekają i rozcierają kolana jak mali chłopcy. Niektórzy z nich, z rękami opartymi na biodrach, przyglądają się ruinom, jakby budynki były zupełnie nietknięte, a oni przybyli tu jako turyści, by podziwiać architekturę Berlina. Jeden z żołnierzy zatrzymuje Freyę i Lottie, odsuwa rękaw płaszcza i wystawia ozdobione zegarkami przedramię. Wszystkie tykają. Pokazuje palcem obie kobiety, żadna z nich jednak nie ma zegarka. Żołnierz wzrusza ramionami i bez wrogości macha ręką, pozwalając im odejść. Obie ledwie łapią oddech. Są już w połowie drogi na Goethestrasse. Mijają żołnierzy, którzy załatwiają się w alejkach, stada śmierdzących kóz i świń, obławianych bronią brudnych mężczyzn w zarzuconych na ramiona damskich

szalach. Kiedy to tylko możliwe, *Mutti* zaczyna biec i ciągnie za sobą Lottie.

Rosjanie musieli walczyć o Charlottenburg. W niektórych rejonach zniszczenia są tak wielkie jak po nalotach aliantów, choć wyglądają nieco inaczej. Amerykanie i Anglicy zrzucali bomby, które zamieniały całe budynki w stopy gruzu. Natomiast Rosjanie mozolnie wdzierali się do tej dzielnicy. W ścianach budynków zieją wyrwy po pociskach artyleryjskich. Widać dziury średnicy paru metrów i mniejsze draśnięcia od kul i szrapneli. Po raz pierwszy na ulicach Berlina leżą nie ciała cywilów czy obcych robotników przymusowych, ale żołnierzy. Przebiegając obok nich, Freya i Lottie stwierdzają, że to Niemcy. Swoich Rosjanie zabrali, wrogów pozostawili tam, gdzie padli. Zabici byli w różnym wieku - chłopcy, młodzi żołnierze i starsi mężczyźni z Volkssturmu. Wszyscy oni myśleli, że jeszcze mogą coś zrobić. I zrobili. Oddali życie.

Wśród Rosjan są najrozmaitsze typy. Bruneci, blondyni o jasnej cerze, rudzi z piegami, brodaci i długowłosi, gładko ogoleni i z krótko przyciętymi włosami. Mają oczy właściwe białej rasie, skośne lub w kształcie migdała. Mundury zielone, szare i brązowe. Noszą czapki, furazerki i hełmy. Dla wszystkich, którzy nasłuchali się przez lata propagandy nazistowskiej, ci ludzie to żołnierze z dzikiego kraju - obcy, straszni, trochę barbarzyńscy i jakby nie z tej epoki.

Lottie wie, że powinna się bać najeźdźców. Wie, do czego służy ich broń. Ciała Niemców, leżące na drodze, świadczą o tym, że są zdolni do wszystkiego, do największego okrucieństwa. W sercu opuściła jednak Berlin i Rosjanie wzbudzają w niej grozę taką samą, jakby czytała o nich w książce, siedząc bezpiecznie w jakimś innym kraju. Boi się o miasto i o *Mutti*, ale nie o siebie. Czerwoni nie mogą jej dosięgnąć, bo schroniła się w sobie. Nie ma jej.

Matka prowadzi Lottie na Goethestrasse. Kiedy dochodzą do swojej ulicy, Freya zatrzymuje się i przykładą dłoń do piersi na widok ich domu. Ocalał. Wszędzie widać ślady walk. Po zmasowanym bombardowaniu radzieckim z wielu budynków unosi się dym. Dom Frei stoi w środku szeregowej zabudowy, która przetrwała atak. Po ulicy chodzą radzieccy żołnierze z bronią. Mają uniesione do góry głowy - wypatrują snajperów na dachach i w oknach. Widocznie walki w tym rejonie dopiero co się skończyły. Na schodkach przed domem poniewierają się mosiężne łuski pocisków. Jedno z okien na piętrze zostało wybite. W drzwiach widnieje dziura po kuli.

- Ach - wzdycha *Mutti*. - Boże drogi. - Odwraca się do Lottie. - Jesteśmy w domu. Już się niepokoiłam.

Lottie nie jest wcale zła, tylko zaciekawiona treścią ukrytą w tym stwierdzeniu.

- O Juliusa? - pyta.

Matka kiwa głową. Uśmiecha się z wolna, niechętnie. Jest uczciwa.

- Tak, *Liebchen*.

Wciąż trzymając się za ręce, wchodzi do domu.

W saloniku Freya zostawia Lottie.

- Poczekaj tutaj.

Sama idzie korytarzem do żółtych drzwi. Lottie nie słyszy, co matka mówi do Żyda. Coś jednak mówi, potem słucha, więc on nadal tam jest.

Freya wraca do saloniku, niosąc kuchenne krzesło z prostym oparciem. W drugiej ręce trzyma ręcznik i nożyczki. Pod pachą ma miotłę.

Stawia krzesło na środku pokoju.

- Siadaj.

Lottie siada posłusznie. Freya rozkłada ręcznik na jej ramionach.

Staje przed córką. Żadna z nich nie odzywa się ani słowem, jednak spojrzenie *Mutti* mówi: przepraszam, ale muszę to zrobić. Lottie stara się zachować obojętną minę.

Freya obchodzi ją i staje z tyłu. Rozlega się szczeł nożyc. Na kolana Lottie spada pasmo włosów. Dziewczyna strząsa je na podłogę grzbietem dłoni.

Przy każdym ruchu nożyc na jej ramiona leci kolejny miękki kosmyk. Na dywaniku zbiera się powoli kupka jasnych loków. Patrząc na nie, Lottie stara się nie dostrzegać w tym żadnych symboli. Roztrwonione złoto. Stracona niewinność. Włosy osuwają się lekko, bezgłośnie. Nie jest to żadna pamiętna chwila. To tylko włosy. Po co przypisywać temu jakieś znaczenie, dopatrywać się czegoś więcej, niż to konieczne?

Freya pracuje ponuro, strzygąc córkę krótko jak chłopca. Na początku obie milczą. Słychać tylko szczeł nożyczek. *Mutti* cmoka zmartwiona, gdy odsłania strup z tyłu głowy Lottie - skutek uderzenia w bramę zoo.

W połowie strzyżenia Lottie zauważa, że nożyczki poruszają się szybciej. *Mutti* tnie z przejęciem, zrzucając ścięte włosy córki na podłogę.

- Lottie, kiedy skończymy - mówi - pójdziesz na górę i włożysz na siebie stare robocze ubranie. W szafie są jakieś rozciągnięte spodnie i sweter. Mam też dla ciebie buty. Będziesz w nich chodzić.

Lottie nie odpowiada. Ciach.

- Spalę trochę korka - ciągnie dalej Freya. - Wysmarujemy ci nim twarz i ręce.

Ciach.

- A potem ukryjemy srebra i ramki na zdjęcia. I moje pierścionki. Niewiele tego zostało, gdzieś to schowamy.

Lottie czuje, jakby jej głowa stawała się lżejsza.

- To niepotrzebne - mówi.

W pobliżu jej ucha ostro szczękają nożyce. *Mutti* przybiera ostry ton:

- Nie kłóć się ze mną, Lottie. Masz robić, co mówię.

- To niepotrzebne - powtarza Lottie.

Jeszcze jedno cięcie i Freya tupie nogą. Obchodzi córkę i staje przed nią, wymachując jej nożycami przed nosem.

- Skończ z tym wreszcie! I to już! Przestań być taką egoistką. Nie mogę ciągle z tobą walczyć. Już dłużej nie dam rady.

Lottie wbija wzrok w nożyce. Freya je opuszcza. Milknie i wraca na miejsce, żeby dokończyć strzyżenie.

Przez kilka następnych minut słychać tylko szczękanie nożyc.

Mutti odzywa się znowu, tym razem opanowanym głosem, by nie wszczynać kłótni.

- Chcę, żebyś się ukryła. Pójdiesz na górę i znajdziesz jakąś kryjówkę.

- Nie.

Freya mówi dalej, jakby tego nie słyszała.

- Zejźdź do piwnicy, do Juliusa. Zatrzymam ich, gdyby was szukali.

Lottie prycha śmiechem.

- Ciekawe, jak to zrobisz?

Mutti nie odpowiada.

Lottie kręci głową. Przeszkadza to Frei w strzyżeniu.

- Nie, to nic nie da - mówi Lottie. - Ukryjesz wszystko w domu. A oni i tak znajdą, co będą chcieli. Zajrzą wszędzie, przetrząsną cały dom, aż znajdą.

Freya znowu staje naprzeciwko córki.

Lottie przesuwając palcami po ściętych włosach. Mówi łagodniejszym głosem, żeby nie drażnić zmęczonej już matki.

- Mnie też znajdą.

Freya robi krok do przodu. Unosi ręce, by ująć twarz córki. Nożyce zbliżają się do policzka Lottie. Matka bierze głęboki oddech, słysząc, że drży. Z powagą kręci głową.

- Wiem, *Liebchen*. Wiem.

Pociera dłonią ostrzyżoną głowę Lottie. Pozostała tam już tylko szczecina.

- Ach, twoje włosy.

- Odrosną.

- Skończyłam - mówi *Mutti*. - Mogłabym już tylko pogorszyć sprawę. Bierze córkę za rękę. Obie patrzą na siebie w milczeniu. Chociaż poza nimi w saloniku nie ma nikogo, wydaje się, że jest tu i Żyd, i Rosjanin, i wojna, i cała przyszłość.

Oczy Frei robią się szkliste.

- Ja też obetnę sobie włosy - mówi. - Chcesz?

- Nie musisz.

Matka zdejmuje ręcznik z ramion Lottie. Strzepuje włosy na podłogę.

- Pozamiatam.

- *Mutti?*

- Tak, *Liebchen!*

- Jak zamierzasz utrzymać ich z dala od piwnicy?

- Nie martw się o mnie. Jestem już starą kobietą.

Freya bierze miotłę i zaczyna czyścić dywan. Lottie pyta jeszcze raz:

- No jak?

Matka się zatrzymuje. Spogląda córce w twarz.

Lottie nie chce wiedzieć. Potrząsa głową i opuszcza wzrok.

- Nie, *Mutti*. Nie musisz mi mówić. To nieważne.

Freya przyciska miotłę do siebie.

- Przestań tak mówić. Ważne. Teraz, kiedy wszystko nas rani, nawet bardziej niż kiedykolwiek. Bo chodzi o nas.

Opiera miotłę o sofę. Staje wyprostowana, jakby się do czegoś przygotowywała. Wygląda rękami sukienkę.

- Jedzenie, które przynosiłam do domu w ostatnich miesiącach... Od czasu, gdy Julius zamieszkał w piwnicy... Wiesz, że racje kartkowe były niewystarczające.

- Wiem.

- Nie mogłam dopuścić, żebyście głodowali.

Lottie wciąż na nią nie patrzy.

Freya zaciska ręce.

- Czarny rynek. Robiłam tam interesy.

- Wiem.

- Dziecko, sprzedawałam siebie.

Lottie nie reaguje. Jest nawet zaskoczona własnym spokojem. To oświadczenie powinno ją wstrząsnąć. Jej matka jest dziwką. Od miesiący mężczyźni płacili jej w towarach. Ocaliła Żyda, żywiła córkę. Ale stała się szmatą. Lottie siedzi sztywno i czeka - czeka, kiedy poczuje do matki nienawiść.

Usiłuje sobie przypomnieć wydarzenia minionych miesięcy i stwierdza, że mogła się tego domyślić. Pewne rzeczy powinny były ją zastanowić. Powinna była zapytać. Były różne sygnały. Dlaczego się nie zainteresowała? Dlaczego tego nie zrobiła?

Siedzi na kuchennym krześle. *Mutti* stoi przed nią, czekając na wyrok. Lottie nic jednak nie mówi. Nie osądza jej. Czuje się pusta. Nie potępia matki. W jej postępowaniu nie widzi zniewagi dla pamięci ojca. Przyjmuje wyznanie Frei tak, jak przyjmowała radzieckie bombardowania. Siedzi z rezygnacją, skulona jak uderzony człowiek, dla którego każdy następny cios jest już mniej bolesny.

Spogląda na matkę. Myśli bez emocji. To nie są zwyczajne czasy i *Mutti* też okazała się niezwykła. To Lottie zatrzymała się gdzieś po drodze. Teraz, gdy nie ma już muzyki i instrument stoi zamknięty w futerale, wszystko wyszło na jaw: nie jest wcale niezwykła. *Mutti* poświęciła się i wykazała niecodzienną odwagą, by ocalić córkę i nieznanego człowieka. Lottie, mimo całego swego talentu, musi być dla niej wielkim rozczarowaniem.

Lottie wstaje, zrzucając resztki włosów na podłogę. Strzepuje też kosmyki, które przyczepiły się do spódnicy. Chwyta krzesło, potem wyjmuje nożyczki z kieszeni *Mutti*. Strzyżenie odbywało się w saloniku, więc Julius nie słyszał rozmowy. Lottie nie musi o to pytać.

Odnosząc krzesło i nożyczki do kuchni, mija żółte drzwi. Przechodziła obok nich tysiące razy i te milczące drzwi zawsze robiły na niej wrażenie. Życie ukrywającego się za nimi Żyda za każdym razem zdumiewa ją swoją złożonością. Dyscyplina tego człowieka. Zagrożenie, w którym żyje. Jego nieszczęście.

Dziś jest inaczej.

Dziś własne poświęcenie wydaje się jej większe niż poświęcenie Żyda. Kobieta, która się dla nich obojga tak poniżyła, była jego opiekunką. Lecz dla Lottie jest matką.

Zostawia w kuchni krzesło i nożyczki, a potem podchodzi do piwnicznych drzwi z nowym nastawieniem. Wreszcie jej życie i jej zagrożenie mogą równać się z losem człowieka, który siedzi tam na stopniu w ciemnościach. Jest Żydem i przyszło mu żyć w Berlinie. Tak, to straszne. Ale Lottie jest młodą kobietą, a w Berlinie są Rosjanie. Nie Żydów będą szukać.

Mówi do drzwi:

- Julius.

On tam jest.

- Tak.

- Wiedziałeś, że *Mutti* sprzedaje się, by zdobyć pożywienie dla ciebie? Dla ciebie i dla mnie?

- Sprzedaje się?

- Tak. Swoje ciało. Za czarnorynkową żywność.

Drzwi milczą.

- Nie, oczywiście, że nie.

Lottie odchodzi.

- A ty wiedziałeś? Przystaje.

- Nie. Właśnie mi powiedziała.

- I co byś zrobiła? Gdybyś wiedziała?

Lottie nie musi odpowiadać. Ma do tego prawo. On natomiast nie ma.

- A co byś ty zrobił? - pyta.

- Powstrzymałbym ją.

Lottie parska ironicznie:

- Jak?

- Odszedłbym.

Tak, jest pewna, że zrobiły to. Bo taki już jest.

- Lottie, to twoja matka. Co byś zrobiła?

Lottie patrzy na szeroką framugę drzwi. No wyjdź, myśli, to dam ci w twarz. Uduścę cię, zrzucę ze schodów.

Ale odpowiedź, którą nosi w środku, jest inna niż Żyd - nie potrafi pozostać dłużej w ciemnych zakamarkach jej duszy, wydobywa się z niej.

Nic. Nic by nie zrobiła.

W wyobraźni widzi matkę z jakimś nazistą, a siebie siedzącą obok łóżka, z wiolonczelą między nogami, zajądającą herbatnika.

Uginają się pod nią kolana. Opiera się o ścianę.

- Lottie? Lottie, wszystko w porządku?

Żyd wyszedłby z piwnicy, gdyby wiedział, że znalazła się w tarapatkach. Sta- rałyby się ją ochronić, nawet gdyby wiązało się to z wielkim ryzykiem.

Tak jak *Mutti*. Zrobiła wszystko dla córki. Tak wiele, że jak sama mówi, nie może zrobić już więcej.

A Lottie nie zrobiła nic.

Nic, cały czas szukała tylko jakiejś ochrony. Myślała o ucieczce, snuła pla- ny samobójcze, fantazjowała i narzekała. Nie kiwnęła placem, by zasłużyć na ocalenie. I dlatego teraz go nie znajdzie. Nie pomoże jej Żyd, choćby był naj- odważniejszym i najbardziej skłonny do poświęcenia człowiekiem. *Mutti* będzie bezbronna, kiedy przyjdą Rosjanie. Ale oboje próbowali. Ponosili ofiary dla siebie nawzajem, dla niej. Naprawdę się starali.

Rzeczywistość rysuje się wyraźnie. To prosta kalkulacja, kolejny cios. Nic Lottie nie ochroni. Nie zasługuje na to i nigdy nie zasługiwała.

Nie tak jak Julius.

I *Mutti*.

Lottie jest niczym.

Prostuje się pod ścianą. Mówi opanowanym głosem:

- Julius.

- Tak.

- Chcę, żebyś to wiedział. Nic bym nie zrobiła.

Spodziewa się, że żółte drzwi jak oczy zwiężą się w wyrazie potępienia. Ale głos zza nich mówi:

- Ależ zrobiłabyś. Oczywiście, że byś zrobiła.

Lottie odchodzi. Idzie do saloniku. Żyd się myli, ale to sprawia jej ulgę. Czuje się lepiej, wiedząc, że Julius ma złudzenia, jak zresztą wszyscy.

Freya zbiera na kolanach ostatnie kosmyki Lottie. Na kanapie leży para spodni i trzy swetry. Przy stoliku stoją sfatygowane buty.

- *Mutti*, usiądźmy.

Freya podchodzi do kanapy. Lottie siada obok niej i widzi, że matka płakała. *Mutti* unosi rękę do ust, ale nie potrafi stłumić szlochu. Lottie nie ma nic, czym można otrzeć łzy. Wyciąga rękę po jeden ze swetrów i kładzie *Mutti* na kolanach.

Opiera delikatnie rękę na plecach matki.

- *Mutti*?

Freya zwraca ku niej zaczerwienione oczy.

- *Mutti*, czy Julius ma jeszcze tę żółtą gwiazdę?

Freya kręci głową.

- Sprzedałam ją za jedzenie. Tak jak prosił.

Lottie uśmiecha się do niej.

- Zdobyłaś dla niego ziemniaki i pietruszkę z okazji Paschy?

- Tak. I dla nas też. Udało mi się.

Mówi to, by przekonać córkę, że część jedzenia, którym się żywili, została kupiona za pieniądze. Lottie łagodzi wstyd matki, gładząc ją znowu po plecach.

W stoliku przy kanapie znajduje się mały schowek na świece i zapałki. Lottie pochyla się i wyjmuje świeczkę. Zapala zapałkę i pełgający płomyk oświetla salonik. Nad Berlinem zapadła noc.

Freya powoli się uspokaja. Lottie przygląda się drgającym cieniem na ścianie.

Mówi do matki:

- Będzie próbował nas bronić.

W wilgotnych oczach Frei pojawia się błysk:

- Tak. Z pewnością.

Poza piwnicą, bez swojej żółtej gwiazdy - symbolu pogardzanego przez całe lata żydostwa, a teraz, o ironio, przepustki do życia - Julius jest tylko Niemcem. Żołnierzem bez munduru. Dezerterem. Nazistą. Dla Rosjan istnieją jedynie tacy Niemcy.

- Zabiją go.

- Tak.

- Musimy zabrać go z piwnicy.

Freya zaciska wargi. Robi ruch, jakby chciała ponownie unieść dłoń do ust - ma tak wielkie zmartwienie - ale opuszcza je na kolana. Po jej policzkach znowu płyną łzy.

- Lottie. Proszę, ukryj się.

Ale córka nie słucha. Teraz ona wydaje polecenia.

- Idź do drzwi. Powiedz Juliusowi, żeby nie wychodził, cokolwiek by usłyszał. Powiedz, że naziści chcą odbić ulicę i musi pozostać w ukryciu. Tylko przez parę dni. Jeszcze trochę. Dopóki się to nie skończy.

Przez zasłonięte okno dochodzą z ulicy głosy Rosjan. Lottie nie musi znać rosyjskiego, by wiedzieć, że są pijani.

- Idź, *Mutti*!

Freya zrywa się z kanapy i biegnie korytarzem. W oknie pojawia się błysk latarki, taki sam jak w schronie.

Na zewnątrz rozbrzmiewa coraz więcej głosów. Lottie drży, wciągając w płuca powietrze. Przesuwa dłońmi po sterczących sztywno włosach. Gdy tak czeka na powrót *Mutti*, czuje, że zasycha jej w ustach.

Rozlega się walenie w drzwi.

Nie walenie. Kopnięcie.

I głos. Śmiechy. Krzyki.

- *Frau!*

Znowu śmiechy. Jakieś słowa po rosyjsku, krótka sprzeczka.

Lottie zamyka oczy.

Jeden z głosów staje się natarczywy. Jest pewny, że w środku są kobiety. Widział, jak wchodziły. Co właśnie mówi, można się domyślić po tonie mężczyzny, takim samym od wieków, nie potrzebna tu znajomość języka. Lottie siedzi spokojnie, gdy rozlega się kolejny kopniak w drzwi.

- *Frau. Komm!*

Wstaje z kanapy. Wychodzi na korytarz, poza krąg światła rzucanego przez świecę. Staje pod drzwiami. Przez dziurę po kuli mruga do niej ciemne oko podświetlone żółtawym światłem latarki.

- *Komm!*

Freya podbiega korytarzem i staje obok Lottie. Obie patrzą na oko w drzwiach.

- Julius wie, że to Rosjanie. Powiedziałam mu, że ściągną ich naziści. Ma się ukryć.

- Dobrze.

Gałka w drzwiach się porusza. Ktoś znowu kopie w drzwi. Freya chwytając córkę za ramiona.

- Będzie źle.

- Wiem.

- *Liebchen*, wybacz mi. Czy ty... Boże drogi, nie wierzę, że cię o to pytam. Czy ty...?

- Tak, *Mutti*. Jakiś czas temu. Ależ tak.

- Po prostu pozwól im. Musisz to przeżyć. Przepraszam.

- Otwórz drzwi, *Mutti*.

Freya prostuje się. Przesuwa ręką po ramieniu córki.

Przez drzwi wpychają się czterej Rosjanie. Gdy przekraczają próg, Lottie dochodzi okropny odór. Ich mundury są poplamione, oddechy cuchną wódką. Wszyscy mają wielkie karabiny. Trzej są młodzi, mają pociągłe twarze. Ich tępy wyraz próbują zastąpić groźnymi minami. Teatralnie patrzą z ukosa, jakby chcieli pokazać tym dwóm Niemkom, z kim mają do czynienia. Arogancko, nie szcędząc komentarzy, obchodzą Lottie i Freyę, które stoją w świetle latarek i wszechgarniającego smrodu.

Jeden z nich wskazuje łufą ostrzyżoną głowę Lottie i zaczyna szydzić. Czwarty żołnierz staje z boku. Jest starszy. To ich dowódca. To on kopał w drzwi i krzychał. Wygląda na najbardziej prymitywnego. Jest z nich najgrubszy i najciemniejszy. Ledwie może utrzymać prosto głowę, tak jest pijany. Nic nie mówi, tylko mamrocze i patrzy spod krzaczastych brwi.

Widać, że w tych żołnierzach pełno jest złości. Mają swoje rachunki do wyrównania. Są żądni łupów, nagrody za zwycięstwo. Chcą zegarków i kobiet, zemsty i bezwzględnej władzy. Tego wszystkiego, o czym prości żołnierze marzą w latach wojny.

Dziś, jutro, dopóki ktoś nie położy temu kresu, będą poniżać wszystkich Niemców, wszystkich żołnierzy Rzeszy, martwych czy żywych, gwałcić ich kobiety w Berlinie. To będzie ostateczny triumf.

Żołnierze nadal krążą wokół matki i córki. Powietrze w korytarzu wypełniają ich dyszące oddechy. Freya ściska Lottie za rękę.

Lottie czuje, że potrafi to przeżyć. Nie będą jej mieli, nawet jeśli wezmą jej ciało. Nie będzie się opierać. Podda się. Ale nic im z tego nie przyjdzie. To nie będzie nagroda ani żaden triumf. Równie dobrze, zamiast z kobietą, mogliby to zrobić z pustym wazonem ze stołu.

Żołnierze kończą oglądanie kobiet. Dziela się na pary. Freya puszcza dłoń Lottie. Rozdzielają się, patrząc sobie w oczy. Matka kiwa głową. Córka odpowiada tym samym.

Bez żadnych poleceń Freya wchodzi na schody. Jest opanowana. Idzie po stopniach zdecydowanym krokiem. Za nią ruszają dwaj żołnierze, ci młodszy. Jeden z nich ją popycha. Bez powodu, tylko po to, by zademonstrować swą przewagę. Pozostali Rosjanie oświetlają im latarkami schody.

Lottie wchodzi do saloniku, gdzie pali się świeca. Ciemny żołnierz idzie za nią chwiejnym krokiem, drugi natomiast wędruje korytarzem. Omiata światłem latarki najpierw jadalnię, a potem kuchnię i drzwi do piwnicy.

Lottie rusza za nim. Kładzie rękę na wąskim ramieniu Rosjanina, aby zaciągnąć go do saloniku. To powinno wzbudzić w nim podejrzenia. Ale Lottie się nie pomyliła, jest pijany i ma większą ochotę na nią niż na przeszukiwanie domu.

W saloniku ten ciemniejszy macha ręką i sadowi się na kanapie obok drgającego płomyka. Kładzie sobie karabin na kolanach, będzie pełnił straż. Młodszy także siada na sofie, odkładając broń na tyle daleko, by Lottie jej nie dsięgnęła. Gasi latarkę. Pochyla się, by rozwiązać buty. Lottie prycha pod nosem, widząc te przygotowania.

Staje pośrodku dywanu i patrzy w dół. W blasku świecy deseń jakby drga. Od ciemnego żołnierza rozchodzi się fetor.

Lottie zaciska zęby. Woli patrzeć na ręce mężczyzny rozwiązującego sznurówadła. Nie chce widzieć twarzy.

Utrzyma ich z dala od piwnicy. Postara się, żeby wszystko odbyło się cicho. Słufi krzyk, bez względu na to, jak bardzo będzie cierpiała.

Zrobi to, tak samo jak *Mutti*. Będzie to robić nie raz. Dziś. Jutro. Aż wszystko się skończy. Aż nastąpi to, co im powiedział w schronie radziecki żołnierz: będą wolne.

Nareszcie Lottie pojmuje.

Jest tylko jedno zwycięstwo.

Nikt nie dopadnie Juliusa. Ani naziści, ani Rosjanie.

Nie dostaną nas.

Podczas całej wojny, całego życia Lottie.

I tylko to się liczy.

29 kwietnia 1945, godzina 19.10

Siedziba premiera w Chequers

Hrabstwo Buckingham, Anglia

W pracowni stoi globus. Stary i wielki. Sięga Churchillowi do piersi. Kula jest brązowa, morza mają barwę pergaminu. Churchill, ze szklanką szkockiej w dłoni, przygląda mu się uważnie. Nie wie, do kogo należy. Był tu zawsze, jest więc własnością publiczną. Przesuwa palcami z Arktyki do równika, wyobrażając sobie góry lodowe, ocean, szlaki handlowe. Lekkim zamachem wprawia w ruch chłodną Ziemię. Oś skrzypli, kula wiruje, zacierają się kontury lądów i mórz.

Niech się kręci. Przyjemnie widzieć taką właśnie Ziemię, bez granic i nazw, obracającą się tu, w jego pracowni, w przygaszonym świetle, gdy on sączy dobrego drinka. Kula kręci się gładko. Churchill z podziwem myśli o sile, która wprawia ją w ruch.

Ta kula wyobrażająca Ziemię wiruje tak dłuższy czas, zanim się zatrzyma. Jest dobrze wyważona. Jak planeta. Churchill ma ochotę znowu nią zakręcić,

tak ładnie to wyglądało. Pozwala jednak, by się zatrzymała. Czeka jak przy kole ruletki, by dowiedzieć się, jaki czeka go los.

Gdy wreszcie kula staje nieruchomo, pojawia się przed nim Afryka.

Churchill ponownie dotyka globusa. Przeciąga placem w poprzek tego rozległego kontynentu. To właśnie w Afryce dzielni Anglicy po raz pierwszy stawili czoło państwom Osi. W Libii, Somalii, Etiopii, Egipcie. Północne rejony pustynne są zaznaczone kolorem sjeny. Churchill nie jest jednak w nastroju, by przypominać sobie tamte wielkie zwycięstwa z czterdziestego drugiego i trzeciego roku. Siega pamięcią dalej, do ostatnich lat zeszłego wieku. Pociąga łyk whisky i sunie palcem do miejsca, gdzie ciągnie go serce, do Afryki Południowej.

Myśli o ucieczce.

Miał dwadzieścia pięć lat. Był młodym korespondentem wojennym i towarzyszył wojskom brytyjskim podczas walk z Burami. W listopadzie 1899 roku, gdy podróżował z kompanią stu pięćdziesięciu żołnierzy wysłanych na zwiad poza pozycje wroga, ich pociąg pancerny został ostrzelany. Wykoleiło się kilka wagonów. Zginęło wielu ludzi. Choć ostrzał jeszcze trwał, pod przewodnictwem Churchilla zebrano rannych i ułożono w parowozie, by zawieść ich do szpitala. On zaś pozostał na miejscu z plutonem żołnierzy. Miał powstrzymać zbliżających się Burów. Razem ze swoimi ludźmi trafił do niewoli - do obozu jenieckiego.

Po miesiącu pobytu w obozie przygotował wraz z dwoma oficerami plan ucieczki. Przeskoczył mur latryny, ale jego towarzyszom coś w tym przeszkodziło. Przez wiele godzin czekał na nich w zaroślach, a potem ruszył dalej. Miał na sobie cywilne ubranie, wyszedł więc prosto na drogę. Nie znał słowa w miejscowym języku, ale na szczęście nikt, nawet wartownik, go nie zaczepił.

Dotarł prosto na stację kolejową i dostał się do wagonu z pustymi workami po węglu. Jechał na wschód aż do rana. Potem wyskoczył, przypuszczając, że zauważono już jego ucieczkę i pociąg może zostać przeszukany.

Burowie wyznaczili nagrodę za niego, żywego czy martwego, w wysokości dwudziestu pięciu funtów. Później Churchill znał już na pamięć swój rysopis, który krążył po Transwalu: „Anglik, dwadzieścia pięć lat, wzrost około pięciu stóp ośmiu cali, budowa średnia, chodzi lekko przygarbiony, karnacja jasna, włosy rudobraz, ledwie widoczny wąsik, mówi przez nos, trochę sepleni. Nie zna niderlandzkiego, ostatnio widziany w brązowym uniformie”. Sporządzili dość szczegółową charakterystykę, z tym przygarbieniem, wadą wymowy i przytykiem do jego pierwszego wąsa.

Obraca w dłoni szklaneczkę szkockiej.

Phi. Przygarbiony, też coś.

Rzeczywiście był garbiącym się, sepleniącym i mówiącym przez nos młodzikiem. Trafił wtedy na grupkę życzliwych górników z Anglii, którzy ukryli go w jaskini. Przez trzy dni towarzystwa dotrzymywały mu jedynie szczury, małe dranie, które podgryzały mu nawet świecę. Rozchorował się tam w ciemnościach. Po trzech następnych dniach wsadzono go znowu do pociągu. Dwa dni podróżował schowany między belami wełny. Miał ze sobą dwa pieczone kurczaki, kilka kawałków gotowanego mięsa, bochenek chleba i rewolwer. Pociąg jechał do portugalskiej Afryki Wschodniej. Kiedy Churchill z niego wysiadł, był czarny od sadzy zalegającej na dnie wagonu. Czuł się tak szczęśliwy, że zaczął pokrzykiwać i śpiewać na cały głos. Trzy razy wystrzelił nawet z pistoletu na wiwat.

Churchill wciąż trzyma palec na globusie. Afryka Południowa jest tak daleko na tej starej kuli. I w czasie też się bardzo oddaliła. W tamtych dniach myślał tylko o tym, żeby przeżyć, zobaczyć matkę i powrócić do kraju. Teraz, gdy przywołuje tamte odczucia, wydają mu się takie czyste i podniosłe. Czegoś podobnego doznał przed chwilą, gdy kręcił kulą. Miał wrażenie, że unosi się ponad całym światem, może wprawić go w ruch jednym dotknięciem ręki, a sam jest tak wielki, że wyrasta ponad Historię. To samo czuł, kiedy był młody i znajdował się w niebezpieczeństwie. Dawno, zanim jeszcze powierzono mu kuratelę nad tych cholernym światem. Teraz garbi się znacznie bardziej.

Przenosi spojrzenie powyżej Afryki, nad Morze Śródziemne, do Europy. Obecna wojna jeszcze się nie skoczyła, mimo że walki potrwają zaledwie kilka dni. Berlin i Hitler nie wytrzymają ofensywy radzieckiej. Ale jak będzie wyglądała Europa, gdy podpisane już zostaną wszystkie dokumenty i rozwieją się wszystkie dymy?

Churchill popija szkocką. Łyk palącego w gardle alkoholu wyrывa go z zamyslenia. Sytuacja na tym globie nie wygląda dobrze.

Podnosi palec ku północy, do Niemiec. Przesuwa go przez środek kraju, wzdłuż Łaby. Po jednej jej stronie leżą Belgia, Holandia, Luksemburg, Norwegia, Szwecja, Dania, Francja, Włochy, Hiszpania, Portugalia, Szwajcaria, Grecja i Wielka Brytania. Po drugiej - Polska, Węgry, Czechosłowacja, Jugosławia, Bułgaria, Rumunia, Austria, Albania, Finlandia, Ukraina, Litwa, Łotwa, Estonia i Rosja.

W poprzek Europy opada kurtyna. Dzieli Niemcy na pół i w sposób radykalny odcina wolny świat od komunistów. Tu dziesiątki milionów ludzi i tam dziesiątki milionów. Dzieli je ideologia, tak jak podczas wojny dzielił front.

Churchill będzie musiał się temu przyglądać. Wie, jak temu zaradzić. Ale głos Wielkiej Brytanii nie liczy się już tak jak dawniej. Codziennie prosi Trumana, żeby wojska alianckie utrzymały swoje pozycje na polach walki. Niech się nie cofają, tylko ruszają na wschód, jak szybko się da.

Amerykanie są już jednak zmęczeni wojną. Apele Churchilla do Trumana spotykają się z uprzejmymi, ale wymijającymi odpowiedziami. Prezydent w zasadzie zgadza się z nim, ale nie podejmuje żadnych działań. Jankesi tak długo będą trzymać ludzi i broń w Europie, jak długo trzeba będzie pilnować Stalina. A potem się wycofają. Anglia musi to jakoś strawić, choć jest nie tylko trzewiami, ale także głową tego tworzywa, który wspólnie z Ameryką powołali do życia. Niestety, Stany Zjednoczone to jego ręce i nogi. Mimo że Truman jest człowiekiem nowym, odważniejszym od Roosevelta, to jednak i on musi się liczyć z realiami politycznymi. Stany Zjednoczone nie wesprą swego sojusznika w następnym konflikcie, zwłaszcza z Rosją. Amerykanie to pokojowo nastawiony naród. Nie będą chcieli piętnować zbrodniarzy. Skończyli właśnie z Hitlerem, wkrótce zrobią porządek z Hirohito i nie mają zamiaru szukać nowej zwady. Truman i jego krajanie pragną zakończyć wojnę na Pacyfiku i powrócić do budowania potęgi Ameryki.

Cóż, niech im się wiedzie.

Churchill stoi przed globusem jak szachista pozbawiony możliwości ruchu. Dni chwały minęły.

Nie pozostaje mu nic innego, jak pogodzić się z porażką w tym zwycięstwie.

Nie może niczego żądać od Stalina. Może tylko prosić.

Więc zrobi to.

Podchodzi do biurka. Dolewa sobie szkockiej, upija łyk i siada do pisania. Telegram jest długi. Punkt po punkcie Churchill przedstawia argumenty mające skłonić Stalina do przestrzegania ustaleń jałtańskich. Apeluje, żeby pozwolił Polsce pozostać suwerennym, wolnym i demokratycznym krajem. Ostrzega przed ambicjami Tito w Jugosławii. Rozbudza podejrzenia Stalina wobec sojuszników i narodów mu podległych, pozostających po tamtej stronie kurtyny, przypominając o przejawach ich nielojalności.

Pismo Churchilla to desperacka próba. Ostatni wysiłek kogoś, kto stoi już na straconej pozycji. Wie, że to nic nie pomoże. I tak przegra. Za parę dni Stalin zdobędzie Berlin. Wojna się skończy i Rosja nie odda już potem nic. Ani jednej piędzi ziemi, ani jednej duszy. Churchill nie potrafi jednak patrzeć bezczynnie na to, co dzieje się w realnym świecie. Nie może milczeć. To nie w stylu Winstona Churchilla.

Po dwóch godzinach pisania kończy telegram proroczymi słowami:

Przyszłość nie zapowiada się najlepiej, jeśli Pan i państwa Panu podległe, plus partie komunistyczne w wielu innych krajach, znajdziecie się po jednej stronie, a państwa skupione wokół narodów anglojęzycznych, ich sprzymierzeńców czy terytoriów zależnych - po drugiej. To oczywiste, że konflikty pomiędzy nimi spowodują rozpad świata, a my, przywódcy obu stron, którzy się do tego w jakiś sposób przyczyniliśmy, będziemy musieli wstydzić się przed Historią.

Skończywszy dzwoni po sekretarza, żeby zaszyfrował pismo i wysłał je do Stalina. Potem zmęczony wstaje chwiejnie na nogi. Zostawia na stole zapisane kartki, nie czytając ich. Pora na obiad. A potem film *Mikado*.

Wychodząc z pracowni, przechodzi obok globusa. Kładzie na nim rękę. Kula czeka, by jeszcze raz wprowadził ją w ruch. Churchill sprawdza, gdzie położył dłoń. Pod nią znajduje się Moskwa.

Wsuwa rękę do kieszeni i pozostawia świat samemu sobie.

30 kwietnia 1945, godzina 11.50

Farma Bandych

Big Laurel, Tennessee

Zostaje prawie przewrócony w objęciu. Upuszcza płócienny worek, zanim Victoria na niego wskoczy.

Zarzuca mu ręce na szyję i oplata nogami w pasie, a on chwyta ją w objęcia. Chwieje się do tyłu. Czuje, że ciepło bijące od niej zabarwia mu twarz rumieńcem. Jakby ktoś chlusnął w niego wiadrem gorącej wody. Zaczyna się śmiać.

Wiedząc, że nie są sami, Bandy z wysiłkiem odwraca się w bok. Machnięciem ręki żegna wojskowego kierowcę, który przywiózł go tu z lotniska w Knoxville. Ten salutuje i odjeżdża. Bandy usiłuje przekręcić głowę, by pocałować Victorię, ale ona przytula głowę do jego ramienia, próbując go uścisnąć.

- Via. Nie mogę oddychać.

- Cicho.

Jej nogi unoszą się nad ziemią. Włosy pachną nadzwyczajną świeżością. Victoria wtula się w niego, a on obejmuje ją mocno. Wie, o co jej chodzi, i próbuje odpowiedzieć tym samym, przywrzeć do niej całym ciałem.

Victoria rozplata nogi. On pochyla się, by postawić ją na trawie. Żona przesuwając dłońmi po jego opalonych bicepsach. Tak wiele miesięcy żył w napięciu i nie dosypiał, że schudł. Sam nie zauważył, ile stracił na wadze. Widzi to dopiero teraz, gdy trzyma przy sobie żonę, postać o znajomym kształcie i ciężarze. Victoria całuje go czule w usta, nie jest to ten namiętny pocałunek, do jakiego tęsknił w każdej minucie swej trzydniowej podróży do domu.

Kobieta spogląda na drogę, na oddalający się zielony samochód sztabowy.

- Mijałeś kogoś po drodze?

- Nikogo nie zauważyłem.

- Nikt nie wie, że tu jesteś?

- Jeszcze nie.

- No to do środka.

Bandy pochyla się, by wziąć worek.

- Będziesz mi musiał wszystko opowiedzieć - mówi Victoria, kierując się w stronę drzwi. Bandy podąża tuż za nią.

Victoria mówi w ten sposób, gdyż chce usłyszeć o jego podróży do domu, o wojnie i wszystkim, czego nie napisał w listach. Ale później. Idąc pospiesznie przez podwórko i taszcząc bagaż, Bandy ogarnia wzrokiem swój dom. Suszarnia tytoniu jest pusta. Przez deski prześwieca słońce i widać, że traktor marki Fordson został wyprowadzony na pole. Jeździ nim ojciec albo wuj, myśli Bandy. Warkot silnika dochodzi gdzieś z kotliny. O tej porze roku pola wyglądają najpiękniej. Zostały zaorane pod jęczmień i wykę, świeża ziemia jest zabronowana i wygładzona. Nadszedł czas przygotowań i oczekiwania. Wiosna. Niebawem Bandy i jego rodzina klęką w ziemi i przystąpią do sadzenia.

Victoria wchodzi po schodach na ganek. Bandy idzie za nią, patrząc na odsłonięte części jej ciała, znane mu tak dobrze, jak nic na świecie, a teraz tak niezwykle i pociągające. Łokcie, ramiona i szyja, wyłaniające się z sukienki. Są nagie, jakby specjalnie dla niego. Łydki napinają się i rozluźniają przy każdym kroku. Victoria spogląda przez ramię i uśmiecha się. Bandy czuje na ustach zarys jej policzka. W wyobraźni widzi ją całą nagą. Wrócił do domu, do żony. Jest tak podekscytowany, że już nie wie, co jest czym. Plecy Victorii stają się wzburzonym stawem, jej włosy - glebą, w spódnicy szumią obudzone przez wiosnę dęby. Wrócił do domu.

Widok domu działa na niego jak żona. Bandy pragnie paść w jego znajome objęcia. Ale przedmioty mogą poczekać z przywitaniem. Victoria prowadzi go po schodach.

Na progu sypialni Bandy rzuca swój worek. Victoria zatrzymuje się przed łóżkiem. Odwraca się do niego na pięcie i staje z opuszczonymi ramionami. Bandy nie zwalnia kroku. Popychają na materac i kładzie się na niej. Oboje przez chwilę leżą bez ruchu. A potem zaczynają się całować, jakby jedno piło drugie.

Podczas pocałunku chwila wahania, czy mają rozebrać się nawzajem, czy każde oddzielnie. Bandy próbuje rozpiąć guziki sukienki Victorii, ale nie najlepiej sobie z tym radzi. Widząc jego niezręczność, rozpina je sama. Bandy zrzuca z siebie ubranie. Minutę później oboje są już nadzy, ale nie przestają się całować. Robią to zachłannie, chichocząc z powodu pośpiechu i bałaganu, jaki czynią wokół siebie.

Kochają się tak samo, jak przed chwilą witali się na podwórku. Victoria oplata go ramionami i nogami, przyciska do siebie tak mocno, że Bandy nie może się poruszyć. Zatraca poczucie granic własnego ciała. Tonie w objęciach żony, w jej zapachu. Nawet poduszka, którą ma przed oczami, staje się bezmiarem chłodnej zieleni. Nagle ma dużo czasu, ogarnia go spokój, znalazł się w wolnym świecie, jest we własnym kraju. To jego łóżko i jego kobieta. Oboje przyciągają go do siebie, pragną, by wszedł w nie głębiej, tak daleko, jak lubi, i już został.

Bandy kończy szybko. Jest przez to trochę zawstydzony i zmieszany, ale Victoria ściska go z całych sił. Szepcze: „Och, Charley” i zachowuje się tak, jakby ofiarował jej najwspanialszy dar. Wszystko wokół zwalnia swój bieg. Bandy leży w ramionach żony. Czego mógłby jeszcze chcieć?

Kiedy dwa dni temu wylatywał z Niemiec, był przekonany, że gdy wróci już do domu, nigdy z niego nie wyjedzie. Odrzucił wszystko. Stwierdził, że zrobił już wystarczająco dużo dla sławy i Historii, że dość długo nurzał się we wszelkich wymiocinach wojny oraz chwały. Teraz, ledwie postawił stopę w domu, zagłębia w sobie, spodziewając się, że znajdzie tam pewność, takie samo ukojenie i spokój, jakim emanują żona i ciepła, pomięta pościel. Chłonie to wszystko całym ciałem. Przecież jest w domu, tak jak chciał. Ale nie znajduje w sobie tego, czego oczekiwał. Ogarniają go wątpliwości. Do licha! - myśli. Czuje się oszukany. To nie wina Victorii. Niczyja wina. Wszystko jest tak, jak być powinno. Bandy chciałby położyć głowę na poduszkę, ale wyglądałoby to głupio, musiałby też wyjaśnić, dlaczego jest taki słaby. Przygląda się żonie. Przyzwyczyił się myśleć o niej jak o kimś, kogo kocha i do kogo wraca, by odpocząć przed następną wyprawą. Taka jest jego natura, a mężczyzna kieruje się jej nakazami. Jeśli się coś dobrze posieje, to zawsze wzrasta. Tak właśnie przychodzą na świat dzieci. Boże, wszystkim rządzi natura, nawet jeśli racjonalnie myślący człowiek usiłuje z tym walczyć. Bandy przekonał się, że potrafiłby zabić. Mógłby znowu zostawić tę kobietę i swoją ziemię. Taką ma naturę. Ale czyż nie mógłby na jakiś czas wyzbyć się wspomnień, odpocząć trochę? Czy to zawsze musi go nękać, nawet teraz, w łóżku?

Jezu.

Nie dzwoni jednak telefon i nic nie wrywa go z ramion żony. Z Hitlerem sprawa jest skończona. Japonię ma w dupie, nie pojedzie tam, choćby miał być świadkiem wielkiego finału. Zajmie się uprawą roli tu, w Tennessee. Jeśli o niego chodzi, mogą sobie wybuchać nowe wojny. I pewnie jakaś wybuchnie. Składa Victorii obietnicę. Postara się zostać, będzie próbował z całych sił. To wszystko, co może zrobić. Niewiele, ale zawsze coś, czego się można trzymać. Jego niedawna desperacja słabnie. Czuje się w tej chwili uczciwy.

Cały ten tok rozumowania wydaje się rozsądny - ale przecież ten sam głos mówił mu już nieraz, że więcej nie wyjedzie z Tennessee. Bandy wie, że nie powinien mu ufać.

Za chwilę Victoria zauważy różową bliznę w okolicy jego jąder. I zapyta o nią. Naciągnie kołdrę, usiądzie wyprostowana i zacznie pytać.

Przebiega palcami po jego kręgosłupie. Wciąż obejmuje go nogami. Kołysze się. Bandy poddaje się temu ruchowi, jakby była kołyską. Victoria zaczyna nucić mu do ucha - właśnie kołysankę.

30 kwietnia 1945, godzina 16.00
Charlottenburg, Berlin

- Już po wszystkim - mruczy Misza.

Ilja patrzy na zrujnowane zabudowania po obu stronach alei, którą razem idą. Nie dochodzą już zewsząd odgłosy walki. Berlin przestał tętnić wojną. Tylko w centrum słychać słabe bicie jej serca, cztery kilometry stąd toczy się bitwa o Reichstag.

Aby jeszcze na koniec wzmocnić motywację żołnierzy, Czujkow przydzielił dziewięć sztandarów elitarnym pułkom swojej 8 Armii Gwardyjskiej. Kto pierwszy zawiesi czerwoną flagę na dachu Reichstagu, otrzyma tytuł Bohatera Związku Radzieckiego. Jednak batalionu karnego nie skierował do ataku. Ilja i Misza nie zapiszą się w historii. Tak więc Misza, wydmuchując dym papierosowy, oznajmia, że przynajmniej dla nich dwóch wojna się skończyła.

Do uszu Ilji docierają przetaczające się przez ruiny echa katusz i ciężkiej artylerii. Nad gruzowiskiem cegieł i betonu snują się szare dymy pożarów i płonących stalowych wraków, znacząc ostatnie pole bitwy. Ilję ciągnie w tamtym kierunku, chce się znaleźć w ogniu walki. SS broni się desperacko w ostatnim punkcie oporu. Ilję to nie dziwi. To naturalny bieg rzeczy. Kulminacyjny moment. Niemcy i Rosjanie walczą od czterech lat. Ilja nie potrafi sobie wyobrazić tego miasta, ani żadnego innego, bez dymu i szczęku broni. A dopóki tak się nie stanie, nie nastąpi koniec.

Nie pamięta czasów pokoju, lat i miejsc bez wojny. Wie, że jakoś się wtedy żyło, ale nie może tego odtworzyć w pamięci, podobnie jak nie można przypomnieć sobie głosu dawno zmarłej osoby, której twarz jeszcze mgliście majaczy we wspomnieniach. Miał dom i rodziców. Był ogród i szkoła. Zabawy, wyprawy na polowanie. Dziewczęta, pocziwe rosyjskie dziewczęta. I cała reszta. Ale to wszystko jest gdzieś pogrzebane, przysłonięte innymi, żywszymi wspomnieniami. Ilja nie próbuje więc sięgać pamięcią do tamtych czasów. Zbyt wiele go od nich dzieli.

Gdzieś dalej wrze walka o Reichstag. Ilja wędruje z Misza tą częścią Berlina, gdzie, jak mówi Misza, wojna się skończyła. Ilja może się temu przyjrzeć. Żołnierze rabują i zaczepiają przechodniów. Ludność cywilna kuli się i oddaje wszystko, czego od nich żądają: zegarki, jedzenie, alkohol, biżuterię, własne żony i córki. Wszelki opór jest karany. Rosjanie jeżdżą na rowerach, piją i zataczają się, ciągną kobiety za szyję w ruiny albo dobijają się do drzwi. Ilja przechodzi obok tego i nic go nie kusi. Nie pała też żądzą zemsty, już nieraz był jej świadkiem. Czuje się dziwnie, gdy tak idzie ulicami Charlottenburga. Woli już zgiełk bitewny niż takie rozprężenie.

Misza także chce włączyć się do tych ostatnich walk, ale z innych powodów. Wciąż zależy mu na odzyskaniu stopnia oficerskiego. Wojna się kończy, a on jest tylko sierżantem. Niepokoi go to, że potem nie będzie okazji, by się zrehabilitować. Pragnie zostać żołnierzem zawodowym, ale jeśli teraz nie awansuje, może już nie powrócić na poprzednie stanowisko. Uważa, że odsłużył karę. To niesprawiedliwe. Razem z Ilją mogliby zatknąć na szczycie Reichstagu jedną z flag Czujkowa. Przeszli już gorsze rzeczy. Zazdrości Ilji, że dośłużył się stopnia podporucznika.

Tymczasem bezprawie na ulicach jeszcze się nasila. Żołnierze drą się jak koty w marcu: *Frau, komm!* Nie ma nikogo, kto by nad tym zapanował. Ludzie nie posłuchają przecież Ilji i Miszy - podporucznika i sierżanta. Zresztą niektórzy z tych rozzuchwalonych szabrowników przewyższają Ilję rangą. Obu więc ciągnie do walki - Ilję, bo tam czuje się swojsko, na swoim miejscu, a Miszę, bo to ostatnia szansa, by zwrócić na siebie uwagę i okryć się sławą. Jednak niezadowolenie Miszy rośnie. W takich chwilach jego blizna czerwienieje. Jest jak wskaźnik stanu uczuć. Pociąga go też bezhołowie panujące w podbitym mieście, niczym nie ograniczona możliwość łupienia pokonanych. Do tej pory udało mu się zdobyć zaledwie kilka zegarków.

- Co się tak gapisz - mówi rozdrażniony. - To koniec. Do jutra zdobędą Reichstag.

Ilja wzrusza ramionami.

- I co?

- Wygramy wojnę.

Ilja kopniakiem usuwa cegłę z drogi.

- I co potem?

Misza przyspiesza, by dotrzymać mu kroku.

- O nie, Ilja. Nie dam się wciągnąć w takie filozoficzne gierki. Jestem zmęczony. Już po wszystkim. Wygraliśmy. Wracamy do domu.

Idzie parę kroków, a potem przystaje i opiera ręce na biodrach. Ilja także się zatrzymuje. Obok nich przejeżdża z hałasem jakiś żołnierz na zdobyczym rowerze.

- Dobra - mówi Misza, wypluwając skręta. - Niech ci będzie. Zagram w to. Chcesz wiedzieć, co będzie potem?

Ilja jest zaskoczony jego ostrym tonem. Zanim jednak zdążył powiedzieć coś pojednawczego, Misza krzyczy:

- To! To będzie dalej!

Misza wskazuje palcem ulicę.

- Popatrz! O to walczyłeś, Ilja. Podoba ci się? Lepiej, żeby się podobało, bo przecież to twoja zasługa. Twoje pieprzone dzieło. Przyjrzyj się.

Misza wymachuje palcem, pokazując wszystko, co się wokół dzieje. Stary Berlin jest zbombardowany i spalony. Rzucony na kolana. No właśnie. A spójrz tam! Po drugiej stronie ulicy radziecki żołnierz przechyla butelkę z wódką. Opróżnia ją jednym haustem, po czym rzuca pod nogi tylko po to, by rozbić szkło i dać upust jakieś tkwiącej w nim agresji. W rynsztoku wciąż jeszcze leżą ciała zabitych Niemców. Są pokryte odłamkami szkła. Misza obraca się, wskazując palcem jak szablą kolejne sceny. Tam! I tam! Nie musi więcej mówić, wszystko widać jak na dłoni z miejsca, w którym stoi. Wreszcie wymierza palec w Ilię.

- To twoje dzieło, Ilija. I nie tylko *to*. Zadowolony? A teraz daj mi spokój. psia mać. Już wołałem, jak nic nie mówiłeś.

Ilija odpowiada powoli:

- Ja tego nie zrobiłem.

- Och! - Misza gwałtownie unosi ręce w górę. - A co myślałeś, podporuczniku? Że ci, których zabiłeś, wstaną, otrzepią się z kurzu i wrócą do swoich spraw, gdy tylko wojna się skończy? Sądziłeś, że te budynki, które zrównaliśmy z ziemią, będą jak nowe, kiedy odejdziemy? Zobacz, co zrobiliśmy! Rozejrzyj się! A co z tymi, którzy przeżyli? Wydaje ci się, że wyjdą z wojny bez żadnych szkód? Tak jak ty?

Misza robi krok do przodu, jakby chciał zakończyć tę tyradę i iść dalej. Ale Ilija tak łatwo nie ustępuje. Misza przystaje więc i odwraca się. Mówi łagodniejszym tonem:

- Ilijuszka, wszyscy chcą, żeby wojna już się skończyła. Nie różnisz się pod tym względem od innych. Wszyscy jej nienawidzą. Ty jednak jeden spośród milionów wyobraziłeś sobie, że możesz ją zakończyć sam, osobiście. Obserwowałem cię. Nie walczyłeś za Stalina. Toczyłeś walkę z samą wojną. Wydaje ci się, że kim jesteś? No powiedz. Naprawdę sądzisz, że coś zależy od ciebie? Że ty nas przez to przeprowadzisz?

Odpowiedź brzmi: tak. Ale Ilija nie mówi tego głośno. Misza spluwa.

- Uważasz się za kogoś wyjątkowego. Kto wie, może i jesteś.

To właściwie nie wymaga odpowiedzi. Misza przeżył dzięki Iliji. Powinien uważać go za kogoś wyjątkowego.

- Zobacz, do jakiego końca nas doprowadziłeś.

Misza podchodzi bliżej. Dźga chudym palcem pierś Iliji.

- Ty, Ilija Szochin. Bóg wojny. Zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy, by jeszcze pogorszyć sprawę. A masz jakąś dziwną moc, zauważyłem to. Ludzie giną po obu stronach, a ty biegiesz między nimi. Wymyśliłeś sobie, że jest gdzieś jakiś kres i ty nas do niego doprowadzisz.

Przykłada rozłożone dłonie do własnej piersi. To dziwny gest - gest szaleńca, który sam prosi się o kulę.

- A ja? Szedłem za tobą krok w krok. Zachodziłem w głowę, dlaczego ja także nie zginąłem. Bo powinienem był.

Misza wskazuje palcem niebo. Widać tam w górze całą furię, z jaką prowadzone są walki o Reichstag.

- Ale teraz już wiem. Przeżyłem, żeby być tu dzisiaj i to wszystko ci powie-dzieć. Takie było moje zadanie. Zadanie małego sierżanta. Posłuchaj mnie, przyjacielu. Jeśli nie nauczyłeś się niczego przez te cztery lata, przyjmij to na wiarę i zapamiętaj. Nie ma żadnego kresu. Wojna się nie kończy.

Wskazuje znowu Berlin.

- Przemienia się w coś takiego.

Opuszcza rękę, uderzając nią o udo. Wydaje się zły, gdy mruczy ponownie:

- Wydaje ci się, że kim jesteś?

Zaczyna iść.

Ilja stoi bez ruchu. Krzywi się.

Czy to prawda?

To taki jest finał żmudnych poszukiwań odpowiedzi na dręczące go pytania?

Wszystko było po nim widać? Że jest głupcem? Samozwańcym królem wojny?

Prowadził takie głębokie rozważania. W gwiazdach szukał natchnienia, by potem we własnym sumieniu rozstrzygnąć kwestie moralne.

Z Bogiem rozmawiał jak równy z równym. Próbował się nawet targować.

Zabijał i siał zniszczenie, cały czas uzasadniając to na różne sposoby. Po co? Żeby mu było łatwiej? Żeby mógł się z tym pogodzić, uznając tę drogę za wiodącą ku czemuś dobremu?

Prowadził wojnę, by wojnę zakończyć.

Misza twierdzi, że to niemożliwe.

Czyżby miał rację?

Mały żołnierz oddalił się już o przecznicę. Ilja rusza za nim.

Misza idzie środkiem ulicy. Z tyłu nie wydaje się już Ilji taki drobny. Nie złamie go ani nie przerazi żadna walka. Wyprostowany, pewny siebie masze-ruje przez miasto, pomiędzy ludźmi, machając przy tym rękami.

Ilja skręca za nim za róg, w małą uliczkę, gdzie zniszczenia są mniejsze. Sto-ją tu całe domy i sklepy. Mniej też kręci się radzieckich żołnierzy. Wolą widocznie większe ulice, gdzie mogą zbierać się w grupy i razem zaczepiać Niemców. Misza przystaje przed głębokim lejem na ulicy. Ilja także się zatrzymuje. Misza stoi i patrzy w głąb krateru, z którego wyłania się kobieta. Niesie wiadro, rozchla-pując wodę. Gdy gramoli się w górę, patrzy pod nogi i odwraca głowę od przyglą-dającego się jej radzieckiego sierżanta. Ma na sobie długi płaszcz, za ciężki

jak na tę wiosenną pogodę, męskie spodnie, wysokie ubłocone buty i chustkę na głowie. Misza przepuszcza ją przodem, a potem rusza za nią. Ilja trzyma się z tyłu. Przechodząc obok dołu, widzi na dnie pękniętą rurę z wodą.

Kobieta mija trzy przecznice. Trudno powiedzieć, czy wie, że podążają za nią dwaj żołnierze. Idzie z wiadrem ostrożnie, ale dość szybko. Misza się nie skrada, maszeruje jak gdyby nigdy nic.

Kobieta zmierza do szeregu domów o kamiennej fasadzie. Widać, że na tej ulicy toczyły się walki, budynki noszą wyraźne ich ślady. Niemka wchodzi do domu stojącego pośrodku. Misza idzie za nią do schodków i staje na palcach. Przygląda się drzwiom.

Stojąc tam, podciąga rękaw płaszcza. Odpina po kolei wszystkie zrabowane zegarki. Rzucą je na chodnik - są ich ze dwa tuziny.

Obok niego staje Ilja.

- Odejdź, Iljuszka.

- Nie.

- Nie potrzebuję twojego towarzystwa.

Ilja mógłby rozkazać Miszy, żeby odszedł od tych drzwi. Jest oficerem. Mały Misza przeżył jednak to samo piekło co on. Nie będzie wydawał mu już żadnych rozkazów.

- Chyba pierwszy raz mnie nie potrzebujesz.

- A tak.

- Ale może teraz ja potrzebuję ciebie.

Kiwając głową, Misza odwraca spojrzenie ku drzwiom. W środkowej desce widać dziurę po kuli. Wydaje się, że oto patrzy przez drzwi, poprzez czas, który ma dopiero nastąpić, i widzi, co wydarzy się dalej - tak jak patrzy na mapę i potrafi przewidzieć, jak potoczy się atak.

- Dobra - mówi.

Wchodzi po stopniach i puka do drzwi.

Ilja spodziewa się, że będą musieli czekać, nawet się dobijać, ale kobieta w męskim ubraniu otwiera im od razu. Wysuwa głowę zza uchylonych drzwi. Zdjęła już chustkę. Ma jasne włosy z pasmami siwizny. Nie jest tak młoda, jak można by sądzić po jej sylwetce i sposobie, w jaki niosła ciężkie wiadro. Twarz ma szczupłą, tu i ówdzie pomarszczoną, przestłoniętą jakby chmurą zmęczenia, ale zwracającą uwagę.

- *Ja?* - pyta.

Misza wita się z nią spokojnie. Ilja nie rozumie, co ten mówi, ale jego ton jest uprzejmy, choć słychać w nim naleganie jak w głosie domokrażcy usiłującego sprzedać swój towar.

- *Ja* - odpowiada kobieta - *komm*.

Otwiera szeroko drzwi i odwraca się. Przed wejściem do środka Misza spogląda na Ilję, kiwając porozumiewawczo głową.

Dom został splądrowany. Panuje w nim bałagan. Na podłodze leżą wysunięte puste szuflady, zawartość szaf wala się po podłodze. Meble są porzniete nożem, obicia wypatroszone. Ze ścian pozrzucono obrazy.

W korytarzu chudy chłopak wiesza fotografię na haczyku. Jest otępiały, nie odwraca się, by spojrzeć na wchodzących do domu uzbrojonych radzieckich żołnierzy. Ma krótko obcięte blond włosy, wygląda jak rekrut.

Misza zagaduje kobietę. Ona odpowiada, śmiejąc się sardonicznie. Potem znowu on rzuca jakąś uwagę.

Wyjaśnia Ilji, o co chodzi.

- Powiedziałem jej, że jestem zmęczony. Że powinienem usiąść. Powiedziałem, że chciałbym się położyć.

Kobieta kładzie rękę na barierce otaczającej schody i wchodzi na pierwszy stopień. Mówi ponownie:

- *Ja, komm.*

Wydaje się, że nie wypowiada tych słów, lecz je cedzi.

Misza pokonuje dwa stopnie. W połowie schodów kobieta się zatrzymuje. Wskazuje Ilję i coś mówi.

- Chce także ciebie - wyjaśnia Misza. - Nas obu.

Ilja kręci głową. Nie podoba mu się tu. Ale nie wie, gdzie mógłby pójść. Nie ma już żadnych walk, które mógłby stoczyć. Jest tylko taki świat, do jakiego sam doprowadził.

Chce zostać na dole. Dość, że znalazł się w tym domu. Tu są wszystkie odpowiedzi. Nie musi iść do łóżka, z Misza i tą kobietą. Zostanie tu. Może to wystarczy.

Kobieta zbiega po schodach. Odzyskała energię, słychać to w jej krokach. Chwyta rękę Ilji. Uśmiecha się. Linie jej twarzy się pogłębiają.

- *Ja, komm* - mówi. - *Komm mit uns.*

Ilja cofa rękę.

- Nie. *Nein.* Misza, powiedz jej.

Misza mówi po niemiecku, jego słowa brzmią władczo w tym języku.

- Powiedziałem jej, żeby była cierpliwa. Chcę być pierwszy.

Kobieta się śmieje. Coś odpowiada.

- Ona mówi, że i tak nie będę pierwszy. Co najmniej dwunasty. No to co, Iljuszka, bierzemy, co jest, nie? Chodź, *Frau.*

Kobieta wciąż stoi przed Ilją. Jest od niej wyższy, dwa razy potężniejszy. Wtargnął do tego domu i stanowi zagrożenie. Ale kobieta jakby na to nie zważała. Zerka na chłopaka, który teraz patrzy i przysłuchuje się. Musi być jego matką. Przenosi wzrok znowu na Ilję. Przez moment, gdy patrzy mu w oczy,

wydaje się jakaś inna. Prosi go o coś, czego nie oczekuje od Miszy. Czegoś więcej niż litości, jakby dostrzegła w nim jakiś ślad dobroci. Chce, żeby Ilja zrozumiał.

- *Bitte. Komm* - mówi.

Ilja nic nie odpowiada, zastyga stojąc tak przed nią. Twarz tej kobiety to obraz wojny. Własnej, osobistej wojny toczonej w tym domu. Widać ją w jej rysach i w całym otoczeniu, tak jak wszędzie w Berlinie. To tragedia i cierpienie dorównujące tym, które spotyka się na polu bitwy. A jednak innego rodzaju. Ilja ma wrażenie, jakby wojna ukazywała mu się we wszystkich swoich postaciach. Nie ma w nim jednak miejsca na wojnę tej kobiety. Nie zamierza brać na siebie większego ciężaru, niż już w sobie nosi. Wojna, którą sam toczy, wystarczy mu w zupełności.

Ta Niemka prosi o zbyt wiele.

- Misza, weź ją. No dalej.

Mały sierżant schodzi ze stopni. Chwyta kobietę i ciągnie po schodach. Odchodząc, kobieta odwraca się od Ilji. Spogląda na syna.

Córkę.

Ilja dostrzega to teraz. Zajrzawszy przez kilka sekund w oczy matki, widzi wszystko w tym domu wyraźniej. To dziewczyna. Ostrzyżona, ubrana po męsku - przebrana. To dlatego matka chciała, by obaj poszli z nią na górę. By chronić dziewczynę.

Ilja podchodzi do niej w korytarzu. Ona nie cofa się. Zwraca ku niemu twarz, zastawiając drogę - tak, to dziewczęca sylwetka. Szcuplejsza niż matka, ładniejsza. Nawet z tymi wystrzyżonymi włosami. Jej urodą jest młodość i coś jeszcze. Matka z pewnością ma odwagę. Obie ją mają. Ilja wyczuwa to natychmiast. Odwaga matki jednak kryje coś innego. Może strach. Bo na pewno coś pod nią jest. Ale ta dziewczyna nie jest przestraszona jak matka. O nic nie prosi. Patrzy tylko na zbliżającego się Ilję.

Zatrzymuje go, przytykając wyciągniętą rękę do jego piersi. Mógłby ją bez trudu odepchnąć. Dziewczyna kończy wieszanie fotografii na ścianie. To poźółkłe zdjęcie młodego mężczyzny w mundurze, jeszcze z czasów pierwszej wojny światowej.

Podchodzi do Ilji i bierze go za rękę. Ma silniejsze dłonie, niż można by spodziewać się po kobiecie. Prawie otacza palcami jego nadgarstek. Wyprawdza Ilję z korytarza. Idąc za nią, zauważa bliznę z tyłu wystrzyżonej głowy. Dziewczyna prowadzi go do pokoju od frontu, to salonik. Sofa została wybebeszona. Byli tu szabrownicy z nożami. Ilja wyobraża sobie, co jeszcze te kobiety dały im pod groźbą noża.

Pośrodku pokoju, na poplamionym krwią dywanie, dziewczyna puszcza jego rękę. Bez słowa, ze wzrokiem wbitym w podłogę, zahacza noskiem buta o

obcas, zrzucając obuwie. Rozpina spodnie. Są dla niej za duże, zwisają w pasie i marszczą się na dole. Dziewczyna wychodzi z nich.

Nie ma na sobie bielizny, jest pod spodem naga. Nie zadaje sobie trudu, by ściągnąć przez głowę sweter. Ma sterczące kości miednicy, najwyraźniej nie-
dojada. Na kolanach, udach i przy pachwinie widać siniaki.

Stoi na dywanie ze stopami skierowanymi do siebie. Składa się jakby z dwóch postaci: zgrabnej, chłopięcej powyżej pasa, a niżej - choć kobiecej, to wyglądającej żałośnie. Ma twarz sfinksa. Nauczyła się nic po sobie nie pokazywać.

Pochyla się. Ten ruch też niczego nie wyraża. Dziewczyna ofiarowuje wszystko, ale jednocześnie nie ma nic do ofiarowania. Nie można jej osiąść.

Kładzie się na dywanie, z ramionami po bokach i lekko rozłożonymi nogami. Odchyła głowę do tyłu i patrzy w sufit. Buty i porzucone spodnie leżą obok. Wyglądają, jakby wyparował z nich człowiek - kolejny symbol pustki, nieobecności.

Ilja nie miał kobiety od czasu Stalingradu. Trzy lata. Dziewczyna jest chuda, ale piękna.

Podchodzi do niej. Staje nad dziewczyną. Ona spogląda na niego. Patrząc na nią z góry, ma wrażenie, jakby patrzył w głąb studni. Jeśli można tam na dnie zobaczyć jakąś twarz, to właśnie ją widzi. Przenika go dreszcz.

Szukał odpowiedzi na swoje pytania, ale czy nie zaszedł po nie za daleko? Od czterech lat oglądał życie i śmierć w tyłu odmianach, że aż wydaje się to niewiarygodne. Czyżby coś przeoczył? Wszystko. Wszystko.

Ta dziewczyna leżąca na podłodze to ofiara. Tak jak Ilja. Ale on przynajmniej stoi na nogach. Ciągnie go do niej jak do lustra, chciałby się w nim przejrzeć. Jej włosy są równie krótkie jak jego. Ręce nawet silniejsze. Ma jak on poranione ciało. Ilja przesuwa wzrok ku jej kroczu. Włosy łonowe są pozlepiane zaschniętą krwią. Musiała walczyć, ona i matka, jak żołnierze. O walkach, jakie stoczyła, świadczą nie pokiereszowane ciała wrogów, ale jej własne ciało. Pole bitwy to nie jakiś rozorany, odległy skrawek ziemi, lecz dywan w jej saloniku. A to, o co walczy, jest znacznie cenniejsze, słusniejsze niż wszystko, o co kiedykolwiek walczył Ilja. Walczy o życie. Tylko o życie.

Misza miał rację. Wojna nie ma końca. Zamienia się w coś takiego. Czai się i wylega potem z takiej dziewczyny. Widać to już na jej ciele - siniaki jak ślady po eksplozjach, krew między nogami.

Ilja robił różne rzeczy, ale tego nie może.

Misza się myli.

Ilja jest wojną.

Wojna w tym momencie się kończy. Tu i teraz.

Kopie skłębione spodnie, spoczywające obok gołych nóg.

- Ubierz się - mówi.

Odwraca się od leżącej na wznak dziewczyny. Chłód, jaki czuł przed chwilą, zamienia się w żar sirocco.

Wychodzi z saloniku. Jego kroki dudnią ciężko na schodach, jakby celowo oznajmiał, że nadchodzi.

Znajduje Miszę w sypialni. Mały człowiek leży na matce dziewczyny. Spodnie ma zsunięte do kostek, nie zdjął nawet butów. Oboje są na łóżku. Kobieta leży pod nim jak pięcioramienna gwiazda, biała, z rozrzuconymi rękami i nogami. Ilja chwyta Miszę za spodnie i ściąga z niej, tak że ten upada na podłogę twarzą w dół, a jego pośladki unoszą się w powietrzu. Misza krzyczy i klnie na Ilię, żądając, by go puścił i wyszedł. Ilja stawia obutą nogę między jego szamoczącymi się łopatkami i przyciska go do podłogi. Kobieta nie wstaje z łóżka. Sądzi, że ten większy zmienił zdanie, chce jej natychmiast i dlatego zrzuca mniejszego. Dolna część jej ciała nosi takie same brzydkie siniaki i zdrapania jak u córki.

Ilja podnosi Miszę z podłogi. Mały sierżant jest wściekły. Ilja nie słucha jego monologu, nie daje mu nawet czasu, żeby wciągnął spodnie. Wywleka go potykającego się z pokoju. Bierze karabin i płaszcz Miszy, wyrzuca je na schody. Misza podskakuje, trzymając spodnie w garści. Ilja ciągnie go jak wór na śmieci.

Na dole schodów pozwala mu zawiązać buty i rzuca w ręce płaszcz. Misza wciąż krzyczy.

Ilja nic nie mówi. Dziewczyna wstała już z podłogi w saloniku. Stoi w tym samym miejscu, gdzie wtedy, gdy weszli - w korytarzu. Misza coś bełkoce. Ilja nie słucha. Wyciąga rękę i uderza go w bliźnę na policzku. Mały sierżant zatacza się w tył i milknie. Zmieszany, w nie zapiętym ubraniu, otwiera drzwi. Wybiega na ulicę. Ilja wychodzi za nim z domu i z hałasem rzuca na chodnik jego karabin. Misza robi krok do przodu, by podnieść broń. Zegarki, które tu zostawił, zniknęły, rozgrabione przez inne chciwe ręce.

- Ilja.

- Idź sobie, Misza. No już. I nie wracaj.

- Co...? - Misza potyka się, wciąż zdeprimowany, jeszcze parę minut temu leżał na kobiecie.

- Idź. Powtarzam ostatni raz.

Misza wtyka koszulę do spodni. W trakcie tej czynności przeskakuje z nogi na nogę. Nie odwracając od niego spojrzenia, Ilja sięga ręką w tył i zamyka drzwi.

- Co robisz?

W odpowiedzi siada na schodach przed domem. Zdejmuje z ramienia pesę i kładzie ją sobie na kolanach.

Widząc to, Misza kiwa głową.

- Jak chcesz. - Śmieje się. - Niech ci będzie, Iljuszka. I niech ci wyjdzie na zdrowie, psia mać.

Okręca się na pięcie i odchodzi. Jego postać wydaje się Ilji jeszcze bardziej zniekształcona niż wcześniej. Misza jakby się rozrósł, stał się większy, bo ma teraz w sobie całą wojnę. I jemu niech wyjdzie na zdrowie, myśli Ilja. Obserwuje go, jak się oddala.

Bitwa o Reichstag wciąż trwa. Odgłosy wybuchów d dymy wyznaczają ostatnie linie frontu. Pod stopami Ilji pojawia się jednak nowa linia frontu. Będzie siedział na stopniach domu i tu doczeka końca. Zobaczy, jak daleko wojna jeszcze sięgnie.

Za jego plecami otwierają się drzwi. Ilja nie odwraca się, by spojrzeć za siebie. Spodziewa się jakiegoś delikatnego dotknięcia, może szlochu. Nie chce wdzięczności.

Obok niego na stopniu siada dziwny mężczyzna. Jest chudszy od obu kobiet, skórę ma bladą jak ich brzuchy. Ubrany jest w szary garnitur, zniszczony, z wytartymi mankietami, które odsłaniają nadgarstki i kostki. Pod poźółkłym kołnierzykiem ma porządnie zawiązany brązowy krawat. Głowę przykrywają zaczesane ciemne włosy, rzadziejące i tłuste. Mężczyzna przybiera taką samą zdecydowaną postawę jak Ilja. Opiera łokcie na kolanach, tylko że nie ma broni.

Unosi wzrok ku niebu. Wydaje się, że zachwyca go jego bezmiar.

Nieznajomy zwraca wydatny nos i oczy w kierunku Ilji. Obaj przez chwilę siedzą tak twarzą w twarz. Ilja widzi, że ten człowiek ma w sobie tyle pytań co on sam. Ma także siłę. I to więcej niż Ilja.

Żaden z nich nie ruszy się z tego miejsca.

Ilja się uśmiecha. Ma sprzymierzeńca. Nowy front się umacnia.

Epilog

7 maja 1945, godzina 6.05
Gabinet Stalina
Kreml, Moskwa

Wojna się skończyła.

Stalin uderza pięścią w telegram. Przedmioty znajdujące się na jego biurku podskakują z brzękiem.

Generał, który doręczył wiadomość, cofa się wystraszony.

Depesza pochodzi od Eisenhowera. Wysłano ją godzinę temu z siedziby naczelnego dowódcy w Reims, we Francji.

Misja alianckich sił zbrojnych została zakończona o 2.41 czasu miejscowego, 7 maja 1945.

Stalin przygląda się bałaganowi na biurku. Z fajki wysypał się tytoń. Zdjęcie Lenina leży przewrócone. Niebieski ołówek stoczył się na podłogę. Stalin odsłania zęby. Głęboko wciąga przez nos powietrze. Zaciska szczęki. Za chwilę z trudem je rozwiera, by kontynuować rozmowę.

Podnosi wzrok.

- Generale.
- Tak. Tak, towarzyszu Stalin.
- Kto za to odpowiada?

Wojskowy, który stoi przed biurkiem, to zasłużony żołnierz. Wie, co to lojalność. Waha się chwilę. Schyla się, by podnieść ołówek. Podaje go Stalinowi. Ale on nie wyciąga ręki. Generał kładzie ołówek na biurku.

Stalin patrzy na niego nieprzyjawnym wzrokiem.

- Generale. Kto podpisał akt kapitulacji w imieniu Związku Radzieckiego.
- Susłoparow.

Oficer ledwo wytrzymuje napięcie. Chciałby coś zrobić. Ale co? Wyrównać biurko Stalina? Pragnie coś jeszcze powiedzieć. Bronić towarzysza. Wyjaśnić Stalinowi, że Susłoparow jest niewinny.

Niewinny? Ten Susłoparow leci do cholernej Francji, żeby przyjąć kapitulację niemieckiej armii w kwaterze Eisenhowera? Francja! Co ci Francuzi stracili? Rozbito im ileś tam butelek wina? A Eisenhower. Ilu żołnierzy wysłał do walki? Dwieście, trzysta tysięcy? Armia Czerwona straciła tyłu między Wisłą a Berlinem. Ta wojna kosztowała Rosję dziesięć milionów ludzi!

Tydzień temu Hitler zastrzelił się w swoim bunkrze. Ta jego dziwka, Ewa Braun, zażyła cyjanek. Goebbels i jego żona otruli swoje dzieci, a potem zabili się sami. To dlatego, że Armia Czerwona była już ulicę dalej i przygotowywała się do szturm na ich bramy. Dzień później nad Reichstagem powiewała radziecka flaga.

Nazistowskie imperium zachwiało się i upadło w radziecką krew. Całe Niemcy się w niej nurzają.

Kto to jest Susłoparow? Kto go wysłał do Francji, żeby stawił się u Eisenhowera jak jego lokaj? Kto go upoważnił, żeby przyjął kapitulację Niemiec? Nie miał prawa sygnować niczego w imieniu Związku Radzieckiego. Stalin nawet nie dostał do obejrzenia dokumentów o złożeniu broni przed ich podpisaniem. We Francji.

- Towarzyszu generale, zróbcie mi uprzejmość.
- Tak jest, towarzyszu Stalin.
- Gdzieś na Kremlu znajdzie się butelka wódki, co?

Generał nie bardzo rozumie pytanie. Jest wczesnie rano. A Stalin nie pija alkoholu.

- Wszystko w porządku - Stalin uspokaja oficera, to nie żadna pułapka.
- Butelka wódki, towarzyszu generale. I dwa kieliszki. Napijcie się ze mną z okazji zwycięstwa.

Generał oblizuje wargi. Następuje chwila wahania. Mężczyzna unosi głowę i prostuje się jak dumny człowiek stojący już na szubienicy.

Stalin uśmiecha się, znowu odsłaniając żółte zęby. Generał staje na baczność. Tyle zamieszania z powodu butelki wódki i dwóch kieliszków!

- Tak jest, towarzyszu. Wedle rozkazu.

Obraca się i czym prędzej wychodzi.

Podczas jego nieobecności Stalin porządkuje biurko. Nabija fajkę i odkłada ją na bok. Potem wstaje zza biurka i zaczyna przechadzać się po gabinecie. Sojusznicy! Zawsze znajdują sposób, by podważyć autorytet Stalina. Prowadzą gierki, jak ta. Eisenhower polecił, żeby Francuzi, Brytyjczycy, Amerykanie i Rosjanie przybyli do niego i podpisali dokumenty. Do niego - jakby był jakąś wielką figurą. Nie, nie. Nie przerobicie mnie tak łatwo, śmieje się pod nosem Stalin. To wy, kochani sprzymierzeńcy, zostaliście wystrychnięci na dudka.

Stalin jest zawsze czujny. Codziennie dostaje telegramy od Churchilla i Trumana. Obaj ostrzegają go, żądają, proszą. Nie oferują jednak nic poza

przyjaźnią, a grożą jedynie popsuciem stosunków. Nie mają go czym zastraszyć ani czym znęcić. Za każdym razem próbują go tylko nagiąć do tego albo owego.

Zachód się boi. Oskarża komunistów o przejęcie władzy w krajach Europy Wschodniej. To nie przejęcie władzy. To wyzwolenie. Ale i rewolucje mogą potoczyć się zbyt szybko. Stalin musi więc być ostrożny.

By uciszyć krytyczne głosy, stara się, żeby wszystkie rządy w państwach zajętych przez Armię Czerwoną były rządami koalicyjnymi. Partie komunistyczne mogą łączyć się z ugrupowaniami radykalnymi czy chłopskimi, dopóki będą miały w swoich rękach kluczowe resorty - spraw wewnętrznych, któremu podlega policja, rolnictwa, żeby przeprowadzić reformę rolną, oraz wydziały informacji i edukacji. Ta polityka sprawdza się dobrze w Jugosławii, gdzie Tito włączył do swojego rządu pięciu niekomunistów. Kiedy ci ludzie ustąpili ze stanowisk, twierdząc, że nie mają rzeczywistej władzy, Tito kazał ich aresztować pod zarzutem, że chcą sprowokować interwencję z zewnątrz. Podobne przemiany zachodzą na Węgrzech, w Czechosłowacji, Rumunii i Bułgarii. Nawet w Polsce, mimo dywersji inicjowanych przez Churchilla. Świat nie słyszy radzieckich podszeptów w tych krajach, tylko oddolne głosy domagające się równości i dobrobytu, bliższych więzi ze Związkiem Radzieckim i wprowadzenia komunizmu. Taka jest wola narodów.

Generał wraca. Sprawił się szybko. Widocznie wódkę można było znaleźć bliżej, niż Stalin się spodziewał.

Na stole pojawia się butelka i dwa kieliszki. Generał robi krok w tył, pozwalając, by Stalin nalał. Ten odkorkowuje pozbawioną nalepki butelkę.

Nalewa do kieliszków odrobinę, potem bierze jeden z nich. Generał unosi drugi. Stalin patrzy oficerowi prosto w twarz ponad biurkiem i leżącym na nim telegramem od Eisenhowera.

- Zażądam, żeby Amerykanie, Brytyjczycy i Francuzi polecili z powrotem do Berlina razem z nazistowskim kierownictwem - mówi. - Nie uznaję aktu kapitulacji, który dziś podpisano.

- Towarzyszu?

- Nie zatwierdziłem wcześniej tego dokumentu. Związek Radziecki nie miał właściwego przedstawiciela. A poza tym uroczystość odbyła się we Francji.

Generał stoi jak skamieniały. Kieliszek w jego uniesionej sękatą dłoni wygląda jak kryształowe gniazdo na drzewie.

- We Francji. - Stalin kręci głową z niedowierzaniem. Po co to wszystko mówi temu generałowi, szkoda słów. Co on może powiedzieć czy zrobić? Stalinowi nagle wydaje się to zabawne. No cóż.

- Właściwy akt kapitulacji zostanie podpisany przez wszystkie strony w kwaterze Armii Czerwonej w Karlshorst. Historia zapamięta, że tam nastąpiło

ostateczne zwycięstwo nad nazizmem, nie w jakimś biurze we Francji, które wyznaczył Eisenhower. Dopilnujcie, żeby był tam Żukow, odpowiedni człowiek reprezentujący Związek Radziecki. Zrozumiano?

- Tak jest, towarzyszu Stalin.

- No to dobrze. A teraz wnieśmy toast. Chcielibyście coś powiedzieć, towarzyszu generale?

- Byłbym zaszczycony, gdybym mógł wypić za wasze zdrowie, towarzyszu Stalin.

- Dobra. Zastanówmy się.

Głodzi palcami wąsy. W zamyśleniu ściąga usta.

- Nie możemy wypić za dużo. Mamy jeszcze mnóstwo roboty przed śniadaniem.

- Oczywiście, towarzyszu Stalin.

Stalin podnosi kieliszek. Generał idzie jego śladem.

- Dzisiaj świat świętuje. Dziś uściśniemy się z Amerykanami i Anglikami. Naszymi sojusznikami w boju. Więc za Roosevelta, przyjaciela, który odszedł.

Pije do dna. Generał także wychyla kieliszek. Stalinowi od wódki od razu wilgotnieją oczy.

Wyciąga rękę z kieliszkiem, żeby oficer mu nalał. Ten ostrożnie nachyla butelkę, nalewając po parę kropel.

- Dalej, generale. Następny będzie pan Churchill. Byłby niezadowolony, gdybyśmy wypili za niego tak skromnie.

Oficer dolewa więcej.

Stalin podnosi swój kieliszek i krzywi się w uśmiechu.

- No to za Churchilla. Jego zdrowie.

Obaj mężczyźni opróżniają szkło. Stalin znowu mruga po wódce. Generał lepiej znosi alkohol. Stalin odstawia kieliszek.

- Dziękuję wam, towarzyszu generale.

Oficer bierze butelkę i kieliszki. Jest już prawie przy drzwiach.

- Towarzyszu generale.

- Tak, towarzyszu Stalin?

- Natychmiast odwołajcie Susłoparowa.

Szkło upada na dywan.

Stalin siada za biurkiem. Oficer nie rusza się z miejsca. Stalin nie zwraca na niego uwagi. Jego też bez problemu może skrócić głowę.

Ruchem ręki odprawia wojskowego.

- Jest wojna, towarzyszu generale.

Końcowa nota historyczna

Willy Brandt, burmistrz Berlina Zachodniego w latach 1957-1966 i kanclerz RFN od 1969 do 1972 roku, pisał we wspomnieniach: „W kwietniu 1945 roku Amerykanie zatrzymali się nad Łabą. Gdyby poszli dalej, oszczędziliby sobie wielu kłopotów, a świat miałby dziś inne oblicze. Ostateczny triumf, jakim było wkroczenie do stolicy Hitlera, odstąpili jednak Rosjanom. Jednym z powodów było to, że generał Eisenhower przestał uważać Berlin za ważny obiekt. Nie rozumiał symbolicznego znaczenia tego miejsca (...). Pod koniec lat pięćdziesiątych, kiedy poruszyłem ten temat w rozmowie z Eisenhowerem, ówczesnie prezydentem Stanów Zjednoczonych, przyznał otwarcie, że nie przewidział konsekwencji, jakie będzie miał jego rozkaz zatrzymania się przed Berlinem”.

Generał Omar Bradley, który zamiast wesprzeć natarcie na Berlin, został skierowany ze swoją grupą armii na południowy wschód, by odciąć domniemaną reductę narodową nazistów, zastanawiał się w późniejszych latach, dlaczego wraz z pozostałymi dowódcami amerykańskimi uwierzył w istnienie tego mitycznego punktu oporu.

Nie ma oficjalnych danych, które by mówiły o liczbie kobiet Berlina zgwałconych przez radzieckich żołnierzy okupujących miasto. Niemniej jednak przypadki te były przerażająco liczne. Ocenia się, że takiego losu doświadczyło ponad trzysta tysięcy kobiet. Miał to być przede wszystkim odwet za gwałty dokonane przez żołnierzy niemieckich na terenie ZSRR. Z typowym rezonem i humorem mieszkanki Berlina kwitowały swoje straszne przeżycia, mówiąc żartobliwie: „Lepiej mieć Rosjanina na brzuchu niż Amerykanina na głowie”. Chciały przez to powiedzieć, że wołały już gwałt niż śmierć pod bombami aliantów.

Kiedy do Stalina dotarły skargi na zachowanie radzieckich żołnierzy, powiedział: „Czy nie rozumiecie, że żołnierz, który przebył tysiące kilometrów we krwi i ogniu, musi się zabawić z kobietą, bo inaczej ulega demoralizacji?”

Pod koniec wojny liczba populacji żydowskiej w Berlinie spadła ze stu sześćdziesięciu tysięcy w 1933 roku do tysiąca pięciuset - mężczyzn, kobiet i dzieci, tak zwanych U-bootów, ludzi ukrywanych przez odważnych obywateli niemieckich.

Orkiestra Filharmonii Berlińskiej, która nie chciała opuścić miasta, przetrwała i wystąpiła z pierwszym powojennym koncertem w Titania-Palast już 26 maja, osiemnaście dni po upadku Berlina. Dyrygował Leo Borchard, a w programie znalazły się utwory Mozarta, Mendelssohna i Czajkowskiego.

W sierpniu 1945 roku Sachsenhausen, obóz koncentracyjny leżący na północ od Berlina, został wykorzystany przeciwko swoim poprzednim ponom. Rosjanie umieścili tam funkcjonariuszy nazistowskich, jak również kilka tysięcy „wrogów politycznych”. Do 1950 roku, gdy go zamknięto, Sachsenhausen był największym z obozów specjalnych w radzieckiej strefie okupacyjnej. Z więzionych tam sześćdziesięciu tysięcy Niemców, co najmniej dwanaście tysięcy umarło z powodu niedożywienia i chorób.

Franklin D. Roosevelt uchodzi wśród współczesnych historyków za najwybitniejszego amerykańskiego prezydenta XX wieku. Umarł z powodu rozległego wylewu krwi do mózgu. Żaden inny prezydent nie będzie już sprawował władzy przez cztery kadencje.

Winston Churchill został odwołany ze stanowiska 26 lipca 1945 roku, zaledwie jedenaście tygodni po zakończeniu wojny. W 1951 roku ponownie otrzymał nominację na premiera rządu i pełnił ten urząd do 1955 roku. Jako zdolny historyk i płodny pisarz otrzymał Literacką Nagrodę Nobla. W 1953 roku przyznano mu tytuł szlachecki. Zmarł w 1965 roku w wieku dziewięćdziesięciu lat.

Józef Stalin umarł na skutek komplikacji po wylewie w 1953 roku. Choć naród pogrzyżył się w żałobie, następcy Stalina odczuli ulgę z powodu jego śmierci. Wkrótce zniesione zostały niektóre z okrutniej szych zasad wprowadzonego przez niego systemu. Nikita Chruszczow skrytykował stalinowskie metody rządów i teorie polityczne. Stalin został uznany przez historię za jednego z najbardziej bezwzględnych dyktatorów, jakich widział świat.

Generał Susłoparow, który bez pozwolenia Stalina podpisał we Francji akt kapitulacji Niemiec, został po powrocie do Moskwy stracony.

Podziękowania

Chciałbym podziękować następującym osobom za pomoc w napisaniu tej książki:

Teresie Bjornes - za informacje dotyczące muzyki klasycznej oraz gry na wiolonczeli; Jane i Edgarowi Wallinom - za odziedziczoną po przodkach wiedzę o uprawie tytoniu; mojemu dobremu przyjacielowi, doktorowi Jimowi Redingtonowi - za znakomite jak zawsze porady z dziedziny medycyny; Gene'owi Pendletonowi za zorganizowanie mi biura; zespołowi Orkiestry Filharmonii Berlińskiej - za poszukiwania materiałów i cierpliwość; pracownikom muzeów w Seelow w Niemczech i Kostrzynie w Polsce; oraz pracownikom obozu Sachsenhausen i więzienia w Brandenburgu.

Szczególne podziękowania należą się Wielkiej Siódemce:

Przede wszystkim wydawnictwu Bantam, gdzie moja praca i kariera są ciągle wspierane i traktowane z niezwykłym szacunkiem. Na wielkie wyrazy wdzięczności zasługują: Chris Artis z działu promocji, Katie Hall z redakcji, jej szefowa Nina Taublib i szef wymienionych - Irwyn Applebaum. Radziłbym wszystkim początkującym i doświadczonym pisarzom zebrać wokół siebie tak bystrych ludzi i słuchać ich rad.

W dalszej kolejności dziękuję mojej wiernej agentce, Marcy Posner, i jej asystentce, Shanie Kelly z agencji Williama Morrisa, których kompetencje i wiara w moją osobę bardzo podnosiły mnie na duchu.

I wreszcie dziękuję mądrym Danowi Kohlerowi, którego rady w sprawach psychologii i niegasnące zainteresowanie tekstem książki pomagały mi w długim i trudnym zbieraniu informacji do tej powieści, a następnie w jej pisaniu.

Bibliografia

W powieści wykorzystano autentyczne relacje, dokumenty, a także biografie i autobiografie. Autor docenia naukową wartość prac wymienionych poniżej pisarzy i historyków i poleca je zainteresowanym czytelnikom.

- Ambrose Stephen E., *Band of Brothers: E Company, 506th Regiment, 101st Air borne from Normandy to Hitler's Eagle's Nest*, Simon & Schuster, 1990 [wyd. pol. Gromadka braci. Od Normandii do Orlego Gniazda, ukaże się nakładem wydawnictwa Magnum w 2001].
- *Citizen Soldiers: The U.S. Army from the Normandy Beaches to the Bulge to the Surrender of Germany*, Simon & Schuster, 1997 [wyd. pol. Obywatele w mundurach. Od plaż Normandii do Berlina, 7 czerwca 1944-7 maja 1945, Magnum, 2000].
- *Eisenhower and Berlin, 1945: The Decision to Halt at the Elbe*, Norton, 1967.
- American Visions of Europe: Franklin D. Roosevelt, George F. Kennan, and Dean G. Acheson*, Cambridge University Press, 1994.
- Bohlen Charles E., *Witness to History*, Norton, 1973.
- Bradley Omar, *4 Generals Life*, Simon & Schuster, 1983.
- Brand Willy, *My Life in Politics*, London 1992.
- Bullock Alan, *Hitler and Stalin: Parallel Lives*, Alfred A. Knopf, 1992 [wyd. pol. Hitler i Stalin, żywoty równoległe, 1.1-2, Warszawa 1994].
- Chuikov V. I., *The End of the Third Reich*, Progress Publishers, 1978.
- Churchill and Roosevelt, The Complete Correspondence*, Princeton University Press, 1984.
- Churchill Winston S., *The Second World War: Triumph and Tragedy*, Houghton Mifflin, 1953 [wyd. pol. *Druga wojna światowa*, 1.1-6, Gdańsk 1994-1996].
- Duffy Christopher, *Red Storm on the Reich: The Soviet March on Germany, 1945*, Da Capo Press, 1993.
- Eisenhower Dwight D., *Crusade in Europe*, Doubleday, 1948 [wyd. pol. *Krucjata w Europie*, Warszawa 1998].
- Erickson John, *The Road to Berlin*, Weidenfeld and Nicolson, 1983.

- Feis Herbert, *Churchill, Roosevelt, Stalin: The War They Waged and the Peace They Sought*, Princeton University Press, 1957.
- Ferrell Robert H., *The Dying President: Franklin D. Roosevelt, 1944-1945*, University of Missouri Press, 1998.
- Fighting in Hell: The German Ordeal on the Eastern Front*, Ivy Books, 1995.
- Fritz Stephen G., *Frontsoldaten: The German Soldier in World War II*, University Press of Kentucky, 1995.
- Gavin James M., *On to Berlin: Battles of an Airborne Commander, 1943-1946*, Viking, 1978.
- Gilbert Martin, *Churchill: A Life*, Henry Holt, 1991 [wyd. pol. Churchill. Biografia. t. 1-2, Poznań 1997].
- Glantz David M., House Jonathan, *When Titans Clashed*, Univesity Press of Kansas, 1995.
- Goodwin Doris Kearns, *No Ordinary Time: Franklin and Eleanor Roosevelt: The Home Front in World War II*, Simon & Schuster, 1995.
- Gross Leonard, *The Last Jews in Berlin*, Simon & Schuster, 1982.
- Harriman W. A., Abel E., *Special Envoy to Churchill and Stalin: 1941-1946*, Random House, 1975.
- Kimball Warren F., *Forged in War: Roosevelt, Churchill and the Second World War*, Wiliam Morrow, 1997.
- *The Juggler: Franklin Roosevelt as Wartime Statesman*, Princeton University Press, 1994.
- Knappe Siegfried, Brusaw Charles T., *Soldat: Reflections of a German Soldier, 1936-1949*, Dell, 1992.
- Lande Nathaniel, *Dispatches from the Front: News Accounts of American Wars, 1776-1991*, Oxford University Press, 1996.
- LeTissier Tony, *Zhukov at the Oder*, Praeger Publishers, 1996.
- Loengard John, „Life” *Photographers: What They Saw*, Bullfinch, 1998.
- MacDonogh Giles, *Berlin: A Portrait of Its History, Architecture and Society*, St. Martin Press, 1997.
- Masłowski Peter, *Armed with Cameras: The American Military Photographers od World War II*, The Free Press, 1993.
- Moeller Susan D., *Shooting War: Photography and the American Experience of Combat*, Basic Books, 1989.
- Morris John G., *Get the Picture: A Personal History of Photojournalism*, Random House, 1998.
- Nadeau Remi, *Stalin, Churchill and Roosevelt Divide Europe*, Praeger Publishers, 1990.
- Nisbet Robert, *Roosevelt and Stalin: The Failed Courtship*, Regnery Gateway, 1988.
- Owings Alison, *Frauen: German Women Recall the Third Reich*, Rutgers University Press, 1995.
- Perlmutter Amos, *FDR and Stalin: A Not So Grand Alliance, 1943-45*, University of Missouri Press, 1995.

- Read Anthony, Fisher David, *The Fall of Berlin*, Hutchinson, 1992.
- Richie Alexandra, *Faust's Metropolis: A History of Berlin*, Carroll & Graf, 1998.
- Rose Norman, *Churchill: The Unruly Giant*, The Free Press, 1995.
- Ryan Cornelius, *The Last Battle*, Simon & Schuster, 1966 [wyd. pol. *Ostatnia bitwa*, Warszawa 1997].
- Rzheshesky Oleg A., *War and Diplomacy: The Making of the Grand Alliance*, Harwood Academic Publishers, 1996.
- Sainsbury Keith, *Churchill and Roosevelt at War*, New York University Press, 1994.
- Tobin James, *Ernie Pyle's War: America's Eyewitness to World War II*. The Free Press 1997.
- Vance Heidi Scriba, Speer Janet Barton, *Shadows over My Berlin: One Woman's Story of World War II*, Southfarm Press, 1996.
- Vassiltchikov Marie, *Berlin Diaries, 1940-1945*, Vintage Books, 1988 [wyd. pol. *Dzienniki berlińskie*, Warszawa 1993].
- Volkogonow Dmitri, *Stalin: Triumph and Tragedy*, Grove Weidenfeld, 1991.
- Whelan Richard, *Robert Capa: A Biography*, University of Nebraska Press, 1994.
- Whiting Charles and the Editors of Time-Life Books, *The Home Front: Germany, World War II Series*, Time-Life Books, 1982.
- Zhukow G. K., *Marshal Zhukov's Greatest Battles*, MacDonald, 1969.
- Ziemke Earl F., *Battle for Berlin: End of the Third Reich*, Ballantine Books, 1969.
- *Stalingrad to Berlin: The German Defeat in the East*, Army Historical Series, 1968.